

**Van Wormer Laura**

**Ciernista droga**

*Jest to historia ludzi,których los postawił w jednym miejscu,by wspólnie dążyli do sprawiedliwości i prawdy.To opowieść o tym,że prawdziwe szczęście i prawdziwa miłość nigdy nie przychodzą łatwo a droga do nich bywa długa i ciernista...*

1.

Człowiek musi być mocno zdesperowany, skoro się cieszy, że wezwano go, by pełnił obowiązki przysięgłego, doszła do wniosku Libby Winslow. Ale cóż... Jej obecna sytuacja życiowa była taka, a nie inna.-Nic więc dziwnego, że zamiast przyjąć to wezwanie jako dopust boży, potraktowała je jako najatrakcyjniejszą ofertę, jaką mógł jej złożyć Nowy Jork.

Podeszła do dużego lustra, by się w nim przejrzeć. No właśnie, jak powinna wyglądać osoba mająca zasiąść w ławie przysięgłych?

A więc kandydatka do tej roli miała metr siedemdziesiąt wzrostu i długie, ciemnoblonde włosy, poprzetykane jaśniejszymi pasemkami, ubrana była w beżowe spodnie, wełniany sweter, zamszową kurtkę, pantofle na lekko podwyższonym obcasie, w uszach nosiła złote kolczyki, na ręku bransoletki i pierścione. Prawdę mówiąc, bardziej przypominała modelkę z reklamy „Vogue'a" niż sędziego przysięgłego nowojorskiego sądu.

Libby wzięła skórzaną torbę, którą zdążyła zapakować już poprzedniego wieczora, pożegnała się z kotami, po czym opuściła mieszkanie i wsiadła do windy. Jej budynek został zbudowany dopiero dwa lata temu i był niezbyt atrakcyjnym kolosem położonym - jak mawiała Libby - w Wielkim Kanionie Upper East Side. W tej części miasta stało dużo takich ogromnych, nowych budynków mieszkalnych. W dzień rzucały one długie, ponure cienie, a nocami pobrzmiwały w nich dziwne echa. Ale za to lokatorzy mieli na miejscu basen, salę gimnastyczną, taras do leżakowania i ogród na dachu, a także drugi, wspaniały ogródek pod domem, na który Libby mogła patrzeć z okna swego gabinetu.

## 6

- Dzień dobry, panno Winslow - przywitał ją portier z porannej zmiany. Prosiła go już chyba ze sto razy, żeby zwracał się do niej po imieniu, ciągle z tym samym skutkiem: uśmiechał się i nadal tytułował ją oficjalnie. - Dokąd się pani wybiera tak rano?

Życie w tym budynku do złudzenia przypominało życie w małym miasteczku, a ponieważ Libby zwykle o tej porze siedziała u siebie na górze i pisała, odstępstwo od reguły zwróciło natychmiast czyjaś uwagę.

- Dostałam wezwanie do sądu. Mam być przysięgłą.

- Szkoda czasu. Facet i tak jest winny.

- Co takiego? - spytał Mike, odźwierny, który wszedł właśnie do holu.

- Pannę Winslow powołano na przysięgłą.

- O! - powiedział Mike, skinąwszy głową. Spojrzał na Libby. - Skazać go! - orzekł i przeciągnął palcem po gardle.

Libby roześmiała się i wyszła z budynku. Poszła piechotą do pobliskiej stacji metra przy Lexington Avenue. Była to pora największego ruchu i na peronie panował nieopisany ścisk. Dużo czasu minęło od tych lat, gdy musiała poruszać się po mieście w godzinach szczytu, przepuściła więc pierwszy pociąg, ale gdy nadjechał długi, zdobyła się wreszcie na to, by wepchnąć się do zatłoczonego wagonu. Musiała to zrobić, by zdążyć na czas do sądu. Na wezwaniu było napisane, że ma się tam stawić o dziewiątej. Tkwiła więc w zbitym tłumie, nie mając się czego trzymać, choć nawet gdyby chciała się przewrócić, to i tak by jej się to nie udało. William Klein wstał z krzesła, sięgnął po marynarkę i powiódł wzrokiem po blatach ogromnych, otaczających go ze wszystkich stron biurek, identycznych jak to, przy którym jeszcze przed chwilą siedział. W ten wtorkowy rano pracował już od piątej trzydzięci. Sala transakcyjna firmy Connors & Morganstern zaczynała się zapelniać o siódmej, o ósmej piętnaście robiło się tu tłoczno, a teraz była już za dwadzieścia dziewiąta.

- Po cholere idziesz do tego sądu? - krzyknął z drugiego

7

krańca biurka Jerry. - Komu się chce robić za przysięgłego? Wszyscy to olewają.

- Ale nie ja-odpowiedział William, wkładając marynarkę. Przy każdym z blatów pracowało od ośmiu do dwunastu osób; na każdym stało ze trzydzieści telefonów, dwadzieścia cztery do trzydziestu monitorów i mały głośnik.

Przemnożywszy to przez dziewięć - tyle bowiem stanowisk znajdowało się w zasięgu wzroku Williama - i dodawszy do tego dwadzieścia następnych, które także mieściły się na tym piętrze, miało się jakieś mgliste, a może raczej przyprawiające o zawrót głowy wyobrażenie o tym, jak żyje się i pracuje na co dzień w firmie Connors & Morganstem. Nawet o północy, kiedy na piętrze robiło się już prawie pusto i milkły telefony, w głośnikach nadal rozbrzmiewały głosy przekrzykujących się maklerów z drugiego końca świata, na przykład z Tokio.

- Dopilnuj, żeby go powiesili - polecił mu Rick, inny kolega z pracy.

- Przecież już ich nie wieszają - powiedziała Sheila, inspektorka z działu lokat o wysokiej rentowności.

- Serio? - zdumiał się Rick.

William dobrze wiedział, że w podobnych sytuacjach nie warto się odzywać, ale tego nie potrafił puścić mimo uszu.

- Nie wiesz o tym, że w stanie Nowy Jork nie wieszają już ludzi?

Rick wzruszył ramionami.

- Nic dziwnego, że się tu zrobił taki syf.

- Dlatego właśnie zjeżdża tu cała ta hołota - wyjaśnił Jerry, przekrzykując gwar.

- Jaka hołota? - spytał Williams.

- Dobrze wiesz, jaka - odparł Jeny, chwytając słuchawkę. - Halo! Tu Connors & Morganstem!

- Nie wiedziałam, że przysięgłych na czas procesu zwalniamy z pracy - odezwała się Analiese, praktykantka. Chciała się widać podzielić swymi wątpliwościami, gdyż nie skierowała tej uwagi do żadnej konkretnej osoby.

William odwrócił się w stronę Ricka.

## 8

- Sądziłeś chyba, że kiedy ten republikanin Pataki zostanie gubernatorem stanowym, to natychmiast przywróci karę śmierci? Na pewno musiałeś na niego głosować.

Rick wykrzywił się.

- Kto ci powiedział, palancie, że w ogóle się zarejestrowałem na liście wyborczej? Właśnie stamtąd cię wyłowili, baranie jeden. - Zamilkł i popatrzył krzywo na Williama. - A tak w ogóle, Klein, dlaczego ty się zrobiłeś jakiś taki...

- Jaki?

Praktykantkę nadal dręczyły te same wątpliwości.

- Słuchaj, William, kto tak naprawdę pozwolił ci zostawić robotę i zgłosić się na przysięgłego? - spytała.

- Amerykańska Konstytucja - odparł. - Ale to nieważne! - dorzucił z niesmakiem, machnięciem ręki pokazując, jak bardzo ma dość towarzystwa kolegów.

Wszędzie będzie lepiej niż tu, pomyślał, wychodząc.

- Melisso, my naprawdę nie mamy nic przeciwko temu, żebyś spełniła swój obywatelski obowiązek - zapewnił ją szef działu obsługi klientów.

No to pozwólcie mi wreszcie stąd wyjść! - krzyknęła, udając rozpacz. Odjkkilku minut bezskutecznie próbowała opuścić zebranie pracowników działu, z którym stale kooperowała. - Jeśli nie zjawię się punktualnie w sądzie, to wsadzą mnie do więzienia i tę promocję kociego żarcia będziecie mieli z głowy.

Wszyscy, włącznie z dyrektorem agencji, wybuchnęli śmiechem.

- No, idź już, idź - zwrócił się do niej zwierzchnik. -1 niech Bóg ma cię w swojej opiece, Melisso Grant. Promocja kociej karmy nie może nam przepaść. To zbyt smaczny kąsek.

Dwudziestodziewięcioletnia Melissa Grant, najnowszy „cudowny nabytek" agencji reklamowej S. Wiley Keaman, uśmiechnęła się do szefa i wypadła na korytarz, pędząc tak szybko, jak tylko pozwalały jej na to wysokie szpilki i krótka, obcisła spódniczka.

Dział, którym kierowała, został utworzony stosunkowo nie-

## 9

dawno, a ona sama przybyła do agencji zaledwie przed czterema miesiącami. Podstawową regułą gry, jaka tu obowiązywała, określano w słowach: „Załatw zleceniodawcę i szukaj następnego. I tak nie będzie ci wierny”. Czasy, kiedy to agencje utrzymywały długotrwałe stosunki z klientem, należały do przeszłości; Melissa zaś, z uwagi na swe doświadczenia życiowe, potrafiła znakomicie je nawiązywać i skracać do koniecznego minimum. Nie tylko w biznesie.

- Melisso - przywitała ją Bonnie, jej sekretarka - włożyłam ci do teczki listę nazwisk, numery telefonów i dokumentację kampanii Norquista. - Przekrzywiła głowę. - Jak sądzisz, będziesz tam mogła skorzystać z odtwarzacza wideo? Wydaje mi się, że widziałam coś takiego w poczekalni dla przysięgłych. Może pozwolą ci obejrzeć taśmy.

- Wystarczy mi pisemne opracowanie - odparła Melissa, narzucając na siebie płaszcz. - Dziękuję ci za numery telefonów.\*" Wrócę najszybciej, jak będę mogła.

- Wóz numer sześćdziesiąt trzy czeka na dole - zawołała za nią Bonnie.

- Melisso! - usłyszała czyjś głos, kiedy biegła korytarzem.

- Mnie już tu nie ma! - odkrzyknęła. - Spóźniłam się przez was do sądu.

Libby wysiadła wraz z całym tłumem na stacji City Hall/Brooklyn Bridge, na ostatnim przystanku linii ekspresowej przed wjazdem do Brooklynu. Gdy znalazła się na poziomie ulicy, owiało ją chłodne powietrze. Był zimny, jesienny dzień, ale pogoda w sumie okazała się nie najgorsza i na dworze było nawet ładnie. Zgodnie z tym, co widniało na wezwaniu, miała się stawić w Sądzie Najwyższym Stanu Nowy Jork, przy Centre Street 100, w pokoju 1517.

Kiedy zbliżyła się do tego budynku, stwierdziła z satysfakcją, że wygląda on rzeczywiście tak, jak na siedzibę sądu przystało. Zupełnie inaczej niż paskudny, kwadratowy budynek z lat sześćdziesiątych przy Centre Street 111, do którego była już kiedyś wzywana. Ten był znacznie starszy, zbudowano

## 10

go w latach trzydziestych i cechowała go solidna, granitowa monumentalność. Nie był tak wielki, jak znajdujący się dalej przy tej samej ulicy Stanowy Sąd Apelacyjny - wspaniała, zabytkowa budowla, której filary i schody eksponowane były zawsze w serialach telewizyjnych - ale i tak cieszyła się, że tym razem będzie pełnić swoje obowiązki w tak szacownie prezentującym się urzędzie.

Podążyła za znakami, które kierowały kandydatów na przysięgłych do południowego wejścia, wbiegła po schodach, przecisnęła się przez tłum ludzi kotłujących się na podeście, dotarła do drzwi - i tuż za nimi zatrzymał ją strażnik. Okazało się, że tłum, przez który się przecisnęła, jest kolejką, w której ma czekać teraz tak jak inni, by przejść przez bramkę z wykrywaczem metalu.

Spojrzała na zegarek. Za trzy dziewiąta. Na nic się zdały starania, by być punktualną.

Westchnęła, ponownie przedarła się przez ludzką ciżbę i odnalazła koniec kolejki. Po upływie kwadransa zaczęła się zastanawiać, czy niektórzy z oczekujących nie przyszli tu przypadkiem na własną sprawę. Było to bardzo dziwne towarzystwo, niezupełnie pasujące do jej wyobrażeń o osobach, które mają zasiąść w ławie przysięgłych.

- Wskoczyłeś na warunkowe? Kto jest twoim kuratorem? - spytał jakiegoś człowieka stojący przed nią osobnik.

Ucho zdobiły mu trzy złote kolczyki, głowę miał opasaną zawiązaną ciasno bandaną, a jedno oko podbite i zapuchnięte do tego stopnia, że w ogóle się nie otwierało.

Mówił środowiskową gwarą, ale Libby zrozumiała go bez trudu, ponieważ bezpośrednio po skończeniu college'u pracowała jako nauczycielka w szkole średniej, w biednej, śródmiejskiej dzielnicy Cleveland.

- Taki jeden dupek - odpowiedział zagadnięty. Wyglądał względnie normalnie, z wyjątkiem tego, że w górnej szczęce miał tylko cztery przednie zęby, co upodobało go nieco do rekina. - Miałem przypał z towarem.

- Kurde, ja też mam sprawę o ćpunek - odpowiedział Pirat.

## 11

- Och, ty w życiu! - zakończył konwersację Czterozębny i podał koledze grabę.

- Proszę wyjąć wszystko z kieszeni, włożyć do pojemnika i następnie przejść przez bramkę - informował strażnik każdą kolejną osobę. - Dotyczy to także biżuterii i zegarków. Tak, proszę pana, również i żetonów.

Po drugiej stronie bramki wybuchła nagle awantura.

- Ty w mordę kopany! Przekręciłeś mi szmal z tego pudła! - wrzeszczał jakiś facet. Wyglądał tak, jakby należał do tej samej narkotycznej szajki, co Pirat i Czterozębny.

- Uważaj, ty kłamliwa mendo - warknął osobnik z czerwoną, nalaną twarzą. - Bo jak przylutuję, to będziesz zęby zbierał.

Co za urocze miejsce, pomyślała Libby. A sądy na Manhattanie - o czym doskonale wiedziała - obsługiwały elitarne towarzystwo w porównaniu z tym, jakie spotkać można było w Brooklynie, Queens czy Bronksie. Mimo wszystko jednak była podekscytowana i czuła charakterystyczne mrowienie w plecach. Pojawiało się ono u niej zawsze wtedy, gdy doświadczała czegoś nowego. Był to rodzaj wewnętrznego alarmu, który wprowadzał pisarza w stan pogotowia. Dotarła wreszcie do długiego blatu, który przylegał do bramki z detektorem, wręczyła strażnikowi swoją torbę, zdjęła klipsy, bransoletki, pierścionek i położyła je na szarej plastikowej tacy. Sięgnęła do kieszeni kurtki, wyjęła z niej żetony do metra, pięć-ciocentówkę i również wrzuciła je do tego samego pojemnika, po czym przeszła przez bramkę.

Brzęczyk się nie odezwał. Była poza wszelkim podejrzeniem. . Podejrzana okazała się natomiast jej torba. Wyjęto z niej laptop i wręczono go funkcjonariuszowi policji, który przeszedł do drugiego stołu, otworzył pokrywę, zerknął na ekran i przyniósł sprzęt z powrotem. Spojrzał na Libby i uśmiechnął się.

- Musieliśmy sprawdzić, czy to aby na pewno komputer - powiedział. Wyłączył zasilanie bateryjne i zamknął pokrywę.

- A cóż to mogło być innego? - spytała Libby. Wzruszył ramionami i nadal uśmiechając się, wyjaśnił:



## 12

- Nie wolno nam podpowiadać takich rzeczy. Nikomu. Nawet pani. - Mrugnął do niej i oddał jej komputer.
  - Będzie pani musiała to pokwitować - zawołał do niej strażnik, który stał przy pierwszym stole i trzymał w ręku znalezione w jej torbie nożyczki. Wzięła je, bo miała nadzieję, że pełniąc zaszczytne obowiązki przysięgłej, znajdzie czas na uaktualnienie albumu z wycinkami prasowymi. Dobrze byłoby mieć przynajmniej jakieś wspomnienia po wspaniałej karierze pisarskiej, która z niezrozumiałych powodów zaczęła ostatnio podupadać
  - Nie mogę mieć przy sobie nożyczek? - spytała.
  - Nie, proszę pani - wyjaśnił strażnik. - Są zbyt ostro zakończone. Zezwalamy jedynie na wnoszenie zaokrąglonych na końcu. Takich dla dzieci.
  - Szybciej, szybciej! - krzyknęła kobieta stojąca za Libby. - Nam też się spieszy.
  - Dobra, dobra. Nie pali się - uspokoił ją dobrodusznym tonem strażnik.
- Libby, otumaniona przez natłok nieznanych obrazów i dźwięków, posłusznie oddała do depozytu potencjalnie śmiertelne nożyczki, otrzymała pokwitowanie, po czym udała się wraz z innymi w głąb budynku, by utknąć po chwili w tłumie oczekującym przy wejściach do wind.
- Winda zatrzymywała się prawie na każdym piętrze; kiedy wreszcie dotarli do piętnastego, wszyscy wysypali się z niej i ruszyli przed siebie. Libby szybkim krokiem pomaszerowała do pokoju 1517, który - jak informowały strażki - powinien znajdować się za załomem korytarza. Przebrnąwszy przez chmurę papierosowego dymu, unoszącą się przy wejściu do jakiegoś pomieszczenia, weszła przez podwójne drzwi opatrzone numerem 1517 i napisem „CENTRALNA POCZEKALNIA DLA KANDYDATÓW NA PRZYSIĘGŁYCH” do wielkiej auli, w której siedziało na ławkach przynajmniej pięćset osób.
- Siwowłosa mężczyzna o sympatycznym wyglądzie wywoływał właśnie jakieś nazwiska. Libby podeszła do niego i wręczyła mu kartę ze swoimi danymi personalnymi (otrzymała ją razem z wezwaniem), dostała od niego pakiet materiałów dla przysię-

## 13

głych, po czym udała się na znajdujące się nieco z boku podwyższenie, na którym stało coś w rodzaju biurka. Jakieś dwie kobiety zdążyły już rozłożyć na nim swoje papiery. Jedno ze stojących obok krzeseł było jeszcze wolne i Libby usiadła na nim. Urzędnik nadal wyczytywał nazwiska, a ponieważ dała mu przedtem swoją kartę, wkrótce usłyszała również i własne. Gdy wreszcie skończył, zaczął wyjaśniać, że niektórzy z zebranych zjawili się tu po raz pierwszy, inni zaś mają już za sobą połowę procesu. Głędził i głędził i nic z tego nie wynikało, tak że Libby wkrótce przestała go słuchać i zajęła się lekturą „New York Timesa”.

Urzędnik poprosił następnie zebranych, aby obejrzeliby film wideo, który, jak poinformował, wyjaśni im wszystko, co wiąże się z pełnieniem obowiązków przysięgłego. Gdy tylko Libby usłyszała na fonii głos Jane Alexander, nie zadała sobie nawet trudu, by unieść głowę i zerknąć na ekran. Pewna była, że jeśli jeszcze raz wezwą ją do sądu jako przysięgłą, to cały instruktaż znać już będzie na pamięć.

Film dobiegł końca i w chwilę potem w auli odezwał się telefon. Urzędnik podniósł słuchawkę, po czym prawie natychmiast ją odłożył i obwieścił, że przystępuje do wyboru grupy kandydatów na przysięgłych, którzy wezmą udział w rozpoczynającej się właśnie sprawie. Zakręcił bębniem do losowania, zatrzymał go, po czym zaczął wyjmować z niego karty i wyczytywać nazwiska. Ludzie odkrzykiwali „Jestem!”, pakowali manatki i wychodzili przez drzwi przylegające do stanowiska urzędnika. Obie kobiety, które siedziały przy biurku, zostały wywołane i wyszły. Libby skorzystała z tego, anektując zwolnioną część blatu i rozkładając na niej swoje rzeczy. Nie było tak źle. Miejsca miała tu więcej niż w swoim gabinecie.

William Seymour Klein spędził w auli tylko chwilę: ledwie usiadł, a natychmiast wywołano jego nazwisko. Zebrał swoje rzeczy i przeszedł do sali znajdującej się po przeciwnej stronie korytarza, zadowolony, że dzieje się coś nowego. Było mu obojętne co, byle tylko nikt się go wreszcie o nic nie czepiał. Choćby przez pewien czas.

## 14

Dość miał użerania się w pracy, a gdy doszło do tego użeranie się z Betsy, zaczęło to grozić załamaniem nerwowym. Jeśli chodzi o pracę, przynajmniej zarabiał tak dużo, że pieniądze rekompensowały mu wszystko, czego nie cierpiał u Connorsa i Morgansterna. Nie znaczyło to jednak, że miał zamiar wydać je w całości na Betsy, która zamieszkała u niego niby „tymczasowo”, lecz ani jej w głowie było się wyprowadzać. Ta „tymczasowość” trwała już czternaście miesięcy! Nie umiał się jednak zdobyć na stanowczą rozmowę z tą kobietą. Często tylko wyobrażał sobie, jak mówi: „Słuchaj, cwaniaczku! Z początku było nam ze sobą bardzo dobrze, ale dwumiesięczna znajomość to niewystarczający powód, by się do kogoś wprowadzać!”

Na korzyść Betsy przemawiały uroda i pełna dyspozycyjność seksualna (na początku, teraz należało już to do przeszłości). Umiała również wspaniale gotować i potrafiła całkowicie zmienić wystrój wnętrza jego dwusypialnianego apartamentu przy Gramercy Park, który, dzięki jej staraniom, zaczął wreszcie przypominać dom. Pozostawało jednak faktem, że wprowadziła się do Willa podstępem. Po dwóch miesiącach spotykania się z nim musiała się wyprowadzić z mieszkania, które użytkowała wspólnie z przyjaciółką, i przenieść do własnego. William wybierał się wówczas na tygodniową konferencję do Londynu i Betsy poprosiła go, by pozwolił jej przez ten czas pomieszkać u siebie. Gdy wrócił z Anglii, nadal tam była, tłumacząc, że za dzień lub dwa zamierza się przeprowadzić. A potem nadeszła noc, poszli razem do łóżka i od tamtej pory sprawa jej samodzielnego mieszkania już nie wypłynęła.

Pierwszy raz wpadł na dobre w panikę, gdy mniej więcej przed rokiem dostał rachunki za meble do salonu, które kupiła. Pozwolił sobie wówczas na uwagę, że powinna przynajmniej z nim porozmawiać, zanim dokona tego rodzaju zakupów, ale ona przerwała mu w pół zdania:

- Ależ Williamie! Przecież ciebie w ogóle nie interesują meble. Na pewno nie chciałbyś, żebym ci tym zawracała głowę. Wyświadczyłam ci tylko przysługę.

## 15

- Dając mi te rachunki do uregulowania? - pozwolił sobie na złośliwość.

- Przecież ty śpisz na pieniądzach! - wykrzyknęła. - Wydajesz je na prawo i lewo, a więc równie dobrze możesz przeznaczyć pewną sumę na urządzenie własnego domu.

- Panie i panowie! Pozwólcie za mną - obwieścił urzędnik sądowy, przywołując Williama do rzeczywistości. -

Wprowadzę was na salę. Proszę sprawdzić, czy zabraliście ze sobą wszystkie rzeczy osobiste.

William wstał i czekał wraz z innymi, gotów w każdej chwili pośpieszyć za przewodnikiem.

Wertując „Timesa”, Libby dotarła do stron poświęconych recenzjom literackim i natychmiast poczuła, że znowu ogarnia ją depresja. Nie dawniej niż przed rokiem znajdowała się u szczytu sławy, mieszkała z Halem i pełna nadziei oczekiwała na ukazanie się swojej trzeciej powieści. A potem nastąpiło to ich gwałtowne rozstanie, co było dla niej nie tylko bolesne, lecz również nadzwyczaj kosztowne, jako że zaszła konieczność podzielenia wspólnego gospodarstwa, zmiany mieszkania i przeprowadzki. Niedługo potem wyszła wreszcie jej powieść, wszystko świetnie się zapowiadało, po czym nastąpiła klapa. Książka nagle przestała się sprzedawać. Ustały zamówienia, a księgarnie z całego kraju zaczęły odsyłać wydawcy całą masę zalegających półki egzemplarzy. W dodatku nikt, zdaje się, nie miał pojęcia, dlaczego tak się stało.

A jeszcze później - chyba tylko po to, by nie miała już żadnych wątpliwości, że jest raz na zawsze skończona - zdarzyła się ta historia z telewizją. Właśnie zaświtała jej nadzieja na poprawę sytuacji, gdyż wydawca zawiadomił ją, że zaproszona została do wzięcia udziału w talk show prowadzonym przez sławną Oprah Winfrey. Zarówno dla wydawcy, jak i dla autora stanowiło to cudowne zrzączenie losu. Samo pojawienie się pisarza w jednym z najczęściej oglądanych programów telewizyjnych zapewniało natychmiastową sprzedaż dziesiątków tysięcy egzemplarzy jego książki. Po czym nagle, ni z tego, ni z owego,

## 16

dostała telefon od swego agenta, Barbie'ego, który zakomunikował jej:

- Przepraszam cię, Libby, ale sprawa z telewizją definitywnie upadła. Ta historia z New Age jakoś nie zadziałała.
- Z czym? - spytała zdumiona. W jej książkach nie było niczego, co mogłoby się kojarzyć z filozofią New Age. Cóż ona ma wspólnego z tym nurtem? Chyba tylko to, że akcja jej powieści osadzona jest we współczesności.
- To było jedyne hasło, pod którym mogłem promować tę książkę - wyjaśnił Barbie. - Ale i tak nie kupili tego.

Podejrzewam, że widocznie musieli ją przeczytać.

Libby udało się zostać pisarką i był taki moment, kiedy uważała to za jedną z najwspanialszych rzeczy, jakie ją w życiu spotkały, ale teraz, gdy sprawy przybrały zły obrót, uświadomiła sobie, że mogło to być również jedno ze zdarzeń najbardziej fatalnych. Miała oto książkę, którą księgarze zwracali do magazynów wydawcy, i agenta, którego najchętniej by udusiła, głównie dlatego, że w zeszłym roku ubłagał ją, by odrzuciła propozycję zawarcia umowy na napisanie następnej książki, jaką otrzymała od wydawnictwa Haverhill. Tłumaczył jej wówczas, że gdy ta jej nieszczęsna powieść - jak na ironię nosząca tytuł „Uśmiech losu” - okaże się bestsellerem, to można będzie wynegocjować znacznie lepsze warunki. W rezultacie Libby zgodziła się przeżyć rok bez zagwarantowanych z góry dochodów; natomiast teraz, gdy zaczęło jej bardzo zależeć na zawarciu umowy i związanej z tym zaliczce, Haverhill wycofał propozycję, wyraźnie wybierając strategię typu „poczekamy, zobaczymy”.

Co prawda do całej tej historii z zaproszeniem do programu Oprah Winfrey od początku podchodziła sceptycznie. Wydawało jej się to zbyt piękne, by było prawdziwe. Nie uważała się za osobę, której cokolwiek spada z nieba, tylko raczej za kogoś, kogo życie nauczyło, że lata ciężkiej pracy w końcu się opłacają. Ale czy zawsze? Na tym polegało jej obecne zmartwienie.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała zdyszczanym głosem Melissa Grant, wręczając swą kartę siwowłosemu urzędni-

## 17

kowi. Była dziesiąta trzydzieści trzy, półtorej godziny po terminie, w którym miała się stawić w sądzie. - Zrobiłam wszystko, co w ludzkiej mocy, by dotrzeć tu możliwie jak najwcześniej.

- Ojej! Pierwszy raz słyszę coś podobnego - zażartował urzędnik. - Proszę wpisać tu swoje nazwisko i adres. Kto wie, może będzie pani miała szczęście? Za pięć minut przystępujemy do losowania dużej grupy kandydatów.

Melissa wypełniła kartę, dostrzegła wolne miejsce i usiadła. W pięć minut później „szczęście” rzeczywiście się do niej uśmiechnęło: znalazła się w gronie osób, spośród których mieli zostać wybrani przysięgli do najbliższej sprawy. Wychodząc z sali, musiała przejść obok tego samego urzędnika i kiedy kątem oka na niego spojrzała, ten podniósł rękę w geście usprawiedliwienia i powiedział:

- To był szczęśliwy traf. Przysięgam, że nie mam z tym nic wspólnego.

Idąc korytarzem, Melissa zastanawiała się, jak sobie poradzi, gdy rzeczywiście zostanie wybrana w skład ławy przysięgłych. Nadal musiała prowadzić promocję kocięj karmy, zamknąć rozliczenia z Norquistem, a jej szef planował właśnie zorganizowanie kolejnej burzy mózgów, by znaleźć sposób na uбиcie jakiegoś interesu z kolejnym kontrahentem. Od tygodni nie miała okazji przyzwycięzić się wyspać, od miesiący nie była na żadnej randce, a życie w skrajnym stresie stało się dla niej jedynym lekarstwem na to, by nie czuła się rozpaczliwie samotna. A więc trudno. Po prostu będzie musiała pracować jeszcze bardziej intensywnie. Z obowiązkami przysięgłej - jeśli miałyby je pełnić dłużej - wiązała się bowiem pewna obawa: o nadmiar czasu i towarzyszący temu nadmiar myśli. Tego właśnie chciała uniknąć.

Libby nigdy w życiu nie wygrała żadnego konkursu, nagrody na loterii, nie wylosowała żadnej premii, nie rozumiała więc sama, dlaczego wydawało jej się, że może zostać wylosowana jako kandydatka na przysięglą. Chyba ponad trzy czwarte osób spośród oczekujących w tej wielkiej auli zostało już wywołanych, ale ją stałe to omijało. Ciagle siedziała przy tym samym

## 18

biurku, stojącym na podwyższeniu w rogu sali. Urzędnik udał się na chwilę do swego biura i zanim Libby zorientowała się, co jej grozi, wszyscy spóźnialscy zaczęli zmierzać prosto do niej, przekonani o tym, że jest ona tu jedyną osobą urzędową.

- Mój dziadek nie mówi po angielski - zwrócił się do niej młody chłopiec, który wyglądał na Chińczyka. Podstawił jej pod nos wezwanie sądowe i wskazał na stojącego za nim zgrzybiałego staruszką, który wsparty na lasce dopingował wnuka, wydając z siebie serię stłumionych, piskliwych lamentów.

- Przykro mi - odparła - ale nie jestem pracowniczką sądu. Biuro mieści się na korytarzu. Trzeba tylko skrócić w...

- Co? Kto się mieści? - spytał chłopiec. Wyglądało na to, że również niewiele rozumie.

- Nic na to nie mogłam poradzić! - krzyknęła jakaś kobieta, pędząc od drzwi. - Mam sprawę rozwodową i jestem tak załamana, że nie byłam w stanie przyjść punktualnie - tłumaczyła, wciskając w dłoń Libby wezwanie.

- Hej! Niech się pani ustawi w kolejce! - usłyszała czyjeś wołanie.

Libby rozejrzała się bezradnie wokoło. Ktoś zaczął do niej krzyczeć po hiszpańsku, ktoś inny w jakimś Bóg wie jakim języku – wszyscy tak samo przerażeni i nieszczęśliwi z tego powodu, że zostali wezwani, by wypełnić zaszczytny, gwarantowany im przez konstytucję obowiązek. Próbowała przypiąć sobie niebiesko-biały znaczek z napisem „Sędzia przysięgły”, który odnalazła w otrzymanym na wstępie pakiecie. Wywołało to jedynie huragan śmiechu wśród oczekujących na sali osób.

Jakiś przystojny mężczyzna we flanelowej koszuli i džinsach zawołał do niej:

- Niech pani im powie, że na początek mają płacić. Po sto dolarów. Z góry i gotówką. A potem się zobaczy.

Rozległy się następne salwy śmiechu. Libby sytuacja nie wydawała się zabawna. Coraz bardziej było jej żal tej stojącej przed nią spanikowanej gromadki ludzi, wstała więc zza biurka i zeszła ze swego piedestału.

- Pozwólcie państwo za mną - powiedziała autorytatywnym

## 19

tonem i powiodła całe towarzystwo na korytarz, aż do drzwi z napisem „POMIESZCZENIE BIUROWE”. Zapukała, uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

Urzednicy popijali kawę, ślęczeli nad wydrukami komputerowymi, pisali jakieś pisma i prowadzili rozmowy telefoniczne.

- Słucham panią? - spytał ją ten siwowłoso.

- Jest ze mną kilka osób, które chciałyby z panem porozmawiać.

- Kim pani jest?

- Wzorowym obywatelem - odparła, odstępując o krok, by otworzyć na oścież drzwi i wpuścić całą gromadę do środka.

- Porozmawiajcie z tamtym panem. Z tym, co tam siedzi. On tu wszystkim rządzi. Nie ma za co dziękować: Do widzenia.

Kiedy wróciła do auli, w kilku miejscach sali rozległy się skąpe brawa. Uśmiechnęła się, podeszła do biurka stojącego na podwyższeniu, zabrała z niego swoje rzeczy i przeniosła się na jakieś niczym nie wyróżniające się miejsce. W chwilę później na gazetę, którą właśnie zaczęła czytać, padł cień.

Uniosła głowę. Stał przy niej ten sam mężczyzna, który zaproponował jej pobieranie opłat w wysokości stu dolarów. Z bliska okazał się niesamowicie przystojny. Ciemny blondyn, dobrze ostrzyżony, niebieskie oczy o żywym, połyskującym spojrzeniu, ogorzała twarz człowieka, który spędza dużo czasu na świeżym powietrzu, ładne zęby i uśmiech. Mógł mieć około trzydziestu paru, może czterdzieści lat. Przypominał mężczyznę z reklamy papierosów Marlboro.

- Zjeżdżam na dół po jakąś kawę - oznajmił. - Pani pewnie również chętnie by się czegoś napiła.

Libby uśmiechnęła się.

- O ile wiem, nie pozwolono nam tu jeść ani pić.

- Możemy przecież wyjść z sali na korytarz.

- No rzeczywiście... - zgodziła się, sięgając do torby po pieniądze. - Skoro byłby pan tak uprzejmy...

- Nie - zaprotestował, ujmując ją za rękę, zanim zdążyła wyjąć portmonetkę. Dłoń miał dużą, paznokcie czyste i równo obcięte. Jej dotyk był nadspodziewanie delikatny. - Proszę po-



## 20

zwolnić, abym choć w ten sposób wynagrodził tę ciężką pracę, jaką pani tu wykonała.

Odprowadziła go wzrokiem, gdy szedł przez salę ku wyjściu. Zauważyła przy okazji, że kilka innych kobiet również mu się przygląda z zainteresowaniem.

Po kilku minutach na rozłożoną na kolanach Libby gazetę ponownie padł cień.

- Przepraszam bardzo - zaczepiła ją jakaś kobieta. Miała około dwudziestu paru lat, była czarna, przystojna, dość elegancka i bajecznie kolorowo ubrana. - Proszę wybaczyć moją ciekawość - zaczęła się tłumaczyć nieznajoma - ale chciałabym się dowiedzieć, czy nie jest pani przypadkiem spokrewniona z Elizabeth Winslow, pisarką? Słyszałam, co prawda, jak urzędnik wywołał panią jako Cornelie Winslow, ale... - urwała, wskazując na trzymaną w ręku książkę. Był to egzemplarz pierwszej powieści Libby, w tanim, kieszonkowym wydaniu. Nieznajoma odchyliła okładkę i pokazała zamieszczone na jej wewnętrznej stronie zdjęcie szacownej, dwudziestoosmioletniej wówczas autorki, która wyglądała na nim sto razy starszej niż w rzeczywistości.

Libby roześmiała się, uradowana. Te nieczęste skądinąd sytuacje, gdy ktoś nagle ją rozpoznał, dostarczały niepowtarzalnych przeżyć.

- Moja babka nazywała się Cornelia i po niej nadano mi to imię

- wyjaśniła. - Natomiast mój wydawca, z powodów dość oczywistych, wołał raczej, abym używała drugiego imienia. A ono rzeczywiście brzmi Elizabeth. Ale proszę mówić mi Libby.

- A więc jesteś tą autorką! - wykrzyknęła rozentuzjasmowana czytelniczka. - Czy mogę prosić o... - Wręczyła jej książkę.

- Mama mi ją pożyczyła. Powiedziała, że na pewno będzie mi się podobać. I rzeczywiście, to taka piękna powieść... A potem nagle spotykam tu panią...

Libby napisała kilka miłych słów na wewnętrznej stronie okładki, złożyła swój podpis, podczas gdy jej czytelniczka, która zdążyła przedstawić się jako Celia, opowiadała o tym, jak wielkie wrażenie zrobiła na niej lektura powieści.

## 21

- Wspaniale jest być pisarzem, prawda? - spytała, kiedy Libby oddała jej zadedykowaną książkę.

- Lubimy, kiedy inni tak o nas myślą - rzekła Libby. - Ma pani oczywiście rację - dodała pośpiesznie z uśmiechem. - Dla mnie to wielkie szczęście. Uwielbiam pisać.

Celia pożegnała się i odeszła, a Libby ponownie nachyliła się nad gazetą. Tym razem jednak jej nie czytała; myślała o czymś intensywnie.

Bardzo pragnęła, by coś się w jej życiu zdarzyło. Bardziej niż kiedykolwiek. Ale cóż, do licha, może ją spotkać akurat teraz, kiedy na dobre zagnieździła się w tym sądzie?

2.

- Halo! Mam dla nas coś do picia. Chodźmy na korytarz. Libby podniosła wzrok. Pan Marlboro przyniósł kawę. Właśnie w tym momencie odezwał się zainstalowany w ich sali telefon, a do środka pośpiesznie wkroczył siwowłosy urzędnik.

- Biorą następną grupę - jęknął Marlboro. Usiadł obok Libby, podtrzymując obiema dłońmi brązową, papierową torbę.

- Proszę o chwilę uwagi - zaczął mówić do mikrofonu urzędnik, wprawiając w ruch obrotowy bęben do losowania kart z nazwiskami. - Potrzebna nam jest kolejna grupa kandydatów. Ci z państwa, którzy usłyszą swoje nazwisko, odpowiadają . jestem", po czym przechodzą do sali po przeciwnej stronie korytarza. Niech każdy sprawdzi, czy zabrał ze sobą wszystkie swoje rzeczy. Zaczynamy... Rafael Ramirez!

- Jestem! - odchrząknął jakiś mężczyzna, podrywając się z miejsca.

- Myriah Goldberg!

- Jestem - odpowiedziała bez specjalnego entuzjazmu któraś z kobiet.

- Cor... - Urzędnik zerknął na kartkę z nazwiskiem. - Cornelia Winslow!

- Jestem - odezwała się Libby.

Pan Marlboro spojrzał na nią i uśmiechnął się krzywo.

- Zdaje się, że zostanę z dwoma kubkami kawy. Chyba że mnie też wylosują.

Niestety. Libby odczekała, aż urzędnik skończył wywoływać nazwiska. Pan Marlboro nie znalazł się wśród wylosowanych.

- Bardzo żałuję, że musi pani iść - odezwał się, gdy zebrała

## 23

już swe rzeczy i wstała z ławki. - Przez ostatnie dziesięć minut byłem nawet zadowolony, że wezwali mnie do tego sądu.

- Ja również - odparła. - Do widzenia.

Pośpieszyła za innymi osobami do poczekalni. Po kilku minutach całą ich grupę poprowadzono korytarzem pod drzwi znajdującej się na tym samym piętrze sali rozpraw. Tam kazano im jeszcze chwilę poczekać.

- Powiem im, że jestem wielokrotną morderczynią - oświadczyła jakaś kobieta. - Wszystko mi jedno. Aby mnie tylko znowu nie wybrali na przysięgłą.

Libby spojrzała na nią z zaciekawieniem.

- Wezwano mnie po raz szósty! - wyjaśniła jej tamta. - Brałam udział już w pięciu sprawach! Czy mam na twarzy wypisane „przysięgłą”, że mnie bez przerwy powołują?

Woźny powiedział im, że mogą wejść. Sala sądowa okazała się niezbyt obszerna. Na centralnym miejscu siedział sędzia; na ścianie za nim widniał napis: „W Bogu nadzieja”. Znajdowały się tam również ława przysięgłych, stoły oskarżyciela i obrońcy, stanowisko stenografa sądowego oraz bramka oddzielająca tę część sali od galerii, na której rozlokowała się właśnie wprowadzona na salę grupa kandydatów.

Sędzia poprosił, aby wstali i podnieśli prawe dłonie. Zaprzysiągł ich, ale czego konkretnie dotyczyła ta przysięga, Libby nie była pewna; przestała skupiać uwagę na sędzim w momencie, gdy ujrzała na sali przygarbionego starego Chińczyka z wnukiem. Jak oni mogą wybrać go na przysięgłego? - pomyślała. Przecież ten człowiek nie rozumie ani słowa po angielsku.

To już naprawdę zakrawało na kiepski żart. Dlaczego nie odesłali biednego staruszka do domu?

Kiedy kandydaci na przysięgłych ponownie usiedli, sędzia obwieścił, że toczyć się będzie sprawa o gwałt.

Libby spojrzała na oskarżonego. Był dość starannie ogolony, ale i tak wyglądał paskudnie. Patrzył spode łba, a jego ciemną twarz przekreślała blizna biegnąca od ucha aż do kącika ust.

Karty z danymi personalnymi kandydatów powtórnie znalazły się w bębnie do losowania i teraz właśnie jeden z woźnych

sądowych zaczął wybierać je i wyczytywać kolejne nazwiska. Libby została wywołana, przedelfilowała przez salę i w drugim rzędzie ławy przysięgłych zajęła miejsce oznaczone numerem dziewięciym. Poczula nagle, że jest zdenerwowana. Starala się nie patrzeć na oskarżonego i nie zwracać uwagi na jego tłumaczkę, która irytująco głośno przekładała na hiszpański każde słowo, jakie padało na sali sądowej. Aczkolwiek Libby była gorącą zwolenniczką amerykańskiego systemu wymiaru sprawiedliwości, nie mniej jednak żywiła poważne obawy, czy aby nie zwariuje, jeśli przyjdzie jej siedzieć na tej rozprawie i słuchać wrzaskliwej tłumaczki.

- Czy pan Clark jest numerem jedenastym? - spytał woźnego oskarżyciel publiczny, notując coś na karcie papieru przypiętej do sztywnej podkładki.

- *Es seQor Clark numero once?* - krzyknęła tłumaczka do swego klienta.

- Tak, proszę pana - odparł woźny.

- *Si!* - rozległ się kolejny wrzask.

Sędzia na wstępie zadał potencjalnym przysięgłym kilka pytań natury ogólnej, adresowanych do wszystkich kandydatów, licząc zapewne na to, że uda się być może zaoszczędzić w ten sposób trochę czasu.

Z czego się utrzymują? Odpowiadali kolejno na pytanie, a gdy wreszcie Libby udzieliła odpowiedzi, tłumaczka zwróciła się ku swemu klientowi i uradowana, że może wykazać się znajomością tak rzadkich słów, obwieściła tryumfalnie:

- *Novelista!*

W jakiej części Manhattanu każdy z nich mieszka? Czy znają jakichś policjantów? Adwokatów? Ile osób jest żonatych lub zamężnych? (Kilka rąk uniosło się do góry). Czy ktoś z nich padł kiedyś ofiarą jakiegoś przestępstwa? (Znowu kilka podniesionych do góry rąk).

Następnie zaczęła zadawać pytania adwokatka oskarżonego. To sprytne posunięcie, żeby kobieta broniła gwałciela, pomyślała Libby, gdy adwokatka zbliżała się do ławy przysięgłych na bardzo wysokich szpilkach, które głośno stukały o podłogę.

25

Pragnę się upewnić, oświadczyła, że oskarżony będzie miał uczciwy proces. To są Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, ciągnęła, kraj, w którym podsądny nie musi udowadniać swej niewinności. W oczach prawa jest on bowiem niewinny. Skazać go zaś można wyłącznie wtedy, gdy oskarżenie udowodni w sposób nie budzący uzasadnionych wątpliwości fakty, na podstawie których jej klienta uznać będzie można za winnego.

Przepytywała kolejne osoby, zadając im mniej lub bardziej szczegółowe pytania, aż doszła wreszcie do Libby.

- Panno Winslow... - zaczęła, spuszczać wzrok, by zajrzeć do swych notatek - pisze pani powieści...

- Tak.

- Jakiego rodzaju są to książki? Czy opisuje pani w nich zbrodnie, gwałty?

- Nie. To jest proza o tematyce współczesnej. Czasami zdarza mi się co najwyżej opisać jakieś przestępstwo natury urzędniczej.

- Czy pani powieści kończą się zwykle happy endem? Libby przytaknęła skinieniem głowy.

- Gdy byliście państwo pytani o to, komu z was zdarzyło się paść ofiarą przestępstwa, podniosła pani rękę.

- Tak - potwierdziła Libby.

- O jakie przestępstwo chodziło?

- Kilkakrotnie rozbito mi samochód, a poza tym... - zawahała się. - Nie wiem właściwie, czy można nazwać to przestępstwem... choć policja się tym zajmowała.

- Proszę o wyjaśnienie.

W tym momencie wszyscy zamienili się w słuch i Libby poczuła się jak idiotka. W końcu jednak została zaprzysiężona i musiała powiedzieć prawdę.

- Mój były narzeczony... ukradł mi kota. Zgromadzeni na sali roześmieli się spontanicznie.

- Rozumiem - powiedziała adwokatka, starając się zachować powagę. - Zwrócił go pani?

- Tak. Policja mi go przyniosła. To znaczy... oczywiście kota.

## 26

- Nalegała pani na to, by skierować sprawę na drogę sądową? - Członkini palestry mężnie próbowała stłumić śmiech, ale nie do końca jej się to udało.

- Nie - odparła z uśmiechem Libby.

Adwokatka spojrzała jej w oczy tak przenikliwie, jakby szukała czegoś głęboko skrywanego, po czym nagle uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Bardzo dobrze, panno Winslow. Dziękuję pani - zakończyła i zajęła się następną osobą.

Libby spodobała się zapewne obronie, natomiast oskarżyciel, który był mężczyzną, zdecydowanie jej nie polubił.

- Panno Winslow! - ryknął, gdy tylko do niej dotarł. - Jest pani z zawodu powieściopisarką!

- *Eres una novelista professional!* - odkrzyknęła skrzekliwie tłumaczka.

- Tak. - Dłonie Libby zrobiły się nagle lepkie od potu. Wszyscy patrzyli na nią teraz tak, jakby to ona była oskarżoną.

- A więc pani praca polega na kreowaniu fałszywej rzeczywistości, która ma się wydać czytelnikowi prawdziwa. Czy mam rację?

Libby mimowolnie się uśmiechnęła.

- Jestem pisarką. Nie zajmuję się czarną magią. Wszyscy ponownie się roześmieli. Oskarżyciel spiorunował ją wzrokiem.

- Czy pani zdaje sobie sprawę z tego, że mamy tu do czynienia z poważnym przestępstwem?

- Tak - odpowiedziała. Rzeczywiście była o tym przekonana.

Na sali zapadła cisza.

- A więc czy możemy oczekiwać, że mimo iż zawód pisarza polega na ustawicznym wymyślaniu jakichś historii, będzie pani potrafiła w trakcie tej rozprawy oprzeć się wyłącznie na faktach i tylko faktach i powstrzymać się od wymyślania jakiejś fabularnej wersji, podyktowanej przez własną wyobraźnię?

- Nie mam zamiaru wymyślać tego, co się zdarzyło - oświadczyła Libby. - Będę natomiast rozważać wiarygodność dowodów uprawdopodobniających taki, a nie inny stan faktyczny. Pisarz ma w tym pewną zawodową wprawę i dzięki tej umiejętności może być całkiem dobrym przysięgłym - zakończyła i spojrzała na sędziego, licząc na jakiś znak poparcia z jego strony.

Tłumaczka wykrzykiwała teraz całą kwestię Libby po hiszpańsku.

Sędzia sprawiał wrażenie, jakby coś go trapiło.

- Panno Batista - zwrócił się półgłosem do tłumaczki. - Czy mogłaby pani mówić troszeczkę ciszej?

- *Seniorita Batista...* - zaczęła przekładać swemu klientowi tłumaczka, po czym przerwała nagle, zakryła usta dłonią i odrobinę tylko zniżając głos, odpowiedziała:

- Tak jest, Wysoki Sądzie.

- Dziękuję pani - odrzekł sędzia, odwrócił się i spojrzał na oskarżyciela. - Poszę kontynuować, panie Roscoe.

- Panno Winslow, a więc jest prawdą, że pani zawód polega na zacieraniu granicy pomiędzy fantazją a rzeczywistością?

- Panie Roscoe - przerwał sędzia, wzdychając ciężko. - Zważywszy, że nie jest to sprawa przeciwko pani Winslow... a pani Winslow nie wygląda poza tym na osobę niedorozwiniętą... - zgromadzeni na sali znowu się roześmieli - ... proszę łaskawie ograniczyć się do pytań, mających na celu ustalenie, czy będzie ona w tej sprawie bezstronnym, kompetentnym członkiem ławy przysięgłych.

- Tak jest, Wysoki Sądzie - odparł Roscoe.

Gdy oskarżyciel zakończył wreszcie przesłuchiwanie kandydatów, prawnicy reprezentujący obie strony procesowe odbyli naradę z sędzią, po czym ogłosili, które osoby zostały zakwalifikowane jako przysięgli, by uczestniczyć w tej sprawie. Pozostałym pozwolono opuścić salę. Libby nie została wybrana, co ją zresztą specjalnie nie zdziwiło. Tym bardziej, że z całej dwunastki wyłoniono jedynie dwie osoby. W momencie gdy opuszczała ławę, jedna z wybranych syknęła do niej:

- Cholera jasna! Szósty raz! To nie do wiary!



## 28

William siedział już od dwóch godzin w innej sali sądowej i przysłuchiwał się z galerii, jak prawnicy przepytują kolejnych kandydatów na przysięgłych, z wyjątkiem niego.

W pewnym momencie podeszli do ławy sędziowskiej i zaczęli stłumionym szeptem dyskutować o czymś z sędzią, który po skończeniu narady ogłosił, że oskarżony zmienił zdanie i uznał za stosowne przyznać się do winy. W związku z tym kandydaci na przysięgłych zostali zwolnieni i mogli powrócić do sali, która służyła im przedtem za poczekalnię.

- Melissa Grant! - Woźny sądowy odczytał jej nazwisko z karty wyciągniętej z bębna do losowania.

Poderwała się natychmiast z miejsca, zabrała torebkę i płaszcz i przeszła z galerii dla publiczności do ławy przysięgłych. Po kilku minutach wszystkie miejsca obok niej zapełniły się i przedstawiciel obrony przystąpił do zadawania pytań. Sprawa dotyczyła użycia noża w bójce.

- Panno Grant, jakiego rodzaju pracę pani wykonuje?

- Pracuję w reklamie. Kieruję działem kreowania tekstu i obrazu.

- i gdzie pani pracuje?

- W agencji S.Wiley Kearnan przy Siódmej Alei - odpowiedziała. Czoła się jakoś bezsensownie zdenerwowana.

Zupełnie jakby mieli ją za chwilę na czymś przyłapać.

Obrońca uniósł głowę i lekko ją przekrzywił.

- Wydaje mi się, że słyszę w pani wymowie jakiś ślad akcentu z Południa. Czyżbym się mylił?

- Z południa Kalifornii - odparła. Zebrani na sali wybuchnęli śmiechem.

- Od jak dawna mieszka pani na Manhattanie?

- Prawie od dwóch lat.

- A od kiedy pracuje pani w tej agencji reklamowej?

- W tej akurat od czterech miesięcy. Przedtem pracowałam w innej.

- Gdzie chodziła pani do szkoły?

- W Los Angeles. - Zamilkła na chwilę. - Skończyłam Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles.

## 29

- No właśnie... Panno Grant - ciągnął dalej prawnik - kiedy sąd pytał, kto z państwa padł niegdyś ofiarą przestępstwa, podniosła pani rękę.

- Tak.

- O jakie przestępstwo chodziło?

- Zostałam obrabowana.

- Czy może nam pani o tym opowiedzieć?

- Stało się to tu, w Nowym Jorku. Mieszkałam wówczas w hotelu. Pewnego ranka portier wyszedł na ulicę, aby złapać dla mnie taksówkę, i wtedy podszedł do mnie jakiś mężczyzna z nożem. Chciał mi zabrać torebkę, więc mu ją oddałam.

- Groził pani użyciem noża?

- Tak. To był nóż sprężynowy.

- I oddała mu pani torebkę?

- Tak.

- A zadzwoniła pani na policję?

- Tak.

- Czy rabuś został złapany?

- Nie.

- Odzyskała pani torebkę?

- Nie.

Właściwie mogli spisać ją na straty, gdy tylko wspomniała o nożu. Obie jednak strony procesowe dokończyły rytuału szczegółowego przepytывania Melissy, choć i tak było z góry wiadomo, że obrona nigdy nie zgodzi się, by miała ona wyrokować w tej sprawie jako sędzia przysięgły.

Wiedziała o tym, ale i tak poczuła ulgę, kiedy powiedziano jej, że chwilowo jest wolna.

Wszystkich zgromadzonych w centralnej poczekalni wypuszczono na lunch. Przerwa trwać miała do drugiej. Libby opuściła gmach sądu i większość czasu spędziła, spacerując po okolicznych ulicach i zastanawiając się, gdzie właściwie jest. Bardzo źle orientowała się w terenie, szczególnie takim jak ten, gdzie pomiędzy dwoma przecznicami rozciągał się kompleks budynków sądowych, pomiędzy następnymi dwoma - China Town, a zaraz

### 30

dalej dzielnicą zwaną „Małą Italią”. Przegryzła coś, odnalazła jakoś gmach sądu, przeszła przez bramkę z wykrywaczem metali i wróciwszy do centralnej poczekalni, usiadła i zaczęła czytać książkę.

- Hej! - usłyszała po kilku minutach czyjś niski głos. Podniosła wzrok. Był to pan Marlboro.

- Pozwoli pani, że się przysiadę? - spytał.

- Bardzo proszę - powiedziała, przesuwając swoje rzeczy, by zrobić mu miejsce.

- A więc nie wybrali pani do tamtej sprawy? - zagadnął ją znowu.

- Skądże! - odparła. - Powiedziałam im, że piszę powieści i oskarżyciel próbował udowodnić, iż jako pisarka nie potrafię odróżnić fikcji od rzeczywistości.

Uśmiechnął się. W kącikach oczu pokazały mu się zmarszczki.

- A potrafi pani?

- Owszem. Czasami mi się to udaje - odparła i również się uśmiechnęła.

- A co pisarz robi przez cały dzień? - spytał. - Chodzi mi o to, czy... przez cały czas siedzi i pisze?

- Pisanie\*zabiera sporo czasu. Co prawda przez pierwsze sześć miesięcy zwykle zbieram materiał, chodzę po bibliotekach, rozmawiam z ludźmi, podróżuję, robię notatki. Ale potem, kiedy już przystąpię do pracy, to rzeczywiście siedzę niemal bez przerwy w swoim gabinecie i piszę, przepisuję, poprawiam. Trwa to dopóty, dopóki nie uznam, że zrobiłam wszystko jak należy.

- Musi pani czuć się bardzo samotna - zauważył.

- Owszem... Kiedy skończę książkę - przyznała. - To trochę tak, jakby człowiek ocknął się z pięknego, trwającego kilka miesięcy snu.

Mężczyzna uniósł brwi.

- A czy właśnie teraz skończyła pani coś pisać?

Pytanie trochę ją zmroziło. Całkowicie obcy człowiek potrafił wyczuć, jak bardzo jest samotna i wewnętrznie rozbita. A przecież poprzysięgła sobie, że tych dwóch rzeczy nigdy, do końca

### 31

życia, nie będzie okazywać. I na ogół jej się to udawało. A jednak ten mężczyzna potrafił przejrzeć ją na wylot.

- Nie - odparła trochę ostrzejszym tonem, niż zamierzała. - Właśnie jestem w trakcie pisania. Mniej więcej w połowie książki. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Tym razem, niestety, za dobrze mi nie idzie. Zastanawiam się, czy nie winnam po prostu wyrzucić tekstu do kosza i zacząć od nowa. - Nie było w tym odrobiny przesady. W jej powieści kumulowało się to wszystko, co czuła od czasu rozstania z Ha-lem: żal, gorzkość, złość, poczucie, że życie przecieka jej przez palce.

W poczekalni zadzwonił telefon i znowu pojawił się ten sam urzędnik, którego już znali.

- Panie i panowie - powiedział do mikrofonu - wylosujemy teraz dużą grupę kandydatów.

Przez salę przeszedł pomruk niezadowolenia.

- Po usłyszeniu nazwiska proszę potwierdzić swoją obecność, zabrać rzeczy i przejść do sali, która znajduje się dokładnie po przeciwnej stronie korytarza.

Kolejne, chyba dziesiąte spośród wylosowanych nazwisk brzmiało - McCalley.

- Jestem! - odpowiedział pan Marlboro. Wstał, odwrócił się w kierunku Libby i spojrzał na nią z żalnym uśmiechem. - To nie był ten szczęśliwy los, który chciałbym teraz wyciągnąć. Trudno... Na imię mam Alex.

- Libby - przedstawiła się, ściskając mu dłoń.

- No to... do zobaczenia, Libby - powiedział i po chwili już go nie było. Zanim odszedł, odwrócił się jeszcze i powiedział zdziwiony: - Myślałem, że nazywasz się Cornelia.

William był absolutnie pewien, że kobieta siedząca w poczekalni po drugiej stronie przejścia pomiędzy ławkami, dokładnie naprzeciw niego, to Elizabeth Winslow, pisarka. Poznał ją, gdyż jedna z jej powieści leżała od trzech miesięcy na półce nocnej szafki przy łóżku Betsy. Książka odwrócona była stale tytułową stroną do spodu, ale raz zdarzyło mu się wziąć ją do ręki, aby

zorientować się, kim jest ta ładna kobieta, której zdjęcie zdobiło trzecią stronę okładki.

A teraz była tu, na tej sali. Zastanawiał się, jak by tu nawiązać z nią jakiś kontakt. „Przepraszam bardzo - układał w głowie wyimaginowaną konwersację - znamy się z widzenia. Ilekroć odbywam stosunek płciowy z moją dziewczyną, widzę, jak patrzy pani na mnie z okładki jednej ze swych książek.”

W pewnym momencie wstała, rozprostowała się i wyszła na korytarz. Jak na pisarkę, nogi ma zdecydowanie ładne, pomyślał. I wspaniały tyłeczek. Czy praca nad książką nie wymaga ciągłego siedzenia? Wstał szybko, wygrzebał z teczki notatnik adresowy i wyszedł na korytarz. Mogło się tak szczęśliwie zdarzyć, że pani Winslow będzie dzwonić z jedynego płatnego telefonu, jaki tam się znajdował. A on będzie czekał w pobliżu, by też z niego skorzystać.

Niestety, nie było jej przy telefonie. Zobaczył ją dopiero, gdy wracał korytarzem. Nadeszła z przeciwnego kierunku i zbliżała się właśnie do drzwi poczekalni. Była prawie tego samego wzrostu co on. Nosiła jednak buty na wysokich obcasach. Skoro więc on ma metr siedemdziesiąt pięć, ona musi mieć metr siedemdziesiąt.

Przed wejściem do poczekalni znaleźli się dokładnie w tym samym momencie. Uśmiechnął się i pośpiesznie sięgnął ku klamce, by otworzyć drzwi i przepuścić ją przed sobą, ale w tej samej chwili ktoś próbował wydostać się z sali i boleśnie uderzył go drzwiami w rękę.

Syknął z bólu. Wychodzący ponowił próbę otwarcia drzwi i pchnął je tak mocno, że tym razem grzmotnęły Williama w bark. Wtedy właśnie poczuł na ramieniu dłoń Elizabeth Winslow, która odciągnęła go do tyłu, chroniąc przed następnym uderzeniem.

- Ostrożnie! - powiedziała.

I po chwili już jej nie było. Prześlizgnęła się obok niego i weszła do poczekalni.

Wspaniały ruch, Klein. Tylko tak dalej, pomyślał z kwaśną miną.

### 33

O czwartej trzydzięci urzędnik oznajmił im, że mogą już pójść do domu, mają się jednak zgłosić nazajutrz rano, o dziewiątej trzydzięci. Sprawdzana będzie wówczas lista obecności.

William liczył na to, że uda mu się w końcu powiedzieć coś Elizabeth Winslow, ale gdy przemknęła obok niego, trochę jakby zachmurzona, zrezygnował z próby zawarcia znajomości.

Czas było wracać do biura.

- Mamo! - zawołał z kuchni dziesięcioletni syn Jill, Peter. - Todo ciebie!

- Słyszę, kochanie, nie musisz tak się drzeć - odpowiedziała z domowej pralni. - Katie - zwróciła się do swej siedmioletniej córki - kiedy włożysz już do środka wszystkie brudne rzeczy, zamknij pokrywę i naciśnij guziczek. -

Pete! Chodź tu i pomóż siostrze - zawołała syna i podniosła słuchawkę. - Halo?

- Pani Tompkins?

- Tak. Jestem przy telefonie.

- Dzwoni Kathryn Schnagel z biura prokuratora okręgowego.

Serce Jill zaczęło bić szybciej.

- Słucham panią.

- Pan MacDonald prosił, abym zadzwoniła i powiadomiła panią, że jutro będzie wybierany skład przysięgłych, a sama sprawa być może zacznie się już w poniedziałek. Tak jak mówiliśmy, liczymy na pani obecność.

Już? Czy ona powiedziała, już w poniedziałek"? Po tylu miesiącach oczekiwań? Po tylu odroczeniach, zwłokach, przekładaniach terminów?

- Oczywiście. Zjawię się w sądzie - odpowiedziała Jill. - Muszę jeszcze tylko znaleźć opiekunkę do dzieci.

- Pan MacDonald prosił także, abym przypomniała, jak ważne jest, aby podczas trwania procesu pojawiała się pani na sali możliwie jak najczęściej. Jest to ważne zarówno dla pani, jak i dla nas.

- Tak, tak. Wiem o tym. Jak już mówiłam, muszę tylko znaleźć opiekunkę do dzieci.

## 34

Jill skończyła rozmowę i przez chwilę stała jeszcze przy telefonie. Przez uchylone drzwi widziała wewnątrz pralni, dzieci wyrywające sobie z rąk poszczególne sztuki ubrania; słyszała, jak się ze sobą kłóca - a równocześnie czuła, że jakoś bardzo ciężko jej się oddycha. Tak jakby zapomniała, jak się to robi.

- Mamo! - wrzeszczała Katie. - On mi ukradł majtki!

- Oddaj jej majtki - powiedziała jak automat Jill.

- O! Jakie mają falbaneczki - drażnił się z siostrą Peter. Zdążył już naciągnąć sobie intymną część garderoby na głowę.

Katie zaczęła krzyżeć na całe gardło.

Poniedziałek. W poniedziałek będzie musiała pojechać do Nowego Jorku. I jeszcze raz przejść przez to wszystko, co łączyło się z zamordowaniem Sissy.

3.

Libby obudziła się we wtorek rano, zanim jeszcze odezwał się budzik. Trampek, młodszy z jej kotów, wlaź jej na szyję, a Pusia, starsza kotka, buszowała gdzieś głęboko pod kołdrą. W mieszkaniu było zimno; Libby pozostawiła na noc wszystkie okna otwarte. Z wyjątkiem sypialni, gdyż hałas z ulicy nie pozwoliłby jej zasnąć.

Wstała, pozamykała okna, poodkręcała grzejniki, włączyła nawilżacze.

- Zaraz będzie ciepłutko - zwróciła się do swych podopiecznych i poszła wziąć prysznic.

Trampek, czarny kocur, który zawdzięczał imię białym łatkom na końcach łapek, wśliznął się pomiędzy osłonę natrysku a ścianę i zaczął polować na Libby poprzez przezroczysty plastik, podczas gdy Pusia, kocica obciążona dość poważną nadwagą, wyciągnęła jakiś przedmiot z koszyka z przyborami do makijażu, zrzuciła go na posadzkę i zaczęła grać nim w hokeja.

Historia z kotami zaczęła się tuż po przeprowadzce Libby do nowego mieszkania. Kiedy się w nim rozlokowała, wydało jej się ono strasznie puste. Powędrowała więc do schroniska prowadzonego przez Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, aby dowiedzieć się, czy nie można od nich dostać jakiegoś małego pieska. Będąc na miejscu, trafiła jednak najpierw do pomieszczenia przeznaczonego dla kotów. Natknęła się tam na grupkę wolontariuszy, którzy wnieśli właśnie do środka klatkę z nowo narodzonymi kociakami i zebrawszy się wokół nich, wydawali okrzyki zachwyty. Libby zatrzymała się na chwilę, gdyż nie mogła się oprzeć, by nie zerknąć na te śliczne szare kłębuszki, ważące zapewne nie więcej niż pół kilograma, i wtedy właśnie usłyszała



### 36

stłumiony szloch. Gdy się odwróciła, zobaczyła jakąś starszą panią, ubraną w kitel wolontariuszki, która płakała, wtuliwszy twarz w chusteczkę z ligniny.

- Coś się stało? - spytała półgłosem Libby, podchodząc do płaczącej. - W czym mogę pomóc?

Kobieta westchnęła głęboko. Broda nadal jej się trzęsła.

- Nic mi pani nie pomoże. Chyba że uratuje pani tę biedną kotkę, która siedzi tam wysoko.

U góry, w najwyższym rzędzie klatek, pierwsza od lewej siedziała Pusia. Była wyjątkowo opasła. To nie ulegało wątpliwości. I sprawiała wrażenie bardzo z tego zadowolonej.

- Jej właściciel zmarł i rodzina oddała ją do schroniska - powiedziała wolontariuszka. - A teraz nikt jej nie chce.

Wszyscy oglądają kociaki, a na nią pies z kulawą nogą nawet nie spojrzy.

- Och, na pewno ktoś zechce wziąć dorosłego kota - zauważyła Libby. - Choćby rodzina z małymi dziećmi.

- Ale nie tę kotkę - odparła wolontariuszka i znowu się rozpłakała. - Jutro mają ją uspić.

I tak Pusia wylądowała w mieszkaniu Libby, która ocaliła jej życie.

Potem nadszedł wrzesień. Libby przebywała poza miastem, w Hamptons na końcu Long Island. Wtedy właśnie przyszedł huragan. Siedziała w wynajętym domku przed kominkiem, czytając przy świecy, gdy nagle usłyszała okropny dźwięk, przypominający płacz chorego dziecka. Okazało się, że to Trampek - wycieńczone, półżywe, przemoczone, na wskroś czarne stworzonko, kulące się przy tylnych drzwiach. Wiedziała już dość o kotach, by zdawać sobie sprawę, że może on być chory na wściekliznę albo na kocią białaczkę, zamknęła go więc w łazience, nakarmiła, napoiła mlekiem i mały przybłęda zasnął na ciepłym pośłanku ze starych ręczników.

Rankiem, gdy ustała wichura, zaniósła go do schroniska, ale nie mogli go przyjąć z powodu przepelnienia; setki zwierząt zagubiło się podczas huraganu. Zaniósła go więc do weterynarza, który po wstępnym zbadaniu pacjenta przedstawił listę tego, co mu dolega. Kociak był niedożywiony, miał zainfekowane rany

### 37

od ugryzień i podrapań, robaki, pchły, powinien zostać opatrzony, dostać serię antybiotyków i pozostawać pod opieką lekarską przez tydzień.

- Akceptujemy karty American Express - oświadczyła radośnie recepcjonistka.

Libby doszła do wniosku, że nie pozostaje jej nic innego, jak zapłacić.

- Jak on się nazywa? - spytała recepcjonistka, przystępując do wypełniania jakiegoś formularza.

- Nie wiem - odparła Libby. - Przybłąkał się. Do formularza zostało wpisane: „przybłąda”. Libby poczuła ukłucie w sercu.

- Niech pani tego nie robi. Jak można nazywać biedne stworzonko przybłądą!

- To proszę go jakoś nazwać - odparła recepcjonistka, bawiąc się piórem.

- No to może... Trampek. Z powodu tych jego łapek.

- Trampek! - podchwyciła radośnie urzędniczka, wpisując imię do formularza.

Weterynarz wysunął w tym momencie głowę zza przepierzenia i uśmiechnął się do Libby.

- Skoro nadała mu pani imię - wskazał na trzymanego w rękach kociaka - to przepadło. On już wie, że należy do pani.

Mały kociak wpatrywał się w Libby i mruczał przyjaźnie.

I tak Trampek wrócił razem z nią do Nowego Jorku, by doprowadzać do szału Pusię, ustawicznie wspinać się na fikusowe drzewko, czatować pomiędzy osłoną natrysku a ścianą, a także - ilekroć się dało - przemykać do windy i zwiedzać nieznane części budynku.

Libby przerwała wspomnienia. Był najwyższy czas, by „kocia mama” stawiała się w sądzie i spędziła drugi dzień na pełnieniu obowiązków przysięgłej.

To, co jeszcze wczoraj wydawało się nowe i intrygujące, spowszedniało, i Libby, siedząc tego dnia w poczekalni, czuła się po prostu zmęczona. Właściwie bez powodu. Pamiętała takie samo-

poczucie z czasów, gdy uczyła w szkole średniej w Cleveland. Tam również brakowało świeżego powietrza, ściany straszły podobną „urzędową” farbą, oświetlenie było równie nędzne. Podobnie jak instalacje sanitarne. Ktoś przed dwiema godzinami splukał miskę klozetową w przylegającej do poczekalni damskiej toalecie, a woda nadal leciała za ścianą, hucząc jak wodospad. W dodatku nie można sobie było nawet pospacerować, gdyż siwowłósy urzędnik obwieścił im, by nigdzie nie odchodzili, ponieważ zaraz będą spośród nich losować dużą grupę kandydatów, mających uczestniczyć w następnej sprawie.

Około dziesiątej trzydzieści do sali wpadł jak bomba Alex McCalley. Rozejrzał się dokoła, a gdy zobaczył Libby, oczy mu się zaświeciły i pomachał do niej ręką. Zbliżył się do biurka, by powiedzieć coś urzędnikowi i wręczyć mu swą kartę, po czym podszedł do Libby i usiadł obok niej.

- O rany, jak dobrze, że jesteś. Miałem nadzieję, że cię spotkam.

Libby uśmiechnęła się.

- Słuchaj, zanim się coś zacznie...

- Uwaga, kandydaci na przysięgłych - zawołał do mikrofonu urzędnik. - Proszę o ciszę, losujemy teraz dwie duże grupy.

- Aletta jest młyn - szepnął Alex. - Powinienem był zgłosić się wtedy, kiedy mnie pierwszy raz wezwali. W sierpniu. Wszyscy sędziowie byli wówczas na urloпах.

- Cornelia Winslow! - zabrzmiało w głośniku jej nazwisko.

- Jestem! - odpowiedziała Libby, podnosząc rękę. Alex pokręcił rozpaczliwie głową.

- Och, nie! Tym razem nie mogę cię stracić. Wybuchnęła śmiechem. Czekala jednak i - rzeczywiście - wylosowano jakieś piętnaście osób, po czym urzędnik wywołał nazwisko Alexa.

Zabrali swoje rzeczy, przeszli razem do drugiej poczekalni po przeciwnej stronie korytarza i usiedli.

- Oby tak dalej - powiedział Alex.

Grupa, w której się znaleźli, okazała się wyjątkowo duża: liczyła sześćdziesiąt osób. Ktoś im podszeptał, że prawdopodob-

### 39

nie będzie to sprawa o zabójstwo. Chodziło o to, aby było z kogo wybierać, bowiem skład ławy przysięgłych - których dobiera się w takich przypadkach wyjątkowo starannie - musi być zaakceptowany przez obie strony procesowe.

Zaprowadzono ich schodami aż na szesnaste piętro i tam niemal godzinę kazano czekać w obskurnym, szarym korytarzu. Libby porozmawiała trochę z Alexem. Dowiedziała się, że jest on nieżonaty, pochodzi z północnej części stanu Nowy Jork, utrzymuje się z odnawiania domów bogatych ludzi i ma trzydzieści sześć lat, po czym jej towarzysz oddalił się korytarzem, by zadzwonić z automatu. Czekając na jego powrót, wyciągnęła książkę i w tym momencie spostrzegła młodego mężczyznę w garniturze w drobniutkie prążki, który przesunął się bliżej niej, poprawił sobie okulary, uśmiechnął się i zagadnął:

- Prawda, jakie to denerwujące? Pędzą nas gdzieś tytko po to, żebyśmy znowu musieli czekać.

Libby spojrzała na niego i również się uśmiechnęła.

- Myśmy się już widzieli - powiedział nieśmiało. - Uratowała mnie pani wczoraj od potłuczenia drzwiami. Tymi od naszej poczekalni.

Libby po chwili wahania postanowiła odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

- Przykro mi, ale nic takiego sobie nie przypominam... -Mężczyzna zrobił zawiedzioną minę. - Choć zaraz, zaraz.

Coś zaczyna mi świtać - sprostowała po chwili. - Niech mi pan przypomni, jak to było.

Zaczął opowiadać, a Libby miała tymczasem okazję mu się przyjrzeć. Wall Street w każdym calu. Granatowy garnitur w drobniutkie prążki, stonowany czerwono-biały krawat, czarne, ozdobione frędzelkami mokasyny.

- Ach tak - powiedziała, spojrzawszy ponownie na jego obuwie. - Miał pan wczoraj na nogach czarne półbuty.

- Uhm.

- Teraz sobie przypominam. Nie spojrzałam wówczas na pana. Zauważyłam jedynie pana obuwie.

## 40

Wyglądało na to, że jej odpowiedź trochę go speszyła; uśmiechnął się bowiem, obrócił na pięcie i odszedł. Po chwili powrócił Alex i zaraz potem strażnik sądowy poprosił ich na salę. Sala okazała się bardzo przestronna i miała okna, z czego Libby wywnioskowała, że będzie to zapewne rozprawa przed sądem wyższej instancji. Ich sześćdziesięcioosobowa grupa stłoczyła się na galerii, wnosząc ze sobą ubrania i rzeczy osobiste. W ławie sędziowskiej siedziała bardzo przystojna, na oko pięćdziesięcioletnia Murzynka; oskarżyciel i jego asystentka byli biali, obrońcami było dwóch białych mężczyzn i jedna kobieta, a sam oskarżony - co okazało się największą niespodzianką - również był biały. I młody, najwyżej czterdziestoletni. A także dość przystojny.

Libby nachyliła się nagle do swego sąsiada.

- O Boże, Alex - szepnęła. - Czy to przypadkiem nie „bogaty biedaczek”? Facet, którego tak nazwały media?

Libby nie była jedyną osobą, której wydało się, że rozpoznała oskarżonego; wszyscy zgromadzeni na widowni szeptali teraz

O tym między sobą. W swoim czasie - chyba jakieś dwa lata temu - była to sprawa wyjątkowo głośna.

- Tak - potwierdził Alex. - Poznałem go, gdy tylko tu weszłem.

„WszedłehA odruchowo poprawiła w myślach Libby. Alex gwizdnął pod nosem.

- Ale to będzie sprawa. - Spojrzał na Libby. - I wiesz co? - zwrócił się do niej - Mamy chyba spore szanse, że nas do niej wybiorą.

- Naprawdę?

- Jasne. Ma prawo, by sądzą go ludzie jakoś tam do niego podobni - przypomniał jej. - A spójrz sama, z kogo oni mają wybierać? - Wskazał głową na siedzących wokół kandydatów na przysięgłych.

Libby rozejrzała się dokoła. W ich grupie przeważały starsze osoby. No i przedstawiciele mniejszości etnicznych.

Czy więc zostanie przysięgłą w sprawie o zabójstwo? Niemożliwe. Na pewno ją odrzucą. Codziennie przecież czyta gazety

i zdaniem prawników nie potrafi odróżnić faktów do fikcji.

## 41

Sędzina o nazwisku Williams podała kilka wstępnych uwag na temat sprawy i przedstawiła potencjalnym przysięgłym strony procesowe.

Oskarżonym był James Bennett Layton junior. Wstał właśnie i zwrócił się w stronę galerii. Miał chyba trochę powyżej czterdziestki, niebieskie oczy, włosy blond i kilka przedwczesnych zmarszczek na czole i wokół oczu. Następnie przedstawiony został główny obrońca oskarżonego, Arnold N. Geiggen. On również wstał i zwrócił się ku zebranych. Miał już sześćdziesiątkę na karku i był niski, co zdumiało Libby, gdyż często widywała go w telewizji i wówczas wydał jej się znacznie wyższy. Asystowało mu dwóch innych adwokatów - George Kennett i Carole Feiner.

W imieniu Stanu Nowy Jork oskarżać miał jeden z zastępców prokuratora okręgowego, Kevin MacDonald, który również wstał i zwrócił się do sali. Mierzył ponad metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, był mniej więcej w tym samym wieku, co oskarżony, miał jasnorude włosy, niebieskie oczy i całkiem niezłą prezencję. Na koniec wreszcie przedstawiona została asystentka oskarżyciela, Kathryn Schnagel. Zewnętrznie niczym nie przypominała pozostałych prawników. Była drobna, chudziutka, o wyglądzie zgoła nie imponującym, by nie rzec, pospolitym. Miała ogromny nos, małe, zezowate oczka, skryte za okularami w rogowej oprawie, i mysioszarego koloru włosy. Obróciła się na krześle i rozejrzała po sali z miną tak niepewną, jakby bała się, że zostanie krytycznie przyjęta. Sędzia Williams wyjaśniła, że zarzut przeciwko oskarżonemu Jamesowi Bennettowi Laytonowi dotyczy zabójstwa drugiego stopnia, podejrzany jest pn bowiem o to, że działając świadomie, z zamiarem bezpośrednim i premedytacją, spowodował śmierć Sarah Elizabeth Cook, znanej także jako Sissy Cook, co miało miejsce dziesiątego lutego 1994 roku.

Pani sędzia Williams poinformowała kandydatów na przysięgłych, że proces potrwa zapewne około trzech tygodni i poprosiła, aby ci spośród nich, którzy mogliby mieć jakieś kłopoty związane z tak długim uczestniczeniem w sprawie, podnieśli rę-

kę. Uczyniło to dwie trzecie grupy. Sędzina poprosiła te osoby, aby zgromadziły się w osobnej części sali i poczekały, aż karty z ich nazwiskami zostaną wycofane z puli do losowania. Kiedy już się z tym uporano, sędzina nakazała wylosować grupę kandydatów spośród pozostałych.

W pierwszej grupie znalazła się również Cornelia Winslow, z numerem jedenastym.

Tym razem również, dla zaoszczędzenia czasu, wstępne pytania zadała kandydatom sędzina. Pytała ich kolejno, z czego się utrzymują, w jakiej części miasta mieszkają, gdzie się urodzili, jakie mają wykształcenie. Ile osób jest zamężnych lub żonatych?

Następnie obrońca oskarżonego przedstawił się jeszcze raz - tym razem osobiście - jako Arnold Geiggen.

Przechadzał się po sali i mówił takim tonem, jakby wygrał już sprawę, a ława przysięgłych była mu potrzebna jedynie po to, by dopełnić prostej końcowej formalności. Po godzinie dotarł wreszcie do Libby. Uśmiechnął się do niej na wstępie, a ona również odpowiedziała mu uśmiechem.

- Panna Winslow, prawda?

- Tak.

- Utrzymuje się pani z pisania powieści?

- Tak.

- Czy pisze pani o morderstwach?

- Nie - zaprzeczyła Libby.

- O jakichś innych przestępstwach?

- Jeśli, to jedynie o przestępstwach urzędniczych. Brwi obrońcy uniosły się nieznacznie.

- Czy są to romanse?

- Nie. Choć bywają tam wątki miłosne. Jak zapewne w większości książek.

- Czy kiedykolwiek słyszała pani coś na temat tej sprawy?

- Tak, proszę pana. Sporo czytałam na jej temat w gazetach. Oglądałam też relacje w telewizji i słuchałam komentarzy radiowych. Wtedy, kiedy się to zdarzyło.

- A czy ma pani powody, aby sądzić, że nie zdoła pani bezstronnie ocenić materiału dowodowego, który zostanie przed-

### 43

stawiony na tej sali, i nie będzie pani umiała wydać uczciwego werdyktu odnośnie winy lub niewinności mego klienta?

- Nie widzę takich powodów - odpowiedziała uczciwie Libby. - Choć trudno powiedzieć. W swoim czasie było na ten temat wiele sprzecznych relacji.

- Owszem - zgodził się z nią obrońca. - Ale czy istnieje jakiś powód, który mógłby przesądzić o tym, że - wedle własnej opinii - nie potrafiłaby pani być w tej sprawie uczciwym sędzią? Chodzi o coś takiego, co mogłoby z góry nastawić panią pozytywnie bądź negatywnie do oskarżonego.

- Nie. Za mało wiem o tej sprawie, by z góry o niej przesądzać - odparła Libby, rozkładając bezradnie ręce. Geiggen uśmiechnął się.

- A czy słowo policjanta skłonna byłaby pani cenić sobie wyżej niż słowo jakiegokolwiek innej osoby?

- W określonej sytuacji pewnie tak.

- Jaką sytuację ma pani na myśli?

- Na przykład... jakiś wypadek... Gdyby się zdarzył, wówczas rzeczywiście posłuchałabym raczej policjanta czy policjantki. Im ufałabym najbardziej.

- A na sali sądowej?

- Nie sądzę, aby tak było - odparła. - Choć pewności mieć nie mogę. Decydujące znaczenie miałyby wiarygodność przedstawionych dowodów.

Obrońca przez jakieś pięć minut zadawał podobne pytania, po czym skinął po prostu głową, popatrzył Libby prosto w oczy, uśmiechnął się i powiedział:

- Bardzo dobrze. Dziękuję pani.

Kiedy zaczął ją przepytować oskarżyciel, znowu - ku jej wielkiemu zmartwieniu - wypłynęła historia o kocie porwanym przez byłego narzeczonego. Tym razem sala co chwila wybuchała śmiechem.

- Ukradł pani kota? - spytał MacDonald. - W jakim celu?

- Wiedział, że zmartwi, mnie to bardziej niż cokolwiek innego - wyjaśniła. - Mógł niby ukraść drugiego kota, ale ten był lżejszy.



44

- Zadzwoiła więc pani na policję?

- Tak.

- I policja przy wiozła pani kota?

- Tak. Policjanci mi go zwrócili.

- Czyli gdyby w jakikolwiek sposób zostało naruszone prawo, to znowu zawiadomiłaby pani policję?

- Oczywiście - odpowiedziała natychmiast. - Uważam za sensowne zgłaszanie wszelkich przestępstw. Bez względu...

- Bez względu na co?

- Bez względu na ich wagę.

- Dlaczego należy je zgłaszać?

- Choćby po to, abyśmy wiedzieli, ile przestępstw popełnia się w tym mieście.

Oskarżyciel skwitował wyjaśnienie skinieniem głowy.

- Panno Winslow - ciągnął dalej - czy zna pani jakiegoś prawnika?

- Owszem. Mój ojciec jest prawnikiem.

- Prowadzi sprawy karne?

- Nie, cywilne. Głównie są to testamenty, sprawy spadkowe, rozmaite umowy. Taka ogólna praktyka adwokacka.

- Gdzie ma swą kancelarię?

- W miasteczku o nazwie Greatfield, w stanie Ohio. Jakies sto kilometrów od Columbus.

- I stamtąd pani pochodzi?

- Tak.

- A od jak dawna mieszka pani w Nowym Jorku?

- Szósty rok.

- I zawsze utrzymywała się pani z pisania książek?

- Nie. Przez cztery lata uczyłam w szkole.

- W której klasie?

- W dziesiątej.

- Jakiego przedmiotu?

- Angielskiego.

- Lubiła pani pracę nauczycielki?
- Z uwagi na miejsce, w którym uczyłam, było to bardzo frustrujące zajęcie.

45

- Dlaczego?

- Szkoła mieściła się w biednej, śródmiejskiej dzielnicy. Dzieciaki nie bardzo lubiły do niej chodzić, a obawiam się, że większość personelu nauczycielskiego również.

- Ale nie wychowywała się pani w mieście - ciągnął dalej oskarżyciel.

- Nie. Greatfield liczy chyba około dziewięciu tysięcy mieszkańców. Może dziesięciu? Głównie jest to społeczność rolnicza.

- Czy jest tam duża przestępczość?

W tym momencie musiała się roześmiać.

- Nie. Chyba żeby doliczyć przypadki picia piwa w pobliżu miejskiego lotniska, co jest formalnie zabronione.

Oskarżyciel pokiwał głową i dalej przechadzał się po sali. Stał nagle, odwrócił się ku Libby i spojrzał jej w oczy.

- Czy uważa pani, że wsadzanie ludzi do więzienia ma jakiś sens?

- Jeśli popełnili oni pewne przestępstwa, to oczywiście.

- A jakie przestępstwa powinny być, pani zdaniem, karane więzieniem?

- Panie MacDonald - przerwała pani Williams. - Zmuszanie pani Winslow do tego, by wdawała się w rozstrzygnięcie skomplikowanych kwestii prawnych, nie wydaje mi się ani konieczne, ani stosowne.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie - wycofał się oskarżyciel. - Proszę pozwolić mi sformułować to pytanie inaczej. -

Obrócił się na pięcie. - Panno Winslow, czy wiedząc o tym, że uznanie kogoś winnym morderstwa z premedytacją jest równoznaczne z wsadzeniem go na dwadzieścia pięć lat do więzienia, miałyby pani jakieś opory z wydaniem takiego werdyktu?

- Nie miałabym absolutnie żadnych oporów - stwierdziła stanowczo Libby.

Oskarżycielowi najwyraźniej spodobał się sposób, w jaki to powiedziała. Podziękował jej bowiem natychmiast i przeszedł dalej. Determinacja Libby wzbudziła natomiast wątpliwości obrońcy, który zareagował na jej wypowiedź gwałtownym uniesie-

niem głowy. Spojrzał na Libby, a ona bez zmrużenia oka wytrzymała jego spojrzenie. Będę uczciwa, pomyślała. Naprawdę będę uczciwa. Przynajmniej spróbuję zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby być bezstronnym sędzią. Geiggen spuścił wzrok, nachylił się nad swym papierami i coś sobie zanotował.

Z grupy pierwszych dwunastu kandydatów wybrano troje sędziów przysięgłych. Pierwszym była kobieta o imieniu Adelaide. Dama sprawiała wrażenie całkiem zwariowanej. Nosiała dziwaczne ubranie i miała piórka we włosach. Drugim był czarny facet w wystrzałowym garniturze, który wyglądał tak, jakby miał zamiar wszystkich zamordować za to, że został wybrany. Zły był okropnie. Gdy przeprowadzano z nim wywiad, odpowiedział, że obawia się, iż mógłby wydać stronnaczy wyrok tylko po to, aby proces szybciej się skończył. A więc go wybrano! Trzecią zaś osobą była Cornelia Winslow.

Wszystkich troje poproszono, by wstali, po czym zostali uroczyście zaprzysiężeni. Następnie całą grupę zwolniono na lunch, z wyjątkiem tych, którzy stwierdzili, że nie będą mogli zasiąść w ławie przysięgłych. Ci mieli zostać, ustawić się w kolejce i rozmawiać z sędzią, która najwyraźniej chciała ich w ten sposób ukarać.

- Natomiast państwo... - Sędzina zerknęła do swych notatek. - Pani Freid, pan Millerton i pani Winslow... - Wszyscy troje spojrzeli na nią. - Jesteście państwo wolni. Do jutra, gdyż dziś i tak nie uda nam się skompletować składu orzekającego. Nie wolno państwu rozmawiać z nikim na temat sprawy, także ze sobą nawzajem. Proszę zjawić się w tej sali jutro rano o dziewiątej trzydzieści. Dziękuję państwu.

Zjawił się strażnik sądowy i wręczył każdemu z nich żółtą karteczkę, która, jak wyjaśnił, stanowić miała przepustkę pozwalającą im omijać rano bramkę z wykrywaczem metali.

Alex czekał na Libby na korytarzu.

- No, no! Dopiełaś swego - stwierdził. - Moje gratulacje.

- Sama nie mogę w to uwierzyć - mruknęła, kręcąc ze zdumieniem głową. Teraz dopiero w pełni do niej dotarło, że ma pełnić rolę przysięgłej w sprawie o morderstwo.

## 47

- Oskarżycielowi spodobało się twoje stwierdzenie, że nie miałabyś żadnych oporów z wsadzeniem kogoś do więzienia - wyjaśnił jej Alex.

Libby zdobyła się jedynie na to, by skinąć głową. Czuła się jakoś niepewnie. Nadal była oszołomiona tym, co się stało. I chyba trochę przerażona.

Sprawa o morderstwo?

Wieczorem, kiedy zadzwoniła do rodziców, była już spokojna.

- Zgadnijcie, co mi się przytrafiło? Jestem sędzią przysięgłym w sprawie o morderstwo!

- Mówisz tak, jakbyś oznajmiała jakąś dobrą wiadomość - westchnęła jej matka. - Tom! Podnieś słuchawkę drugiego telefonu. Twoja córka ma sprawę o morderstwo!

- Sprawę o morderstwo? - odezwał się ojciec, przyłączając się do rozmowy.

- Jako przysięgła, tatusiu - roześmiała się Libby.

- Wiem, że jako przysięgła - zapewnił ją. - Ale jak się to, do diabła, stało? Oskarżenie w żadnym wypadku nie powinno cię zaakceptować.

- Niby dlaczego? - spytała Libby.

- Dlatego, kochanie, że pisarze i kobiety słyną z tego, że sympatyzują... jak by to powiedzieć... ze stroną przeciwną.

- Pisarze i kobiety? - powtórzyła Libby i wybuchnęła śmiechem.

- Nadal zamierzasz przyjechać do domu na Święto Dziękczynienia? - spytała matka.

Libby natychmiast przestała się śmiać.

- Chyba tak.

- Zadowolona jesteś, że wybrano cię do ławy przysięgłych? - odezwał się ojciec.

- Właściwie to chyba tak - odparła Libby. - Pomyślałam sobie, że warto czasem włączyć się w tryby systemu.

- A Hal definitywnie nie przyjedzie? - spytała matka.

- Nie, mam - odpowiedziała po chwili Libby. - Mówiłam ci przecież, że rozstałam się z nim kilka miesięcy temu.

## 48

- I bardzo źle zrobiłaś. Jesteś już w takim wieku, że nie powinnaś pozwolić sobie na to, by nadal żyć sama. - W tym momencie Libby wiedziała już, że matka wyrecytuje swą tyradę o niebezpieczeństwach związanych z samotnością, dochodząc na końcu do zaskakującej konkluzji, że jej córka, zdeprawowana staropanieństwem, może stać się jedną z tych okropnych istot, które mlaskają przy jedzeniu.

- Nie martw się, Lib - próbował pocieszyć ją ojciec. - Twoja matka i tak nigdy nie lubiła Hala. Bała się, że jeśli za niego wyjdiesz, to twoje dzieci będą przygłupami. - Roześmiał się.

- Nie mówiłam, że będą przygłupami - zaprotestowała pani Winslow. - Bałam się jedynie, że zostaną dziwakami, wychowując się z takim ojcem.

- Mamo! Przestań, proszę.

- Przecież on był dziwakiem, Libby.

- Nie był żadnym dziwakiem, mamo.

- Zaczniemy od tego, że żył jak wampir - zaczęła się z nią spierać matka. - Ani razu nie widziałam go na nogach przy świetle dziennym. W dodatku nie jadał chleba i nie znosił lodów. A pamiętasz, Tom, jak przyjechaliśmy do Libby i on pil? O szóstej rano!

- Bo wrócił właśnie do domu ze studia! - krzyknęła Libby.

Efekt był taki, jakby krzyczała do ściany. Kiedy matka zaczynała swoją tyradę, nic nie było w stanie jej powstrzymać. Wiadomość o tym, że jej córka ma orzekać jako przysięgła w sprawie o morderstwo, nie wywarła na niej absolutnie żadnego wrażenia.

4.

W czwartek rano Libby poczuła, że należy do elity - miała teraz magiczną żółtą przepustkę, która zwalniała od obowiązku stania w kolejce do bramki z wykrywaczem metali. Jakże wiele zawistnych spojrzeń odprowadzało ją, gdy machnąwszy przepustką, przechodziła swobodnie przez strefę kontrolną. Natomiast na tłok w windzie i na to, ile razy musiała się zatrzymać w drodze na ostatnie, szesnaste piętro, przepustka nie była już w stanie nic poradzić.

Tego ranka Libby była bardzo podekscytowana. Miała oto zasiąść w ławie przysięgłych i niezależnie od tego, co inni sądzili na ten temat, czuła się zaszczycona.

Alex McCalley spostrzegł ją w momencie, gdy zbliżała się do sali rozpraw. Podbiegł do niej rozradowany jak dziecko i zawołał:

- Zgadnij, kto został przysięgłym numer pięć?

- Ty? Wspaniale! - ucieszyła się Libby.

- Też tak myślę - przytaknął z uśmiechem. - Po tobie wybrali dwie następne osoby. A więc mają już sześć i tylu im jeszcze brakuje. Nie licząc rezerwowych.

Prócz ich dwojga, na korytarzu przed drzwiami sali oczekiwała spora grupa kandydatów na przysięgłych. Kiedy minęła dziewiąta trzydzieści, wszyscy nadal czekali.

O dziesiątej piętnaście z centralnej poczekalni przyprowadzono jeszcze jedną dużą grupę kandydatów. Dołączyli oni do już czekających, tłocząc się na kolejnych pięciu metrach korytarza,

- Dlaczego nas tak długo tu trzymają? - westchnął ktoś po upływie następnych pięciu minut.

- Na pewno mnie nie wybiorą - zaklinała się jakaś kobieta.

## 50

Jej głos wyraźnie niósł się korytarzem, choć wcale nie był tubalny. Miała jakiś niezwykle pretensjonalny sposób artykułowania wyrazów. - Wiem dokładnie, co trzeba powiedzieć, żeby się z tego wykręcić.

Libby obejrzała się przez ramię. Kobieta wyglądała na jakieś sześćdziesiąt lat, miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i jasne, niemal białe włosy, ostrzyżone tak, jakby nadal była pensjonarką. Gors jej czarnego, kaszmirowego swetra ozdobił pojedynczy, długi sznur pereł. Kolczyki również miała perłowe, ubrana zaś była w spódnicę w szkocką kratkę i czarne, lakierowane pan\* tofelki. Libby wierzyła jej: tego rodzaju osoby zwykle mają talent do tego, by każdą sytuację rozegrać po swojemu.

Na salę wprowadzono ich dopiero o dziesiątej trzydzięci. Podczas gdy Libby i pozostałe pięć osób wybranych już do udziału w sprawie zajmowało numerowane miejsca w ławie przysięgłych, sędzina przeprosiła wszystkich za spóźnienie/tłumacząc, że zaszło coś niespodziewanego, czym musiała się zająć.

Adelaide, przysięgła numer jeden, miała czarne kolczyki w kształcie traperskich butów, które zwisały jej z uszu i dyndały na wysokości policzków. Przysięgły numer dwa - czarnoskóry księgowy, którego Libby zapamiętała z poprzedniego dnia - popatrzył na nią spode łba, gdy powiedziała mu „dzień dobry”. Numerem czwartym okazał się potężny biały mężczyzna o czerwonej, opuchniętej twarzy. Libby gotowa była przysiąc, że zalaływało od niego alkoholem. Numerem piątym był Alex, a szóstym jakiś biały, blady, łysiejący nieborak w wieku około pięćdziesięciu lat, który nosił dość grube szkła.

Wylosowano tymczasem następnych kandydatów i posadzono ich na miejscach od siódmego do dwunastego. Z tej grupy nikt nie został jednak wybrany. Wśród oczekujących na galerii idła publiczności rozległy się w tym momencie jękliwe westchnienia. Spośród następnych sześciu osób wybrano przysięgłego numer siedem - białego chłopaka, który wyglądał tak młodo, że można było mieć wątpliwości, czy powinien prowadzić samochód, nie mówiąc już o zasiadaniu w ławie przysięgłych. Wylosowano kolejną grupę i z niej zaakceptowano również tylko jed-



na osobę - przysięgłą numer osiem - potężną, mówiącą z niemieckim akcentem damę, która w poprzednim wcieleniu musiała chyba być wodzem wikingów.

Wreszcie, o pierwszej piętnaście, zwolniono wszystkich na lunch. Przerwa miała trwać czterdzieści pięć minut.

- Przekąsimy coś? - spytał Libby Alex.

- No jasne - odparła.

Poszli więc do małej, oddalonej o kilka przecznic knajpki, którą zaproponował Alex, i zamówili kanapki z tuńczykiem i jakąś zupę.

- Podobają mi się kobiety przy apetycie - powiedział, przyglądając się Libby pałaszującej swoją porcję.

- Skoro tak, to na pewno ci się spodobam - odparła.

- Już mi się bardzo podobasz - zapewnił ją. Roześmiała się. Stwierdzenie bardzo jej pochlebiło.

Kiedy wrócili do sądu, bezzwłocznie wpuszczono ich na salę i wylosowano następną grupę kandydatów. Czas zaczął wlec się niemiłosiernie; te same co rano pytania, zadawane w nieskończoność. Prawnicy wybrali z tej grupy jedną osobę - przysięgłą numer dziewięć - młodą, białą kobietę, która wydała się Libby dość sympatyczna. Na imię miała Melissa i pracowała w reklamie. Libby pomyślała, że tak przedstawiłaby w swej powieści współczesną kobietę interesu: lśniące czarne włosy, wielkie zielone oczy, zgrabna figura, elegancki kostium i pantofle na szpilkach. Procedura ciągnęła się dalej, a wszyscy z trudem powstrzymywali ziewanie. Nie dotyczyło to oczywiście prawników reprezentujących obie strony procesowe i oskarżonego. (Z tym ostatnim Libby skrzyżowała raz spojrzenia. Zdarzyło się to całkiem przypadkowo; próbowała zachować obojętny wyraz twarzy, on natomiast wpatrywał się w nią z niemym błaganiem w oczach.) Starła sobie wyobrazić, co musi przeżywać ten człowiek. Tyle czasu spędził już przecież w więzieniu.

Strony zaczęły toczyć ze sobą jakiś spór przy stole sędziowskim, a strażnik kilkakrotnie zmuszony był wkraczać na galerię i uciszać oczekujących tam na swą kolej kandydatów na przysięgłych.

Było już piętnaście po czwartej. Libby opuściła głowę, skryła twarz w dłoniach i rozcierała palcami oczy, pewna, że na powiekach nie zostało już ani śladu makijażu.

Zebrani przy stole sędziowskim rozeszli się wreszcie na swoje miejsca, po czym woźny sądowy oznajmił, że trzy ostatnio wylosowane osoby są wolne. Oczekujący na galerii jęknęli tym razem wszyscy jak jeden mąż. Wylosowano kolejną grupę i znowu nikt nie został wybrany. Było dwadzieścia po czwartej i Libby spodziewała się, że teraz już ich zwolnią do następnego dnia, ale prowadząca rozprawę zdecydowała, by kontynuować procedurę, w związku z czym wylosowane zostały następne trzy osoby. Żadna z nich również nje została zakwalifikowana.

O piątej piętnaście zostali wreszcie zwolnieni do domu.

- Dobry wieczór, panno Winslow. Jak minął dzień? - powitał Libby odźwierny, gdy tylko skreśliła pod markizę oceniającą wejście do budynku.

- Przyjemnie jest wracać do domu - odpowiedziała, spostrzegłszy jednocześnie, że w głębi holu, obok biurka portiera stoi Al, jeden z ochroniarzy.

Pomachał do niej ręką.

- Jak się masz, Libby! - pozdrowił ją.

Podobnie jak inni ochroniarze, pracował wcześniej w wydziale śledczym policji nowojorskiej.

- Wiesz, co się stało, Al? Na pewno mi nie uwierzysz - zwróciła się do niego. - Wyobraź sobie, że jestem przysięgłą w sprawie o morderstwo.

- Skoro tak, to pozwól, że zaoszczędzę ci trochę czasu - odparł. - Facet jest winny.

- Co ty wygadujesz, Al! - zachnęła się.

- Mówię poważnie, Libby. Jeżeli sprawa doszła aż do tego stadium, to znaczy, że jest winny.

- Skąd wiesz, że to on, a nie ona?

- Bo tak to już jest w tym mieście. Czarny?

- Nie. Właśnie że biały. Biały jak śnieg.

- Biały? - zdumiał się Al. Zmarszczył brwi, zmrużył oczy

## 53

i intensywnie się nad czymś zastanawiał. - Wobec tego muszę znać tę sprawę. Kogo zamordował? Białego czy czarnego?

- Przecież nie wiadomo, czy w ogóle kogoś zamordował. Dopiero rozprawa ma to wyjaśnić. Po to jest przecież sąd. Daj spokój, Al. Przestań wygadywać takie rzeczy.

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

- Słuchaj, Libby, mówię zupełnie serio. Czy ty sobie zdajesz sprawę, kiedy w tym mieście dochodzi do rozprawy o morderstwo? Jak tak dalej pójdzie, to sędzia będzie musiał złapać kogoś na gorącym uczynku, bo inaczej obrońcy nie dopuszczą do procesu.

- Nie wolno mi z nikim rozmawiać na ten temat.

- Dobra, dobra - mruknął Al. Zamilkł i przez chwilę drapał się w głowę. - Jednego tylko nie mogę zrozumieć.

Dlaczego oskarżyciel cię zaakceptował. Pisarkę?

- To samo powiedział mi ojciec.

Nagle Al otworzył szeroko oczy. Pstryknął palcami i wycelował w Libby wskazujący palec.

- Nie jesteś przypadkiem przysięgłą w sprawie Laytona? -Z wyrazu jej twarzy od razu zorientował się, że zgadł.

Trzepnął dłonią w biurko portiera. - O rany! Ale wpadłaś!

- Mówię serio, Al - ucięła ostro. - Nie wolno mi czytać gazet, oglądać dzienników telewizyjnych, słuchać wiadomości radiowych. A już z całą pewnością nie powinnam wysłuchiwać tego, co ma na ten temat do powiedzenia były gliniarz!

- Dobra, dobra - uśmiechnął się Al. - Nie bój się, nic ci nie będę mówił - zapewnił, kładąc jej rękę na ramieniu. -

Postępuj dokładnie tak, jak ci zalecono. Pewien jestem, że okażesz się wspaniałą przysięgłą. - Nagle stracił jakby tę optymistyczną pewność siebie i zwrócił się do portiera. - Jak oni, do cholery, mogli się zgodzić na pisarkę?

- A do tego pytali mnie nawet, czy nie mam nic przeciwko policjantom - bąknęła pod nosem Libby.

- Nie spełniłeś jeszcze obywatelskiego obowiązku? - Jerry zaczepił Williama, gdy ten wysiadał z windy w biurze Connorsa

i Morgansterna. Stał w grupie innych kolegów. Wychodzili właśnie z pracy; żonaci udawali się do swoich domów w podmiejskich dzielnicach rezydencjalnych, nie mający rodzin - tacy jak Jerry - pograć w sausa lub poćwiczyć w siłowni.

- Jeszcze nie-odparł William.

- Facet ma być przysięgłym. Nie wiadomo, po jaką cholere

- zwrócił się do pozostałych osób Jerry. - Wygląda mi na to, że niektórzy zarobili tu tyle forsy, że nie muszą się już martwić o pieniądze firmy.

- Uważaj, Jerry - rzucił przez ramię Williams. - Nigdy nic nie wiadomo. Ja obstawiam, że niedługo sam będziesz się modlił o to, żeby mieć uczciwą, bezstronną ławę przysięgłych na swojej sprawie.

Towarzystwo parsknęło śmiechem.

- Nie słuchajcie tego faceta - odchodząc, William usłyszał jeszcze głos Jerry'ego. - Co za głupi palant!

Libby przesłuchała automatyczną sekretarkę i znalazła kilka nagranych wiadomości. Pierwsza pochodziła od jej agenta literackiego.

- A to pech! Szkoda, że cię nie zastałem, Lib...

Akurat; pomyślała. Agent dobrze wiedział, że Libby musiała stawić się w sądzie i nie będzie jej o tej porze w domu. Czyli nie miał jej nic pomyślnego do zakomunikowania. Gdyby miał, spokojnie złapałby ją rano przed wyjściem, albo też poczekał i zadzwonił wieczorem.

- Nie wiem, co zrobimy z nową umową - zakomunikował.

- Słowem, nie mam żadnego pomysłu w sprawie pieniędzy. Myślę, że powinniśmy raczej przyczaić się i poczekać trochę, dopóki się nie przekonamy, jak się sprzedaje ten twój „Uśmiech fortuny”.

Błazen. Nie potrafi nawet poprawnie powtórzyć tytułu. Musi z niego zrezygnować. Nacisnęła klawisz przewijający taśmę do początku następnej rozmowy.

- Rosa? To ty, Rosa? - brzmiał następny komunikat. Pomyłka. Ponownie nacisnęła ten sam klawisz. Tym razem nagrał się jedynie sygnał. Natomiast czwarty komunikat pochodził od Hala:

- Libby! Naprawdę powinniśmy ze sobą porozmawiać. Choćby po to, abyśmy nie musieli się obawiać, że gdzieś nagle się spotkamy.

Też coś! Dlaczego niby ma się tego bać? Wcale jej nie interesuje, co on teraz robi i wśród jakich ludzi się obraca. Ostatnia wiadomość pochodziła od Kitty Damell, która chciała się upewnić, czy dojdzie do skutku ich wieczorne spotkanie. Ostatnią rzeczą, na jaką Libby miała teraz ochotę, było pomaganie komukolwiek w nauce, ale Kitty była tak bliska zdobycia zaocznego dyplomu, stanowiącego ekwiwalent ukończenia szkoły średniej, że nie miała innego wyjścia, tylko zadzwonić do niej i powiedzieć, iż oczywiście się spotkają. W końcu, na litość boską, skoro Kitty mogła normalnie pracować, wychowywać dziecko i zaocznie kończyć szkołę, to ona sama nie powinna robić problemu z tego, że spędziła dzień w sądzie. A przecież i tak ma to być ich ostatnia sesja w tym semestrze.

- Spóźnisz się, Melisso - ostrzegła ją Bonnie. - Najpierw pozwalasz, żeby cię wpakowali do sprawy o morderstwo, a za chwilę wkurzysz jedynych klientów, którzy skłonni są przystosować się łaskawie do twego nowego harmonogramu porządnego obywatela.

- Wiem o tym! - krzyknęła Melissa, zapamiętała wklepując w komputer ostatnią, poprawioną wersję tekstu. - Pozwól mi skończyć.

- Czekają w restauracji - nie dawała jej spokoju Bonnie. Melissa nie odpowiedziała. Stukała dalej w klawiaturę. Tego rodzaju pisanie, kiedy nie miała odrobiny czasu na myślenie, często najlepiej jej wychodziło. Dokończyła ostatnie zdanie, wcisnęła odpowiedni klawisz, by komputer zapamiętał tekst, zgarnęła folder z korespondencją do skórzanej dyplomatki i wzięła od Bonnie dużą czarną teczkę.

- Czekają na ciebie w China Grill - poinformowała sekretarka. - Taksówka jest na dole.

## 56

- Dziękuję - rzuciła Melissa, zmierzając do wyjścia.

- A więc jutro rano się nie zjawisz?

- Jeśli spotkanie przeciągnie się do późna, to nie.

- I wówczas przyjedziesz dopiero wtedy, gdy zwolnią cię z sądu?

- Oczywiście.

- Ale jutro jest piątek i nikogo już tu nie będzie - westchnęła Bonnie, najwyraźniej zaniepokojona, że może ją czekać jakaś praca po godzinach.

- Jeśli będziecie mieli coś ważnego, to dzwońcie do mnie w czasie weekendu - powiedziała Melissa, oddalając się korytarzem w stronę windy. - Stokrotne dzięki, że zechciałaś zostać tak długo.

- Nic się nie stało. Aha, miałam cię jeszcze ostrzec, że ten starszy facet, Sal, chciał się dowiedzieć, czy jesteś zamężna?

- I co mu powiedziałaś?

- Odparłam, że jeśli nawet byłaś, to na pewno do tej pory mąż zdążył się z tobą rozwieść, ponieważ miesiącami nie ma cię w domu.

W sali transakcyjnej panowała zadziwiająca cisza. William odsunął do tyłu krzesło i się przeciągnął. Ziewnął. Zdjął okulary, przetarł oczy i spojrzął na zegarek. Ósma dwadzieścia siedem.

Jeszcze ze dwie godziny i Betsy powinna usnąć. A on znowu będzie mógł położyć się w gabinecie i powiedzieć potem, że nie chciał jej budzić.

- Jesteś senna? - spytała znad książki Kitty.

- Przepraszam, że ziewam - powiedziała Libby, zakrywając usta dłonią. - To dlatego, że cały dzień spędziłam w sądzie.

Siedziały przy stole w gabinecie Libby i przerabiały zadania z algebry. Synek Kitty, Malcolm, oglądał w salonie „Ulicę Sezamkową” i bawił się klockami, które Libby trzymała w domu dla dzieci znajomych.

## 57

Kitty sprzątała u kilku osób w tym budynku i po przypadkowej rozmowie, którą odbyła z Libby w pralni kilka miesięcy temu, skorzystała z oferty i zaczęła do niej przychodzić na korepetycje, ilekroć czuła, że nie nadąża za programem.

- Zdaje się, że znowu rozmawiałeś ze swoją matką? - spytała Kitty.

Libby spojrzała na nią nieco speszona.

- Owszem. Wczoraj wieczorem - odparła.

- I teraz jesteś w depresji. Ile razy mam ci powtarzać, że fakt, iż ta kobieta wydała cię na świat, nie jest wystarczającym powodem, by wysłuchiwać od niej...

Libby energicznym machaniem ręki zdołała jakoś uciszyć Kitty.

- Wiem, wiem.

- Jesteś pisarką! Opublikowałaś kilka książek! Choćby za to powinna cię szanować!

Libby z uśmiechem pokręciła głową.

- Teraz nie chodzi o moją matkę, Kitty, tylko o mnie. Ona się już nigdy nie zmieni, ja natomiast mogę. Nie muszę wiecznie zgadzać się na to, żeby mi dokuczała.

- Pamiętaj, dziewczyno, że jeśli nadal będziesz kładła uszy po sobie, to ta kobieta zatruje ci życie. A kto jak kto, ale ty zasłużyłaś sobie jedynie na miłość.

Melissa omal nie przewróciła się, wysiadając z taksówki. Wszystko przez tę nieporęczną teczkę, zawierającą scenopisy reklamówek. Wzięła się jednak w garść i gdy wkroczyła do China Grill, wyglądała już - tak jej się przynajmniej zdawało - na odprężoną i w pełni opanowaną. Klienci od kociej karmy okazali się nadzwyczaj wyrozumiali. Kiedy dowiedzieli się, że Melissa pełni obowiązki przysięgłej, byli gotowi dostosować się do jej rozkładu dnia.

Bez zastrzeżeń zaakceptowali program zaproponowany przez agencję reklamową, czyli wspólną kolację i wyprawę do teatru. Z entuzjazmem powitali też informację, że agencja zarezerwowała dla nich noclegi w hotelu Plaża. W związku z tym Melissa

i Roger, szef działu obsługi klientów, mieli tego wieczora podejmować „kociarzy”, tak bowiem nazywali między sobą przybyłych z New Jersey potencjalnych kontrahentów. Przy zakrapianej winem biesiadzie Melissa zamierzała przedstawić im plan kampanii reklamowej, potem czekała wszystkich wizyta w teatrze. Po spektaklu mieli podrzucić gości do hotelu, zostawiając im do przejrzenia scenopisy reklamówek. Roger planował wpaść do nich nazajutrz rano, by sfinalizować transakcję.

Spostrzegł Melisse, gdy zjawiała się w progu restauracji; wstał i zaczął machać do niej ręką jak rozbitek na morzu. Klienci przyglądali się jej badawczo w milczeniu. Trzech mężczyzn i kobieta. Kiedy się do nich zbliżyła, mężczyźni podnieśli się z miejsc i stali aż do momentu, gdy szef sali odebrał od niej ciężką teczkę, by mogła wreszcie usiąść.

- Nadzwyczaj atrakcyjna - powiedział niski człowieczek z purpurowym nosem. Melissa domyśliła się, że musi to być niejaki Sal Bomo, założyciel, firmy. Jeśli dane, jakie na jego temat zebrała, były prawdziwe, zajmował się on niegdyś hot dogami, a na karmę dla zwierząt domowych przerzucił się dopiero wówczas, gdy władze federalne wydały ścisłe zalecenia odnośnie teńo, co może znajdować się w hot dogach.

- Miło mi fana poznać, panie Bomo - powiedziała, podając mu rękę.

- Proszę mówić mi po imieniu. Nazywam się Sal - odparł, ściskając jej dłoń.

Roger przedstawił jej pozostałe osoby: prezesa Teda Smitha, który był dość młodym mężczyzną o sympatycznym wyglądzie; Rona Romera, mniej więcej pięćdziesięcioletniego dyrektora od spraw marketingu i obdarzoną wybitną urodą czterdziestoletnią Christine Harrington, dyrektorkę odpowiedzialną za kontakty z mediami.

Melissa błyskawicznie przybrała swą rutynową pozę „uroczej damy”: opowiadała zabawne dykteryjki, komplementowała wszystkich po kolei (wcześniej świetnie się przygotowała, zdobywając odpowiednie informacje na temat każdego z klientów),



i w trakcie niezobowiązującej rozmowy zręcznie przedstawiła główne założenia kampanii reklamowej. Pocziwy, stary Sal przed końcem kolacji całkowicie się roz-krochmalił. Wyglądało na to, że prawie połknął haczyk. Z Tedem Smithem nie było większych kłopotów, gdyż zgadzał się on ze wszystkim, co podobało się Salowi. Z Ronem Romerem również udało jej się nawiązać zdecydowanie, dobry kontakt, natomiast Christine Harrington okazała się jedyną osobą, co do której Melissa miała pewne wątpliwości: przez cały czas zachowywała się z dystansem i rezerwą, choć właściwie sprawiała wrażenie, że bawi się nie najgorzej.

Wyszli z restauracji, wsiedli do oczekującej na nich limuzyny i udali się do teatru, by obejrzeć, nomen omen, „Koty”, który to spektakl udało się Salowi twardo przespać.

William otworzył drzwi i wślizgnął się do mieszkania. Panowała w nim cisza. Pewnie już śpi. Dzięki Bogu.

Poszedł na palcach do gabineciku, rozebrał się najciszej, jak potrafił, i rozłożył sobie kozetkę. Wyciągnął z szafy poduszkę oraz koc, po czym zwałił się na łóżko.

Zasnął natychmiast.

Po przespanym przez Salę spektaklu Melissa i Roger usiłowali spławić wreszcie „kociarzy,” podwożąc ich do hotelu. Nic z tego jednak nie wyszło, gdyż Sal, na którego drzemka najwyraźniej podziałała ożywczo, uparł się, aby wpadli jeszcze do baru i wypili sobie po jednym przed snem. Melissa doskonale wiedziała, że absolutnie nie może w tym momencie odmówić. Dopóki nie zostanie podpisana umowa i zaakceptowany wstępny kosztorys...

Siedzieli więc w barze. Sal znowu bardzo szybko dość dokładnie się zalał; Roger, Ted i Ron wdali się w dyskusję na temat futbolu i sportowych bukmacherów, w związku z czym Melissa, sącząc wodę mineralną, zmuszona była słuchać Christine Harrington, która mówiła bez przerwy o przyszłości interaktywnej telewizji. W pewnym momencie wdała się w takie

## 60

szczególony techniczne, że Melissa musiała się w końcu roześmiać i spytać:

- Skąd, do licha, masz tyle wiadomości na ten temat? Ron zwrócił się w ich stronę.
- Nie mówiłaś jej o swoich dyplomach?
- Daj spokój, Ron! - ofuknęła go Christine. Wyraźnie ją zdenerwowało, że kolega wtrącił się do rozmowy.
- Skończyła MIT - wyjaśnił Ron. Melissa spojrzała na nią zdumiona.
- Naprawdę? - spytała.

Christine Harrington dokładnie odpowiadała jej wyobrażeniom o tym, jak powinna Wyglądać świetnie prosperująca specjalistka od mediów: blond włosy, doskonale ubranie i biżuteria, szczupła, atrakcyjna, elegancka i bardzo ładna - a jednocześnie czujna, napięta, nie pozwalająca sobie na jakąkolwiek spontaniczność. Jednakże kobiety zajmujące się mediami nie miewały na ogół dyplomów najbardziej prestiżowej uczelni technicznej, jaką był MIT, Massachusetts Institute of Technology.

- Proszę, zostawmy ten temat w spokoju - powiedziała Christine, dopijając białe wino w kieliszku.
- Nie koniec na tym. Poczekaj, aż usłyszysz całą historię! - odezwał się ponownie Ron.
- Przestań, Ron! Mówię poważnie - ofuknęła go po raz kolejny.

Zamilkł natychmiast, lecz zanim powrócił do rozmowy z pozostałymi mężczyznami, mrugnął spoza pleców Christine do Melissy. Mogła się więc jedynie zastanawiać, co to za historia.

- Wiesz, Christine, muszę przyznać, że mówisz zupełnie innym językiem niż specjaliści od mediów, których dotąd spotykałam.

Christine przez chwilę przyglądała się szklance stojącej przed Melissą.

- Ty również mnie zdumiałaś - powiedziała, podnosząc wzrok. - Agentka od reklamy, która nie pije alkoholu? Jak to możliwe?
- Możliwe. Jeśli w przeszłości miało się z tego powodu masę

**61**

kłopotów - odrzekła z absolutną szczerością Melissa. Zawiesiła na moment głos, po czym roześmiała się. - Jeśli cię to zainteresuje, to być może kiedyś ci o tym opowiem. A jak nie, to... proszę, zostawmy ten temat w spokoju - zakończyła, delikatnie przedrzeźniając swą rozmówczynię. Christine wybuchnęła śmiechem.

Spojrzały sobie w oczy. Nie było to krótkie, przelotne spojrzenie. Trwało niepokojąco długo. Christine teraz już się nie śmiała. Uśmiechała się jedynie.

Melissa nie bardzo wiedziała, co ma w tym momencie zrobić. Wpatrywała się jak urzeczona w niebieskie oczy tej siedzącej po drugiej stronie stołu kobiety. Zdawała sobie sprawę, że popełnia błąd i że wynikną z tego jakieś kłopoty. Ale mimo wszystko nie potrafiła oderwać wzroku od Christine.

5.

W piątek rano, punktualnie o dziewiątej trzydzieści, podjęto kompletowanie składu ławy przysięgłych do sprawy Stan Nowy Jork kontra James Bennett Layton junior.

Oskarżony, jak zauważyła Libby, wyglądał tego ranka nadzwyczaj bezradnie, Próbowała sobie wyobrazić, co on musi teraz przeżywać. Siedzący u jego boku adwokaci sprawiali wrażenie spokojnych, pewnych siebie, niemal zrelaksowanych. Za znajdującym się w najbliższym sąsiedztwie ławy przysięgłych stołem oskarżenia tkwił MacDonald. Poważny i ponury, śledził bieg sprawy, obracając mechanicznie trzymany w palcach ołówek; usta zacisnął tak, że wyglądały jak cieniutka kreska. Jego asystentka, ubrana tego dnia w źle na niej leżący, zielony kostium, wertowała grube akta, ani na chwilę nie wyściubiając z nich nosa.

^ Trzech kolejnych kandydatów zasiadło na trzech wakujących miejscach i Geiggen zaczął ich ostro przepytować. Trwało to około czterdziestu pięciu minut. MacDonald bardzo pobieżnie odpytał pierwsze dwie osoby, skupiając uwagę na trzecim kandydacie. Był to wyjątkowo przystojny Latynos w wieku około trzydziestu lat, pracujący obecnie jako kierowca limuzyny. Oskarżyciel próbował przede wszystkim ustalić, czy zdaniem pana Donez - tak się on bowiem nazywał - istnieją sytuacje usprawiedliwiające zabójstwo. Łatwo mu to nie przychodziło, gdyż pan Donez wdał się z nim w spór terminologiczny odnośnie tego, czy w szczególnych przypadkach - na przykład w przypadku obrony koniecznej - zabicie napastnika określać należy jako zabójstwo.

- A więc twierdzi pan, panie Donez, że istnieją sytuacje usprawiedliwiające zabójstwo jako takie?

## 63

- Chcę powiedzieć tylko tyle - wyjaśnił młody człowiek - że jeśli jakiś facet nastaje na moje życie, ja się bronię i facet ginie, to nie uważam tego za zabójstwo.

- No dobrze, ale jeśli ktoś wynajmuje płatnego mordercę, po to żeby...

- Żeby zabić kogoś innego? Na takie coś nie ma żadnego usprawiedliwienia! - wykrzyknął Donez.

Oskarżyciel powiódł w tym momencie wzrokiem po wybranych dziewięciu członkach ławy przysięgłych. Zrobił to tak, jakby chciał się upewnić, czy aby na pewno wszyscy usłyszeli i dobrze zapamiętali to ważne stwierdzenie.

- Dziękuję panu bardzo - zakończył MacDonald. - Nie mam więcej pytań.

Dayton Donez wybrany został przysięgłym numer dziesięć. Libby zdążyła mu już nadać przydomek „Romeo”. Był niesamowicie przystojny.

Z pozostałej dwójki nikt nie został wybrany. Podobnie z następnych dwóch wylosowanych osób. Jedna z nich nie znała dostatecznie dobrze angielskiego, druga natomiast, ilekroć ją o coś pytano, domagała się od sędziny, aby ta wyjaśniła, jakie przysługują jej prawa i czy w ogóle musi na to pytanie udzielić odpowiedzi.

Było już wpół do pierwszej, ale prowadząca rozprawę, zamiast zarządzić przerwę, uparła się, aby wylosowano jeszcze ostatnią parę kandydatów. Tym razem się to opłaciło. Sympatyczna biała pielęgniarka o imieniu Bridget, zamężna, w wieku około pięćdziesięciu lat, została wybrana przysięgłą numer jedenaście.

- Panie i panowie zasiadający w ławie przysięgłych - zwróciła się do nich sędzina - zrobimy teraz przerwę na lunch. Przypominam, że nie wolno państwu rozmawiać o sprawie ani z osobami postronnymi, ani ze sobą nawzajem. Proszę zjawić się przed salą punktualnie o drugiej trzydzieści. Dziękuję państwu.

- Coś mi się zdaje - zaczął Alex, gdy tylko znaleźli się na korytarzu - że sporo czasu tu spędzimy. - Uśmiechnął się, ujął

64

Libby pod ramię i poprowadził w stronę windy. - Ale ja się tym nie martwię. A ty?

- No dobrze, ale co będzie z twoją firmą?

- W końcu jest to moja firma - wyjaśnił, prowadząc ją do następnej windy. - Nie pozostaje mi więc nic innego, jak tylko nadal wypłacać sobie pensję.

Zabrał Libby do jakiejś włoskiej knajpki. Wyglądała na zamkniętą w porze lunchu, lecz Alex zapukał w okno i po chwili w drzwiach powitał ich tęgi mężczyzna. Był właścicielem lokalu.

- Ten człowiek - zwrócił się do Libby, wskazując na Alexa - to najuczciwszy facet w całym Nowym Jorku. Wszyscy mi mówili, że muszę wybulić dziesięć tysięcy dolarów na remont tej głupiej klatki schodowej. Specjalna komisja miała to odebrać. A on mi zrobił remont za dwa patyki, przeszło przez inspekcję i nie było żadnego problemu.

Alex wybąkał coś skromnie pod nosem, podczas gdy restaurator zaprowadził ich do sali na zapleczu, gdzie przed ustawionym przy barze wielkim telewizorem siedziała bardzo stara kobieta i oglądała jakiś serial.

- Mamo! Nie mogłabyś przyciszyć tego pudła?

\* <sub>A</sub>Matka tęgiego Włocha albo nie usłyszała, albo też kompletnie zignorowała jego prośbę.

- Mamo!

Libby dotknęła ramienia restauratora.

- Przecież nam to w niczym nie przeszkadza! Niech pan nie odrywa mamy od telewizora.

Usadowili się w łoży, przy stole nakrytym tradycyjną serwetą w czerwono-białą kratę i wypili na początek wspólnie wielką butelkę wody Pellegrino. Potem zamówili rozmaite sałatki i spaghetti z sosem mięsnym. Libby odniosła wrażenie, że Alex zdumiał się i ucieszył z faktu, że zamówiła dokładnie to samo, co on.

- A więc jadasz czerwone mięso - zagadnął ją.

- No pewnie - odparła. - Ale najwyżej raz w tygodniu.

- A lubisz steki?

65

- Też pytanie!

- W takim razie któregoś wieczora wybierzemy się na dobry stek - oświadczył Alex. Rozejrzał się po sali i dodał z uśmiechem: - Ta knajpa zbyt okazała się nie prezentuje, ale serwują tu naprawdę smaczne, proste jedzenie.

Miał rację. Jedzenie było smaczne. Odgłosy oglądanego przez mamę serialu dudniły po sali, a oni spokojnie prowadzili niezobowiązującą rozmowę.

Po powrocie na salę sądową Libby poczuła się tak senna i ociężała, że omal nie zdrzemnęła się w ławie przysięgłych. Wszystko przez spaghetti.

Na ostatnie wakujące miejsce losowano już pojedyncze osoby i wreszcie za piątym razem wybrano wystrzałową Brazylijkę, która nazywała się Elena i była żoną, matką i sekretarką w jednej osobie.

Teraz - wyjaśniła sędzina - trzeba będzie jeszcze wybrać cztery dodatkowe osoby. One również śledzić będą przebieg rozprawy, by w razie czego móc zastąpić tych spośród przysięgłych, którym jakieś zdarzenia losowe uniemożliwią udział w procesie.

Libby pomyślała w tym momencie, że siedzący obok niej przysięgły numer dwa, czarny księgowy o imieniu Clay, pęknie za chwilę ze złości.

- Ile można? - wyszczał. - Tydzień już tu straciłem. Calutki tydzień!

Z centralnej poczekalni przyprowadzono następną grupę kan-dytatów na przysięgłych. Urzędnik sądowy wylosował spośród nich cztery osoby, wywołał je po nazwisku i poprosił, aby zasiadły na krzesłach, które dostawiono do drugiego rzędu, przedłużając go tak, że ciągnął się teraz do samego okna. Z pierwszej grupy jako rezerwową przysięgłą numer jeden wybrano starszą białą kobietę o dziwnym imieniu Basia. Następnie wylosowano kolejne trzy osoby. Drugą z nich okazała się ta pretensjonalna, tleniona snobka, którą Libby spotkała poprzedniego dnia przed salą sądową, gdy tamta chwaliła się, że zna sposoby, by wykręcić

się od zasiadania w ławie przysięgłych. Dziś Tleniona miała na sobie prostą granatową sukienkę i ten sam co poprzednio perłowy naszyjnik i kolczyki. Na palcach jej lewej dłoni lśnił ogromny brylant i kilka obrączek.

- Pani Smythe-Daniels - rozpoczął Geiggen. - Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, gdzie pani mieszka?

- Sutton Place - odpowiedziała Tleniona. Głos miała taki, jakby próbowała naśladować wymowę królowej Anglii.

Geiggen uśmiechnął się.

- Tak, tak. Mówiła pani również, że jest pani obecnie na emeryturze.

- Owszem.

- A jaką pracę wykonywała pani wtedy, gdy była pani czynna zawodowo?

- Byłam wolontariuszką w rozmaitych instytucjach. W Metropolitan Museum, w Organizacji Pomocy Niepełnosprawnym, w Kościele Niebiańskiego Spokoju. No i oczywiście wychowywałam moich dwóch synów.

- Czy oni są już dorośli?

- Jak najbardziej. Jeden ma trzydzieści osiem, a drugi trzydzieści pięć lat.

Obrońca pokiwał poważnie głową.

- I teraz jest pani również bardzo zajęta, prawda?

- Naturalnie - odparła urażonym tonem. - Mam bardzo wiele zajęć.

- Jakich mianowicie? Co panią tak absorbuje?

- Należę do DAR. - Popatrzyła z góry na resztę przysięgłych. - Jest to patriotyczna organizacja kobieca, odwołująca się do ideałów wojny o niepodległość - dodała, zakładając zapewne, że ma do czynienia z kompletnymi kretykami. -

Lubię również słuchać w radiu Rusha Limbaugha. Tak jak on nie lubię przesadnej demokracji, Żydów i czarnych.

- O to chodziło - mruknął czarny księgowy. - Teraz już jej dadzą spokój.

Jednakże, ku powszechnemu zaskoczeniu, po dalszych dwudziestu minutach odpytywania pani Smythe-Daniels przez Geig-



gena, a potem również i MacDonalda, wcale nie udało jej się wykręcić, a kiedy podziękowano dwojgu pozostałym kandydatom, a jej nie, westchnęła głośno i gestem mającym wyrażać skrajne zdumienie przycisnęła do piersi swój perłowy naszyjnik.

- To chyba jakiś żart! - wyrwało jej się.

- Nie, szanowna pani. To nie jest bynajmniej żart - zapewniła ją pani Williams. - Proszę teraz wstać i powtórzyć za urzędnikiem sądowym rotę przysięgi.

Wylosowano następnie dwie kolejne osoby. Pierwszą z nich była jakaś młoda kobieta i w tym przypadku już po kilku minutach Libby zorientowała się, że z pewnością z niej zrezygnują. Należała ona bowiem do Stowarzyszenia Miłośników Broni Palnej, a co gorsza, zdarzyło jej się oddać strzał z pistoletu do swego kochanka. I to z dość bliskiej odległości. Drugi natomiast z wylosowanych - kolejny przystojny, nieżonaty, biały, dobiegający do czterdziestki programista komputerowy - zapowiadał się zupełnie dobrze.

I rzeczywiście - został wybrany i zaprzysiężony jako rezerwowi przysięgły numer trzy.

Było już dziesięć po szóstej. Sędzina najwyraźniej zawzięła się, aby zakończyć wreszcie kompletowanie ławy przysięgłych. Potrzebny był jeszcze tylko jeden rezerwowi. Wylosowano więc kolejnego kandydata. Urzędnik sądowy odczytał jego dane: William Seymour Klein. Libby przypomniała sobie, że zdążyła go już poznać. Był to ten niewysoki facet ubrany jak makler z Wall Street, który parę dni temu próbował nawiązać z nią rozmowę na korytarzu.

Geiggen maglował go przez dobre dwadzieścia minut. Zgromadzeni na sali sądowej dowiedzieli się, że Klein dzieciństwo spędził w Skokie w stanie Illinois, studiował w Cornell, na Uniwersytecie Nowojorskim obronił magisterium z ekonomii. Pracuje obecnie jako analityk w biurze maklerskim Connors & Morganstem. Rzadko ogląda telewizję, za to dużo czyta, a jego ulubionym autorem jest Cormac McCarthy; nie fascynuje go przemoc, lecz dobre pisarstwo. Niezbyt uważnie śledził doniesienia prasowe na temat tej sprawy. Uważa, że będzie umiał być

uczciwym i bezstronnym sędzią, ponieważ jako analityk nauczony jest opierać swoje sądy jedynie na faktach. MacDonald poświęcił mu nie więcej niż dziesięć minut, maglując w kółko jeden właściwie temat: stosunek Kleina do policji.

Ostatecznie William Seymour Klein wybrany został rezerwowym przysięgłym numer cztery.

Ława przysięgłych została skompletowana, obwieściła z ulgą pani Williams, a następnie podziękowała reszcie kandydatów na przysięgłych i zwolniła ich do domu, instruując jednocześnie, że w poniedziałek rano mają się oni stawić w centralnej poczekalni. Widownia szybko opustoszała, a gdy wreszcie ostatni z wychodzących zamknął za sobą drzwi, na sali zrobiło się niesamowicie cicho. Szesnastu przysięgłych w milczeniu wymieniało między sobą spojrzenia, podczas gdy urzędnicy sądowi uzupełniali ich dane osobowe na specjalnych formularzach.

Wreszcie ich również zwolniono, ale nie od razu; z sali wyprowadził ich bowiem strażnik i powiódł krótkim korytarzem do miejsca, które - jak to określił - miało od tego momentu być dla nich drugim domem.

Z wielkiego pęku kluczy wyciągnął ten właściwy i otworzył nim drzwi. Przysięgli weszli gęsiego do środka i wszyscy bez wyjątku nachmurzyli się nieco, obejrzawszy apartament, który na nich czekał. Beżowego koloru ściany. Żadnych obrazków ani ozdób. Metalowe parawany przed drzwiami, prowadzącymi do damskiej i męskiej toalety. Długi stół. Szesnaście krzeseł, ustawionych wokół niego w nieładzie. Jedne z oparciami na łokcie, inne bez, jedne drewniane, inne plastikowe. Ponuro i obskurnie.

W pomieszczeniu było jedno okno. W połowie otwarte, w drugą zaś połowę wbudowano urządzenie do klimatyzacji. Pod oknem znajdował się żeliwny grzejnik, z którego wydobywało się jakieś syczenie, a tuż obok okna sterczał ze ściany prymitywny wieszak na płaszcze.

- O Boże kochany!-powiedziała pani Smythe-Daniels.

- No, jedno przynajmniej mamy z głowy. Paige Rense nas tu na pewno nie odwiedzi - zauważyła Melissa, młoda specjalistka

od reklamy. Libby roześmiała się. Paige Rense zdobył sobie sławę jako długoletni wydawca i redaktor naczelny „Przeglądu Architektonicznego”.

Kiedy już wszyscy usiedli, strażnik przedstawił się jako Chuck i zaczął wyjaśniać procedurę, która od tego momentu miała obowiązywać przysięgłych.

Każdego dnia muszą się zgłaszać do sądu. Podczas przerw w rozprawie będą przesiadywać w tym pokoju. Wolno im będzie wychodzić z budynku sądu na lunch - o ile sędzia prowadzący rozprawę w konkretnej sytuacji nie postanowi inaczej - ale poza tym, jeśli nie będą na sali sądowej, to przez cały czas mają przebywać w tym właśnie pomieszczeniu. Dzbanek na wodę stoi na stole i nie ma sensu, aby prosili o nią strażnika, gdyż i tak mógłby jej nabrać wyłącznie z tego samego wodociągu, z którego korzystają wszyscy pracownicy sądu, z sędziami włącznie. A kran znajduje się w przyległej toalecie, do której mają dostęp. Na tym zakończył wyjaśnienia, po czym wręczył każdemu z przysięgłych żółtą przepustkę zwalnającą od przechodzenia przez bramkę z wykrywaczem metalu.

Libby oglądała swą kartę wstępu na przyszły tydzień i zastanawiała się, na podstawie czego przyjmują tu w sądzie, że przysięgli są osobami, za które się podają. Nikt przecież nie żądał od niej okazania dowodu tożsamości. Skąd więc mają pewność, że Cornelia Winslow nie opłaciła kogoś, kto stawiłby się w sądzie zamiast niej? A co by się stało, gdyby przysięgli uznali oskarżonego niewinnym, po czym wyszłoby na jaw, że jeden z nich się pod kogoś podszywał?

Strażnik poinformował jeszcze wszystkich, że mają się zgłosić w poniedziałek rano, punktualnie o dziewiątej trzydzieści. Alex, Libby i specjalistka od reklamy wyszli razem na korytarz i gwarząc między sobą, zjechali windą na parter. Kiedy wyszli na dwór, Melissa stanęła nagle jak wryta i schwyciła Libby za rękę.

- Czy to nie nasz oskarżony? - spytała.

Libby i Alex spojrzeli w kierunku, w którym patrzyła.

Rzeczywiście, bez wątplenia był to James Bennett Layton

**70**

junior. Wsiadał właśnie na tylne siedzenie prowadzonej przez szofera limuzyny.

- A jakże - przytaknął Alex. - Jedzie dokądś z Geiggenem, tym swoim prawnikiem.

Melissa spojrzała na Libby.

- Nie wygląda mi to na więzienny transport.

- Nie. On odpowiada z wolnej stopy - wyjaśnił Alex.

- Z wolnej stopy? - zdumiała się Libby. - Oskarżony jest o morderstwo i nie siedzi w areszcie?

- Widocznie wyszedł za kaucją - zasugerowała Melissa.

- No tak - powiedział Alex, prowadząc je w inną stronę. - Nie wolno nam przecież o tym rozmawiać.

- Rzeczywiście. Masz rację. Bardzo przepraszam - zreflektowała się Libby. Spojrzała na Melisę i wydało jej się, że tamta myśli o tym samym. Czy facet może być naprawdę winny, skoro wypuszczono go z aresztu?

6.

William miał błogą nadzieję, że wszyscy koledzy wynieśli się już na weekend. Musiał ich jakoś poinformować o tym, że rzeczywiście zasiadać będzie w ławie przysięgłych. Nie spodziewał się, że wiadomość zostanie zbyt dobrze przyjęta, ale, z drugiej strony ciekaw był reakcji Jerry'ego, gdy powie mu, że jest sędzią przysięgłym w procesie „bogatego biedaczka”. Chodzi tu przecież o sprawę, w której biały, młody, zamożny facet oskarżony jest o wynajęcie płatnego mordercy, jego ofiara zaś za życia dokładnie przypominała typ kobiet, z którymi Jerry usiłuje się spotykać.

- Jerry już wyszedł?-spytał praktykantkę.

- Tak. Miał polecieć na kawalerskie przyjętko u Dicka.

- Rzeczywiście - przypomniał sobie William. Dick był maklerem specjalizującym się w obrocie obligacjami, a wydawane przez niego w czasie tego weekendu „kawalerskie przyjętko” odbyć się miało w Bal Harbour na Florydzie. Jeszcze kilka lat temu William otworzyłby zapewne szeroko oczy ze zdumienia i spytał: „Jak to? Lecą na jeden dzień z Nowego Jorku na Florydę po to tylko, żeby się zabawić?” Ale teraz nie był już taki naiwny. Zdążył poznać ekscesy Wall Street. Szczęśliwym trafem większość pracujących tu ludzi żyła zupełnie inaczej niż Jerry. Ich bogactwo nie było ostentacyjne; inwestowali głównie w domy i nieruchomości, w rodzinę, w stworzenie sobie spokojnej oazy, która dawałaby prawdziwe wytchnienie od twardych realiów i morderczego tempa pracy w biznesie. Sporo było jednak takich jak Jerry. Nastawieni na natychmiastową, drapieżną konsumpcję wszystkiego, co da się skonsumować, stawali się zblazowanymi znawcami win w wieku dwudzie-

stu pięciu lat; jeśli jeździli na nartach, to tylko na nartach wodnych (oczywiście za helikopterem); każdy z nich odbył podróż dookoła świata (w dziesięć dni albo krócej), robił zakupy wyłącznie w East Hampton, brał udział przynajmniej w dziesięciu spośród dwudziestu pięciu najbardziej prestiżowych rozgrywek golfowych, miał jeden praktyczny wóz i jeden sportowy. No i naturalnie jakieś wspaniałe ciało, z którym można było w każdej chwili pójść do łóżka.

Najdziwniejsze zaś w tym wszystkim wydawało się to, że Jerry i jemu podobni, mimo iż dotknięci tą formą duchowej ułomności, sprawiali wrażenie znacznie szczęśliwszych niż William. Tak jakby w momencie narodzin zdolność kierowania się indywidualnym myśleniem i własnymi emocjami została im raz na zawsze odjęta, a na jej miejsce pojawiło się niezwykle wprost wyczulenie na to, co w zbiorowej świadomości ich grupy uchodzi za pożądane, a co nie. Gdy stosowało się konsekwentnie tę 'zasadę, życie stawało się znacznie łatwiejsze. Ważne bowiem było tylko jedno: należało zarabiać pieniądze i wydawać je w sposób, który dyktowała aktualna moda. To wystarczało, by czuć się cenionym i podziwianym. Innymi słowy, żyć należało tak, aby zwykli śmiertelnicy skreślali się na twój widok z zazdrości. I tyle.

Williamowi do ludzi pokroju Jerry'ego zrażało szczególnie to, że zdawali się oni kompletnie nie pojmować istoty dobroczynności. Oczywiście, również i Jerry'emu zdarzało się wypisać czek na dużą kwotę przeznaczoną na jakieś cele charytatywne, ale tylko wtedy, gdy mogło to zostać dostrzeżone w kręgach, na których mu zależało.

Matka Williama powiedziałaaby zapewne, że nie ma to nic wspólnego z prawdziwą filantropią; w najlepszym razie oceniłaby to jako formę zabiegania o opinię, w najgorszym zaś jako karierowiczostwo. Należała ona do osób, które zaharowywały się, pracując społecznie w Hadassah - kobiecej organizacji charytatywnej, zajmującej się głównie zbiórkami lekarstw i pomocy szkolnych dla dzieci w Izraelu. Od małego wbijała Williamowi do głowy, że jeśli miało się szczęście osiągnąć dobrobyt, należy

### 73

dzielić się z tymi, którzy znajdują się w potrzebie, i czynić to dyskretnie, a nie trąbić o tym całemu światu. Kiedy wybrała się po raz pierwszy do Nowego Jorku, by odwiedzić syna, który stał się „rekinem finansowym”, z radością wzięła wraz z nim udział w jakimś wydanym przez miasto obiedzie na cele charytatywne, ale potem, gdy ojciec Williama poszedł już spać, a oni siedzieli we dwoje przy kieliszku brandy, delikatnie przypomniała synowi pewną prawdę:

- Dobroczynność winna być niczym innym, jak odruchem serca, Willie. I powinno świadczyć się ją z radością. Bardzo mi było miło na tym obiedzie, żywię jednakowoż nadzieję, żełożysz również na takie sprawy, które w żaden sposób nie mogą pomóc ci w karierze.

Usłuchał jej i naprawdę na niełożył. Do licha, zarabiał w końcu ogromne pieniądze i aczkolwiek nie był aż taki święty, by nie odpisać sobie darowizn od podatku, to jednak ofiarowując tysiące dolarów, zastrzegł sobie anonimowość.

Pod względem finansowym Wall Street wprost niewiarygodnie go rozpieszczała, ale on i tak tęsknił za dawno minionymi czasami, kiedy to jego dziadek ze strony ojca, William Seymour Klein senior, przeżywał swą bankierską epopeję. Bycie bankierem umożliwiało bowiem wówczas finansowanie zapór wodnych, stacji telewizyjnych, szpitali, mostów - słowem najrozmaitszych rzeczy, które mogły przynieść i rzeczywiście przynosiły pożytek ogółowi społeczeństwa. Dziadek Will bardzo tym się pasjonował i właśnie na jego kolanach William uczył się, że pieniądz należy traktować jako narzędzie, które ma służyć zmienianiu i kreowaniu świata, a w żadnym razie nie jako skarb, uciulany i wyłączony z obiegu. A potem przyszły lata osiemdziesiąte ze swoimi idiotycznymi hasłami w rodzaju „Na skróty do bogactwa”, co wywołało u dziadka jeden wielki niesmak i zniechęcenie. Zadeklarował, że świat zejdzie wkrótce na psy, a on woli raczej umrzeć, niż się temu przyglądać.

Po czym umarł. Akurat w dzień czy dwa po ujawnieniu pewnej sławnej afery finansowej.

Williamowi wystarczyły te cztery dni, by mógł oderwać się

od obsesyjnego nawyku ustawicznej pracy i pierwszy raz od wielu miesięcy znaleźć czas na myślenie. Tylko że to myślenie - o czym dobrze wiedział - wyzwalalo w nim jakieś nie nazwane tęsknoty i nieokreślone, bolesne poczucie, że zgubił w życiu coś ważnego. Nie potrafił nawet do końca tego nazwać. Jak się w tym wszystkim odnaleźć? Nie wystarczy przecież modlić się o to, by Betsy wyniosła się wreszcie raz na zawsze z jego mieszkania. Ani też marzyć o tym, że - tak jak ongiś dziadek - zbuduje kiedyś coś pożytecznego. Ani też zaprzatać sobie okresowo głowy tego rodzaju myśleniem, po to tylko, by nagle, gdy stanie się ono zbyt bolesne, zatrzasnąć sobie jakąś klapkę w mózgu i wkroczyć w następną fazę tego powtarzającego się cyklu: pracować, pracować, pracować, mając skrytą nadzieję, że coś (albo ktoś) spadnie pewnego dnia z nieba, by nadać sens jego życiu.

- Winny, winny! - Tymi słowami Jose, majster od wszystkiego, pełniący nocny dyżur konserwatora, powitał Libby, gdy tylko weszła do budynku.

- Tego już za wiele! - jęknęła. - I ty również się na mnie uwziąłeś!

- A jakże! - zapewnił ją Jose. Uniósł głowę znad jakiejś papierkowej roboty, którą rozłożył sobie na skraju biurka portiera i błysnął zębami w uśmiechu. Libby lubiła go. Uratował swego czasu Trampka, gdy ten wpadł za zamrażalnik, zaklinował się i nie mógł się stamtąd wydostać.

W portierni dyżurował akurat Larry. Libby spojrzała na niego, a on natychmiast podniósł ręce do góry.

- Nie miej do mnie pretensji. Nie powiedziałem ani słowa. Umiesz czytać z warg? - spytał Jose. - Patrz! - wskazał na swoje usta. - Winny.

W biurze odezwał się telefon. Melissa spojrzała na zegarek. Kto może dzwonić w piątek o dziewiątej wieczór?

Podniosła słuchawkę.

- Halo?



75

- Skąd wiedziałam, że cię tu zastanę? - odezwał się kobiecy głos.

Żadnych skojarzeń. Nadal nie miała pojęcia, z kim rozmawia.

- Mówi Christine. Dama od „kociarzy” - przedstawiła się ze śmiechem jej rozmówczyni.

Melissa zawahała się.

- Dama od...

- Tak, tak. Od „kociarzy” - powtórzyła Christine. - Wiemy doskonale, że tak nas nazywacie. Sal jest tym zresztą zachwycony, sugeruje to bowiem, że nie ma większego niż on autorytetu w tej dziedzinie.

- A więc... Jak ci się podobają scenopisy? - spytała czujnie Melissa. Schwyciła ołówek, by natychmiast wszystko zanotować.

- Chyba nieźle - odparła wesołym tonem Christine. - Choć mówiąc szczerze, byliśmy dziś zbyt skacowani, by podjąć jakieś ostateczne decyzje. - Zrobiła pauzę. - Zwykle tyle nie piję, ale za Sala raczej bym w tej kwestii nie poręczyła. No cóż! W końcu jest to... przynajmniej była to jego firma. I nadal ją prowadzi.

- Ktoś was wykupił? Nie wiedziałam o tym.

- Harding-Buckner Mills. Ale to naprawdę nie ma nic do rzeczy, Melisso. Nie musisz się o nic martwić. Kociarze są nadal w pełni wypłacalni i stać ich na zamówienie u ciebie tej kampanii reklamowej.

Melissa uznała, że należy się w tym momencie roześmiać.

- Dzwonię głównie po to, żeby powiedzieć ci, jakie niesamowite wrażenie na nas zrobiłaś. Nawet jeśli pewne rzeczy trzeba będzie w tej kampanii zmienić, to i tak wszyscy zgodziliśmy się co do tego, że nadal chcemy z tobą pracować.

- A więc jednak trzeba będzie coś zmienić? - spytała Melissa.

- Tak. Kilka rzeczy. Głównie chodzi o pewne niuanse semantyczne. Ale formalne informacje zwrotne dostaniesz od nas dopiero na początku przyszłego tygodnia, bo wcześniej zapewne chłopcy nie wytrzeźwieją.

Melissa roześmiała się. Tym razem również przez grzeczność.

## 76

- Słuchaj... - Głos w słuchawce stał się nagle zdecydowanie bardziej miękki.

-Tak?

- Naprawdę jesteś znakomita. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Miło mi to słyszeć, ale...

- Wspaniała. Jako człowiek. Zrobiłaś na mnie wielkie wrażenie.

- Dziękuję ci bardzo.

- A więc... zadzwonię do ciebie na początku przyszłego tygodnia. Z konkretnymi informacjami.

- Dobrze! Ale wiesz co? - ożywiła się nagle Melissa. - Ponieważ ta moja sprawa już się na dobre zaczęła, to próbuj mnie tu łapać po szóstej trzydzieści. Oczywiście zawsze możesz zostawić mi nagraną wiadomość albo przekazać coś mojej sekretarce.

- Świetnie. Słuchaj, chciałam ci jeszcze życzyć dobrego weekendu. Odpocznij trochę, Melisso. Naprawdę pracujesz ponad siły. Tobie również należy się od czasu do czasu jakaś przyjemność. Pamiętaj o tym.

Melissa uśmiechnęła się.

- Będę o tym pamiętała. - Odłożyła słuchawkę i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w telefon. Pokręciła wreszcie głową i powróciła do swego komputera.

Marty naprawdę był bardzo miły, ale cóż z tego, skoro Libby miała zasadnicze wątpliwości, czy kiedykolwiek zechce on zrozumieć, że nie jest nim zainteresowana jako kobieta. Kiedy poprosił, by zechciała mu towarzyszyć na tym przyjęciu, początkowo odmówiła. Potem jednak zaczął ją niemal błagać, tłumacząc, że zaproszony został przez swego nowego szefa i że bez takiej jak ona partnerki będzie się czuł strasznie głupio. Ta argumentacja trafiła jakoś Libby do przekonania.

Kiedy zjawił się za kwadrans ósma z bukietem kwiatów, Libby jęknęła w duchu, pełna obaw, że znowu będzie musiała rozmawiać z nim o swoich uczuciach (lub raczej ich braku). Marty pracował poprzednio jako szef działu sprzedaży w wydawnictwie Haverhill, następnie - po boleśnie przeżytych rozwodzie

- przeniósł się do jakiejś innej firmy i zaczął wpadać do Libby. Początkowo wyłącznie jako kolega - ot tak, na kawę i aby pogadać - po czym któregoś razu przywędrował na tę ich przyjacielską pogawędkę lekko podpity, w nastroju raczej płacziwym, i wówczas to bardzo się namęczyła, starając się mu wytłumaczyć, że nie ma najmniejszej ochoty, aby dzięki niej poczuł się znowu mężczyzną. W końcu z trudem udało jej się wyprawić go do domu.

Tym razem jednak - pomijając kwiaty - nie sprawiał wrażenia romantycznie nastrojonego. Po pierwsze, nie chciał się u niej niczego napić (dobry znak!), twierdząc, że chce być w jak najlepszej formie na przyjęciu. Odbywało się ono w komfortowym apartamencie w East Side, w pobliżu siedziby ONZ. Z okien rozciągał się wspaniały widok na rzekę, wszyscy zaproszeni pracowali w branży wydawniczej, a gospodarze byli dla Libby bardzo mili.

Po skończonym posiłku, gdy wszyscy wstali już od stołu, Libby stanęła przy oknie z kieliszkiem koniaku w dłoni i delektując się jego smakiem, wpatrywała się w rzekę. Ten apartament był chyba najbardziej romantycznym mieszkaniem, jakie kiedykolwiek widziała. Zaczęła zastanawiać się nad tym, czy przyjdzie jej spędzić resztę życia na odwiedzaniu rozmaitych romantycznych miejsc w towarzystwie mężczyzn, z którymi nie będzie jej łączyć żadne romantyczne uczucie. A następnie zadrećcać się myślami, czy przypadkiem coś nie jest z nią w porządku.

Pozwoliła, by Marty odprowadził ją do drzwi jej mieszkania, po czym skorzystała z rady, której udzieliła jej kiedyś przyjaciółka. Otóż gdy nadeszła owa niezręczna chwila, kiedy to trzeba było zadecydować, czy pozwolić mu się pocałować, czy też nie, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Marty! Uściśnij mnie. To był wspaniały wieczór.

Podziałało. Pożegnał ją braterskim uściskiem, ona również go uściskała, po czym ruszył w swoją stronę i wyglądało na to, że jest z siebie całkowicie zadowolony.

Misja została spełniona. Dzięki Bogu! Jutro będzie się można porządnie wyspać.

William wrócił do domu dopiero około dziesiątej. Betsy czekała na niego w salonie, wściekła jak osa.

- Słuchaj, Williamie! Nie wolno ci tego tak nagle skończyć - oświadczyła na wstępie.

- Nagle? Przecież próbowałem o tym z tobą rozmawiać od miesiący. A ponieważ uparłaś się, aby nie podejmować tematu, zmuszony byłem cię poinformować, że pomogę ci znaleźć jakieś mieszkanie.

- Jesteś śmieszny i niepoważny. Tak jak zwykle - stwierdziła. Przeszedł obok niej i udał się do sypialni. Otworzył szafę, by

powiesić w niej garnitur, i kiedy zaczął się rozbierać, wpadła z płaczem do pokoju.

- Bardzo się na tobie zawiodłam! - Teraz już na dobre zaczęła krzyczeć. - Jesteś nieudacznikiem i do niczego w życiu nie dojdiesz. Nie potrafisz nawet utrzymać związku z kobietą! Co ty sobie, ną litość boską, myślisz! Przecież masz już trzydzieści trzy lata! A może jesteś gejem?

Żałował w tym momencie, że nim nie jest. Znacznie by to ułatwiło całą sprawę. Spojrzał na Betsy przez ramię.

- Chodzi o to, że nie mam zamiaru dalej tak żyć. I chcę to zmienić.

- Ata cała sprawa z sądem! - krzyczała dalej, ignorując jego ostatnie słowa. - Nikt z naszych znajomych nie pozwoliłby się wmanewrować w coś podobnego! Zawsze robisz jakieś dziwactwa. Nasi znajomi zupełnie nie rozumieją, jak ja mogę z tobą wytrzymać.

- Słuchaj, przez pewien czas mogę jeszcze spać w gabineciku - powiedział jej. - i wierz mi, Betsy, naprawdę zależy rtti na tym, żebyśmy żyli ze sobą w przyjaźni. Dopóki tu jesteś.

- Co to znaczy „dopóki tu jestem”? Mam prawo tu mieszkać! To jest mój dom!

- Tak, ale musisz znaleźć sobie osobne lokum - ciągnął nieustępliwie. - Z najwyższą ochotą pokryję wszystkie koszty. Bądź więc przygotowana pierwszego na przeprowadzkę.

- Pierwszego? - powtórzyła oniemiała ze zdumienia. - To znaczy za trzy tygodnie?

- Agencja znajdzie ci jakieś wspaniałe mieszkanie. Nie ma problemu. - Spojrzał na nią ponownie, wieszając w szafie spodni: nie od garnituru. - Pokryję również... po raz ostatni, wydatki z twojej karty kredytowej.

Wybiegła do łazienki, a on włożył luźne spodnie koloru khaki i poszedł do kuchni, aby zadzwonić do chińskiej restauracji i zamówić jakieś jedzenie. Musi coś zjeść. Musi starać się normalnie funkcjonować. Nie wolno mu się teraz poddawać. Kiedy wykrecał numer, Betsy weszła do kuchni i delikatnie wyjęła mu z ręki słuchawkę.

- Przygotowałam dla ciebie kolację - powiedziała miękko.

- Kurczaka z czosnkiem, którego tak lubisz.

Poczuł się w tym momencie fatalnie. Powoli, z oporem zwrócił się ku Betsy.

- Proszę cię, zrozum... Zależy mi na tym, żebyśmy rozstali się w przyjaźni. Życzę ci jak najlepiej, wierz mi, ale przecież od początku nikt tu tak naprawdę nikogo nie kochał. Ani ty mnie, ani ja ciebie...

Przytuliła policzek do jego barku i nie powiedziała ani słowa. Oplótł ją ramionami i stał tak, właściwie jej nie przytulając.

- Bardzo mi było z tobą dobrze. I tyle - wymamrotała. - Nie lubię, kiedy się na mnie złości. I kiedy on się na mnie złości.

- Jej ręka spoczęła teraz na kroczu Willa.

Stali tak dalej i żadne z nich już się nie odezwało. Betsy pieściła Willa przez spodnie, a on coraz bardziej się podniecał. Nic na to nie mógł poradzić. Przez całe tygodnie nie robili tego ze sobą. Betsy zapewne miała wiele wad, ale niewątpliwie była atrakcyjna seksualnie.

Kiedy zaprowadziła go do sypialni, w jego głowie odezwały się wszystkie możliwe dzwonki alarmowe, ale rozsądek nie zdał się już na nic; ważniejsze było to, by uwolnić się od pragnienia, które wywoływało niemal ból w lędźwiach.

Popchnęła go na łóżko, przywarła do niego i zaczęła go rozbierać, szczególną uwagę poświęcając jego slipom.

Zdjęła szlafrok i wówczas okazało się, że nic pod nim nie ma. Usiadła na Willu okrakiem, skłoniła się do przodu i po chwili jej pełne piersi

**80**

zaczęły wędrować wzdłuż jego ciała, od pasa do twarzy i z powrotem.

Był już twardy jak skała.

Przewrócił Betsy na wznak, rozchylił jej uda i przez chwilę szukał odpowiedniej pozycji. Zamknął oczy i kiedy wszedł w nią wreszcie, usłyszał, jak wykrzyknęła jego imię. Schylił głowę i zaczął się w niej rytmicznie poruszać, ale kiedy nagle otworzył oczy, z przerażeniem stwierdził, że z okładki leżącej na stoliku książki przygląda mu się Elizabeth Winslow.

- Co się stało? - spytała Betsy.

- Nic, nic - odpowiedział. Zamknął oczy i próbował kontynuować to, co zaczął.

Z coraz gorszym skutkiem. Podniecenie opadało z chwili na chwilę. Bardzo szybko.

- Przepraszam - wybąkał wreszcie, zsuwając się z Betsy. -Jakoś mi nie wychodzi.

Leżała obok, wpatrywała się w niego i mrugała oczami.

- Przepraszam - powtórzył raz jeszcze, po czym wstał i ruszył w kierunku łazienki.

- Ty cholerny idioto! Nienawidzę cię! - krzyknęła nagle Betsy. Schwyciła szklaną figurkę byka - dar, który otrzymał od firmy Connors & Morganstern po przepracowaniu w niej dziesięciu lat - i cisnęła nią za nim. Figurka uderzyła w ścianę i potoczyła się po dywanie.

Nie zbiła się.

7.

W poniedziałek rano dzieci zdecydowały, że za wszelką cenę należy storpedować wyjazd mamy do Nowego Jorku. Oznaczał on bowiem pojawienie się zniechęconej pani Montell.

- Nawet jak odrobię lekcje, to ona i tak nie pozwala mi oglądać telewizji - skarżył się Peter.

- Jestem jej za to głęboko wdzięczna - odrzekła Jill. - Wyjdzie ci to jedynie na dobre.

- Mamo, ona każe nam jeść wątróbkę - narzekała Katie.

- Wątróbka jest bardzo zdrowa i dzieci powinny ją jeść - stwierdził mąż Jill, Rusty. Był już ubrany i gotów do drogi.

- Uwaga! Ona już tu jest! - krzyknął ostrzegawczo Peter. Mali terroryści nie poddali się tak łatwo. Uciekli oboje do łazienki i zamknęli się tam, traktując to jako ostatnią linię obrony.

- Zobaczycie, że się pozabijamy - szantażował rodziców Peter.

- I bardzo dobrze - oświadczył synowi Rusty. - Będziemy mieli mniej wydatków. Słuchaj, Jill - zwrócił się do żony - zanim te szczeniaki się pozabijają, wyprowadzę wóz z garażu.

- Peter! Na litość boską - wyjąkała Jill, spoglądając z nerwowym uśmiechem na panią Montell, która stała obok i przyglądała się jej z wyrazem głębokiej dezaprobaty. Wiedziała, że może to rozegrać na dwa sposoby: zwymyślać dzieci, co by oczywiście poskutkowało, ale jednocześnie jeszcze bardziej pogrzyżyło ją w oczach pani Montell, która nigdy nie podnosiła głosu, albo próbować je stamtąd wywabić, przemawiając do nich pieszczotliwie, przez drzwi - tak jak przed chwilą - co rzecz jasna nie rokowało szans powodzenia.

- Właśnie, że się powiesimy - oświadczyła Katie. - Tak jak tamten chłopiec.

Pani Montell udała się w tym momencie do kuchni.

- Jaki chłopiec? - spytała Jill z przerażeniem w oczach.

- Ten, co się powiesił - wyjaśnił, chichocząc, Peter.

O czym oni, na litość boską, mówią? Odkąd na ich ulicę wprowadził się ten Jack, dwunastolatek, charyzmatyczne wcielenie wszelkiego zła, dzieci Jill uczyły się każdego dnia jakichś zadziwiających rzeczy.

- Przepraszam - powiedziała pani Montell. Odsunęła ją na bok, wetknęła w zamek trójkątną końcówkę otwieracza do butelek, przekręciła go i oto nagle drzwi stały otworem.

Dzieci wrzasnęły i wskoczyły do wanny.

- Wynoście się stamtąd! - zakomenderowała pani Montell. Nastąpiła chwila ciszy, po czym dwoje młodych chuliganów,

spuściwszy głowy, wyszło posłusznie z łazienki.

- A teraz proszę się pośpieszyć, bo spóźnicie się do szkoły - stwierdziła rzeczowo pani Montell i najspokojniej w świecie powędrowała do kuchni.

- Dajcie spokój, dzieciaki - błagała szeptem Jill. - Bądźcie grzeczne. Przecież ja nie jadę do tego Nowego Jorku dla własnej przyjemności, tylko...

- No i co z tego! - rozplakał się Peter. - Dlaczego zostawiasz nas akurat z nią?

- Bo tylko jej mogę w pełni zaufać. - Jill schyliła się i pocałowała najpierw syna, a potem córkę w czoło. - Moje kochane, niegrzeczne dzieciaki, czy wy nie rozumiecie, jaka ja jestem zmartwiona tym, co stało się z ciocią Sissy? A skoro tam jadę, to chcę mieć absolutną pewność, że moje maleństwa są tu bezpieczne i nic im nie grozi.

- Maleństwa! - prychnął gniewnie Peter i oddalił się korytarzem. Jill wiedziała jednak, że nie będzie już z nim kłopotów. Ten argument z ciocią Sissy najwyraźniej do niego przemówił. W końcu nikt w całej szkole nie miał pięknej ciotki, która została zamordowana.

- Wszystko w porządku? - spytał Rusty, gdy wsiadła wreszcie do samochodu.



- Tak - odparła, próbując wziąć się w garść. Nie mogła w końcu oczekiwać od Rusty'ego, aby przeżywał całą tę sprawę sądową tak samo jak ona. Próbował dodawać jej otuchy, ale jednocześnie martwił się o to, jak też ona sobie z tym poradzi. Zamordowanie Sissy było dla niej szokiem, z którego w pełni się jeszcze nie otrząsnęła, i perspektywa tego, że będzie teraz świadkiem odgrzebywania wszelkich drastycznych okoliczności tej tragedii, z pewnością musiała go niepokoić.

Jill pamiętała, że zaraz po tym, jak zamordowano Sissy, któryś z ich przyjaciół powiedział coś w tym stylu:

„Człowiek zostaje radcą prawnym między innymi po to, żeby nie musieć się zajmować morderstwami. Rusty zapewne też dlatego wybrał sobie ten zawód. Nie możesz zbyt wiele od niego oczekiwać”.

Na stację dotarli w ostatniej chwili. Zostawili wóz na płatnym parkingu i kiedy zbiegli po schodach na peron, udało się im jeszcze wskoczyć do pociągu o siódmej trzydzieści dwie, który właśnie nadjechał.

Pantofle na szpilkach zupełnie nie nadawały się do biegania i Jill żałowała przez chwilę, że nie włożyła adidasów.

- Szybko! - przynaglał ją Rusty. - Zajmij sobie miejsce przed następną stacją.

Pociąg dotarł do Grand Central Station o czasie. Rusty ujął Jill pod ramię i powiodł ją przez zatłoczony peron, a potem, walcząc z falą wychodzących z tunelu ludzi, sprowadził w dół po schodach na stację metra noszącą nazwę „Lexington”. Wetknął jej w dłoń żeton, przepuścił przed sobą, by przeszła przez bramkę obrotową, po czym, nadal borykając się z tłumem, utorował jej drogę na peron przy torze czwartym i piątym. Ale na tym nie koniec. Musiał ją jeszcze nauczyć, jak należy sprytnie odskoczyć na bok, gdy pasażerowie wysypują się z otwartych drzwi wagonu, i jak wepchnąć się do szarpiącego w przód i w tył pociągu ekspresowej linii metra, który zatrzymywał się tylko raz przy Czternastej Ulicy, a potem już szczęśliwie dowoził ich prosto na stację City Hall/Brooklyn Bridge.

Wyszli na Centre Street i udali się prosto do gmachu sądu,

gdzie Rusty podsunął strażnikowi pod nos przepustkę, wydaną specjalnie dla nich przez prokuraturę okręgową. Następnie wjechał z żoną windą na szesnaste piętro, utorował jej drogę przez tłum oblegający salę rozpraw, a kiedy udało im się dotrzeć do samych drzwi, Jill usłyszała, że mąż zwrócił się do strażnika i przedstawił ją jako siostrę ofiary, panią Jill Cook Tompkins. Strażnik obiecał Rusty'emu, iż będzie miał na nią baczenie.

- Trzymaj się, kochanie - powiedział Rusty. - Aha - przypomniał sobie jeszcze - zostawię ci żetony i plan miasta. Jeśli będziesz mnie potrzebowała, to zadzwoń. - Po chwili już go nie było.

- Niech pani pozwoli za mną - zwrócił się strażnik do Jill. - Zaprowadzę panią do pokoju prokuratury. Pani Schnageł tam na panią czeka.

Comelia Elizabeth Winslow, przysięgła numer trzy w sprawie Stan Nowy Jork kontra James Bennett Layton junior, machnęła strażnikowi przepustką i przemknęła swobodnie przez strefę kontrolną. W ręku niosła kartonowy kubeczek kawy, zaś w torbie, nauczona doświadczeniem, nie miała już żadnych wycinków prasowych, a jedynie pięć starych numerów „New Yorkera”.

Tego ranka udała się do wind w południowym skrzydle gmachu, liczyła bowiem na to, że kandydaci na przysięgłych będą kierować się strzałkami i pójdą do skrzydła północnego. Ale niestety, w windach w południowym skrzydle tłok był dokładnie taki sam.

Na piętnastym piętrze pasażerowie opuścili ciasną kabinę. Została w niej tylko Libby i jakiś strażnik, który uśmiechnął się do niej i spytał:

- Na sprawę?

- Tak - odparła, odwzajemniając uśmiech.

- Która sala?

- Sześćdziesiąta druga. Sędzia Williams.

- Ach tak! - bąknął pod nosem, a gdy zatrzymali się na szesnastym piętrze, zwrócił się do niej, tym razem bardzo już poważnie. - Proszę pamiętać, że ma się pani udać prosto do pokoju

przysięgłych. Bez zatrzymywania się i rozmów z kimkolwiek po drodze.

Libby, zdumiona nieco tym, co usłyszała, podziękowała strażnikowi za towarzystwo i wysiadła z windy, lecz gdy tylko minęła załom korytarza, omal nie zemdląca: przed salą kłębił się niesamowity tłum. Co się stało? Jeszcze raz wybierają skład ławy przysięgłych? Chyba jednak chodzi o coś innego, pomyślała, zorientowawszy się, że wielu ludzi z tłumu gapi się na nią z wyraźnym zainteresowaniem.

- Założę się, że to przysięgła - zawołał jakiś facet i ruszył prościutko w jej kierunku, pociągając za sobą sznur innych. Libby nie miała pojęcia, kim są ci ludzie i o co im właściwie chodzi; wiedziała jedynie, że nie wolno jej z nimi rozmawiać. Ma torować sobie drogę wśród ciżby i zmierzać prosto do pokoju przysięgłych. Tak też zrobiła, a gdy przekręciła wreszcie klamkę i wpadła do środka, zdumiała ją nagła cisza, która tam panowała. Zebrani unieśli głowy, by na nią spojrzeć.

- O Boże! - wyrwało jej się. - Co się tam dzieje na zewnątrz?

- Jak widać, trafiliśmy na najznakomitsze przedstawienie sądowe miesiąca - zauważyła Melissa, ta ładna kobieta, która pracowała w reklamie.

- O, nie-jęknęła Libby.

- A właśnie, że tak - powiedział Alex, odsuwając krzesło, by mogła usiąść obok niego. - Wspaniale nam się udało. Ci na korytarzu to ludzie z prasy, którzy chcą się załapać na naszą sprawę.

- Wcale mi się to nie podoba - mruknęła Libby. Postawiła na stole torbę i poszła w stronę okna, by powiesić płaszcz na wieszaku. Facet z Wall Street, uśmiechnięty od ucha do ucha, pozdrowił ją skinieniem głowy. Siedział w kącie przy oknie, czytając oczywiście „Wall Street Journal”.

- William - powiedział, jakby nie do niej, i dlatego nie od razu skojarzyła, że się przedstawił.

- Słucham? - spytała, wracając na miejsce koło Alexa.

- Na imię mam William.

- A ja Libby - odparła z uśmiechem.

- O co mu chodzi? - spytał ją szeptem Alex. - Co ci powiedział?

- Od dziś poczynając, wolno nam będzie czytać tylko te gazety, które nam tu dostarczą - poinformowała Libby Melissa, pochylając się nad stołem w jej kierunku.

- Tak myślałam - odparła Libby, czując, że atmosfera staje się coraz bardziej napięta.

- Istny cyrk! - prychnęła gniewnie dama o nazwisku Smythe-Daniels. To właśnie ona próbowała za wszelką cenę wykrecić się od pełnienia obowiązków przysięgłej. -A na dodatek jeszcze i my mamy brać w tym udział. Śmiechu warte!

Drzwi gwałtownie się otwały i do pokoju wpadła brazylijska seksbomba, przysięgła numer dwanaście, a tuż za nią alkoholik o przekrwionej twarzy, przysięgły numer cztery.

- Ajajaj! Co tu się wirabia?! - wykrzyknęła i wszyscy naraz zaczęli coś mówić.

Wkrótce potem zjawił się strażnik sądowy Chuck. Na jego widok w pokoju zapadła kompletna cisza; przysięgli - dorośli w końcu ludzie - zaczęli zachowywać się tak, jakby nie byli pewni, czy przypadkiem czegoś nie zbroili.

- Panie i panowie - zwrócił się do nich autorytatywnym tonem strażnik, trzymając w ręku sztywną podkładkę z przypiętą do niej kartką papieru. - Sprawdzimy teraz listę obecności. Przysięgła numer jeden, Adelaide Freid.

- Jestem! - odezwała się pani, która w zeszłym tygodniu przystroiła fryzurę piórkami. Była wysoka i szczupła, ciemne włosy miała króciutko obcięte, a jej wiek Libby oceniła na jakieś czterdzieści pięć lat. Ubrana dziś była w wełnianą luźną suknię w purpurowym kolorze, grube różowe legginsy, oraz - co zauważyła Libby, zajrzawszy pod stół - czerwone sportowe buciki do kostek.

- Jako przysięgłej numer jeden - poinformował ją strażnik - przypadła pani zaszczytna rola przewodniczącej ławy. Przewodniczącej wolno zwracać się ze wszystkimi sprawami bezpo-

średnio do sądu. Pozostali przysięgli, chcąc coś przekazać, będą musieli korzystać z pani pośrednictwa.

Libby spojrzała znacząco na Alexa i stłumiła śmiech.

- Idźmy dalej. Czy jest przysięgły numer dwa, Clay Millerton?

- Jestem! - Niechętnie usposobiony do świata czarny księgowy izolował się w kącie z kubkiem kawy i plikiem arkuszy kalkulacyjnych rozłożonych na walizkowej teczce. Stale nachmurzona mina nie przydawała mu uroku, natomiast jego garnitur i krawat prezentowały się nieskazitelnie.

- Przysięgła numer trzy, Cornelia Winslow.

- Jestem - potwierdziła swą obecność i dodała zaraz: - Proszę mówić do mnie Libby.

- Będę się starał - odparł z uśmiechem strażnik - ale dla sądu i tak pozostanie pani na zawsze Cornelią. - Zerknął na listę.

- Przysięgły numer cztery, Robert Shannon.

- Obecny. - To był właśnie pan pijak. W dzinsach i kamizelce ze sztucznego tworzywa wyglądał dziś jak na wakacjach.

- Mów mi Bob - powiedział przyjaźnie.

- Przysięgły numer pięć, Alexander McCalley.

- Jestem! - zgłosił się Alex, podnosząc do góry dłoń.

- Przysięgły numer sześć, Rupert Slotnik.

- Jestem.

Pan Slotnik był najbardziej bladym człowiekiem, jakiego Libby kiedykolwiek widziała. Zastanawiała się, czy nie cierpi on przypadkiem na jakąś chorobę skóry, która nie pozwala mu przebywać na słońcu.

- Ronald Levinson - wyczytał kolejne nazwisko strażnik.

- Przysięgły numer siedem.

- Jestem - odpowiedział wyrostek o wojowniczym wyglądzie, który w nowej fryzurze, z włosami zaczesanymi gładko do tyłu, nie wyglądał ani odrobinę doroślejszemu.

- Przysięgła numer osiem, Debrilla Riff... Riff...

- Rif-ten-stal - wysylabizowała twardym, niemieckim akcentem kobieta, która była wodzem wikingów.

- W porządku. Debrilla Rifstenstahl jest obecna. Przysięgła numer dziewięć, Melissa Grant.

- Jestem - odpowiedziała Melissa od reklamy. Tego dnia miała na sobie brązowy kostium Donny Karan. Libby zastanawiała się, czy kupiony został na wyprzedaży. Jego posiadaczka wyglądała zbyt młodo jak na osobę, która może sobie pozwolić na takie ubrania.
- Dayton Donez. Przysięgły numer dziesięć - czytał dalej strażnik.
- Jestem! - zgłosił się trzydziestokilkuletni Romeo. Naprawdę był mężczyzną niezwyklej urody. Wspaniały typ Latynosa, który w dodatku wie, jak należy się ubrać.
- Bridget Bell. Przysięgła numer jedenaście. Sympatyczna pielęgniarzka podniosła nieśmiało rękę i powiedziała, że jest.
- I ostatnia przysięgła, Elena Sartoza, numer dwunasty.
- Jestem - potwierdziła swą obecność brazylijska seksbomba.
- Teraz jeszcze zastępcy. Rezerwowa przysięgła numer jeden, Basia Mendyzak. Zapadła cisza. Nikt się nie zgłosił. Alex nachylił się ku Libby i spytał ją:
  - Pamiętasz, kto to taki? - Nie jestem pewna.
  - Wydaje mi się, że chodzi o tę emerytowaną nauczycielkę
  - powiedziała Melissa od reklamy. - Wybrano ją tego samego dnia, co mnie. Ma dziesięcioro wnucząt, czy coś koło tego.
  - Taka przy kości? - spytał Alex.
  - Raczej tak.
  - Pani Basia Mendyzak na razie jest nieobecna - stwierdził strażnik sądowy, zaznaczając ołówkiem kreskę na swej liście.
  - Następna osoba... Rezerwowa przysięgła numer dwa, Eleonora Smythe-Daniels. Pani Smythe-Daniels prychnęła gniewnie i zacisnęła dłoń na naszyjniku z pereł.
  - Jestem. Zmuszona wbrew swojej woli - oświadczyła. Wszyscy się roześmieli. Pani Smythe-Daniels przez moment wyglądała na speszoną, ale po chwili również się uśmiechnęła.

- Rezerwowo przysięgły numer trzy, Stephen Cadalonee.
  - Cadalone - poprawił wymowę swego nazwiska przystojny programista komputerowy. Libby miała nadzieje, że uda jej się przy jakiejś okazji dowiedzieć czegoś ciekawego o nowych systemach. Najwyższy czas, by przeszła na bardziej zaawansowane oprogramowanie. Oczywiście pod warunkiem, że uda się jej zarobić jeszcze w życiu jakieś pieniądze.
  - Rezerwowo przysięgły numer cztery, William Seymour Klein.
  - Jestem - odpowiedział William z Wall Street, podnosząc do góry dłoń. Miał dziś na sobie szary garnitur w drobniutkie prążki i szaroniebieski krawat. Aha, przypominała sobie Libby, to ten facet, który chodził w czarnych mokasynach.
  - No cóż... Musimy poczekać na panią Basię Mendyzak - zawyrokował strażnik, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł.
- Minęło pół godziny i dobre chęci, z którymi przysięgli stawili się do sądu, ulotniły się, wyfrunawszy zapewne przez okno, przez które wychylał się teraz, pałac papierosa, Dayton Donez vel Romeo.
- Gdzie się ona, do cholery, podziewa? - denerwował się Bob, pan pijak.
  - Skoro mi mogliśmy stawić się na czas, to i ona mogła - zauważyła Elena, brazylijska seksbomba.
  - Nie wszyscy znowu przyszli na czas - zauważył Ronald z zaczesanymi gładko włosami. - Pani się na przykład spóźniła.
  - A skąd to wiadomo, skoro ich nawet nie stać na przyzwoity zegar - powiedział Alex. Wszyscy odwrócili głowy i spojrzeli na ścianę. Wskazówki zegara stały na dziesiątej czterdzieści.
- Popadli w ponury nastrój. Libby pomyślała, że każdy zapewne przypomina sobie w tym momencie własny wysiłek, by zdążyć tu i się nie spóźnić. No i po co? Żeby teraz czekać w tym paskudnym pokoju? Wreszcie zjawił się strażnik sądowy Chuck.

## 90

- Basia Mendyzak jest u dentysty - oznajmił. - Jakiś nagły wypadek.

- Tak - odezwał się Alex. - A mnie piesek zjadł pracę domową.

Wszyscy się roześmieli.

- Nie. Naprawdę coś jej się stało - zapewnił Chuck. - Zdaje się, że pękła jej koronka. To może być bardzo bolesne.

- A więc co będzie dalej? - Pani Smythe-Daniels domagała się bardziej precyzyjnych wyjaśnień.

- Będziemy czekać - oświadczył pogodnie Chuck. - Jeśli ktoś chce, to może zjechać na dół do bufetu, wziąć sobie kawę albo coś do przegryzienia. Ale przedtem proszę mnie o tym zawiadomić. Muszę wiedzieć, gdzie kto jest, gdyż sąd może w każdej chwili zawezwać nas na salę.

Po jego wyjściu znowu sobie trochę pogadali, narzekając głównie i utyskując. William z Wall Street poszedł zatelefonować; Melissa od reklamy spytała, czy ktoś ma ochotę na kawę i zebrawszy parę zamówień, udała się do bufetu; Ronald, gładko uczesany małolat, zwrócił się do wszystkich z prośbą, żeby zwracali się do niego per „Ronnie”; Dayton Donez, latynoski Romeo, skończył palić papierosa i zaczął zamykać okno, ale wszyscy zaprotestowali, prosząc, by zostawił je uchylone, było bowiem duszno.

- Dziwne... - powiedziała Libby, nie zwracając się zresztą do nikogo konkretnego - ale czuję się tak, jakbym była tu uwięziona.

- Bo jest pani uwięziona - po raz pierwszy odezwał się czarny księgowy o imieniu Clay.

- Muszę się napić wody - oświadczyła Adelaide, przewodnicząca ławy. Wstała i sięgnęła po stojący na środku stołu plastikowy kubeczek i brązowy dzbanek. - W takich budynkach jak ten powinno się dużo pić, żeby się właściwie nawodnić.

- Żadna dawka wody nie uchroni człowieka przed azbestem, który tu wdychamy - zauważył Alex.

Oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę.



## 91

- Żartowałem - powiedział uspokajająco, po czym nachylił się do ucha Libby i mruknął: - Ale i tak za nic nie zgodziłbym się w tym budynku pracować.

- Czym się zajmuje na co dzień pani przewodnicząca? - zapytała pani Smythe-Daniels. - Skąd to zainteresowanie wodą? Może pracuje pani... na przykład w melioracji?

- Uczę tańca - odparła z godnością Adelaide, siadając na swoim miejscu z kubeczkim wody w rękę. - Taniec nowoczesny, artystyczny, trochę jazzu...

- Ach, rozumiem - bąknęła pani Smythe-Daniels - A więc jest pani artystką.

Adelaide powiodła wzrokiem po twarzach siedzących przy stole osób.

- Zupełnie jakbym słyszała mojego byłego męża. - Wszyscy się roześmieli. Adelaide zwróciła się w stronę pani Smythe-Daniels. - Mój były mąż również miał kłopoty z wyrażaniem własnych emocji.

Pani Smythe-Daniels zrobiła wielkie oczy.

- Też coś! - obruszyła się. Chrząknęła, otworzyła pośpiesznie miesięcznik „Town and Country” i zaczęła czytać.

- Myśli pani, że ona naprawdę jest u dentysty? - zwrócił się do Debrilli przylizany małolat Ronnie.

- Sprawiała wrażenie uczciwej osoby - odparła. - Dlaczego miałyby kłamać?

- Żeby się od tego wykręcić - zasugerował Ronnie. - Przecież ten proces może się ciągnąć w nieskończoność.

- Och, mój drogi, mam nadzieję, że nie będzie tak źle - próbowała go pocieszyć Bridget, sympatyczna pielęgniarka.

- A może poszła do frizjera, aby zrobić sobie włosy dla reporterów - zauważyła Elena, brazylijska seksbomba, przeglądając się w lusterku puderniczki.

- Przecież infnie wolno nas fotografować - powiedział Alex.

- I bardzo dobrze - stwierdziła Libby, myśląc jednocześnie o tym, jak też mogłoby to poprawić kulejącą sprzedaż jej nieszczęsnej książki. Natychmiast wyobraziła sobie tytuł: „Znana

pisarka odwołuje cykl odczytów, by zasiąść w ławie przysięgłych w sprawie o morderstwo". A pod spodem jej zdjęcie. Z ławy przysięgłych macha do czytelników egzemplarzem „Uśmiechu losu” - sama oczywiście również uśmiechnięta.

Melissa od reklamy wróciła z wyprawy do bufetu z kawą i herbatą. Pijak Bob dostał zamówioną przez siebie puszkę coli.

- Nie ma jeszcze Basi? - spytała.

- Nie.

William z Wall Street zjawił się o minutę później.

- Nie ma Basi?

- Nie. Nie przyszła - poinformowała go Libby.

Zdjął spokojnie marynarkę, powiesił ją na oparciu krzesła i usiadł. Jak na gust Libby, był zbyt niski, ale wydał jej się dobrze zbudowany. Nosił również bardzo drogie, świetnie na nim leżące białe koszule.

- Basia to zdaje się rosyjskie imię - powiedziała Debrilla. - A nazwisko Mendyzak jest chyba polskie.

- Czi to pani przijaciółka? - spytała Elena.

- Nie rozumiem - naburmuszyła się Debrilla.

- Powiedziała pani coś takiego, jak bi ona była pani znajomą - odparła Elena, gestykulując tak energicznie, że towarzyszył temu brzęk jej ładnej bransoletki.

- Ja naprawdę zaraz zwariuję - oświadczyła zupełnie nieoczekiwanie pani Smythe-Daniels.

- Czuję się jak w poczekalni u Berlitz'a - zauważyła Melissa od reklamy, zwracając się do Libby.

Uchyliły się drzwi i do pokoju zajrzał Chuck.

- Nie przyszła?

- Nie! - krzyknęli wszyscy chórem.

Głowa Chucka zniknęła. Drzwi natychmiast się zamknęły.

- Jak długo jeszcze każą nam tu czekać na tę... jak ona się tam nazywa? - zdenerwował się małolat Ronnie.

- Na kogo? - spytał Stephen, programista komputerowy. Wyglądał, jakby się nagle ocknął.

- Na Basię - wyjaśnił William z Wall Street.

- Na Basię Mendyzak - dodała Debrilla.

- O czym jest ten magazyn? - spytała Elena panią Smythe-Daniels, zaglądając jej przez ramię. - Czi mogę go przejrzeć, skoro pani już go nie czyta?

- Naprawdę zwariuję - powtórzyła ze wzrastającą pewnością w głosie pani Smythe-Daniels.

- Nie wydaje wam się, że ta nasza ława przysięgłych jest niesłychanie młoda? - Melissa od reklamy zwróciła się przez stół do Libby i Alexa.

- Basia jest chyba najstarsza - zauważyła Libby.

- Starsza niż...? - Dayton Donez, latynoski Romeo, zawiesił głos i wskazał dyskretnie na panią Smythe-Daniels. Nie uszło to uwagi zainteresowanej, która natychmiast zwróciła się w jego stronę i przeszła do kontraktaku.

- Ma pan na myśli mnie, młody człowieku?

- Ależ skąd - oświadczył z niewinnym uśmiechem Dayton i dodał zaraz: - proszę pani.

Czekali w nieskończoność. Za kwadrans dwunasta zjawił się wreszcie Chuck i zaprowadził ich na salę sądową. Okazała się wypełniona po brzegi.

Sędziowie przysięgli, świadomi, że wszyscy im się teraz przyglądają, szli gęsiego w stronę przeznaczonych dla nich miejsc. Zajęcie ich zabrało im nieco czasu, gdyż zrobił się mały bałagan, ale w końcu zasiedli we właściwym porządku.

Pani sędzia Williams powiodła po nich zmęczonym wzrokiem, po czym spuściła głowę i pochyliła się nad notatkami.

- Sędziowie przysięgli stawili się w niekompletnym składzie - obwieścił urzędnik sądowy, kierując to oświadczenie do steno-grafki, która natychmiast wystukała je na dziwnej maszynie, w którą wkręcona była wielka rolka papieru.

- Panie i panowie! - zaczęła czystym, donośnym głosem pani sędzia Williams. - Wszystko wskazuje na to, że jedna z przysięgłych, w wyniku nagłego i nie dającego się przewidzieć zdarzenia, musiała udać się do gabinetu dentystycznego. Dzwoniła stamtąd, powiadamiając nas, że będzie się mimo wszystko starała dotrzeć tu trochę później, co - jak doskona-

le państwo zauważyliście - najwyraźniej jej się nie udało. W tej sytuacji nie pozostaje nam nic innego, jak tylko przełożyć początek rozprawy na jutro. Proszę przybyć do sądu punktualnie o dziewiątej trzydzieści. Przepraszam państwa za stracony czas oraz dziękuję za cierpliwość i wyrozumiałość. Na zakończenie pozwolę sobie przypomnieć państwu, że nie wolno wam rozmawiać o tej sprawie z kimkolwiek, w tym również ze sobą nawzajem, a także oglądać dzienników telewizyjnych i słuchać komentarzy radiowych. Proszę również ograniczyć się do czytania jedynie tych gazet codziennych i periodyków, które udostępniemy wam codziennie rano w sądzie. Dziękuję! Strażnik dał im znak do odwrotu. Zerwali się z miejsc i wyszli z sali również gęsiego, ale w znacznie lepszym porządku niż do niej weszli.

Skargi i utyskiwania posypały się dopiero wtedy, gdy wrócili do poczekalni, by zabrać swe rzeczy. Co za strata czasu! Po diabła to komu było potrzebne? Tyle osób straciło dzień przez czyjś głupi ząb. Dlaczego nie mogli od razu wziąć kogoś z zastępców? A kto w końcu zapłaci za te fanaberie? Oczywiście podatnicy.

Kiedy Libby wychodziła z pokoju, William z Wall Street przytrzymał jej drzwi i zagadnął:

- Wyobrażałaś sobie coś podobnego?

- Rzeczywiście szkoda straconego czasu - przyznała. - Ale z drugiej strony, nie mogli przecież postąpić inaczej.

Skoro ma to być uczciwy i bezstronny proces... - Spojrzała mu nagle w oczy. - Szczerze mówiąc, jestem pod wrażeniem tego, jak bardzo przestrzega się tu litery prawa...

- Podczas gdy cały świat schodzi pomału na psy - dokończył za nią. - Mnie również to zaimponowało.

Opuszczających sąd przysięgłych chroniło przed dziennikarzami sześciu strażników.

- Libby! - rozległo się wołanie Alexa, który wysforował się do przodu, a teraz trzymał dla niej otwarte drzwi windy.

- Pośpiesz się! Odprowadzę cię do metra.

Spowodowało to coś w rodzaju niemej konfrontacji z Williamem z Wall Street, który się z niej zresztą natychmiast wycofał.

- Muszę wrócić po coś do poczekalni. Żegnajcie, moi drodzy. Do jutra.

Libby poczuła się w tym momencie nieswojo. Właściwie... Chętnie by z nim pogadała, ale...

- Williamie! - zawołała. Odwrócił się.

- Do zobaczenia! - Uśmiechnęła się do niego.

W windzie Alex nachylił się nagle do ucha Libby i powiedział:

- Tacy faceci mnie wkurzają.

- Jacy? - spytała.

- Wiesz dobrze, o kim mówię. Tacy, jak ten William. Lubisz bogatych facetów? - spytał jędością obcesowo.

Ludzie spojrzeli na Libby, wyraźnie zainteresowani tym, co odpowie.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Tak się składa, że jestem całkowicie niezależna finansowo - odparła spokojnie.

Alex również się uśmiechnął i powtórnie zbliżył usta tak blisko jej ucha, że poczuła na szyi jego gorący oddech.

- To dobrze się składa - szepnął. - Bo ja co prawda mam samochód, połówkę bliźniaka, domek na wsi i trochę forsy w banku, ale z takim facetem nie mógłbym konkurować.

- Podobasz mi się taki, jaki jesteś - powiedziała Libby i pomyślała jednocześnie: „Idiotko, to jest dokładnie ten typ faceta, jakiego chciałaby dla ciebie znaleźć mamusia.”

- Mam także motocykl - ciągnął dalej Alex. Ich twarze były teraz oddalone od siebie zaledwie o kilkanaście centymetrów.

- Za zimno jest teraz na jazdy - odparła, wytrzymując jego spojrzenie.

- Z tobą nigdy nie byłoby za zimno - mruknął.

Miał to być zapewne komplement, ale jakoś jej nie ucieszył. Sama nie wiedziała dlaczego.

**96**

- Nie bój się. Potrafię być zimna jak lód - zapewniła. - Możesz spytać mojego byłego narzeczonego.
- Aha... Tego wrednego porywacza kotów - szepnął Alex, jeszcze bardziej przybliżając twarz do jej twarzy.

8.

Kiedy we wtorek rano, czternastego listopada, Libby przecisnęła się przez tłum i dotarła wreszcie do pokoju przysięgłych, zastała tam Basię Mendyzak, rezerwową przysięgłą numer jeden, której wczorajsza nieobecność zdekompletowała skład ławy. Dziś krzywiła się niemiłosiernie, by pokazać wszystkim, jak bardzo dokuczył jej zdradziecki trzonowiec.

- Spójrz, jak nam ocenzurowali prasę - zwrócił się do Libby Alex, pokazując dział wiadomości lokalnych w „New York Timesie”, z którego zgrabnie wycięto jakiś niewielki artykuł.

- Miślisz, że tylko to wzięli? - odezwała się z drugiego końca stołu Elena. - Tu dopiero powiciniali! - oznajmiła tryumfalnie, pokazując „New York Post”, którego strony z wiadomościami lokalnymi wyglądały jak szwajcarski ser.

- Wspaniale! - prychnęła pani Smythe-Daniels, przyciskając do piersi swój perłowy naszyjnik. Miała tym razem na sobie czarną spódnicę i biały sweter z angorskiej wełny. - Precz z prasą!

Libby uśmiechnęła się. Ubrana dziś była w dżinsy z kolekcji Armaniego, sweter z golfem i blezerek, na nogi włożyła drewniaki. Alex miał na sobie flanelową koszulę, sztruksowe spodnie i ciężkie buty, William - ciemnoniebieski garnitur, a Melissa króciutką niebieską sukienkę, w której cudownie się prezentowała. Przewodnicząca ławy przysięgłych, Adelaide, występowała w żółtej bluzie od dresu, dżinsowej spódniczce, grubych żółtych podkolanówkach i obuwiu, które przypominało perskie bambosze. Z uszu zwisały jej wielkie, różowo-fioletowe pacyfy.

Do pokoju przysięgłych przyszedł strażnik sądowy Chuck, aby sprawdzić listę obecności. Było już piętnaście po dziesiątej.

Znowu się okazało, że kogoś brakuje; tym razem nie stawiał się pijaczek Bob, przysięgły numer cztery.

Czekali na niego i czekali. Chuck zaglądał co jakieś pięć minut i coraz bardziej zdenerwowanym tonem pytał:

- Zjawił się już?

- Nie! - odpowiadali chórem, znużeni i wyprowadzeni z równowagi.

Przewodnicząca ławy oznajmiła w pewnym momencie:

- Proszę, aby poczynając od jutra wszyscy przychodzili tu punktualnie. Zrozumiano?

Na chwilę zapadła martwa cisza. Nikt nie spodziewał się, że Adelaide w sposób tak obcesowy testować będzie zakres posiadanej władzy. Pierwszy przeciwstawił się temu Clay, wrogo nastawiony wobec świata - a zapewne również i autorytetów - czarny księgowy. Powoli podniósł głowę znad swoich papierów i spytał:

- Czemu miał służyć ten ton? Czy ktoś chciał mnie przestraszyć?

- A skąd! - warknęła gniewnie Elena, przysuwając się bliżej do Adelaide, która jako osoba dzierżąca władzę, natychmiast znalazła w niej popleczniczkę. - Chodzi wyłącznie o to, żebyś się nie spóźniał! I tyle!

- Do cholery jasnej! Przecież za każdym razem przychodzę punktualnie! - wybuchnął Clay. - Jako jedyny z tu obecnych zawsze byłem na czas.

- Jakie „zawsze”? - mruknął pod nosem małolat Ronnie. - Raptem dwa dni.

Clay spiorunował go wzrokiem.

- Pilnuj swego nosa i uważaj, żebyś sam się nie spóźnił.

- Bo co mi zrobisz? - nasrożył się Ronnie i obrzucił go wyzywającym, cwaniackim spojrzeniem czwartoklasisty.

- Dajcie spokój, panowie - zainterweniował William z Wall Street. - Wszyscy jesteśmy zdenerwowani. Po co mamy sobie nawzajem wymyślać? Jeśli już ktoś nie może wytrzymać, to niech lepiej nawymyśla strażnikowi.

Powiedział to chyba w złym momencie, gdyż Chuck zjawił się w chwilę potem.



- Przyszedł już? - spytał.

Małolat Ronnie wziął sobie najwyraźniej do serca to, co przed chwilą usłyszał, i postąpił zgodnie z instrukcją.

- Nie! Nie przyszedł! - wrzasnął. -i proszę powiedzieć sędzinie, że nie ma prawa trzymać nas tu pod kluczem tylko dlatego, że prawnicy wybrali do sprawy jakiegoś czubka!

Chuck uśmiechnął się. Słowa Ronnie'ego najwyraźniej szczerze go rozbawiły.

- Z radością przekażę Wysokiemu Sądowi pańskie oświadczenie, panie Levinson.

Małolat Ronnie natychmiast stracił tupet.

- Naprawdę nie możemy przecież tak czekać w nieskończoność. .. - bąknął ze wzrokiem wbitym w stół.

- Słuchajcie państwo - zaczął Chuck - przecież ten facet w końcu się zjawi. Jeszcze tylko trochę...

I właśnie w tym momencie za plecami strażnika pojawił się Bob. Twarz mu pałała, sapał i mamrotał jakieś słowa przeprosin, nie próbując nawet usprawiedliwić swego spóźnienia. Zajął pośpiesznie jedyne wolne krzesło, stojące pod ścianą z dala od stołu, ale zanim tam dotarł, Libby poczuła, jak powiało od niego zapachem płynu do odświeżania jamy ustnej.

- Słuchaj, Bob - powiedział Alex, gdy tylko Chuck zostawił ich samych - nie miej do mnie pretensji, ale uprzedzam, że jeśli jeszcze raz się spóźnisz, to wyrzucę cię przez okno prosto na ulicę. Wyznaczą zamiast ciebie rezerwowego i będzie święty spokój.

Bob poczuł się trochę dotknięty i rozejrzał się po pokoju. Każdy omijał go wzrokiem, mając nadzieję, że słowa Alexa jednak do niego dotarły. .

Sala sądowa zapełniona była do ostatniego miejsca. Panował w niej zaduch. Kiedy przysięgli zasiedli już na swych numerowanych krzesłach, pani sędzia Williams zawezwała Boba, aby udzielić mu reprimendy. Strażnik Chuck otworzył tymczasem okno. Kiedy Bob powrócił na miejsce, sędzina obwieściła, że jeśli któryś z członków składu orzekającego

będzie się notorycznie spóźniał, wówczas zostanie ukarany grzywną.

Rozprawa nareszcie się rozpoczęła. Odczytano treść zarzutu: James Bennett Layton junior oskarżony jest o to, że dnia dziesiątego lutego 1994 roku, działając bezprawnie i z premedytacją, spowodował śmierć Sarah Elizabeth Cook, dopuszczając się w ten sposób czynu określonego w paragrafie 125.25 stanowego kodeksu karnego jako zabójstwo drugiego stopnia.

Zabójstwo. Mord.

Libby powtarzała w myśli te dwa natrętne słowa, próbując w pełni uświadomić sobie, jaką rolę ma odegrać tu, w sądzie.

Spojrzała na oskarżonego. Siedział spokojny i opanowany. Jego mina, jeśli wyrażała cokolwiek, to chyba jedynie odrobinę zdziwienia, tak jakby nie bardzo wiedział, co tu właściwie robi.

Dziewiętnaście miesięcy temu zamordowana została młoda dziewczyna. Dziewiętnaście miesięcy temu Libby miała trzydzieści dwa lata i planowała swój ślub. Teraz kończyła już niemal trzydzieści cztery, jej książki wracały całymi stertami z księgarń i była samotną, hodującą koty kobietą.

To jest sprawa o zabójstwo! Przestań myśleć o sobie i śledź pilnie to, co się będzie działo na sali sądowej, strofowała się w myślach.

Prokurator wstał zza stołu, by wygłosić przemówienie oskarżycielskie adresowane do ławy przysięgłych.

Metodycznie było zapewne bez zarzutu, ale MacDonald mówił w taki sposób, że Libby zaczęła zastanawiać się, dlaczego stan nie zafundował temu wysokiemu urzędnikowi kilku lekcji aktorstwa i retoryki. Treść wystąpienia była na wskroś dramatyczna, natomiast wygłoszone zostało z przerażającą, usypiającą niemal monotonią. Przerywały ją jedynie momenty, gdy sformułowania oskarżyciela prowokowały sprzeciw ze strony obrońcy. Zdarzyło się to zresztą już zaraz na wstępie, kiedy MacDonald, podawszy personalia oskarżonego, stwierdził, że od szesnastego roku życia w środowisku swych koleżków znany był jako „Benny”, przy czym przewisko to nie było zdrobnieniem imienia, lecz pocho-

dziło od środka pobudzającego, w którym gustował - benzedryny.

- Zgłaszam sprzeciw! - krzyknął Geiggen, podrywając się w okamgnieniu na nogi.

- Uznaję sprzeciw za uzasadniony - oświadczyła pani sędzia Williams. Spojrzała z wyrzutem na oskarżyciela i udzieliła mu reprimendy: - Zdaje się, że pan przesadził, panie MacDonald.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie.

- Sędziowie przysięgli proszeni są o zignorowanie tego la-psusu. W tym stadium procesu byłaby to nie poparta dowodami insynuacja. Proszę również o wykreślenie tego z protokołu rozprawy - dokończyła sędzina.

Stenografka skinęła głową, zatrzymała natychmiast maszynę, odszukała na taśmie odnośny fragment i wykreśliła go piórem.

MacDonald ciągnął dalej. James Bennett Layton junior, o czym sędziowie przysięgli będą mieli okazję dowiedzieć się w trakcie procesu, pochodzi z nadzwyczaj zamożnej rodziny z Long Island. Jego rodzice zadbali o to, aby uczęszczał do najlepszych szkół i miał do swej dyspozycji wszystko, o czym tylko chłopiec może zamarzyć: samochód, jacht, sprzęt sportowy, instruktorów i nauczycieli z każdej dziedziny, jaka go interesowała. Oskarżony ożenił się w dość młodym wieku, ma troje dzieci, mieszkał w zakupionym dla niego przez ojca domu, w pobliżu rezydencji rodziców w Locust Valley. Ojciec zatrudnił go również w stanowiącej własność rodziny nowojorskiej firmie, w związku z czym - jak wyjaśnił prokurator - oskarżony spędzał często w ciągu tygodnia nawet i cztery noce w mieście, korzystając z jednego z należących do rodzinnej korporacji mieszkań przy Park Avenue.

Oskarżony, o czym sędziowie przysięgli będą mieli okazję się przekonać, od wczesnej młodości brał narkotyki i do czasu gdy został aresztowany, wydał na nie tysiące dolarów, które pożyczzał lub wyludzał od swojej rodziny, a czasem wręcz kradł. Niezliczoną ilość razy wdawał się również w pozamałżeńskie romanse z przeróżnymi kobietami. Zdarzyło mu się jednak napotkać kobietę, która stanowczo odtrąciła jego starania o nawiązanie z nią

bliższych stosunków. Ona to właśnie - Sarah Elizabeth Cook, bardziej znana jako Sissy Cook - padła ofiarą zabójstwa.

Przysięgłym przedstawione zostaną dowody - twierdził MacDonald - które wykażą ponad wszelką wątpliwość, że oskarżonemu raz tylko udało się namówić Sissy Cook na randkę. Po tym spotkaniu ofiara, która była zawodową modelką, nie chciała już mieć z oskarżonym nic wspólnego. On jednak uporczywie nastawał na kontynuowanie znajomości. Telefonował, przysyłał kwiaty i prezenty, które Sissy każdorazowo mu odsyłała, chodził za nią i naprzykrzał się. Wynajął także prywatnego detektywa, zlecając mu, by śledził każdy jej krok. Wreszcie owej fatalnej nocy, w środę dziewiątego lutego 1994 roku, oskarżony zjawił się w nocnym lokalu o nazwie „Belle”, gdzie bawiła się również Sissy Cook. Zaczepił ją, a ponieważ nie chciała z nim rozmawiać, zachował się niegrzecznie, próbując złapać ją za rękę, aż w końcu, zdenerwowana jego niestosownym zachowaniem, powiedziała mu coś obraźliwego. Wówczas - na co również przedstawione zostaną odpowiednie dowody - oskarżony wypadł z nocnego klubu, wszedł do swego samochodu i pojechał do Jersey City, gdzie udało mu się wynająć płatnego mordercę. O drugiej w nocy Sissy Cook opuściła hskal w towarzystwie koleżanki, z którą wspólnie wynajmowała mieszkanie. Gdy obie znalazły się przed klubem, ulicą nadjechał samochód prowadzony przez oskarżonego i zatrzymał się tuż przy nich. Z przedniego siedzenia, znajdującego się po prawej stronie kierowcy, zerwał się jakiś nie zidentyfikowany osobnik, spytał oskarżonego, o którą z kobiet chodzi, po czym wycelował w Sissy Cook i oddał do niej cztery strzały z rewolweru o kalibrze 9 mm, trzykrotnie trafiając ją w piersi i raz w twarz. Następnie szybko wszedł z powrotem do samochodu i oskarżony odwiózł go w jakieś nieznane miejsce.

Prokurator zawiesił w tym momencie głos.

- Nie udało się - kontynuował MacDonald - zidentyfikować i schwytać człowieka, który strzelał. Udało się natomiast zidentyfikować i zatrzymać tego, kto wynajął mordercę i zlecił mu dokonanie zbrodni. Człowiekiem tym jest oskarżony, James

Bennett Layton junior. Prokuratura przedstawi świadków naocznych i inne niezbite dowody, które pozwolą sędziom przysięgłym ponad wszelką wątpliwość uznać zasadność wysuniętego w tej sprawie zarzutu.

Na sali zapanowała martwa cisza. Minęło kilka chwil, po czym przyszła kolej na wystąpienie obrońcy. Arnold Geiggen wstał, podszedł wolno do ławy przysięgłych, odczekał chwilę i patrząc prosto w oczy Libby, zaczął przemawiać.

- Na wstępie pragnę uprzedzić oskarżyciela, że im później porzuci on fantasmagoryczny świat zaludniony tworam i własnej wyobraźni, tym bardziej słone odszkodowania wypłaci mojemu klientowi stan w momencie, gdy wygramy ten proces.

- Wysoki Sądzie! Sprzeciwiam się - wrzasnął MacDonald. - To obrona pozostaje w świecie fikcji i urojeń!

- Podtrzymuję sprzeciw. Mecenasiu Geiggen, proszę ograniczyć się do podania swojej wersji przebiegu zdarzeń. "A panu, panie MacDonald, radzę również uważać na to, co pan mówi.

- Tak jest, Wysoki Sądzie - bąknęli obaj prawnicy. Geiggen zaczął przedstawiać wersję obrony, która oczywiście różniła się zupełnie od wersji zaprezentowanej przez oskarżenie. Zaczął od faktów, których nie zamierzał kwestionować. Jim Layton rzeczywiście spotykał się wcześniej z denatką. Prawdą jest również, że krytycznej nocy, natknąwszy się na nią w klubie, wypowiedział pod jej adresem sporo niegrzecznych i wysoce niestosownych uwag. Wiele osób to słyszało. Nie sposób również kwestionować faktu, że po tej utarczce słownej opuścił klub bardzo zdenerwowany. Nieprawdą jest natomiast, że odjechał wówczas dokądkolwiek swoim samochodem, ponieważ w tym czasie, gdy przebywał w klubie, jego wóz został skradziony. Oskarżony poinformował więc telefonicznie policję o dokonanej kradzieży i taksówką udał się do mieszkania rodziców.

Następną zaś rzeczą, jaka mu się przydarzyła, a raczej spadła na niego jak grom z jasnego nieba - twierdził Geiggen - było aresztowanie pod zarzutem wynajęcia jakiegoś mordercy. Mordercy, którego, co należy z naciskiem podkreślić, organom ścigania do dziś dnia nie udało się ująć. Dodatkową ważną okolicz-

ność stanowi tu fakt, że zgodnie z zeznaniami świadków sprawcą zbrodni był czarny. W tej sytuacji - argumentował Geiggen — stanowi stróżę porządku znaleźli się pod silną presją opinii publicznej, by znaleźć jakiegokolwiek winnego. Zdecydowali się więc zmontować oparty na kruchych przesłankach proces poszlakowy przeciwko Jimowi Laytonowi. Teraz zaś, gdy doszło już do tego procesu - kontynuował Geiggen, przechadzając się przed frontem ławy przysięgłych - presja społeczna, by skazać pana Laytona, jest jeszcze większa, nie tylko dlatego, że prawdziwy morderca dotąd nie został ujęty, ale głównie z tego powodu, iż Jim Layton jest biały...

- Sprzeciwiam się! - zagrział MacDonald. - Oskarżenie wnosi, aby Wysoki Sąd zechciał wezwać strony na naradę w kwestii proceduralnej.

- Wniosek zostaje przyjęty. Nie musimy jednak przerywać rozprawy - oświadczyła pani Williams. - Proszę strony o podejście do ławy sędziowskiej.

Obaj prawnicy niezwłocznie to uczynili. Pośpieszyły za nimi również osoby im asystujące i teraz obie strony wymieniały między sobą niechętnie spojrzenia, czekając, aż stenografka odkręci swoją maszynę od podstawki i przeniesie ją w pobliże ławy sędziowskiej, by zaprotokołować naradę, która - zgodnie z obowiązującą w amerykańskim procesie karnym procedurą - odbyć się miała z wykluczeniem jawności. Pani sędzia Williams pomogła jej w końcu znaleźć stosowne miejsce do ustawienia maszyny, ale i tak upłynęło kilka minut, zanim stenografka mogła zacząć protokołować.

MacDonald szeptał coś z pasją sędzinie, Geiggen stawał na palcach, by również szeptem złożyć jakieś oświadczenia, asystenci wyciągali szyję, by nie uronić z tego ani jednego słowa. Trwało to bardzo długo, na sali robiło się coraz duszniej, a sędziowie przysięgli zaczęli ziewać z braku powietrza. W końcu pani Williams syknęła głośno, odsyłając strony procesowe na swoje miejsca, zaś w chwilę potem ogłosiła przerwę na lunch.

Przypomniała przysięgłym, by nie próbowali samodzielnie oglądać miejsca zbrodni, dodając jednocześnie, że niewykluczo-

ne jest, iż zostanie im ono zaprezentowane w trakcie wizji lokalnej. (Ostatnie słowa wywołały szmer na widowni.) Na koniec przysięgli usłyszeli jeszcze sakramentalną formułkę o tym, że mają nie rozmawiać o sprawie z osobami postronnymi... itd. Wznowienie rozprawy zapowiedziano na drugą.

Libby zbyt widać liczyła na to, że Alex poprosi ją, by zjedli razem lunch, tym razem bowiem tego nie zrobił. W rezultacie skończyło się na tym, że kupiła na mieście jakąś zupę w pojemniku, trochę owoców i przyniosła sobie to wszystko do pokoju przydzielonego sędziom przysięgłym. Zastała tam Melissę od reklamy, która siedziała w kącie i z pasją pisała coś na laptopie. Programista komputerowy, Stephen, czytał jakąś książkę; Basia szydełkowała, a Dayton palił przy oknie papierosa i słuchał muzyki z walkmana. Libby usiadła i zaczęła przeglądać strony ocenianych gazet.

Tuż przed drugą zjawili się pozostali: Debrilla, bardziej jeszcze niż zwykle blady Rupert, pani Smythe-Daniels, która korzystając ze sposobności próbowała wyjaśnić w pobliskim kolegium, bezskutecznie zresztą, sprawę mandatu za jakieś wykroczenie drogowe, małolat Ronnie, Cläy, będący obecnie w nieco lepszej formie pijaczek Bob; wreszcie Alex, a tuż za nim zasapany William, który przebiegł całą drogę ze swego biura. Jako ostatnia zjawiała się sympatyczna Bridget.

O drugiej zaprowadzono ich z powrotem na salę, gdzie pani Williams wznowiła rozprawę, oświadczając, że oskarżenie przedstawi teraz swego pierwszego świadka.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie - zerwał się z miejsca obrońca - ale nie skończyłem jeszcze wstępnego wystąpienia.

- Tak? - Sędzina przez chwilę badawczo przyglądała się obrońcy, po czym zerknęła do notatek i skinęła głową. -

Proszę bardzo. Pan Geiggen zechce nam teraz streścić swoje wystąpienie wstępne.

To, co miał do powiedzenia obrońca, nie było jednak streszczeniem. Zbliżywszy się do ławy, zaczął tłumaczyć sędziom przysięgłym, że jego klient jest niewinny, i jeśli dowody zebrane

przez oskarżenie nasuwać będą najmniejsze wątpliwości co do jego winy, to sędziowie przysięgli z mocy prawa zobowiązani są wydać w tej sprawie werdykt uniewinniający. Po zakończeniu wywodów podziękował sędziom przysięgłym za uwagę, powrócił na swoje miejsce i usiadł.

Do złożenia zeznań wezwany został teraz pierwszy świadek oskarżenia, pani Jill Cook Tompkins. Strażnik sądowy zniknął za drzwiami prowadzącymi do pokoi służbowych i przyprowadził kobietę, według oceny Libby, dobrze już po trzydziestce. Sprawiała wrażenie trochę zbyt tęgiej, ale i tak była bardzo ładna i znakomicie ubrana. Miała ciemne, długie do ramion, rozjaśnione pasmami włosy. Taka fryzura musiała kosztować spore pieniądze. Nowo przybyła nie wyglądała jednak na mieszkankę Nowego Jorku, i choć Libby nie bardzo potrafiła określić, co w jej wyglądzie jest odmiennego, wyraźnie widać było, że nie pasuje jakoś do tej sali sądowej i czuje się w niej obco. Tuż przed zajęciem miejsca, z którego świadkowie składają zeznania, potknęła się lekko. Po chwili stała już wyprostowana, z prawą ręką uniesioną do przysięgi. Uwagę Libby przykuła w tym momencie jej lewa dłoń: na małym palcu lśnił pierścionek z dużym brylantem, a na palcu serdecznym - ślubna obrączka. Po złożeniu przysięgi pozwolono jej usiąść, z czego skorzystała, po czym pani sędzia Williams poprosiła, aby świadek podała do protokołu swoje personalia. Odkasznęła wówczas nerwowo i przedstawiła się.

- Jill Cook Tompkins.

Strażnik sądowy postawił przed nią szklanekę z wodą do picia. Podziękowała mu za ten gest.

- Dzień dobry, pani Tompkins - powitał ją prokurator MacDonald.

- Dzień dobry - zaszemrała.

- Proszę, aby świadek zechciała mówić głośniej - zwróciła się do niej pani Williams.

Kobieta skinęła głową, ponownie próbowała odkasznąć, po czym wypła mały łyk wody.



## 107

Musi być bardzo zdenerwowana, pomyślała Libby. Nie wiedzieć czemu, sama zaczęła się o nią niepokoić.

- Pani Tompkins - zwrócił się do niej MacDonald - pragnąc przedstawić panią sędziom przysięgłym, zadam teraz pani kilka pytań.

Skinęła głową.

- Ile ma pani lat?

- Trzydzieści sześć.

- Czy jest pani zamężna?

- Tak. Od jedenastu lat.

- Czy ma pani dzieci?

- Tak. Dwoje. Mój syn Peter skończył dziewięć lat, a Katie siedem. - Uśmiechnęła się na moment. - Katie to oczywiście dziewczynka.

- Rozumiem. - MacDonald przedefilował przed ławą przysięgłych i zatrzymał się całkiem z boku, schodząc im z pola widzenia i zmuszając ich w ten sposób do tego, żeby koncentrowali uwagę wyłącznie na świadku. - Czy pracuje pani zawodowo?

- Nie... To znaczy... obowiązki matki i pani domu wykonuję niejako w pełnym wymiarze godzin. A prócz tego pracuję społecznie. Dwa razy w tygodniu.

- Jakie ma pani wykształcenie?

- Skończyłam college. Mount Holyoke.

- Dziękuję, pani Tompkins. Teraz proszę powiedzieć sędziom przysięgłym, z jakiego powodu występuje pani w tej sprawie?

Składająca zeznania zwróciła się twarzą do ławy. Jej wzrok zatrzymał się na Libby.

- Zamordowana jest... - zająknęła się. - Sissy Cook była moją siostrzyczką.

MacDonald odczekał chwilę, aby do przysięgłych dotarło w pełni to sformułowanie.

- Dlaczego użyła pani słowa „siostrzyczka”, a nie „siostra”?

- Ponieważ... ponieważ nasi rodzice, jak by tu powiedzieć... zdecydowali się na nią raczej późno. - Nieznacznie się uśmiechnęła. - Kiedy jest się o siedem lat starszą, to o młodszej siostrze

stale myśli się jako o siostrzyczce. To ja nazwałam ją Sissy, gdy była maleńka, i potem to już do niej na zawsze przylgnęło. - Zmrużyła oczy, jakby nagle coś ją dotkliwie zabolalo. - Mój ojciec do dziś nazywa ją „dziecinką”... To znaczy, nazywał ją tak, gdyż teraz już jej przecież... - Sięgnęła po szklanę z wodą i zrezygnowała z dokończenia tego zdania.

- Czy może pani opowiedzieć coś o swojej siostrze? Jaka ona naprawdę była?

Pani Tompkins przełknęła łyk wody i odstawiła szklanę.

- Prawdę mówiąc - zaczęła, ponownie zwracając wzrok w kierunku ławy przysięgłych - od małego wszyscy ją trochę zanadto rozpieszczali. Już jako dziecko była naprawdę piękna. Wystarczyło, że się uśmiechnęła, i wszyscy skłonni byli jej wybaczyć nawet najgorszą zbrodnię. - To niefortunne sformułowanie wyraźnie ją zmroziło. Zamilkła i zrobiła się blada jak ściana. - Przepraszam - wyjąkała.

Rozpłakała się.

Trwało to jednak tylko chwilę. Błyskawicznie się opanowała, wytarła oczy chusteczką i podziękowała za postawienie przed nią następnej szklanki z wodą.

- Czy może pani mówić dalej? Zrobiła głęboki wdech.

- Tak - odparła. - Widzicie państwo - zwróciła się do ławy przysięgłych - tyle już czasu upłynęło od momentu, gdy Sissy została zamordowana, a ciągle jest to dla mnie takie...

- Pozwolę sobie zgłosić sprzeciw - przerwał jej ścisłym głosem Geiggen. Wstał i zwrócił się do pani Williams. - Uprzejmie proszę, aby Wysoki Sąd zechciał pouczyć świadka, że powinien odpowiadać ściśle na zadawane pytania.

- Uznaję zasadność sprzeciwu. - Pani Williams z wysokości swego podium spojrzała na składającą zeznania kobietę.

- Pani Tompkins zechce łaskawie odpowiadać wyłącznie na pytania zadawane przez oskarżyciela.

- Tak jest, Wysoki Sądzie.

Sprawa potoczyła się dalej. Świadek opisała dokładnie, jakim figlarnym, psotnym i pełnym wigoru dzieckiem była jej siostra,

i jak to się działo, że ilekroć gdzieś się pojawiła, natychmiast wszyscy się w niej zakochiwali. Następnie zaczęła opowiadać

O tym, że Sissy, mimo wysokiego ilorazu inteligencji - IQ w granicach 126 na standardowych testach - nie przykładała się specjalnie do nauki. Pasjonowała się natomiast konną jazdą, uwielbiała muzykę, taniec i była entuzjastką rozmaitych sportów. Jeździła na nartach, grała w tenisa, a kiedy mieszkała jeszcze na Zachodnim Wybrzeżu, pasjonowała się również surfingiem i la-tawcowaniem.

- Co to takiego? - zdumiał się MacDonald.

- Latawcowanie? Może niewłaściwie się wyraziłam. Sport ten polega na tym, że człowiek wchodzi na szczyt góry, potem biegnie w dół, aż wreszcie odrywa się od ziemi i szybuje w powietrzu podwieszony do wielkiego latawca. Na sali rozległy się stłumione chichoty.

- Chodzi pani o szybowanie na lotni, o lotniarstwo?

- Tak, tak - odparła z uśmiechem, zupełnie nie speszona. - Tak to się właśnie nazywa.

W tym momencie oskarżyciel przeszedł do pewnych drażliwych spraw, nie chcąc zapewne, żeby pierwsza wyciągnęła je obrona.

- Czy to prawda, że pani siostra była swego czasu aresztowana? Chyba mieszkała jeszcze wówczas w Kalifornii, prawda?

- Tak - odparła Jill, poważnie skłoniwszy głowę.

- Co było tego powodem?

- Prowadziła wóz, będąc pod wpływem narkotyków. Miała wówczas dwadzieścia lat.

- Jak to się dla niej skończyło?

- Kosztowało ją to utratę prawa jazdy na kilka lat. Na szczęście nie wyrządziła nikomu krzywdy, a poza tym miało to też

1 dobre strony. Podała się bowiem leczeniu w ośrodku odwykowym i przestała być uzależniona od kokainy i prochów, które wcześniej brała.

- Czy miała potem jeszcze jakieś problemy z narkotykami?

- Nie, już nigdy. Panicznie bała się narkotyków. Często powtarzała, że w ogóle nie zdawała sobie sprawy, iż jest uzależ-

niona. Przekonała się o tym dopiero wówczas, gdy w areszcie wystąpiły u niej tak ciężkie objawy głodu narkotycznego, że omal nie umarła.

- Czy odsiedziała wyrok?

- Nie. Została zwolniona pod warunkiem, że podda się leczeniu. Wydaje mi się, że agencja reklamowa, która zatrudniała ją wtedy jako modelkę, jakoś ją z tego wyciągnęła.

- Kiedy dowiedziała się pani o jej aresztowaniu?

- Dopiero wówczas, gdy znalazła się w ośrodku odwykowym Betty Ford Center. Zadzwoiła stamtąd do mnie. Prosiła, abym przywiozła rodziców na jakąś sesję poświęconą poradnictwu dla rodzin osób uzależnionych.

- I przywiozła ich pani?

- Oczywiście! - odparła, skinąwszy głową. - To było ważne zarówno dla niej, jak i dla nas, jako rodziny. Pamiętam doskonale cały epizod, ponieważ mój syn miał wtedy zaledwie kilka miesięcy i tak się złożyło, że musiałam go zabrać ze sobą.

- Tak więc pani siostra nie miała już później żadnych problemów z narkotykami?

- Absolutnie żadnych.

- A czy miała przyjaciół, którzy brali?

- Przyjaciół? Nie. W żadnym wypadku. Ubolewała często nad tym, że w jej branży nadużywa się przeróżnych środków. Natomiast w życiu osobistym kierowała się żelazną zasadą: jeśli używasz narkotyków, to trzymaj się z dala ode mnie. Była do tego stopnia konsekwentna, że nie pozwalała nawet palić trawy... przepraszam, chciałam powiedzieć marihuany, w swoim mieszkaniu.

- A więc uważa pani za mało prawdopodobne, by pani siostra mogła nawiązać bliskie stosunki z kimś, kto notorycznie brał narkotyki?

- Naturalnie. Uważam to za niemożliwe.

Zaczęli omawiać teraz karierę zawodową Sissy. Rozwijała się wspaniale, wtedy przynajmniej, gdy Sissy chciało się zmusić do wysiłku.

- Potrafiła pracować bardzo intensywnie przez jakieś osiem

miesiący, na pozostałe zaś cztery rezygnowała z pracy i przeznaczała je na odpoczynek i podróże.

Ile miała lat, gdy została zamordowana? Dwadzieścia sześć. Prawie dwadzieścia siedem. Nie, nigdy nie była zamężna, choć zawsze powtarzała, że chce wyjść za mąż i mieć dzieci. Uważała, że przyjdzie na to czas, gdy tylko zakończy karierę modelki.

- A czy miała jakieś plany dotyczące przyszłej pracy?

- Owszem, wiele różnych planów - odparła Jill Tompkins. - Jak już mówiłam, chciała wyjść za mąż. Myślała również o tym, by otworzyć pewien specjalny rodzaj szkoły dla modelek.

- Na czym miała polegać unikalność tej szkoły?

- Sissy była zdania, że dziewczęta powinny się dowiadywać o pewnych rzeczach na długo przed osiągnięciem pełnoletności.

- O jakich mianowicie rzeczach?

- O problemach związanych z kontrolą wagi. Niebezpieczeństwie chorób zawodowych, takich jak bulimia i anoreksja. A także o narkotykach. Właściwie zajmowała się już pewnego rodzaju poradnictwem w agencji, w której pracowała. Żal jej było młodych dziewczyn, które prostą drogą zmierzały do tego, by wpaść w tarapaty. Albo już zdążyły to zrobić.

Przesłuchanie świadka trwało przez całe popołudnie, natomiast pytania bezpośrednio dotyczące oskarżonego padły dopiero pod koniec, około godziny piątej.

- Czy siostra w rozmowach z panią wspomniała kiedykolwiek o oskarżonym?

- Oczywiście. Opowiadała, że osobnik ten bez przerwy jej się naprzykrza, śledzi ją sam albo nasyła na nią swoich ludzi i nie daje jej chwili spokoju. Traktowała go jednak z przymrużeniem oka, jak wielu innych pomyleńców, którym również zdarzało się ją nachodzić. Zdążyła do tego przywyknąć... w końcu była to cena, jaką płaciła za urodę. Tym razem jednak mówiła mi...

- Co takiego mówiła pani o oskarżonym?

- Kiedy?

- No, powiedzmy, ostatnim razem, gdy ją pani widziała.

- Ostatnim razem, gdy ją widziałam żywą... - Głos Jill znowu się załamał. Napiła się wody, odetchnęła głęboko i wtedy

dopiero mogła mówić dalej. - Sissy powiedziała mi wówczas, że on... że oskarżony robi jej różne świństwa. Chodzi do jej znajomych i wygaduje na nią jakieś niestworzone rzeczy. A ponieważ pochodzi z bardzo zamożnej i wpływowej rodziny, to wielu skłonnych jest mu wierzyć.

- Czy dowiedziała się pani od siostry, jakie nieprawdziwe informacje oskarżony rozgłaszał na jej temat?

- Zgłaszam sprzeciw! Informacje z trzecich ust nie mogą służyć jako materiał dowodowy.

- Wysoki Sądzie, przecież ja po prostu pytam panią Tompkins, co powiedziała jej siostra.

- Oddalam sprzeciw. Świadek może odpowiedzieć na to pytanie.

- Przepraszam, ale jak ono brzmiało?

- Czy Sissy mówiła pani, jakie nieprawdziwe informacje oskarżony rozgłaszał na jej temat?

- Tak. Zaczęło się od tego, że powiedział jej szefowi, jakoby była ona jego dziewczyną.

- I co jeszcze?

- Nakłamał mu również, że chwilowo gniewa się ona na niego... to znaczy, na oskarżonego, ponieważ kazał jej usunąć ciążę. Powiedział także, że znowu zaczęła brać narkotyki.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Powtarzam raz jeszcze: informacje z trzecich ust nie mogą służyć jako materiał dowodowy.

- Przeformułuję to pytanie - wycofał się MacDonald, nie czekając na decyzję sędziny. - Pani Tompkins - zwrócił się do świadka - proszę wobec tego powiedzieć sędziom przysięgłym, co pani siostra miała do zarzucenia oskarżonemu? O co miała do niego pretensje?

- O co? O wiele rzeczy. Choćby o to, że brał narkotyki, zdradzał żonę... A poza tym był kłamcą, oszczercą, zachowywał się jak pomyłony. Miał na jej punkcie jakąś obsesję, chodził za nią krok w krok, aż w końcu wynajął detektywa, aby ten śledził ją wtedy, gdy sam nie mógł tego czynić.

- Proszę jeszcze powiedzieć, jakie uczucia żywiła pani siostra wobec oskarżonego?

## 113

- Jeśli Sissy zdarzyło się kiedykolwiek kogoś nienawidzić, to chyba właśnie jego. - Zamilkła na chwilę, by przełknąć ślinę. - Przede wszystkim jednak bała się tego człowieka.

MacDonald zadbał o to, aby nie zepsuć dramatycznego efektu tych słów. Pozwolił, by zawisły one w powietrzu, i dopiero po dłuższej chwili, gdy na sali naprawdę powiało grozą, powiedział:

- Dziękuję, pani Tompkins. Nie mam już żadnych pytań. Sąd zawiesił w tym momencie rozprawę do następnego dnia.

Po wyjściu z sali przysięgli udali się do przydzielonego im pokoju, by zabrać stamtąd swoje rzeczy. Tym razem wszyscy milczeli. Libby zdjęła z wieszaka płaszcz, przewiesiła torbę przez ramię i skierowała się ku windzie.

Towarzyszył jej Alex, ale właściwie nie zamienili ze sobą ani słowa. Miała wrażenie, że tego wieczoru nikt z ich grona nie będzie miał ochoty z kimkolwiek rozmawiać.

Zamordowany został człowiek. Tyle wiedzieli od początku. Ale jak dotąd była to abstrakcja. Teraz dopiero zaczęła przybierać ona kształt indywidualnej ludzkiej istoty.

9.

Wyglądało na to, że refleksyjny nastrój, w jakim przysięgli opuszczali wczoraj sąd, utrzymał się aż do rana. Była już środa. Libby przybyła tego dnia do sądu jako przedostatnia, za dwie minuty dziesiąta, i gdy zajmowała miejsce, usłyszała, jak zebrani mruknęli coś ponuro, co należało zapewne rozumieć jako powitanie. Alex podsunął jej przed nos najnowszy numer „Daily News”, tak niesamowicie powycinany, że na pierwszej stronie został właściwie tytuł i logo pisma, prognoza pogody, wykaz najważniejszych wiadomości sportowych i zapowiedź wywiadu z jakąś ważną osobistością.

- Ciekawe, czy ktoś czuje się równie podle jak ja? - spytała Libby.

- Równie podle? - odezwała się Melissa. - Nie. Znacznie gorzej.

- Nie tylko ti - zauważyła Elena. - Wszystkich to bardzo przignębiło.

- Zabroniono nam dyskutować o sprawie - oświadczyła twardym niemieckim akcentem Debrilla.

- Też coś! - prychnęła gniewnie pani Smythe-Daniels, szarpiąc swój perłowy naszyjnik.

Pijaczek Bob westchnął ciężko, opadł na stół i skrył twarz w zgięciu ramienia. Siedzący obok Clay, ponury czarny księgowy, wykrzywił twarz i zaczął się wachlować dłonią. W pokoju rzeczywiście panował zaduch.

Uchyliły się drzwi i do pokoju zajrzał Chuck.

- Czy jesteście państwo w komplecie?

- Tak - odpowiedziała mechanicznie Adelaide. - Zaraz, zaraz - zreflektowała się po chwili. - Nie, jeszcze nie.



Nawet i ona sprawiała wrażenie przygnębionej. Ubrana dziś była w nader konwencjonalną czarną flanelową spódnicę i sweter. Do tego zaś w te same co poprzednio czerwone sportowe buciki i leginsy, tym razem w biało-czerwone pasy. Dziwny to był zestaw, choć z pewnością ubrała się tak, by dać wyraz szacunku dla ofiary. Bezsprzecznie tak samo ubrałyby się na pogrzeb.

- Odczytamy zatem listę - oznajmił Chuck i zerknął na przypiętą do twardej podkładki kartkę. - Adelaide Freid.
- Obecna!
- Clay Millerton.
- Obecny!
- Cornelia Winslow.
- Jestem!
- Robert Shannon.

Zebrani usłyszeli jakieś stłumione mruknięcie.

- Jest tu, jest - oświadczyła Adelaide, wskazując na Boba palcem.
- Rupert Slotnik... Aha, jego już nie ma - mruknął jakby do siebie Chuck i zaczął wykreślać coś na swojej liście.
- Co to znaczy, że go nie ma? - domagał się wyjaśnień księgowy Clay.

Chuck wahał się przez chwilę.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Nie leży to w moich kompetencjach - oświadczył wreszcie.
  - A to czemu? - zdumiała się Elena.
  - Popełnił widać samobójstwo, żeby się od tego wykręcić - zauważył pod nosem Clay.
  - Od czego? Od udziału w tej sprawie? - zdumiała się Libby. Kątem oka spostrzegła, że Chuck spojrzał skonsternowany na Claya. - O Boże! - jęknęła. - Przecież on nie mógł czegoś podobnego zrobić!
  - Proszę was - zaczął Chuck - zapomnijcie o tym na moment. Nie musicie się o nic martwić.
- Przysięgli wymienili między sobą niepewne spojrzenia. Wyraźnie byli przestraszeni.

- Ronald Levinson - odczytał kolejne nazwisko Chuck.

- Obecny.

Chuck nie wytrzymał wzroku Libby.

- No więc dobrze - skapitulował. - Powiem tyle: nie popełnił żadnego samobójstwa.

- Ktoś go załatwił? - spytał Alex. Hipotezę tę Chuck zostawił bez odpowiedzi.

- DebrillaRifs... Risften...

- Riftental - poprawiła.

- Aha, obecna - mruknął Chuck. - Melissa Grant.

- Jestem!

- Dayton Donez.

- Obecny!

- Bridget Bell.

- Obecna!

- Elena Sartoza. i

- Dzień dobri, dzień dobri! Jestem!

- Doskonale. Teraz jeszcze zastępcy. Basia Mendyzak.

- Jestem!

Chuck przyjrzał jej się badawczo.

- Jak ząb? - spytał.

- Dziękuję. Znacznie lepiej.

- No to Bogu dzięki! - powiedział nie wiadomo dlaczego Chuck. - Eleonora Smythe-Daniels.

- Jestem!

- Stephen Cadalone.

- Obecny!

- I... William Klein.

- Obecny!

- Świetnie! - oświadczył Chuck. - Na chwilę was jeszcze zostawię samych i zawiadomię sąd, że jesteście.

Po wyjściu strażnika w pokoju zaległa cisza. Pierwsza nie wytrzymała Libby:

- Chyba nie myślicie, że on umarł? - wyrwało jej się.
- Kto? - spytał Alex. - Aha, Rupert. No... na specjalnie zdrowego to on nie wyglądał.

- Nie pokażą nam chyba zdjęć zwłok? - zaniepokoiła się Bridget.
- Czyich zwłok? Ruperta? - zainteresowała się Debrilla.
- Co ti wigadujesz? Nie Ruperta, tylko ofiary - obruszyła się Elena.
- Mogą nam pokazać - stwierdziła Melissa.
- I będziemy wówczas musieli je oglądać? - spytała naprawdę już przerażona Bridget.
- Równie dobrze mogą nam ich nie pokazać - próbował uspokoić ją William. - Wszystko zależy od tego, czy zostaną dopuszczone jako dowód. Obrona na pewno stanie na głowie, żeby je wykluczyć.
- Mamy nie rozmawiać o sprawie! - upomniała ich Debrilla.
- Jawohl, Herr Kommandant! - mruknął półgłosem Alex. Drzwi uchyliły się i do pokoju zajrzał Chuck.
- W porządku! - obwieścił. - Możemy już iść.

Wchodząc na salę sądową, doznawało się dziwnych i sprzecznych emocji. Libby czuła na sobie wzrok dziesiątków ludzi i doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że wpatrują się oni w nią i w jej współtowarzyszy po to, by zarejestrować każde drgnienie twarzy, każdy gest, i na ich podstawie snuć prognozy odnośnie wyroku. Te spojrzenia bardzo ją onieśmiały. Jednocześnie zaś owo ceremonialne wkraczanie na salę przydawało miejscu powagi i dostojeństwa. Wyczuwało się to jednoznacznie i Libby, chcąc sprostać swojej roli, przybrała nieprzenikniony wyraz twarzy, by nie dać nikomu pretekstu do tanich spekulacji i przypuszczeń.

Siostra ofiary, pani Tompkins, siedziała już na miejscu przeznaczonym dla świadka.

- Wszyscy sędziowie przysięgli stawili się na rozprawę - oznajmił woźny sądowy.
- Bardzo dobrze. Wznawiam więc rozprawę - oznajmiła pani sędzia Williams. - Na wstępie pozwolę sobie pochwalić sędziów przysięgłych za to, że dziś zjawili się na czas w komplecie. Tak właśnie powinno być. - Zrobiła pauzę i przez chwilę wertowała swoje notatki. - Skład ławy przysięgłych ulegnie dziś zmia-

nie. Przysięgły numer sześć, pan Rupert Slotnik, zwolniony został od udziału w sprawie ze względów zdrowotnych. Tak więc w skład ławy powołana zostaje pierwsza spośród naszych czworga zastępców, pani Basia Mendyzak, która staje się oto przysięgłą numer sześć. Pani Mendyzak, proszę zająć miejsce po panu Rupercie.

Basia Mendyzak usiadła na ostatnim krześle w pierwszym rzędzie.

>- Możemy więc kontynuować - stwierdziła pani Williams.

- Pragnę przypomnieć świadkowi, pani Jill Tompkins, że zgodnie ze złożoną w dniu wczorajszym przysięgą, ma ona mówić prawdę i tylko prawdę.

Pani Tompkins z powagą skinęła głową.

- Panie Geiggen! Obrona może przystąpić do zadawania pytań świadkowi oskarżenia.

- Tak jest, Wysoki Sądzie - odrzekł Geiggen. Wstał i przeszedł obok stołu MacDonalda, by stanąć blisko ławy przysięgłych.

- Dzień dobry pani - rozpoczął nadzwyczaj uprzejmie. - Proszę się nie niepokoić, gdyż nie zamierzam zadrećcać pani taką ilością drobiazgowych pytań, jak to zrobił w dniu wczorajszym oskarżyciel. Interesują mnie właściwie jedynie dwie kwestie.

- Zawiesił głos i powrócił do stołu obrony, by zajrzeć do swych notatek. Libby odniosła wrażenie, że oczekująca na miejscu dla świadków kobieta staje się coraz bardziej spięta. Geiggen odczekał chwilę, po czym zbliżył się do niej ponownie. - Słyszeliśmy tu wczoraj, że pani siostra miała wielu przyjaciół. Tak pani zeznała, prawda?

- Tak.

- A od jak dawna mieszkała ona w Nowym Jorku?

- Od pięciu lat.

- I wedle pani oceny, ilu mogła mieć tych... jak to pani ujęła, przyjaciół?

- Przepraszam, ale nie rozumiem?

- Chodzi mi o to, żeby pani spróbowała określić, ilu przyjaciół, w przybliżeniu, mogła mieć pani siostra w tym czasie, gdy mieszkała w Nowym Jorku?

- Chodzi panu o bliskich przyjaciół czy po prostu o znajomych?

- Zaczniemy od bliskich przyjaciół... Ludzi, do których mogła w każdej chwili zatelefonować, z którymi mogła pogadać, spotkać się. Pójść na kawę albo do kina...

- No... na pewno sporo. Pewnie około dwudziestu pięciu.

- A znajomych? Ilu też mogła mieć znajomych?

- Boże drogi! Skąd ja mam wiedzieć! - obruszyła się pani Tompkins, wznosząc oczy do góry. - Ktoś, kto pracuje jako modelka, spotyka dosłownie setki ludzi.

Geiggen z powagą skinął głową, po czym zwrócił się w stronę ławy przysięgłych i zadał kolejne pytanie:

- A więc jest ze wszech miar prawdopodobne, że pani siostra w trakcie swego pobytu w Nowym Jorku spotkała się co najmniej z trzystoma różnymi osobami?

Siedząca na miejscu dla świadków kobieta przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Chyba tak - odparła. - Co najmniej z trzystoma.

- I większość z nich stanowili mężczyźni?

- Raczej tak.

- Bardzo dobrze - skomentował Geiggen. Odwrócił się i podszedł blisko do składającej zeznania. - Usłyszeliśmy wczoraj także, że pani siostra była nadzwyczaj piękną kobietą. Czy to prawda?

- Tak.

- Chciałbym to uściślić. Rozumiem, że nie tylko ci, którzy ją kochali, ale praktycznie biorąc, cały świat skłonny był uważać ją za piękną kobietę. Nieprawdaż?

- Tak jest.

- Zeznała pani wczoraj, że pani siostra miała problemy... Chwileczkę... - Geiggen ponownie zawiesił głos, skierował się do stołu obrony, by zabrać pozostawione na nim notatki. - Mówiła pani o rozmaitych „pomyleńcach, którzy ją również nachodzili”. Chyba takiego właśnie użyła pani sformułowania, prawda?

- Tak.

- Po czym wyjaśniła pani, że... Tu posłużę się cytatem: „Zdażyła do tego przywyknąć. Była to cena, jaką płaciła za urodę.” Koniec cytatu. Czy są to pani własne słowa?

- Tak.

- A więc prawdą jest, że z uwagi na wybitną urodę pani siostra częstokroć nachodzona była przez rozmaitych pomy-leńców?

- Może użyłam tu zbyt mocnego słowa. No... chodzili za nią... rzeczywiście. Przysyłali jej rozmaite rzeczy. Tacy nie chcieli adoratorzy. Czasem również i pomyleńcy.

- Rozumiem. A ile razy zdarzyło się pani siostrze być prześladowaną przez tych... jak ich pani nazwała „nie chcianych adoratorów”?

- Nie mam pojęcia.

- No, dobrze. Ale jak pani sądzi? Pięć razy?

- O, tak.

- Więcej niż dziesięć?

- Na pewno.

- A może pięćdziesiąt?

- Więcej. Tak przynajmniej mi się wydaje - odpowiedziała pani Tompkins i wypła łyk wody.

- Dlaczego pani tak sądzi?

Jill Tompkins obrzuciła obrońcę zniecierpliwionym spojrzeniem.

- Czy oglądał pan jej zdjęcie? Adwokat z powagą skinął głową.

- Owszem, łaskawa pani. I muszę przyznać, że wydała mi się ona jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widziałem.

Teraz z kolei pani Tompkins skłoniła powoli głowę. W jej oczach zalśniły łzy.

- Dziękuję pani. To już wszystko - stwierdził adwokat i wrócił na swoje miejsce za stołem obrony.

Dlaczego przerwał w tym momencie przesłuchanie? Wszyscy byli zdumieni, nawet pani Williams.

- Czy obrona zastrzeżę sobie prawo do ponownego przesłuchania świadka? - zwróciła się do Geiggena.

- Nie, Wysoki Sądzie. Uważam, że pani Tompkins należy oszczędzić kolejnych stresów.

Ława przysięgłych zareagowała na to oświadczenie zbiorowym westchnieniem ulgi.

- Dziękuję. Świadek jest wolny. Oczywiście może pani nadal przysłuchiwać się rozprawie. Czy oskarżenie gotowe jest do przedstawienia następnego świadka?

- Tak jest, Wysoki Sądzie. Oskarżenie wzywa obecnie inspektor Brendę Watts.

Strażnik sądowy pośpieszył natychmiast, by wprowadzić nowego świadka. Pani Tompkins opuściła podium, przeszła na tyły sali i zajęła miejsce w ostatnim rzędzie. Na moment przytknęła dłoń do czoła, ale po chwili opuściła rękę i siedziała nieruchomo, patrząc przed siebie.

Na salę powrócił strażnik, zbliżył się do pani Williams i szepnął jej coś na ucho. Prowadząca rozprawę poprosiła, aby strony procesowe podeszły do ławy sędziowskiej. Mijały minuty. Grupa prawników prowadziła dyskusję protokołowaną przez stenografkę. Gdy wszyscy wrócili wreszcie na swoje miejsca, pani sędzia Williams spojrzała na zegar ścienny i zwróciła się do ławy przysięgłych:

- Świadek znajduje się właśnie w drodze do sądu, w związku z czym będziecie państwo mieli dziś wyjątkowo długą przerwę na lunch. Pozwolę sobie przypomnieć, że nie wolno wam rozmawiać o sprawie zarówno z osobami postronnymi, jak i ze sobą nawzajem. Rozprawa zostanie wznowiona punktualnie o drugiej. Dziękuję państwu.

- Libby, czy nie poszłabyś ze mną na lunch? - spytał ją William z Wall Street, gdy tylko znaleźli się w pokoju przysięgłych.

- Przykro mi, ale powiedziałam już Alexowi, że...

- Wobec tego bardzo przepraszam - wycofał się szybko.

- Nie masz za co przepraszać - powiedziała z uśmiechem. - To miło, że mnie zaprosiłeś.

Właśnie zjawił się Alex.



- Gotowa jesteś? - spytał, podając jej płaszcz.

- Tak - bąknęła. - Słuchaj - dodała zaraz - nie masz nic przeciwko temu, żeby towarzyszył nam William?

Alexowi wyraźnie nie spodobała się propozycja, którą rzuciła Libby. Zrobił rozgoryczoną minę, po czym wzruszył ramionami i rozejrzał się dokoła.

- Może i ty byś się z nami wybrała? - zwrócił się do Melissy.

Pijaczek Bob stał samotny tuż obok i przysłuchiwał się rozmowie. Wyglądał jakoś tak rozpaczliwie, że Libby zrobiło się go żal. Przyzwoitość nakazywała również i jego zaprosić.

- Idziesz z nami, Bob?

Tym razem Alex wyraźnie się rozweselił. Wyszczерzył zęby i zwrócił się do wszystkich zebranych:

- Słuchajcie! Wybieramy się w kilka osób na lunch do „Amsterdamu”. Może ktoś z was chciałby się do nas przyłączyć?

W rezultacie zabrał się z nimi William, Mellisa, pijaczek Bob i małolat Ronnie. Reszta podziękowała za zaproszenie, z wyjątkiem pani Smythe-Daniels, która popatrzyła na nich tak, jakby postradali zmysły.

„Amsterdam” okazał się przyjemną restauracją, a w dodatku szcześnie udało im się znaleźć wolny sześćoosobowy stół. Skończyło się na tym, że Libby i Alex zajęli - jak na gospodarzy przystało - honorowe miejsca po przeciwległych stronach stołu. William i Melissa szybko usiedli obok Libby, skazując tym samym biednego Alexa na bezpośrednie sąsiedztwo Ronnie'ego i pijaczka Boba, który zdążył już jakimś sposobem zadbać o to, by na stole znalazła się przed nim butelka z piwem.

Wszyscy studiowali teraz pilnie menu. Libby oderwała na chwilę wzrok od karty i zwróciła się do Williama:

- Chciałam ci zadać pytanie natury osobistej.

- Proszę cię bardzo-odparł z uśmiechem.

- Dlaczego używasz imienia „William”? - Wydało jej się, że mężczyzna zachnął się jakby trochę, dodała więc szybko: - Chodzi mi o to, dlaczego „William”, a nie „Will”? Moim zdaniem imię Will bardziej by do ciebie pasowało.

- Widzisz... trudno wprost uwierzyć, ale w istocie powinienem się nazywać William Seymour Klein Trzeci. Co byliby, przyznasz, trochę pretensjonalne - wyjaśnił. - Mój dziadek nazywał się Will... To znaczy, ludzie tak się do niego zwracali. Mojego ojca przez długi czas wołano „Willie”, choć potem, gdy był już dorosły, zażyczył sobie, by nazywano go „Billem”. Kiedy przyszedłem więc na świat, moi bliscy mieli niewielki wybór.

- No tak - wtrąciła Melissa. - Willie, Billy albo William.

- No właśnie! Oczywiście przeważył głos mojej mamy, która optowała za tą, najbardziej dostojnie brzmiącą, wersją. Libby roześmiała się.

- Mój dziadek był wspaniałym facetem - ciągnął dalej. - Przybył tu z Niemiec, a żeby już zupełnie pasowało do stereotypu, był w dodatku bankierem. I to, wiecie, bankierem w wielkim stylu. Osiadł z żoną i z dziećmi w Chicago i finansował tam budowę mostów, autostrad, domów mieszkalnych, wręcz całych dzielnic. Jego ulubioną opowieścią była historia o tym, jak finansował elektryfikację południowych peryferii Chicago. - William zamilkł na chwilę i pokręcił w zamyśleniu głową. - Dumny był z tego, że jest Amerykaninem. Niesamowicie fascynowała go ta nowa ojczyzna. - Spojrzał na Libby. - Rozumiesz, Czym była wówczas dla niego Ameryka? - Skinęła głową, a William zwrócił się do Melissy: - Dziadek Will zwykł był mawiać, że człowiek potrafi w pełni docenić wolność dopiero wówczas, gdy zostanie mu zabrana. A on ją tu po prostu odzyskał.

Libby z uwagą przyglądała się Williamowi. Zdumiała ją przemiana, jaka nagle w nim zaszła. Jego niebieskie oczy zaśniły, na policzkach pojawiły się rumieńce, promieniowała od niego jakaś niezwykła wprost godność i prawość. Najbardziej zaś urzekał jego uśmiech, który zdawał się wyrażać głęboką czułość i przywiązanie do przodka.

- Nie żyje już? - spytała go.

- Nie. Umarł w osiemdziesiątym dziewiątym. - William zamknął kartę i odłożył ją na stół. - Czasami myślę, że dobiły go afery, które wykryto wówczas w systemie bankowym. Nie był w stanie zrozumieć, jak można było do tego dopuścić. Większość

bankierów zamieszanych w te finansowe matactwa absolutnie nie była Żydami, ale co z tego... Dziadek zamartwiał się, że ludzie przeoczą ten fakt i znowu zaczną... - Spojrzał ponownie na Libby. - Bał się antysemityzmu. Tego, czego doświadczył w hitlerowskich Niemczech. - Wzdrygnął się. - Przepraszam, jeśli was uraziłem - zreflektował się po chwili.

- Skądże znowu - zaprzeczyły Libby i Melissa.

- Przyjemnie jest pogadać z kimś, kto ciepło i z szacunkiem mówi o swoich przodkach - zauważyła Melissa. - Prawie się już to teraz nie zdarza. Naprawdę można odnieść wrażenie, że nikt nie słucha starszych i nie zadaje sobie fatygi, by zapamiętać to, co mówili dziadkowie.

- Mnie się to jeszcze udało - wtrąciła Libby. - Miałam wspaniałą babcię.

- Jesteś z Ohio. Dobrze zapamiętałem? - spytał ją William

- Tak.

- Aty?-zwrócił się do Melissy.

- Z Los Angeles.

- Naprawdę? - zdziwiła się Libby. - To nikt z nas nie jest z Nowego Jorku?

Zjawiała się kelnerka i wzięła od nich zamówienia. Cała trójka ^poprosiła o sałatki.

- Ludzie! O czym wy tam rozmawiacie? - zapytał z drugiego końca stołu Alex.

Biedak! Libby poczuła się niewyraźnie. Przed Bobem stały już teraz dwie butelki piwa, Ronnie terkotał jak karabin maszynowy, opowiadając coś Alexowi, ale ten najwyraźniej go nie słuchał. Patrzył natomiast z niemym wyrzutem przez stół, jakby chciał spytać Libby: „Jak mogłaś mnie tu samego zostawić?”

- Tak sobie gadamy! - odparła wesoło, po czym zwróciła się do Williama. - Słuchaj... wracając do twego imienia... Spojrzał na nią pytająco.

- Skoro twojego dziadka nie ma już na świecie, to przecież możesz spokojnie poprosić przynajmniej kilku znajomych, żeby nazywali cię Willem. Starszy pan z pewnością ucieszyłby się, gdybyś tak zrobił. Bo ty naprawdę wyglądasz jak Will, a nie

żaden William. Przynajmniej dla mnie, gdy już cię trochę poznałam. Wiesz - zawahała się - przyznam ci się, że to chyba ten garnitur w prążki w połączeniu z imieniem William źle mnie początkowo do ciebie nastawił. William spojrzał na Melisę.

- Wiecie, jak to było, dzieci? - zaczął mówić z przekornym uśmiechem. - W dziewięćdziesiątym piątym roku zdarzyło mi się pełnić obowiązki przysięęgo. Miałem już trzydzieści sześć lat na karku, ale co tam! Pewnego dnia, siedząc sobie w restauracji „Amsterdam”, doszedłem do wniosku, że pewna bardzo dziwna pani, którą spotkałem, miała rację. W związku z czym postanowiłem...

- Przepraszam, jak powiedziałaś? - przerwała mu ze śmiechem Libby. - Bardzo dziwna pani?

- Bardzo dziwna, sławna pisarka, którą miałem zaszczyt spotkać - dopowiedział - miała rację, że powinienem zmienić imię na Will. I tak też natychmiast uczyniłem.

- Kiedy ona rzeczywiście ma rację - wtrąciła Melissa. - Will będzie się lepiej sprzedawał. Już ja się na tym znam.

- A właściwie... czemuż by nie? - zgodził się wreszcie. - Zawsze powtarzałem mamie, że jedynymi osobnikami noszącymi to imię są królowie i kamerdynerzy. A jakoś nigdy nie aspirowałem do żadnej z tych ... - przerwał w pół zdania, widząc jak Bob, który siedział naprzeciw niego, daje nagle nura pod stół. William odchylił rąbek obrusa i schylił się.

- Nic ci nie dolega? - spróbował dowiedzieć się, o co chodzi. Bob wymamrotał coś w odpowiedzi. William natychmiast opuścił obrus.

- Prosił nas, żebyśmy siedzieli spokojnie i udawali, że go tam nie ma - powtórzył.

- O Jezu! Chyba nie przydarzyło mu się to, co prezydentowi Bushowi w Japonii? Mam nadzieję, że nie zasłabł?

- Co on tam robi? - spytała Libby, zwracając się do Williama. Sytuację pod stołem zbadał z kolei Alex.

- Siedzi w kucki - relacjonował, opuszczając obrus. - Trzyma palec na ustach i syczy na mnie. Chyba mnie ucisza.

- Myślę, że się przed kimś schował - stwierdził William, przyglądając się jakiemuś mężczyźnie, który zajął przed chwilą miejsce w rogu sali. Wsadził głowę pod serwetę i zwrócił się do Boba z jakimś pytaniem. Tamten coś mu odpowiedział, William wyjrzał spod stołu, spojrzał w kąt sali, schylił się i znowu coś zakomunikował. Bob powolutku wynurzył się z kryjówki i znieruchomiał skulony na krześle. Patrzył wyczekująco na Williama, a gdy ten powiedział w pewnym momencie „Teraz!”, zerwał się z miejsca i wybiegł z restauracji.

- Pewnie był komuś winien pieniądze, no nie? - odezwał się Alex.

- Tego nie wiem - odparł William. - Wiem natomiast na pewno, że za chwilę przyniosą nam tu dodatkową porcję kanapek z mięsem.

- Nie wspominając już o rachunku za dwa piwa - mruknął Alex.

- Ja to ureguluję - zaofiarował się William.

- Nie mówiłem tego po to, żeby wyciągać od ciebie te parę centów - powiedział urażonym tonem Alex.

Podano im lunch. Było przyjemnie i radośnie aż do chwili, gdy Melissa i William zaczęli rozwodzić się nad tym, jak też wspaniale musi się czuć człowiek, który jest pisarzem. Libby nie miała ochoty opowiadać im w tym momencie o własnej kończącej się karierze, uśmiechała się więc i bąkała pod nosem „tak”, „oczywiście”, „miałam wiele szczęścia”. Gdy skończyli jeść, William przeprosił ich i poszedł do telefonu, by zadzwonić do swego biura.

Alex szybciotko wślizgnął się na jego miejsce.

- Lepsza połowa stołu. Nie ma to jak towarzystwo pięknych, inteligentnych kobiet.

Rozmawiali przez pewien czas o pracy Melissy i o tym, jak musiała, właśnie w związku z pracą, przeprowadzać się z Los Angeles do San Francisco, a potem - zanim wylądowała wreszcie w Nowym Jorku - do Chicago. To bardzo sympatyczna kobieta, pomyślała o niej Libby, choć wyczuwało się w niej coś dziwnego, pewien rodzaj ostrożnej rezerwy. Dość swobodnie

mówiła o wszystkim, co wiązało się z jej pracą, ale jak dotąd nie zrobiła najmniejszej wzmianki na temat swego życia osobistego. Zabawne.

Libby potrafiła to zauważyć, gdyż zawsze starała się prowokować ludzi, by opowiadali jej o sobie, o swoim życiu i doświadczeniach. Stanowiło to dla niej stałe, ożywcze źródło nowych informacji, idei i pomysłów; dostarczało materiału, który przy pisaniu powieści okazywał się wprost bezcenny. Jeśli więc ktoś - tak jak Melissa - potrafił zgrabnie i taktownie torpedować te prowokacje, to musiał mieć za sobą lata praktyki.

- O! Już do nas idzie - mruknął Alex, spostrzegłszy Williama, który zszedł właśnie ze schodów i skierował się do ich stolika. - Nie masz chyba pretensji, że zająłem ci miejsce?

- Nie, w porządku - powiedział William. Ruszył w stronę miejsca Alexa, po czym zatrzymał się nagle i wrócił po szklanke z wodą mineralną.

- Dzwoniłeś do swojej kobiety? - spytał go Alex.

- Słucham?

- Masz przecież dziewczynę, prawda?

William, wyraźnie zmieszany, zwlekał z odpowiedzią.

- No przecież mieszkasz z jakąś panienką? - indagował go obcesowo Alex.

- No... tak - bąknął William i usiadł przy stoliku.

- Wiedziałem o tym - powiedział ściszym szeptem Alex. Spojrzał tryumfalnie na Libby. - Założę się, że tym się przed tobą nie pochwalił.

10.

Wyszli z „Amsterdamu” i udali się spacerkiem do sądu. Po godzinach spędzonych w restauracji wspaniale oddychało się chłodnym powietrzem. Na dole pokazali przepustki i pojechali na górę. Kiedy dotarli wreszcie na szesnaste piętro, w przejściu, którym wychodziło się z wind na główny korytarz, czekał już na nich strażnik sądowy Chuck.

- Idźcie prosto do waszego pokoju - powiedział podenerwowanym tonem. - I z nikim proszę po drodze nie rozmawiać. Jasne?

- Przecież mamy jeszcze dwie minuty - zaprotestował Alex, spojrzawszy na zegarek.

- Proszę przejść prosto do pokoju - powtórzył Chuck. Cała grupa, trochę zaskoczona poleceniem strażnika, ruszyła korytarzem do poczekalni dla przysięgłych. Alex i Melissa znaleźli się na czele, Libby została trochę z tyłu.

- To niezupełnie tak jest - odezwał się do niej przyciszonym głosem William.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Co takiego?

- Nie jest tak, jakby się wydawało - powtórzył. - Jestem właśnie w trakcie... rozstawania się z kimś.

- Aha! Rozumiem - odparła, udając, że dopiero teraz zorientowała się, o co mu chodzi. Rzecz w tym, że wiedziała o tym od początku. I miała nawet do siebie pretensję, że cała ta historia z Williamem z Wall Street ją zdenerwowała. Zaraz po wejściu do pokoju dowiedzieli się od Eleny, dlaczego Chuck był zdenerwowany.

- Diksonowi...

- Daytonowi -poprawiła ją Debrilla.

- ... ktoś złożył propozycję. Dziesięć tysięcy dolarów, tylko za to, żeby się dowiedzieć, co się w tym pokoju będzie działo.

- O Boże! - przeraziła się Libby.

- I teraz sąd go o wszystko wipituje - zakończyła Elena. Niechętny światu księgowy Clay prychnął pogardliwie.

- Dziesięć tysięcy! Widzieliście, na ile go wycenili? Gdyby trafili na kogoś z was - zwrócił się do grupy świeżo przybyłych - to zaoferowaliby przynajmniej dwadzieścia pięć.

Adresaci tego przemówienia - Libby, Alex, Melissa, William i przylizany małolat Ronnie - stali nadal w drzwiach, nie bardzo wiedząc, co o tym myśleć.

- Dlaczego? - Debrilli, jako osobie postronnej, łatwiej było zadać Clayowi to pytanie.

- Bo są biali - wyjaśnił. - A dla białych dziennikarze mają inną takse.

- Nie sądzę, żeby było aż tak źle - powiedziała Bridget.

- Zaraz, zaraz - wtrąciła się Libby. - Kto mu złożył propozycję? Jakiś reporter?

- Chiba tak - powiedziała Elena.

Do pokoju weszli Basia i programista Stephen. Oboje natychmiast spytali, co się stało, i w chwilę potem wszyscy zaczęli mówić naraz, w związku z czym nic nie można było zrozumieć. W trakcie tego zamieszania wpadła pani Smythe-Daniels, a po upływie dalszych pięciu minut drzwi otworzyły się ponownie i ukazał się w nich strażnik oraz główny bohater zdarzenia -Dayton.

- Proszę usiąść - powiedział Chuck, czekając, aż Dayton zajmie miejsce przy oknie. - Pani sędzia Williams wezwała teraz na salę reporterów i uprzedza ich właśnie, że jeśli któryś z nich zostanie przyłapany na próbie zamienienia choćby słowa z kimkolwiek z ławy przysięgłych, to wszystkich ich razem oskarży o obrazę sądu, powsadza do aresztu i zabroni im wstępu na salę sądową.

Przysięgli znowu zaczęli mówić jednocześnie, głównie zadając jakieś pytania.



- Tak, tak - potwierdził Chuck. - W czasie przerwy na lunch jeden z tych gnojków zaczepił pana Doneza na ulicy i zaproponował mu konkretne pieniądze za udzielenie wywiadu. Na szczęście pan Dayton, co mu się bardzo chwali, wrócił do sądu i natychmiast o tym doniósł.

- Brawo, Dayton! - zawołała Libby. Kilka innych osób zaraz to powtórzyło.

- Pani sędzia Williams za chwilę będzie z wami rozmawiać - ciągnął dalej Chuck. - Na razie prosiła mnie, abym powiedział w jej imieniu tyle: jeśli ktokolwiek próbowałby nagabywać was o informacje związane z tą sprawą, to macie natychmiast donieść o tym mnie lub innemu funkcjonariuszowi sądowemu. Nieuczynienie tego może być wystarczającym powodem do unieważnienia procesu.

Wszyscy zamilkli na chwilę. Nikomu nie przyszło dotąd do głowy, że ktoś byłby skłonny zapłacić im za udzielanie informacji o sprawie. Dziesięć tysięcy dolarów, wbrew kpinom, na jakie pozwolił sobie przed chwilą Clay, to były spore pieniądze. Same spadłyby jak z nieba.

- Od dzisiaj - oznajmił Chuck - korzystać będziecie z osobnego, służbowego wejścia. I powtarzam raz jeszcze: jeśli ktokolwiek będzie próbował rozmawiać z wami na temat sprawy, macie natychmiast poinformować nas o tym.

Po upływie pięciu minut wprowadzono przysięgłych na salę sądową, gdzie pani sędzia Williams, rzeczywiście bardzo rozgniewana, wygłosiła tyradę na temat niecznych praktyk dziennikarskich.

- Panie i panowie przysięgli - zakończyła - jeśli ktokolwiek... powtarzam, ktokolwiek z wyjątkiem mnie i innych uprawnionych do tego pracowników sądu ponowiłby próby podpytywania was o cokolwiek związanego z procesem, macie obowiązek natychmiast nas o tym poinformować. Sprawca zostanie wówczas postawiony w stan oskarżenia i ukarany zgodnie z literą prawa. Czy wyraziłam się dostatecznie jasno?

Piętnaście osób przytaknęło skinieniem głowy.

- Bardzo dobrze - powiedziała sędzia Williams. - Oskarżenie zechce nam teraz przedstawić następnego świadka. Do złożenia zeznań wezwana została inspektor Brenda Watts.

Po chwili szła już przez salę, by zająć miejsce na okolonym barierką podium. Świadek została zaprzysiężona i na wstępie zapytano ją o przebieg jej kariery zawodowej. Obecnie pracowała jako oficer śledczy w manhattańskim wydziale zabójstw. Natomiast wtedy, gdy przed nocnym klubem padły feralne strzały, a więc dziewiętnaście miesięcy temu, była funkcjonariuszem mundurowym. Z sześcioletnim stażem. Awansowała półtora roku temu. MacDonald przeszedł wreszcie do sedna sprawy. Sędziowie przysięgli zamienili się w słuch, oczekując, co świadek będzie miała do powiedzenia. Po czym usłyszeli mniej więcej tyle: cztery minuty po drugiej w nocy ktoś zadzwonił do komisariatu, informując o strzelaninie przed nocnym klubem „Belle”; świadek wraz z towarzyszącym jej innym funkcjonariuszem mundurowym dotarła na miejsce dwanaście po drugiej; lekarz pogotowia stwierdził zgon poszkodowanej dwadzieścia sześć minut po drugiej. Następnie przystąpiono do rutynowych czynności, zabezpieczając miejsce popełnienia przestępstwa oraz przesłuchując świadków. Sucha, profesjonalna relacja. Na zewnątrz budynku jakaś ekipa budowlana włączyła młot pneumatyczny, w związku z czym pani sędzia Williams nakazała zamknąć okna, co nie było najlepszym rozwiązaniem, gdyż po kilku minutach każdy z zasiadających w ławie przysięgłych zaczął ziewać z braku tlenu.

MacDonald przystąpił do przedstawiania dowodów rzeczowych w postaci zdjęć. Były to fotografie chodnika, na którym rozegrała się tragedia. Przysięgli nie dostali tych fotografii do obejrzenia, ale mieli okazję przelotnie się im przyjrzeć, gdy MacDonald pokazywał je świadkowi. Widok zbryzganego krwią chodnika początkowo oczywiście ich zaszokował, ale bardzo szybko okazało się, że zdjęcia nie są specjalnie interesujące. Przedstawiono ich już sześć, za każdym razem brnąc przez dokładnie taką samą, rutynową procedurę. a gdy MacDonald poka-

132

zał kolejne zdjęcie tego samego chodnika (tyle że sfotografowanego pod innym kątem), Libby zaczęła ziewać. Przy takim tempie zapewne doczekają w sądzie wiosny.

- Wysoki Sądzie, oskarżenie wnosi o dopuszczenie tego oto zdjęcia jako dowodu rzeczowego numer siedem - oświadczył MacDonald.

- Proszę przedstawić zdjęcie rzecznikowi oskarżonego - poleciła sędzia Williams.

Sekretarz sądowy, który poprzednio uczynił to już sześciokrotnie, zaniósł zdjęcie i położył je na stole obrony.

Geiggen obejrzał je z obu stron, po czym wzruszył ramionami i oddał go oczekującemu przy stole urzędnikowi.

- Obrona nie wnosi sprzeciwu.

Sekretarz sądowy napisał coś na odwrocie zdjęcia, po czym obwieścił:

- Zdjęcie niniejsze dopuszczone zostało jako dowód rzeczowy numer siedem.

Zwrócił fotografię MacDonaldowi, który z kolei wręczył ją świadkowi oczekującemu na podium do składania zeznań.

Libby usłyszała w tym momencie, jak siedzący za nią Ronnie ziewnął rozpaczliwie.

- Pani inspektor Watts! - kontynuował MacDonald. - Zechce pani wyjaśnić przysięgłym, co przedstawia zdjęcie uznane przez Wysoki Sąd jako dowód rzeczowy numer siedem?

- Jest to zdjęcie chodnika, na którym zamordowana została ofiara. Pani Sissy Cook.

- Zgłaszam sprzeciw! - krzyknął Geiggen, zrywając się z miejsca. - Oraz prośbę, aby Wysoki Sąd pozwolił obronie podejść do ławy sędziowskiej.

Pani sędzia Williams spiorunowała go wzrokiem.

- W jakim niby celu? - obruszyła się.

- Proszę o wysłuchanie argumentacji w kwestii formalno-prawnej, której ława przysięgłych nie powinna się przysłuchiwać.

Sędzina tym razem popatrzyła na adwokata tak, jakby zamierzała rzucić w niego młotkiem (które to narzędzie służy zwykle do uciszania sali), po czym westchnęła ciężko i ogłosiła:

### 133

- Zarządzam krótką przerwę. Sędziowie przysięgli proszeni są o udanie się do swego pokoju. Przypominam, że nie wolno państwu rozmawiać o sprawie z żadnymi osobami postronnymi, jak również ze sobą nawzajem. Dziękuję państwu.

Przysięgli znowu znaleźli się we własnym gronie.

- Czy ktoś z was wie, co tu jest grane? - dopytywał się Alex.

- Ale coś smakowicie pachnie - zauważył Dayton, pociągając nosem.

- Kanapka ze stekiem. Położyłem ją na grzejniku, żeby była ciepła. Masz na nią ochotę? - zaproponował mu William.

- No pewnie. - Dayton sięgnął po torebkę. - Głodny jestem jak wilk. Puściłem bokiem dziesięć tysięcy dolców, a ten cały sąd nie szarpnął się nawet, żeby mi zafundować coś do przegryzienia. He ci jestem winien? - spytał Williama, przytykając już niemal kanapkę do ust.

- Nic. Drobiazg.

- Podaj mu serwetki - powiedziała Libby, wręczając je Alexowi.

Bob, do którego właściwie miała należeć kanapka ze stekiem, stwierdził nagle:

- Ja tam uważam, że śledcza coś kręci.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - krzyknęła prawie Melissa. - Przecież niczego nie zdążyliśmy się jeszcze od niej dowiedzieć.

- Chodzi o te zdjęcia - upierał się Bob. - Coś z nimi jest nie tak.

- Mnie się zdaje, że coś jest nie tak z jedną osobą w tym pokoju - burknął pod nosem Alex, co niektórych trochę rozśmieszyło.

- Zupełnie nie mogę się połapać, do czego komukolwiek są potrzebne te zdjęcia - stwierdził William. - Na wszystkich jest ten sam pochłapany krwią chodnik. -. Spojrzał na pałaszującego bułkę Daytona i poniewczasie się zreflektował. - Przepraszam. Zapomniałem, że jesz.

Dayton, z ustami pełnymi jedzenia, machnął ręką, dając znak Williamowi, żeby się nie przejmował.

- Nie wolno jest nam rozmawiać o sprawie - upomniała ich Debrilla.

- Nie musisz, moja droga, mówić tego tak głośno - wtrąciła się pani Smythe-Daniels. - Ale to prawda - dodała. - Rzeczywiście nie powinniśmy o tym rozmawiać.

W tym momencie, jakby wiedziony zawodowym instynktem, zjawił się Chuck.

- Proszę za mną. Wracamy na salę.

Dayton zdołał jeszcze wepchnąć do ust ostatni kęs kanapki, po czym wytarł je serwetką i ruszył w ślad za resztą przysięgłych. Na korytarzu klepnął Williama po ramieniu i powiedział:

- Dziękuję ci, chłopie. Gdybyś mnie nie poratował tą kanapką, tobym chyba zemdłał.

Gdy przysięgli zajęli swoje miejsca, Mac Donald podjął przerwane przesłuchanie policjantki. Libby odniosła wrażenie, że cała narada odbyła się jedynie po to, by odpowiadając na postawione powtórnie przez oskarżyciela pytanie, świadek użył sformułowania „Chodnik, na którym znaleziono ciało ofiary”, a nie „Chodnik, na którym została zamordowana Sissy Cook”.

- A ten chodnik znajduje się... - kontynuował MacDonald.

- Przed nocnym klubem „Belle”. Tam, gdzie znaleziono ciało ofiary.

- A gdzie mieści się ten klub?

- Na Manhattanie. Zachodnia Czternasta Ulica, numer 64. Pomiedzy Piątą a Szóstą Aleją.

- Chodzi mi o to, aby świadek opisała, jak usytuowany jest ten fragment chodnika w stosunku do lokalu, o którym mowa.

- Na prawo - wyjaśniła Brenda Watts. - Czyli na zachód od frontowych drzwi. Lub też na lewo skos, patrząc od strony drzwi. Od strony prawego frontowego wejścia.

Libby chciała zacząć krzyczeć. Dosłownie nic z całego dialogu nie była w stanie zrozumieć.

- Czy gdybym pokazał świadkowi wycinek planu miasta... - zaczął MacDonald, taszcząc ogromną planszę, która spoczy-

wała dotąd na jego stole. - Chodzi o plan w rzucie poziomym, obejmujący kwartał uliczny na zachód od Piątej Alei...  
- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - zawołał Geiggen, zrywając się z miejsca. - Żaden taki plan nie został zgłoszony jako dowód w sprawie.

Pani sędzia Williams westchnęła. Sprawiała wrażenie śmiertelnie znudzonej i zmęczonej. Nie mniej niż sędziowie przysięgli.

- Dobrze, panie Geiggen. - Zwróciła znudzone oczy na Mac-Donalda. - Proszę, niech oskarżenie zgłosi wniosek dowodowy w przedmiotowej sprawie.

- Wysoki Sądzie! Oskarżenie wnosi o dopuszczenie tego oto planu jako dowodu rzeczowego numer osiem.... zaraz, zaraz... siedem... przepraszam... dziewięć. Tak jest, Wysoki Sądzie: dziewięć.

- Jako dowodu numer Gsiem. Za pierwszym razem pan się nie pomylił - poprawiła go sędzina. - Proszę, aby sekretarz sądowy przedstawił niniejszy plan do wglądu obronie.

- Tak jest, Wysoki Sądzie!

Sekretarz wziął ogromną planszę od MacDonalda i zaniósł ją na stół obrony. Wszystkie siedzące przy nim osoby (włącznie z oskarżonym) natychmiast się nad nim nachyliły.

Geiggen wyprostował się pierwszy i przyzwalającym skinieniem głowy dał znać urzędnikowi, że dowód został przez obronę zaakceptowany.

- Obrona nie zgłasza sprzeciwu.

Libby zasłoniła dłonią usta i ponownie ziewnęła. Sekretarz upuścił na podłogę długopis. Podniósł go natychmiast i sporządził w rogu planszy jakąś adnotację.

- Wysoki Sądzie! Plan miasta włączony został do akt sprawy jako dowód rzeczowy numer siedem.

- Osiem! - Elena i Ronnie spontanicznie sprostowali pomyłkę.

Na sali rozległy się śmiechy, sędzia Williams zgromiła wzrokiem ławę przysięgłych, a protokolantka wychyliła się do przodu i spytała:

136

- Przepraszam, dowód numer który?

- Dowód numer osiem! - krzyknął z drugiego końca sali strażnik sądowy.

- Dziękuję - odparła protokolantka i po chwili rytmicznie uderzała palcami w klawiaturę maszyny.

Sekretarz sądowy zwrócił nieporęczny diagram oskarżycielowi. MacDonald przyglądał mu się z ukosa, jakby sprawdzając, czy obrona nie zrobiła z nim czegoś podejrzanego wtedy, gdy na chwilę stracił nad nim kontrolę. W drugim rzędzie ławy przysięgłych zaszeleścił papierek od cukierka. Sędzia Williams po raz drugi gniewnie spojrziała w tamtą stronę, odczekała, aż szelest ucichł, po czym zwróciła się do oskarżyciela:

- Może pan kontynuować przesłuchanie, panie MacDonald.

- Pani inspektor Watts - zaczął prokurator - gdy patrzy się na ten... -przerwał nagle.-Wysoki Sądzie! Czy mogę powiesić plan na sztalugach, aby wszyscy mogli go obejrzeć.

- Sprzeciw! - krzyknął Geiggen. - Wysoki Sąd nie zamierza chyba dopuścić do tego, abyśmy siedzieli tu aż do Świąt Bożego Narodzenia, bo zastępca prokuratora okręgowego nie przygotował się należycie do rozprawy.

- Oddalam sprzeciw - powiedziała ściszym głosem pani Williams. - Komentarz mecenas Geiggeña zostaje wykreślony z protokołu rozprawy, a sędziowie przysięgli mają potraktować go jako niebyły. - Zmierzyła wzrokiem obrońcę. - Uprzedzam pana, mecenasie Geiggen, że na prowadzonych przeze mnie rozprawach tego rodzaju komentarze są niedopuszczalne. Proszę więc na przyszłość uważać na swoje słowa.

- Tak jest, Wysoki Sądzie. Najmocniej przepraszam.

Oskarżyciel nadal zadawał świadkowi dziesiątki nudnych pytań, a głowy przysięgłych opadały coraz niżej. Wszyscy byli półżywi z niedotlenienia.

Minęła kolejna godzina i cały plon tego męczącego posiedzenia sprowadzał się do przedstawienia dowodów w postaci piętnastu kolejnych fotografii, planu oraz jakichś dokumentów dotyczących odcisków palców. Libby była przekonana, że nikt nie

zrozumiał, czego te dokumenty w istocie miały dotyczyć, sama bowiem absolutnie nie zdołała się w tym połapać. Przysięgli byli już naprawdę bliscy zemdlenia. Pani sędzia Williams chyba również poczuła się nieszczególnie, gdyż zaproponowała przerwanie rozprawy do następnego dnia.

- Wysoki Sądzie! - zwrócił się do niej oskarżyciel. - Czy mógłbym łaskawie prosić o pozostawienie mi jeszcze kilku minut? Mam w zanadrzu tylko parę pytań i chciałbym je zadać świadkowi jeszcze dziś.

Sędzia Williams nieznacznie zmrużyła oczy, po czym przyzwalająco skinęła głową.

- Może pan skończyć przesłuchiwanie świadka.

- Pani inspektor Watts - MacDonald wyprostował się - czy zechce pani powtórzyć ławie przysięgłych, jakich informacji udzieliła pani kobieta, będąca naocznym świadkiem zajścia?

- Tak. Opisała wygląd mężczyzny, który przywiózł tego, kto strzelał, na miejsce, gdzie padły strzały, a następnie z tego miejsca go zabrał.

- Gdzie znajdował się ów naoczny świadek w momencie, gdy padły strzały?

- Tuż obok ofiary.

Przysięgli w pełni się rozbudzili. Wszyscy inni również.

- A czy może pani powtórzyć, jaki rysopis kierującego pojazdem podała pani kobieta będąca świadkiem zajścia?

- Czy Wysoki Sąd pozwoli mi zajrzeć do mojego służbowego notatnika? - spytała inspektor Watts.

- Proszę bardzo.

Policjantka przewracała przez chwilę kartki notatnika.

- Podejrzany był białym mężczyzną w wieku około trzydziestu ośmiu lat. Ciemny blondyn, starannie ogolony.

Siedział za kierownicą szarego lub też srebrnego dwudrzwiowego jaguara z czarnym odsuwającym dachem. Wóz posiadał nowojorskie tablice rejestracyjne, z numerem zaczynającym się od 3 L 8. Świadek zapamiętała jedynie te trzy pierwsze oznaczenia.

- Czy kobieta, która była naocznym świadkiem zajścia, rozpoznała podejrzanego na przedstawionych jej zdjęciach?



- Tak jest. Stało się to tego samego ranka, kilka godzin później.

W tym momencie nastąpił opis procedury identyfikacyjnej. Polegała ona na tym, że świadkowi pokazano sześć zdjęć, przy czym na jednym z nich figurował podejrzany, pozostałe zaś były fotografiami podobnych do niego mężczyzn. MacDonald zgłosił wniosek o dopuszczenie dowodu rzeczowego w postaci żółtej planszy, na którą naklejono owe sześć fotografii, a następnie wręczył planszę pani inspektor Watts. Wyjaśniła ona, że na odwrotnej stronie odnotowane są wyniki eksperymentu śledczego.

- Na którym zatem zdjęciu naoczny świadek rozpoznał człowieka, który przywiózł na miejsce zajścia tego, kto oddał strzały, i potem wywiózł go stamtąd?

- Na zdjęciu numer cztery.

- Pani inspektor Watts - zwrócił się do niej MacDonald - czy zechce pani powiedzieć sędziom przysięgłym, czyje zdjęcie opatrzone jest numerem czwartym?

- Zdjęcie oskarżonego. - Policjantka odwróciła się i aby nie było już żadnych wątpliwości, wskazała właściwą osobę palcem. - Podpisane jest ono: James Bennett Layton junior.

Oskarżyciel odczekał dłuższą chwilę, po czym stłumionym głosem oświadczył:

- Nie mam więcej pytań.

Przysięgli gromadnie opuszczali salę sądową. Tak bardzo spragnieni byli świeżego powietrza, że omal się nie potratowali w przejściu.

- Jeden świadek i pół dnia z głowy! - wrzasnął księgowy Clay, gdy tylko znaleźli się w pokoju przysięgłych. - I po co to wszystko? - Z bezsilnej złości kopnął krzesło.

- Po to, aby unaocznic nam miejsce popełnienia przestępstwa - wyjaśnił Stephen, specjalista od komputerów.

- Sza! - próbowała ich uciszyć Debrilla. - Nie wolno rozmawiać o sprawie.

- Widziałas ti, jak ta gliwarzowa się wistroiła? - spytała Elena stojącą obok niej Adelaide. - Niewiarigodni zestaw!

- Hola, hola - odezwała się pani Smythe-Daniels. - Nie powinniśmy krytykować tych, którzy z narażeniem życia bronią nas przed elementem kryminalnym.

- Jasne! Ale posłuchaj, Ellie - zwrócił się do pani Smythe-Daniels bohater dnia, Dayton, latynoski Romeo. - Ni cholery nie mogłem zrozumieć, co ta baba mówiła o odciskach palców? Nie wiesz przypadkiem, o co jej chodziło?

- Ellie? - wyjąkała w bezgranicznym zdumieniu starsza pani.

Libby i Melissa spojrzały na siebie i wybuchnęły śmiechem.

Zjawił się Chuck, by wyjaśnić przysięgłym, że od tej chwili korzystać mają z przejścia służbowego, które znajduje się w południowym skrzydle budynku. Wręczył im także nowe przepustki, tym razem niebieskie. Na koniec strażnik przypomniał, że jeśli ktokolwiek będzie próbował rozmawiać z nimi na temat sprawy, mają natychmiast zgłosić ten fakt sądowi.

Alex nałożył płaszcz, podszedł do Libby i spytał:

- Mogę cię odprowadzić do metra?

- Będzie mi miło!

Przed budynkiem pożegnali się z resztą kolegów i poszli spacerkiem przez Centurę. Było zimno; słońce zdążyło zajść już dawno temu.

- Chciałem cię za coś przeprosić - odezwał się wreszcie Alex.

- Mój Boże! Za co takiego?

- Za to, że w czasie lunchu wykręciłem głupi numer temu Williamowi.

Libby uśmiechnęła się lekko.

- Jeśli już, to jego powinienesz przeprosić. Ale swoją drogą... skąd wiedziałaś, że on z kimś mieszka?

- Pewności nie miałem. Ale znam się trochę na ludziach i wiem, co to za typ. - Spojrzał na nią z ukosa. - Głupio to wyszło, ale... - Zatrzymał się i popatrzył jej w oczy. - Byłem trochę wkurzony, że go zaprosiłaś. Wiem, że to dziecinne, ale tak się właśnie czułem. Przepraszam. Więcej to się nie powtórzy.

Libby poczuła, że się rumieni. Alex wyraźnie się nią interesował-

**140**

wał i coraz trudniej było jej udawać, że tego nie dostrzega. W innych okolicznościach zapewne i ona zainteresowałaby się nim jako mężczyzną. Natomiast obecna sytuacja, gdy nie wiadomo, jak długo uczestniczyć będą musieli w tym procesie, nie sprzyjała nawiązywaniu romansu. A poza tym nie czuła się w towarzystwie Alexa bezpiecznie. Sama nie wiedziała dlaczego. Może był zanadto przystojny? Albo może to raczej ona doszczętnie zdziwaczała?

11.

- Winny! - zasyczał odźwierny, gdy Libby mijiała go w drzwiach.

- Nie życzę sobie podobnych uwag! - zachnęła się. - Mówię serio, Mack. Może niepotrzebnie się uniosłam, ale to naprawdę zaczyna być denerwujące

- Bardzo panią przepraszam. - Mack najwyraźniej poczuł się urażony i wymknął się chyłkiem przed dom.

Libby westchnęła, obróciła się na pięcie i pospieszyła za nim. Co ją napadło? Nie będzie chyba robiła awantur wszystkim po kolei facetom najętym do ochrony tego budynku. A jest ich kilku.

- Mack - powiedziała pojednawczym tonem, musnąwszy dłonią rękaw jego uniformu. - Proszę cię, nie miej mi za złe tego, co powiedziałam. Naprawdę jestem kompletnie wykończona.

- W porządku. - Puścił do niej oko. Wszystko zostało wybaczone.

- Cześć, Libby - pozdrowił ją Nick Albanese, jej ulubiony ochroniarz, który stał w holu przy biurku portiera z nocnej zmiany. Podobnie jak Al, pracował poprzednio w nowojorskiej policji. Kiedy ujrzała go po raz pierwszy, wymyśliła dla niego przydomka: „Nick Groźny”, bowiem uśmiechał się raczej złowieszczo. Od tamtej pory zwracała się do niego, używając przydomka.

- Ostrzegam cię, Nicku Groźny! - Tym razem postanowiła uprzedzić atak. - Nie próbuj mnie przypadkiem prowokować.

- Co takiego? - spytał zmieszany, rozkładając bezradnie ręce. Dopiero po chwili zorientował się, o co chodzi. - Ach, wiem, wiem. Al mi o wszystkim opowiedział.

- Panno Winslow! Mam dla pani paczkę - powiedział por-

142

tier. - Proszę chwileczkę poczekać. - Znikną! w pokoiku na zapleczu.

- Al mówił, że dał ci niezłą szkołę - powiedział Nick.

- Zazwyczaj nic bym sobie z tego nie robiła, ale ta historia... - zawahała się na moment - sama w sobie jest wystarczająco przygnębiająca.

- Jasne.

Przyjrzała mu się uważnie.

- A więc naprawdę nie zamierzasz niczego na ten temat powiedzieć? - spytała.

- Sama mnie prowokujesz. Chcesz znowu usłyszeć, że facet jest winny?

- Nick!

- No dobrze. Przysięgam, że nie powiem już ani słowa.

- A oto pani przesyłka, panno Winslow - powiedział portier, wręczając jej paczkę. - Proszę tu się podpisać.

Na szarym opakowaniu widniał nadruk księgami wysyłkowej Random House. Ktoś ze znajomych przysłał jej książkę. Bardzo miło. Natomiast mniej sympatyczna okazała się zawartość skrzynki na listy: same rachunki do zapłacenia oraz ulotka zachwalająca usługi nowego dentysty, który otworzył gdzieś w po-~~A~~ bliżu gabinet.

Przypomniała sobie, że na górze leży nie zapłacony rachunek, który powinna była już dawno wysłać swemu dentyście. Wjechała windą na piętro i weszła pośpiesznie do mieszkania. Pośpiech okazał się niepotrzebny, gdyż Trampek prześlizgnął się między jej nogami na korytarz i musiała się za nim uganiać. W końcu zdołała zamknąć za sobą drzwi i wreszcie mogła posłuchać, co ma jej do zakomunikowania automatyczna sekretarka. „Zadzwoń, zadzwoń, zadzwoń” - wyśpiewywał w słuchawkę jej agent literacki, Barbie. I potem znowu: „Zadzwoń pod ten numer”. Trzeci telefon był również od niego: „Łap mnie w domu o dowolnej porze”.

Na pewno jakieś dobre nowiny, pomyślała. Nareszcie zaświtała odrobina nadziei. Wybrała domowy numer Barbie'ego i cała zamieniła się w słuch.

- Libby! - wrzasnął na powitanie. - Nie mogłem się docze-

143

kać, kiedy się odezwiesz. Wiesz, kto w końcu wystąpi w „Oprah Winfrey Show”?

- Ja? - spytała jednym tchem.

- Tak. Bilet na samolot masz załatwiony. Odbierzesz go jutro rano w kasie American Airlines na lotnisku La Guardia.

Jeszcze przed sekundą cały świat wirował jej w oczach wszystkimi kolorami tęczy; w sekundę później ogarnęło ją śmiertelne przerażenie.

- Jutro? - wyjąkała.

- Ktoś im w ostatniej chwili nawalił. Masz wejść na jego miejsce. Jutro nagranie. Ale bomba! Cały dzień wisimy na telefonach i dajemy cynk księgarzom, żeby wystawiali twoje książki na...

- Chwileczkę, Barbie...

- Oni też uważają, że po tym programie „Uśmiech fortuny” może trafić na listę bestsellerów.

- Słuchaj, Barbie! - podniosła głos niemal do krzyku. - Nie mogę jutro jechać. Jestem przysięgłą w sprawie o morderstwo. Musimy zadzwonić do nich i przełożyć występ. Na przykład na sobotę.

W słuchawce zapanowała głucha cisza.

- Libby... - odezwał się wreszcie przyciszonym głosem jej agent - ty chyba nie mówisz poważnie?

- A co ja na to mogę poradzić? - wyjąkała, czując okropny ucisk w gardle.

- Ołać sprawę i polecieć jutro do studia.

- Wiesz, o jaki proces chodzi? Nie czytasz gazet? - zdenerwowała się.

- Przecież zaprosili cię do udziału w programie jedynie dlatego, że ktoś im nawalił. Rozumiesz, Libby? Jeśli nie przyjedziesz jutro, to skreślą cię raz na zawsze.

- Barbie...

- Zadzwoń do tego sądu i udaj, że jesteś chora.

Nie. Tego nigdy nie zrobi. Za żadne skarby. Zbyt dobrze wrył się jej w pamięć ten okropny dzień, kiedy Basia musiała pójść do dentysty.

Ale z czego, na litość boską, będzie żyła? Piętnaście dolarów dziennej diety to naprawdę za mało.

A może by jednak zadzwonić do sądu i usprawiedliwić się chorobą... Może wyznacziliby wówczas kolejnego zastępcę... Może...

- Libby? Jesteś tam jeszcze?

Nabrała głęboko powietrza i wyrzuciła z siebie:

- Przykro mi, ale nie mogę jutro pojechać.

- Ja cię skreślam... - Barbie milczał przez dłuższą chwilę. - Chcesz mi powiedzieć, że olewasz występ w najlepszym programie promocyjnym w kraju i że oboje z panią Oprah możemy cię pocałować w... O Jezu! Libby, powiedz im, że jesteś chora albo wymyśl coś... wszystko jedno co, bylebyś tylko tam jutro była. My się tu skręcamy, żeby ci załatwić promocję, a ty co? Wypinasz się na nas? Musisz tam jutro być i basta.

- Niestety - powiedziała cicho. - Naprawdę nie mogę się ruszyć z miasta.

- Niewiarygodne! - zdążył jeszcze wrzasnąć Barbie, zanim się wyłączył.

Libby powoli odłożyła słuchawkę, przeszła do sypialni, padła na łóżko, wtuliła twarz w poduszkę i żałośnie się rozszlochała. Kety zwinęły się obok niej w kłębki. Mruczały. Może próbowały ją po swojemu pocieszyć?

- Czy coś się na mnie uwzięło? - spytała, zaciskając pięści.

- Mamo! - zawołał Peter, wyskoczył zza kuchennego stołu i popędził jak strzała, by uściskać swoją rodzicielkę.

Jill roześmiała się i cofnęła o krok, żeby jej nie przewrócił. Wolną ręką przygarnęła do siebie chłopca, zamykając jednocześnie drzwi prowadzące do garażu.

- Skąd taki nagły przyływ czułości?

Peter spojrzał na nią i natychmiast posmutniał.

- Znowu kazała nam jeść wątróbkę - poskarżył się szeptem.

- Dobry wieczór. - Pani Montell przywitała Jill, nie odrywając się od jedzenia.

- Cześć, mamusiu! - odezwała się cieniutkim głosikiem Ka-

tie. Wyglądała tak, jakby przed chwilą płakała. Na jej talerzu leżał duży, nie dojedzony kawałek wątróbki. Zdążył już chyba wystygnąć.

- Peter! Skończ jedzenie, bo za chwilę będziesz jadł zimne - powiedziała opiekunka tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Zjedz obiad, kochanie. Ja w tym czasie pójdę na górę, wezmę prysznic i zaraz tu wrócę.

- Mamo! - zaprotestował płaczliwie.

- No, idź już, kochanie.

Uśledzał i powlókł się markotnie do stołu.

- Dzwonił pan Tompkins - zawołała pani Montell za oddalającą się w stronę schodów Jill. - Chciał uprzedzić, że późno wróci do domu.

- Wiem o tym. Skontaktowałam się z nim po wyjściu z sądu.

- Tak, ale dzwonił już po pani telefonie. Prosił, żeby powtórzyć, że będzie dopiero około północy.

O, do licha! Ale cóż... Trudno. Musiało mu coś wypaść.

- Peter! Widziałam, co przed chwilą zrobiłeś - dobiegł z kuchni ostry głos pani Montell. - Duncan! Wynoś się z kuchni!

Jill od razu zorientowała się, co się stało.

- Przecież on tak bardzo lubi wątróbkę - odezwał się płaczliwie Peter.

Ich irlandzki seter nazywał się Duncan.

William spostrzegł ich dopiero wtedy, gdy poderwali się znad stolika i zaczęli machać w jego kierunku rękami. Cała trójka: Betsy, jej brat, Jeff, i żona brata, Martha - siedziała w głębi sali w ekskluzywnej restauracji przy Irving Place. Nadal nie bardzo rozumiał, dlaczego uległ Betsy i dał się namówić na to spotkanie.

- Pojutrze są urodziny Jeffunia. Zaprośmy go wraz z żoną na kolację. To będzie po raz ostatni - nudziła przez dwa wieczory pod rząd. - Powiem im wkrótce, że właściwie już ze sobą zerwaliśmy, ale nie zrobię tego akurat w dniu urodzin braciszka. I bez tego ma dosyć zmartwień.

Tak więc William zjawił się w restauracji, aby odbębnić tę „proszoną” (przez siebie samego) kolację, nadal nie bardzo poj-



mując, dlaczego na tego trzydziestojednoletniego starego konia wszyscy dokoła mówią „Jeffunio”.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział, kiedy dotarł do stolika.

- Już im wszystko wyjaśniłam - odezwała się pośpiesznie Betsy, co znaczyło oczywiście mniej więcej tyle: „Lepiej nic nie mów, bo i tak nie wymyślisz tej samej wymówki, którą przed godziną im podałam.”

„Jeffunio” pracował u wuja Betsy w firmie importującej piwo, zajmując się głównie - tak się przynajmniej Williamowi zdawało - degustacją próbek towaru. Nie wiadomo, czy wchodziło to w zakres jego służbowych obowiązków; pewne było jedynie to, że od czasu gdy zaczął tam pracować, przybyło mu przynajmniej piętnaście kilogramów. Jego żona Martha, którą poślubił przed pięcioma laty i która zdążyła mu już powić dwoje dzieci, była na odmianę tak chuda, że Williamowi wyglądało to na ciężki przypadek anoreksji.

Wiadomość o tym, że sprawy sercowe jego siostry nie układają się zbyt pomyślnie, rzeczywiście mogłaby zepsuć Jeffowi urodziny. Głównie zresztą dlatego, że niedoszły szwagier dwukrotnie pomógł mu wybrnąć z poważnych kłopotów finansowych, regulując słony debet na kartach kredytowych jego i jego żony.

William zrobił to zresztą z bardzo mieszanymi uczuciami. Wszystko razem wydawało mu się wprost niewiarygodne, szczególnie dlatego, że Jeff mieszkał wraz z rodziną w domu, za który nie płacił ani grosza. Nie rozumiał, jak ludzie mogą być do tego stopnia lekkomyślni, by płodzić dzieci, nie zastanawiając się nad tym, kto je będzie potem utrzymywał.

- Ale trafiłeś na proces, Williamie - wysapał Jeffunio, pociągając tęgi łyk czerwonego wina. - Mam nadzieję, że nie skażesz tego faceta. Przecież widać gołym okiem, jak próbują go w to zrobić. A jeśli nawet... to na świętą nie trafiło. O jedną dziwkę na świecie mniej, i tyle.

William spojrział na niego, nie odzywając się ani słowem.

- Nic tylko kombinują, jak tu skazać za coś białego. Naj-

pierw mieli sprawę braci Menendez, potem proces OJ. Simpsona, a teraz rzucili się jak sępy na tego biednego Laytona. - Pociągnął następny łyk wina, przełknął, skrzywiwszy się przy tym tak, jakby wypił truciznę. - A co się w mieście wyprawia! Martha prawie nie wychodzi na ulicę, żeby nie skończyć tak, jak ten facet, co wybrał się do Central Parku na jogging. - Jeff wlał w siebie resztę wina i zaczął pochłaniać kanapki. - Przecież to jakiś czarny zastrzelił tę dziwkę. A oni co? Zamiast go dorwać, aresztują pierwszego z brzegu faceta, byle był biały i bogaty, i robią mu sprawę - wymamrotał z ustami pełnymi jedzenia. -Przez takie właśnie idiotyzmy nasz świat schodzi na psy. - Nie wolno mi rozmawiać na temat procesu - oświadczył William. - Jak tam dzieci? - zwrócił się do Marthy. - Przyniosłaś ze sobą nowe zdjęcia?

- Mamo? - Peter stał w drzwiach sypialni rodziców. Zdążył już przebrać się w pidżamę. Jill również leżała już w łóżku i oglądała telewizję. Właściwie powinna była wziąć się do sprzątania, ale po dniu spędzonym w sądzie czuła się całkiem wykończona.

Sięgnęła po pilota i wyłączyła telewizor.

- Co takiego, kochanie? Dlaczego nie jesteś w łóżeczku? Peter przybiegł szybko, wskoczył na łóżko i przytulił się do matki. Przygarnęła go ramieniem i przesunęła się wyżej. Mały zwinął się w kłębek i położył głowę na jej okrytym kołdrą biodrze. Mogła dzięki temu głaskać go po włosach.

- Mamo? - zapytał szeptem. - Widziałaś człowieka, który zabił ciocię Sissy?

Poczwała lekki ucisk w gardle.

- Tak, kochanie. Widziałam go.

Jill tak naprawdę nigdy nie nawiązała bliskich stosunków ze swą siostrą. A już na pewno nie łączył ich ten rodzaj emocjonalnej bliskości, o jaką podejrzewał ją synek, sądząc zapewne, że Sissy musiała być dla jego matki kimś tak bliskim, jak bliska była dla niego jego siostrzyczka, Katie.

Trudno wyobrazić sobie dwie siostry, które aż tak bardzo by

się między sobą różniły. Jill, obsesyjnie posłuszna niemal od urodzenia, spełniała wszelkie skryte i otwarte życzenia rodziców, Sissy natomiast zaczęła swą karierę od tego, że wyrzucono ją ze szkoły. Potem samowolnie podjęła pracę modelki w Nowym Jorku i nawiązała romans z żonatym, starszym od niej o dwadzieścia lat mężczyzną.

Konsekwencją tych właśnie życiowych wyborów było wyprowadzenie się do Kalifornii, aresztowanie i pobyt na leczeniu odwykowym w Betty Ford Center. Wszystko to razem zdążyła zaliczyć przed ukończeniem dwudziestu lat. Pomimo to Jill nigdy nie przyszło do głowy, że siedem lat później jej siostra zostanie bestialsko zamordowana na środku nowojorskiej ulicy. Nie mieściło się to w głowie choćby dlatego, że Sissy zawsze miała niezwykle dużo szczęścia. Było to szczęście, jakie staje się udziałem pięknych kobiet, które potrafią wykorzystać urodę do manipulowania ludźmi. Tę umiejętność Sissy opanowała do perfekcji.

- Posadzą go na krzesło elektryczne? - spytał Peter.

- Nie, kochanie. Będzie bardzo długo siedział w więzieniu, aby już nikogo więcej nie skrzywdził. - Zamilkła na chwilę. - Dlatego właśnie chodzę do tego sądu. Muszę dopilnować, żeby sędziowie dowiedzieli się wszystkiego, co potrzeba, bo inaczej mógłby się z tego przypadkiem wykręcić.

Peter myślał nad czymś przez chwilę, po czym spytał:

- Przywożą go do sądu w kajdankach?

Teraz z kolei Jill musiała się chwilę zastanowić. Nie mogła przecież opowiedzieć malcowi, że mężczyzna, który jest odpowiedzialny za zamordowanie jego ciotki, wypuszczony został po wpłaceniu kaucji i od niemal dwóch lat przebywa na wolności.

- Na salę rozpraw nikogo nie wprowadza *się* w kajdankach. Taki jest zwyczaj - powiedziała wreszcie.

Peter znowu przez chwilę nad czymś się zastanawiał.

- Mamo? Dlaczego on zabił ciotkę Sissy? - spytał. - Chłopaki w szkole mnie o to pytają.

Dlaczego ją zabił? No cóż... Znowu nie mogła wdawać się w szczegóły i opowiadać dziecku o tym, że człowiek ten nie

zamordował Sissy własnymi rękami, lecz pojechał do najbliższego miejsca, w którym zbierają się narkomani, i zapłacił jakiemuś zaćpanemu bandziorowi, żeby ten z zimną krwią ją zastrzelił. Aby zaś ułatwić robotę temu nie zidentyfikowanemu zabójcy, podwiózł go osobiście na miejsce, wskazał ofiarę, a na koniec pomógł mu uciec.

Sissy. Boże kochany! Biedna, mała Sissy.

Przypomniała jej się scena z dzieciństwa. Miała osiem lat i na niskiej platformce czerwonego wózka wiozła zamiast zabawek wrzeszczącego w niebogłosy niemowlaka. Zmierzała prosto w kierunku ulicy i na ostatnich metrach podjazdu zatrzymała ją matka.

- Jill! Dokąd wiesz swoją małą siostrzyczkę? - spytała.

- Ja... Donikąd, mamusiu.

- Przecież widziałam, że chciałaś ją stąd wywieźć. Powiedz mi, proszę, dokąd z nią się wybierałaś?

Jill spuściła wzrok i noskiem czerwonego bucika próbowała wywiercić dziurę w asfalcie. Sissy bez przerwy darła się niemiłosiernie.

- Do doktora Fielda- przyznała w końcu Jill. Był to lekarz mieszkający w sąsiedztwie.

- Do doktora Fielda? - krzyknęła nie wiadomo dlaczego matka. Nachyliła się nad wózkiem. - Chodź na rączki, maleńka - powiedziała czule do Sissy. - Jill - zwróciła się do starszej córki - dlaczego chciałaś ją zabrać do doktora?

- Bo ona jest zepsuta, mamó. Coś z nią jest nie w porządku. Bez przerwy krzyczy i płacze. Chciałam, żeby doktor Field ją zreperował.

Sissy! Słodkie maleństwo! Jakie miała jaśnusięńkie włoski! Jakie oczki niebiesciutkie! Aniołeczek mamusi! Oczko w głowie tatusia!

Oczywiście, że ją do cna zepsuli. Wszyscy razem. Przecież całymi latami nikt od niej niczego nie wymagał. Nic więc dziwnego, że tak trudno jej było przystosować się do wymogów stawianych choćby przez szkołę. A potem, gdy u progu dorosłości zawisła nad nią groźba, że najbliżsi przestaną ją psuć i rozpie-

szczać, poszła sobie w świat, by znaleźć takich, którzy ich zastąpią.

I znalazła ich wielu. Bez najmniejszych trudności. Jak każda olśniewająco piękna, młoda kobieta, która potrafi subtelnie uwodzić. Wszystko jedno kogo - nie była nawet specjalnie wybredna

- byleby tylko dostać to, na czym jej akurat zależało.

Potem bardzo się zresztą ustatkowała i wszystko zaczęło się w jej życiu sensownie układać. I właśnie wtedy...

- Mamo! Proszę cię, przestań płakać - odezwał się cieniutkim głosikiem Peter. Nie zauważyła nawet, kiedy przestał się do niej przytulać. Siedział teraz skulony na łóżku i patrzył na nią. Dolna warga mu drżała.

O dziewiątej trzydzięci w opustoszałym biurze agencji zadzwonił telefon. Melissa utkwiła nieruchome spojrzenie w aparacie i dopiero po chwili podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Panna Grant? - poznała głos ochroniarza, który pełnił dyżur w holu głównym. - Jest tu na dole pani, która przedstawiła się jako Christine i chce z panią rozmawiać.

Usłyszała, jak ochroniarz podaje komuś słuchawkę. - Melissa?

- Christine! Skąd się tu wzięłaś, u licha?

- Musiałam zjeść kolację z jakimś przedstawicielem z CBS

- wyjaśniła Christine. - Pomyślałam sobie, że może cię tu jeszcze zastanę. Chciałam cię zaprosić na drinka.

- Dziękuję, ale muszę najpierw coś zjeść. Od południa nie miałam nic w ustach.

- A więc zapraszam cię na kolację i na drinka - powiedziała Christine. - Możemy pójść do „Zazu”. Mieści się po przeciwnej stronie ulicy. Trzy kroki od twego biura.

Melissa dość szybko się zorientowała, że Christine Harrington musiała tego wieczoru wypić już trochę, co nie przeszkodziło jej zresztą w tym, by w sposób bardzo trzeźwy, a zarazem dowcipny, dyskutować nad projektem kampanii reklamującej kocią karmę - taki był bowiem główny temat ich rozmowy w restaura-

## 151

cji. Christine sączyła kolejną szklaneczkę wina; Melissa zjadła jakąś zupę z grzankami i sałatkę, zbyt zmęczona, by zastanawiać się, co kazało tej niezwyklej kobiecie zjawić się u niej o tak dziwnej porze.

Christine była od niej sporo starsza. Musiała już skończyć czterdziestkę. Nawet przy tym knajpianym świetle, pomyślanym tak, by każdy prezentował się w nim w miarę korzystnie, widać było, że przeżyte lata zostawiły swój ślad na jej twarzy. Choć właściwie zmarszczki jakoś nadzwyczaj do niej pasowały, chciałoby się rzec - eksponowały niejako jej dojrzałe piękno i władcą aurę, która ją otaczała. W dzisiejszych czasach nietrudno wydać się atrakcyjną. Niewiele natomiast kobiet potrafi wyglądać tak, by władcza aura - zamiast razić - w pełni harmonizowała z ich urodą. Christine była bezsprzecznie jedną z nich.

Ale co skłoniło absolwentkę słynnej bostońskiej uczelni technicznej do zajęcia się promocją kocij karmy?\* No cóż... Za każdym wlecze się jakaś przeszłość, pomyślała Melissa.

Miała powody, by tak sądzić. Sama była najlepszym tego przykładem.

- Jeffunio wygląda fatalnie. Jest coraz grubszy - oznajmiła Betsy. Zdążyła już zdjąć płaszcz, buty i rozciągnąć się na sofie. - Czym ona go karmi?

- Pewnie tym wszystkim, czego sama nie zjada - zauważył William. - Wygląda jak szkielet.

- Myślisz, że po obiedzie poszła do damskiej toalety i wszystko wymiotowała?

- Chcesz się czegoś napić? - spytał, zmierzając do kuchni.

- Nie, dziękuję. - Zamilkła na chwilę. - Jeffunio musi być naprawdę nieszczęśliwy - powróciła do swego tematu. - Dlatego tak okropnie tyje. Założę się, że w łóżku nie jest im dobrze. Ona musi mieć jakieś problemy z seksem. Na pewno przestała z nim współżyć.

- Może jest po prostu zmęczona - zauważył William. - Jeśli ma się na głowie trzyletnie i jednoroczne dziecko, to można stać się aseksualnym.

- Nie - zawyrokowała Betsy. — To muszą być głębsze, neurotyczne powody. Na pewno przeżyła w dzieciństwie jakiś szok.

William wrócił z kuchni z małym kieliszkiem brandy. Betsy nadal leżała na sofie. Przyglądała mu się uważnie i gdy napotkała jego wzrok, uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję ci za ten wieczór.

- Drobiazg - bąknął pod nosem. Stał niepewnie na środku pokoju. Podniósł trzymany w ręku kieliszek, powąchał brandy i upił maleńki łyk.

- Na Święto Dziękczynienia wybierasz się do rodziców? - spytała.

- Tak. Mam rezerwację na wieczorny lot.

- Taka podróż musi kosztować masę forsy - zauważyła. Westchnęła i pogładziła ręką sofę. - Usiądź tu na minutkę - poprosiła, wskazując mu miejsce obok siebie.

Wahał się. Wyraźnie nie wiedział, co ma począć.

- Chodź. Wcale nie musimy tego robić - próbowała go przekonać. - Wiesz, Williamie, zaczęłam się już rozglądać za mieszkaniem. Doczekam tylko do przyjazdu mamy i tatusia. To będzie krótka wizyta i gdy w przyszłym tygodniu oni wyjadą, natychmiast się stąd wyniosę. Zgoda? Mnie też zależy na tym, żebyśmy pozostali przyjaciółmi.

Po skończonym obiedzie Melissa poszła z Christine w stronę nadziemnego parkingu agencji, gdzie tamta zostawiła swój wóz. Zawahała się, ale jednak postanowiła zainterweniować.

- Słuchaj, Christine... - zaczęła niepewnie. - Nie gniewaj się, ale naprawdę nie powinnaś teraz prowadzić. Wypiłaś sporo wina, a do New Jersey jest kawał drogi. Przepraszam, że się wtrącam, ale...

W oczach Christine zapalił się nagły błysk. Melissa pomyślała, że chyba jednak posunęła się zbyt daleko. Po chwili jednak Christine uśmiechnęła się nieznacznie i spytała:

- A co mam w takim razie zrobić? Masz dla mnie jakąś propozycję?

Powiedziała to jakoś tak, że Melissa mimo woli się zaczerwie-

## 153

niła. Na szczęście znajdowały się na ulicy i w świetle latarni było to niedostrzegalne. W zachowaniu tej kobiety wyczuwała podteksty, które trudno było ignorować. Starła się to zresztą robić, ale na dłuższą metę było to niemożliwe.

- Zadzwoń po samochód. Nasz kierowca odwiezie cię do domu.

- Zgoda, ale pod jednym warunkiem. -Jakim?

- Zostawię ci mój wóz. Przyjedziesz nim wieczorem do mojego biura i przejrzymy sobie tam jeszcze raz scenopis. A potem odeślę cię do domu naszym samochodem. Dobrze?

- No tak... Ale przecież muszę być jutro na procesie.

- Pojedziesz moim samochodem do sądu, zaparkujesz gdzieś w pobliżu, a gdy będziesz już wolna, zadzwonisz do nas. Telefon jest w środku.

Dotarli do wielokondygnacyjnych garaży i Melissa zadzwoniła stamtąd po samochód, który - oczywiście na koszt ich agencji - zawieźć miał jej klientkę do Montclair. Christine wręczyła jakieś pieniądze pracownikowi parkingu, prosząc go, by sprowadził na dół jej wóz. Kiedy nim nadjechał, Melissa wpadła w panikę. Był to nowusieńki, granatowy lexus.

- Ojej - jęknęła. - Jak ja go zaparkuje koło sądu? Wiesz, co to za dzielnica?

- Jesteś marnym kierowcą? - spytała ze śmiechem Christine.

- Nie. Prowadzę zupełnie nieźle. Pochodzę w końcu z Kalifornii, a tam nie da się żyć bez samochodu - odparła Melissa. Zbliżyła się do samochodu i zaczęła go z podziwem oglądać. - Martwię się po prostu o to, żeby się ktoś do niego nie włamał.

Przed parkingiem zatrzymał się czarny lincoln.

- Przyjechał po ciebie - powiedziała Melissa. Odprowadziła Christine i otworzyła jej tylne drzwi.

Christine uśmiechnęła się do niej, po czym zrobiła taki gest, jakby chciała ją pogłodzić. W efekcie musnęła jedynie palcami jej policzek.

- Bardzo jesteś kochana - powiedziała na pożegnanie.



I troskliwa - dodała po chwili wahania, po czym wsiadła do samochodu.

Melissa pomachała jej ręką, odetchnęła głęboko i wróciła tam, gdzie czekał na nią lexus.

- Jeśli pani na niego nie reflektuje, to chętnie go sobie zabiorę - zażartował pracownik parkingu.

Uśmiechnęła się i wręczyła mu napiwek.

Prowadząc wóz w kierunku śródmieścia, mogła się wreszcie nad wszystkim poważnie zastanowić. Nie miała wątpliwości, że Christine Harrington robiła pod jej adresem dość przejrzyste aluzje. Oczywiście mogłaby - a nawet powinna - udawać, że ich po prostu nie rozumie. Ale w istocie rozumiała je doskonale. I to nie tylko dziś, lecz właściwie od początku, od czasu tamtej rozmowy w barze hotelowym. W dodatku reagowała na nie emocjonalnie, wbrew narzuconej sobie żelaznej regule, by nie angażować się w żadne związki z klientami. Uczuciowe lub seksualne. Sama myśl o tym, że mógłby to być związek z kobietą - nawet tak niezwykłą, jak Christine Harrington - budził w niej wyłącznie panikę.

Doświadczenia z kobietami - tak przynajmniej starała się o tym myśleć - były czymś, co zdarzało jej się „zaliczać” podczas pijackich nocy w ostatnim roku alkoholowej kariery. Jej stosunek do tych epizodów świadczył o tym, jak bardzo nie akceptowała swoich odmiennych upodobań seksualnych. Zależało jej teraz - zresztą chyba nawet zawsze - na tym, by włączyć się w normalny, konwencjonalny nurt życia i wszelkie zbaczanie z utartych ścieżek, szczególnie w dziedzinie seksu, wydawało jej się w najlepszym razie czymś nieproduktywnym. Co gorsza zaś, narażało również na przebywanie w psychologicznym getcie, którego mieszkańców nazywa się obecnie „seksualną mniejszością”.

Czy człowiek o zdrowych zmysłach chciałby z własnej i nieprzymuszonej woli należeć do jakiegokolwiek mniejszości? Choćby seksualnej?

Zatrzymała się na czerwonym świetle. Westchnęła, zacisnęła palce na wyłożonej miękką skórą kierownicy. Zwolniła chwyt i zacisnęła je ponownie.

Teraz, w okresie odzwyczajania się od nałogu, unikała wszelkich niejednoznacznych sytuacji. Spotykała się z różnymi mężczyznami, kontynuując każdą z tych znajomości aż do chwili, gdy upewniała się, że pewne jej podejrzenia są całkiem słuszne. Następnie rezygnowała po prostu z seksu, odkładając te sprawy do momentu, w którym będzie gotowa się z nimi zmierzyć.

Tak jej właśnie mówiono na spotkaniach Anonimowych Alkoholików: pewne sprawy należy odłożyć na półkę do czasu, gdy życie w trzeźwości da człowiekowi tyle siły, by mógł się z nimi zmierzyć bez szukania pomocy w butelce. Nie próbuj robić tego zbyt wcześnie - powtarzano. Nadejdzie taki dzień, kiedy zdołasz sięgnąć na półkę, zdjęć z niej to, co skrzętnie odłożyłaś, przyjrzeć się temu uważnie i odpowiedzieć sobie na pytanie, czy to przystaje, czy też nie przystaje do twojego nowego życia. Wtedy będziesz wiedziała, jak postąpić. .

Los jednak bywa przewrotny. Jedna z najbardziej atrakcyjnych kobiet, jakie w życiu spotkała, robi pod jej adresem niedwuznaczne aluzje. Przecież nie zdjęła sobie tego z jakiejś tam półki. Samo jej wpadło w ręce.

Pod dom podjechała taksówka. Trzasnęły drzwiczki, wóz wycofał się ze zwirowego podjazdu, a w chwilę potem w drzwiach wejściowych zazgrzytał klucz. Jill odczekała jeszcze minutę, aż wreszcie na schodach prowadzących na piętro rozległy się kroki i w progu sypialni stanął Rusty.

- Dlaczego nie śpisz? Niepotrzebnie na mnie czekałaś -szepnął, rozluźniając krawat. Okrążył łóżko i rzucił na biurko teczkę.

- Nie mogłam usnąć - skłamała. Zasnęła jak kamień, gdy tylko udało jej się powtórnie wpakować małego do łóżka. Nastawiła sobie natomiast budzik, by udać, że czekała na męża aż do północy.

Był bardzo przystojnym mężczyzną. Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ciemnorude włosy, niebieskie oczy i ciepły, przyjazny uśmiech. W liceum grał w futbol amerykański. Nadal miał w sobie coś ze sportsmena.

Pochylił się nad żoną, by ją pocałować. Pachniało od niego nieświeżym alkoholem.

- Opowiedz mi, co wydarzyło się w sądzie, a ja tymczasem zdejmę ubranie.

Zacząła mu opowiadać, a on rozebrał się, wrzucił nieświeżą koszulę i slipy do kosza z brudną bielizną, poszedł do łazienki, umył sobie ręce i twarz, po czym wrócił do sypialni w bawełnianych spodniach od pidżamy.

- A więc złożyłam zeznanie i dadzą mi już chyba spokój -zakończyła.

Wydał z siebie coś w rodzaju westchnienia, odchylił kołdrę i położył się obok żony. Wiercił się przez chwilę, a kiedy wreszcie znieruchomiał, powiedział:

- Dzięki Bogu, Jill. Dobrze, że mamy to już z głowy.

- No... niezupełnie, bo przecież nadal będę musiała tam chodzić - odparła. - Zdaniem MacDonalda powinnam siedzieć na sali do końca procesu. Tłumaczył mi, że to jedyny sposób, by przysięgli stale przypominali sobie moje zeznania.

- Idiotyczny pomysł. Bardzo mi się to nie podoba.

- Zrozum, kochanie, jeśli ma się to przyczynić do skazania mordercy...

Wziął ją za rękę i zamknął oczy.

- Za dużo cię to może kosztować. Chciałbym, żeby już nic złego cię nie spotkało - szepnął.

Absolutnie nie powinien jej na to pozwolić. Ale było mu tak dobrze... tak przyjemnie!

Nie wiedział nawet, kiedy Betsy zdążyła rozpiąć pasek i rozsunąć suwak jego spodni. Wzięła go w usta, a on siedział sobie z ramieniem przerzuconym przez oparcie sofy, zaciskał w palcach kieliszek z nie dopitą brandy i pozwalał, by go pieściła. Próbowwała różnych sposobów, byle tylko zrobił się twardy.

Była już bliska osiągnięcia sukcesu.

Usta miała ciepłe i wilgotne; czuł jej sprężysty, obracający się wkoło język. Zastanawiał się, kiedy zdążyła opanować podobną technikę. Przedtem nigdy mu tego nie robiła. Rozmyślania mu-

**157**

siały go widać rozproszyć, gdyż znów stał się miękki, ale trwało to tylko moment. Betsy natychmiast pomogła sobie ręką, wciągnęła go głębiej w usta - tak głęboko, by nie miał już wątpliwości, że jeśli pozwoli jej to robić dalej, to zaraz będzie po wszystkim.

Przez chwilę szukał po omacku miejsca, gdzie można by odstawić kieliszek, po czym ujął w obie dłonie głowę Betsy. Popchnął ją delikatnie na sofę, a gdy już leżała na plecach, obnażył jej uda i on z kolei zaczął ją pieścić. Miała na sobie pończochy noszone bez pasa. Wystarczyło zsunąć majteczki i unieść do góry spódnice.

Była bardzo podniecona. Kiedy w nią wszedł, wiedział już, że to będzie bardzo udane zbliżenie, być może najlepsze od czasu, gdy robili to ze sobą po raz pierwszy. Wówczas też było cudownie; dawno, dawno temu, sporo przed tym, zanim na dobre uświadomił sobie, że grozi mu całkowita utrata wolności i że ta kobieta uczyniła go swoim zakładnikiem.

Kanapa, na której się ocknęła, stała w salonie tuż pod oknem. Wyrzała na ulicę. Która może być godzina? Czwarta? A może piąta? Chyba raczej piąta, ponieważ uliczny sprzedawca kawy przyholował właśnie przyczepę mieszczącą jego ruchomy interes i odczepiał ją od sfatygowanego kombi. O piątej zawsze stał już na chodniku i zaczynał handel. A jaki jest dziś dzień tygodnia? Czwartek.

Libby podciągnęła kolana pod brodę i otuliła się szelkierem. Przed chwilą obudziła się spocona i przerażona, po czym przez minutę lub dwie usiłowała przypomnieć sobie, co było powodem tej paniki. Wreszcie jej się to udało. Powód był prosty, i niestety aż nadto realny: całe wydawnictwo Haverhill, dokładnie wszyscy będą na nią wściekli, że nie zgodziła się polecieć do Chicago i wystąpić w prestiżowym talk show. Jej kariera się kończy.

Nieszczęsny, źle sprzedający się „Uśmiech losu” pociągnie ją na jeszcze głębsze dno, niż przypuszczała.

Po przeciwległej stronie ulicy zatrzymał się miejski autobus. Kierowca zgasił światła, wysiadł z wozu, przeszedł przez jezdnię i ręką dał znak sprzedawcy kawy.

Uwielbiała ten cudowny spokój, w jakim pogrążony był o tej porze Nowy Jork.

Trampek wskoczył na oparcie kanapy, przeszedł po nim jak po równoważni, po czym wylądował na kolanach Libby i zaczął mościć sobie legowisko w fałdach jej szlafroka. Po kilku minutach niespiesznie, udając brak zainteresowania, przywędrowała Pusia. Pokręciła się trochę, po czym także znalazła dla siebie miejsce tuż obok swojej pani i natychmiast zasnęła.

Libby poczuła, że zaczyna ją ogarniać panika. Pieniądze mają

to do siebie, że potrafią ludzi przerazić. Wystarczy, by naprawdę zaczęły się kończyć.

Kierowca wracał truchcikiem do autobusu, trzymając w ręku brązową papierową torebkę. Wsiadł do wozu i po kilku chwilach silnik obudził się z letargu, rozbłyły światła, a kierowca pomachał sprzedawcy dłonią i poprowadził wielki autobus na ulice ciągle jeszcze uśpionego miasta.

Temu przynajmniej przyświeca jakiś jasny, uchwytny cel... I wie, co za chwilę ma zrobić, pomyślała z zazdrością Libby.

Dotarła do sądu o dziewiątej czterdzieści pięć i ledwie wpuszczono ją do środka przez specjalne, południowe wejście, usłyszała tuż za sobą znajomy głos:

- Jak się masz, Williamie! - To była pani Smythe-Daniels. Nie sposób jej było z kimkolwiek pomylić.

- Dzień dobry pani - usłyszała z kolei, jak odpowiedział jej William.

Libby odwróciła się na pięcie.

- Patrzcie! Comelia! - ucieszyła się na jej widok starsza pani. - Dzień dobry!

- Dzień dobry - odparła Libby.

Pani Smythe-Daniels przyjrzała się bacznie Williamowi, po czym znowu przeniosła spojrzenie na Libby.

- Wiecie co, moi drodzy? Gdybym was nie znała, mogłabym przypuszczać, że spędziliście tę noc razem na jakiejś wyrafinowanej rozpuście. Oboje okropnie wyglądacie.

- Serdeczne dzięki - odparła z kwaśnym uśmiechem Libby. - Miło mi, że pani zdaniem ktoś mógł się mną zainteresować, mimo że wyglądam tak okropnie.

Pani Smythe-Daniels zachichotała, po czym pomaszerowała w kierunku sądowej kawiarni.

- Dziękuję ci bardzo - odezwał się William. Rzeczywiście wyglądał okropnie. Okulary nie były w stanie zasłonić podpuch> niętych powiek i sinawych worków pod oczami.

- Za co? - zdumiała się Libby.

- Miło mi, że w ogóle dopuściłaś możliwość spotkania się ze

mną - wyjaśnił, wsuwając ręce w kieszenie płaszcza. Przyglądał się Libby przez chwilę, po czym powiedział: - Miałem ostatecznie zerwać ze swoją dziewczyną i nagle ni z tego, ni z owego... Sam nie wiem, dlaczego tak się stało. Libby spojrzała na zegarek.

- Musimy już jechać na górę- odparła zupełnie nie na temat, wskazując Williamowi drogę do windy. Po chwili jednak nachyliła się ku niemu. - Wiesz co - zaczęła, zniżając głos na tyle, by tylko on mógł ją usłyszeć - ja też dałam się mojemu byłemu narzeczonemu namówić na taką próbę pojednania. A następnego dnia odeszłam od niego na dobre.

William gapił się na nią, zdumiony. Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

- Jeśli ty dążysz do rozstania, to druga strona stanie na głowie, żeby się z tobą przespać... choćby jeszcze raz. Nie musisz więc czynić sobie wyrzutów. Wszyscy przez to przechodzimy. To ostatnia pułapka, z której się trzeba wyplątać. Czasem wydaje się czymś podłym odrzucać kogoś, z kim się było tak bez reszty... pod każdym względem. Do tego stopnia zdumiały go jej słowa, że nie potrafił wydukać żadnej sensownej odpowiedzi.

- A żeby ci się nie zdawało, że tylko ty masz kłopoty - dodała, naciskając guzik windy - to powiem ci tyle: wczoraj zaproponowano mi występ w programie Oprah Winfrey. Oczywiście po to, żeby podratować moje notowania, które ostatnio bardzo spadły. I wszystko na nic. Musiałam odmówić.

- To przykre, ale przynajmniej nie przespałaś się z nią, w związku z czym nie musisz definitywnie z nią zerwać - zażartował. Oboje się roześmieli. - Słuchaj - spoważniał natychmiast - rzeczywiście znalazłaś się w kropce? Nie mógłbym ci w czymś pomóc?

- Nie - odparła, kręcąc głową. - Cóż na to można poradzić? To jedna z takich sytuacji, kiedy ci się zdaje, że wyciągnąłeś szczęśliwy los na loterii, a w chwilę potem kubeł zimnej wody leje ci się na głowę.

- Naprawdę bardzo mi przykro — powiedział.

Kiedy stali już w windzie, spojrzała na niego i spytała:

- Mamie było rano? Myślę o tym, jak się czułeś.

- Rano? Daj spokój - bąknął. - Najgorsze stało się w nocy. I niestety, zostało to zinterpretowane jako pojednanie. - Westchnął i pokręcił głową. - Naprawdę nie mam powodów, by być z siebie zadowolony.

- Wiem, jak się człowiek wtedy czuje - powiedziała mu. - Ale co na to poradzisz? - dodała po chwili. - Nie wmówisz sobie, że nadal jest dobrze, skoro nie jest. Ja na przykład zdecydowanie zbyt długo pozostawałam z moim byłym partnerem. Zainwestowałam w to tyle czasu i energii, że żal mi było zaczynać wszystko od początku.

- Ona miała jakieś kłopoty lokalowe. Umowa była taka, że pomieszka u mnie przez tydzień. I trwa to do dziś.

- Aha! Jedna z tych, co...

- Nie - przerwał jej pośpiesznie. - Nie myśl o niej źle. W sumie to moja wina. Tylko idiota zgadza się na to, żeby taka sytuacja ciągnęła się przez czternaście miesięcy.

- To nie tak znowu długo - mruknęła Libby. - Mogło być gorzej. Nic jej się nie stanie. Da sobie radę.

Ich rozmowie przysłuchiwała się teraz już cała winda. Libby doszła jednak do wniosku, że skoro Williamowi najwyraźniej to nie przeszkadza, to czemu niby ma przeszkadzać jej.

- Pozwolę sobie na jedną sugestię - odezwała się, zniżając mimo wszystko głos.

William popatrzył na nią pytająco.

- Odpisz to na straty, a przedtem opatrz nagłówkiem: „Ostatni błąd Williama”. I od tej pory proś osoby, które ci się podobają, by nazywały cię Willem. Tak jak twego dziadka. Zobaczysz, że dzięki temu będziesz umiał odróżnić, ile kto jest wart. I jeśli ktoś, z kim nie będziesz miał ochoty mieszkać, będzie próbował to na tobie wymusić, wtedy powiesz mu: przepraszam, ale nic z tego.

Uśmiechnął się do niej.

- A ty jak będziesz mnie nazywać?- spytał.

- Will! - odezwał się z głębi windy czyjś głos.



Po sprawdzeniu listy okazało się, że trzech przysięgłych jest nieobecnych. Pierwszym spóźnionym okazał się Alex; szofer limuzyny, latynoski Romeo Dayton, przybył wkrótce po nim i natychmiast wdrapał się na okienny parapet, by wypalić przy oknie papierosa. Natomiast ciągle nie było pijaczka Boba i na niego teraz właśnie czekali.

- Nie przypomina wam to gazet z końca prezydentury Nixona? - spytał programista Stephen, pokazując pochlastany nożyczkami numer „Daily News”. - A jak wygląda „Post”?

Basia podniosła ze stołu dziennik i natychmiast wszyscy się roześmieli. Pierwsze strony miał tak pokancerowane, jakby znęcało się nad nim uzbrojone w nożyczki stado przedszkolaków.

- Sprawdzaliście, czy nie było w jakiejś gazecie nekrologu Ruperta Slotnika? - spytała Melissa.

- Nie, nie było - stwierdziła rzeczowo Libby. - A więc wiemy przynajmniej, że nie umarł.

- Miał zawał - odezwała się Adelaide - ale jakoś z tego wyszedł. Dowiedziałam się od strażnika, tylko zapomniałam wam powiedzieć.

- Szkoda - wtrąciła trochę bez sensu Bridget. - A gdyby tak umarł - spytała po chwili - to czy napisaliby o tym w nekrologu? thodzi mi o to, czy napisaliby, że był przysięgłym w tej sprawie?

Kilka osób się roześmiało.

- O Boże, zawał - westchnęła Libby.

- No i co z tym... jak mu tam... Bobem? - niecierpliwiła się pani Smythe-Daniels.

- Tym razem na pewno wlepią mu grzywnę - oświadczył małolat Ronnie, zacierając z sadystyczną radością ręce. - Będzie miał nauczkę.

- Nie rozumiem, dlaczego prawie codziennie tracimy przez kogoś czas - odezwała się gniewnie Debrilla.

- Tak jest - autorytatywnie stwierdziła Adelaide. Z uszu pani przewodniczącej zwiślały klipsy w kształcie butów sportowych. Tym razem nie były to trapery, lecz obuwie używane przez grających w kręgle.

## 163

- A ja nie rozumiem, dlaczego bez przerwy słyszę tu jakiś obcy akcent - palnął ni z tego, ni z owego Ronnie. Ktoś parsknął śmiechem, ale Elenie wyraźnie się ten dowcip nie spodobał.

- Co ti wigadujesz? - natychmiast na niego napadła. - Jestem takim sarnim dobrim obywatelem, jak ti. Widzicie! Znalazł się kandydat na di rektora.

Teraz z kolei Ronnie poczuł się dotknięty.

- A czy ja sugerowałem, że ktoś jest gorszym obywatelem? Chodziło mi tylko o ten obcy akcent. Nie tylko twój. Także tej pani... no tej, która mówi z niemieckim akcentem.

- Debrilli - odpowiedziała mu Melissa, podnosząc wzrok znad klawiatury laptopa.

- O tobie też zresztą myślałem - mówił dalej Ronnie, patrząc zaczepnie na Elenę. - i o tej pani, która siedzi tam za stołem. Tej, która musiała na samym początku pójść do dentystyl!Ma takie dziwne imię i pewnie jest Rosjanką...

- Rosjanką? - zdumiała się Basia. Powiedziała to krótko, lakonicznie i bez śladu obcego akcentu, a ponieważ od początku niemal się nie odzywała, wywarło to zamierzony efekt. - Skąd ten pomysł?

- Miślisz, że jak się urodziłam w Brazylili, to jestem czymś gorszym niż ti? - złościła się dalej Elena. - Jak bi tak było, to bi mnie nie wibrali do tego sądu.

- Wezwali cię dlatego, że wpisałaś się na listę wyborczą

- wyjaśnił jej Alex.

- Naprawdę wylosowali nas z list? - spytała Melissa. - Sądysz, że gdybym nie wpisała się na lokalną listę po przyjeździe z Kalifornii, to by mnie tu nie było?

- Po co ja się rejestrowałem? Ale to była głupota - odezwał się spod okna latynoski Romeo.

- Daj spokój, Dayton - zwróciła się do niego Libby. - Rezygnowanie z udziału w wyborach to jest dopiero głupota.

- Chwileczkę, chwileczkę - wtrąciła pani Smythe-Daniels.

- Może i głupota, choć z dwojga złego wolałabym, żeby pewni ludzie nie fatygowali się do urn. Tam dopiero narobili głupot.

- Wszyscy zrobiliśmy błąd już po głosowaniu - kontynuował swój wykład Alex. - Przecież każdy z nas wypełnił i odesłał tak zwaną kartę sądową.
  - Jaką znowu kartę sądową? - spytała Melissa.
  - Kiedy zarejestrowałaś się na nowojorskiej liście wyborczej, musiałaś dostać pocztą pisemko z prośbą o potwierdzenie adresu - wyjaśniał Alex. - Była tam również adnotacja, że zniszczenie lub nieodesłanie tej karty pociąga za sobą odpowiedzialność karną. Prawda?
  - Chcesz powiedzieć, że gdybym ją wyrzuciła, to nigdy by mnie tu nie wezwali? - spytała Melissa.
  - Mam nadzieję, że jednak by cię wezwali. Prosto do kryminału - zauważyła niegrzecznie pani Smythe-Daniels.
  - No dobra... Ale kiedy nam zapłacą? - spytał rzeczowo Dayton.
  - Po zakończeniu procesu. Ale też nie od razu. Dopiero po kilku miesiącach - poinformował go programista Stephen.
  - Piętnaście dolarów za dzień plus dwadzieścia i pół dolara za przejazdy.
  - Tak jakby pieniędzy podatnika nie można było przeznaczyć na jakieś ważniejsze cele - sarknęła pani Smythe-Daniels.
  - Mów za siebie, Ellie - rjdciał się Dayton. - Ja zawsze biorę to, co mi się należy.
- Pani Smythe-Daniels popatrzyła na niego wyraźnie rozbawiona, jak na miłe, choć trochę niesforne zwierzątko domowe.
- Jeśli już musisz mi mówić po imieniu, młody człowieku, to nazywaj mnie raczej Eleonorą. Dajmy sobie wreszcie spokój z tą „Ellie”.
- Dayton zdobył się na uśmiech, którego nie powstydzilby się żaden aktor występujący w roli Romea.
- To ty daj spokój z tą „Eleonorą” - zwrócił się do niej. - Jesteś na to za młoda. Do diabła, Ellie, nie chcesz chyba udawać zmartwychwstałej pani Roosevelt?
  - Zdaje się, że chce - mruknęła Melissa na tyle cicho, by pani Smythe-Daniels tego nie usłyszała.
- Niektóre osoby zaczęły się śmiać. Libby zdecydowała się

zaryzykować: zerknęła spod oka na panią Smythe-Daniels i spostrzegła, że starsza pani wpatruje się w Daytona w sposób tak jednoznaczny, że...

O mój Boże, pomyślała Libby. Ona go po prostu kokietuje.

Doczekali się w końcu - do poczekalni wpadł pijaczek Bob. Błady, wymizerowany, z zaczerwienionymi oczami wyglądał naprawdę okropnie, jakby miał za chwilę zemdleć.

- Co ti sobie miślisz! Miałeś tu bić o dziesiątej! - wybuchnęła Elena, trącając łokciem Adelaide.

- Tak jest! O dziesiątej! - krzyknęła pani przewodnicząca.

- Przepraszam. Nie mogłem być wcześniej - bąknął Bob i drżącą ręką podsunął sobie krzesło.

Nadal prezentował się fatalnie. Libby zaczęła się zastanawiać, czy nie jest to czasem jakiś ciężki przypadek grypy.

- Proszę państwa! Idziemy na salę! - oznajmił strażnik sądowy Chuck.

Sala rozpraw tak jak poprzednio wypełniona była do ostatniego miejsca. Oskarżony siedział potulny i łagodny jak baranek, sędzina natomiast wyglądała na mocno podenerwowaną.

- Wysoki Sądzie! Ława przysięgłych stawiała się w komplecie - zgłosił sekretarz.

- Zaiste! - burknęła pani sędzia Williams, piorunując wzrokiem pijaczka Boba, który skulił się w pierwszym rzędzie na miejscu numer cztery. - Wznawiam postępowanie. Świadek oskarżenia odpowie teraz na pytania obrony.

Świadkiem tym była inspektorka, która zeznawała poprzedniego dnia. Kiedy weszli na salę, siedziała już na miejscu do składania zeznań. Sąd przypomniał jej, że złożona w dniu wczorajszym przysięga nadal obowiązuje - świadek ma mówić prawdę i tylko prawdę. Geiggen, który zdążył tymczasem wyjść zza swego stołu i stanąć tuż obok ławy, uśmiechnął się do przysięgłych, po czym, nadal z tym samym przyklejonym do twarzy uśmiechem, zwrócił się do świadka.

- Dzień dobry pani!

- Dzień dobry! - Na pulpicie, za którym siedziała inspektorka, ustawiono tym razem mikrofon i jej nienaturalnie wzmocniony głos wypełnił dudnieniem salę. .

- Zainstalowano nam głośniki. Może pani mówić znacznie ciszej - powiedziała pani Williams.

Pijaczek Bob zgiął się wpół, a jego głowa zaczęła chylić się tak, jakby zamierzał oprzeć ją na kolanach. Siedząca obok niego Libby poczuła w tym momencie, że ktoś trąca ją łokciem. Był to jej drugi sąsiad, niechętny światu księgowy Clay. Trzymał w ręku otwarte pudełko z drażetkami „Life Savers”. Podał je Libby i ruchem głowy wskazał na Boba. Libby wzięła drażetki i rozpoczęła akcję pomocy.

- A więc jest pani funkcjonariuszką policji. Od jak dawna? - spytał świadka Geiggen.

- Jestem inspektorką - poprawiła go pani Watts. - Pracuję w policji od siedmiu lat.

Bob łypnął przekrwionym okiem na podsunietą mu paczkę, pokręcił przecząco głową, po czym nagle chwycił się rękoma za brzuch i wsparł czoło o kolana. Składająca zeznania policjantka dostrzegła widać ten nagły ruch i zwróciła się w jego stronę, co sprawiło, że i Geiggen również go zauważył.

- Wysoki Sądzie - Wydaje mi się, że jeden z przysięgłych źle się poczuł.

Pani sędzia Williams próbowała przyjrzeć się Bobowi, ale z miejsca, w którym siedziała, nie bardzo to było możliwe.

- Co się panu stało, panie Shanon? - spytała.

Bob rozpaczliwie pokręcił głową i kiwał się skulony, trzymając się za brzuch.

- Jego coś boli, Wysoki Sądzie - powiedziała Libby.

Pani sędzia Williams westchnęła ciężko. Po chwili jednak tonem spokojnym i opanowanym oświadczyła:

- Zarządzam krótką przerwę. Przypominam przysięgłym, że nie wolno jest im rozmawiać o sprawie z osobami postronnymi i ze sobą nawzajem. Proszę, aby strażnik zaopiekował się panem Shanonem.

Znaleźli się więc z powrotem w pokoju przysięgłych, wszy-

scy z wyjątkiem Boba, którego poprowadzono gdzieś dalej korytarzem.

- Mam wrażenie, że już go nie zobaczymy - odezwała się po jakichś dziesięciu minutach Melissa. - On jest naprawdę poważnie chory. Wygląda mi to na trzustkę albo perforację wrzodu żołądka.

Melissa miała rację. Po upływie czterdziestu pięciu minut wezwano ich na salę rozpraw, po czym prowadząca obwieściła, że pan Robert Shanon, z uwagi na zły stan zdrowia, nie będzie mógł pełnić obowiązków przysięgłego, w związku z czym zastąpi go przysięgła rezerwowa numer dwa, pani Eleonora Smythe-Daniels, która staje się od tej chwili przysięgłą numer cztery.

- Też mi zaszczyt - burknęła pod nosem świeżo awansowana, zajmując miejsce w pierwszym rzędzie, tuż obok Libby.

Nastrój Libby natomiast zupełnie niespodziewanie się poprawił. Ucieszyła się nagle, że nie uległa wczoraj pokusie, by udać chorobę. Przynajmniej zagrała fair. Co z tego, że jej kariera rzeczywiście wisi na włosku? Lepsze to niż poczucie winy, które męczyłoby ją na myśl o tym, ile zamieszania wprowadziłaby jej nieobecność, gdyby usprawiedliwiając się chorobą, pojechała do Chicago.

Obrońca nadal przepytywał policjantkę. Początkowo wydawało się, że zamierza chyba zanudzić na śmierć obecnych na sali, zadając świadkowi dokładnie te same pytania, które poprzedniego dnia zadawał MacDonald. W pewnym momencie zaskoczył jednak wszystkich, zwracając się do pani Watts:

- Czy pani inspektor wie coś o tym, że naoczny świadek, ten sam, który rozpoznał na zdjęciach oskarżonego, podczas konfrontacji na żywo wskazał wcale nie na niego, tylko na jakiegoś policjanta?

- Sprzeciw! - zagrział MacDonald. - Obrona mówi to wyłącznie po to, by zdezorientować przysięgłych. Dowód z konfrontacji nie został zgłoszony do sprawy przez żadną ze stron.

- Uznaję zasadność sprzeciwu - oświadczyła natychmiast pani sędzia Williams. - Panie Geiggen...

- Słucham, Wysoki Sądzie?

Sędzina westchnęła ciężko, spojrzała z odrazą na obrońcę i powiedziała po prostu:

- Niech się pan nie wygłupia. Na sali rozległ się śmiech.

- Tak jest, Wysoki Sądzie - powiedział Geiggen. Odwrócił się w stronę ławy przysięgłych, przybrał na chwilę minę mającą udawać przestach, po czym spokojnie zadał świadkowi następne pytanie.

- Pani inspektor była łaskawa opowiedzieć nam wczoraj bardzo dokładnie, co zrobiła policja, by wyjaśnić okoliczności, w jakich zginęła Sissy Cook. jak rozumiem, pomimo najlepszych chęci wszelkie te starania spełzły na niczym. Policji nie udało się ująć mężczyzny, który rzeczywiście strzelał i zabił ofiarę. Czy świadek to potwierdza?

- Tak - odpowiedziała policjantka, rzucając obrońcy nienawistne spojrzenie.

- A więc faktycznie nie udało się wam znaleźć tego, komu należałoby postawić zarzut popełnienia morderstwa?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - oświadczył MacDonald. - Obrona wie aż nadto dobrze, kogo oskarża się w tej sprawie o morderstwo drugiego stopnia. To właśnie klient pana...

- Sprzeciw! - zagłuszył go w tym momencie Geiggen. - Oskarżenie nie opiera się na faktach, tylko na spekulacjach. Wszystko po to, by usposobić przysięgłych wrogo do mojego...

- Na jakich spekulacjach? - wrzasnął MacDonald. - Chyba nie jest tajemnicą, że pański klient oskarżony jest o morderstwo!

Pani sędzia Williams od pewnego już czasu stukała młotkiem w stół. Gdy na sali zapadła wreszcie cisza, zawezwała strony, by zbliżyły się do ławy sędziowskiej.

Prawnicy uczynili to natychmiast, by spierać się nadal, tym razem już szeptem. Clay poczęstował Libby tą samą pigułką, którą oferował uprzednio Bobowi. Przyjęła ją z wdzięcznością, bo od wysłuchiwania tych krzyków rozboleł ją żołądek.

Gniewna wymiana zdań przy ławie sędziowskiej trwała jeszcze przez jakieś dwie minuty, po czym pani sędzia Williams zwolniła przysięgłych na lunch, prosząc, by stawili się na sali

o czternastej. Wobec przedstawicieli stron okazała się natomiast mniej łaskawa, nakazując im udać się natychmiast do swego gabinetu.

Jill poczuła, że koniecznie musi odetchnąć świeżym powietrzem. Dzisiejszy pobyt w sądzie zupełnie ją wykończył. W całej rozprawie było coś absurdalnego. Kto wie, czy Rusty nie miał racji, twierdząc, że powinna dać sobie z tym spokój i pozostać w domu. MacDonald jednakże twardo obstawał przy swoim.

- Jest pani jedyną osobą - powtórzył jej raz jeszcze - której obecność na tej sali może przyczynić się do skazania zabójcy pani siostry. Przysięgli, patrząc na panią, będą stale przypominali sobie, że ofiarą tej zbrodni padła piękna, młoda kobieta. I to może okazać się najważniejsze.

Przecisnęła się przez tłum wypełniający hol na parterze i wydostała się przed budynek sądu. Wzdłuż ulicy zaparkowane były mikrobusy z antenami fal ultrakrótkich.

- To ona! - usłyszała nagle czyjś krzyk. - Siostra ofiary! Ogarnęło ją przerażenie, ale za późno już było na ucieczkę. Ze

wszystkich stron otoczyła ją chmara fotoreporterów, dziennikarzy i kamerzystów.

- Nosi takie samo nazwisko jak tamta? - pytał ktoś tuż obok.

- Nie. Nazywa się Tompkins - odpowiedział mu ktoś inny. Tłum kłębił się wokół niej, a ona mrużyła oczy, oślepiona błyskami fleszy i światłami kamer telewizyjnych. Spostrzegła w pewnym momencie sprawozdawcę sieci CBS, którego twarz знаła od lat, on zaś, jakby doskonale o tym wiedząc, wykorzystał swą przewagę i jako pierwszy zadał jej pytanie:

- Pani Tompkins! Czy pani zdaniem prokuratura oskarża Jima Laytona, mając solidny materiał dowodowy? -

Podstawił jej pod nos mikrofon i czekał teraz na odpowiedź.

- Przykro mi, ale nie będę komentować tego procesu - odparła, próbując wydostać się z okrażenia. Było to niemożliwe, tłum otaczał ją coraz ciasniejszym kręgiem.

- Czy ktoś z pani rodziny będzie jeszcze zeznawał w tej sprawie? - spytał jakiś dziennikarz z „Fox News”.



## 170

- Przykro mi - powtórzyła Jill - ale mam do powiedzenia jedynie tyle: moja siostra została zamordowana i dlatego uczestniczę w tym procesie.

- Czy może pani opowiedzieć o jakichś miłosnych przygodach siostry? - wrzasnął ktoś na całe gardło.

- O czym? - Spojrzała z odrazą na indagującego. - Jak pan śmie zadawać mi...

- A więc przyznaje pani, że siostra miała wiele romansów...

- Dlaczego rodzice ofiary nie przybyli na proces? - spytał jakiś dziennikarz stojący za jej plecami.

- Przybyliby na pewno, gdyby tylko stan zdrowia im na to pozwolił.

- Czy może nam pani powiedzieć, jaka naprawdę była pani siostra?

- W którym hotelu ona mieszka? - podpytywał któryś z reporterów swojego kolegę.

Jill poczuła zawrót głowy; światła osaczały ją, wirowały w oczach i wtedy właśnie, gdy już znikąd nie spodziewała się pomocy, ktoś położył jej dłoń na ramieniu i ostrym tonem zwrócił się do reporterów:

- Pani Tompkins nie odpowie wam na żadne pytania, dopóki nie zapadnie wyrok.

- Pani Schnagel z biura prokuratora okręgowego? - spytał ktoś.

- Proszę natychmiast przepuścić panią Tompkins! - wrzasnęła Kathryn.

Skąd w takiej drobnej osobce tyle energii? - pomyślała Jill.

- Z drogi! Nie słyszycie, co się do was mówi? - krzyknęła ponownie Kathryn. - Tędy! Proszę za mną, Jill! -

Utorowała drogę swej podopiecznej, wepchnęła ją na powrót do gmachu sądu i zaprowadziła dokądś schodami na górę. - Cholera jasna, mówiłam Kevinowi, że musimy zapewnić pani jakąś ochronę. Przecież to nie są ludzie, tylko stado hien.

Reporterzy zostali zatrzymani przez strażników u podnóża schodów, a tymczasem Kathryn wprowadziła Jill do jakiegoś

pomieszczenia, w którym sześciu mundurowych funkcjonariuszy policji municypalnej oglądało telewizję.

- Bardzo mi przykro - sumitowała się Kathryn. - Obiecuję, że od tego momentu zapewnimy pani należyłą ochronę. Wcześniej Jill nie darzyła tej kobiety specjalną sympatią. Wydawała jej się pozbawiona odrobiny ciepła, apodyktyczna i wręcz wiedźmowata. Ale teraz się to zmieniło. W końcu ktoś zauważył, że i ona, Jill, również potrzebuje ochrony. Nareszcie ktoś się o nią zatroszczył.

Mówią o niej „siostra ofiary”. Ale przede wszystkim jest matką swych dzieci. Po prostu mamą. I nie ma niczego na sumieniu. A już na pewno morderstwa.

Słońce świeciło i dzień był zdumiewająco ciepły. Libby namówiła Alexa, by kupili w delikatesach kanapki i zjedli lunch na ławce w niewielkim parku na tyłach sądu. Teraz czuła się trochę\* niewyraźnie, ponieważ Alex z ponurą determinacją zaczął ją wypytywać, jak w przeszłości układało się jej życie miłosne i dlaczego dotąd nie wyszła za mąż.

Grupka pracowników sądu grała na małym boisku w koszykówkę. Libby przyglądała się grze, jadła powoli kanapkę i wyjaśniała Alexowi, że nie udało jej się dotąd spotkać odpowiedniej osoby. To chyba jedyna przyczyna, dla której nie wyszła za mąż. Poza tym jest - przynajmniej we własnym mniemaniu - osobą najzupełniej normalną.

Alex parsknął śmiechem. Z ust wypadły mu okruszynki kajzerki i o mało się nie zakrztusił. Spojrzała na niego zdumiona.

- Uważasz, że utrzymywanie się z pisania powieści to coś normalnego? - wyjąkał. - Opamiętaj się, Libby! Czy znasz kobietę, która żyje tak jak ty?

Cóż. Nie sposób było odmówić mu racji.

- A co z tobą? - postanowiła przejść do kontrataku. - Masz trzydzieści sześć lat i też nigdy nie byłeś żonaty. Wielu ludziom wydawałoby się to nienormalne.

- Tak to jest, kiedy się nie znalazło kobiety, którą chciałoby się widzieć w roli matki swoich dzieci. Po co się człowiek żeni?

Żeby mieć rodzinę. - Zamilkł na chwilę. Libby oderwała wzrok od kanapki i napotkała jego spojrzenie. Wpatrywał się w nią z wyteżoną uwagą, poważny i skupiony. Oczy miał niesamowicie błękitne. - Nie chcę się ożenić z taką normalną, przeciętną kobietą. Szukam kogoś... nadzwyczajnego. Chcę, żeby moje dzieciaki miały wspaniałą matkę. Na przykład taką jak ty - dokończył z uśmiechem.

Libby spuściła wzrok i ugryzła kęs kanapki. Zastanawiała się nad tym, co przed chwilą usłyszała. Chyba rzeczywiście jest normalna. Choćby dlatego, że podobnie jak większość normalnych kobiet skłonna była przyznać, iż Alex posłużył się bardzo sprytną retoryką. I bardzo skuteczną. Szkoda tylko, że nadal wydawał jej się jakiś dziwny. Coś tu nie grało.

Lokal przy Police Plaza pod numerem pierwszym znajdował się dość blisko sądu, niemniej jednak znalezienie tego adresu wymagało trochę zachodu. Melissa zajęła miejsce w głębi sali, otworzyła kupiony po drodze jogurt i zaczęła go jeść. Właściwie powinna pracować w czasie przerwy w rozprawie, ale tym razem miała aż nadto wiele powodów, by tu przybyć.

Spotkanie trwało już od pewnego czasu. Jakaś kobieta zaklinała się władnie, że jej szef robi wszystko, by znowu zaczęła pić. Melissa uśmiechnęła się lekko. Dobrze pamiętała swoje pierwsze pół roku abstynencji, kiedy dosłownie wszystko zdawało się popychać ją ku temu, by wróciła do nałogu. Świat był pełen winowajców. Teraz, gdy minęło dwa i pół roku, wydawało się to śmiechu warte.

- Na imię mam Chuck i jestem alkoholikiem - przedstawił się kolejny mówca, siedzący w odległym kącie sali. - Opowiem wam, co przydarzyło mi się dziś w pracy. Musiałem wyprowadzić stamtąd jednego gościa, który wyglądał na chorego, a ja na bank wiedziałem, że jest pijakiem i że naprawdę nic mu nie jest, z wyjątkiem tego, że chciałby zaprawić się znacznie bardziej, a nie może, bo musi przychodzić do tego... no, tam, gdzie pracuję. I w końcu wpadł na pomysł, żeby przyjść na kacu. Normalnym ludziom zwykły kac może wyglądać na wczesne stadium

jakiejś strasznej choroby. Uznają, że na nią cierpi i zwolnią go z tego... no, co musi robić, i będzie mógł pójść sobie do domu i chlać dalej.

Ludzie zaczęli się śmiać. Melissa wyprostowała się na krześle, wyciągnęła szyję, by zobaczyć mówiącego.

- Kazali mi wyprowadzić tego faceta i wezwać karetkę, co jest normalną procedurą, ale mnie okropnie kusiło, żeby zrobić z tego aferę i powiedzieć moim zwierzchnikom: Ludzie, dlaczego dajecie robić się w konia? W końcu jednak pomyślałem sobie: co cię obchodzi, to nie twoja sprawa. Facet w końcu nie ciebie robi w konia, tylko... instytucję. Jego sprawa. Dość mam kłopotów z samym sobą, żeby się jakoś trzymać. Ale wiecie, chodzi o to, że oszust oszusta nie oszuka. I może dlatego przez cały czas mnie kusiło, żeby mu zrobić koło pióra... Sam już nikogo nie mogę oszukiwać, to może z zazdrości?

Teraz już prawie cała sala się śmiała.

Melissie udało się zerknąć na tego człowieka i natychmiast odwróciła głowę.

To był ten sam Chuck. Strażnik, który opiekował się nimi w sądzie i który dziś zajął się Bobem.

Wydawnictwo „Barnes & Noble”. Dział powieści. Wydania w miękkich oprawkach.

Will lustrował oczami ustawione na półkach książki. Natrafił wreszcie na literę „W”, zatrzymał wzrok na nazwisku „Wbuk”, przeniósł spojrzenie bardziej na lewo i poczuł przyspieszone bicie serca.

Elizabeth Winslow.

Sięgnął po książkę i zajrzał na odwrotną stronę okładki. „Rozkoszna, wyrafinowana w swej prostocie lektura, której wewnętrzne ciepło powinno poruszyć nawet najbardziej cynicznego czytelnika” - głosił zamieszczony tam fragment recenzji.

Przeczytał jeszcze notkę od wydawcy: „Czy kobiecie, która wedle współczesnych kryteriów bezsprzecznie odnosi sukcesy, łatwo znaleźć prawdziwą miłość? Amanda Sinclair, piękna i błę-

**174**

skotliwa bohaterka tej powieści, skłonna jest sądzić, że nie. Wkrótce uświadamia sobie, że nie wie jednak wszystkiego... Zwłaszcza o miłości."

Will uśmiechnął się, po czym podszedł do lady, aby poprosić o najnowszą książkę swojej koleżanki z ławy przysięgłych.

13.

Z sądu wracała sama. Alex prawie natychmiast po złożeniu deklaracji, iż widziałby w niej matkę swoich dzieci, pobiegł na Canal Street, by kupić sobie sportowe skarpety. Mimo to nie czuła się urażona, samopoczucie wyraźnie jej się poprawiło. Facet bezsprzecznie nie\* grzeszył nadmiarem inteligencji, ale i tak przyjemnie było mieć świadomość, że wedle czyjejś oceny jest się kobietą nie tylko atrakcyjną, ale również godną macierzyństwa. Kiedy dotarła już na szesnaste piętro i ruszyła w kierunku pokoju przysięgłych, ktoś zawołał ją po imieniu. Odwróciła się na pięcie i zobaczyła Williama (Willa?), który biegł ku niej korytarzem, wymachując reklamówką z jakimiś zakupami.

- Zobacz, co tu mam - wysapał zdyszany, podsuwając jej pod nos torbę. Zerknęła do środka i serce zaczęło jej mocniej bić. Ujrzała tam tanie, popularne wydanie swojej pierwszej powieści i „Uśmiech losu” w twardej oprawie. Przebiegł ją dreszcz, jak zawsze gdy patrzyła na egzemplarz własnej powieści, którą ktoś zechciał wydrukować i wydać. Nie zdążyła się jednak na dobre ucieszyć, gdyż Will zupełnie niepotrzebnie powiedział: - Chciałem zrobić, co w mojej mocy, aby choć częściowo zrekompensować ci ten niedoszły występ w programie Oprah Winfrey. - Natychmiast przypomniała sobie o swoim zmartwieniu i poczuła bolesny ucisk w okolicach żołądka.

- Ach, tak - bąknęła. Zawstydziała się, że reaguje tak emocjonalnie. Znowu była kompletnie załamana. Jemu również zrobiło się przykro.

- Przepraszam cię, Libby! Niepotrzebnie o tym...

- Nie przejmuj się, Williamie. To ja reaguję jak idiotka. Pogłodził ją po ramieniu.

- Nie William, tylko Will. Zapomniałaś? Reagujesz najnormalniej w świecie. Z tego, co mi mówiłaś podczas lunchu w tym „Amsterdamie”, wynika jasno, że martwisz się po prostu o swoją karierę. Cóż w tym idiotycznego? Słowa Willa nie w pełni do niej dotarły, nagle bowiem przyszła jej do głowy pewna myśl. Skreśliła w bok i skierowała się w stronę automatów telefonicznych. William automatycznie poszedł za nią.

- Słuchaj... - zwróciła się do niego. - Co mi radzisz zrobić? Czy sama mam zadzwonić do realizatorów programu i wyjaśnić im, dlaczego nie mogę dziś przyjechać, czy pozostawić to facetowi, który zajmuje się promocją moich książek?

- Raczej zadzwoń sama - odparł. - Tylko musisz się pośpieszyć - dodał, spoglądając na zegarek.

Zdażyła już wyjąć z torebki notatnik i długopis.

- Jaki jest kierunkowy do Chicago? - spytała, podnosząc słuchawkę.

- Trzysta dwa - odpowiedział natychmiast.

Na szczęście kod swojej telefonicznej karty kredytowej potrafiła wystukać pamięci.

- Informacja? Tak jest, chodzi o Chicago... Proszę mi podać numer Harpo Productions.

W minutę później, czekając na połączenie z producentem programu „Oprah Winfrey Show”, uśmiechnęła się do swego towarzysza i spytała:

- Naprawdę chcesz, żebym mówiła do ciebie „Will”?

Rozprawa została wznowiona o drugiej i poza technicznymi problemami z nagłośnieniem końcowa część przesłuchania policjantki przebiegała sprawnie. Geiggen był oszczędny w słowach, uprzejmy i stonowany.

Przysięgli dowiedzieli się, że istniał naoczny świadek zajścia. Była nim kobieta, która w momencie gdy padły śmiertelne strzały, stała tuż obok Sissy Cook. W kilka godzin później rozpoznała ona na zdjęciach oskarżonego, zezna-

jąc, że to on właśnie przywiózł pod nocny klub człowieka, który oddał śmiertelne strzały, a potem pomógł mu uciec. Jednocześnie jednak pani inspektor Watts zmuszona była przyznać, iż rzeczywiście były jakieś kłopoty z identyfikacją „na żywo”, przeprowadzoną nazajutrz w tym samym komisariacie, choć - o czym przypomniła natychmiast sędzia Williams - wyniki tego eksperymentu śledczego nie zostały włączone do materiału dowodowego, natomiast dowód z rozpoznania zdjęć pozostał.

W rezultacie Libby zastanawiała się wyłącznie nad tym, czy rzeczywiście świadek, zamiast rozpoznać podczas konfrontacji oskarżonego, wskazała mylnie na jakiegoś policjanta.

Samopoczucie Libby znacznie się poprawiło, i nie bez powodu. Tak jak podejrzewała, producentom programu „Oprah” nie wyjaśniono dokładnie, dlaczego nie mogła się dziś u nich zjawić.

- Naprawdę jest pani przysięgłą w tym sławnym procesie? - zdumiał się producent. - Może przyjedzie pani do nas zaraz po zapadnięciu wyroku?

- Oczywiście - ucieszyła się.

- Bardzo byśmy byli zainteresowani pani relacją o tym, co się naprawdę działo w pokoju przysięgłych.

Bąknęła coś i natychmiast przestała się uśmiechać.

Ale i tak warto było zadzwonić. Wiedzą przynajmniej, że jest przyzwoitą obywatelką, traktującą poważnie swoje zobowiązania wobec społeczeństwa, a nie jakąś literacką primadonną, która nie chce, by telewizja zawracała jej głowę.

Policjantka opuściła wreszcie podium, a oskarżenie wezwało następnego świadka. Libby miała nadzieję, że w końcu usłyszy od kogoś jakąś żywą relację, która pozwoli jej wyobrazić sobie, co naprawdę się stało owej nocy, kiedy padły feralne strzały.

Na sali rozległy się szmery; wejście kolejnego świadka oskarżenia wywołało poruszenie na widowni. Marybeth Schaeffer była wysoką, szczupłą, wystrzałą brunetką. Libby była niemal pewna, że musiała ją już kiedyś gdzieś widzieć. Po jej zaprzysiężeniu okazało się, że Marybeth Schaeffer jest zawodową modelką. Jako najbliższa przyjaciółka Sissy Cook (nie tylko pracowały,



ale również i mieszkały razem przez pewien czas), wyszła wraz z nią z nocnego klubu i była świadkiem tego, co się stało.

Z jej odpowiedzi na kolejne pytania MacDonalda wynikało, że urodziła się w małym miasteczku w stanie Nebraska, studiowała przez dwa lata na Uniwersytecie Tekszańskim, po czym przeniosła się do Nowego Jorku, gdzie zaproponowano jej pracę modelki. Nie była aresztowana. Nie występowała również nigdy jako świadek w sprawie karnej.

Tragicznie zmarłą (Geiggen ponownie nie zgodził się, by nazywać Sissy Cook „zamordowaną”) poznała w agencji zatrudniającej modelki. Była od niej znacznie młodsza; gdy się spotkały, miała dopiero dwadzieścia jeden lat, ale od początku bardzo się polubiły i kiedy Sissy zaproponowała, by zamieszkały razem w jej przestronnym, posiadającym dwie sypialnie mieszkaniu na East Side, Marybeth z wdzięcznością na to przystała.

Jaka była Sissy? Serdeczna, wesoła i troskliwa. Co prawda zupełnie nie umiała gotować, ale to nie miało znaczenia, gdyż nigdy nie zalecano im, by jadły zbyt dużo. Była bystra, pracowita i pełna radości życia. Również bardzo hojna wobec przyjaciół. Na Święta Bożego Narodzenia - ostatnie, jakie było jej dane przeżyć - zaprosiła Marybeth do swych rodziców, którzy mieszkali na Florydzie. Był to wspaniały pobyt. W Wigilię poszli wszyscy do kościoła, a potem był indyk, prezenty... wszystko, co potrzeba. Marybeth otrzymała zaproszenie również na następne święta, ale nim nadeszły, Sissy została zamordowana.

- Czy zechce pani opowiedzieć przysięgłym, co stało się tamtej nocy? Przypominam datę: dziewiąty lutego 1994.

- No więc...-zaczęła.

- Czy mogłaby pani mówić nieco głośniej? - spytał zza swego stołu obrońca. ,

MacDonald obrzucił go wściekłym spojrzeniem, ale Marybeth Shaeffer bynajmniej się tym nie spieszyła. Przysunęła się bliżej mikrofonu i kontynuowała opowieść.

Przedstawiciele pewnej firmy produkującej odzież, której kolekcję promować miały zdjęcia reklamowe Sissy i Marybeth, zaprosili obie modelki na kolację. Następnie udali się do nocnego

klubu o nazwie „Belle”, by wypić po lampce wina i potańczyć. Bawili się świetnie, aż nagle koło północy pojawił się tam oskarżony.

- I co się wówczas stało? - spytał MacDonald.

- Obie znajdowałyśmy się wtedy na parkiecie i dlatego widziałam dokładnie całe zajście. - Zamilkła na chwilę. W jej oczach po raz pierwszy pokazały się łzy. - Oskarżony wtargnął na parkiet i zaczął się przyczepiać do faceta, który tańczył akurat z Sissy.

- I co wówczas zrobiła pani Cook?

- Powiedziała mu, żeby się wyniósł.

- A dlaczego tak powiedziała?

- No cóż... Miała powody, by go nie lubić.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - krzyknął Geiggen, zrywając się na równe nogi. - Świadek pozwala sobie na czyste spekulacje.

- Nie są to żadne spekulacje - zripostowała Marybeth. - Przecież ja z nią mieszkałam. -. Na sali rozległy się śmiechy. Pani sędzia Williams szybko uciszyła widownię.

- Oddalam sprzeciw. Oskarżyciel może zadawać kolejne pytania.

- Co Sissy Cook mówiła pani na temat uczuć, jakie żywiła do oskarżonego?

- Uczuć? - Marybeth uniosła oczy ku sufitowi. - Nie znosiła go. Opowiedziała mi, że miała z nim takie...

męsko-dam-skie spotkanie. Ale tylko raz. Początkowo zachowywał się bardzo agresywnie, a potem okazało się, że to erotoman-gawędziarz.

- Co pani przez to rozumie?

- No... Sissy powiedziała, że okazał się impotentem. Geiggen ponownie zerwał się z krzesła.

- Sprzeciw! Świadek nie mówi o faktach, tylko podaje nam jakieś nie sprawdzone pogłoski.

- Wysoki Sądzie - zabrał głos MacDonald. - Zadaję te pytania po to, aby ukazały nam one motywy zabójstwa.

Zważywszy zaś, że ofiara nie może mówić sama za siebie, nie mamy innego

wyjścia, jak oprzeć się na relacji osoby, która była wówczas jej najbliższą przyjaciółką.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - zaprotestował Geiggen. - Kolejne czyste spekulacje. Skąd niby wiemy, kto w istocie był najlepszym przyjacielem ofiary?

- Strony prozzone są do ławy - przerwała jawność rozprawy sędzia Williams. Po krótkiej, toczonyj szeptem słownej awanturze protokolantka powróciła ze swoją maszyną na poprzednie miejsce i postępo \ nie zostało wznowione.

- Czy zechciałaby pani powiedzieć nam - zadał wynegocjowaną uprzednio formę pytania MacDonald - dlaczego ofiara miała niechętny stosunek do oskarżonego?

- To bardzo proste. Spotkała się z nim ten jeden jedyny raz, po czym dowiedziała się nagle, że jest on żonaty, z czym przedtem się nie zdradził, że ma dzieci, czego jej również nie powiedział, że jest narkomanem, co także przed nią zataił... I być może, że jest nawet handlarzem narko....

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie!

- Sąd uznaje zasadność sprzeciwu.

- A co jeszcze mówiła o oskarżonym Sissy Cook? - uparcie drażył temat MacDonald.

- Mówiła, że zaczął się jej naprzykrzać.

- W jaki sposób?

- No... dzwonił, przysyłał kwiaty, czatował na nią pod agencją, śledził ją czasem nocami...

- Czy pani przyjaciółka bała się go?

- Na początku nie - zeznała Marybeth. - Mówiła mi, że to skończony niedorajda i że te wszystkie zasadzki, które na nią zastawia, są beznadziejnie nieporadne.

Oskarżony zachowywał obojętny wyraz twarzy.

- Mówiłam jej, żeby była ostrożna - ciągnęła dalej Marybeth. - I potem przyznała mi rację. Stawał się bowiem coraz bardziej natarczywy.

- I wówczas zaczęła się go bać?

- Tak. Nawet bardzo.

Świadek opowiedziała następnie o tym, jak oskarżony wtargnął

na parkiet i po krótkiej, opisanej poprzednio utarczce słownej, zamiast zostawić Sissy w spokoju, chwycił ją za ramię. Jej partner, kompletnie zaskoczony, powiedział wtedy: „Hej! O co chodzi?”. Oskarżony odepchnął go i zaczął ciągnąć Sissy za rękę. Orkiestra przestała grać i wszyscy usłyszeli, jak krzyknęła do niego: „Ty impotencie, handlarzynie narkotyków! Zostaw mnie natychmiast w spokoju!”. Wówczas przedstawiciele firmy, którzy zaprosili obie modelki do klubu, schwycili oskarżonego pod rękę i przy pomocy jednego z klubowych bramkarzy poprowadzili w kierunku drzwi.

- Czy oskarżony mówił coś, gdy go wyprowadzano? - spytał MacDonald.

- Owszem. Odwrócił się w pewnym momencie i powiedział: „Ty dziwko! Nie ujdzie ci to na sucho!”

Marybeth sięgnęła po szklanę. MacDonald odczekał chwilę, pozwalając jej odetchnąć i wypić łyk wody.

- O której godzinie opuściła pani klub?

- O drugiej w nocy. Nasi znajomi wyszli pierwsi, by złapać dla nas taksówkę, a ja i Sissy zostałyśmy jeszcze chwilę, by zamienić parę słów z właścicielem lokalu.

- A następnie?

- Następnie wyszłyśmy na... na ulicę. - Głos zaczął jej się łamać ze zdenerwowania. Znowu wypła łyk wody.

- Może pani mówić dalej? Skinęła głową.

- I co się wtedy stało?

- Zobaczyłyśmy naszych znajomych, którzy nadal usiłowali zatrzymać jakąś taksówkę, i skierowałyśmy się w stronę krawężnika. - Przełknęła ślinę, zmarszczyła brwi. Patrzyła nieco ukosem, spod przymrużonych powiek, próbując jakby przywołać tamtą scenę. - i wtedy usłyszałyśmy pisk opon, taki jak... jak na filmie. Odwróciłyśmy się, by zobaczyć, co się dzieje, i wówczas Sissy schwyciła mnie za rękę i powiedziała: „O rany! Jim Layton! Patrz, to jego wóz.”

- Pani również widziała ten samochód?

- Oczywiście. Był już bardzo blisko. Jechał wprost na nas. Szary jaguar z czarnym, otwieranym dachem.

182

- I co się wtedy stało?
- Odciągnęłam Sissy od krawężnika...
- A gdzie byli wówczas wasi znajomi?
- Rozbiegli się na boki, widząc podjeżdżający na takim gazie samochód. Wydaje mi się, że z tyłu za nami stał przy drzwiach któryś z bramkarzy.
- Proszę opowiadać dalej.
- Odciągnęłam ją na bok. Samochód zahamował gwałtownie i zatrzymał się tuż przy nas. Wysiadł z niego jakiś mężczyzna... czarny mężczyzna... Pamiętam, że miał kłopoty z wysiadaniem, gdyż był bardzo wysoki, potężny, a jaguar jest niskim, sportowym wozem.
- I co dalej?
- A więc człowiek ten wysiadł, po czym zgiął się wpół i zajrzał do wnętrza wozu. Kierowca powiedział coś do niego i wskazał mu palcem Sissy. Wtedy ten czarny spojrział w naszym kierunku i spytał: „Ta w czerwonym?”
- Co miał na myśli?
- Sprzeciw, Wysoki Sądzie? Skąd świadek ma niby wiedzieć, co kto inny miał na myśli?
- Słusznie - zauważyła sędzia Williams, nie podnosząc głowy sponad notatek.
- Pozwoli pani, że przeformułuję to pytanie - zaczął MacDonald. - Co czerwonego... Przepraszam, wykreślmy to... Czy ktoś, chodzi mi o osoby znajdujące się wówczas na ulicy, miał na sobie ubranie czerwonego koloru?
- Tak. Sissy miała jaskrawoczerwony trencz. Bardzo żywy odcień czerwieni. Wspaniale w nim wyglądała.
- A czy ktoś inny miał również na sobie coś czerwonego?
- **Nie.**
- A więc ten, który wysiadł z samochodu, spytał kierowcę: „Ta w czerwonym?”. I co się wówczas stało?
- Zobaczyłam, że ten... ten czarny mężczyzna wyciągnął nagle rewolwer. Stojący za nami bramkarz krzyknął: „Uwaga! On ma broń!” I wtedy ten z rewolwerem zjawił się tuż przed nami...

183

- Co było dalej?

Marybeth przymknęła oczy. Jej twarz wykrzywił bolesny grymas. Trwało to przez dłuższą chwilę, aż wreszcie uniosła powieki i powiedziała:

- Odepchnął mnie na bok. Byłam na wysokich obcasach... upadłam na chodnik... i wtedy właśnie usłyszałam krzyk Sissy. Podniosłam głowę i zobaczyłam, jak on do niej strzela...

Teraz jeszcze bardziej się załamała. Potrzebowała trochę czasu, aby dojść do siebie, a gdy dała znak ręką, że jest gotowa, MacDonald zadał jej kolejne pytanie:

- Ile strzałów oddał do niej ten człowiek?

- Cztery. To było tak: bach, bach, bach... potem ona upadła, a on się nad nią nachylił i wystrzelił jeszcze raz... prosto w twarz... - Marybeth nie była w stanie już nic więcej powiedzieć. Zaczęła głośno szlochać.

Sąd, na prośbę oskarżyciela, ogłosił krótką przerwę.

- Bardzo mi przykro, pani Shaeffer - zaczął MacDonald po przerwie. - Wiem, jak trudno pani o tym mówić, ale to naprawdę bardzo ważne, aby sędziowie przysięgli mieli jasny obraz tego, co wówczas się zdarzyło.

Marybeth żałośnie skinęła głową.

- Czy pamięta pani, co stało się bezpośrednio po tym, gdy padły strzały?

Ponownie skinęła głową, odetchnęła głęboko i ze wzrokiem wbitym w podłogę zaczęła mówić:

- Miałam wtedy... pewne kłopoty z widzeniem, ale udało mi się zapamiętać moment, gdy ten... ten, który strzelał, wskakiwał do samochodu oskarżonego...

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - przerwał jej natychmiast obrońca. - W toku niniejszego postępowania nie zostało udowodnione, że samochód, o którym mowa, był własnością oskarżonego.

- Sprzeciw jest zasadny - orzekła pani Williams. - Pani Shaeffer - zwróciła się łagodnym tonem do świadka - proszę mówić dalej, używając po prostu słowa „samochód”.

Marybeth przytaknęła skinieniem głowy i spojrzała na Mac-Donalda.

- No więc wszedł on do tego samego samochodu i nim odjechał.

- Mówiła pani o „pewnych kłopotach z widzeniem”. Na czym one polegały?

Marybeth schyliła nisko głowę i powiedziała coś tak cicho, że aparatura nagłaśniająca nie była w stanie tego przekazać.

- Pani będzie łaskawa powtórzyć to do mikrofonu - poprosiła sędzina.

Marybeth znowu zrobiła głęboki wdech i nachyliła się do przodu. Jej twarz wyglądała teraz makabrycznie.

- Cała byłam zalana krwią Sissy... i tym, co rozbryzgnęło się z jej głowy. - Ukryła twarz w dłoniach i ponownie wybuchnęła płaczem.

- Wysoki Sądzie... - zaczął, zniżając głos, MacDonald.

- Tak, tak - nie pozwoliła mu skończyć pani Williams. - Ogłaszam następną krótką przerwę. Przypominam, że przysięgłym nie wolno jest rozmawiać o sprawie z osobami postronnymi, jak również ze sobą nawzajem. Dziękuję państwu.

Przysięgli znów wrócili do swojego pokoju. Dayton skierował się prosto ku oknu, by zapalić papierosa, Melissa naląła świeżej wody do dzbanka i gdy spytała, kto ma ochotę się napić, zgłosili się prawie wszyscy. Libby powędrowała do toalety, zmoczyła papierową serwetkę, wróciła do stołu i przyłożyła sobie do czoła zimny kompres.

- Naprawdę niewyraźnie się czuję - wyznała.

- Nic dziwnego - wtrąciła pani Smythe-Daniels. - Ależ to było okropne!

- Może to zabrzmiało głupio - odezwał się małolat Ronnie - ale dopiero teraz po raz pierwszy do mnie dotarło, że tu chodzi o morderstwo. Prawdziwe morderstwo.

Will siedział w kącie pokoju i nie odzywał się ani słowem. Alex nachylił się ku Libby i spytał szeptem:

- Może przynieść ci colę? Albo coś słodkiego?

**185**

- Mam coś słodkiego - powiedział księgowy Clay, który nagle pojawił się przy krześle Libby z otwartą torebką pastylek. - Nie ma lekko. Każdym z nas to wstrząsnęło - dodał jakoś niespodziewanie serdecznie.

Podziękowała mu, wzięła pastylkę i włożyła ją sobie do ust.

Gdy znaleźli się ponownie na sali sądowej, świadek Marybeth Sheaffer wyglądała już znacznie lepiej. Zdążyła częściowo poprawić sobie makijaż i nie była już taka przerażająco blada.

- Wróćmy jeszcze na chwilę do momentu, zanim padły strzały - zaczął MacDonald. - Czy wówczas miała pani jakieś kłopoty z widzeniem?

- Nie. Absolutnie nie - odparła. - Ulica była tam niezwykle jasno oświetlona.

- I jeszcze jedna rzecz. Czy w momencie, gdy zobaczyła pani wóz marki Jaguar, jadący w pani kierunku, widziała pani również jego wnętrze?

- Tak jest - powiedziała szybko, skinąwszy jednocześnie głową. Była wyraźnie wdzięczna, że nie musi tym razem opowiadać jakichś drastycznych szczegółów. - Widziałam doskonale kierowcę i pasażera. Tego, który potem strzelał, nigdy przedtem nie spotkałam. Nie jestem pewna, czy w ogóle potrafiłabym go rozpoznać.

- A kierowcę? Potrafiłaby pani rozpoznać kierowcę?

- Tak jest.

- Czy znajduje się on na tej sali?

- Tak jest - powtórzyła. - Kierowcą był Jim Layton - stwierdziła, wskazując palcem oskarżonego.

- Dziękuję pani bardzo. To już wszystko - zakończył MacDonald.

Pani sędzia Williams ogłosiła przerwę do następnego dnia do dziesiątej rano.



14.

Libby wróciła do domu skonana. Zamieniła zaledwie kilka słów ze strażnikami dyżurującymi w holu, a oni zorientowali się, że tym razem nie jest to stosowny moment, by sobie z nią pożartować.

Po wejściu do mieszkania odruchowo przejrzała pocztę, otworzyła pierwszą z brzegu kopertę, po czym natychmiast ją odłożyła, pogłaskała koty i dała im jeść. Po nakarmieniu swych podopiecznych zabrała plik kopert do gabinetu i zaczęła je sortować. Nie lubiła tego zajęcia, ale czuła się tak paskudnie, że równie dobrze mogła się teraz i tym zająć. Rachunek od dentysty (wymiana dwóch złotych plomb) opiewał na sumę tysiąca dwustu dolarów. Następny rachunek dotyczył ubezpieczenia zdrowotnego na następny kwartał - siedemset dwanaście dolarów. Zaliczka podatkowa płatna w terminie do piętnastego stycznia - trzy i pół tysiąca dolarów oraz kwartalne ubezpieczenie samochodu - sześćset pięćdziesiąt. Saldo rachunku oszczędnościowego powinno wystarczyć na opłacenie dwumiesięcznego czynszu. Zostałoby jej trzysta dolarów na przeżycie. Zaraz, zaraz... A opłata za telefon i zbilansowanie debetu na karcie kredytowej?

Diety sądowe w wysokości piętnastu dolarów dziennie na pewno tego nie pokryją. A z nową umową wydawniczą nikt się jakoś do jej drzwi nie dobija.

Nadszedł czas, by zadzwonić do wujka Grega - brata matki, który zajmował się jakimś doradztwem inwestycyjnym w Chicago. Właściwie zbyt dobrze go nie znała, ale matce udało się ją skłonić do tego, by przekazała wujowi do zainwestowania część swojego funduszu emerytalnego i większość oszczędności. Wy-

187

dawało jej się, że w sumie powinna mieć obecnie u niego około dwunastu tysięcy dolarów.

Wujek Greg ucieszył się, gdy ją usłyszał. Dowiedział się już od rodziców, że Libby jest przysięgłą w sprawie o morderstwo. Znacznie mniej natomiast uradowała go wiadomość, iż zdeponowane u niego pieniądze będą jej wkrótce potrzebne.

- Uprzedzałem cię, Libby - oświadczył na wstępie - że tych pieniędzy nie będziesz mogła wycofać z dnia na dzień. Są zamrożone w inwestycjach.

- No tak, ale dzwonię właśnie po to, by wujowi powiedzieć, że niestety trzeba będzie je odmrozić... To znaczy, wycofać pieniądze z tych inwestycji, rezygnując oczywiście z zysku. Wkrótce, to znaczy za jakieś sześć tygodni, będą mi potrzebne.

W słuchawce rozległo się ciężkie westchnienie.

- Ile chcesz wycofać?

- Obawiam się, że wszystko. - W słuchawce zapanowała cisza. - Wiesz, wuju, te pieniądze miały być na tak zwaną czarną godzinę. I właśnie nadeszła.

- A czy nie dostałaś zaliczki na następną książkę?

- W tym właśnie kłopot. Będę musiała jeszcze trochę na to poczekać. Tak mi przynajmniej powiedziano. Aha!

Oczywiście nie zamierzam wycofywać pieniędzy z funduszu emerytalnego. Chodzi mi tylko o resztę oszczędności.

- No pewnie. Jeszcze by tego brakowało! Musiała widać bardzo go zirytować.

- Słuchaj, Lib... Możemy ponieść duże straty, jeśli w tym momencie wycofamy ten wkład. Rynek ubezpieczeniowy nie prosperuje teraz tak jak do niedawna.

- Nie oczekuję jakichś wielkich zysków.

- Co? O zyskach możesz w tym momencie zapomnieć.

- No tak... ale na kwiecie, który przysłałeś mi w zeszłym roku, było napisane, że z moich dziesięciu tysięcy zrobiło się dwanaście.

- No i co z tego? Jeśli teraz wycofasz wkład, dostaniesz siedem.

- Siedem?

- Słuchaj, Libby... To jest bardzo skomplikowane. Lokata inwestycyjna na rynku pochodnym wymaga czasu. Musisz poczekać, aż...

- Kłopot w tym, że nie mogę poczekać. Nie chodzi mi o fundusz emerytalny, tylko o tę resztę, którą miałeś ulokować tak, aby w każdej chwili...

- Przecież chciałaś mieć z tego wysoki procent! Cóż ja ci mogę więcej powiedzieć? Jeśli wiedziałaś, że za chwilę nie będziesz miała za co opłacić czynszu, to po co mi w ogóle przysłałaś te pieniądze?

- Bo tak mi poradziłeś! - odparła, też już nieźle zdenerwowana. Odetchnęła głęboko. - Przepraszam, wuju. Siedzę całymi dniami w sądzie i nasłuchiwałam się tylu okropieństw, że zupełnie nie mogę się pozbierać. Powiedz mi, proszę, gdzie te pieniądze są ulokowane, a ja sobie wszystko przemyślę i odezwę się za parę dni.

- Mogłabyś wziąć pożyczkę pod zastaw tej lokaty. Dostałabyś wówczas na rękę jakieś pięć tysięcy.

Z siedmiu nagle zrobiło się pięć?!

Tym razem udało jej się jakoś opanować. Zapisała sobie po prostu nazwę towarzystwa ubezpieczeniowego, które operowało jej „kapitałem” - czy raczej tym, co z niego zostało - przeprosiła wujka i zajęła mu tak wiele czasu i pożegnała się.

Melissa błądziła dość długo, zanim udało jej się odszukać to cholerne biuro „kociarzy”, i w efekcie dotarła tam dopiero przed ósmą. Lokal firmy mieścił się w kompleksie biurowców należących do Harding-Buckner Mills, w Short Hills. Zaparkowała wóz, weszła do holu i natknęła się na dyżurnego ochroniarza, który zaczął ją maglować.

- Christine Harrington? - obruszył się na wstępie. - Nie będę jej przeszkadzał żadnymi telefonami.

- Jak więc mam się z nią spotkać, skoro nie zadzwoni pan i nie powie jej, że tu jestem?

Ochroniarz obrzucił Melissę szybkim spojrzeniem, obejrzał ekrany monitorów, rejestrujące to, co się dzieje przed wejściem, po czym spojrzał na nią ponownie.

- Pani wizyta jest zapowiedziana? - spytał podejrzliwie.
- Oczywiście. Nazywam się Melissa Grant. Dokładnie tak, jak wpisałam się do rejestru. Wydał policzki. Zastanawiał się intensywnie. Myślał.
- No dobrze - powiedział wreszcie. Podniósł słuchawkę, wybrał numer i czekał. Wyprężył się nagle jak struna. - Pani Harrington? Jest tu w holu pani Melissa Grant z agencji... - Jego uśmiech zmienił się w nerwowy grymas. Christine musiała mu widać przerwać. - Tak, tak. Oczywiście. Natychmiast wskażę jej drogę na górę. - Odwiesił słuchawkę. - Przepraszam za to całe przesłuchanie - zaczął się usprawiedliwiać - ale pani Harrington podlega najbardziej ścisłej ochronie i...
- Dlaczego? - zdumiała się. Nie odpowiedział na jej pytanie.
- Pierwsza winda po prawej. - Wskazał palcem drogę. - Proszę wysiąść na ostatnim piętrze. Nie trzeba używać żadnych przycisków. To ja steruję windami.
- Nie widzę innego wyjścia - oświadczył Will, nadal spokojnie pakując swoje rzeczy do walizki. - Rozumiem, że potrzebujesz trochę czasu na znalezienie mieszkania. A ja ten czas chcę przeczekać poza domem, by uniknąć awantur.
- Ależ Williamie! Moi rodzice przyjeżdżają na Święto Dziękczynienia! - krzyknęła z furią Betsy. Ma prawo być zdenerwowana, pomyślał. Wczoraj łaskawie pozwolił zaciągnąć się do łóżka, a dziś po powrocie do domu oświadczył jej, że wyprowadza się do hotelu. Będzie tam mieszkał, dopóki ona się stąd nie wyniesie.
- Co ja powiem rodzicom? - żaliła się.
- Powiesz im prawdę - odrzekł, wyjmując z szafy całą stertę uprasowanych, poskładanych równiutko białych koszul.
- Nie mogę powiedzieć im prawdy! - wybuchnęła. - Przecież oni są przekonani, że mamy się wkrótce pobrać. Musiał w tym momencie zareagować. Upuścił koszule na łóżko, obrócił się na pięcie i podszedł do niej.
- Słuchaj, Betsy - powiedział, ujmując ją za ramię. - Wyznaj

im wszystko. Być może znajdziesz w nich jakieś oparcie. Po- ; wiedz, że okazałem się typem człowieka, z którym nie chciałyby się związać na zawsze. Powinni cię zrozumieć.

- Właśnie że chciałabym!

- Wiesz dobrze, że popełniłabyś błąd - odpowiedział. Zdjął rękę z jej ramienia i powrócił do pakowania walizki. - Słuchaj... Powiedz im, że chciałem wychowywać nasze dzieci w religii mojżeszowej. I że ty się nie zgodziłaś. Będą tańczyć z radości.

- I co... Mam ich tu gościć sama?

- Możesz równie dobrze anulować rezerwację. Bilety będą mogli wykorzystać przy jakiejś innej okazji.

Nie widział jej, ale wyczuł instynktownie, że się do niego zbliżyła. W chwilę potem go uderzyła.

- Nienawidzę cię! Ty podły draniu! - krzyczała, okładając go pięściami po plecach.

Z drugiego końca pogrążonego w ciemnościach korytarza usłyszała głos:

- Hej!

- Hej! - odpowiedziała niepewnie Melissa. Po wyjściu z windy zobaczyła uchylone drzwi do wnętrza, które wyglądało raczej na Salon niż na biuro. Oddzielał ją od niego ciemny korytarz, w którym paliły się jedynie światełka wskazujące drogę do awaryjnego wyjścia. - Christine? Nie zrozum mnie źle, ale gdzie my, do licha, jesteśmy?

Oczekująca na nią kobieta roześmiała się serdecznie. Po chwili podeszła, by przywitać Melisę.

- To jeden z apartamentów służbowych naszej firmy. Pozwól za mną. Przejdziemy do salki konferencyjnej.

Wszystko już jest tam przygotowane. Przepraszam za te ciemności, ale jesteśmy wyczuleni na punkcie oszczędzania energii. Nie ma sensu oświetlać całego piętra jedynie dla nas dwóch.

- A gdzie jest Sal i cała reszta towarzystwa? - spytała niepewnie Melissa.

- Dziś ich tu nie ma. Nie będą nam zresztą do niczego potrzebni - odparła Christine, otwierając drzwi pokoju, który był

**191**

na tyle oświetlony, że również i na korytarzu zrobiło się na moment jasno.

W salce konferencyjnej czekał monitor telewizyjny i odtwarzacz wideo. Pod ścianą leżały przygotowane przez agencję materiały reklamowe. Na stole spoczywał sporządzony odręcznym pismem plik notatek.

- Zaczniemy od tej pierwszej reklamówki telewizyjnej - powiedziała Christine.

Melissa zdjęła płaszcz i zabrała się do roboty.

- Jill?

- Tak, kochanie? - Skończyła właśnie zmywać. Odstawiła ostatni ronderek na kratkę suszarki i sięgnęła po ściereczkę. - Jak tam dzieciaki?

- W porządku - odparł Rusty. - Nareszcie się uspokoiły. Myślę, że za chwilę usną.

Jill westchnęła, oparła się o blat kuchenny i wierzchem dłoni odgarnęła spadający jej na oczy kosmyk włosów.

- Martwię się o nie, Russ. Wiem, że moje wyjazdy do sądu całkiem zakłóciły im rozkład zajęć. Są zupełnie zdezorientowane.

- A ja się martwię o ciebie - mruknął Rusty. Przeszedł przez kuchnię i otworzył lodówkę. - Chcesz się napić piwa?

- Wolałabym białe wino.

- Dobrze. Mamy jedno i drugie.

- Pobiegnę tylko na górę i ucałuję dzieci na dobranoc.

- Będę na ciebie czekał w gabineciku.

Rusty miał rację. Na górze panował idealny spokój. Katie spała już smacznie, kurczowo obejmując za szyję swego ukochanego Bambi. Jill pocałowała małą w czoło i przeszła do pokoju Petera.

Synek leżał zwinięty w kłębek i też już prawie zasypiał.

- Kleją ci się już oczki, kochanie? - spytała, siadając na brzegu łóżka. Mały skinął głową, powieki mu opadły. - Zmówiłeś paciorek?

- Tak. Z tatusiem.

- To dobrze, mój mały. Śpij smacznie.
  - Tatusz kazał mi się pomodlić o to, żebyś nie musiała już jeździć do tego sądu.
  - Dziękuję ci, maleńki.
  - Powiedziałem mu, że nienawidzę pani Montell. - Musiało to być dla niego ciężkie wyznanie. Na chwilę otworzył oczy, po czym znowu je zamknął.
  - No cóż - westchnęła Jill. - Wygląda na to, że jutro będziemy musieli pomodlić się również za panią Montell.
  - Tato też mi to powiedział - wymamrotał Peter. Po chwili już spał.
- Rusty czekał na nią w gabinecie. Siedział w swoim fotelu, stopy oparte miał na otomanie, a piwo stało obok na podłodze. Coś podszeptało jej, by usiąść mu na kolanach, a on natychmiast objął ją mocno ramionami.
- Będę musiała się trochę odchudzić - powiedziała niepewnie.
  - Nic podobnego, kochanie – odparł, głaszcząc jej plecy. Sięgnął na mały stoliczek po przygotowaną dla niej szklaneczkę wina. Wypiła kilka łyków i pocałowała męża.
  - Ale dziś było okropnie!
  - Wyobrażam sobie. Napiła się jeszcze trochę wina.
  - Żałuję, że na tym się nie skończyło. Po dzisiejszym dniu przysięgli z pewnością by go powiesili.
  - I zrobią to, kochanie. To tylko kwestia czasu.
  - Tak - odpowiedziała niepewnie. Westchnęła i spojrzała na męża. - Jak myślisz, czy damy radę gdzieś wyjechać, gdy będzie już po wszystkim?
  - Oczywiście. - Uśmiechnął się do niej. - Bez dzieci?
  - No... tak częściowo. Myślałam o Florydzie - odparła i znowu wypiła łyk wina. - Moglibyśmy pojechać z dziećmi do Orlando, pokazać im Disney World, a potem podrzucić je rodzicom i urwać się na parę dni.
  - Mmm... - mruknął i pocałował ją w kark. - Chodź, jedziemy natychmiast.

Uśmiechnęła się, odstawiła szklaneczkę, ujęła twarz Rusty'e-go w dłonie i pocałowała go w usta.

- Kochany - szepnęła, mając nadzieję, że ta odrobina wina doda jej energii, której tak jej brakowało. - Chodźmy na górę się pokochać. - Dziwne, że mimo tego, w czym teraz uczestniczyła, takie właśnie nagłe seksualne ciagoty nachodziły ją dość często. To ze smutku, pomyślała. Tak samo było zaraz po pogrzebie Sissy.

- Chodź, kochanie! - Wstała z fotela i pieszczotliwie pociągnęła go za rękę.

A potem długo, żarliwie się kochali. Przestała się zastanawiać nad tym, czy to wino, czy smutek - jej ciało tak gwałtownie domagało się zaspokojenia, że skłoniła Rusty'ego, by natychmiast w nią wszedł, a gdy oboje osiągnęli szczyt podniecenia, przeżyła orgazm, jakiego nie zdarzyło jej się doświadczyć od ponad roku.

- Jill... kochana. - Szybki oddech Rusty'ego delikatnie owiał jej ucho. - Było wspaniale. Byłaś taka miękka, bliska. Taka... moja.

- Kocham cię - szepnęła, nadal leżąc pod nim i nie pozwalając, by od niej odszedł.

- Ja też cię kocham - zapewnił, wtulając twarz w jej szyję.

Sugestie Christine okazały się bardzo sensowne. Melissa przewyciężyła niechęć, jaką zawsze wyzwalala w niej sytuacja, gdy zleceniodawca nie akceptował w pełni przedstawionego mu projektu, bardzo szybko zorientowała się bowiem, że Christine zna upodobania potencjalnych klientów znacznie lepiej niż jej agencja. Pracowały niemal do wpół do jedenastej, aż wreszcie Christine zadzwoniła po samochód, który miał odwieźć Melisę na Manhattan.

- Teraz ja z kolei muszę zapewnić ci komfortowy dojazd do domu - powiedziała, pomagając spakować poprawione scenopisy, które Melissa miała zabrać ze sobą.

Oddaliła się na chwilę, a gdy wróciła, miała już na sobie płaszcz. Zjechały razem windą, nadal omawiając jakieś techniczne szczegóły, po czym Melissa złożyła swój podpis u odnotowującego godziny wyjścia pracownika ochrony.



- Aha! Żeby przypadkiem nie zapomniała - odezwała się, gdy zbliżały się do drzwi. Wyjęła z kieszeni płaszcz i kluczyki do lexusa i oddała je Christine.

- Dziękuję. Naprawdę bardzo ci jestem wdzięczna, że zaopiekowałaś się wczoraj mną i samochodem. Przyjechał po ciebie wóz.

- Nasz nie prezentował się tak wspaniale - zaprotestowała Melissa, patrząc na oczekującą na nią lśniącą, niezwykle długą limuzynę.

- Kto wie? Może uratowałaś mi wczoraj życie? - odparła Christine, odprowadzając ją do samochodu.

- Przesada... - bąknęła Melissa. Dłoń Christine spoczęła na jej ramieniu. Melissa zatrzymała się i spojrzała na nią. W blasku latarni oświetlających parking Christine wyglądała ślicznie. Wydawała się młodsza, szczęśliwsza. Jakaś dziwnie odmieniona.

Poczuła suchość w gardle i wiedziała już na pewno, że sobie tego wszystkiego nie wymyśliła. Fascynacja była wzajemna. I niezwykle silna.

Magnetyczne przyciąganie.

- Chciałam ci zakomunikować, Melisso - powiedziała Christine, zniżając głos - że od tej pory wszelkie decyzje dotyczące naszej kampanii reklamowej przekazywane będą za pośrednictwem Sala.

Melissa z trudem przełknęła ślinę.

- Nie rozumiem.

Christine uśmiechnęła się do niej.

- Szkoda. Miałam nadzieję, że zrozumiesz. I nifc chciałabym na to zbyt długo czekać.

Teraz ona wpatrywała się w oczy Melissy - długo, intensywnie, tak jak w hotelowym barze podczas ich pierwszego spotkania. Melissa zastanawiała się gorączkowo, co ma teraz zrobić. Christine najwyraźniej była szczęśliwa, że stoją tak obie w świetle ulicznych latarni, wpatrzone w siebie, wzajemnie sobą zauroczone. Czekala po prostu na to, co za chwilę usłyszy.

- Ja... ja to zrozumiałam - wyjąkała w końcu Melissa - ale widzisz... - Westchnęła i wzruszyła ramionami, licząc na to, że pokaże tym gestem, jak bardzo czuje się bezradna.

**195**

Christine stała jeszcze przez chwilę nieruchomo, po czym zrobiła krok do przodu i musnęła ustami jej policzek.

- Jedź do domu - pożegnała ją, zniżając głos niemal do szeptu. - Zadzwoń.

Otworzyła jej drzwiczki samochodu, Melissa wślizgnęła się do środka, wciągając za sobą dużą, nieporęczną teczkę z planszami reklamówek. Gdy usadowiła się już na tylnym siedzeniu, spojrzała na stojącą przy krawężniku Christine i spróbowała się uśmiechnąć.

- Dla mnie to wszystko nie jest takie proste...

- Bo życie nie jest proste - odparła Christine. I mrugnęła. - Mnie to już nie dziwi. Może dlatego, że jestem starsza od ciebie.

Melissa zatrzasnęła drzwi samochodu, sprawdziła, czy są domknięte, i patrzyła, jak Christine oddala się w stronę swego lexusa. Po chwili dopiero nacisnęła przycisk elektrycznego opuszczania szyby i zawołała za nią:

- Poczekaj jeszcze chwilę! Christine odwróciła się.

- Strażnik powiedział mi, że- podlegasz tu najściślejszej ochronie. Dlaczego?

Christine uśmiechnęła się, podeszła bliżej do limuzyny, ale nie odpowiedziała na pytanie.

- Słuchaj, nie oszukujmy się... - Melissa postanowiła tym razem nie ustąpić. - Mam nieodparte wrażenie, że ta firma produkująca kocią karmę po prostu należy do ciebie. Czyżbym się myliła?

Christine roześmiała się i przecząco pokręciła głową.

- Widzisz... znowu wszystko jest bardziej skomplikowane. Ta firma nie jest moją wyłączną własnością. Jestem współwłaścicielką innej firmy, która wykupiła przedsiębiorstwo produkujące kocią karmę.

Pomachała na pożegnanie ręką, roześmiała się, a kiedy szła już do swojego samochodu, odwróciła się na moment i zawołała do Melissy:

- Dobranoc!

15.

W nocy z czwartku na piątek nastąpił gwałtowny spadek temperatury i rano, siedemnastego listopada, wszyscy nosili już ciepłe płaszcze, rękawiczki i nakrycia głowy. Pomimo panującego na dworze mrozu, w pokoju przysięgłych można się było udusić z gorąca. Antyczny grzejnik odkręcony był na cały regulator i wyglądało na to, że przykręcić go się nie da. Indagowany o to Chuck przyznał, że w istocie tak jest, po czym pokazał im, jak otwiera się okno i uruchamia klimatyzację. Poradził, by to zrobili, jeśli chcą pozostać przy życiu.

Libby, przyjrzawszy się swym współtowarzyszom, doszła do wniosku, że tego ranka wszyscy wyglądają na podobnie wykończonych jak ona. Nie wiedziała, czy spowodowała to bezsenność, czy też coś innego, ale jedno było pewne: każdy z przysięgłych miał opuchnięte powieki.

Przeżyła bardzo niespokojną noc. Śniła, że to ona miała składać zeznania w sprawie tego morderstwa, próbowała tłumaczyć, że to niemożliwe, gdyż nie widziała momentu, kiedy je popełniono, ale na nic się to nie zdało. Krzyczano na nią, iż nie wolno jej kłamać; jako jedyna osoba, która znała prawdę, miała natychmiast opowiedzieć, co się wówczas wydarzyło.

Sprawdzano właśnie listę obecności. Gdy wyczytano jej nazwisko, Will pozdrowił ją znużonym skinieniem dłoni, a ona odpowiedziała mu tym samym. Melissa błądziła myślami gdzieś bardzo daleko. Jedyne Alex wydawał się mieć w sobie choć iskierkę życia. Sącył kawę i czytał sportową stronę „Timesa”, lecz gdy mu się bliżej przyjrzała, to także i on sprawiał wrażenie przygaszonego.

Na salę rozpraw wprowadzono ich punktualnie o dziesiątej.

Wczorajszy świadek - Marybeth Shaeffer - znowu zajęła miejsce na podium. Przypomniano jej, iż złożona w dniu poprzednim przysięga nadal zobowiązuje ją do mówienia prawdy.

Teraz miał ją przesłuchiwać obrońca. Geiggen robił to bez cienia agresji, w sposób zaskakująco delikatny. Zadawał jej pozornie niewinne pytania, lecz gdy zbliżała się pora lunchu, Libby uświadomiła sobie, że udało mu się, niejako mimochodem, wyciągnąć z Marybeth Shaeffer następujące informacje: że wielokrotnie korzystała z porad psychologów, miała bowiem problemy z anoreksją, bulimią, że była uzależniona od kokainy, że próbowała popełnić samobójstwo. Poza tym nie potrafiła się poruszać bez szkieł kontaktowych, które mogły podrażniać jej oczy. Szczególnie po całym dniu noszenia. Ustaliwszy ten fakt, Geiggen zwrócił się do sądu z prośbą, by przysięgli zostali zwolnieni na lunch. I tak też się stało.

- O rany! - westchnęła Libby, gdy tylko znaleźli się na korytarzu. Popatrzyła na Alexa i wzdrygnęła się.

- A ludzie się potem dziwią, dlaczego nikt nie chce zeznawać w sądzie - mruknął za jej plecami Clay.

- Przychodzisz do sądu, żeby złożyć zeznania, a oni zaczynają ci wywlekać różne twoje prywatne sprawy - powiedział Alex, gdy tylko znaleźli się w pokoju przysięgłych.

- Myślicie, że prasa zrobi z tego jakiś użytek? - spytała Debrilla.

- No pewnie - odparł z niechęcią Alex. - Wszystko, co szokujące i okropne, trafia natychmiast do gazet.

- Wiem, że nie wolno mówić o sprawie... - zaczęła Elena.

- No to nie mów! - warknął programista Stephen.

- ...ale tym razem powiem coś. - Elena położyła dłoń na wysuniętym biodrze i po dramatycznej pauzie dokończyła: - Ten cały Gogen... to kawał sukinsina.

- Geiggen - poprawiła ją pani Smythe-Daniels, próbując zachować minę równie dostojną, jak futro z norek, które właśnie na siebie wkładała.

Pani przewodnicząca, która także walczyła ze swoim paltem, stanęła tym razem na wysokości zadania.

198

- Mamy nie rozmawiać o sprawie - przypomniała. Tego dnia we włosy powpinane miała fioletowe spinki, które tworzyły rysunek błyskawicy.

Libby i Alex zjechali na dół tą samą windą.

- Zostało nam niewiele czasu, a ja muszę jeszcze wpaść do banku - odezwał się Alex, spojrzawszy na zegarek.

- Spokojnie załatw swoje sprawy - powiedziała Libby. -Przegryzę sobie coś tu, zaraz za rogiem. Nie chce mi się chodzić nigdzie dalej.

- No dobrze - zgodził się po namyśle. - Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Takim, że wieczorem, gdy tylko wyjdziemy z sądu, pozwolisz się zaprosić na drinka.

Wahała się przez chwilę.

- Ale symbolicznego. Zgoda?

Popędził załatwiać swoje sprawy, a ona wyszła przed budynek i zaczęła się zastanawiać, dokąd pójść. Na dworze był mróz. Doszła do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli kupi sobie coś do jedzenia i wróci do poczekalni. Choć z drugiej strony, dobrowolny powrót do tego ponurego pokoju też jej się specjalnie nie uśmiechał.

- Masz jakiś pomysł na lunch? - rozległ się tuż za nią znajomy głos.

Odwróciła się na pięcie. Tak, była to Melissa.

- Nie mam - odparła bezradnie. - Może razem coś wymyślimy. Albo zamarzniemy z powodu niemożności podjęcia decyzji. We dwójkę będzie różniej.

Wyruszyły razem na poszukiwania. Libby ucieszyła się, że ma jakieś towarzystwo.

W pobliżu sądu trudno było znaleźć jadłodajnię, która wyglądałaby na tyle zachęcająco, by chciało się do niej wstąpić i spożyć posiłek. Wylądowały więc w końcu w jakimś zaułku na tyłach Canal Street, gdzie udało im się znaleźć włoski barek, w którym można było przynajmniej usiąść przy osobnym stoliku. Libby posłuchała sugestii Melissy i zamówiła wielką miskę zupy

jarzynowej z makaronem, która okazała się bardzo smaczna, ostra i pożywna. Jedząc z apetytem gorące danie, pomyślała sobie, że nadszedł czas, by odrzucić na chwilę konwencję zabraniającą zadawania pytań na tematy osobiste i spróbować dowiedzieć się czegoś o Melissie, która tak starannie strzegła swojej prywatności.

- Nie wydaje ci się dziwne, że w naszej grupie tak wiele jest osób niezamężnych i nieżonatych? - spytała.

- Nie - odparła Melissa, zerknąwszy na nią przelotnie znad miski z zupą.

Stanowcza odpowiedź młodej kobiety trochę speszyła Libby.

- No tak - bąknęła pod nosem. - Ciebie to nie dziwi. Zapewne dlatego, że jesteś ode mnie młodsza.

Melissa roześmiała się i spojrzała na nią.

- Myślisz, że jesteś znacznie starsza?

- A ile masz lat? <sup>1</sup>

- Dwadzieścia dziewięć. Libby zrobiła skrzywioną minę.

- No pewnie, że jesteś dużo młodsza. Ja mam trzydzieści cztery i kiedy przypominam sobie ten czas tuż przed trzydziestką, to zdaje mi się, jakby to było przed wiekami.

- Wiesz... czytałam jedną z twoich powieści - powiedziała Melissa. - I bardzo mi się podobała. Ta historia Amandy... Zapamiętałam imię bohaterki, bo to naprawdę była świetna książka.

- To miło, że ci się podobała.

- Bohaterka miała obsesję na punkcie samotności. Podejrzewam, że jest to również twój problem.

Libby gwałtownie uniosła głowę.

- Nie rozumiem...

- Amandę stale intrygują powody, dla których ktoś nie jest zamężny lub żonaty. Ciebie również to dręczy. Dlatego zapewne zadałaś mi to pytanie.

Wszystko na nic. Konwersacja miała potoczyć się zupełnie inaczej. Libby chciała dowiedzieć się czegoś o tej kobiecie, a tymczasem tamta ją przechytryła. Jeszcze chwila i to ona,

200

Libby, zacznij opowiadać o swoich neurotycznych obsesjach, które zawdzięczała własnej matce.

Wypiła duży łyk wody i energicznie odstawiła szklanke.

- Żyłam przez trzy lata z facetem. Mieliśmy się pobrać. Zaczął robić skoki na bok i dlatego z nim zerwałam. A teraz, patrząc z pewnej perspektywy, myślę sobie, że chyba nigdy nie kochałam go na tyle, by warto było to wszystko zaczynać.

Na twarzy Melissy pojawił się bolesny grymas.

- Przepraszam cię bardzo. Przykro mi, że...

- Nie ma powodu, by mnie żałować. Może przez pierwszy rok rzeczywiście zasługiwałam na współczucie. Ale następne dwa lata... Sama sobie byłam winna, że wyglądały tak, a nie inaczej.

- Nie martw się, Libby. Ty naprawdę wyjdiesz za mąż.

- Melissa powiedziała to takim tonem, jakby komunikowała coś oczywistego. - Musisz tylko znaleźć kogoś, kto będzie ci w pełni odpowiadał.

- Skąd wiesz?

- Po dziesięciu latach korzystania z psychoterapii - odparła z uśmiechem Melissa - zaczynasz odróżniać dwa typy kobiet. Te, które marzą o tym, żeby ktoś się nimi zaopiekował, i te, które autentycznie szukają partnerstwa.

- Alex powiedział mi, że byłabym wspaniałą matką - wypaplała Libby. Zreflektowała się natychmiast i próbowała to jakoś zatuszować wybuchem śmiechu. Po co z tym wyjechała? Żeby pochwalić się, iż wydała się jakiemuś facetowi atrakcyjna i że w związku z tym dziesięć lat psychoterapii jest jej do niczego niepotrzebne?

Melissa wytarła usta serwetką i sięgnęła po leżący na stoliku rachunek.

- Nie sądzę, żeby ten Alex okazał się bardziej rzetelnym partnerem niż twój były narzeczony - zauważyła, spoglądając spod oka na Libby. - Przepraszam, w końcu to nie moja sprawa

- dodała zaraz.

- W porządku. Wiem, co masz na myśli. On rzeczywiście ma w sobie coś... dziwnego. Prawda? - Melissa skinęła głową. -

## 201

A co z tobą? - spytała ją nagle Libby. Przez moment miała wrażenie, że jej rozmówczyni lekko się zarumieniła. Ale niewykluczone, że było to tylko złudzenie. - Szczerść za szczerść. Może zechcesz mi opowiedzieć o tym, jak ci się żyje z facetem, który cię notorycznie oszukuje. Albo jakąś inną historię. Melissa z uśmiechem pokręciła głową.

- Dziękuję bardzo, ale nie. Wymyślasz za dużo skomplikowane scenariusze. Chwilowo nie stać mnie jeszcze na ten rodzaj komplikacji życiowych.

- Dlaczego?

- Jesteś strasznie wścibska. Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Tak - przyznała uczciwie Libby.

Melissa westchnęła i usadowiła się wygodniej na krześle.

- No dobrze... Prawda jest taka, że przez kilka ostatnich lat starałam się jakoś dojść do siebie. Miałam ciężkie przejścia z alkoholem. Ciężkie i długotrwałe. Zaczęłam ostro pić jako bardzo młoda dziewczyna.

- Przeszłaś leczenie odwykowe? Melissa w milczeniu skinęła głową.

- I teraz nie...

- Nie. Nic. Żadnego alkoholu. Żadnych narkotyków. Libby rozpromieniła się.

- To wspaniale! Musisz się czuć tak, jakbyś zaczynała życie od nowa. A jesteś dostatecznie młoda, by sobie na to pozwolić.

Melissa skrzywiła się i pośpiesznie wstała od stołu. Najwyraźniej nie był to temat, po którym potrafiła się swobodnie poruszać.

Gdy wracały ulicą do sądu, sama nawiązała do pytania, od którego to wszystko się zaczęło.

- Nie chciałabym być wobec ciebie dłużna, jeśli chodzi o zwierzenia. Kłopot w tym, że jestem właśnie w trakcie czegoś... co się jeszcze na dobre nie zaczęło. I myślę o tym bez przerwy, mało mi głowa nie pęknie.

Libby cała zamieniła się w słuch.

- No widzisz! Wiedziałam, że musi się za tym kryć jakiś mężczyzna.



202

Melissa roześmiała się i jakoś dziwnie pokręciła głową.

- Coś w tym rodzaju - bąknęła. - Klient. Ktoś, kogo poznałam przy okazji załatwiania interesów - dodała, przeszedłszy kilka kroków.

- Podoba ci się?

- Tak... Przynajmniej tak mi się zdaje. Ale to nie jest takie proste.

Libby uśmiechnęła się do siebie. Odpowiedź była twierdząca. Aż nadto twierdząca.

- No to w czym problem? Facet jest żonaty?

Melissa spojrzała na nią tak, jakby to pytanie ją zaskoczyło.

- Nie. Tak mi się przynajmniej zdaje. Wprost o to nie pytałam.

- W takim razie jest to pierwsza rzecz, jaką musisz zrobić

- zawyrokowała Libby.

- Chodzi o to... - Melissa urwała nagle w pół zdania. Najwyraźniej zmagająca się z jakimś problemem. - Nie jestem do końca pewna, czy właściwie interpretuję sygnały, jakie do mnie docierają. Może sobie to wszystko wymyśliłam?

- Nie. Niczego sobie nie wymyśliłaś - zapewniła ją Libby.

- Etycznych problemów człowiek sobie nie wymyśla.

- To nie muszą być zaraz kwestie etyczne. Wystarczy, że ktoś jest starszy od ciebie i...

- Na tyle starszy, że mógłby być twoim ojcem?

- Nie! - roześmiała się Melissa. - Ma około czterdziestki.

- To nie zawracaj głowy. Jak ty go nie chcesz, to ja go biorę!

- Teraz śmiały się już obie. - Tylko słuchaj, naprawdę musimy się dowiedzieć, czy on nie jest żonaty.

Melissa spojrzała na nią tak, jakby pragnęła jej wyznaczyć coś ważnego.

- O co chodzi? Chciałaś jeszcze coś mi o nim powiedzieć? Melissa uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Nie. To nic ważnego - mruknęła. I na tym poprzestała. Oczywiście było, że coś ją trapi. Ciekawość Libby nie została więc w pełni zaspokojona; mogła mieć najwyżej nadzieję, że jeśli proces potrwa dostatecznie długo - a na to się przecież

zanosiło - uda jej się dowiedzieć, co się za tymi niedomówieniami kryje.

Wróciły do pokoju przysięgłych w momencie, gdy Dayton opowiadał o tym, że widział przed chwilą handlarzy narkotyków, którzy w biały dzień sprzedają towar na placu przed sądem.

- Tu? Przed samym wejściem? - zdumiał się Ronnie.

- Przed wejściem do sądu dla nieletnich - wyjaśnił Dayton. - Tam mają swoją klientelę.

- Boże złoti! Sprzedają tim biednym dzieciakom! - oburzyła się Elena.

Po chwili zjawił się Will z brązową papierową torebką w ręku. Spojrzał pytająco na Libby, a ona uśmiechnęła się i klepnęła dłonią w stojące obok niej puste krzesło, które dotąd zajmował Alex. Skwapliwie skorzystał z zaproszenia, usiadł i wyjął z torebki kanapkę.

- No i jak tam? - zagadnęła, zniżając głos. Odpowiedział wzruszeniem ramion. Najwyraźniej nie chciał mówić o sprawach osobistych w sytuacji, gdy każde jego słowo byłoby również słyszane przez innych. Libby zdała sobie z tego sprawę i pomyślała, że jeśli poprowadzi rozmowę polegającą na wymianie mglistych ogólników, dowie się, co nowego zaszło pomiędzy nim a jego dziewczyną.

- Rozwiązałeś jakoś sprawę z mieszkaniem? - spytała.

- Tak. Zamieszkałem chwilowo gdzie indziej. Po Święcie Dziękczynienia powinno się wszystko wyjaśnić.

- To świetnie. Zobaczysz, że wkrótce poczujesz się znacznie lepiej.

Popatrzyli na siebie. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Musiał spędzić bezseną noc.

- Wiesz, po tym co wczoraj usłyszeliśmy w sądzie, w pewnym momencie pomyślałem sobie w nocy, że te moje problemy są po prostu śmieszne. Może powinienem być wdzięczny losowi za taki obrót sprawy.

- Wdzięczny za to, że jesteś nieszczęśliwy?

- Może właśnie i za to - odparł z ironicznym uśmiechem.

- Słuchaj, Will... Nie jestem w tych sprawach ekspertem, ale

wydaje mi się, że łatwiej jest przywyknąć do tego, że jest się nieszczęśliwym, tkwić w bagnie i nie próbować niczego zmienić. Najtrudniejsza jest decyzja, żeby zacząć wszystko od początku. A to już masz za sobą.

- Naprawdę nie mam zamiaru być chronicznie nieszczęśliwy. I nie będę. To zły nawyk. Może nauczyłem się tego w pracy? Ale wszystko jedno, czas z tym skończyć. - Spojrzał na siedzącą po drugiej stronie stołu Melissę i spytał ją żartobliwym tonem: - Ciekawe, jak układają sobie życie osobiste eksperci od reklamy?

- Will, czy przypadkiem kupiłeś coś od koleśków, którzy handlują przed sądem dla nieletnich? - spytała go Melissa.

-Znasz eksperta od reklamy, który miałby czas na życie osobiste?

Wszyscy się roześmieli.

- Powiem jej, żeby nie nosiła tego futra - oświadczyła nagle Adelaide. Wszyscy zwrócili się w jej stronę. - To, co ludzie robią z norkami, jest jednym wielkim okrucieństwem.

- A to, że się nawzajem mordują, nie jest okrutne? - burknął Clay.

Cała grupa znalazła sobie w ten sposób nowy temat do dyskusji, a Libby wyjęła tymczasem z torebki kartkę i zwróciła się do Willa:

- Czy możesz mi udzielić porady w pewnej sprawie natury... finansowej?

Oczy mu się zaświeciły. Na tym gruncie czuł się najpewniej.

Libby opowiedziała o tym, jak powierzyła swoje oszczędności doradcy inwestycyjnemu - mówiła o nim zresztą w sposób bardzo ogólny - który teraz, gdy okazało się, że rzeczywiście wkrótce będą jej potrzebne pieniądze, zaskoczył ją wiadomością, iż jej dwanaście tysięcy stopniało do siedmiu, a gdyby chciała wziąć pod ich zastaw pożyczkę, to nawet do pięciu tysięcy.

- Dowiedziałam się od niego, że pieniądze zostały ulokowane w tych właśnie akcjach - zakończyła, wręczając Willowi kartkę ze swoją odręczną adnotacją.

- O rany ! - jęknął, rzuciwszy ledwie okiem na zapiski. - Słuchaj, Libby... Radzę ci natychmiast zrezygnować z tego doradcy.

Przecież to jakiś kompletny idiota. Jak mógł władować czyjeś pieniądze w coś takiego? - Wyjaśnił jej następnie, że jest to rynek podlegający nieobliczalnym fluktuacjom. Za żadne skarby nie wolno lokować na nim oszczędności osoby, która może w każdej chwili znaleźć się w sytuacji wymagającej wycofania kapitału. - Czy ten człowiek informował cię na bieżąco, jak kapitalizuje się twój wkład? - spytał na koniec. Pokręciła przecząco głową.

- Nie. Chyba tylko raz przysłał mi jakąś konkretną informację.

- Co takiego?

- No tak., Nie mówię o forsie na fundusz emerytalny. O niej mnie informował częściej. Ale o reszcie praktycznie nic nie wiem.

- Coś mi się tu nie podoba. - Will powiedział to śmiertelnie poważnie. - Postaraj się zebrać wszystkie kwity, które, dostałaś od tego faceta. Chciałbym je zobaczyć.

- Naprawdę zechcesz się temu przyjrzeć?

- Oczywiście. Ale muszę cię na wstępie uprzedzić, że bardzo zaniepokoiło mnie, gdy usłyszałem od ciebie, że ten człowiek obraca również pieniędzmi twoich rodziców. Kim on naprawdę jest?

- Bratem mojej matki.

- Coooo?

- Tak. To mój wujaszek - zapewniła go Libby.

Rozprawa została wznowiona o drugiej. Geiggen zwlekał chwilę, grzebiąc w leżących na stole aktach, aż wreszcie znalazł interesujący go dokument. Czytał powoli, wodząc po nim palcem, przy czym raz tylko uniósł głowę i spojrzał badawczo na siedzącą na podium Marybeth. Wstał wreszcie z miejsca, zbliżył się do ławy przysięgłych i przybierając nadzwyczaj poważny ton, zwrócił się do świadka:

- Pani Shaeffer! W trakcie śledztwa zeznała pani, że Sissy Cook pierwsza zauważyła zbliżający się samochód i powiedziała coś, co sprawiło, że pani również spojrzała w jego stronę. Czy tak właśnie było?

Marybeth zastanawiała się przez chwilę.

- Tak.

- W protokole zeznań, jakie złożyła pani w śledztwie, napisano: „Sissy wydała z siebie coś w rodzaju westchnienia i powiedziała: O, w dupę! Znowu ten Jim Layton. Patrz, to jego samochód- I wówczas odwróciłam się i spostrzegłam zbliżającego się w naszym kierunku szarego jaguara.” Tak właśnie pani zeznała?

- Tak - potwierdziła Marybeth.

- Na tej salj zeznała pani w zasadzie to samo, z pewną jednak różnicą. Tym razem na widok nadjeżdżającego samochodu ofiara miała ponoć powiedzieć... cytuję: „O rany! To Jim Layton! Patrz, to jego samochód.” - Oderwał oczy od notatek i spojrział pytająco na świadka.

- No... tak - bąknęła Marybeth.

- Może zechce więc pani przy okazji wyjaśnić pewien szczegół... - Geiggen zawiesił głos i machnął lekceważąco ręką, jakby rzeczywiście chodziło tu o drobiazg. - Kto mianowicie namawiał panią do tego, by wygładzać na tej rozprawie język, jakim posługiwała się na co dzień Sissy Cook?

- Sprzeciw! - zagrział MacDonald. - Obrona, zamiast zajmować się ustaleniami faktów, pozwala sobie na jakieś insynuacje!

- Wysoki Sądzie! Obrona stara się ustalić prawdę. Otóż mam w rękach protokół, który stwierdza, że pani Shaeffer, zeznając pod przysięgą, zacytowała słowa Sissy Cook w następującym brzmieniu: „O, w dupę!”

- Wystarczy, mecenasie. Słyszeliśmy to już przed chwilą - przerwała mu pani sędzia Williams. - Proszę, aby strony zbliżyły się do ławy sędziowskiej.

Libby przyglądała się, jak prawnicy prowadzą kolejną utarczkę, a stenografka szaleje, by wszystko dokładnie zaprotokołować, gdy nagle jej uwagę rozproszył Clay, który nachylił się i spytał:

- Lepiej się dziś czujesz?

Skinęła głową i uśmiechnęła się do niego.

Powiodła wzrokiem po twarzach ludzi stłoczonych na widowni. Tłum. Anonimowy tłum. Nie sposób było się zorientować, kto jest reporterem, a kto kibicuje którejs z stron. Jediną osobą, która wyróżniała się w tej ciżbie, była siostra ofiary. Jill Tompkins przez cały czas siedziała sztywno wyprostowana i z niezwykłym wprost skupieniem śledziła rozgrywający się na sali sądowej dramat. Jej uwaga ani na chwilę nie słabła.

Co też czuje oskarżony, widząc ją stale przed sobą? - zastanawiała się Libby.

- Sprzeciw zgłoszony przez oskarżyciela zostaje odrzucony - zawyrokowała pani sędzia Williams, gdy prawnicy wrócili wreszcie na swoje miejsca. - Proszę więc kontynuować, panie Geiggen.

- Pani Shaeffer! Powtarzam pytanie - zaczął uprzejmym tonem obrońca. - Kto namawiał panią do tego, by wygładzić nieco język, jakim posługiwała się na co dzień Sissy Cook?

- Nikt - odpowiedziała gwałtownie. - Pan MacDonald spytał mnie jedynie, czy jestem absolutnie pewna, że moja przyjaciółka użyła słów, które pan dwukrotnie przytoczył. Odpowiedziałam wówczas, że tak je właśnie zapamiętałam, ale absolutnej pewności mieć nie mogę.

- Dlaczego więc, mimo braku tej pewności, zeznała pani w śledztwie, że Sissy Cook wypowiedziała te akurat, a nie inne słowa?

- Bo to mi akurat przyszło do głowy! Co to za różnica? Sens jest ten sam.

Geiggen przechadzał się wolnym krokiem przed ławą przysięgłych.

- A więc mamy to rozumieć w ten sposób, że gdyby tamto sformułowanie nie przyszło pani wówczas do głowy, to zacytowałyby pani zdanie wypowiedziane przez Sissy Cook w sposób następujący: „O rany! Znowu ten Jim Layton. Patrz, to jego samochód”.

- Tak - odparła, obrzucając adwokata gniewnym spojrzeniem.

- Świetnie - mruknął Geiggen. Wrócił do stołu, by spraw-

dzić coś w swoich notatkach, po czym ponownie podszedł do świadka. Tym razem bardzo blisko. - A więc jedyna rzecz, której możemy być absolutnie pewni, to fakt, że Sissy Cook zobaczyła nadjeżdżający samochód i powiedziała pani, że prowadzi go Jim Layton.

- Tak.

- Czyli dopóki pani tego nie usłyszała, nie wiedziała pani, kto prowadzi ten wóz. Prawda?

- Poznałam samochód oskarżonego - odpowiedziała po chwili wahania Marybeth. - Znałam go dobrze, gdyż często stał zaparkowany przed domem, w którym mieszkaliśmy. Jim Layton obserwował z niego nasze mieszkanie.

- A w którym momencie poznała pani ten wóz? Czy dopiero wówczas, gdy Sissy Cook powiedziała, że jest to samochód Laytona, czy też wcześniej?

Marybeth, wyraźnie wytrącona z równowagi, długo zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Myślę, że dopiero potem. Najpierw usłyszałyśmy pisk opon. Sissy zareagowała wcześniej i pierwsza zobaczyła, że to on... to znaczy Jim Layton.

- Jak pamiętamy, zeznała pani na tej sali pod przysięgą, że widziała pani na własne oczy, iż za kierownicą wozu siedział Jim Layton.

- Tak - potwierdziła.

- A co będzie, jeśli z zeznań kolejnych świadków wyniknie jednoznacznie, że zważywszy na rozmieszczenie ulicznych świateł, kąt, pod jakim zbliżał się samochód, a także kąt ustawienia przedniej szyby, absolutnie nie była pani w stanie zobaczyć twarzy człowieka, siedzącego za...

- Sprzeciw! - krzyknął MacDonald. - Jak dotąd nikt nie złożył takich zeznań. Są to pobożne życzenia obrony.

- Słusznie. Pytanie zostaje uchylone - zawyrokowała pani Williams. - Panie Geiggen, proszę zadawać jedynie te pytania, które odnoszą się do materiału dowodowego zawartego w zeznaniach pani Shaeffer.

- Tak jest, Wysoki Sądzie - wycofał się potulnie Geiggen.

209

Podszedł na chwilę do stołu obrony, po czym wrócił przed ławę przysięgłych. - Pani Shaeffer... Zeznała pani poprzednio, że zanim trafiłyście do klubu, klienci agencji zaprosili was na kolację...

- Tak.

- A czy piła pani w czasie tej kolacji jakiś alkohol? Marybeth milczała chwilę.

- Tak. Trochę wina.

- A więc w sumie było to więcej niż tylko ta jedna szklanka wina, którą, zgodnie z tym, co tu słyszeliśmy, wypłała pani w klubie?

- No tak... Ale to było jedynie wino. Szklaneczka do kolacji i potem, po jakichś dwóch godzinach, szklaneczka w klubie.

- Niemniej jednak wynika z tego jasno, że znajdowała się pani pod wpływem alkoholu. Prawda?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Obrona znów pozwala sobie na jakieś insynuacje...

- Oddalam sprzeciw.

Marybeth spojrzała pytająco na sędzinę.

- Czy mam odpowiedzieć na to pytanie?

- Tak. Proszę powiedzieć, czy w pani organizmie znajdował się wówczas alkohol.

- Tak.

- A czyż nie zeznała pani poprzednio - ciągnął dalej Geiggen - że niespełna rok wcześniej przeszła pani leczenie odwykowe...

- Owszem, ale dotyczyło to kokainy.

- O ile wiem, pacjentom odzwyczajającym się od narkotyków zaleca się wyraźnie, by unikali również innych uzależniających środków. Szczególnie alkoholu. Czyżbym sięmylił?

- Sprzeciw! Przypominam raz jeszcze, że nie jest to proces przeciwko świadkowi.

- Wysoki Sądzie! Nie wytaczam żadnych oskarżeń - zaproponował Geiggen. - Staram się jedynie ustalić zdolności percepcyj-ne świadka i jego stan emocjonalny w momencie, gdy padły strzały. Uważam, że dla oceny wiarygodności złożonych przez panią Sheaffer zeznań konieczne jest ustalenie, czy i w jakim stopniu jest ona ofiarą własnych uzależnień...



- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - wrzasnął MacDonald. - Stanowczy sprzeciw. Obrona stara się za wszelką cenę zdyskredytować świadka w oczach sędziów przysięgłych!

- Strony proszone są do ławy.

Utarczka słowna nie trwała tym razem zbyt długo. Po kilku minutach prawnicy wrócili na swoje miejsca.

- Sąd uznaje zasadność sprzeciwu - zawyrokowała pani sędzia Williams.

- A więc dobrze... - rozpoczął Geiggen. Ton jego głosu stał się bardziej zdecydowany i zasadniczy. - Pozwoli pani, że dokonam krótkiego podsumowania. Spędziła pani ten wieczór w towarzystwie Sissy Cook i klientów waszej agencji, używając przez cały czas szkieł kontaktowych, które niekiedy podrażniają pani źrenice. Zwłaszcza wtedy, gdy długo się ich nie wyjmuje. Najpierw była pani na kolacji, do której wypła pani trochę wina. Potem przeszła pani do klubu i tam wypła kolejną szklanekę wina. Natępnie o godzinie drugiej nad ranem, wychodząc z klubu, usłyszała pani pisk opon, odwróciła się w stronę nadjeżdżającego samochodu i w tym momencie usłyszała głos Sissy Cook, która wydała z siebie dźwięk przypominający westchnienie i powiedziała: „O rany! Znowu ten Jim Layton. Patrz, to jego samochód!” Czy tak właśnie było?

- Tak! - Marybeth była bliska płaczu.

- Bardzo dobrze - ucieszył się Geiggen. Ton jego głosu natychmiast złagodniał. Przygryzł na moment wargi, zajrzał do trzymany w rękę notatek i po chwili zwrócił się do świadka. - Pani Shaeffer... Do momentu gdy padły te feralne strzały, mieszkała pani razem z Sissy Cook. Od jak dawna?

- Od jakichś ośmiu miesięcy.

- Miałyście panie osobne sypialnie?

- Tak.

- Nie musiałyście się więc nawzajem krępować. Żyłyście jakby razem, lecz osobno?

- Tak.

- Ale tej krytycznej nocy poszłyście we dwie na spotkanie z jakimiś mężczyznami.

211

- Tak.
- Często się to zdarzało?
- Owszem. Na spotkania z klientami agencji chodziliśmy zwykle razem.
- Rozumiem... - Geiggen zawiesił głos i ponownie zaczął studiować notatki. Po chwili podniósł wzrok i spytał: - Proszę mi powiedzieć, czy w tym czasie, gdy mieszkaliście razem, Sissy Cook spotykała się z jakimiś mężczyznami?
- Owszem... Sporadycznie.
- Nie miała żadnego stałego partnera? Marybeth wzruszyła ramionami.
- Nie wiem. Było kilku mężczyzn, z którymi spotkała się pewnie dwa albo trzy razy. Ale trudno to określić jako coś stałego. To nie było... no, wie pan... na poważnie.
- Czy może pani powtórzyć przysięgłym nazwiska mężczyzn, z którymi spotykała się Sissy CSok?
- Nazwiska? - Ponownie wzruszyła ramionami. - Nie znam ich nazwisk. Co najwyżej imiona. Nie miałam z nimi żadnych bliższych kontaktów. Widy waliśmy się w przelocie.
- A więc... Jakie imiona zapamiętała pani?
- Fotograf, którego Sissy poznała w pracy, nazywał się Jonathan.
- Było między nimi coś... poważnego?
- Chyba nie. Sissy traktowała go jak kumpla. Czasem chodzili razem potańczyć.
- Czy któryś z tych mężczyzn zostawał na noc w waszym mieszkaniu?
- Sprzeciw! - zaproponował MacDonald. - Wysoki Sądzie, przypominam raz jeszcze, że to nie jest sprawa przeciwko świadkowi.
- Uważam sprzeciw za bezzasadny - wdał się w polemikę Geiggen. - Obrona pragnie ustalić, czy wśród znajomych Sissy Cook nie było mężczyzny, który mógłby nastawać na jej życie.
- Na pewno nie. Przynajmniej wśród tych, którzy przewinęli się przez nasze mieszkanie - zaproponowała gwałtownie Marybeth.

Niepotrzebnie pośpieszyła się z tą odpowiedzią. Pani sędzia Williams najwyraźniej znalazła się w niezręcznej sytuacji.

- Oddalam sprzeciw. Proszę jednocześnie obrońcę, aby zadawał jedynie takie pytania, które istotnie mogą wnieść coś nowego do sprawy.

- Powtarzam pytanie: czy któryś z odwiedzających Sissy Cook mężczyzn zostawał na noc w waszym mieszkaniu?

Marybeth przez dobrą minutę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Nie przypominam sobie takiego wypadku.

Na sali rozległy się szmery. Pani sędzia Williams przywołała publiczność do porządku.

- Mamy więc wierzyć, że Sissy Cook, osoba, która bez żenady przyznała się do tego, iż spotkawszy oskarżonego na jakimś obiedzie, po kilku godzinach znajomości udała się z nim do mieszkania w celu zupełnie jednoznacznym, nigdy nie pozwoliła żadnemu z odwiedzających ją mężczyzn zostać na noc w swoim mieszkaniu?

- Tak jest - przytaknęła z wyzywającą pewnością Marybeth.

- No cóż... -Geiggen zawiesił głos i rozłożył bezradnie ręce. - Powróćmy więc do tych mężczyzn, którzy odwiedzali Sissy Cook, nie zostając, jak pani twierdzi, u niej na noc.

Marybeth potakująco skinęła głową.

- Mówiłam już o Jonathanie. Pamiętam również człowieka, który miał na imię Paul. Sissy od dawna się z nim przyjaźniła.

- Paul...?

- Nie znam jego nazwiska.

- A nie wie pani, czym on się zajmował?

- Marketingiem sprzętu sportowego. Sądzę, że Sissy również poznała go przy okazji wykonywania swego zawodu. Dawno temu, na samym początku kariery.

- Czy ten Paul zalecał się do niej?

- Nie.

- A inni mężczyźni, którzy ją odwiedzali?

- Nie rozumiem...

- Chodzi mi o to, czy był wśród nich ktoś, kto był kimś

## 213

więcej niż znajomym... przyjacielem. Zresztą, nie owijajmy sprawy w bawełnę: pytam o kogoś, kto był jej kochankiem lub też chciał nim zostać. Przypominam, że zeznaje pani pod przysięgą.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - zaproponował MacDonald, nie wskazując tym razem powodu, dla którego to czyni. Pani sędzia Williams zastanawiała się przez chwilę.

- Oddalam sprzeciw - zawyrokowała.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie - rzekł Geiggen. - Powtarzam pytanie: czy w waszym mieszkaniu pojawiał się mężczyzna, który odwiedzał Sissy Cook jako kochanek?

Marybeth przez jakiś czas zastanawiała się nad odpowiedzią, po czym wzruszyła ramionami i westchnęła.

- Ja bym go raczej nie nazwała „kochankiem”.

- Ma pani na myśli kogoś, kto odwiedzał Sissy?

- Tak. ,

- Rozumiem... A czy wchodził do jej sypialni? Marybeth znowu zwlekała chwilę z odpowiedzią.

- Tak.

Geiggen odczekał chwilę, by przysięgli dobrze to sobie zapamiętali. Kolejne jego pytanie brzmiało:

- Czy miała pani wrażenie, że doszło wówczas pomiędzy nimi do zbliżenia seksualnego?

- Sprzeciw! - krzyknął MacDonald. - Obrona zadaje świadkowi pytania nie związane ze sprawą.

- Skąd taka pewność? - zareplikował Geiggen. - Wysoki Sądzie, może okazać się, że tą właśnie drogą dojdziemy do prawdy.

Pani Williams westchnęła ciężko i powiedziała:

- Strony proszone są do ławy sędziowskiej.

Prawnicy wdali się w wyjątkowo zacięty spór. Przysięgli obserwowali jego przebieg i od czasu do czasu wymieniali między sobą spojrzenia. Wyglądało na to, że Geiggen zaczął się w pewnym momencie spierać ze swoim asystentem.

W końcu doszli do jakichś ustaleń i powrócili na miejsca.

- Sprzeciw oskarżyciela jest uzasadniony - zawyrokowała sędzia Williams.

## 214

Geiggen musiał odczekać chwilę, aby zebrać myśli i sformułować jakieś zastępcze pytanie.

- Czy mężczyzna, którego widziała pani w sypialni Sissy Cook - spytał, przyglądając się badawczo Marybeth - odwiedził wasze mieszkanie częściej niż raz?

- Owszem. Dwukrotnie.

- A potem przestał przychodzić?

- Tak.

- Wie pani dlaczego?

- Nie.

- A czy pamięta pani, kiedy to było?

- Gdzieś... w połowie stycznia 1994 roku.

- A w trzy tygodnie potem Sissy Cook została zamordowana?

- Tak. Coś koło tego.

Geiggen odstąpił parę kroków i kiedy zadał następne pytanie, nie patrzył już na świadka, lecz na przysięgłych.

- Pani Shaeffer... Czy pamięta pani imię tego mężczyzny?

- Sprzeciw! - zagrział MacDonal. Geiggen obrócił się na pięcie.

- Wysoki Sądzie! Obrona stara się wykazać, że Jim Layton i; nie był jedynym mężczyzną, który mógł mieć do Sissy Cook

jakieś romantyczne pretensje...

- Wysoki Sądzie! To niedopuszczalne! Obrona stara się skierować podejrzenia przysięgłych w kierunku absolutnie fałszywym. Oskarżenie w trakcie rutynowych czynności śledczych wykluczyło ten trop...

- No i co z tego? - przerwał mu Geiggen. - Niech wykluczą go również przysięgli.

- Sprzeciw! Wysoki Sądzie, on znowu robi to samo - krzyknął MacDonal. - Ustaliliśmy przecież...

Libby nic z tego nie rozumiała. Co takiego znowu robi ten Geiggen? O jakich oni mówią ustaleniach? Diabli wiedzą, co to wszystko znaczy.

Pani sędzia Williams wzniosła do góry dłoń. Widać było, że się nad czymś gorączkowo zastanawia.

## **215**

- Sprzeciw oskarżyciela zostaje oddalony - zawyrokowała po dłuższej pauzie. - Ale uprzedzam pana, panie Geiggen, że nie wolno panu naprowadzać świadka... Każde pytanie sugerujące odpowiedź natychmiast zostanie uchylone.

Rozumiemy się?

- Tak jest, Wysoki Sądzie. Stokrotne dzięki - rozpląwał się w uprzejmościach obrońca. Odczekał chwilę, podszedł energicznym krokiem do świadka i spytał:

- Czy pamięta pani, jak nazywał się mężczyzna, który odwiedzał sypialnię Sissy Cook?

- Sprzeciwiam się, Wysoki Sądzie! - MacDonald wyglądał tak, jakby za chwilę miał dostać ataku szału.

- Oddalam sprzeciw - zawyrokowała natychmiast pani Williams. - Proszę odpowiedzieć na to pytanie - poleciała, spoglądając z wysokości swego podium na świadka.

Marybeth spojrzała niepewnie na Geiggena.

- Z nazwiska nigdy mi się nie przedstawił.

- A pamięta pani jego imię?

- Tak. Na imię miał Rusty.

16.

Drżała tak gwałtownie, że strażnik sądowy musiał objąć ją ramieniem, szamocząc się z kluczem, którym próbował otworzyć jakiś pokój. Wreszcie mu się to udało. Wpuścił ją do środka i podprowadził do kanapki, która stała w kącie biurowego pomieszczenia. Opadła ciężko na ten miękki mebel, a strażnik, w obawie, by nie zemdląca, uniósł jej nogi i pomógł przybrać leżącą pozycję.

- Przyniosę pani szklankę wody.

Jill zamknęła oczy. Oddychała ciężko, nadal nie mogąc nabrać w płuca dostatecznej ilości powietrza.

Strażnik pomógł jej usiąść, a gdy napiła się trochę wody i opadła znowu na kanapę, przyłożył jej do czoła zimny okład ze zmoczonej papierowej serwetki.

- Proszę leżeć spokojnie, pani Tompkins. Zaraz ktoś tu do pani przyjdzie - powiedział jej opiekun i zniknął.

Jill natychmiast przewróciła się na bok, podkurczyła kolana i krzyknęła rozpaczliwie. Ból i szok były tak wielkie, że nie potrafiła nawet płakać. Nadal miała kłopoty z oddychaniem; słyszała własny, chrapliwy oddech, przypominający sapanie ich psa, Duncana.

Ktoś zapukał do drzwi i wszedł do pokoju. Jill nie odezwała się ani słowem. Ciągle leżała na boku, z twarzą zwróconą do ściany i z zamkniętymi oczami.

- Droga pani Tompkins! - Jill poznała głos Kathryn, asystentki oskarżyciela. - Mam tu trochę koniaku. Dobrze by było, gdyby się pani napiła.

- Nie wiem, co mam teraz zrobić... - szepnęła Jill. Załkała i skuliła się jeszcze bardziej na kanapie.

## 217

- Wkrótce będzie pani wiedziała - odpowiedziała rzeczowo Kathryn. - Na razie trzeba otrząsnąć się z szoku. -  
Przysiadła na skraju kanapy.

Jill poczuła uścisk dłoni na swym ramieniu. Zdecydowany, a zarazem delikatny. Podziałał na nią kojąco.

- Proszę, niech się pani napije.

Odwróciła się i pozwoliła przytknąć sobie do ust kartonowy kubeczek. Wypiła łyk i poczuła w gardle piekący smak alkoholu. Na chwilę przestało ją mdlić, pozostało jedynie odrętwienie. Pociągnęła kolejny łyk. Znowu to samo gorące pieczenie. Przyłożyła dłoń do czoła. Kompres gdzieś się zapodział. Kathryn wcisnęła jej w dłoń chusteczkę higieniczną. Jill spojrzała bezradnie w oczy nachylonej nad nią kobiety.

- Najważniejsze - odezwała się asystentka oskarżyciela - by uświadomiła sobie pani, że Geiggen zrobił to specjalnie po to, by...

- A więc to prawda! - jęknęła Jill. Własny głos wydał jej się jakiś nienaturalnie skrzekliwy. Nie poznała go po prostu. A jej życie? Co się stało z jej życiem? Nagle, w jednej sekundzie, została bez męża, bez normalnej rodziny.

Wszystko, co najdroższe, najświętsze, zostało jej zabrane.

- Nie wiadomo, czy to prawda - powiedziała stanowczym tonem Kathryn. Wyprostowała się i wstała z kanapki. -  
Pani mąż mógł po prostu odwiedzać Sissy. Marybeth nic bliższego na ten temat nie potrafiła powiedzieć.

- Na pewno swoje wiedziała - odparła Jill, skrywając twarz w rozłożonej chusteczce. Zacisnęła nagle zęby. - Zrobiłaś mi potworne świństwo, Sissy - wysyczała. - Potworne świństwo... - Głos jej się załamał. Z całej siły uderzyła dłonią w oparcie kanapy i rozplakała się.

Przerywając na chwilę szloch, wygłaszała kilkakrotnie jakieś bezsensowne tyrady. Kathryn pozwoliła jej się wyplakać, po czym ponownie wróciła do podjętego poprzednio tematu.

- Wiem, jak bardzo to panią dotknęło... Czuję się jednak w obowiązku powiedzieć, że Geiggen wywlókł tę sprawę wyłącznie po to, aby przestała pani obserwować proces. Założył, że wybiegnie pani z sali i więcej się na niej nie pojawi. I to jest



dokładnie to, na czym mu najbardziej zależy. Skłonny był zrobić wszystko, byle tylko znikła pani z oczu przysięgłym.

Jill spojrzała na asystentkę oskarżyciela tak, jakby nic z tego, co powiedziała, do niej nie dotarło.

- Jak ona mogła wyrzucić mi taką krzywdę? Nasza matka wówczas umierała. Poleciałam na Florydę, siedziałam przy niej w szpitalu, a ona i Rusty... - Łzy znowu nie pozwoliły jej mówić dalej.

Po minucie Kathryn odezwała się ponownie:

- W każdym razie jedno jest pewne. Pani mąż nie będzie wzywany.

- Wzywany? Dokąd wzywany?

- Do sądu, w celu złożenia zeznań.

- Do sądu... W obecności dziennikarzy? Kathryn skinęła głową,

- O to nie musi się pani obawiać. Z pewnością nie będziemy go wzywać.

- Dlaczego? Skoro okazało się...

- Wystarczą nam zeznania, które złożył w śledztwie.

Jill spojrzała tępo na asystentkę. Ze zdumienia szeroko otworzyła oczy.

' ^ A więc pani wiedziała? Kathryn skinęła po chwili głową.

- Doszliśmy do wniosku, że zeznania pani męża nie mogą przyczynić się do naświetlenia sprawy i dlatego nie zostały włączone do materiału dowodowego.

- Co takiego? - Głos Jill stał się nagle lodowaty. - Skąd można to było wiedzieć? - domagała się wyjaśnień. Nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, sięgnęła po kubeczek z koniakiem i wypila jednym haustem wszystko, co w nim pozostało. -A więc pani z nim o tym rozmawiała?

Kathryn skinęła głową.

- W takim razie niech się pani z nim powtórnie skontaktuje i powiadomi go, że musi znaleźć sobie jakieś oddzielne lokum - powiedziała Jill i ponownie się rozplakała.

## **219**

- To jej siostra wybiegła z sali - odezwała się pani Smythe-Daniels, wkładając futro. - Ale okropnie wyglądała!
  - Nic dziwnego - zauważyła Melissa. - Jak długo potrafiła-byś słuchać opowieści o tym, w jaki sposób twoja siostra została zamordowana?
  - Oczywiście. Masz rację - przyznała pani Smythe-Daniels. - A ten ad wokat to jakiś paskudny typ - zauważyła, zerknąwszy kątem oka na Debrillę, która wkładała na siebie obszerny zielony płaszcz.
  - Masz rację - przytaknęła nieoczekiwanie Debrilla. - Naprawdę paskudny typ.
  - No cóż... Są różne rodzaje śmierci - westchnął programista komputerowy Stephen, pakując rzeczy do teczki. - W końcu wszystkich nas to czeka. Gwałtowny zgon wcale nie musi być najgorszy. Kto wie, może los uchronił Sissy przed jakimś większym cierpieniem?
  - Co ti wigadujesz? - obruszyła się Elena. - Czegoś podobnego jak żyję nie słyszałam. Życzę wszystkim dobrego weekendu!
  - Chodź, Ellie! Wyprowadzę cię z sądu - powiedział Dayton, latynoski Romeo, podając ramię pani Smythe-Daniels.
  - Niech prasa sobie o nas trochę poplotkuje.
- Posiadaczka futra z nerek odrzuciła głowę do tyłu, roześmiała się piskliwie i... pozwoliła ująć się pod rękę. Adelaide odczekała, póki oboje nie znaleźli się za drzwiami, po czym bijąc się w piersi, oświadczyła:
- Powiem jej o tym futrze w poniedziałek. Nieodwołalnie.
  - Gotowa jesteś, Libby? - spytał Alex.
  - Jeszcze sekundę - odparła. - Basia prosiła mnie o adres protetyka. Muszę go jej podać.
  - Poczekam na ciebie na dole.
  - Za minutkę tam będę. "
- Odnalazła adres i telefon w notatniku, zapisała go na karteczce i wręczyła Basi. Basia dziękowała jej serdecznie, a tymczasem zbliżył się do nich Will i stanął tak, jakby czekał w kolejce.
- Chciałem ci życzyć przyjemnego Weekendu - odezwał się.
  - Dziękuję. Wzajemnie. - Po chwili jeszcze sobie o czymś

przypomniała. - Wiesz, dobrze się stało, że namówiłeś mnie wczoraj, abym zadzwoniła do telewizji. Znacznie mnie to uspokoiło.

- Cieszę się. A co będzie z tym... twoim wujem? Westchnęła i rozłożyła bezradnie ręce.

- Zupełnie nie wiem, co z tym zrobić.

- Powinnaś skontaktować się z rodzicami i namówić ich jakoś, by zgromadzili wszelkie dokumenty dotyczące lokowanych przez wuja pieniędzy. Niech dadzą je do sprawdzenia jakiemuś przyzwoitemu księgowemu albo doradcy.

- Ale jak ja to zrobię? Mam im powiedzieć, że wuj Greg sprawia wrażenie oszusta?

- Daj spokój... W końcu jesteś powieściopisarką. I to bardzo dobrą. Na pewno wymyślisz jakiś sposób. - Powiedział to półzartem, ale zaraz spoważniał i dodał: - Musisz to zrobić. Dla ich własnego dobra. To starsi ludzie, oboje na emeryturze. Nie mogą sobie pozwolić na to, by całe ich oszczędności...

- Rozumiem. Masz rację.

- Słuchaj, mieszkam teraz w hotelu „Vista”. - Wręczył jej kartkę z numerem telefonu. - Gdybyś miała jakieś pytania, możesz śmiało do mnie zadzwonić. Chętnie ci pomogę. - Uśmiechnął się. - W ramach rewanżu za to, że mogę teraz czytać twoje świetne książki. Naprawdę pomagają mi oderwać się od własnych problemów.

- Dziękuję ci! - Głos Libby zabrzmiał ciepło i serdecznie. Bardzo miła była ta jego oferta pomocy. I to, co powiedział o jej książkach. Ogromnieją to wszystko ucieszyło.

- No i dokąd zamierzamy pójść? - spytał Libby Alex.

- Nie mam zielonego pojęcia. Zupełnie nie znam tej części miasta. Czuję się tu jak przyjezdna.

- Tam dalej, na Franklin Street, jest taki lokalik, nazywa się „Dionne”. Byłem tam parę razy.

Rozmowa zupełnie im się nie kleiła. Libby myślała bez przerwy o wujku Gregu, rodzicach, swojej karierze, i trudno było jej znaleźć temat, który zdołałby ją oderwać od tych rozważań. Alex

wspomniał w pewnym momencie, że wybiera się jutro na ryby, a ona zaczęła go o to wypytywać, by podtrzymać jakoś rozmowę. Zanim podano im drinki, zdobyła już sporo wiedzy na temat okoniów, szczupaków, jezior, rzek i strumieni w północno-wschodnim Connecticut i południowo-zachodnim Massachusetts.

- Opowiedz mi coś o Halu - poprosił ją niespodzianie.

- A cóż tu jest do opowiadania? - odparła, sącząc białe wino. - Historia jakich wiele. Wydawało nam się, że się kochamy, zamieszkaliśmy razem, po roku chcieliśmy już ze sobą zerwać, a potem przez następne dwa lata torturowaliśmy się nawzajem. - Tak to jakoś streściła. Wiedziała, że podaje wersję nie do końca prawdziwą, ale wydała jej się ona na tę okazję stosowna.

- Co ci się w nim najbardziej podobało?

- Na samym początku?

Skinął głową, a ona zaczęła mówić powoli, starannie dobierając słowa:

- Imponował mi tym, że prowadząc zupełnie wariacki tryb życia, potrafił zachować pewien rodzaj wewnętrznego spokoju. Zawodowym muzykom nie żyje się łatwo. Nawet tym, którym udało się odnieść sukces. Tak jak jemu. Kończy ci się jakiś angaż, zostajesz bez pracy, a potem niespodziewanie zaczynasz nagrywać płytę, pracujesz dzień i noc i nagle znowu nic nie robisz... I on tak właśnie żył. Z dnia na dzień, niczego nie planując. Potrafił się w tym jakoś odnaleźć. Bardzo go za to podziwiałam. - Roześmiała się nagle. - Dałam się nabrać. Nie zorientowałam się, że cały ten jego wewnętrzny spokój jest grą pozorów. Pozą maskującą narcystyczne samouwielbienie. - Spojrzała Alexowi w oczy. Nie była pewna, czy cokolwiek z tego zrozumiała.

- To dlaczego od razu od niego nie odeszłaś?

- Chciałam się ustabilizować - wyznała, spuszczaając wzrok.

- Rozumiem - pokiwał głową Alex.

Porozmawiali potem przez chwilę o jego firmie remontowej. Obiecał, że pokaże jej jeden z domów, który obecnie odnawia. W końcu uparł się, że pojedzie z nią metrem na to jej przedmie-

**222**

ście. Mógł niby udać się do domu autobusem miejskim, ale nie chciał, żeby sama wracała.

- Coś ty! O siódmej po południu? - roześmiała się.

On też się uśmiechnął. W końcu jednak pojechał z nią metrem, a gdy miała już wsiadać, pochylił się i nie odrywając ręki od uchwytu, który wisiał nad jego głową, pocałował ją lekko w policzek.

- Do zobaczenia w poniedziałek!

- Życzę ci dobrego połowu!

Drzwi się zamknęły, pociąg odjechał. Libby, czując jakiś dziwny niepokój, wyszła po schodach na ulicę.

Co takiego mówiła Melissa? Czy nie powiedziała przypadkiem, że jej zdaniem Alex nie okazałby się bardziej rzetelnym partnerem niż Hal? A może ona sama to wyczuwa - i stąd jej niepokój?

17.

W poniedziałek rano Libby szła sobie spokojnie korytarzem do pokoju przysięgłych, gdy ktoś nagle wpadł na nią z tyłu z takim impetem, że o mało się nie przewróciła. Był to oskarżyciel, MacDonald.

- Pani Tompkins! Pani Tompkins! - wołał.

Przeprosił Libby, ale śpieszył się tak, że odepchnął ją na bok i pobiegł dalej. Kiedy w końcu dogonił Jill Tompkins, którą tak zapamiętała ścigał po korytarzu, kobieta odwróciła się na pięcie i powiedziała lodowatym tonem:

- Przyszłam tu z własnej woli. I nie jest to pańską zasługą, panie MacDonald.

Wypowiedziawszy te słowa, minęła prokuratora i zniknęła w drzwiach sali sądowej. MacDonald natomiast, widząc, że Libby mu się przygląda, odwrócił się nagle do niej tyłem.

Co to wszystko ma znaczyć? - pomyślała.

W pokoju przysięgłych również panowała nerwowa atmosfera. Ledwo Libby przestąpiła próg, usłyszała głos Eleny:

- Jak długo jeszcze będą nas trzymać w tym sądzie? Moje życie rozsipało się w gruzy. Dzieci myślą, że rodzona matka od nich odeszła.

Adelaide zaczęła z kolei zastanawiać się głośno nad tym, kto zrekompensuje jej straty, gdy uczestnicy prowadzonych przez nią kursów tańca znajdą sobie nowego nauczyciela.

- A nie możesz prowadzić tych lekcji późnym "wieczorem? - spytała ją Libby.

- Po całym dniu spędzonym w sądzie? - obruszyła się Adelaide. - To miejsce wysysa z człowieka cały potencjał twórczy. Zupełnie jak wampir.

Było w tym sporo racji. Libby próbowała pisać w czasie weekendu i niestety nic z tego nie wyszło. Bez przerwy myślała o rozprawie. A także o wujku Gregu i kończącej się karierze.

Siedzący obok Libby Alex również nie miał powodów do zachwytu: zaziębił się na rybach i okropnie bolało go gardło. Debrilla powiedziała, że szef jest bardzo niezadowolony z jej przedłużającej się nieobecności, gdyż musiał w końcu czasowo zatrudnić jakąś inną sekretarkę. Ronnie stwierdził z wyraźną dumą, że jego, stażysty uczącego się sztuki zarządzania, nikt czasowo nie może zastąpić. Stephen przywłókł się z miasta bardzo wymizerowany i zmęczony. Sympatyczna Bridget narzekała głośno, że przez to siedzenie w sądzie nie można przygotować należycie domu na Święto Dziękczynienia. Zjawiła się i Melissa. Też nie wyglądała na specjalnie wypoczętą; milcząca i przygaszona, sączyła kawę i przeglądała poniedziałkowe gazety, mniej tego dnia pocięte nożyczkami niż zwykle. Na ostatku w poczekalni zjawiła się trójka w dość dziwnym składzie: pani Smythe-Daniels, Dayton i Will.

- Wypiliśmy na dole wspaniałą kawę - obwieścił latynoski Romeo, lokując się natychmiast na parapecie, by jak zwykle zapalić papierosa.

- Cappuccino dla pani - powiedział Will, wręczając Libby brązowy kartonowy pojemniczek.

- Z jakiej to okazji? Bardzo dziękuję!

- I dla ciebie również. - Will postawił przed Alexem drugi kartonik i zaczął zdejmować płaszcz.

Alex nachmurzył się i spojrzał na Libby.

- Co jest grane? - mruknął podejrzliwie.

- Nie wiem - odparła. - Ale wypadałoby podziękować.

- Dziękuję, Williamie - powiedział, uśmiechając się krzywo.

Will był w bardzo dobrym nastroju. Co za wspaniały ranek! Od miesiący nie zdarzyło mu się spędzić tak spokojnego weekendu. W sobotę rano przekazał Betsy wszystkie kupione przez nią - oczywiście za jego pieniądze - meble, a resztę czasu miał już wyłącznie dla siebie. Popracował w biurze, poćwiczył na sali

gimnastycznej, a potem, po powrocie do hotelu, mógł się już w pełni zrelaksować i poczytać sobie powieści pani Elizabeth Winslow.

Autorka tych książek przestała być dla niego jakąś nieznaną pisarką. Były to książki napisane przez Libby, koleżankę z ławy przysięgłych, czytając je, czuł się więc tak, jakby nadal z nią rozmawiał, a im dłużej to trwało, tym bardziej zaczynał się niepokoić. Coraz częściej myślał o niej jako o niezwyklej kobiecie, innej niż te, które zdarzyło mu się w życiu spotkać.

Czuł się zażenowany, a chwilami wpadał niemal w panikę. Na przykład wtedy, gdy dzwoniąc do rodziców, wspomniał im, że razem z nim na ławie przysięgłych zasiada Libby i że czyta właśnie jedną z jej książek, na co jego matka powiedziała, że Elizabeth Winslow jest jej ulubioną autorką.

- Naprawdę czytałaś którąś z jej książek? - zdumiał się.

- Czytałam wszystkie trzy - rzekła matka. - Tę najnowszą pożyczyłam od Patsy Wilson nie dalej niż tydzień temu. - Wybu-chnęła śmiechem. - Dla takiej starszej pani jak ja są one trochę szokujące, ale uważam, że pisać to ona naprawdę umie.

- I sama też jest bardzo miła.

- O! Zdążyłeś się już o tym przekonać?

Przez moment nie wiedział, co odpowiedzieć. Być może matka była w tak dobrym humorze po prostu dlatego, że dowiedziała się przed chwilą, iż zerwał definitywnie z Betsy i przyjedzie do nich na Święto Dziękczynienia.

- Co pani takiego pije? Kawę z mlekiem? - spytała Elena, zaglądając do kartonika, który pani Smythe-Daniels postawiła na stole. Zapytana nie raczyła odpowiedzieć, zajęta wieszaniem na poręczy krzesła zdjętego przed chwilą futra. Siedząca po przeciwnej stronie stołu Adelaide zaczęła jej się natarczywie przyglądać. Pani Smythe-Daniels spojrzała na nią raz, drugi i trzeci, po czym nie wytrzymała i spytała:

- O co chodzi?

- Wie pani, ile zwierząt zostało zabitych po to, by mogło zostać uszyte to futro? - wypaliła wreszcie Adelaide.



- Dzień dobry państwu! - pozdrowił przysięgłych Chuck, wpadając pośpiesznie do pokoju, by sprawdzić listę. - Widzę, że wszyscy są zadowoleni i wypoczęci po weekendzie.

Rozległy się niechętnie pomruki, posykiwania, aż w końcu ktoś rozładował atmosferę i parsknął śmiechem.

Zadziwiające, że był to Clay.

Chuck sprawdził listę obecności, zrobił skrzywioną minę i obwieścił, że z uwagi na to, iż proces przebiega wolniej, niż to było przewidziane, pani sędzia Williams postanowiła odbyć sesję również w piątek, czyli w pierwszym dniu po Święcie Dziękczynienia. W tym momencie wybuchła prawdziwa awantura.

- Nie ma mowy! Ten numer nie przejdzie! - wrzasnął Dayton.

- Żądam natychmiastowego widzenia się z sędzią! - zawtórowała mu pani Smythe-Daniels, bijąc pięścią w stół.

- Święto Dziękczynienia mam spędzić w Los Angeles - oświadczyła Melissa. - Nie zdążę już zmienić rezerwacji.

- Ja lecę do Illinois! - zawołał Will.

- A ja do Ohio- powiedziała Libby.

- Moi siostrzeńcy mają przyjechać z Frankfurtu i zostać do końca tygodnia. Co ja z nimi zrobię? Kto ich będzie pilnował? - dągała się odpowiedzi Debrilla.

- Trzeba powiedzieć sędzinie, że na piątek się nie wirobimy. To wkluczone - oświadczyła Elena.

- Słuchajcie państwo, przekażę wasze uwagi sądowi. Przecież to nie ode mnie....

- Idź pan powiedziec sędzinie, że w piątek nie będzie miała przysięgłych. I tyle - ucięła Elena.

Melissa wcale nie była pewna, czy w ogóle ma ochotę jechać do Los Angeles na to święto. Dawno niby nie była w domu, ale nic ją tam specjalnie nie ciągnęło. Z drugiej zaś strony spędzenie czterech dni w biurze - a miała świadomość, że tam właśnie wylądjuje, jeśli nie wyjedzie - też jej się nie uśmiechało.

Wiedziała dobrze, z kim naprawdę chciałyby pobyć w ten

weekend. Co więcej, właściwie została zaproszona. Inicjatywa należała teraz do niej. I to ją właśnie przerażało.

- Może spędziłybyśmy razem tych kilka wolnych dni - zaproponowała jej wczoraj wieczorem Christine. Zadzwoiła do niej około dziewiątej. Oczywiście do biura. - Mogłabyś do mnie przyjechać. Albo ja przyjechałabym do ciebie... Melissa odpowiedziała, że bardzo żałuje, ale wybiera się na Święto Dziękczynienia do Los Angeles.

A potem, gdy już odłożyła słuchawkę, ogarnęła ją taka złość na siebie, że zagryzła wargi niemal do krwi. Przecież rozpaczliwie pragnęła zobaczyć się z Christine, pójść za tym czymś nowym bez względu na to, dokąd miałyby ją to zaprowadzić, albo zrobić coś innego - obojętnie co - byle tylko wyrwać się ze stanu emocjonalnego znieczulenia, który sama sobie narzuciła.

Na litość boską! Nie da się tak dłużej żyć.

Przerażało ją to jednak. Co prawda, choć nie do kófica potrafiła się do tego przyznać, nie mniejszy lęk odczuwałaby także wówczas, gdyby podobnymi uczuciami obdarzyła jakiegoś mężczyznę. Przerażały ją wszelkie gwałtowne emocje. Zawsze zrc sztą tak było, nawet w dzieciństwie. Przez długi czas tłumiała ten lęk za pomocą alkoholu, by móc przynajmniej udawać, że korzysta z radości tego świata tak jak inni. Choćby jak młoda kobieta, która się właśnie w kimś zakochała.

- Panie i panowie przysięgli! - powiedziała sędzia Williams. - Rozumiem, że pojawiły się jakieś kłopoty w związku z piątkową sesją.

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

- Proszę wobec tego, żeby każdy z państwa w czasie przerwy śniadaniowej złożył pisemne oświadczenie, przedstawiając powody, które uniemożliwiają mu uczestnictwo w tej sesji.

- Czy Wysoki Sąd nie ma rodziny? - wypaliła niespodziewanie pani Smythe-Daniels.

Sędzina zajrzała do karty, w której odnotowane były nazwiska przysięgłych oraz numery zajmowanych przez nich miejsc, po czym zwróciła się w stronę ławy.

- Pani Smythe-Daniels... - zawiesiła na chwilę głos - proszę sobie wyobrazić, że mam rodzinę, ale w niczym nie zmienia to faktu, iż mianowana zostałam na to stanowisko po to, abym stała na straży praw zawartych w Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Obowiązkiem moim jest dbanie o to, by proces karny przebiegał możliwie szybko, a proszę mi wierzyć, że ten proces jak dotąd szybko nie przebiega. Czy wystarczy pani to wyjaśnienie?

Na sali zapanowała grobowa cisza.

- Bądźcie więc państwo łaskawi przedłożyć mi swoje pisemne oświadczenia - powtórzyła raz jeszcze. - A teraz, panie MacDonald, oskarżenie może wezwać następnego świadka.

Mówiąc szczerze, Libby żywiła cichą nadzieję, że sędzina nie odwoła w końcu piątkowej sesji. Mogłaby wówczas zadzwonić do matki i powiedzieć, że nie może niestety przyjechać. Wczoraj próbowała jej tłumaczyć przez telefon, że wcale nie uważa wujka Grega za zwykłego oszusta, podejrzewa jedynie, iż być może ma on w sobie żyłkę hazardzisty, ale nie na wiele się to zdało.

- Zrozum, mam, namawiam cię jedynie do tego, żebyś sprawdziła, w co zostały zainwestowane twoje pieniądze i jak obecnie procentują - tłumaczyła.

- Greg jest moim bratem - oświadczyła matka. - Mam do niego pełne zaufanie.

- Mówię ci to dlatego, że próbowałam ostatnio wycofać od niego część moich pieniędzy... i jeśli wasze oszczędności podobnie się zdewaluowały, czy też są tak głęboko zamrożone, że nie sposób szybko ich ruszyć, to powinnaś przynajmniej o tym wiedzieć.

- Zakończmy tę rozmowę, Comelio! - wybuchnęła matka. - Proponuję, żebyś porozmawiała o tym ze swoim wujem przy świątecznym stole. A także opowiedziała o wszystkim całej rodzinie, gdy zechcesz nas wreszcie łaskawie odwiedzić. - Po czym odłożyła słuchawkę.

Zadzwoniła, co prawda, po upływie półgodziny, niby z przeprosinami, nie omieszkała ich jednak okraszyć dodatkowym komentarzem. Wynikało z niego, że od kiedy jej córka zamieszkała w tym okropnym Nowym Jorku, stała się cyniczna, podejrzliwa

i za grosz nie ufająca ludziom. Ona zaś, jako kochająca matka, przygląda się temu ze smutkiem.

- Wysoki Sądzie! - odezwał się MacDonald. - Oskarżenie wzywa pana Kareema Johnsona do złożenia zeznań.

Proszę wprowadzić świadka.

Kareem okazał się blisko dwumetrowym olbrzymem, który pracował w klubie nocnym jako bramkarz. W momencie gdy Sissy Cook została zastrzelona, stał w odległości kilku metrów od niej. Miał dwadzieścia trzy lata, wychował się w Harlemie. Nigdy nie był karany. Studiował zaocznie w Hunter College, gdzie zdobył dyplom nauczyciela wychowania fizycznego. Od czterech lat zatrudniony jest w nocnym klubie.

Do materiału dowodowego włączone zostało zdjęcie srebrnego jaguara z czarnym otwieranym dachem. Świadek, obejrzawszy je, stwierdził, że jest to zapewne ten sam wóz, który krytycznej nocy widział przed klubem. Zapamiętał początkowe cyfry jego numeru rejestracyjnego, które były takie same jak trzy pierwsze oznaczenia samochodu widocznego na zdjęciu. Niestety, nie zdołał zauważyć, kto siedzi za kierownicą. Natomiast temu, który strzelał, miał okazję dokładnie się przyjrzeć. Był to czarny, wysoki mężczyzna, liczył sobie dobre metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu. I nosił krótkie dredy.

- Czy zechce pan wyjaśnić przysięgłym, co to są dredy?

- Takie ciasno splecione, cienkie warkoczyki. Te jego były akurat krótkie. Nie dłuższe niż jakieś osiem centymetrów.

Przynajmniej z boku, bo na czubku głowy miał czapkę z napisem „Chicago Bulls”.

Zeznawał dalej, opisując obserwowane przez siebie zdarzenia w sposób coraz bardziej obrazowy. Próbował więc ostrzec Sissy Cook, lecz ona stała jak wrośnięta w ziemię, dopóki nie trafiła jej pierwsza kula. Potem ukucnęła i skuliła się, zasłaniając głowę rękami, a gdy zabójca oddał do niej dwa kolejne strzały, osunęła się na chodnik. Wtedy tamten postąpił krok do przodu, wycelował do niej z bliska i wystrzelił po raz czwarty. Z twarzy Sissy pozostała jedynie krwawa miazga.

Libby usłyszała tuż obok siebie czyjeś stłumione łkanie. Ku

swemu zdumieniu zobaczyła, że to szlocha pani Smythe-Daniels, która drżącą ręką wyciągnęła z rękawa swetra chusteczkę i przycisnęła ją sobie do oczu.

Kareem zeznawał dalej, że w chwilę po tym, gdy zabójca wsiadł z powrotem do samochodu, wybiegł na ulicę, by odczytać numery na tylnej tablicy rejestracyjnej odjeżdżającego z piskiem opon jaguara. Następnie wrócił na chodnik, by podnieść z niego leżącą tuż obok ofiary i całkowicie sparaliżowaną strachem Ma-rybeth Shaeffer. Wyglądała okropnie; cała była zachlapaną krwią, na twarzy i ubraniu miała fragmenty jakichś tkanek, zapewne pochodzących z mózgu jej koleżanki. Wciągnął ją, a właściwie zaniósł niemal do klubu, gdzie szmatką do przecierania barowego blatu próbował jakoś ją z tego wszystkiego obmyć.

Po twarzy siedzącej w ostatnim rzędzie galerii Jill Tompkins zaczęły spływać łzy, a ona nie próbowała ich nawet wycierać. Siedziała nieporuszona, pozwalając na to, by zmywały jej makijaż i skapywały z policzków, pozostawiając różowe plamy na białej bluzce. Ani na moment nie oderwała wzroku od przysięgłych.

W ciągu tych wspólnie spędzonych lat przychodziło jej czasem do głowy, że Rusty podczas podróży służbowych mógł ją nieraz zdradzać. W miasteczku, w którym mieszkali, zwykle działo się tak, że gdy tylko mężczyzna zaczynał zarabiać jakieś znaczące pieniądze, jego żona prędzej czy później musiała podjąć decyzję, czy w imię dobra rodziny skłonna jest tolerować niewierność męża, jeśli stara się on zachować pewne pozory, czy nie.

Czasami oczywiście się buntowała. Boże drogi, przecież miała dopiero trzydzieści parę lat. Przybrała co prawda na wadze, ale nadal była jedną z najładniejszych kobiet w miasteczku.

Sissy. Ilekroć przypomniawszy sobie o siostrze, czuła bolesny skurcz serca. Nienawidziła jej teraz. Miała jednak tyle samoświadomości, by wiedzieć, dlaczego tak się dzieje. Otóż gdyby pozwoliła sobie na to, by całą nienawiść przelać na Rusty'ego, który w pełni sobie zresztą na nią zasłużył, straciłaby wszelką

## 231

nadzieję na utrzymanie ich rodziny w całości. Chodziło jej oczywiście wyłącznie o dobro dzieci.

Zacząła się zastanawiać nad tym, czy przypadkiem Sissy nie spotkało to, na co sobie zasłużyła. Może ta śmierć na ulicy, w środku Nowego Jorku, nie była przypadkowym zrzędzeniem losu?

Kathryn Schnagel musiała widocznie w piątek skontaktować się telefonicznie z Rustym, ponieważ zdołał wrócić do domu wcześniej niż ona. Dzieci zostały dokądś wyekspediowane razem z panią Montell. Tak jej przynajmniej powiedział, stojąc na środku kuchni ze skruszoną, bezradną miną. Wyglądał jak zbity pies.

Jakiż on jest bezdennie głupi, pomyślała Jill, i była to jedyna myśl, która przyszła jej w tym momencie do głowy.

Musiał być głupcem, skoro pozwolił sobie na tego rodzaju wybryk, licząc na to, że nigdy nie przyjdzie mu za niego zapłacić i że nie wyrządzi w ten sposób krzywdy jej, swym własnym dzieciom i sobie samemu.

- Jesteś tak samo beznadziejnym facetem, jak ci wszyscy, których Sissy uwodziła i zostawiała na lodzie -

powiedziała, przechodząc do salonu, by dopiero tam zdjąć płaszcz. - James Bennett Layton mógłby się przynajmniej tłumaczyć tym, że narkotyki odebrały mu resztki rozumu. A czym ty mógłbyś usprawiedliwić swój postępek? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, powędrowała w głąb domu i powiesiła płaszcz w jednej z szaf.

Powiedział w końcu, że był to tylko jeden jedyny raz. Owszem, wcześniej też spędził u Sissy parę godzin, ale wyłącznie po to, by się z nią napić. A potem, kiedy już się to stało, zrozumiał, że zrobił coś bardzo niestosownego i natychmiast uciekł. Przyszedł do niej jeszcze po raz trzeci, wyłącznie po to, aby z nią o tym porozmawiać, wziąć odpowiedzialność na siebie i ustalić raz na zawsze, że muszą w przyszłości unikać wszelkich okazji, które mogłyby ich do czegoś podobnego sprowokować.

Jill nie odezwała się ani słowem, cały czas myśląc o tym, jak to było naprawdę. Potrafiła wyobrazić sobie, jak wyglądało seksualne zbliżenie jej męża i siostry: na pewno było gwałtowne,

namiętne, całkowicie spontaniczne. Dwoje obdarzonych wybitną urodą ludzi... Widocznie przez lata wydawali się sobie seksualnie atrakcyjni, aż wreszcie sięgnęli po zakazany owoc.

Kazała mu się wynieść z domu. Weekend może sobie spędzić u Howarda Johnsona. Dzieciom powie się, że wyjechał w podróż służbową.

- Musisz dać nam jakąś szansę, Jill - powiedział wówczas.

- Nam, jako rodzinie. Rozumiem, że potrzebujesz kilku dni, by sobie to spokojnie przemyśleć, ale...

- Ale na pewno dojdiesz do wniosku, że dla dobra naszych dzieci nie powinniśmy się rozstawać? - dokończyła za niego.

- To miałeś zamiar powiedzieć? - spytała, a gdy skinął głową, roześmiała mu się prosto w twarz, spojrzała na niego z odrazą, zabrała z szafy swój płaszcz i skierowała się do wyjścia.

- Idę po dzieci. Gdy wrócę, ma cię już tu nie być. Zrozumiałeś?

Po kolejnej przerwie Kareem Johnson zaczął odpowiadać na pytania obrony, krótkie tym razem i konkretne. Geiggen przyciągnął na środek sali sztalugę, na której umieszczony był sporządzony przez oskarżenie plan topograficzny ulicy. Adwokat bardzo dokładnie ustalił miejsce, w którym znajdował się Kareem w momencie, gdy padły strzały, po czym zwrócił się do świadka:

- Powiedział pan przed chwilą, że nie był pan w stanie dostrzec, kto siedzi za kierownicą jaguara.

- Tak, proszę pana. Uliczne światła odbijały się w przedniej szybie i wewnątrz pozostawało niewidoczne.

- A więc za kierownicą siedzieć mógł ktokolwiek? Świadek wzruszył bezradnie ramionami.

- Właściwie tak.

- Dziękuję, panie Johnson, to już wszystko. Wysoki Sądzie, obrona pragnie zachować prawo do ponownego przesłuchania świadka.

Pani sędzia Williams wytłumaczyła Johnsonowi, że oznacza to tyle, iż nie wolno mu być obecnym na sali w trakcie trwania

procesu, jak również czytać komentarzy prasowych oraz słuchać radiowych i telewizyjnych relacji z jego przebiegu. Bezpośrednio po Johnsonie wezwany został kolejny świadek, co zdumiało Libby, gdyż dotąd przerwę na lunch ogłaszano zwykle pomiędzy dwunastą a wpół do pierwszej, a była już dwunasta dwadzieścia.

Następnym świadkiem oskarżenia okazał się George Kelly, przystojny menedżer około czterdziestki. Włosy miał ciemne, oczy piwne i lśniące, różową cerę. Z pochodzenia Irlandczyk, mieszkał w Atlancie, był wiceprezesem firmy odzieżowej. Sissy Cook i Marybeth pozowały do zdjęć, mających stanowić prasową reklamę jej wyrobów. Był jednym z dwóch mężczyzn, którzy zaprosili modelki na kolację i dancing. Przedstawiona przez niego wersja zdarzeń w zasadzie w pełni pokrywała się z tym, co zeznała uprzednio Marybeth Shaeffer i bramkarz Kareem, tyle tylko, że w momencie gdy padły strzały, stał znacznie dalej niż poprzednia dwójka świadków. Znajdował się wówczas na jezdni, usiłując zatrzymać jakąś taksówkę, i rozpędzony jaguar omal go nie przejechał. Niestety, nie zapamiętał numeru rejestracyjnego tego jaguara. Nie był również w stanie zobaczyć twarzy jego kierowcy.

- Powróćmy teraz do tego, co zdarzyło się w klubie - zaproponował MacDonald. - Tańczył pan z panią Cook, gdy nagle pojawił się oskarżony...

- Tak jest.

- I co takiego zrobił?

- Wtargnął na parkiet, odsunął mnie na bok i chwycił za ramię Sissy.

- I co się potem stało?

- Sissy odepchnęła go od siebie i zaczęła krzyczeć, by zostawił ją w spokoju.

- Czy zapamiętał pan, jakich słów wówczas użyła?

- O ile pamiętam, powiedziała chyba coś takiego: „Zostaw mnie w spokoju, ty zaćpana świnió”.

- A co na to odpowiedział oskarżony?

- Powiedział, że jej to nie ujdzie na sucho.



- Panie Kelly, proszę opisać sędziom przysięgłym, jak wyglądał wówczas oskarżony.
  - Okropnie. Miał na sobie bardzo ładne spodnie, chyba z szarej flaneli, niebieski blezer... Ale cały ten blezer był czymś umazany, tak jakby oskarżony wylał coś na siebie, albo...
  - Tak?
  - Myślę, że musiał zwymiotować na swoje ubranie. Tak to właśnie wyglądało. Zdumiało mnie, dlaczego wpuszczono go w tym stanie do klubu. Miał wygląd szaleńca. Oczy szkliste i przekrwione.
  - Czy Sissy Cook rozmawiała z panem na jego temat, gdy wyrzucono go wreszcie z klubu?
  - Tak. Wyjaśniła mi, kim on jest. Gdy usłyszałem, że to Layton, przestałem się dziwić, dlaczego wpuszczono go do klubu. Opowiedziała mi, że łązi za nią bez przerwy, naprzykrza się, a ponieważ stale jest pod wpływem narkotyków, zachowuje się jak wariat i bywa nieobliczalny.
- Libby spojrzała na oskarżonego, który z absolutnym spokojem, bez cienia emocji, przyglądał się składającemu zeznania świadkowi.
- Spytałem ją, czy zawiadomiła policję, a ona spojrzała na mnie jak na niepoczytalnego.
  - A to dlaczego?
  - Powiedziała, że jego ojciec ma całą nowojorską policję w garści.
  - Dziękuję, panie Kelly. To już wszystko. Przysięgli zostali zwolnieni na lunch.
  - Pozwól powiedzieć mi tylko jedną rzecz, a obiecuję, że dziś nie pisnę już na ten temat ani słowa - zwrócił się do Libby Alex, gdy szli razem do delikatesów. Nabrał zwyczaju obejmowania jej ramieniem. Ponieważ było zimno i oboje mieli na sobie płaszcze i rękawiczki, nie było w tym nic specjalnie intymnego. Tak jej się przynajmniej wydawało, choć teraz właśnie zaczęła mieć wątpliwości, czy aby ma rację, i kiedy doszli do rogu, delikatnie wyslizgnęła się z objęć i odsunęła od niego.

- Co masz na myśli?

- Jeżeli ten Kareem ma dwadzieścia trzy lata i od czterech lat pracuje w nocnym klubie, to przez dwa lata zatrudniano go tam nielegalnie. W lokalach, które prowadzą wyszynk alkoholu, nie wolno zatrudniać osób poniżej dwudziestu jeden lat.

- Jakoś o tym nie pomyślałam.

- Oskarżyciel pewnie też to przegapił - zauważył Alex - a obrona nie miała powodu, by go dyskredytować, skoro zeznał pod przysięgą, że przy tamtym oświetleniu nie sposób było rozpoznać twarzy kierowcy.

- No właśnie - westchnęła Libby. - obrońca rzeczywiście jest znacznie bardziej inteligentny i lepiej radzi sobie w sądzie niż MacDonald.

- A zauważyłaś tę kobietę, która siedzi przy stole oskarżenia i patrzy na swojego szefa tak, jak na faceta, który uczy się prowadzić samochód? --pytał Alex. - Nie wieirV do końca, co jest grane. Ale wyczuwam w tym coś dziwnego.

- Rozumiem, co masz na myśli - zgodziła się Libby.

18.

Poranna sesja była trudna dla przysięgłych, ale dopiero ta popołudniowa dała im się naprawdę we znaki. Najpierw Geiggen wziął George'a Kelly'ego w krzyżowy ogień pytań i „dancingowy wiceprezes” (jak nazwała go Libby) znalazł się w niezłych opałach. Obrona próbowała go bowiem tak wymanewrować, by wyznał w pewnym momencie, że miał zamiar namówić owego wieczoru Sissy Cook na pójście z nim do łóżka. Oskarżyciel bronił go oczywiście jak lew i w rezultacie obaj prawnicy wdali się w słowną potyczkę, usiłując się nawzajem przekrzyczeć.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - wrzeszczał MacDonald. - Przypominam raz jeszcze, że to nie świadek jest w tej sprawie oskarżonym!

- Obrona zadaje to pytanie po to, by udowodnić na przykładzie świadka, że ofiara miała w zwyczaju nawiązywać przelotne

kontakty seksualne z wieloma mężczyznami - argumentował Geiggen.

- Sprzeciw! Stanowczy sprzeciw! Obrona próbuje perfidnie manipulować ławą przysięgłych!

- Z przykrością muszę stwierdzić, mecenasie - upomniała Geiggen pani Williams - że śledząc przyjętą przez pana linię obrony, podejrzewać można, iż świadomie dąży pan do unieważnienia procesu.

Unieważnienia procesu? - przeraziła się Libby. Co by się wówczas stało? Musieliby zaczynać jeszcze raz od początku?

- Ależ nie, Wysoki Sądzie! Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - zapewnił Geiggen.

- No cóż... To się dopiero okaże - ostrzegła go jeszcze raz pani sędzia Williams. - W każdym razie proszę, aby obrona

zechciała ograniczyć się do pytań bezpośrednio związanych z niniejszą sprawą.

- Tak jest, Wysoki Sądzie. - Geiggen skłonił się nisko, po czym najbezczelniej w świecie spytał:

- Czy uprzednio zdarzało się panu sypiać z Sissy Cook, panie Kelly?

Tym razem sędzina zdenerwowała się już nie na żarty, ogłosiła przerwę w rozprawie i wezwała Geiggena do swego gabinetu.

- Chcesz się napić wody Ellie? - spytał panią Smythe-Daniels Dayton.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała drżącym głosem. Przysięgli wymienili między sobą zaniepokojone spojrzenia.

Nie widzieli jej dotąd w takim stanie; ta energiczna, pewna siebie kobieta wyglądała tak, jakby wypompowano z niej krew. Zanikła jej witalność i chęć do życia. Drżała, i choć w ich pokoju naprawdę nie było zimno, sięgnęła po futro z norek i otuliła się nim szczelnie. Nawet Adelaide, zamiast protestować przeciwko rzezi zwierząt futerkowych, patrzyła na nią ze współczuciem.

Idąc do toalety, Libby zatrzymała się przy końcu stołu i delikatnie położyła dłoń na ramieniu starszej pani.

- Przynieść pani coś ciepłego do picia? - spytała.

Pani Smythe-Daniels spojrzała na nią, uśmiechnęła się blado i pogłaskała ją po rękę.

- Dziękuję ci, kochanie. Nie trzeba. Już mi przeszło. Stephen, specjalista od programów komputerowych, udał się do telefonu. Pozostali siedzieli w pokoju i czekali.

Kiedy wreszcie wezwano ich na salę, Geiggen - tym razem bardzo już spokojnie i powściągliwie - skończył przepytывanie George'a Kelly'ego, nie uzyskując od niego żadnych nowych informacji.

W chwilę potem wezwano kolejnego świadka. Był nim Robert Girstein, przedstawiciel tej samej firmy, który krytyczną noc spędził w towarzystwie obu modelek w klubie „Belle”. Jego zeznania nie wniosły niczego nowego do sprawy. Pokrywały się w zasadzie z zeznaniami jego kolegi, choć były mniej dokładne,

gdyż pewne szczegóły zostały przez niego nie zauważone lub zapomniane.

Musiał oczywiście również odpowiedzieć na pytania obrony.

- Panie Girstein... Proszę w kilku słowach opisać ofiarę. Co zechciałby pan nam powiedzieć o Sissy Cook? - zaczął Geiggen, gdy tylko dopuszczono go do głosu.

- Była uroczą i bardzo piękną kobietą.

- Od dawna ją pan znał?

- Nie. Poznałem ją dopiero przy okazji robienia tych zdjęć reklamowych.

- A czy wiedział pan coś o niej wcześniej?

- To jedynie, że jest znakomitą modelką. Potrzebna nam była właśnie taka twarz i taka figura, jakie miała Sissy.

- Czy ktoś z pana przyjaciół zetknął się z nią poprzednio?

- Owszem. Pewien mój znajomy miał przyjemność ją poznać.

- Miał przyjemność... Hmm... Czy poznał ją w związku z wykonywaną przez nią pracą?

- Sądzę, że tak.

- A czy spotykał się z nią również na gruncie...

- Sprzeciw! - zaoponował MacDonald. - Wysoki Sądzie, te pytania znowu odwodzą nas od meritum sprawy.

- Otóż nie, Wysoki Sądzie - bronił się Geiggen. - Istota sprawy polega na tym, kto i z jakiego powodu strzelał do Sissy Cook. Ja zaś pragnę ustalić, jak wielu mężczyzn mogłoby mieć powody po temu...

- Strony proszone są do ławy - przerwała mu sędzina. Patrzyła na adwokata takim wzrokiem, jakby zamierzała za chwilę zejść ze swego podwyższenia i udusić go własnymi rękami.

Gdy tylko prawnicy zaczęli toczyć kolejny spór, przysięgli zaczęli chrupać drażetki. Księgowy Clay wciągnął ich w ten nałóg i wszyscy przynosili teraz ze sobą po kilka opakowań cukierków o rozmaitych smakach. Porcja glukozy przynajmniej na chwilę odpędzała od nich znużenie i senność.

Geiggen ponownie zaczął przesłuchiwanie świadka, przeciągając je w nieskończoność, aż w końcu udało mu się osiągnąć to

do czego zmierzał od początku: odpowiedzi udzielone przez Girsteina zdawały się jasno sugerować, że Sissy Cook wywierała tak zniewalający wpływ na mężczyzn, że niemal każdy, który się z nią zetknął, natychmiast zaczynał się interesować nią jako kobietą. Trudno więc się dziwić, że mogła mieć wielu nie chcianych i zrozpaczonych adoratorów.

Następnym świadkiem był pracownik pogotowia, Jocko Ramirez. Poproszono go, by dokładnie zrelacjonował, co załoga karetki zastała na miejscu zdarzenia i jakie podjęła działania. Trudno było słuchać jego zeznań, w tak szczegółowy i makabryczny sposób wszystko opisywał. Sanitariusze, ustaliwszy ponad wszelką wątpliwość, że Sissy Cook nie żyje, zajęli się następnie jej koleżanką, sądząc początkowo, że również została postrzelona, tyle bowiem miała na sobie krwi i strzępów ludzkiego ciała.

Pani Smythe-Daniels tym razem zniosła to dzielnie, natomiast jakaś osoba siedząca w drugim rzędzie ławy przysięgłych nie wytrzymała. Libby usłyszała, że ktoś rozpaczliwie pociąga nosem, odwróciła się i zobaczyła, że to Elena. Zaraz potem spojrzała na salę. Pani Tompkins, siostra ofiary, siedziała tam, gdzie zwykle. Łzy znowu zalewały jej twarz. Płakało także kilka innych kobiet na widowni.

Libby natomiast zbierało się po prostu na wymioty.

Obrona zadała świadkowi bardzo niewiele pytań. Pani sędzia Williams w końcu się zlitowała i ogłosiła przerwę do następnego dnia. Oświadczyła także, że sąd uznał za wskazane zrewidować swoje stanowisko i odwołać zapowiedzianą na piątek sesję, więc sędziowie przysięgli mogą spokojnie wyjechać na czterodniowy weekend. Nie wolno im jednak w tym czasie rozmawiać o sprawie ani też interesować się tym, co mają na jej temat do powiedzenia media.

Nawet perspektywa kilku wolnych dni nie potrafiła ich już w tym momencie ucieszyć. Depresja i ponure przygnębienie fizycznie niemal obezwładniały wszystkich przysięgłych. Spędzili tu dopiero pięć pełnych dni i dobrze wiedzieli, że czeka ich jeszcze wiele następnych. Całymi godzinami będą zmuszeni wysłuchiwać czegoś, co wzbudzi w nich grozę i wstręt lub też wy-

woła uczucie śmiertelnej nudy. Święta zatruje im również myśl

O tym, że będą musieli wrócić na salę sądową i tkwić na niej tak długo, dopóki ten proces się nie skończy.

- Ja tego nie wirabiam - skarżyła się Elena pani Śmythe-Daniels, gdy obie wkładały płaszcze i zabierały swoje rzeczy z pokoju przysięgłych. - Tyle jakiejś makabrycznej przemocy, bez sensu...

- Doskonale cię rozumiem, moja kochana - odpowiedziała dziwnie ciepło i serdecznie pani Smythe-Daniels.

- Może poszlibyśmy się czegoś napić, zanim wyjedziesz na ten weekend? - zaproponował Alex, odprowadzając Libby do metra.

- Przepraszam cię, ale dziś zupełnie nie mam na to ochoty.

- Ja również. A poza tym muszę wyskoczyć za miasto

1 umocnić łukowe sklepienie, które właśnie rekonstruuje. Myślałem, że może jutro.

- Zobaczymy, jak się będziemy czuli - odparła. Nie potrafiła wykrzesać z siebie ani odrobiny entuzjazmu.

- Uszy do góry! Jeszcze całe życie przed tobą! - Klepnął ją w ramię, po czym uścisnął nagle i podniósł do góry.

A Will, który stał przed sądem i patrzył, jak się oddalają, obejrzał dokładnie tę scenę.

- Pani Tompkins! - Głos Kathryn Schnagel dobiegł do Jill w momencie, gdy wsiadała do samochodu, który miał ją odwieźć do Connecticut.

Znieruchomiała, po chwili jednak, przewyciężając znużenie, odwróciła się i patrzyła w milczeniu, jak znajoma prawniczka, potykając się na zbyt długich obcasach, kuśtyka ku niej w mdłym świetle ulicznych latarni. Zbliżyła się i stanęła tuż przed nią. Jill jeszcze przez chwilę przyglądała się jej w milczeniu.

- Nabawi się pani zapalenia płuc - odezwała się wreszcie. Kathryn sprawiała wrażenie osoby, która pasuje się ze sobą,

nie potrafiąc podjąć ostatecznej decyzji. W końcu spojrzała w oczy Jill i wykrztusiła:

## 241

- Zrobiłam coś bardzo nieetycznego...

- Mam nadzieję, że nie z moim mężem - Jill pozwoliła sobie na gorzki żart.

- W trakcie rutynowych czynności śledczych, które prowadzono po zamordowaniu pani siostry, znaleziony został list napisany do niej przez pani męża. Dlatego właśnie policja się nim zainteresowała. - Wetknęła w dłoń Jill kopertę. - Gdy pan Tompkins wszystko nam wyjaśnił, powinnam była w zasadzie zwrócić mu ten list. Obawiałam się jednak, że zapewne zechce go natychmiast zniszczyć.

Jill zupełnie nie rozumiała, do czego zmierza prawniczka.

- Zniszczyć - ciągnęła tymczasem Kathryn - by nie dowiedziała się pani przypadkiem o całej tej spranie. - W tym momencie wstąpiła jakby na pewniejszy grunt, gdyż jej twarz przestała już być taka napięta. - Licząc się jednak z możliwością, że związek pani męża z pani siostrą może zostać ujawniony w trakcie procesu, zdecydowałam się zachować ten list. Pomyślałam bowiem, że będąc na pani miejscu, chciałabym mieć możliwość przeczytać te kilka słów.

Jill trzymała w ręku kopertę i wpatrywała się badawczo w twarz stojącej przed nią kobiety.

- Mogła pani mieć z tego powodu wiele kłopotów. Kathryn skinęła głową.

- Ale i tak bym nie żałowała. Jeśli rzeczywiście miałyby się to okazać dla pani pomocne.

Powiedziawszy to, odwróciła się i poszła z powrotem w stronę sądu.

- Christine? - Melissa zacisnęła dłoń na słuchawce biurowego telefonu.

- Co za miła niespodzianka! Jak było w sądzie?

- Okropnie. Bardzo jestem przygnębiona.

- Przykro mi.

- Myślałam, że o tej porze raczej cię już nie zastanę - powiedziała Melissa. Było wpół do ósmej. Umowa, którą sama w końcu ze sobą wynegocjowała, brzmiała następująco: Dzwoni do



242

niej do biura i jeśli jej tam nie zastanie, to trudno, los tak chciał. Ale jeśli Christine odbierze telefon...

- Mamy teraz masę roboty. Wiosna za pasem. Czas, kiedy hodowcy pokrywają swoje zwierzęta, to dla nas szczyt sezonu.

To wcale nie był żart. Christine zamawiała reklamy w mediach dla całego holdingu Harding-Buckner Mills, który nie tylko dostarczał karmę dla kotów, psów, koni, bydła, ptaków i pensjonariuszy zoo, lecz produkował również artykuły spożywcze przeznaczone dla ludzi. Wyjaśniła Melissie, że robi dokładnie to, do czego czuje się zawodowo przygotowana, ponieważ naprawdę zna się na mediach. Natomiast jej brat i siostra są prawdziwymi ludźmi interesu i oni właśnie przejęli zarządzanie firmą po śmierci ojca.

- No więc... dzwonię dlatego, by... - zaczęła niepewnie Melissa.

- Tak?

- Chciałam cię spytać, czy zechciałabyś... czy mogłybyśmy spędzić razem ten weekend. W końcu okazało się, że nie jadę do Kalifornii.

- Och, Melisso, jaka szkoda, że wcześniej mi o tym nie powiedziałaś. Pytałam cię przecież...

' ^ - Wiem... Ale ja po prostu...

- Co takiego? - Christine znowu ściszyła głos. Zabrział miękko i łagodnie.

Melissa westchnęła.

- Po prostu sama nie wiem, co się ze mną dzieje, Christine. W słuchawce zaległa cisza.

- Nie chcę, aby działo się z tobą... abyś robiła cokolwiek wbrew sobie - powiedziała po dłuższej chwili Christine. - Musisz sobie z tego zdać sprawę. To, że się bliżej poznamy, naprawdę do niczego nie zobowiązuje. - Tym razem ona westchnęła. - Jedyne problem w tym, że poumawiałam się już na ten weekend i nie jestem pewna, czy uda mi się to jakoś odkręcić. Musiałabyś mi dać trochę czasu.

- Dobrze.

Znowu zapadło milczenie.

243

- Co się stało? Dlaczego nic nie mówisz? - spytała Christine. Melissa jeszcze mocniej zacisnęła dłoń na słuchawce.

- Christine? Czy mogę cię o coś spytać?

- Oczywiście.

- Ty chyba nie masz męża, prawda?

- No cóż... jak by to powiedzieć... Formalnie biorąc, nadal go mam. Proces rozwodowy jeszcze się nie skończył.

- Rozumiem...

- Nic nie rozumiesz. To jest bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Daj mi trochę czasu. Postaram się o jakiś wolny wieczór podczas tego weekendu. Usiądziemy sobie, pogadamy. .. To nie są sprawy na telefon. Zgoda?

Kiedy Melissa odłożyła słuchawkę, poczuła się jakoś dziwnie. Było to niesamowite doznanie, przypominające stan nieważkości. Stojąc jakby z boku, obserwowała, jak w /zdyscyplinowany, rutynowy sposób jej powłoka cielesna przystępuje do wykonywania biurowych czynności: wstaje, zabiera poprawione scenopisy i zanoszą je do gabinetu Rogera.

- Uważam, że ta korekta bardzo się przydała - słyszała swój głos. - Ktoś musi to jutro pokazać kociarzom i uzyskać od nich ostateczną akceptację.

- Świetnie. Któremu reżyserowi to powierzymy? Masz jakieś sugestie?

Melissa usiadła i zaczęła omawiać z Rogerem plan produkcji reklamówek, wsłuchując się w ten sam, przyspieszony i niespokojny, rytm serca, które ciągle jeszcze nie mogło się uspokoić.

Will próbował przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek w życiu czuł się aż tak zrozpaczony. Kiedy zobaczył, jak Alex McCalley bierze Libby Winslow w ramiona, a ona, oderwana nagle od ziemi, macha nogami nad chodnikiem, poczuł się tak, jakby podcięto mu skrzydła. Widział... i starał się nie widzieć, aż wreszcie, pragnąc uciec jak najdalej od tego nieszczęsnego miejsca, zaczął się rozpaczliwie przedzierać przez strumień pojazdów na drugą stronę Centre Street. Zależało mu na tym, by Alex nie

spostrzegł, że był on świadkiem jego zażyłości z Libby. Wszystko, tylko nie to.

Wiedział dobrze, że McCalley po prostu nie może na niego patrzeć. Od pierwszego dnia pobytu w sądzie nic tu się nie zmieniło. Will skłonny był winić za to sposób, w jaki się ubierał, lub jakieś inne zewnętrzne atrybuty bogactwa - coś, co prowokowało Alexa do ostrej rywalizacji. Rzeczywiście, bardzo się od siebie różnili. Wysoki, przystojny, atletycznie zbudowany mężczyzna, który zdecydował się żyć z pracy własnych rąk, odnawiając stare domy, i znacznie od niego niższy, nie wyróżniający się urodą ani aparycją okularnik, zarabiający krocie na Wall Street.

Nieważne z jakich powodów, Alex serdecznie go nie znosił. I niewątpliwie interesował się Libby, jak widać, z wzajemnością. Trudno było się temu dziwić. Ta kobieta dobrze zarabiała i na niczyich pieniądzach jej nie zależało; miała świetną prezencję i na pewno pociągał ją taki przystojny mężczyzna, jak Alex. A poza tym oboje byli samotni, podczas gdy on, Will, mógł się wydać Libby zwykłym natrętem, podejrzanym typem z Wall Street, który obnosi się po sądzie ze swoimi drogimi garniturami i zawraca jej głowę opowieściami o tym, jak dzielnie stara się wyrzucić z własnego mieszkania byłą dziewczynę. No... może niezupełnie tak, ale czy w tej sytuacji ma to jakieś znaczenie?

Przecież widać gołym okiem, że odpadł w przedbiegach. Nie dane mu było nawet spróbować.

Ale najgorsze i tak już się stało - choć wydawało się to szalone i pozbawione sensu, był coraz bardziej pewien, że po prostu zakochał się w Libby. A może w kobiecie, która napisała te książki?

Czy jest to jedna i ta sama osoba? Niestety. Wszystko wskazywało na to, że już nigdy się tego nie dowie.

19.

Wtorkowa sesja poranna upłynęła pod znakiem nudy. Dzięki Bogu, zaoszczędzono im kolejnej porcji mocnych wrażeń. Składanie zeznań przez dwóch świadków - właściciela nocnego klubu i kierowcy, który w momencie gdy padły strzały, znalazł się przypadkiem na miejscu zajścia, przebiegło bez żadnych incydentów. Przerwa na lunch trwała tylko czterdzieści minut, a po południu wezwano następnych świadków. Obaj byli funkcjonariuszami policji. Pierwszy z nich opowiedział ó rozmowie telefonicznej, którą odbył z oskarżonym, kiedy ten zadzwonił na komisariat kwadrans po drugiej, składając doniesienie, że jakiś czas temu ukradziono mu samochód.

- Od momentu oddania strzałów upłynęło wówczas dobre trzynaście, czternaście minut, prawda? - spytał MacDonald.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - zaproponował Geiggen. - Świadek nie został wezwany po to, by mówić o strzałach, które padły poza rejonem operacyjnym jego komisariatu.

- Sprzeciw jest zasadny.

- Jeśli tak, to nie mam więcej pytań - skapitulował MacDonald.

- Czy mając na uwadze dobro sprawy, świadek zechciałby dokładnie zapoznać sędziów przysięgłych z tym, co oskarżony mówił wówczas przez telefon? - zaczął Geiggen.

- Opowiadał o tym, że szukał swego samochodu. Obszedł całą okolicę i w końcu zrezygnował, widząc, że nigdzie go nie ma.

- Co pan na to powiedział?

- Spytałem go, dlaczego nie pamięta, w którym miejscu zaparkował wóz.

246

- Dlaczego pan zadał mu to pytanie?

- Dlatego, że mówił w taki niezborny sposób. Tak jakby był pijany albo po zażyciu jakichś środków. Sprawiał wrażenie, że nie pamięta po prostu, gdzie zaparkował.

- A więc odniósł pan wrażenie, że jest pijany lub też znajduje się pod wpływem narkotyków - powtórzył Geiggen.

- Tak jest.

- A więc, jak rozumiem, oskarżony nie zrobił na panu wrażenia człowieka, który przed chwilą przeprowadził precyzyjnie zaplanowany zamach, w wyniku którego zginął człowiek?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - powiedział MacDonald. - Nie ma dowodów na to, że był to precyzyjnie zaplanowany zamach.

- Sprzeciw jest zasadny - zawyrokowała sędzina.

- A więc sformułujmy to pytanie inaczej - ciągnął nie zrażony- Geiggen. - Czy oskarżony sprawiał wrażenie osoby zdolnej do sprawnego wyprawiania karkołomnych sztuczek za kierownicą, wymagających refleksu i synchronizacji ruchowej ęo do ułamka sekundy?

- Nie - odparł krótko policjant.

- O to właśnie mi chodziło - zwrócił się do ławy przysięgłych Geiggen. - Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

% Następnym świadkiem był inspektor Joseph Cleary, który za kwadrans piąta nad ranem aresztował oskarżonego w mieszkaniu przy Park Avenue 912. Aresztowany nie stawiał oporu. Był potulny, niemal zrezygnowany - jak to ujął Cleary - „zupełnie jakby spodziewał się, że przyjdzie po niego policja.”

- Inspektorze, czy został pan zawiadomiony o tym, że oskarżony telefonował uprzednio na policję, donosząc o kradzieży swego samochodu?

- Tak.

- Czy starał się pan zweryfikować tę informację?

- Owszem. Sprawdziliśmy wykaz rozmów przeprowadzonych z mieszkania przy Park Avenue. Oskarżony twierdził bowiem, że stamtąd właśnie dzwonił na komisariat.

- I co udało się wam ustalić?

- Ustalono, że do czwartej czterdzieści siedem, kiedy oskar-

## 247

żony, po przedstawieniu mu nakazu aresztowania, zadzwonił do swojego adwokata, z mieszkania, o którym mowa, nie prowadzono tej nocy żadnych rozmów.

Gdy przyszła kolej na pytania obrony, Geiggen natychmiast powrócił do tego, w jakim stanie znajdował się wówczas jego klient.

- Proszę opisać dokładnie, jak zachowywał się i jak wyglądał.

- Był bardzo rozkojarzony. Odurzony i mało przytomny. Trzeba mu było powtarzać każdą rzecz po cztery, pięć razy, zanim to do niego dotarło.

- Czy na podstawie własnych doświadczeń, inspektorze, skłonny jest pan sądzić, że oskarżony znajdował się pod wpływem narkotyków lub alkoholu?

- Sprzeciw! Świadek nie jest lekarzem ani ekspertem od toksykologii - zaproponował MacDonald.

- Wysoki Sądzie! Jeśli doświadczony pracownik nowojorskiej policji nie posiada wiedzy na temat ludzi odurzających się alkoholem lub narkotykami, to kto taką wiedzę posiada?

Sala zareagowała śmiechem.

- Sprzeciw jest zasadny - orzekła pani Williams.

- Inspektorze, czy zważywszy na stan, w jakim znajdował się oskarżony, był on, pana zdaniem, zdolny do tego, by wykonywać tamtej nocy skomplikowane manewry za kierownicą?

- Nie wiem - odpowiedział krótko policjant.

- Nie wie pan? Czy raczej nie chce pan podzielić się z nami swoją opinią?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Obrona próbuje wymusić na świadku określoną odpowiedź.

- Uznaję zasadność sprzeciwu. Panie Geiggen...

- Nie mam już więcej pytań, Wysoki Sądzie - skapitulował obrońca.

- Czy oskarżenie zamierza zadać świadkowi jakieś dodatkowe pytania? - zwróciła się do MacDonalda pani sędzia Williams.

- Tak jest, Wysoki Sądzie - oświadczył MacDonald, wstając z krzesła. - Inspektorze Cleary, zeznał pan przed chwilą, że

248

oskarżony, dowiedziawszy się, iż jest aresztowany, powiadomił o tym telefonicznie swojego adwokata.

- Tak.

- Dzwonił z własnego mieszkania?

- Tak.

- Czy musiał najpierw odszukać numer telefonu tego prawnika?

Policjant zastanawiał się przez chwilę.

- Nie. Podniósł słuchawkę i natychmiast wybrał numer.

- A więc... by to jakoś zreasumować... Oskarżony wydawał się rozkojarzony i zamroczony. Jego wygląd i zachowanie uzasadniały podejrzenie, iż znajduje się on pod wpływem alkoholu lub narkotyków. Mimo to kiedy okazało się, że ma zadzwonić do adwokata, chwycił po prostu za słuchawkę i bez chwili wahania wybrał skomplikowany, wielocyfrowy numer. Czy tak właśnie było?

- Dokładnie tak - przytaknął policjant.

- Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie - zakończył MacDonald.

- Poproszę kieliszek chardonnay i największą szklanę wo-dyjaką uda się pani znaleźć - zwróciła się do kelnerki Libby.

- Dla mnie szkocką i mineralną - złożył zamówienie Alex.

- Aha... i następną co do wielkości szklanę, jaką tu macie.

- O Boże - westchnęła Libby, pocierając dłońmi twarz. - Jestem kompletnie wykończona. Raz porcja makabry, raz ogłupiająca nuda. Nigdy w życiu w czymś takim nie uczestniczyłam.

- No to... jak to mówią w moim fachu: zdrowie na budowie!

- próbował żartować Alex. - Sam ten budynek jest ponury. A w dodatku nie ma tam powietrza.

- Beznadziejna, tragiczna historia - ciągnęła dalej Libby, jakby go nie słysząc. - Żadnych szans na happy end. Może się to skończyć tak lub inaczej, ale co z tego? Dwudziestosześcioletnia kobieta postradała życie i jej rodzina musi żyć w poczuciu, że w tej śmierci było coś absurdalnego. A co z żoną i dziećmi Lay-ona? Jak będą umieli pogodzić się z faktem, że mąż czy też

ojciec okazał się wiarołomnym, parszywym ćpunem, a kto wie, może i mordercą?

Alex przycisnął palec do ust.

- Wystarczy, Libby. Przestań się zadreczać. Chcesz, żeby cię ta sprawa nerwowo wykończyła?

- Właściwie masz rację, ale... Jeśli dziś w nocy znów przyśni mi się proces...

- Słuchaj, przestańmy wreszcie sobie tym głowę zawracać - przerwał jej Alex. - Chciałbym porozmawiać o tobie.

- O mnie?

- Tak - stwierdził. - O tym, że jesteś taka piękna.

- Jak się masz, Melisso - od biurka powitał ją szczebiotliwy głos Bonnie. - Przyszedł w samą porę. Roger wrócił właśnie od kociarzy i chce się z tobą zobaczyć.

- Świetnie - odparła, wieszając płaszcz.

- Było do ciebie sto tysięcy telefonów - ciągnęła dalej sekretarka.

- A ile naprawdę ważnych?

- Jeden. Ale niestety, możesz nie być nim zachwycona. Zdaje się, że Christine Harrington oczekuje, iż będziesz pracowała podczas weekendu.

Melissa wolno podeszła do biurka i położyła na nim przyniesioną z domu aktówkę.

- A to niby dlaczego? Co takiego mówiła?

- Pytała o twój rozkład zajęć, a kiedy powiedziałam jej, że lecisz do Los Angeles, zdziwiła się i bąknęła, że chyba jednak zostajesz. W każdym razie prosiła, żebyś zadzwoniła do niej w sprawie tego weekendu.

Will nie zamierzał ich śledzić, ale gdy zobaczył, że poszli w kierunku centrum, tą samą drogą, którą miał się udać do swojego biura, ruszył za nimi jak automat. Po kilku krokach wpadł w jakiś rodzaj emocjonalnego stuporu: szedł, wpatrywał się w idącą przed nim parę i obsesyjnie zadreczał się tymi samymi myślami.



Alex McCalley z pewnością nie potrafi docenić Libby i nie patrzy na nią z takim podziwem, jak on. Ale cóż z tego? To nie Will ją teraz ma, ale tamten. Tacy McCal-leyowie zawsze potrafili zdobywać kobiety. Widać mają w sobie coś, co je zniewala. A nasza kultura zdaje się wprost nakazywać kobietom, by ulegały takiemu właśnie typowi mężczyzn.

Czuł się okropnie. Bliski był tego, by wrócić do domu. Do Betsy.

Po obiedzie, gdy dzieci zasiadły przed telewizorem nastawionym na kanał nadający filmy Disneya, Jill przycupnęła przy stole w kuchni, by jeszcze raz przeczytać list, który wręczyła jej Kath-ryn Schnagel.

*Droga Sissy!*

*Bardzo żałuję tego, co się stało. Była to moja wina. Wiedziałem, jak bardzo jesteś samotna. I wiedziałem, jak bardzo ja jestem samotny. Lecz mimo to przyszedłem do ciebie następnego dnia. nie mając wątpliwości, po co to robię.*

*Zupełnie nie wiem, jakich słów użyć, abyś mi uwierzyła, jak bardzo cię szanuję i cenię. Nie tylko jako osobę mi bliską, człon-kd rędziny, ale również za to, że jesteś taka, jaka jesteś.*

*Mówiąc o rodzinie, mam na myśli naszą rodzinę-Jill i moją. Kocham Jill i kocham moje dzieci, choć jest to inny rodzaj miłości, gdyż osoby najbliższe darzy się miłością, nie stawiając żadnych warunków, za to jedynie, że istnieją. Choć czasem myślę, że ciebie również w ten sposób kochałem.*

*Jill jest mi tak bliska i tak ze mną związana, że gdybym pozwolił sobie jeszcze raz na fizyczne zbliżenie z tobą, czułbym się jak ktoś, kto świadomie odcina jakąś część siebie i bezpowrotnie niszczy to, na czym mu najbardziej w życiu zależy. W moim przypadku byłaby to rodzina. A ty również do niej należysz.*

*Rozumiesz, jakie to trudne? Jakże mógłbym kochać cię i cieszyć się, że jesteś taka piękna, serdeczna i dobra, wiedząc o tym, że jedyną rzeczą, jaką należy zrobić właśnie w imię miłości, to opamiętać się i natychmiast z tego wycofać? Ale jak to zrobić?*

251

*Jakich słów użyć, by nasze wzajemne realacje znowu były takie jak wtedy, gdy t o się jeszcze nie stało? Próbuję ci więc tłumaczyć, że jesteś jedną z najbliższych mi osób, nadzwyczaj cię szanuję - ale jednocześnie muszę być uczciwy wobec mojej rodziny, która jest dla mnie wszystkim.*

*Powiedziałas mi, że nadal kocham Jill i że nigdy nie przestanę jej kochać. Myślę, że to prawda. A jednocześnie pewien jestem, że Jill mogłaby ci wiele opowiedzieć o tym, ile przeżyła rozczarowań i frustracji, będąc tak długo zamężną. Nuda, znużenie codziennością, żal, że nie jest już tak jak na początku, zwątpienie, czy aby dokonano się właściwego wyboru - to wszystko nie zostało jej oszczędzone. Ona również mogła sobie w międzyczasie pozwolić na jakąś niewierność. Wcale tego nie wykluczam. W naszym miasteczku jest dostatecznie wielu mężczyzn, którzy daliby wszystko by móc się z nią kochać.*

*Ale to nie należy do rzeczy. Ważne jest jedynie, abylirozumia-lajak bardzo żałuje tego, co zrobiłem. Mam nadzieję i modłę się*

*o to, abyś potrafiła mi wybaczyć i kochać nadal swą siostrę i swych siostrzeńców tak samo mocno, jak oni cię kochają. I tak, jak ja cię kocham. Jeżeli uważasz, że musisz opowiedzieć Jill o mojej niewierności, to trudno. Rozumiem, że chciałabyś być lojalna wobec siostry. Błagam cię jednak, abyś powiedziała jej wówczas, że zrobiłem to z kimkolwiek innym, byle nie z tobą. Na przykład z dziewczyną, z którą mieszkasz. Gdyby Jill dowiedziała się, że chodziło o ciebie, to pękłoby jej serce. Jesteś jej najukochańszą siostrą i dobrze byłoby, gdybyś nadal nią pozostała.*

*Rusty*

*Nie wiedziała, co o tym sądzić. Po prostu nie wiedziała.*

*Rusty w każdym calu! Niby wrażliwy, uczuciowy, usta pełne frazesów o miłości, a jednocześnie posługujący się jakąś pokrętną logiką. Błaga, przeprosza, ochoczo bierze winę na siebie, po czym w następnym wierszu instruuje Sissy, aby nie mówiła nic jego żonie, zaś w przypadku, gdyby to jednak zrobiła, namawia ją do kłamstewka, zgadzając się być męczennikiem, byleby tylko siostrzyczki nadal się kochały.*

252

Och, ten Rusty!

Gdyby mogła jakoś się dowiedzieć, jak to naprawdę było. Zabrała wtedy ze sobą dzieci na Florydę. Chyba po miesiącu Rusty ją tam odwiedził, ale znajdowała się wówczas w takim stanie, że nie pozwoliła mu się nawet dotknąć. A potem parę kieliszków wypitych w towarzystwie pięknej Sissy i przez cały następny dzień ta sama natrętna myśl: co by się takiego stało, gdyby tak wpaść do niej jeszcze raz? No właśnie, ale po co? Żeby się rozerwać? Trochę poflirtować? Poczuć się atrakcyjnym i chcianym? A potem... jeden, drugi kieliszek i... trach! Sissy nagle zachciewa się seksu i oczywiście nie ma oporów... a po upływie dwudziestu minut Rusty zmyka do domu, dręczony od początku wyrzutami sumienia, by zjawić się u Sissy jeszcze raz, tym razem z listem w ręku i okropnym poczuciem winy. A najgorsze w tym wszystkim było to, że Sissy musiała wówczas patrzeć na niego jak na kompletnego idiotę. Jill potrafiła świetnie sobie tę scenę wyobrazić. Znała swoją siostrę na tyle dobrze, by mieć pewność, że cała ta historia z Rustym była dla niej czymś zupełnie nieistotnym. Błahostka, zwykły akt fizyczny, pozbawiony jakiegokolwiek głębszego znaczenia. Może głupio wyszło, ale to nie powód, by tego żałować - raczej okazja, by ó tjsm jak najszybciej zapomnieć.

Zadzwoniła do Howarda Johnsona i powiedziała mężowi, żeby wracał do domu.

20.

W środę rano Libby wtaszczyła swoją walizkę do pokoju przysięgłych i wcale się nie zdziwiła, ujrawszy rząd walizek, które inni zdążyli już poustawiać pod wieszakiem. Perspektywa jutrzejszego święta znacznie poprawiła nastrój, wszyscy byli ożywieni i niezwykle gadatliwi. Pani Smythe-Daniels wybierała się na cały weekend do jednego ze swych synów; Elena wydawała świąteczny obiad dla bliższej i dalszej rodziny; siostrzeńcy Debrilli przybyli wczoraj z Frankfurtu i miała z nimi teraz jechać na jakiś zjazd rodzinny do Filadelfii; Dayton wybierał się do babci mieszkającej w Bronksie; Basia do córki w New Jersey; Bridget urządziła święta w domu, a jej mąż miał pojechać do Bostonu i przywieźć stamtąd swoją matkę; Alex zamierzał udać się do Binhamton; Clay wraz z żoną po raz pierwszy spędzić mieli święta sami, a nie u matki; małolat Ronnie jechał do rodziców na Long Island; no i wreszcie przynajmniej dwie osoby leciały gdzieś daleko samolotami: Libby do Ohio, a Will do Chicago.

Jedynie programista Stephen nie powiedział nikomu, co zamierza robić w czasie świąt. Siedział z boku, ze wzrokiem utkwionym w gazetę, udając, że zupełnie nie interesuje go to, o czym mówią inni. Elena kilka razy spoglądała na niego badawczo, aż wreszcie spytała:

- Stephen, gdzie ti się wibierasz na święta?

- Słucham? - spytał, odrywając wzrok od gazety. - Być może pójde do przyjaciela. Nie jestem jeszcze pewien.

- Możesz się wibrać do nas - zaprosiła go Elena. - Mami masę pizznego jedzenia: indyka, fasolę z rżem, befsztiki i różne inne przismaki.

Wszyscy w tym momencie zamilkli, zdumieni gościnnością Eleny, która potrafiła tak serdecznie zaprosić kogoś, kto wydał jej się samotny, choć dotąd - byli przecież tego świadkami - nie zamieniła z nim ani jednego słowa.

Zaskoczyło ich także to, że twarz i szyja Stephena zrobiły się nagle purpurowe.

- To miło z twojej strony, ale nie będę mógł skorzystać. - Uśmiechnął się i dodał: - Bardzo ci dziękuję za zaproszenie.

Kiedy ludzie zaczęli znowu ze sobą rozmawiać, Libby przesunęła się w stronę Stephena i powiedziała:

- Melissa i ja wybieramy się dziś razem na lunch. Może byś się do nas przyłączył? - Widząc, że Stephen się waha, dodała:

- Naprawdę cię serdecznie zapraszam.

Przez chwilę unikał jej wzroku, ale wreszcie na nią spojrział.

- Słuchaj, ja... - Urwał w pół zdania, wzruszył ramionami i uśmiechnął się. - Dobrze. Chętnie się do was przyłączę.

Dziękuję ci.

Jill spojrzała na zegarek. Za pięć dziesiąta. Sala sądowa, jak zwykle o tej porze, była już pełna. Kiedy przed chwilą do niej wchodziła, udała się jak zwykle prosto na swoje miejsce i usiadła, nikomu się po drodze nie przyglądając.

Utkwiwszy wzrok w ławę przysięgłych, mogła spokojnie myśleć o tym, co ją trapiło.

Rusty znowu zamieszkał w domu. Mówiąc Szczerze, ten jego powrót przyjęła z ulgą. Tym bardziej że sam zaproponował wczoraj, iż może będzie dla niej wygodniej, jeśli położy się spać w pokoiku gościnnym.

- Chciałabym jakoś przebrnąć przez te święta - powiedziała mu, westchnąwszy ciężko. - Ze względu na dzieci - dodała zaraz. - A potem doczekać do końca procesu. Wówczas będziemy musieli załatwić własne sprawy.

- Może byłoby dobrze, gdybyśmy poszli z tym do kogoś

- rzekł Rusty, przysiadając na skraju jej łóżka. Tej nocy przezornie ubrał się w spodnie i bluzę od pidżamy.

Poczuła na plecach dreszcz. Przestraszyła się nagle.

- Po co?

255

- Po to, żeby wyrzucić z siebie wszystko, co nam leży na sercu.

- Nam? Masz coś więcej do powiedzenia niż to, co napisałeś w liście?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie.

- No to o czym mielibyśmy rozmawiać w obecności kogoś obcego?

- Są sprawy, które należałoby wyjaśnić. Teraz ona pokręciła głową.

- Nie bardzo wierzę w szczerą twych intencji, Rusty. Wątpię, czy w ogóle chciałbyś pójść do jakiegoś psychologa czy kogoś w tym rodzaju. Liczysz na to, że wszystko przyschnie i proponujesz mi wizytę u specjalisty dlatego, że nadal czujesz się winny i przestraszony.

Spojrzał na nią. Był chyba trochę zmieszany, ale-sprawiał wrażenie znacznie pewniejszego siebie, niż skłonna była oczekiwać.

- Naprawdę wiele rzeczy powinniśmy sobie wyjaśnić, Jill. Tu nie chodzi tylko o to, co się ostatnio stało.

Tym razem już na serio się przestraszyła. Może on naprawdę chce od niej odejść? Sytuacja uległa nagle diametralnemu odwróceniu. Nie tak dawno wyrzuciła go z domu i zastanawiała się jedynie nad tym, czy i na jakich warunkach pozwoli mu wrócić. Do głowy jej nie przyszło, że może on wcale nie chce do niej wracać. A jeśli naprawdę dość ma takiego życia i zamierza odejść?

- Co takiego powinniśmy sobie wyjaśnić?

- Na przykład, dlaczego nigdy nie interesujesz się tym, co robię - odparł Rusty, zniżając głos. - Dlaczego wydają ci się taki nudny? Dlaczego czuję się tak, jakbym był sprzętem w tym domu. Dodatkowo do dzieci... To wszystko wymaga wyjaśnienia.

Rozległo się sakramentalne: „proszę wstać, Sąd idzie” - i pani sędzia Williams zajęła miejsce w swej ławie. Kathryn Schnagel tłumaczyła przedtem Jill, że w sprawie karnej sędzia ma ogromny wpływ na werdykt ławy przysięgłych. Ci ostatni są w końcu

laikami i sędzia winien być dla nich przewodnikiem, który ma chronić ich, aby nie zagubili się w powodzi prawniczego słowo-toku, nie dali się zwieść kruczkom prawnym i wybiegom stron i potrafili skutecznie spełnić swoją misję: wychwycić to, co stanowi istotny materiał dowodowy i spierać się między sobą tak długo, aż uda im się jednogłośnie orzec o winie lub też niewinności oskarżonego.

Pani sędzia Williams zdołała zaskarbić sobie sympatię Jill. Kathryn miała najwidoczniej rację, zapewniając, że poprzednie sprawy prowadziła ona bardzo obiektywnie, dbając o przestrzeganie dyscypliny i dobrych manier. Tego ranka w sądzie działo się coś ważnego. Oskarżyciel natychmiast po oficjalnym otwarciu sesji wystąpił z wnioskiem o zmianę wydanego poprzednio orzeczenia, które nie zezwalało na to, aby pewne zebrane w śledztwie dowody mogły być przedstawione w trakcie przewodu sądowego.

Och, a więc o to chodzi, pomyślała Jill, czując, jak ściska ją w żołądku ze zdenerwowania.

Wkrótce po wszczęciu śledztwa, już ponad rok temu, Geiggen złożył wniosek o wykluczenie z materiału dowodowego jakiegoś przedmiotu, który został skonfiskowany przez policję bez nakazu rewizji. Z formalnego punktu widzenia miał rację, choć zarówno zdrowy rozsądek, jak i poczucie słuszności buntowały się przeciw takiemu postępowaniu. Wszystkiemu zawinił bowiem zwykły bałagan: policja dysponowała nakazem, na podstawie którego miała prawo przeszukać mieszkanie przy Park Avenue 912. W nim właśnie aresztowano podejrzanego. Ktoś nie dopatrzył natomiast, że dokładnie tuż obok, drzwi w drzwi, znajdował się drugi, oficjalnie osobny lokal, również należący do korporacji rodzinnej Laytonów. Tam policja znalazła jakiś przedmiot mogący stanowić dowód lub przynajmniej ważną poszlakę, wskazującą na powiązania Laytona z bezpośrednim zabójcą Sissy Cook.

Były także jakieś kłopoty z uznaniem legalności dowodów znalezionych w samochodzie marki Jaguar. Na kierownicy wozu odkryto odciski palców nie należące do oskarżonego, co mogło przemawiać za tym, że jego wóz rzeczywiście został skradziony.

Poza odciskami palców był jeszcze inny dowód, który udało się obronie skutecznie oprotestować.

Geiggen podbudował swój wniosek (trzysta stron maszynopisu) opiniami wszelkich możliwych autorytetów w dziedzinie prawa procesowego i w rezultacie sąd orzekł, że wszelkie dowody rzeczowe, znalezione zarówno w owym drugim mieszkaniu, jak i w samochodzie, nie mogą być włączone do materiału dowodowego. (Wyjątek stanowiły jedynie odciski palców na kierownicy, przeciw czemu obrona oczywiście nie protestowała.) Znaczyło to dokładnie tyle, że pewne znane policji i prokuraturze poszlaki, wskazujące na udział Laytona w zabójstwie, nigdy nie zostaną przedstawione ławie przysięgłych.

Starania oskarżyciela, by niektóre przynajmniej z tych dowodów zostały teraz zaprezentowane, spełzły oczywiście na niczym. MacDonald nie był w stanie przedstawić żadnych nowych argumentów, w związku z czym pani sędzia Williams zmuszona była jego wniosek oddalić.

Jill rozprostowała nogi i sięgnęła do kieszeni blezera po chusteczkę. Tego dnia wiele jeszcze rzeczy mogło sprowokować ją do płaczu. Sędziowie przysięgli nie powinni się zorientować, że płacze nie tylko z żalu, lecz czasem również z poczucia bezradności.

- Oskarżenie wzywa na świadka Carla Wilginsa - obwieścił MacDonald, gdy wreszcie za dwadzieścia jedenasta wprowadzono na salę przysięgłych. Libby, przyglądając się twarzom ludzi na widowni, od razu się zorientowała, że pod nieobecność przysięgłych musiano dyskutować o czymś nadzwyczaj ważnym. Wszyscy byli spięci i zdenerwowani. Siostra ofiary, Jill Cook Tompkins, pośpiesznie chowała chusteczkę, którą przed chwilą widocznie ocierała łzy. Libby po raz któryś z rzędu dokładnie obejrzała twarze innych siedzących na galerii kobiet. Od dawna intrygowało ją, czy jest wśród nich żona oskarżonego. Jeśli nawet tam była, to Libby i tak za nic w świecie nie potrafiła jej rozpoznać.

Carl Wilgins okazał się barmanem, zatrudnionym w jakimś podejrzanym lokalu o idiotycznej nazwie „Bar Sportowców”.



Z tego, co na wstępie powiedział, wynikało, że oskarżony dość regularnie odwiedzał ten właśnie bar.

- Panie Wilgins, będzie pan łaskaw poinformować ławę przysięgłych, czy oskarżony mówił coś panu o Sissy Cook?

- A jakże! Gadał o niej bez przerwy. Przynosił mi zwykle jakieś pisma albo foldery z jej zdjęciami. Różne takie.

- I co o niej mówił?

- Eee... Takie tam rzeczy... Że ona jest jego dziewczyną... i różne prywatne szczegóły.

- Czy mógłby pan to jakoś sprecyzować?

- No, wie pan... - zaczął barman, wyraźnie zażenowany tym, czego się tu od niego wymaga. - Mówił, jaka jest w łóżku i tak dalej...

- Czy te jego... opisy były bardzo obrazowe?

- Tak, tak. Jak najbardziej - przytaknął barman.

- I co jeszcze takiego mówił?

- Mówił o jakimś pieprzyku, czy czymś takim, który miała niby mieć... no wie pan... na pewnej części ciała.

MacDonald odwrócił się w tym momencie i powiódł wzrokiem po ławie przysięgłych. Gdyby tylko mógł, to powiedziałby zapewne: „Zapamiętajcie to sobie dobrze. Perwersyjny erotoman żdojny jest do wszystkiego.”

Na oskarżonym zdawało się to nie robić jednak żadnego wrażenia. Siedział nadal absolutnie spokojny, jakby to, co się dzieje na salj, w ogóle go nie dotyczyło.

Natomiast siostra ofiary, co natychmiast zauważyła Libby, zaczęła płakać. Tym razem wyglądała tak, jakby ją coś mocno rozgniewało.

- Czy oskarżony opowiadał panu to wszystko tak spokojnie, rzeczowo?

- Spokojnie? A gdzie tam! Okropnie go to rajcowało. Jak młodego chłopaka, który się napala na... - przerwał i spojrzął z przestachem na sędzinę. - Przepraszam, Wysoki Sądzie.

- Może pan mówić dalej, panie Wilgins.

- Hm - odchrząknął świadek, zwracając się ponownie do MacDonalda. - Normalnie to on się nie zachowywał.

Myślałem

nawet, czy nie jest przypadkiem ciotą, mimo tych jego opowieści. Często w ogóle nie można się było z nim dogadać. Po mojemu, to stale był na jakichś środkach.

MacDonald spojrział przez ramię w kierunku stolika obrony. Spodziewał się, że Geiggen zgłosi w tym momencie sprzeciw. obrońca nie wykonał jednak żadnego ruchu. Siedział i uważnie się przysłuchiwał zeznaniom.

- Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie - oświadczył oskarżyciel.

Geiggen natychmiast przystąpił do akcji.

- Panie Wilgins, czy jako doświadczony barman uważa pan za możliwe, by Jim Layton był alkoholikiem?

Świadek tym razem przez dobrą minutę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Co to, to nie. Znaczący... wypił czasem parę piw. Ale że zażywał coś innego, to jestem na sto procent pewien. Inaczej by się tak dziwacznie nie zachowywał.

- A więc pana zdaniem Jim Layton miał raczej problemy z narkotykami?

- Problemy? Jakie problemy? Ćpał i tyle. Widać to było gołym okiem.

Geiggenowi takie postawienie sprawy najwyraźniej odpowiadało. Formułując odpowiednio pytania, rozwijał teorię barmana. Layton jawił się w relacjach świadka jako nieudacznik z bogatej rodziny, samotny i zagubiony w świecie, uzależniony co prawda od narkotyków, popijający czasem, lecz nigdy nie agresywny, skłonny natomiast wydawać masę pieniędzy tylko po to, aby przypadkowi znajomi - tacy jak Carl Wilgins - choć przez chwilę go tolerowali.

Pojawienie się kolejnego świadka oskarżenia wywołało spore poruszenie na sali. Helena Danchione, właścicielka agencji, która odkryła Sissy Cook i zatrudniła ją u siebie jako modelkę, była starszą panią w wieku około siedemdziesięciu lat, ubraną w czarną suknię i czarny kapelusz.

MacDonald poświęcił sporo czasu, by pani Helena mogła przedstawić przysięgłym Sissy Cook w możliwie najlepszym

## 260

światle. To prawda, że jej protegowana na początku swej kariery była uzależniona od kokainy i cierpiała na anoreksję. Potrafiła jednak skutecznie się uporać z tymi problemami, a następnie, korzystając z własnych doświadczeń, opiekowała się młodszymi koleżankami. Umiała rozpoznać, na co cierpią, oraz przekonać je, by szukały pomocy u specjalistów. Pod względem profesjonalnym mało kto mógł się z nią równać: była nie tylko piękna, ale również nadzwyczaj odpowiedzialna, punktualna i pracowita. Rzadko występowała w telewizji, co dobrze świadczyło o jej autokrytycyzmie, wiedziała bowiem, że jest bardziej fotogeniczna w ujęciach statycznych. Zupełnie nie miała w sobie nic z aktorki. Była naturalna, otwarta, pełna radości życia i nadzwyczaj serdeczna wobec ludzi.

Jak kształtowały się jej zarobki? W ciągu ostatniego roku pracy, zanim została zamordowana, agencja przelała na jej konto prawie siedemset tysięcy dolarów. Pani Helena wiedziała, że Sissy regularnie wysyła pieniądze rodzicom na Florydę, a prócz tego łożyła chojnie na cele charytatywne. W roku 1994 przekazała dwadzieścia tysięcy dolarów na oddział kliniczny dla chorych na anoreksję, dziesięć tysięcy na opiekę hospicjalną nad chorymi na AIDS, kolejne dziesięć na fundację sponsorującą badania nad rakiem piersi, i wreszcie datkiem w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów wsparła inicjatywę założenia kliniki psychiatrycznej dla dzieci, które padły ofiarami gwałtów lub były napastowane seksualnie.

Takim akcentem zakończyła się popołudniowa sesja. Przysięgli zostali zwolnieni na lunch.

- Słuchaj, Will - powiedziała Libby, gdy tylko znaleźli się w pokoju przysięgłych. - Melissa i ja przyjmujemy zapisy na zbiorową wycieczkę do jakiegoś baru. Stephen i Alex zgłosili już swój akces. Dlaczego nie miałbyś się do nas przyłączyć?

Dlatego, że oglądanie ciebie z Alexem jest dla mnie torturą, pomyślał Will.

- Nie jestem pewien, czy Stephen byłby tym zachwycony - odparł nieszczerze, szukając jakiegoś pretekstu. -  
Wydaje mi

## 261

się, że od początku ma do mnie i do Alexa jakiś uraz. Nie wiem, dlaczego stara się nas unikać.

- Ależ skąd! On nie ma nic przeciwko twojej obecności. Pytałam go. Chodź z nami!

Po ogłoszeniu przerwy Jill nadal siedziała na swoim miejscu, czekając, aż tłoczący się w drzwiach ludzie opuszczą salę. Gdy podniosła się wreszcie i ruszyła w kierunku wyjścia, zobaczyła Rusty'ego, który stał z tyłu pod ścianą i czekał na nią.

- Co ty tu robisz? - spytała, zatrzymując się przed nim.

- Pomyślałem sobie, że w miarę możliwości będę jednak przychodził do sądu - stwierdził, ujmując ją pod ramię.

Popatrzyła na męża ze zdumieniem, a w chwilę potem poczuła, że po policzkach popłynęły jej łzy. Tak szybko, że nie zdążyła nawet sięgnąć po chusteczkę.

- Jill, kochanie... Przestań, proszę cię - wymamrotał Rusty, obejmując ją ramieniem. Podprowadził ją do najbliższej ławki, usiadł obok i czekał cierpliwie, aż jej przejdzie.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytał strażnik sądowy.

- Nie, dziękuję - odparła, wycierając chusteczką łzy.

- Myślisz, że dałabyś radę coś zjeść? - spytał ją Rusty. - Może chociaż jakąś zupę albo parę kanapek?

- A znajdziemy jakieś miejsce, gdzie4udzie nie będą się na mnie gapić?

- Na pewno znajdziemy. Chodź, kochanie, wyjdziemy stąd.

- I tak muszę odetchnąć świeżym powietrzem - powiedziała, podnosząc się z miejsca. - W tym budynku jest potwornie duszno. Chodź tędy - wskazała dłonią koniec korytarza. - Wsiądziemy do najdalszej windy. Jeżdżą nią na ogół ci, którzy kibicują na innych salach.

Zjechali na parter i Jill poprowadziła męża przez ludzki labirynt do bocznego wyjścia. Byli już niemal przy drzwiach, gdy nagle zobaczyła tuż przed sobą Geiggena, który stał tam z jednym ze swych asystentów. Drgnęła i zamarła na moment.

- Co się stało? - spytał Rusty. Podążył za jej wzrokiem i w chwilę potem poczuła, że i on również spał się. - Aha, to ten

śmierdziel. Muszę z nim zamienić parę słów. - Puścił jej ramię i zanim zdążyła go zatrzymać, oddalił się.

Nie była w stanie usłyszeć, co też Rusty powiedział obrońcy, spostrzegła jedynie, że Geiggen wysunął ręce przed siebie, zaczął trajkotać z prędkością karabinu maszynowego, po czym zerknął nad ramieniem Rusty'ego, a gdy Jill znalazła się już dostatecznie blisko, by go słyszeć, zwrócił się do jej męża:

- No proszę. Oto i ona. Szanowna małżonka. A więc nie jest tak źle. Niech pan zawierzy memu doświadczeniu: sto razy lepiej, gdy podobne rzeczy wychodzą na jaw. - A w chwilę potem, tym razem wprost do Jill: - Czy pani mąż nie rozumie, że to nie ja, tylko on jest odpowiedzialny za to, co się stało?

I wtedy Rusty walnął go tak, że adwokat poleciał do tyłu i uderzył plecami o ścianę. Natychmiast nadbiegli strażnicy, aby obezwładnić napastnika, który pozwolił im uchwycić się za ręce, nie stawiając żadnego oporu.

Geiggenowi leciała z nosa krew, wprost na białą koszulę. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i przytknął ją do twarzy. Jeden z funkcjonariuszy podtrzymał go za ramię i spytał o coś.

- Tak jest! Aresztujcie tego głupiego chama!

- Nie ważcie się tego robić! - rozległ się czyjś ostry głos. Była to małeńka Kathryn Schnagel, która zjawiała się nagle nie wiadomo skąd, rozwścieczona do ostatnich granic. - Jeśli już, to aresztujcie mecenasa, za prowokowanie burd w miejscu publicznym.

- O Chryste! Pani Schnagel! - sarknął Geiggen.

- Prokuratura okręgowa poręczy za tych świadków. ..

- On nie jest żadnym świadkiem! - wrzasnął Geiggen.

- Proszę porozumieć się z MacDonaldem - poleciła funkcjonariuszowi Kathryn, ujmując za ręce dwójkę swych podopiecznych. - Znajdzie go pan w areszcie. - Wyprowadziła Tompkin-sów przed budynek i powiodła ich prosto do samochodu.

- Proszę zawieźć tę parę do Connecticut - poinstruowała kie<sup>^</sup> rowcę. - Po drodze niech się pan zatrzyma i zorganizuje im coś do jedzenia. Dziś mają się tu nie pokazywać. A pani - zwróciła się z kolei do Jill, wepchnąwszy ją na siedzenie - niech pilnuje

meża, żeby już nikogo więcej nie uderzył. Życzę udanych świąt. Zobaczymy się w poniedziałek! - Zatrzasnęła drzwi wozu, pomachała im ręką i najzwyczajniej w świecie zaczęła się śmiać.

Podczas lunchu Libby zwierzyła się Willowi, jak bardzo przeraża ją perspektywa spotkania z wujkiem Gregiem przy świątecznym stole. Zaczął ją więc namawiać, aby powiedziała matce, że jej nowym doradcą inwestycyjnym jest niejaki Will Klein. Mogłaby w ten sposób zrzucić winę za to całe dochodzenie właśnie na niego. Oczywiście jest przecież, że nowy doradca domaga się od niej dokładnych informacji. Tak mu się ten pomysł spodobał, że natychmiast wręczył Libby wizytówkę firmy Connors & Morganstern ze swoim nazwiskiem i funkcją służbową, a na odwrocie zapisał jej numer telefonu rodziców w Chicago.

Gdyby miała jakiegokolwiek kłopoty, niech natychmiast do niego dzwoni. Najlepiej jeśli będzie udawała kompletną idiotkę. Jeśli wuj zacznie snuć jakieś skomplikowane wywody, może mu w każdej chwili powiedzieć: „Poczekaj, ja i tak nic z tego nie rozumiem. Połączę wuja z moim doradcą i wszystko sobie spokojnie wyjaśnię,” A jeśli on się na to nie zgodzi, przynajmniej matka będzie miała okazję zorientować się, że coś tu jest nie w porządku.

Byli tak zajęci rozmową, że zupełnie nie dotarło do nich, o czym mówili w tym czasie inni. Dopiero gdy skończyli, zorientowali się, że przy stole zapanowała nagle głęboka cisza. Po chwili Stephen przeprosił wszystkich i udał się do toalety.

- Opowiadał nam o swoim przyjacielu, który umiera właśnie na AIDS - wyjaśniła Melissa.

- Zdaje się, że to jego kochanek - dodał Alex.

- Niemożliwe - mruknął Will. Choć właściwie. Może dlatego właśnie Stephen odnosił się z taką rezerwą do niego i do Alexa. Zarówno maklerzy z Wall Street, jak i „mocni ludzie” od prac fizycznych nie słynęli z nadmiernej tolerancji wobec gejów.

- Tamten człowiek naprawdę nie ma już żadnych szans? - spytała Libby.

Melissa i Alex przecząco pokręcili głowami.

- No cóż - odezwał się Will. - Wypada skłonić czoło i pomyśleć o rzeczach ostatecznych.
- Tak jest - powiedziała Melissa. - Choćby o tym, ile nam jeszcze lat pozostało. I jak mamy zamiar je przeżyć
- Will patrzył, jak Alex wyciąga rękę i ściska dłoń Libby. A ona mu na to pozwala.
- W drodze powrotnej do sądu Stephen odłączył się od kolegów, by kupić jakiś drobiazg, który mogły ucieszyć jego przyjaciela w szpitalu. Melissa szła obok Willa, a z tyłu za nimi podążali Libby i Alex.
- Ciągle myślę o tym, jakie święta będzie miał ten Stephen.
- No właśnie - westchnął Will. Przeszli w milczeniu kilka kroków.
- Często czujesz się nikomu niepotrzebny? - spytała go.
- Na Wall Street? Bez przerwy tak się czuję.
- Mówię poważnie...
- Ja też. Mogę co najwyżej wypisywać sporo czeków. Na cele charytatywne.
- No właśnie. Tyle to jest warte - mruknęła Melissa.
- Co takiego?
- Te nasze zawody. Zostaje nam akurat tyle czasu wolnego, by wypisać czek.
- Will roześmiał się.
- Daj spokój! Przecież zawsze tak było. Spytaj swoją mamę. Mężczyźni zarabiali pieniądze, a kobiety zajmowały się filantropią.
- Nie wszystkie... Ale przynajmniej rozumiesz, o co mi chodzi.
- Oczywiście. Czasem myślę, że dlatego właśnie ludzie decydują się mieć dzieci. Nie czują się w ten sposób egoistami. Pracują tak samo ciężko jak my i tłumaczą sobie, że poświęcają się dla ich dobra.
- Teraz Melissa się uśmiechnęła.
- Wiesz, co zrobi moja mama, gdy przyjadę na święta? - ciągnął dalej Will. Zabierze mnie, ojca i każdego, kto się u niej

## 265

zjawi, do schroniska dla bezdomnych, gdzie wydaje co roku obiad z okazji Święta Dziękczynienia.

- Naprawdę?

- A jakże. Jest jedną z tych prawdziwych społeczniczek. Wspaniała kobieta.

- Moja mama natomiast załatwi sobie święta u Valducciego - powiedziała Melissa. - Przywiozą wszystko, przyszykują. Nie trzeba nawet palcem kiwnąć. Nienawidzi gotować, podobnie jak wszystkie jej przyjaciółki. A służące mają na ogół wolne. Choć, szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem w czym problem, skoro i tak cierpią na anoreksję. Oczywiście gospodynie, nie służące.

- Serio? Problemy pań domu z Hollywood?

- No... może niezupełnie, ale coś w tym rodzaju. - Uśmiechnęła się do niego. - Dziękuję ci, Will. Pomogłeś mi podjąć wreszcie decyzję. Wiem już, jak mam spędzić te święta.

- To i ty nazywasz mnie już Willem? - zdziwił się?"

- Oczywiście. To imię do ciebie pasuje. - Odwróciła się przez ramię! - Libby? Chciałabym zamienić z tobą kilka słów.

Alex niechętnie przyłączył się do Willa. Szli teraz razem, pozostawiwszy obie kobiety z tyłu za sobą.

- Pamiętasz tę historię, o której ci mówiłam? - spytała Melissa.

- Oczywiście - odparła Libby. Oczy jej zabłyśły. - Chodzi o twego klienta? Co nowego się zdarzyło?

- Zrezygnowałam z wyjazdu do Los Angeles. Umówiłam się z... z nim. W niedzielę wieczorem idziemy razem na kolację.

- To wspaniale! - ucieszyła się Libby.

- Wspaniale? - powtórzyła niepewnie Melissa. - Chyba mi już kompletnie odbiło.

- Dlaczego? Aha, rozumiem... To on jednak jest żonaty?

- Nie. To znaczy... właściwie tak. Twierdzi, że sprawa rozwodowa jest w toku.

- Melisso... Musisz to naprawdę sprawdzić. Na świecie jest pełno facetów, którzy twierdzą, że ich sprawa rozwodowa jest właśnie w toku.

- To nie jest tego rodzaju osoba. Wykluczone.



- Posłuchaj... Sprawdź to koniecznie. Zanim cokolwiek zrobisz. Słyszysz?

Melissa roześmiała się.

- No proszę! Mam wreszcie doradcę od spraw romantycznych i sercowych.

- I dobrze go sobie wybrałaś - odparła ze śmiechem Libby, otaczając ją ramieniem. - Zna się przynajmniej na tym, jak powinna rozwijać się akcja.

- Taak - westchnęła Melissa. - Ale przyjdzie taki moment, że będę musiała z tobą pogadać o obsadzie ról.

Zanim Libby zdążyła spytać ją, co przez to rozumie, Alex odwrócił się i zawołał:

- Zdażyłyście się już nagadać?

Po południu, gdy tylko zasiedli w ławie przysięgłych, Libby usłyszała szept Claya:

- Czy nasz mecenas nie zderzył się przypadkiem z autobusem?

Spojrzała ze zdumieniem na adwokata. Clay nie żartował. Geiggen miał na nosie jakiś usztywniający opatrunek, przyklejony dwoma skrzyżowanymi plastrami. W dodatku występował w koszuli, najwyraźniej pożyczonej od kogoś z urzędników sądowych, i w brązowej, pewnie też pożyczonej od kogoś marynarce, zupełnie nie pasującej do jego granatowych spodni. Nikt nie kwapił się wyjaśnić, dlaczego sławny adwokat, taki dotąd elegancki i wymuskany, wygląda nagle jak podopieczny Armii Zbawienia. Sąd, jakby nigdy nic, wznowił postępowanie. Pani Danchione zaczęła odpowiadać na kolejne pytania MacDonalda. Na wstępie chciał on ustalić, czy Sissy Cook w rozmowach ze świadkiem wymieniła kiedykolwiek nazwisko oskarżonego.

- Oczywiście. Mówiła mi o nim wielokrotnie.

- W jakim kontekście?

- Kontekście? Opowiadała po prostu, że to wariat, wykołajeniec i że się jej naprzykrza.

- Czy byłaby pani łaskawa wyjaśnić ławie przysięgłych, co było powodem takiej opinii o oskarżonym?

Składająca zeznania powiodła wzrokiem po twarzach zasiadających w ławie osób.

- Włóczył się za nią tygodniami. Nie dawał jej spokoju. Doszło do tego, że zmuszona byłam zatrudnić dodatkową ochronę. W siedzibie agencji, a także na sesjach zdjęciowych z udziałem Sissy. Widzicie państwo, kłopot polegał na

tym, że ojciec Laytona był tak wpływową osobistością, iż Sissy nie mogła liczyć na skuteczność interwencji w instytucjach do tego powołanych. Mogłoby ją to co najwyżej narazić na dalsze szykany.

- Z czyjej strony?

- Ze strony policji. No... powiedzmy, pewnych ludzi w niej zatrudnionych, dyspozycyjnych wobec...

- Sprzeciw! - zaprotestował Geiggen. - Wysoki Sądzie, świadek pozwala sobie na czyste spekulacje. Nie mamy żadnych dowodów na poparcie tej tezy.

- Sprzeciw jest zasadny. Prawda, panie MacDonald?

- Tak jest, Wysoki Sądzie. W takim razie... - zwrócił się do świadka oskarżyciel - czy zechciałaby pani wyjaśnić przysięgłym, jak, chronologicznie rzecz biorąc, układały się stosunki pomiędzy Sissy a oskarżonym?

- Znam to jedynie z jej relacji...

- Oczywiście. Tego właśnie chcielibyśmy się dowiedzieć.

- Zaczęło się od tego, że spotkała się z nim po raz pierwszy, po czym udali się razem do jego mieszkania przy Park Avenue. I tam właśnie zdarzyło się coś, co ją tak przeraziło, że potem nie chciała mieć z nim już nic wspólnego. Darzyła mnie zaufaniem i dlatego mi to wszystko opowiedziała.

- Opowiedziała pani, co się tam wydarzyło?

- Tak. Oboje byli seksualnie pobudzeni i gdy przyszedł czas, by wejść do łóżka, Sissy poprosiła go, by nałożył prezerwatywę. Sprzeciwił się, w związku z czym powiedziała mu, że jeśli tego nie zrobi, to koniec sprawy: ona natychmiast wychodzi. Wówczas wpadł w szal, zaczął wrzeszczeć, ubliżać jej, ciskać jakimiś przedmiotami, co ją okropnie przeraziło.

- A potem, wedle jej słów, cóż się takiego stało?

- Obalił ją siłą na łóżko, zdjął spodnie i stanął nad nią.

- W jakim celu?

- Po to oczywiście, by ją zgwałcić. Tego się właśnie obawiała. Okazało się jednak... - Pani Danchione urwała w pół zdania i wzruszyła ramionami.

- Co się okazało?

## 269

Powiodła wzrokiem po twarzach przysięgłych i ponownie wzruszyła ramionami.

- Nie miał erekcji. I to ją częściowo uspokoiło. Zorientowała się bowiem, że gwałt jej w tym momencie nie grozi.

- I co dalej?

- Wybiegł do jadalni i zaczął przygotowywać na stole porcję kokainy. To znaczy rozsypywał proszek w taką cieniutką ścieżkę, którą potem wciąga się w nozdrza. Sissy zauważyła to, wychodząc.

- Czy oskarżony próbował ją zatrzymać?

- Nie. Pozwolił jej odejść. Sissy sądziła, że myślał już tylko o tym, by jak najszybciej zażyć kokainę.

Libby poczuła narastającą falę irytacji. Cóż za idiotyczny świat! Gdzieś na szpitalnych salach ludzie - choćby tacy, jak kochanek Stephena - walczą teraz o każdy dzień życia, a tymczasem jacyś dumie grają sobie\* w rosyjską ruletkę, używając zamiast kul - seksu i narkotyków, tak jakby nie mieli nic lepszego do roboty. Wszystko to razem jest chore.

Oskarżony, jego obrońca, cała ta śmierdząca sprawa.

MacDonald podziękował świadkowi, a jego miejsce zajął Geiggen, który przykuśtykał powoli w pobliże ławy.

- Mam nadzieję, że sędziowie przysięgli zechcą mi wybaczyć mój...

- Panie Geiggen! - ucięła ostro sędzina. - Przypominam, że ustaliliśmy pewne rzeczy i nie wolno panu...

- Tak jest, Wysoki Sądzie. Zobowiązany jestem do milczenia - rzekł, unosząc spojrzenie ku górze. Nadal odwrócony był tyłem do sędziny i widocznie dlatego pozwolił sobie na tę błazeńską mimikę. Wsparł się ciężko jak człowiek bardzo obolały o drewniane obramowanie ławy przysięgłych, po czym zwrócił się do świadka:

- Zeznała pani, że Sissy Cook, znając oskarżonego nie dłużej niż kilka godzin, udała się do jego mieszkania po to, by odbyć z nim stosunek.

- No... niezupełnie. Być może udając się tam, nie miała jeszcze tego zamiaru.

- Tego oczywiście pani nie wie i wiedzieć nie może. Prawda? Co więcej, skąd możemy być pewni, czy nie udała się ona tam również po to, by zażyć jakiś narkotyk?
  - Nie. To jest całkowicie wykluczone - zaproponowała gwałtownie pani Danchione. - Sissy miała jednoznacznie negatywny stosunek do narkotyków.
  - Ale nie wyklucza pani, że mogła się udać do mieszkania mężczyzny, którego poznała zaledwie przed kilkoma godzinami, by odbyć z nim stosunek?
  - Nie wiem, czy...
  - Proszę o jednoznaczną odpowiedź": tak czy nie?
  - Nie. Tego nie mogę wykluczyć - odparła po chwili wahania.
  - Czy była pani jej bliską przyjaciółką?
  - Tak. Zdecydowanie tak.
  - Czyli lepiej niż ktokolwiek inny mogła się pani zorientować, czy Sissy Cook była kobietą... jak by tu powiedzieć... seksualnie impulsywną?
  - Tak. iMyślę, że jestem jedną z takich osób. Zmarła miała także inne przyjaciółki.
  - Pozwoli pani zatem, że spytam wprost: czy w ciągu tych lat, go były panie ze sobą zaprzyjaźnione, Sissy Cook opowiadała pani o takich swoich zachowaniach, które mogłyby świadczyć o jej impulsywności w sprawach seksu?
  - Owszem, opowiadała.
  - Sprzeciw! Wysoki Sądzie, obrona formułuje pytania tak pokrętne i nie mające związku z...
  - Nic podobnego! Obrona próbuje rzucić jakieś światło na osobowość ofiary - zripostował pospiesznie Geiggen. - Wyłącznie po to, aby sędziowie przysięgli mogli zdać sobie sprawę z tego, jak wielu mężczyzn mogłoby być zainteresowanych tym, by ujrzeć ją martwą.
- Pani sędzia Williams wezwała do siebie strony; w ławie przysięgłych pospiesznie zaczęto konsumować drażetki. Prawnicy spierali się przez jakieś pięć minut, po czym Geiggen wrócił, kuśtykając, na swe strategiczne miejsce.

271

- Szanowna pani! - odezwał się uprzejmie do świadka. - Proszę powiedzieć przysięgłym, czy Sissy Cook miała jeszcze jakichś innych adoratorów prócz oskarżonego?

- Oczywiście. Była urzekającą kobietą. Fizycznie i psychicznie.

- A ilu ich było?

- W tym czasie, kiedy ją znałam?

- Tak.

- Trudno powiedzieć. Przynajmniej ze stu. Nie znaczy to jednak - dodała zaraz, zwracając się do przysięgłych - że spotykała się z tymi mężczyznami. Tylu zabiegało po prostu o to, by nawiązać z nią jakąś bliską znajomość.

- A więc w istocie wielu było takich mężczyzn, którzy pragnęli zostać jej kochankami, lecz zostali przez nią odtrąceni, prawda?

- Tak. Wielu.

- A czy znała pani również kobiety, które bezskutecznie zabiegały o jej względy?

Pani Danchione zastanawiała się przez chwilę nad odpowiedzią.

- Owszem. Było kilka takich kobiet.

- Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie - stwierdził Geiggen.

MacDonald natychmiast podniósł się z miejsca i spytał:

- Pani Danchione, czy słyszała pani o tym, by Sissy Cook nawiązywała jakiekolwiek kontakty seksualne z kobietami?

- Nie, nic takiego nie było mi wiadome.

- A czy któryś z odtrąconych przez nią mężczyzn w sposób nachalny się jej naprzykrzał?

- Oprócz Jima Laytona? Nie. Przynajmniej nic o tym nie wiem.

- Dziękuję bardzo. To wszystko.

Geiggen z wyraźnym trudem wstał i podniósł rękę.

- Wysoki Sądzie! Obrona pragnie zadać świadkowi pytania nawiązując\* do udzielonych przed chwilą odpowiedzi,

- Proszę, panie Geiggen.

Powoli, krzywiąc się z bólu, adwokat zbliżył się do ławy przysięgłych.

- Pani Danchione, przed chwilą oświadczyła pani, że żaden spośród odtrąconych adoratorów Sissy Cook, z wyjątkiem oskarżonego, nigdy jej się w sposób nachalny nie naprzykrzał.

- Tak jest.

- A inni mężczyźni?

- Inni? Tacy, których zupełnie nie znała?

- Tak. Chodzi mi o jakieś zupełnie przypadkowe osoby, które absolutnie nie miały powodu, by występować w roli odtrąconych kochanków.

- Owszem. Czasami się to zdarzało.

- A jak wielu było takich... natrętów?

- Co pan rozumie przez słowo „natręt”?

- Wspominała pani o tym, że w pewnym momencie musiała pani zatrudnić dodatkową ochronę. Chodzi mi o osoby, które próbowały' nawiązać kontakt z Sissy Cook w sposób tak nachalny i natarczywy, że było to dla niej uciążliwe.

- Chodzi panu o takich, których trzeba było siłą wyrzucać z agencji? Albo odsyłać ich listy policji?

- Tak.

- No cóż... Często byli to łowcy autografów.

- Myślę, że doskonale wie pani, o jakich natrętów mi chodzi. Interesują mnie osobnicy, którzy obsesyjnie starali się poznać Sissy Cook, wyobrażali sobie zupełnie bez powodu, że są z nią w jakiś sposób związani, zachowując się przy tym tak, iż komplikowało to jej życie, swobodę poruszania i mogło ją zwyczajnie niepokoić.

- Ma pan na myśli osobników, których stan psychiczny lub intencje mogły nam się wydać podejrzane?

- Tak jest. Nareszcie się rozumieni. Proszę więc powiedzieć, ilu ich było? Chodzi mi o okres, w którym utrzymywała pani bliskie kontakty z Sissy Cook.

- Bo ja wiem? - bąknęła bezradnie pani Danchione. Spojrzała do góry, jakby usiłowała wyczytać tę liczbę z przysłowiowego sufitu. - Pewnie ze dwudziestu - powiedziała wreszcie.

- Dwudziestu? Przez cały ten czas?

- Nie. Około dwudziestu rocznie - sprostowała.

- A więc szacuje pani, że co najmniej dwudziestu osobników rocznie zachowywało się wobec Sissy Cook w taki sposób, że niepokoiło to panią lub ją samą?

- Tak. I nie ma w tym nic dziwnego. Każda wybitna modelka zetknęła się z tym problemem.

- A jak długo znała pani Sissy Cook?

- Nasza współpraca trwała osiem lat.

- Łatwo więc obliczyć - kontynuował Geiggen - że w ciągu tych ośmiu lat około stu sześćdziesięciu mężczyzn narzucało się Sissy Cook, pozwalając sobie wobec niej na zachowania, które mogły ją autentycznie niepokoić.

- Tak. .

- Dziękuję pani. Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Pani sędzia Williams postanowiła w tym momencie zakończyć sesję. Na pożegnanie uznała za stosowne pouczyć przysięgłych, czego od nich oczekuje w czasie świąt.

- Jeżeli telewizja będzie transmitować mecz futbolowy, to proszę bardzo, możecie go sobie obejrzeć. Natomiast nie wolno wam oglądać aktualności telewizyjnych, dzienników, programów publicystycznych... No i żadnych gazet.

Prasę będziecie mogli przejrzeć dopiero w poniedziałek, w sądzie. Zakaz niedyskutowania z nikim na temat sprawy nadal obowiązuje. Jeżeli będziecie jechali samochodem i kierowca włączy radio, to macie tylko dwa wyjścia: albo skłonić go, by je wyłączył, albo natychmiast wysiąść.

Przerwała na chwilę i odkaszlnęła.

- Pragnę jeszcze pouczyć tych z państwa, którzy korzystać będą z komunikacji lotniczej. Podczas trwania niektórych lotów krajowych wyświetlane są kasety wideo z ostatnim wydaniem dziennika.

- I wówczas macie dwa wyjścia: przerwać emisję albo wyskoczyć z samolotu - mruknął Clay.

- Słucham? Są jakieś niejasności? - spytała natychmiast pani Williams.

Odpowiedziała jej cisza.

- Dlatego też należy przed startem porozumieć się ze stewardesą i wyjaśnić sytuację. Wystarczy ogólnikowa informacja, iż jest się sędzią przysięgłym w sprawie o zabójstwo...

Instruktaż zdawał się trwać w nieskończoność i gdy nareszcie zwolniono przysięgłych na te czterodniowe święta, miny mieli tak uradowane, jak abiturienti liceum, żegnający się z ukochaną szkołą.

Will wymógł na Libby obietnicę, że jeśli zaczyna się jakieś perypetie z wujem Gregiem, to zadzwoni do niego do Chicago. Ledwie skończyli ze sobą rozmawiać, Alex odegrał całe przedstawienie, zadbawszy o to, by wszyscy widzieli, jak wyjmuje ^ Libby z ręki walizkę i eskortuje ją na korytarz.

Kiedy znaleźli się na ulicy, złapał dla niej taksówkę, otworzył jej drzwiczki, poczekał, aż wsiądzie, po czym nachylił się, by położyć na siedzeniu walizkę. Zanim zdążyła zaprotestować, skorzystał z okazji i pocałował ją w usta.

- Szczęśliwej podróży!

Taksówka ruszyła i w tym momencie Libby zobaczyła stojącego na chodniku Willa.

Wyglądał na skrajnie przygnębionego.

Po rozmowie, którą odbyła z Willem w drodze powrotnej do sądu, wiedziała już dokładnie, jak zamierza spędzić Święto Dziękczynienia. Natychmiast po powrocie do swego mieszkania na Dziesiątej Ulicy otworzyła książkę telefoniczną i znalazła numer Centrum Koordynacyjnego Stowarzyszenia Anonimowych Alkoholików. Zadzwoiła tam i spytała, czy którąś z grup spotykających się jutro na Manhattanie nie ucieszyłaby solidna porcja jakiegoś jedzenia.

- Masz na myśli tradycyjne świąteczne potrawy, a nie jakiś szajs w torebkach? - pragnął się upewnić wolontariusz pełniący dyżur przy telefonie.

- Oczywiście. Myślałam o indyku z nadzieniem i różnymi dodatkami. Fasolką, ziemniaczkami, sosem...

Nieznajomy gwizdnął z podziwu w słuchawkę.



275

- O rany! Domowe żarcie! Ale się ucieszą... Poczekaj chwilę przy telefonie. - Po chwili w słuchawce odezwał się inny głos. Tym razem należał do kobiety. - Coś wspaniałego! Powiedz nam tylko, gdzie mieszkasz. W centrum czy gdzieś na peryferiach?

- W centrum. W Village.

- Świetnie. Mam dla ciebie spotkanie. Jutro o trzeciej. Odpowiada ci?

- Tak, jak najbardziej.

- To będzie nieduża grupa, od ośmiu do dwunastu osób. Tylko nie jestem pewna, czy chciałabyś sama tam się wybrać - dodała. Uprzedziła Melisę, że będą to ludzie z nizin społecznych, a co więcej, zwykle można się tam natknąć na jednego albo i dwóch „rozmiękczonych”, których wyproszono z jakichś innych spotkań. Oczywiście za nieprzyzwoite zachowanie. Ale jeśli Melissa naprawdę chce urządzić świąteczne przyjęcie, to akurat ci ludzie z pewnością najbardziej się z tego ucieszą.

Kto jednak mógłby się z nią tam wybrać? W środowisku Anonimowych Alkoholików nie miała żadnych znajomych. I żadnych prawdziwych przyjaciół w Nowym Jorku. Właściwie знаła jedynie tych parę osób, z którymi pracowała. Na dobre uświadomiła to sobie dopiero wtedy, gdy zaczęła przychodzić do sądu, i był to jeden z powodów, dla których czuła się teraz nieswojo. Ale przynajmniej po raz pierwszy od lat miała trochę czasu, by się nad tym wszystkim zastanowić.

- Jestem od niedawna w tym mieście - powiedziała do słuchawki i natychmiast poczuła się głupio. Daj spokój, Melisso, pomyślała sobie. Komu jak komu, ale ludziom z AA możesz chyba powiedzieć prawdę. - To znaczy... jestem tu od pewnego czasu, ale nie działałam aktywnie w AA i nie mam nikogo, kto mógłby mi towarzyszyć.

- W porządku. Podeślemy ci kogoś od nas - odparła jej rozmówczyni. Spytała o adres i obiecała, że o wpół do trzeciej zjawi się u niej ktoś z Centrum, by razem z nią pojechać na spotkanie. Obiecała także uprzedzić o wszystkim prowadzącego zebranie, jeśli uda się go złapać telefonicznie, z czym mogą być kłopoty.

- Aha, i jeszcze jedna sprawa... - przypomniała sobie na koniec.

- Byłoby chyba dobrze, gdybyś zechciała przywieźć jakąś zastawę, coś, na czym można by podać jedzenie. Kartonowe talerzyki, plastikowe sztucce... takie tam rzeczy. Oczywiście jeśli finansowo możesz sobie na to pozwolić.

Zakupy w pobliskich delikatesach ucieszyły Melisę jak najlepsza zabawa. Nareszcie wydawała pieniądze na jakiś sensowny cel i czuła się wspaniale.

Załadowała dwa wielkie wózki sklepowe. Najpierw kupiła największego indyka, jakiego mieli; ważył bite dwanaście kilogramów. Następnie wszystko, co jest potrzebne do zrobienia nadzienia, a także żurawinowy sos, bułeczki, masło, mleko, śmietankę, ziołowe i korzenne przyprawy, papierowe talerzyki, plastikowe noże, łyżki i widelce. Kupiła dużą gąbkę do zmycia stołu, serwetki, aluminiową folię i wielki papierowy obrus. Ciasto z dodatkiem dyni, dwie szarlotki i trochę łagodnego sera cheddar. Mało brakowało, a zapomniałaby o fasolce szparagowej, w związku z czym kupiła jej tyle, że w sklepie niewiele pozostało. W rezultacie nie zmieściła się w dwustu dolarach; wydała trochę ponad trzysta (głównie dlatego, że wyjątkowo drogie okazały się pojemniki z izolacją termiczną, które nabyła po to, by dowieźć na miejsce ciepłe jedzenie). Uregulowała rachunek, zlecając, by dostarczono jej zakupy do domu w kartonach, które będzie mogła jutro ponownie wykorzystać.

Po powrocie do mieszkania puściła sobie płytę kompaktową z Bonnie Raitt, po czym podśpiewując wraz z wykonawczynią, zaczęła wyciągać garnki, rondle, patelnie i miski do mieszania nadzienia. Dotąd właściwie nie korzystała z tego sprzętu kuchennego. Swego czasu potrafiła zupełnie dobrze gotować, przynajmniej wszystkie te tradycyjne potrawy, których oboje z bratem nie mieli okazji kosztować w dzieciństwie, bowiem ich matka od lat zatrudniała służącą, i choć jedzenie zawsze było zdrowe i podane w porę, była to kuchnia w stylu meksykańskim. Tego wieczoru zamierzała przystąpić do przyrządzania zestawu dań, które zgodnie z dawną tradycją podawano na obiad w dniu Święta Dziękczynienia. Postanowiła nastawić budzik, by wstać rano i upiec indyka, a nadzienie i wszelkie dodatki przygo-

**277**

tować, zanim położy się spać. Odgrzeje jutro każde z dań w kuchence mikrofalowej, zapakuje je w pojemniki z izolacją termiczną i gdy dowiezie na miejsce, powinny być przynajmniej letnie. Zakupione produkty dostarczono po godzinie ze sklepu i o ósmej wieczorem całe mieszkanie wypełniły zapachy wspaniałego jedzenia. Po Bonnie Raitt nastąpił recital Judy Collins, a kiedy Melissa zaczęła zmywać, z głośnika dobiegał głos Barbary Streisand. Po raz pierwszy od bardzo dawna Melissa czuła, że żyje naprawdę.

22.

Libby przeciągnęła się błogo. Miękkość tych lnianych, mających pewnie z sześćdziesiąt lat prześcieradeł jej babki z niczym na świecie nie mogła się równać. Obudziła się w domu, w Greatfield, we własnym łóżku. Było jeszcze wcześnie, siódma albo wpół do ósmej. Nie musiała patrzeć na zegarek, orientowała się po świetle wpadającym przez okno. Tylko tu potrafiła w ten sposób oceniać czas; przez lata jej się to udawało.

Z dołu dolatywał zapach kawy. System wentylacyjny z czasów wiktoriańskich pozostawiał niewielkie pole dla wyobraźni: na piętrze zawsze było wiadomo, co właśnie przygotowuje się w kuchni. Nie słychać było natomiast żadnych dźwięków. Jej rodzice wstawali rano i dopóki nie przejrzeliby gazet i nie rozwiążali krzyżówek, zachowywali się z reguły bardzo cicho. W dawnych latach ojciec wszedłby już zapewne na piętro, by ściągnąć Tedda, Jimbo i Libby z łóżek, matka przygotowywałaby śniadanie, a pani Louise Trutmueller, która zawsze, odkąd Libby sięgała pamięcią, pomagała matce, zaniósłaby na górę świeżo uprane ubranka dla dzieci.

Ludzie w miasteczku mawiali, że Diana Winslow zadziera nosa. I rzeczywiście tak było. Zgoda, połowa ziemi w okręgu Greatfield należała niegdyś do jej dziadków, rodzicom zaś udało się w czasie wielkiego kryzysu zachować farmę i dom w mieście, ale cóż z tego? Diana Garran wyszła za Toma Winslowa, farma została szybko sprzedana, pozostał im tylko dom, a ona nadal zachowywała się tak, jakby była właścicielką nie połowy, a całego okręgu.

Wystarczyło przyjrzeć się, jak ubiera swoje dzieci. Nie dość, że je stroiła, to powysyłała je potem do różnych szkół, zupełnie jakby były dziećmi prezydenta. Pani Winslow żywiła

widocznie przekonanie, że w społeczności Greatfield jest kimś wyjątkowym. Być może uważała się nawet za osobę opatrnościową, a ponieważ drastyczny upadek obyczajów nie oszczędził również jej rodzinnego miasteczka, ktoś powinien, jej zdaniem, ustalać moralne standardy i orzekać, co wypada, a co nie wypada. Do pełnienia tej właśnie roli czuła się zawsze szczególnie predestynowana.

Matka była zresztą postacią intrygującą i nietuzinkową. Nawet Libby musiała to przyznać. Choć książki by jej raczej nie poświęciła.

- Możesz być z siebie zadowolona - powitała ją wczoraj wieczorem, gdy tylko Libby przekroczyła próg domu. Ojca przy tym nie było; wprowadzał właśnie samochód do garażu. - Okazało się, że Greg w końcu do nas nie przyjedzie. Dopięłaś więc swego. Nieporozumienia wokół twoich pieniędzy zepsuły nam święta. Potrafisz być naprawdę okropna, Comelio.

Właściwie Libby powinna się w tym momencie roześmiać, ale nie chciała wydać się jeszcze bardziej okropna, więc zachowała powagę i powiedziała:

- Słuchaj, mam... Radziłabym ci jednak sprawdzić pewne rzeczy. Choćby po to, aby następne nieporozumienia rodzinne nie dotyczyły twoich pieniędzy.

- Nie waż się wspominać o tym przy ojcu - ostrzegła ją matka, gdy usłyszały, że otwiera on drzwi od podwórka i wchodzi do domu.

No cóż... Jak zwykle pozostały niedopowiedzenia. Sugestia była jednak czytelna. Matka traktowała te pieniądze jako własność rodziny Garranów, gdyż pochodziły ze sprzedaży farmy, i uważała, że mąż nie powinien się nimi interesować, mimo iż stanowiły obecnie lwią część ich wspólnego zabezpieczenia emerytalnego. W związku z tym proponowała córce pewien układ: Libby ani słowem nie wspomni o niczym ojcu, a w zamian za to matka będzie jej wymyślała od ostatnich jedynie wtedy, gdy nikt nie będzie się temu przysłuchiwał.

Natomiast wobec swojego młodszego braciszka była niezwykle lojalna.

## **280**

- Dzień dobry, Corny! Wstawaj, córeczko! - powiedział ojciec, stając w progu jej sypialni. Tylko jemu pozwalała zdrabniać tak nie lubiane przez siebie imię.
- Libby uśmiechnęła się do niego i natychmiast schowała głowę pod kołdrę.
- Dzień dobry, tatusiu!
- No proszę! Moja trzydziestoczteroletnia córeczka nadal udaje czterolatkę - mruknął, siadając na brzegu łóżka. - Wiesz, jak miło mieć cię w domu?
- A wiesz, jak miło nagle się tu obudzić? Uwielbiam te babcine prześcieradła. Są cudownie gładkie.
- Wiem, wiem. Tylko coraz bardziej trzeba na nie uważać. Tak łatwo się dra. Nie możesz już teraz tarzać się po nich tak jak kiedyś. - Poklepał ją po ramieniu. - Ocenzurowałem prasę dla ciebie.
- Dziękuję.
- Rzeczywiście trafiła ci się paskudna sprawa.
- Tak. Ale wiesz... W ławie przysięgłych jest trochę sympatycznych osób. Mogło być gorzej.
- Corny... Co się dzieje między tobą a matką?
- Musisz o to spytać mamę, tatusiu. Nie wolno mi o tym mówić.
- Nachmurzył się i potarł dłonią policzek. Jak zwykle był idealnie ogolony. Nadal używał staroświeckiej, fryzjerskiej brzytwy, którą ostrzył co rano na skórzanym pasku.
- No dobrze... Zastanówmy się. Skoro nie wolno ci o tym mówić... - Spojrzał na nią badawczo. - Mam nadzieję, że nie wdałaś się w romans z arabskim terrorystą? Arabscy terroryści spędzali ostatnio matce sen z oczu.
- Nie-zapewniła z uśmiechem.
- A więc sprawa jasna. Chodzi o wujka Grega. Libby nie odezwała się ani słowem.
- A skoro tak, to sprawa musi dotyczyć pieniędzy - wydedukował bezbłędnie ojciec. - Straciłaś ulokowane u niego oszczędności? - spytał zaraz.
- Nie.

281

- To dobrze.

- To znaczy... niecałe - dodała.

- Ojej - jęknął ojciec. - A to dureń! Nigdy mu się nic nie udawało. Chyba dlatego matka jest do niego tak przywiązana. Ile przepuści! tych pieniędzy?

Skończyło się na tym, że opowiedziała ojcu wszystko po kolei: o swoich kłopotach z książką, o historii z telewizją, o pieniądzech, telefonie do wujka Grega, o opinii Willa na temat poczynionych przez wuja inwestycji, a także i o tym, że nowy znajomy z Wall Street wymógł na niej obietnicę, iż porozmawia z rodzicami o ulokowanych przez nich pieniądzech.

- Hm - westchnął ojciec. - Szkoda, że ten twój przyjaciel jest tak daleko. Najlepiej by było, gdyby sam mógł porozmawiać na ten temat z matką. Wiesz, jaka ona jest. - Tę ostatnią uwagę należało rozumieć jako stwierdzenie faktu, iż w sprawach pieniędzy, polityki i religii matka nigdy nie potraktuje poważnie opinii jakiegokolwiek innej kobiety, szczególnie zaś swej córki.

- Może by mógł - powiedziała Libby, siadając na łóżku. - Dał mi numer telefonu, pod którym mogę go złapać w Chicago. Zgodził się występować jako mój doradca inwestycyjny i w razie jakichś nieporozumień wziąć całą winę na siebie.

Ojciec uniósł brwi. Od pewnego już czasu pełnił w swym otoczeniu rolę nie tyle prawnika, co raczej mediatora i doradcy w rozwiązywaniu rozmaitych ludzkich problemów. Takie wyjście bardzo mu się więc spodobało.

- To może być interesująca oferta - zauważył. - Powiadasz, że on jest teraz w Chicago?

Okropne, przyprawiające o mdłości uczucie przerażenia, które zatruło jej ostatni tydzień, gdzieś się ulotniło. Była to pierwsza rzecz, z jakiej zdała sobie sprawę tuż po przebudzeniu. W chwilę później uświadomiła sobie również, że spała tej nocy dobrze. Obok swego męża.

Ale nadal czuła się nieswojo i wiedziała, że potrwa to jeszcze długo. Tak, jak było kiedyś, na pewno już nigdy nie będzie.

A jednak zadowolona była, że Rusty znokautował Geiggena.

Wspomnienie wczorajszej awantury w sądzie wywołało nawet jej uśmiech.

I chyba bardzo pomógł jej również ten ustęp listu, w którym Rusty zastanawiał się, czy ona także nie miała jakiegoś romansu w trakcie ich małżeństwa. Świadczyło to bowiem o tym, że mąż nigdy nie traktował jej przedmiotowo.

Wiedział, jak bardzo jest atrakcyjna i doskonale zdawał sobie sprawę, w jaki sposób patrzyli na nią inni mężczyźni w tym mieście. I jak jej zdarzało się na nich patrzeć.

Ale i tak nic nie jest w stanie usprawiedliwić tego, co zrobił.

Choć z drugiej strony...

Rusty wspominał jeszcze kilkakrotnie o tym, że nigdy nie interesowała się jego osobą, tym, co robi... Właściwie nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi, dopóki nie spytał jej wczoraj, gdy wracali samochodem z Nowego Jorku, czy ona w ogóle wie, na czym polega jego praca. W jaki sposób zarabia na utrzymanie. Zaczęła od tego, że jest prawnikiem... to znaczy radcą prawnym, że zajmuje się patentami. I właściwie tyle.

- Tyle? - spytał.

- No a cóż więcej powinnam o tym wiedzieć? - spytała i natychmiast poczuła się okropnie, gdyż nagle zrozumiała, że on ma racje - Rzeczywiście nie miała zielonego pojęcia, czym tak naprawdę zajmuje się jej mąż. Wystarczała jej spokojna pewność, że jego pensja wystarcza na utrzymanie całej rodziny. Zmroziło ją to.

Może naprawdę powinni oboje spotkać się z doświadczonym terapeutą? Może ona sama powinna zacząć nad sobą pracować?

Teraz jednak, przeciągając się leniwie w łóżku w ten świąteczny ranek, doświadczała jedynie głębokiego poczucia ulgi. Była wdzięczna losowi za to, że jej mąż śpi u jej boku, że dzieci są razem z nimi, bezpieczne i szczęśliwe, i że nadal są jeszcze rodziną.

Była już pewna, że aby ją uchronić, zdolna jest sprostać każdemu niemal wyzwaniu.



- Williamie! - Pani Klein wsunęła głowę w uchylone drzwi sypialni syna. - Dzwoni do ciebie jakaś kobieta. I nie jest to Betsy - uspokoiła go zawczasu.

- Ojej! - stęknął, przewracając się na drugi bok. - Może to jej matka?

- Nie. To ta pisarka. Elizabeth Winslow. W jednej chwili wymiotło go z łóżka.

- Naprawdę?

- Tak mi się przedstawiła. Will był już w połowie holu.

- Co się takiego stało? - zawołał z dołu pan Klein.

- Dzwoni do niego ta autorka, którą poznał w sądzie - powiedziała ściszym głosem matka Williama, przechylając się przez poręcz schodów. - Koleżanka z ławy przysięgłych. Nie jest to zabawne?

- Wszystko jedno. Byle nie ta Betsy - oświadczył pan Klein. Will wpadł do pokoju rodziców, chwycił słuchawkę i zanim

zdążył powiedzieć „Halo?“, usłyszał głos Libby.

- Dobrych Świąt! Mam nadzieję, że cię nie obudziłam. U nas w Greatfield wstaje się bardzo wcześnie.

- Nie obudziłaś. My też już jesteśmy na nogach - zapewnił ją, przecierając oczy, w których ciągle jeszcze kleiły mu się resztki snu.

Jill doglądała indyka, gdy do kuchni wpadł nagle Peter. Od rana grał na dworze w piłkę z dziećmi sąsiadów. Jego siostrzyczka Katie miała sekundować mu w grze. Zwykle w Święto Dziękczynienia spodziewaliby się gości, ale w tym roku, z uwagi na toczący się proces, przebiegało ono inaczej niż zawsze. Nawet krewni Rusty'ego, którzy skrzętnie wykorzystywali każdą okazję, by najeść się i napić dobrych trunków (szczególnie gdy nie musieli za nie płacić), pozostawili ich tym razem w spokoju.

- Mamo! Mamo! - Peter był wyjątkowo podekscytowany. - Roger powiedział mi, że tatusia opisali w gazecie.

Podobno pobił jakiegoś prawnika. W sądzie. Na sprawie ciotki Sissy.

- Tak, to prawda - odparła najspokojniej w świecie, polewa-

jąc tłuszczem pieczeń. - Dlatego właśnie wróciliśmy wczoraj wcześniej do domu. - Wsunęła blachę z indykiem głębiej do piekarnika i zamknęła drzwiczki.

- Ależ mammo!

- Co takiego, kochanie?

- Czy ty nie rozumiesz? Tatuś kogoś uderzył! Piszą o tym w gazecie! - oburzył się Peter. - Przecież zawsze nam mówiłaś, że nie wolno się z nikim bić.

- Rusty? - zawołała Jill, zmierzając w kierunku drzwi. - Słyszałeś, co powiedział twój syn?

- Taak - dobiegł z salonu głos Rusty'ego.

- Czy nie uważasz, że powinienesz wyjść i wyjaśnić całą sprawę sąsiadom?

- Dobrze, zaraz pójdę. Jill spojrzała na syna.

- Tatuś wytłumaczy zaraz wszystko tobie i twoim przyjaciółom. A ja... - ściszyła głos - powiem ci coś w sekrecie. Mały wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Co to będzie za sekret?

- Nie gniewam się na tatę, gdyż czasami mężczyzna musi walczyć w obronie swojej rodziny. Kobieta zresztą również. Twój ojciec walczy po swojemu... i ja też walczę po swojemu, ale obojgu zależy nam na tym samym. Teraz jesteś jeszcze malutki, synku, ale przyjdzie taki dzień, kiedy to zrozumiesz.

Jeszcze tego samego dnia zjawili się bracia Libby: Ted (czyli Edward) i Jimbo (czyli James). Oczywiście wraz z rodzinami, a zamieszanie związane z ich przybyciem wykorzystano jako zasłonę dymną, która umożliwiła im przeprowadzenie operacji „Polowanie na wujka Grega”. Sam wujek wymówił się od wizyty u siostry, tłumacząc, że nawał obowiązków zmusza go do siedzenia w biurze w Chicago, a teraz, ukrywszy się w swym domku w Winnetka, nie miał zielonego pojęcia, iż sam zastawił w ten sposób na siebie pułapkę, gdyż jego siostrzenica i szwagier nasłali na niego finansowego eksperta, który przypadkowym zrzędzeniem losu znalazł się również w tym mieście.

O wpół do dwunastej Winslowowie zaczęli zbierać się do wyjścia. W południe miał się odbyć doroczny mecz futbolowy pomiędzy drużyną liceum w Greatfield i reprezentacją miasteczka Douglaston. Nawet matka Libby uważała za stosowne się tam pokazać. (W końcu jej ojciec był gwiazdą drużyny Greatfield w latach dwudziestych, mąż w czterdziestych, a synowie w siedemdziesiątych.)

Mimo iż Libby zjawiała się tu tak rzadko, mieszkańcy miasteczka świetnie ją pamiętali. Przez pewien czas witano ją jako powracającą do domu koleżankę, która brylowała niegdyś w miejscowym liceum, potem zaś coraz częściej przybiegali się z nią przywitać ludzie, którzy nie znali jej z czasów szkolnych, czytali natomiast jej powieści. Matka Libby mówiła, że jest to wbrew zasadom bon tonu. „Na litość boską - zżymała się - co za plebejskie obyczaje. Jak można robić taki szum wokół kogoś, kto napisał kilka bulwersujących książek?”

Libby za nic w świecie nie potrafiła odgadnąć powodów, dla których matka stale była z niej niezadowolona. Cokolwiek powiedziała lub zrobiła, nieodmiennie kwitowane było wzruszeniem ramion. Teddy, najstarszy z rodzeństwa, zawsze był tego świadom, i kiedyś, dawno temu, próbował tłumaczyć zachowanie matki tym, że jest ona po prostu zazdrosna o czas i uwagę, jaką poświęca córce ojciec. Jimbo się z tym nie zgodził; skłonny był przysiąc, że matka uważa, iż Libby podobna jest do jej własnej matki, do której - o czym dobrze wiedziała cała rodzina - odnosiła się także z gorzką dezaprobatą. Ale jakie miała po temu powody, tego już nikt nie wiedział.

Libby nie miała więc łatwego dzieciństwa, a gdyby nie to, że wychowywała się w pobliżu babci Garan, byłoby ono jeszcze trudniejsze. Babka starała się przekonać ją, że uczucia - lub raczej brak uczuć - jakie żywi wobec niej matka, są właściwie czymś normalnym, czym nie należy się przejmować. Ilekroć Libby skarżyła się, że matka jej nie lubi, babcia mówiła mniej więcej tak:

- Twoja mama rozpaczliwie pragnęła mieć córkę, ale widocznie nie taką, jaka jej się urodziła.

- Babciu! To nieładnie tak mówić - obruszała się Libby.

- Prawda jest czasem nieładna, moje dziecko. Twoja matka jeszcze jako dziecko bez przerwy miała do mnie jakieś pretensje. Łajała mnie, besztła, zachowywała się dokładnie tak samo, jak zachowuje się wobec ciebie. Musisz więc wreszcie zrozumieć, że ona zapewne cię kocha, ale najwyraźniej nie cierpi kobiet. Taka już była od urodzenia i nigdy się pod tym względem nie zmieni. A skąd się to u niej wzięło? Bóg raczy wiedzieć. Może to po twoim pradziadku Floydzie, który uciekł do Persji?

Greatfield przegrało z kretesem, więc nie był to specjalnie interesujący mecz. Libby za to bawiła się świetnie, oglądając wraz z siostrzeńcami paradę żywych obrazów na platformach. O wpół do trzeciej pomaszzerowali wszyscy do domu, by zasiąść w dużym pokoju i obejrzeć tym razem przyzwoity już mecz w telewizji. W domu Winslowów nie było osobnego salonu, jedynie ten właśnie olbrzymi pokój, w którym przesiadywali wspólnie przez lata. Na prawo od drzwi frontowych znajdował się nieduży gabinet z maleńkim gazowym kominkiem, zbudowany z myślą o przyjmowaniu gości. Libby nie przypominała sobie jednak, aby ktoś - poza historycznymi klientami jej ojca - kiedykolwiek w tym pomieszczeniu zasiadał.

Zadzwonił telefon.

- Libby! To do ciebie! - zawołał z kuchni Jimbo. Po chwili ukazał się w drzwiach i dodał, zniżając głos: - Jakiś chloopak.

- Uuuuuu! - zawtórował mu chór siostrzeniczek i siostrzeńców.

- I to chyba międzymiastooowaaa! - wygłupiał się dalej jej brat.

- Uuuuuu! - odezwała się tym razem cała rodzina.

Libby podniosła słuchawkę, cały czas jasno zdając sobie sprawę z tego, że matka nie spuszcza z niej oka. Wraz z Louisie Trutmüller wykonywała właśnie ostateczne zabiegi przy przygotowywaniu świątecznych dań, które za chwilę zjawić się miały na stole. Teraz jednak najwyraźniej wyczuła, że dzieje się coś ważnego - zawsze potrafiła to wyczuć - i Libby wiedziała, że musi być bardzo ostrożna.

287

- Halo?

- Cześć, Libby! Mówi Will... - Usłyszała w słuchawce stłumiony śmiech. - Zdziwiłaś się pewnie, że zadzwoniłem tak szybko.

- No, tak. Co u ciebie?

- Słuchaj, rozmawiałem z wujem Gregiem i powiedziałem mu dokładnie to, co zasugerował twój ojciec. Przedstawiłem się jako doradca inwestycyjny, powiedziałem mu, że pan Winslow poinformował mnie, iż powinienem go zastać w piątek w biurze. A ponieważ tak się składa, że jestem w Chicago, chciałem się z nim spotkać.

- No i co?

- Jakoś się z tego wykręcił. Powiedział mi, że ma jakieś ważne spotkanie, które będzie się ciągnęło przez cały dzień. Wówczas zaproponowałem sobotę, a on natychmiast odparł, że w sobotę wyjeżdża do Kanady.

- Co takiego?

- Omal nie zapytałem go, czy ucieka tam z pieniędzmi Winslowów. - Will parsknął śmiechem, ale natychmiast się zreflektował. - Przepraszam cię, Libby. W końcu to jest twój wuj i nie powinienem w ten sposób żartować.

- W porządku. - Matka teraz już ani na chwilę nie spuszczała z niej wzroku.

- Sama rozumiesz - ciągnął dalej Will - dobrze to nie wróży. Nie pozostaje nam w tej sytuacji nic innego, jak przejrzeć jego korespondencję. Twój ojciec powiedział mi, że wie, gdzie się ona znajduje. Trzeba tylko wymyślić jakiś sposób, by zrobić to dyskretnie, bo inaczej matka obedrze cię ze skóry.

- Tak. Masz oczywiście rację - stwierdziła pogodnie.

- Myślę więc... Poczekaj sekundę. - Zakrył ręką słuchawkę i dopiero pó chwili odezwał się ponownie: - Libby? Moja mama chciała przez minutkę z tobą porozmawiać. O twoich książkach.

Zanim Libby zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, w słuchawce rozległ się głos pani Klein:

- Elizabeth?

- Tak, proszę pani, to ja - odpowiedziała, zastanawiając się

jednocześnie, czy na całym świecie jest jeszcze ktoś, kogo różni ludzie nazywają tak różnymi imionami. Cornelia, Corny, Libby, Elizabeth...

- Mówi Sally Klein. Chcę pani powiedzieć, jakie wrażenie wywarła na mnie wieść o tym, że zasiada pani razem z moim synem w ławie przysięgłych. Przyznał się, że czytał jedną z pani książek, a ja na to: „A widzisz! Ja znam wszystkie jej powieści.” Pierwszą poleciła mi jedna z moich znajomych i od tamtej pory jestem zagorzałą wielbicielką pani talentu.

- Dziękuję. - Libby rozpromieniła się. - To bardzo miło z pani strony. Will wspominał mi, że czytała pani którąś z moich książek.

- Czytałam wszystkie - sprostowała pani Klein. - A mnie syn z kolei mówił, że ma pani teraz jakieś zawodowe i życiowe kłopoty. Dlatego radzę: proszę się nie poddawać, nie tracić ani pięciu minut, a znowu napisze pani coś wspaniałego. Ma pani niezwykły talent, a z tego, co słyszałam od syna, jest pani także niezwykłą, cudowną kobietą.

Libby spojrzała na matkę, zastanawiając się w tym momencie nad tym, dlaczego słyszy podobne słowa z ust nieznaney osoby z dalekiego Chicago, podczas gdy jej szanowna rodzicielka patrzy na nią tak, jakby chciała zasztyletować ją wzrokiem.

- Libby? - W słuchawce odezwał się ponownie głos Willa.

- Tak. Słucham.

- Przepraszam cię za tę...

- Coś ty! To był prawdziwy prezent.

Matka wyraźnie nie mogła już dłużej wytrzymać.

- Kto to dzwoni? - spytała, wykrzywiając niechętnie usta.

- Słuchaj, Libby... Zastanawiam się właśnie - ciągnął dalej Will - czy nie mógłbym przypadkiem wpaść do was w drodze powrotnej do Nowego Jorku. Mógłbym wówczas porozmawiać z twoją matką. Twój ojciec twierdzi, że to świetny pomysł. Skłonny był nawet natychmiast postarać się o zamianę biletów i załatwienie rezerwacji.

- Naprawdę?

- Tak. Powiedział, że mógłbym przylecieć do Columbus. Odebrałaś mnie stamtąd samochodem.

- Ale ja... - Zaniemówiła z wrażenia. Pomysł, by Will, jej kolega z ławy przysięgłych, przyleciał nagle do Greatfield w stanie Ohio po to, by porozmawiać z jej matką o finansowych machlojkach wujcia Grega, wprowadził ją w osłupienie. Tymczasem ciekawość matki stawała się coraz bardziej natarczywa, w związku z czym, zamiast odpowiedzieć wprost na jej pytanie, zasłoniła dłonią słuchawkę i sama z kolei spytała:

- Mamo? Czy mój przyjaciel może zatrzymać się u nas na noc w drodze do Nowego Jorku?

- Co za przyjaciel?

- Will Klein. Jest przysięgłym w tej samej sprawie....

- To chyba żydowskie nazwisko? On jest Żydem?

- Tak - odparła Libby, czując, że jej cierpliwość znowu wystawiona została na ciężką próbę.

Pani Winslow popatrzyła na Louisie, zrobiła wielkie oczy i pokręciła głową, dając w ten sposób do zrozumienia, że świat najprawdopodobniej zwariował, ale cóż, ona za to nie ponosi winy. Po chwili spojrzała ponownie na swą córkę.

- Jeżeli zależy ci, by go zaprosić, to naturalnie może się u nas zatrzymać. Będzie spał w pokoju babci.

Był to jedyny pokój - poza sypialnią rodziców - który posiadał osobną łazienkę. Zgodnie ze stylem myślenia matki, względy przyzwoitości nakazywały, by goszczony w domu obcy mężczyzna korzystał z osobnego sanitariatu.

Nie»drażnił oczu, nie kalał uszu.

- Oczywiście, Will - podjęła przerwana rozmowę. - Moja matka jak najserdeczniej cię zaprasza. Zainstalujemy cię w pokoju, w którym kiedyś mieszkała babcia. Będiesz tam miał osobną łazienkę.

- A zostanę zabrany na zwiedzanie Greatfield?

- Greatfield jest takie maleńkie, że przejeżdżając przez miasteczko, nie należy mrugać oczami, bo można go przypadkiem

nie zauważyć. Ale oczywiście włączamy zwiedzanie do programu. Kiedy chcesz przyjechać?

- Choćby jutro...

Zaraz po odłożeniu słuchawki uświadomił sobie, że tuż za nim stoi matka. Natychmiast się odwrócił.

- Zależy ci na tej dziewczynie, prawda? - spytała.

- Ona ma trzydzieści cztery lata, mamó. Trudno nazywać ją „dziewczyną”.

Skinęła głową, przyznając mu rację.

- Nie jest zameżna?

- Nie. Żyła przez dłuższy czas z jakimś facetem, ale od niego odeszła.

- I mieszka teraz sama?

- Tak.

Matka ponownie pokiwała głową. : - No dobrze, mój kochany. Przykro mi, że jutro już cię nie będzie. Ale doskonale cię rozumiem, przez chwilę panowało między nimi milczenie.

- Naprawdę, mamó?

W oczach matki zapaliły się wesołe iskierki.

- Naprawdę, Will. Spojrzał na nią zdumiony.

- Powiedziałaś do mnie „Will”? Uśmiechnęła się.

- Ona cię tak nazywa.

- Jedliśmy któregoś dnia lunch. Opowiadałem jej o dziadku, a potem, ni z tego, ni z owego, powiedziała mi nagle: „Słuchaj, ty się powinieneś nazywać Will. Dziadek, o którym tak pięknie potrafisz mówić, na pewno byłby z tego zadowolony.

Matka zbliżyła się, ujęła jego głowę w obie dłonie, pocałowała w policzek i spojrzała mu w oczy.

- Bardzo mi się podoba ta kobieta. Ma dużo intuicji. Niestety, podoba się nie tylko nam. Pewien facet z ławy przysięgłych też jest nią bardzo zainteresowany - wypalił Will.



- Ale to nie on został przez nią zaproszony - zauważyła z uśmiechem matka.
- O kurde mol! Czekaście ludzie, zaraz wam pomogę! - zawołał jakiś stary gazer-weteran. Odrzucił niedopałek na ulicę i pokuśtykał w kierunku taksówki. - Kip! Chono tu! - krzyknął do stojącego pod murem znacznie młodszego mężczyzny w dżinsach i zniszczonej skórzanej kurtce. Wezwany powoli, jakby ociągając się, zrobił to samo: odrzucił peta i podszedł do -krawężnika.
- Świetnie. Bardzo dziękuję - powiedziała Melissa, wysiadając z taksówki. George, nieśmiały, niemal dwumetrowy młody olbrzym, przysłany z Centrum Koordynacyjnego, by jej towarzyszyć, z trudnością wygramolił się z przedniego siedzenia. Melissa przysunęła bliżej stojące na tylnym siedzeniu ogromne pudło i z trudem wyciągnęła je z samochodu. Stary gazer i młodszy kolega nazywany przez niego Kipem, natychmiast zabrali od niej ten ciężar. ' Starszy zerknął do środka i odsłonił w uśmiechu resztki zębów.
- Cały indyk?- zdumiał się.
- Dwanaście kilo - oznajmiła z dumą Melissa. - Jest tu ktoś, kto się nazywa Rocket? - spytała, sięgając do wnętrza wozu po następne pudło. Tym razem było ono wypełnione pojemnikami z termoizolacją.
- Tak. Zawołać go?
- Niekoniecznie. Chodzi o to, że jemu mam dostarczyć ten towar.
- Kipper! Słyszałeś, co pani powiedziała? Zanieś tego indora Rocketowi. A to co takiego? - zainteresował się drugim pudłem, które spoczęło teraz w jego objęciach. Podobnie jak wielu ludzi z AA, nie miał ani grama tłuszczu, wydawał się chudy i wiotki, ale musiał mieć sporo krzepy, gdyż trzymał to ciężkie pudło tak, jakby nic nie ważyło.
- Pataty, kiełbaski, fasolka po bretońsku i takie tam różne przystawki.

- O rany Boga! Dziewuszko! Zesłali cię chyba z nieba.

- Nie z nieba, tylko z Centrum - roześmiała się Melissa. -George, bądź tak dobry i wyjmij jeszcze z samochodu pojemnik z napojami.

Jej towarzysz z łatwością wziął pod pachę wielki kontener pełen soków owocowych i wody mineralnej. Melissa zabrała torbę z pieczywem, masło, kartonowe talerzyki, serwetki, plastikowe noże, łyżki i widelce, a na koniec prawdziwy wielki nóż i nożyce do porcjowania indyka. Nie zapomniała również o aluminiowej folii i papierowych torebkach na odpadki.

- Przyszłali cię z Centrum? Towarzycho tu mamy takie więcej szemrane... Bynajmniej jak dla kobity - powiedział stary gazer.

- Zadzwoiłam do nich wczoraj wieczorem, bo miałam Ochotę coś upitrasić, a oni...

- A oni mówią: „Ale mamy dla ciebie grupę, dziewczuszko! Banda starych ochlapusów z Bovery, dla których wyżerka na Święto Dziękczynienia to batonik „Sneakers” i butelka jabcoka.” - Zaśmiał się rehotliwie. Bardzo mu się ten jego własny dowcip spodobał.

Rzeczywiście, nie była to najbardziej elegancka część Manhattanu. Pół przecznicy dzieliło ich od ulicy Bovery, a naprze-clwko nich znajdował się kościół, który sprawiał wrażenie opuszczonego. Uważny rzut oka na prowadzące do piwnic schody, pbkryte setkami niedopałków, przekonywał jednak, że ktoś nadal korzysta z jego pomieszczeń.

- A właśnie... zapomniałem cię spytać, jak się nazywasz --pytał stary. Sprowadził już ją kawałek po schodach, idąc bokiem, by wygodniej mu było stawiać na stopniach sztywną nogę.

- Melissa. A to jest George.

- Na mnie mówią Dymek. I to nie dlatego, że palę... cha, ćfa! W wojsku mnie tak nazwali: Nie pytaj, dziewczyno, **dłaczego.**

W środku było ciemnawo i dość paskudnie. Na szczęście pomyślała zawczasu, by zabrać ze sobą jakąś gąbkę, którą mogła teraz wytrzeć sfatygowany stół. Stało na nim kilka torebek z ciasteczkami i frytkami. Na składanych krzesłach siedziało pewnie

z siedem osób; jeden z obecnych zwrócony był plecami do stołu, głowę zakrytą miał kocem i opowiadał jakieś fascynujące historie ścianie, która była jego jedynym słuchaczem.

Rozmiękczone. Tym terminem określali alkoholika, którego mózg nieodwracalnie zdewastowały hektolitry wypitego w ciągu wielu lat alkoholu.

Po chwili zjawił się prowadzący zebranie facet o nazwisku Rocket, tak samo niechlujny i zaniedbany, jak cała reszta. Na widok wiktuałów, które zjawiły się wraz z przybyłymi, oczy o mało nie wyszły mu z orbit. Powiedział, że nie spodziewa się więcej niż dziesięciu osób. Świetnie, pomyślała Melissa, każdy będzie mógł zabrać na potem część tego, czego nie zdołają tu zjeść.

Uzgodnili, że zdeponują wszystko na zapleczu, przedstawi swoje kwalifikacje, po czym zrobią przerwę i przystąpią do uczty. „Przedstawienie swych kwalifikacji było rutynową procedurą: każdy z członków grupy opowiadał kolejno o swoich przeszłych i obecnych doświadczeniach związanych z alkoholem, mówił o tym, jak pił i jak wyleczył (lub leczy) swój nałóg poprzez uczestnictwo w spotkaniach AA.

- Eee... gdybyś potrzebowała kogoś do pomocy... eee, żeby wszystko przygotować, to mnie zawołaj - wybąkał Kip.

- Koledzy raczej nie dadzą rady. Trzęsiaczka.

- Wiem, o co chodzi - odparła z uśmiechem. I była to prawda.

Rocket, przewodniczący zebrania, nie bardzo wiedział, jak je zacząć. W końcu, wyraźnie zażenowany, zwrócił się do Melissy.

- Słuchaj, może byłoby dobrze, gdybyś ty zechciała na wstępie opowiedzieć coś o sobie. Każdy z nas tyle razy już opowiadał tu własną historię, że znamy je na pamięć.

- Tak, tak - odezwał się po raz pierwszy George. - Świetny pomysł. Zacznij mówić, a my tymczasem wszystko przyszykujemy.

Nadeszło jeszcze kilku mężczyzn. Wszyscy zajęli miejsca, za stołem. Melissa siedziała zwrócona do nich twarzą, uśmiechała się nerwowo i gorączkowo zastanawiała nad tym, czy potrafi

opowiedzieć o sobie coś takiego, co byłoby dla tych ludzi zrozumiałe. Jej dawny opiekun - człowiek, który wprowadził ją do AA - zwykł był mawiać, że aby dobrze opowiedzieć swą historię, należy zawiesić na kołku myślenie, i że serce jest tu lepszym doradcą niż mózg. W ten sposób łatwiej uniknąć powtarzania w kółko tych samych kłamstw, które większość alkoholików opowiada o sobie przez całe życie.

Tak właśnie zrobię, postanowiła i nagle poczuła, że jest już spokojna i że może się swobodnie uśmiechać. W końcu, na litość boską, jej prawda wyjątkowo nadawała się do tego, by wyznać ją właśnie tu, na Bovery. Lepszego miejsca na świecie nie znajdzie.

- Mamusiu! Tatusiu! - usłyszeli wołanie Katie. - Jakiś obcy pan zaczepił Petera i o czymś z nim rozmawia przed domem.

1 Oboje, nie zwlekając ani chwili, włożyli brudne talerze do zlewu i ruszyli ku drzwiom. Rusty wysforował się do przodu i pędził susami przez trawnik. Z Peterem rozmawiał jakiś mężczyzna; towarzysząca mu kobieta nagrywała rozmowę na kamerę wideo. Był tam również ich pies, Duncan, który stał obok małego i merdał ogonem.

bi - Zostań W domu, Katie - nakazała jej matka. Mała usłuchała. Zamknęła drzwi i została wewnątrz, a kiedy Jill po chwili spojrzała przez ramię, zobaczyła jej drobną twarzyczkę rozplaszczoną na szybie.

- A oto i twoi rodzice - zaanonsował radośnie reporter. Kamera wykonała wahadłowy ruch, kierując się na Rusty'ego.

- Tatusiu! Ten pan jest z telewizji.

- Proszę wyłączyć kamerę - powiedział ostro Rusty.

- A oto Jill Gook Tompkins, siostra zamordowanej modelki -ciągnął dalej reporter, dając znak kamerzystce, aby zrobiła odpowiednie ujęcie.

- Słyszeliście, co powiedział mój mąż? - spytała Jill.

- Peter! Proszę natychmiast do domu - rozkazał Rusty.

- Ależ tatusiu...

- Idź do domu - powtórzyła Jill. Kamera cały czas kręciła tę scenę.

## 295

- Widzicie tę linię? - Rusty wskazał na skraj frontowego trawnika. - Spróbujcie ją przekroczyć, a za pięć minut zabierze was stąd policja. Prosto do więzienia. Nasza rodzina dostatecznie dużo się nacierpiała. Wydawało mi się, że nawet ostatni idiota zatrudniony w mediach potrafi to uszanować. Zapomniałem jednak, że są też tacy jak wy.

Ghódź, Jill! - Chwyć żonę pod ramię i pociągnij ją za sobą, ruszając w stronę domu. - Duncan! Do nogi!

Pies zrozumiał, że to nie przelewki, i natychmiast pobiegł za nimi.

- Lepiej byś ze mną porozmawiał, Rusty! - zawołał reporter. - Ja bym na twoim miejscu zaprosił takich jak my do środka i opowiedział im o sobie, o swojej szwagierce i o tym, dlaczego dałeś wczoraj po mordzie Geiggenowi.

Pewien jestem, że lepiej dla ciebie będzie, jeśli sam udzielisz wywiadu, gdyż w przeciwnym razie zmuszeni będziemy skorzystać z własnych źródeł.

Rusty zacisnął dłoń na przedramieniu Jill.

- Twoje dzieci muszą przecież chodzić do szkoły, a wiesz; jak bardzo dzieciaki potrafią być okrutne.

Schronili się w pralni. Rusty w bezsilnej złości zaczął walić pięściami w obudowę pralki automatycznej. Peter i Katie natychmiast przybiegli z kuchni.

- Peter! Natychmiast zaprowadź siostrę do bawialni. Zaraz tam przyjdziemy. Musimy chwilę z tatusiem porozmawiać.

Dzieci ociągały się trochę, ale w końcu odeszły, pozostawiając ich samych. Jill zamknęła drzwi prowadzące do kuchni, westchnęła i zwróciła się do męża:

- No i co teraz?

Rusty siedział, odwrócony do niej tyłem. Czekala, aż coś powie, gdy nagle zobaczyła, że przez jego plecy przebiegło drżenie. W chwilę potem ukrył twarz w dłoniach i z wyraźnym trudem opanował szloch.

Czekala.

- O Boże, Jill. Tak mi przykro... - Teraz już naprawdę się rozplakał. Dźwięki, jakie przy tym wydawał, były czymś pośrednim

Laura Van Wormer » CIERNISTA DROGA

nim pomiędzy czkawką a szlochem. Zbliżyła się i objęła go ramionami.

- Jakoś przez to przebrniemy, Rusty.

- Nie wiesz nawet, jak mi przykro. - Wyjąkał to tonem tak rozpaczliwym, jakby za chwilę miało mu pęknąć serce. I rzeczywiście czuć się musiał okropnie. To, co myślały o nim ich dzieci, zawsze było dla niego czymś najważniejszym. Ważniejszym niż wszystko inne. I świadomość, że jego syn może być zadreńczany przez szkolnych kolegów, którzy będą mówili, że jego ojciec robił to z...

Jill, nadal obejmując męża, wyjrzała przez okno. Ciągle tam byli. Czekali.

Jasne było, że to oblężenie potrwa jeszcze bardzo, bardzo długo.

## 23

- Spróbuję jednak z nim porozmawiać - oświadczyła Jill. Przeszła przez kuchnię, dopinając na sobie płaszcz. Rusty się nie sprzeciwił. Był piątek rano. W nocy prawie nie spali, przez cały czas zastanawiając się, co zrobić z reporterem, który czatował w zaparkowanym przed ich domem samochodzie, przy czym Jill upierała się, że to ona powinna z nim porozmawiać. Rusty, blady i wymizerowany, siedział teraz przy stole i przyglądał się dzieciom, które kończyły jeść przygotowane przez niego wafle.
  - Dlaczego ten pan ciągle tu jest? - spytał Peter. - Powiedziałem mu przecież wczoraj, jak wyglądała ciocia Sissy.
  - Ojciec ci wszystko wytłumaczyła tymczasem ja pójdę się z nim spotkać.
- Rusty drgnął i spojrzał na żonę.
- Wytłumaczy ci, w jaki sposób reporterzy robią pieniądze, żerując na ludzkim nieszczęściu - podpowiedziała mu.
  - No tak - bąknął jej mąż, a z jego twarzy znikła nagle przeraźliwa bladość.
- Jill szła przez trawnik i czuła się coraz bardziej skrępowana. Ta cholerna kobieta zdążyła już włączyć kamerę.
- Dzień dobry, pani Tompkins - powitał ją reporter.
  - Dzień dobry. - Zatrzymała się tuż przed nim, starając się nie zwracać uwagi na terkotanie kamery wideo. - Nadal nie jest dla nas jasne, o co wam naprawdę chodzi.
  - Chodzi nam o zgodę na przeprowadzenie wywiadu z panią i pani rodziną. Oczywiście na zasadach wyłączności. Interesuje nas sprawa pani siostry, pani reakcja na to, co zdarzyło się w trakcie procesu...

- Nie mogę komentować przebiegu sprawy sądowej, dopóki nie zostanie ona zamknięta. Oskarżyciel jednoznacznie zalecił mi, abym tego nie robiła. Powinniście zrozumieć, że wszelkie moje kontakty z mediami mogą zaszkodzić interesom strony procesowej, z którą ze zrozumiałych względów się identyfikuję.

Reporter od początku sprawiał wrażenie nie w pełni przygotowanego do tej konfrontacji. Jill pojawiła się zbyt nagle, a spokój i otwartość, z jaką przedstawiła swoje racje, do reszty pokrzyżowała mu plan akcji.

- Ale przecież... porozmawia pani ze mną? - spytał trochę bezradnie.

- Oczywiście - odparła. - Właśnie to robię. Wczoraj byliśmy oboje z mężem zdenerwowani tym, że bez naszej zgody i wiedzy wypytywał pan nasze dzieci. To nie w porządku... przynajmniej wedle naszych kryteriów. Możecie sobie rozmawiać z nami, proszę bardzo, ale jeśli zbliżycie się do dzieci, to znowu będzie awantura.

- Val, wyłącz na chwilę kamerę. - Operatorka natychmiast usłuchała. Reporter przekrzywił głowę i spytał: - A więc ta historia z pani mężem i... siostrą jest prawdziwa?

- Co ma być niby prawdziwe?

- No... że mieli ze sobą romans.

Roześmiała się. Trochę na siłę, ale jakoś jej się to udało.

- Ach, o to panu chodzi! Dowiedział się pan tego od Geigge-na, prawda? Rusty jest absolutnie pewien, że to właśnie on pana na nas napuścił. Nareszcie wszystko rozumiem. Facet postanowił zemścić się za to, że mój mąż publicznie go upokorzył. I nasłał na nas kogoś z telewizji. - Pokręciła głową, udając skrajnie zdumioną. - Nie przypuszczałam, że jest aż tak głupi. Dobry adwokat nie pozwoliłby sobie w tym momencie na jakikolwiek ruch, który mógłby źle do niego nastawić media. Chyba że i do pana czuje jakąś zadawnioną urazę. Nie widzi pan, że wpuścił was w kanał? Są tu jakieś inne ekipy telewizyjne? Gdyby rzeczywiście chodziło o taką sensację, to mielibyśmy dziesięć wozów transmisyjnych pod domem.



- Dostarczył nam bardzo przekonujących dowodów -stwierdził reporter.
- Dowodów na co? - spytała, udając kompletną idiotkę. - Na to, że mój mąż wpadł na kolację do mojej siostry wtedy, gdy byłam poza miastem? Jeśli to są te jego dowody, to równie dobrze może tu jutro przysłać pana w sprawie romansu, jaki ja miałam z bratem Rusty'ego. Bowiem także zdarzało mi się u niego bywać.
- Reporter zmrużył oczy i wykrzywił się.
- No pewnie! Cóż innego pani pozostało? W takiej sytuacji może pani jedynie konsekwentnie wszystkiemu zaprzeczać.
- Ech, dajmy sobie z tym spokój! - Jill gestem ręki wskazała mu drogę do samochodu. - Poddaję się. Jest pan po prostu beznadziejny. Val, włącz kamerę - zwróciła się do operatorki. - Możecie sobie robić ten wasz reportaż. Opowiadajcie, co chcecie, ale warto abyście pamiętali, że poniesiecie odpowiedzialność za wszelkie fałszywe oskarżenia i insynuacje. Mój mąż jest prawnikiem, bądźcie więc przygotowani na to, że jeszcze dziś przekażemy nasze stanowisko waszym zwierzchnikom. - Odwróciła się na pięcie i zaczęła się oddalać w kierunku domu.
- Niech pani poczeka! - Reporter pobiegł za nią aż do Skraju trawnika i w ostatniej chwili zatrzymał się, by nie przekroczyć granicy posesji. - Przepraszam! Nie chciałem pani urazić! Może coś jednak wynegocjujemy! - krzyczał niemal błagalnie.
- Zajmijcie się czymś sensownym! - rzuciła mu przez ramię.
- Nie mam dla was czasu. Czekam na telefon z redakcji „Sześćdziesiąt minut z reporterem”. To jest przyzwoity program, a wy nie uważaliście nawet za stosowne się przedstawić. Nadajcie sobie w całości ten wspaniały reportaż w wieczornych wiadomościach na jakimś zapyziałym kanale. Zrobicie przynajmniej bezpłatną reklamę „Sześćdziesięciu minutom”. - Weszła do domu.
- Skąd oni byli? Program „Sześćdziesiąt minut”? O Jezu!
- Rusty wyściubił nos z pralni. Był skrajnie spanikowany.
- Gdzie są dzieci? - spytała szeptem Jill.
- W bawialni.
- Nie martw się, kochanie - pocieszyła męża, po czym mimo

### **300**

usiłnych wysiłków, by zachować powagę, najzwyczajniej w świecie się roześmiała. Cała sytuacja wydała jej się nagle bardzo zabawna. Nadal są normalną rodziną, mieszkają sobie w okręgu Fairfield z synkiem, córeczką i psem, a jej mąż niespodziewanie wpada w panikę, przerażony, że zainteresowali się nimi sławni sprawozdawcy telewizyjni: Ed Bradley i Diane Sawyer. - Powiedziałam im, że mają do nas dzwonić reporterzy z prawdziwego zdarzenia i dlatego nie mam czasu na rozmowy z byle kim.

- Nonie wiem... Zupełnie nie wiem, co tu zrobić - wymamrotał nerwowo.

- A ja wiem - stwierdziła. Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą do kuchni. - Dokładnie to, co zrobiłam.

Powiedziałam temu reporterzynie, że Geiggen napuścił go na ciebie, mszcząc się za to, że go publicznie upokorzyłeś. Fakt, iż odwiedzałeś moją siostrę w jej mieszkaniu, absolutnie nie świadczy o tym, że miałeś z nią romans. Jeśli skłonny jest traktować poważnie takie dowody, to pojutrze Geiggen zasugeruje mu, że to ja miałam romans z twoim bratem. Siadaj, Rusty, musimy wreszcie coś zjeść. Od razu się lepiej poczujemy. - Włączyła starą płytkę elektryczną do pieczenia wafli, wyjęła z lodówki miskę z naleśnikowym ciastem i zaczęła mieszać je widelcem.

- I co on na to powiedział? - Rusty przystawił sobie krzesło i usiadł przy stole. Nadal jeszcze trochę drżały mu ręce.

- A cóż mógł sensownego powiedzieć? Dałam mu przecież jednoznacznie do zrozumienia, że wiem absolutnie wszystko. O swoim mężu, o siostrze, o ich wzajemnych relacjach. Nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć ani wyprowadzić z równowagi. Nie widzę powodu do zmartwienia. Absolutnie żadnego. - Kapnęła odrobinę wody na płytkę, aby sprawdzić, czy dostatecznie się nagrzała.

- Ale...

- Ale co? - Odwróciła się i nagle, tak nagle, że samą ją to zaskoczyło, zdała sobie sprawę, iż patrzy na to wszystko inaczej. Co było, to było. Nie ma sensu się tym dalej zadreć. Pośpiesznie podeszła do Rusty'ego, przyklękła przy jego krześle i ujęła

### **301**

go za rękę. - Słuchaj, ustalmy raz na zawsze. Wiem wszystko. Nic więcej nie muszę wiedzieć. I od tej pory traktujmy całą sprawę jako nic nie znaczący incydent, o którym należy jak najszybciej zapomnieć. Oczywiście, wpadłeś sobie do Sissy. No i co z tego?

Wpatrywał się w jej oczy i nie odezwał się ani słowem.

- Od tego momentu nie mamy nic do ukrywania. Rozumiesz? Mogą sobie mówić, co im się podoba, a ja cię kocham, Rusty, i darzę cię bezwzględny zaufaniem. A gdyby cokolwiek doszło do dzieci, to wiesz, co masz im powiedzieć. Oczywiście, że odwiedzałeś ciotkę. No i co z tego? Resztę niech wam mama wytłumaczy.

- Och, Jill - wyjąkał. Schylił głowę, ujął jej dłonie i utkwiał w nich wzrok. Po chwili zaczął je całować.

- Obowiązująca wersja jest dokładnie taka: Słowa działają jak zaklęcia. Ja mówię tylko tyle: kocham męża i darzę go bezgranicznym zaufaniem. Innego wyjścia nie ma. A to musi poskutkować. - Schyliła się i pocałowała grzbiet jego dłoni. - Chodź, pozmywamy teraz naczynia.

Objął ją i z całej siły przytulił do siebie.

- Nigdy... przynigdy tego nie pożalujesz, Jill - wyszeptał, tłumiąc szloch.

No cóż... Pożyjemy, zobaczymy, pomyślała.

- Co wy tu robicie? - zawołał w minutę później Peter, wpadając do kuchni. - Kto to widział się tak obściskować! Nie miał racji. To było wielkie pojednanie. Najlepsze, najsen-sowniejsze wyjście. Zapomnieć o wszystkim i zamiast rozdrapywać rany, uwierzyć po prostu, że błędzenie jest rzeczą ludzką i że warto nauczyć się boskiej sztuki wybaczenia win.

Odbierając Willa z lotniska, czuła się tak, jakby jego przyjazd był czymś całkowicie normalnym. Zupełnie ją to zaskoczyło. Powitała go jak dawno nie widzianego przyjaciela. A był to przecież jakiś ewenement, nieczęsto bowiem się zdarzało, by ktoś, kogo poznała po wyprowadzeniu się z Greatfield, odwiedzał ją potem w jej rodzinnym miasteczku.

## 302

Wyruszyli w drogę do domu i w miarę jak miasto ustępowało miejsca przedmieściom, przedmieścia przylegającym do niego miasteczkom, te zaś przydrożnym drzewom i ciągnącym się w nieskończoność pasmom wzgórz i pól, Will stawał się coraz bardziej podekscytowany.

- Ależ tu pięknie-powtarzał raz po raz.

A przecież była późna jesień i naprawdę nie było nic do oglądania.

Facet najwyraźniej zbyt długo mieszkał w Nowym Jorku, pomyślała Libby.

Samo Greatfield całkiem go zauroczyło.

- Co za czarująca miejscinka! Jakby żywcem wzięta z powieści „Zabić drozda” - piał z zachwytem. Rozglądał się na lewo i prawo, dosłownie wszystko go interesowało.

Miasteczko rzeczywiście było malownicze i urokliwe. Ulica Główna, przy której stały stare, wiktoriańskie domostwa; niska, jednopiętrowa zabudowa, ratusz - mały co prawda, ale za to z kolumnami; poczta z granitową iglicą.

Jedyną rzeczą skrzętnie ukrytą był nowoczesny supermarket, należący do sieci Wal-Mart. Mieścił się w zaadaptowanym na ten cel budynku starego gimnazjum (budowlę tę wzniesiono w roku 1938, uczciwie zdobywając pierwsze miejsce w ogólnostanowym turnieju koszykówki). Supermarket - jak wyjaśniła Libby - wyeliminował co prawda z rynku wszystkich niemal właścicieli drobnych sklepów, ale ludzie szybko przestali narzekać i teraz traktują go jak błogosławieństwo. Towary są tańsze i wyższej jakości. Koncern nie miał zresztą specjalnych kłopotów z uzyskaniem zgody na otwarcie tej placówki. Wystarczyło obiecać sklepikarzom pierwszeństwo w zatrudnieniu, ubezpieczenia i inne udogodnienia socjalne.

To miasteczko po prostu dogorywa, tłumaczyła Libby, prowadząc wóz ulicami i machając ręką pozdrawiającym ją przechodniom (samochód jej rodziców znali tu praktycznie wszyscy). Pokazywała Willowi, jak wiele jest podniszczonych domów. Niektóre z nich bielone były wapnem, wcale nie dlatego, by zachować starodawną tradycję, lecz z braku pieniędzy na farby.

Wyjaśniała, że dziewięćdziesiąt pięć procent dzieci urodzonych w Greatfield opuszcza miasteczko, ukończywszy osiemnaście lat, by nigdy już do niego nie powrócić.

- Ale dlaczego? - dziwił się Will. - Czemu młodzi nie chcą tu mieszkać?

- Przecież tu nic nie ma. Przede wszystkim zaś nie ma pracy. Kartele zbożowe wykupiły farmy. Został jeden bar, dwie restauracje, kępielnia i tor do jeżdżenia na łyżworolkach. No i ten supermarket.

- No dobrze, ale weszliśmy już w erę komputerów - spierał się Will. - Wystarczy mieć faks, modem, komputer i można stąd prowadzić każde przedsiębiorstwo. Wyobrażam sobie, że łatwo tu otworzyć jakieś hurtownie, magazyny. Pomieszczeń jest dość, wystarczą niewielkie adaptacje. Siła robocza jest tania. Można byłoby tu na przykład otworzyć hurtownię księgarską. Zaopatrującą choćby subskrybentów jakiegoś wydawnictwa specjalizującego się w sprzedaży wysyłkowej. Nie powiesz mi chyba, że taki interes nie mógłby tu działać?

- Ależ skąd, Will. Za daleko przywozić, za daleko wysyłać.

- Przecież przejeżdżaliśmy przed chwilą przez tory kolejowe, prawda?

- Owszem, ale to była bocznica do transportów zbożowych.

- A widzisz! Więc jednak czymś się tu handluje - ucieszył się. - A poza tym ludzie zajmujący się akcjami, papierami wartościowymi, jak choćby maklerzy, mogą obecnie prowadzić interesy z dowolnego miejsca. Nic im nie każe siedzieć wyłącznie na Wall Street.

- Świetnie! Znajdź więc takich, Will. Pewna jestem, że ludzie nosiliby cię na rękach, gdybyś ich tu ze sobą przywiózł. Bo jeśli nic się nie zmieni, to zgodnie z przewidywaniami mojego ojca, Greatfield ma jeszcze przed sobą dziesięć, góra piętnaście lat. Potem trzeba będzie zamknąć interes i przestać udawać, że jest się miastem. Czytelnia miejska i straż pożarna funkcjonują nadal wyłącznie dzięki ochotnikom. Pieniądzy już na to nie ma. A niedługo zabraknie ich również na opłaty Za energię elektryczną w miejscowej szkole.

- Nie masz racji, Libby - upierał się przy swoim Will. - Widziałem renesans małych miasteczek w stanie Wirginia. Nie ma powodu, aby tu miało być inaczej.

- No dobrze, Will - odparła. - Spróbuj kogoś namówić, żeby otworzył u nas jakiś interes. Będziemy ci bardzo zobowiązani.

- Pewna rzecz została zresztą nie dopowiedziana. Wcale nie miała pewności, jaki byłby stosunek mieszkańców miasteczka do przybyszów z zewnątrz. Zwłaszcza gdyby przybyli tu z Wall Street. Ale w tym momencie martwiło ją przede wszystkim to, w jaki sposób jej matka zareaguje na pojawienie się Willa. Wiedziała, że musi zrobić wszystko, aby utorować mu jakąś drogę. Jedynym sensownym rozwiązaniem było chyba stworzenie pozorów, iż traktuje Willa jako, potencjalnego choćby, narzeczonego. Inaczej będzie to pełna katastrofa.

- O Boże! Czyżby to był twój dom? - spytał Will.

- Tak. Jesteśmy na miejscu.

- Jak ty mogłaś stąd wyjechać, kobieto?

- Nie miałam z tym problemu. Wierz mi na słowo - odparła, myśląc w tym momencie o matce.

- Ależ Libby! Przecież tu jest ślicznie. I cała ta wielka posesja! - zachwycił się dalej.

Właściwie miał rację. Dom naprawdę był piękny. Wiktoriański, z wielką, zachodzącą na boczne ściany frontową werandą, na której nie zabrakło nawet staroświeckiej huśtawki, a raczej ławeczki podwieszanej na łańcuchach.

Tradycyjne wielkie drewniane okna prezentowały się znakomicie i nawet elementy rzeźbionych ornamentacji poddano starannej renowacji. Ściany pomalowane były na biało, okiennice na zielono

- dokładnie tak samo, jak w 1881 roku, kiedy dom został zbudowany.

Podjazd prowadził na zaplecze, gdzie znajdowała się przybudówka, w której - jak wyjaśniła Libby - w dawnych czasach mieszkała kucharka i ogrodnik (oczywiście para małżeńska). Teraz ojciec budował tam swoje modele żaglowe i latające. Mimo tak późnej pory roku w ogrodzie nadal dominowała zieleń, gdzieś tam tylko przeplatana brązem, a posadzone przez mat-

kę specjalnie na jesień chryzantemy walczyły dzielnie, by zachować jeszcze trochę kolorów.

Utrzymanie takiego domu wymagało sporych pieniędzy i wydatki z tym związane pokrywane były przez całe lata z majątku dziadków (zarówno ze strony matki, jak i ojca). W Greatfield nie można było liczyć na godziwe zarobki, nie tylko wykonując zawód prawnika - jak jej ojciec - lecz również jakikolwiek inny. Gdyby więc rodzice Libby nie odziedziczyli majątku, to już dawno musieliby przeprowadzić się w pobliże większego miasta, gdzie ojciec mógłby znaleźć pracę w jakiejś firmie. Dzięki spadkowi jednak nie byli zmuszeni tego uczynić i w rezultacie trzecie już pokolenie Winslowów wychowało się w tym domu. No, niezupełnie, gdyż ściśle biorąc, były to dwa pokolenia Garranów i jedno Winslowów, przy czym jej matka była tu oczywiście spadkobierczynią.

Libby zastanawiała się czasami, czy miasteczko nie upadłoby przypadkiem wkrótce po wyprowadzeniu się rodziców. Zasilali oni w końcu jego kasę, przez całe lata wydając tu pieniądze i płacąc podatki. Czasami rozmyślała również nad tym, co stanie się po ich śmierci. Jej bracia nie mieli żadnych interesów w Greatfield i żadnych szans, aby się tu utrzymać. Właściwie tylko ona mogła wykonywać swój zawód wszędzie, gdziekolwiek by zamieszkała, ale pomysł, by powrócić do Greatfield w charakterze ekscentrycznej starej panny hodującej koty nie wydawał się jej szczególnie ekscytujący. Nie mówiąc już o tym, że z uwagi na jej obecne notowania na giełdzie literackiej stać byłoby ją najwyżej na wynajęcie oficynki na zapleczu domu jej rodziców.

Choć tak naprawdę kochała to miasteczko i tę część kraju. Tu tkwiły jej korzenie. I dlatego też, objeżdżając miasta takie jak Nowy Jork, Chicago, San Francisco, Los Angeles czy Houston, nie bez dumy obwieszczała światu, że urodziła się i wychowała w Greatfield, w stanie Ohio, w miasteczku, o którym nikt przedtem nie słyszał, a które być może wryje się w ludzką pamięć dzięki komuś takiemu jak ona, kto osiągnął sukces i znalazł się nagle w świetle reflektorów.

### **306**

Bracia wraz z rodzinami wyjechali z domu wczesnym rankiem i pani Winslow wraz z Louise Trutmueller przystąpiły do zmieniania pościeli i odkurzania, starając się uporać z porządkowaniem domu, zanim Libby przywiezie swego przyjaciela, którego nazwiska - jak wyjaśniła matka swojej pomocnicy - z jakiegoś powodu nie była w stanie zapamiętać.

- Słuchaj, Will - zaczęła niepewnie Libby, gdy byli jeszcze na podjeździe. - Zanim wejdziemy, chciałam cię uprzedzić, że moja matka bywa czasami trochę... naiwna i staroświecka. Lub też po prostu głupia... To jest chyba właściwe słowo. Nie czuj się więc dotknięty, jeśli...

- Powiedz wprost. Jest antysemitką?

- Jest anty wszystkimu i wszystkim, szczególnie zaś tym, którzy biorą moją stronę i ośmielają się rzucić jakiś cień na nieposzlakowaną opinię wujaszka Grega. Jeśli zaś chodzi o kwestie natury ogólnej, to nie omieszka ci się zapewne pochwalić, że głosowała na Barry'ego Goldwatera. To chyba najgorsza rzecz, jaką od niej usłyszysz.

- Nie martw się - odparł ze śmiechem. - Doskonale dam sobie radę.

I rzeczywiście radził sobie świetnie. Przynajmniej na wstępie. Przywitał się elegancko i nadzwyczaj serdecznie.

Uśmiechnął się, ujął dłoń matki Libby w obie ręce i ściskając ją jak coś drogiego, powiedział cynicznie:

- Droga pani Winslow! Libby opowiadała mi, jaką uroczą i cudowną ma matkę. Ani trochę nie przesadziła. A ten pani dom! Po prostu słów mi brak.

- To bardzo miło z pana strony - odparła pani Winslow^ Will, nadal trzymając jej dłoń, dodał zaraz:

- Nie wiem, czy Libby mówiła pani, że miałem pewne opory, by tu przyjechać.

- Ależ Will! - wykrzyknęła pani Winslow, zwracając się do niego natychmiast po imieniu. - Toż to istny nonsens! Greatfield może ci się wydać nieco archaicznym skansenem, ale my tu nie żywimy żadnych uprzedzeń. Jesteśmy z duszy i serca kosmopolitami.



### **307**

Libby i ojciec wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Oboje się uśmiechnęli i wzniesli oczy ku górze.

- Pan Winslow? - Will zadał to pytanie takim tonem, jakby nigdy nie zamienił z ojcem Libby ani słowa. A przecież cały świąteczny ranek spędzili na rozmowach telefonicznych, planując przewrót, mający na celu uwolnienie rodziny od finansowej tyranii wujcia Grega.

- Miło mi cię poznać, Will! - przywitał go serdecznie pan Winslow. Panowie uścisnęli sobie dłonie. Ojciec Libby był o dobre pół głowy wyższy od Willa, a ona ucieszyła się w tym momencie, że jej bracia już sobie pojechali. Obaj byli jeszcze wyżsi od ojca.

- Hm, hm. Klein - bąknęła pod nosem matka, przygotowując wraz z Libby jakąś przekąskę. - To jeszcze nie najgorsze nazwisko. Bogu dzięki i za to. Mógłby się przecież nazywać Goldfish. Albo jeszcze gorzej.

- Mamo... - Libby zawiesiła na moment głos. Pozwoliła sobie ująć matkę za ramię, choć wiedziała, że nie znosi ona, gdy ktoś jej dotyka. - Bądź sobą, pozwól Willowi być tym, kim jest... i wszystko będzie w porządku.

- Nie wiem, co bym poczęła, gdyby moja córka miała nazywać się Goldfish. I proszę cię, Libby, nie patrz na mnie takim wzrokiem. Nie potrafię niestety zapomnieć, że człowiek, który wykupił wszystkie nasze farmy, był Żydem.

- Nazwisko akurat w niczym by tu nie przeszkadzało - odparła Libby, nie pozwalając wyprowadzić się z równowagi.

- Nie rozumiesz? Will mógłby nazywać się tak lub inaczej. Któż w tym mieście pozwoliłby sobie spojrzeć krzywo na kogokolwiek, kto byłby z tobą skoligacony? Sama wiesz, że byłoby to czymś nie do pomyślenia.

Sugestia, iż matka zajmuje zupełnie wyjątkową pozycję w społecznej hierarchii miasteczka, najwyraźniej ją dowartościowała. Jej rysy nieco złagodniały. Nie była już taka spięta, a Libby - inaczej niż przed chwilą - nie miała już takiej ochoty, by ją uderzyć.

### 308

- A więc pracujesz w finansach - zwrócił się do Willa ojciec Libby.-Na Wall Street.
- Mój brat również obraca kapitałem - nie omieszkała się pochwalić matka Libby. - W Chicago. Poprzednio pracował w banku inwestycyjnym, a teraz działa na własny rachunek. I bardzo dobrze prosperuje - dodała.
- Och, naprawdę mu tego zazdrościsz - rzekł Will. - Ja również chciałbym odejść z firmy i stać się niezależny. - Przyjął z rąk matki filiżankę kawy i serwetkę. - Dziękuję bardzo, pani Winslow. Wspaniale pachnie ta kawa.
- A gdybyś mógł działać niezależnie, to czym chciałbyś się zajmować? - spytał ojciec.
- Tak naprawdę?...-Will zawiesił głos, co sprawiło, że Libby natychmiast zainteresowała się rozmową. - Chciałbym założyć bank i zajmować się tym, czym zajmował się mój dziadek. Budować, stwarzać nową rzeczywistość. Inwestować w drogi, mosty, wspierać inicjatywy tych, którzy mają jakąś wizję, potrafią przedstawić dobry biznes plan, a brak im środków na realizację. Żadnych nowinek, żadnego hazardu ani ryzyka. Ot, zwykły porządny bank w starym stylu. Od nikogo niezależny, zadowolający się umiarkowanym zyskiem i dający zysk tym, którzy z jego ush|g korzystają.
- A my nie mamy już żadnego prawdziwego banku w naszym mieście - wtrąciła pani Winslow. - Wszystko skończyło się wtedy, kiedy farmy... - urwała w pół zdania i zaczerwieniła się. Libby doskonale wiedziała, że znowu chciała wspomnieć o Żydzie, który przejął obciążone hipotecznie farmy. - Działa u nas jedynie oddział dużego banku z siedzibą w Columbus - dokończyła po chwili.
- A więc mamy w końcu bank, Diano - sprostował ojciec Libby. - i to z dużymi pieniędzmi. W dodatku taki, który podsyła mi wielu klientów.
- Prowadzi pan ogólną praktykę adwokacką? - spytał Will.
- Tak to można nazwać.
- Kiedy zadawano nam pytania w trakcie kompletowania

### **309**

składu ławy przysięgłych, Libby musiała wyjaśnić sądowi, że nie zajmuje się pan sprawami karnymi.

- Jak to się nie zajmujesz? - zaprotestowała matka Libby. -A kto reprezentował Steve'a Hicksa, gdy miał sprawę o rozwalenie planszy reklamowej stojącej przy szosie?

- Pewien jestem, że nie o takie sprawy karne im chodziło

- zapewnił ją mąż.

Upłynęło trochę czasu, po czym Libby została oddelegowana do kuchni, by przygotować lunch. Pewna była, że chodzi po prostu o to, iż matka chciała porozmawiać z Willem poza jej plecami. I rzeczywiście, krojąc indyka, usłyszała jej głos:

- No i oczywiście Libby zachowała się tak, że mój brat poczuł się głęboko urażony.

Przysunęła się bliżej do drzwi i zaczęła podsłuchiwać.

- Bo widzisz, Will - mówiła dalej matka - ona nie ma o tych rzeczach najmniejszego pojęcia. Jest bardzo bystrą dziewczyną, nie przeczę, ale nie musi się przecież znać na finansach. Brat stwierdził, że gdyby posiadała choć odrobinę wiedzy na ten temat, to doskonale zrozumiałaby powody, dla których znalazła się teraz w tarapatkach finansowych. Mam nadzieję, że ty to rozumiesz, Will. Sama wpędziła się w kłopoty, a teraz zwała wszystko na mojego brata i wyrzuciła mu w ten sposób ogromną przykrość.

Libby najchętniej wychyliłaby się spoza framugi i zrobiła użytek z noża, który trzymała teraz w ręku.

- No cóż, proszę pani... Myślę, że skoro już tu jestem, to może mógłbym w czymś pomóc - powiedział Will. - Wierzę, że uda się to dość szybko wyjaśnić. Trzeba tylko zapoznać się z konkretnymi.

    Nie patrz na mnie, Diano - odezwał się tym razem ojciec.

- To są twoje pieniądze i twój brat. Wolałbym się do tego nie mieszać.

- Bardzo byłabym ci za to wdzięczna, Will. Nie mogę przecież pozwolić, aby Libby wygadywała jakieś głupstwa, które sprawiają ludziom tyle przykrości. Może mógłbyś jej wszystko

### **310**

wytłumaczyć, aby przestała wreszcie zadrećcać otoczenie swoimi obawami.

Libby uśmiechnęła się. Wróciła do kuchni i użyła noża do tego, do czego był przeznaczony. Rzeczywiście świetnie kroił indyka.

Will tak wspaniale poradził sobie z matką, że było w tym wręcz coś niesamowitego. Poprzedniego dnia, przed pójściem spać, zostało ustalone, że zostaje on jeszcze na następną noc. Pani Winslow nawet słyszeć nie chciała o jego wcześniejszym wyjeździe.

W sobotę, w godzinach rannych, zabarykadowali się oboje w saloniku, by kontynuować poufne narady za zamkniętymi drzwiami. Libby bez żenady próbowała ich podsłuchiwać. Staroświeckie, podwójne drzwi saloniku nie zasuwwały się szczelnie, ale ze środka dochodził jedynie ściszony szmer rozmowy, z rzadka przerywany głośniejszymi wybuchami śmiechu. Tak ją to zdumiało, że chwilami skłonna była powątpiewać, czy Will rozmawia rzeczywiście z jej własną matką.

- Chodź, Corny. Przejdziemy się po mieście - zaproponował po upływie godziny ojciec. Włożyli płaszcze, powiedzieli matce i Willowi, że wychodzą, i wymknęli się na dwór tylnymi drzwiami.

Powędrowali chodnikiem w kierunku centrum miasteczka. Na Głównej nie było właściwie ruchu, gdyż trasa przelotowa poprowadzona została obwodnicą, głównie z obawy o to, by przejazd ogromnych ciężarówek nie uszkodził fundamentów i nie spowodował zawalenia się starych domostw. Ojciec Libby odpowiadał na powitania każdej ze spotkanych po drodze osób, a raz czy dwa razy zatrzymali się, by zamienić parę słów z ludźmi, których Libby znała dobrze z dzieciństwa. Zaszli do małego oddziału banku - tego właśnie, o którym rozmawiano wczoraj - i Libby musiała chwilę poczekać na ojca, gdy ten udał się do gabinetu dyrektora, by załatwić z nim jakąś sprawę. Po

### 312

wyjściu stamtąd wziął córkę pod ramię i zaprowadził na drugą stronę ulicy, do kawiarni „Lily”, gdzie posadził ją w ustronnej łoży. Zupełnie jak przed laty.

Natychmiast zjawiała się kelnerka.

- Witamy, witamy! Słucham pana, panie Winslow.

- Dzień dobry, Alice.

- O Boże, czyżby to była pańska córka? Ta, o której pan mi opowiadał? Pisarka?

- Tak jest, Alice - rozpromienił się ojciec. - Pozwól, że przedstawię ci Corny vel Libby, którą szerokie rzesze czytelników znają jako Elizabeth Winslow. Corny, to jest Alice Shepherd.

Obie kobiety wymieniły uścisk dłoni.

- Pani syn studiuje na Uniwersytecie Stanowym w Ohio, prawda?

Alice zrobiła zdumioną minę.

- Skąd pani o tym wie?

- Z listów tatusia. Pisze mi o wszystkim, co wydarzyło się w mieście. A to była prawdziwa niespodzianka. I prawdziwy powód do dumy.

- Czytałam jedną z pani książek - pochwaliła się Alice. - Tę ostatnią. I bardzo mi się podobała. Poprzednich nie udało mi się jeszcze dostać, gdyż stale ktoś je wypożycza z biblioteki.

Libby szczerze się ucieszyła i serdecznie podziękowała za komplement. Zawsze była bardzo zadowolona, gdy zwykli, szarzy ludzie wydawali pochlebne recenzje o jej książkach.

- Corny! Mam tu coś dla ciebie - powiedział ojciec, gdy tylko kelnerka zostawiła ich samych. Położył na stole kopertę i podsunął ją Libby.

Zajrzała do środka. Znajdował się tam, wystawiony na jej nazwisko uwierzytelniony czek na sumę dwunastu tysięcy dolarów.

- Gdy znajdziesz po temu stosowny moment, to przepiszesz na mnie resztę swoich oszczędności, które ma jeszcze Greg.

- Daj spokój, tatusiu! Jestem w końcu dorosła. Sama zdeponowałam u niego pieniądze. A poza tym to było tylko dziesięć tysięcy.

### 313

- Gdyby miał odrobinę oleju w głowie, to do tego czasu zrobiłoby się z nich dwanaście.
- Tatusiu, w końcu nikt mnie nie zmuszał, bym dała wujowi swoje pieniądze.
- Z wyjątkiem matki. Wiesz dobrze, że to ona cię w to wrobiła - rzekł ojciec. - A mnie byłoby bardzo na rękę, gdybym mógł oświadczyć Gregowi, że jest to obecnie mój kapitał, z którego musi się ze mną rozliczyć.
- Taka perspektywa bardzo ją ucieszyła. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko się uśmiechnąć.
- Ale naprawdę nie powinieneś mi dawać, tatusiu, tych dodatkowych dwóch tysięcy.
- Niby dlaczego? Chyba nadal jesteś moją córką.
- Tak, ale... - Jak miała powiedzieć ojcu, że matka robi mu z tego powodu awanturę?
- Słuchaj, Libby... - zaczął jej poważnie tłumaczyć. - Przecież ja mam także własne pieniądze. Wiem, że zarówno ty, jak i twoi bracia sądzicie zapewne, iż cały nasz majątek odziedziczyliśmy po Garranach. Matka usilnie zabiegała o to, żebyście tak uważali. Ale nie jest to do końca prawdą. Podczas kiedy matka marnotrawiła spore sumy, inwestując u swego braciszka-tępaka, ja przez te lata całkiem nieźle zarabiałem. A więc pozwól mi być dobrym ojcem - zakończył z uśmiechem.
- Nie próbowała nawet ukryć, jaką jej to sprawiło ulgę.
- Bardzo dziękuję, tatusiu. Naprawdę wyciągnąłeś mnie z biedy.
- Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że w ostatnich latach matka dawała sporopieniędzy twoim braciom?
- No cóż... W końcu to jej synowie.
- .Corny... - Ojciec nachylił się ku niej. - Zapisujemy ci dom. Ustaliłem to z matką.
- Dwie czekolady z bitą śmietanką i pałeczką cukrową do mieszania - obwieściła Alice, stawiając tacę na stole.
- Spojrzała nagle na Libby i spieszyła się na widok malującego się na jej twarzy zdumienia. - Jak to? Przecież pan Winslow powiedział, że to pani ulubiony przysmak?

- Mogło być gorzej. - Tak brzmiał komentarz Willa, gdy tego wieczoru wyszli razem na miasto. Swoje obowiązki wykonał aż nadto sumiennie. Przed południem konferował z matką Libby, z obojga rodzicami po południu, po czym rozpoczął rozmowy telefoniczne z wujkiem Gregiem, które z małymi przerwami ciągnęły się przez cały wieczór, niemal do kolacji. Dopiero teraz więc mogli się wybrać we dwójkę do kina.

Libby bardzo zależało, by wyrwać się z domu. Wszystko jedno dokąd. Dowiedziała się tego dnia tylu nowych rzeczy, w głowie miała kompletny zamęt i musiała znaleźć jakiś stosowny moment, żeby się nad tym wszystkim zastanowić.

- Twój wuj mnożył transakcje ponad potrzeby, lokował raz tu, raz tam, pobierając oczywiście za każdym razem opłaty manipulacyjne i prowizje. W sumie około sześćdziesięciu dwóch tysięcy dolarów. I niestety w nic sensownego nie zainwestował. Gdyby włożył wszystkie pieniądze do banku i pozwolił im spokojnie tam leżeć, to przynajmniej by procentowały. Ostatecznie więc, wedle moich szacunkowych wyliczeń, wujaszek kosztował rodzinę jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy.

- Co takiego?! - krzyknęła Libby, zatrzymując się na chwilę. - to pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Ten człowiek powinien siedzieć!

- Tylko nie wygadaj się przed matką, że ci o tym powiedziałem. Prosiła mnie, żebym w żadnym wypadku tego nie robił.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy! - wykrzyknęła ponownie Libby. - Mój Boże! Co za paskudny, stary sukinsyn! Wiesz, ile to jest pieniędzy? I ile rzeczy rzeczy można by za nie zrobić w tym miasteczku?

- No cóż... - westchnął Will. - Niestety, w mojej branży są również tacy faceci, jak twój wujek. W tym przypadku była to raczej głupota niż zamierzona nieuczciwość. Być może uda się załatwić wszystko polubownie. Znam bardzo dobrego doradcę w Columbus. Matka zgodziła się z nim porozmawiać. Udało mi się ją chyba przekonać, że dla dobra spokoju rodzinnego powinna zlecić doradztwo finansowe jakiemuś fachowcowi z prawdzi-

### **315**

wego zdarzenia. Twój wuj skłonny jest zwrócić wszystko. Trzęsie teraz portkami ze strachu.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów! - skarżyła się Libby nie wiadomo już komu, chyba przydrożnemu drzewu.

- A kiedy poinformowałem go, że ojciec przejął twoje aktywa, obiecał przysłać mi pełne rozliczenie, od A do Z. Zależało mu, żeby ta przynajmniej sprawa została definitywnie zamknięta.

- Słuchaj... Czy matka kontrolowała jakoś jego poczynania?

- Praktycznie rzecz biorąc, nie miała nad tym żadnej kontroli. Podpisała mu tak szerokie pełnomocnictwo, że mógł kupować i sprzedawać walory wedle własnego widzimisię.

- Niesamowite! Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów! - jęknęła po raz czwarty i pokręciła bezradnie głową. - Will! Dokonałeś cudu! Bóg wie, do czego mogłoby dojść, gdybyś tu nie przyjechał.

- Cieszę się, że mogłem w czymś pomóc.

- Jestem ci ogromnie zobowiązana. Jak mogę ci się odwdzięczyć?

- Nie musisz się odwdzięczać.

- Mam pomysł. Mogę zacząć choćby od tego, by zaoszczędzić ci oglądania filmu „Scotty i magiczny samochód”. Idę o zakład, że jest on równie wspaniały, jak inne filmy wyświetlane w Greatfield. Chodźmy lepiej do knajpy. Musimy to opić. A przy okazji pokażę ci nasz „Cow Pałace”.

- Dokładnie to samo chodziło mi po głowie - zapewnił ją. „Cow Pałace” rzeczywiście zrobił na nim wrażenie. Nigdy w życiu, nawet w czasach studenckich, nie był w takim lokalu. Stara, pocziwa mordownia pamiętała zapewne lepsze czasy, ale i dziś zdarzało się tam spotkać gości - obojga zrestą płci - których można się było spokojnie przestraszyć.

Usiedli przy barze i Libby przedstawiła Willa barmanowi, do którego nadal zwracała się „panie Downes”, jako że w swoim czasie uczył ją w liceum matematyki. Powód, dla którego pedagog przeniósł się z greatfieldzkiego gimnazjum do „Cow Pałace”, nie został Willowi wyjaśniony.



- Świąteczne odwiedzinki? - mruknął pan Downes, ścierając blat baru. - No dobra... Co mam podać, Libby? Spojrzała pytająco na Willa.

- Chyba powinniśmy się napić czegoś dobrego?

- Piwa z gorzałką?- zasugerował.

- No nie... Jeszcze do tego nie dorosłam. - Uśmiechnęła się, pomyślała chwilę i postanowiła zdać się na pana Downesa. - Robi pan jeszcze te mikstureczki z soków?

- „Czerwonego Zabójcę”? Oczywiście.

„Czerwony Zabójca” okazał się mieszaniną soku z żurawin, grejpfrutów i pomarańczy, z dodatkiem wódki oraz dwóch gatunków rumu. I rzeczywiście działał piorunująco. Po wypiciu dwóch kolejek stało się coś, czego Will się zupełnie nie spodziewał. Przytuleni do siebie, szlifowali deski parkietu, tańcząc w takt powolnej muzyczki country, emitowanej przez wysłużoną grającą szafę.

I naprawdę było cudownie.

Wszystko razem działo się zbyt szybko, bieg zdarzeń zupełnie ją zaskoczył, ale w tym momencie przestała się czymkolwiek przejmować. Pamiętała jedynie o tym, że Will uratował matkę przed utratą reszty pieniędzy, a ojciec pośpieszył jej na odsiecz, ofiarowując czek w wysokości dwunastu tysięcy dolarów. Powinna chyba napisać list dziękczynny adresowany do nowojorskiego sądu, pośrednio bowiem jemu to właśnie zawdzięczała.

Z policzkiem przytulonym do ramienia Willa, ledwie się poruszając przy akompaniamencie smętnego śpiewu jakiegoś nieboraka, który skarżył się, że dziewczyna go porzuciła, Libby spokojnie zastanawiała się nad różnymi rzeczami. Aczkolwiek Will nie wyjawiał jej sumy, którą matka zdeponowała u wuja Grega, to z uzyskanych od niego informacji wnosić mogła, że była ona znacznie większa, niż przypuszczała. Chodziło pewnie

o mniej więcej pół miliona dolarów. A przecież były jeszcze jakieś inne pieniądze Garranów, ulokowane w nieruchomościach

i w funduszach powierniczych - takie, do których nawet wujek Greg nie miał szans się dostać.

Libby nie umiała co prawda pojąć, w jaki sposób potrafił on roztrwonić przypadającą na niego połowę spadku, ale najwyraźniej mu się to udało, skoro zmuszony był wyłudzać prowizje od własnej siostry.

No i wreszcie to, czego dowiedziała się od ojca - o sporych pieniądzach, jakimi matka wspierała w ciągu ostatnich lat jej braci. Ciekawa była, ile też tego mogło być, po czym zaczęła zastanawiać się nad tym, jakim naprawdę majątkiem dysponują jej rodzice, skoro mimo wydatków i strat, jakie ponieśli, stać ich było jeszcze na to, by przekazać jej dom. Zawsze wiedziała, że matka ma jakieś zasoby finansowe, nie przypuszczała jednak, że są to wielkie sumy, ponieważ sama - poza wydatkami na ubranie i edukację - nigdy z rodzinnego budżetu nie korzystała. Po uzyskaniu dyplomu utrzymywała się z pensji nauczycielki i nie przyszło jej do głowy, by prosić rodziców o cokolwiek. Farma dziadków powoli chyliła się ku upadkowi, babcia Garran musiała w końcu ją sprzedać; druga babka, ta ze strony ojca, wymagała bardzo kosztownej opieki w prywatnej klinice geriatrycznej, w której przebywała przez lata. Dlatego też Libby była pewna, że z rodzinnych pieniędzy niewiele już zostało.

Will mocniej objął jej talię. Miło było z nim tańczyć. Dawał poczucie bezpieczeństwa.

Gdzie ona miała głowę, że pewne rzeczy do niej nie docierały? Dlaczego nie uważała za stosowne zastanowić się, jak to możliwe, by jej brat, Ted, kupował sobie dom z pięcioma sypialniami, skoro przed sześcioma laty plajta jego firmy architektonicznej uczyniła z niego bankruta? A drugi z jej braci, Jimbo? Czyż nie posyłał córek na lekcje jazdy konnej i dwa razy w roku nie zabierał rodziny na egzotyczne wakacje? Skąd brał na to pieniądze? Z pensji dziennikarza zatrudnionego w jakiejś trzeciorzędnej gazecie? A przecież żony braci nie pracowały. Żadna z nich niczego nie odziedziczyła i nie korzystała z finansowej pomocy rodziny. Dlaczego więc nie zastanowiła się, skąd mieli na to pieniądze?

Dlatego, że głowę miała w chmurach. Tak zapewne skomen-

towałaby to jej matka. I tym razem miałyby rację. Jak bowiem można było nie zauważyć, że jej rodzeństwo żyje na wysokiej stopie, przy oczywistym braku dochodów, które by taki poziom życia usprawiedliwiały?

Czy ojciec próbował coś jej zasugerować? Czy powinna mieć pretensje o to, że matka rozpieszczała finansowo swych synów, a ją rzuciła po prostu na głęboką wodę, nie interesując się specjalnie tym, jak sobie w życiu poradzi? Może ojciec miał już dość i nie chciał się temu dalej spokojnie przyglądać?

Nie. To nie o to chodziło.

Will był taki rozkosznie ciepły; ich ciała umiały się jakoś do siebie dopasować, odnajdując wspólny rytm.

Nie. Bardziej prawdopodobne było to, że ojciec naprawdę się z nią identyfikował. W jakimś sensie widział w niej siebie. Zależało mu oczywiście na tym, aby jego córka nie miała wątpliwości, że on również potrafi zarabiać, oszczędzać i jeśli zajdzie taka potrzeba, zawsze gotów jest wyciągnąć z tarapatów kogoś bliskiego.

Ale równie ważne było dla niego, by Libby zachowała niezależność i nadal nie poddawała się władzy, jaką matka sprawowała nad innymi członkami rodziny. Choć być może nie chodziło tu o realną władzę, lecz o świat pozorów, za pomocą których matka starała się udowodnić sobie i innym, że taką władzę posiada. Przeciw czemu zresztą ojciec nie oponował, zgadzając się wielkodusznie, by pielęgnowała te swoje wyobrażenia, skoro czynią ją one szczęśliwą. Co za rodzina! A przecież działo się to na Środkowym Zachodzie. I miał to być kraj prostych wartości, prostych wyborów, prostych ludzi. Ale cóż, odkąd najbliższym sąsiadem, zamiast farmera, stał się koncern żywnościowy, wszystko uległo wielkiej zmianie, również i tutaj.

- Myślę, że czas wracać - szepnął jej do ucha Will. Stali nieruchomo na parkiecie. Z szafy grającej nie wydobywał się już żaden dźwięk. - Dość długo nas nie było. Nie chciałbym teraz narazić się twojej matce.

Zgodziła się, choć łatwo jej to nie przyszło. Najchętniej zostałyby

319

tu jeszcze rok lub dwa, by wszystko sobie dokładnie przemyśleć.

Włożyli płaszcze, pożegnali się i wyszli na rześkie, chłodne powietrze. W drodze powrotnej do domu właściwie się do siebie nie odzywali. Kiedy dotarli do skraju posesji Winslowów, Will zatrzymał się.

- Co by się stało, gdybym cię pocałował? Pogniewałabyś się?

- Nie-odparła.

Pocałował ją więc delikatnie w usta. Odczekał chwilę i zrobił to jeszcze raz. A potem zakasłał nerwowo i poprowadził Libby w stronę furtki.

- Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć - bąknął pod nosem.

- Nic nie myśl - odrzekła, przesuwając się obok niego przez ciasne wejście. - Było wspaniale.

## 25

- Wiesz, Melisso... Czasem wydaje mi się, jakbyś oie do końca wierzyła w to, co mówię - powiedziała Christine Harrington. Siedziały obie na balkonie w kawiarni hotelu „Four Seasons”. Zdażyły już zjeść kolację w gwarnej restauracji o nazwie „Russian Tea Room”, a teraz przeszły tu, by posiedzieć w spokoju nad filiżanką kawy cappuccino. Było późno. Tego wieczoru przegadały ze sobą wiele godzin.

- Bo jakoś nie w pełni cię rozumiem - odparła z uśmiechem Melissa. - Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle się mną zainteresowałaś?

- O to mi właśnie chodzi - podchwyciła Christine. Pochyliła się do przodu i podparła dłonią podbródek. - Jesteś młoda, inteligentna, przemiła, urocza... i piękna.... - Roześmiała się. - i nadal nie wiesz, co ja w tobie widzę?

Melissa znowu poczuła się niepewnie i utkwiała wzrok w filiżance z kawą.

- Tyle jest kobiet na świecie... Przecież mogłaś mieć prawie każdą, na której by ci zależało.

- Och, Melisso! - westchnęła Christine.

Zamilkła i dopiero po chwili podniosła wzrok, by podjąć przerwana rozmowę.

- Opowiedziałas mi o swoich rodzicach, o twoim „hollywoodzkim” dorastaniu... i wszystko to doskonale rozumiem.

Niezupełnie natomiast pojmuję, dlaczego tak niechętnie wspominasz o... No wiesz, o tych latach, kiedy jeszcze piłaś.

- Brrr - wzdrygnęła się Melissa, przyciskając dłoń do policzka. - Wiedziałaś, że to właśnie masz zamiar powiedzieć. Widzisz.

- Opuściła rękę, a ton jej głosu stał się nagle ostrzejszy.

- Nawet gdybym starała się w sposób interesujący o tym opowiedzieć, to i tak nic ciekawego w tym nie było. Sama wiem najlepiej. Był to żalorny, wstrętny, odrażający okres mego życia.

- Miałaś wtedy jakieś związki miłosne?

Melissa wybuchnęła śmiechem i spojrzała na sufit takim wzrokiem, jakby spodziewała się stamtąd pomocy.

- O Boże! - jęknęła. - Jakie związki miłosne? Czy ty myślisz, że ludzie decydują się na odwyk wtedy, gdy życie wydaje im się jeszcze znośne, gdy mają kogoś bliskiego i tak dalej? Dokładnie odwrotnie. Idą tam, gdy wszystko uległo zniszczeniu i nie ma już nic do stracenia! Przynajmniej ze mną tak było.

- Daj mi jakiś przykład.

- Dobrze - odparła. Teraz w pełni już panowała nad emocjami. - Wiesz, jak na przykład wyglądałby dzisiejszy wieczór? Przy kolacji byłabym dla ciebie urocza, ale bardzo szybko zaczęłabym pić. I w pewnym momencie ty byś na mnie jakoś dziwnie spojrzała i zaczęła się dopytywać, czy nic mi nie dolega.

- Dlaczego bym to zrobiła?

- Dlatego, że stałabym się nagle okropnie nieprzyjemna i złośliwa. Zaczęłabym ubliżać ludziom, traktować po chamsku każdego, kto by się nawinął: ciebie, kelnerów, innych gości. Wierz mi, najpierw kompletnie by cię to zaskoczyło, a po pewnym czasie zupełnie byś nie wiedziała, co za chwilę się zdarzy. Być może wpadłabyś w panikę, sądząc, że jestem chora umysłowo, aż wreszcie opadłyby ci ręce i poczułabyś się całkiem bezradna.

- No i co dalej?

- Potem wyszłybyśmy na świeże powietrze i nagle stałabym się znowu taka jak przedtem: ciepła, serdeczna, troszkę nieśmiała i troszkę jakby w tobie zakochana. I na pewno robiłabym ci seksualne propozycje. Ale przedtem chciałabym się jeszcze czegoś napić. No i wówczas byśmy tu przyszły... Choć nie, wolałabym raczej usiąść w barze, bo tam jest ciemniej. I po kilku kieliszkach pomyślałabyś nagle: „O Boże! Co się z tą kobietą dzieje? Znowu się robi okropna.”

- Ale w końcu poszłabyś ze mną do łóżka?

### 322

- Bo ja wiem... Różnie mogłoby się to skończyć. Zdarzały się takie noce, że sama byś mnie nie chciała. Potrafiłam zarzygać bar albo czyjś pokój.

Christine skrzywiła się.

- Potem ktoś zataszczyłby mnie do łazienki, ale przedstawienie trwałoby nadal. Mogłabym rzucić się na posadzkę, popęznąć w kącie i zacząć płakać, rozpaczać i wykrzykiwać imię jakiegoś byłego kochanka.

- Och, moja droga... - powiedziała ciepłym, serdecznym głosem Christine. Od pewnego czasu już się nie uśmiechała.

- Ale zdarzały się również i inne noce. Poszłabym wówczas do ciebie, zerwałabym z nas ubrania i kochałabym się z tobą jak wariatka, bardzo zresztą krótko, pewnie nie dłużej niż dziesięć minut. Po czym nagle zaczęłabym gasnąć w oczach. Kompletna zapaść... chyba że miałabyś kokainę. Wówczas byłoby wspaniale. Pociągnęłabym sobie parę niuchów, do reszty bym cię seksualnie wykończyła, po czym ubrałabym się natychmiast, złapała taksówkę i pojechała do pierwszego lepszego faceta, któremu mogłabym akurat wleźć do łóżka. Po to jedynie, by nazajutrz móc udawać przed samą sobą, że nigdy nie robiłam tych rzeczy z kobietą.

- Ja bym... - Christine rozpaczliwie szukała słów.

- Poczekaj chwilę - przerwała jej Melissa. - Nie doszliśmy jeszcze do rana. A przecież rano musiałabym się jakoś pozbierać i pójść do pracy. - Westchnęła. Błądziła wzrokiem po przestronnym hotelowym holu, myśląc o tym, jakie to piękne i spokojne miejsce. I jaki cudowny był ten wieczór. Aż do momentu, gdy musiała to wszystko opowiedzieć.

- Zaoszczędzę ci szczegółów na temat tego, co działałoby się ze mną w łazience. Na początek więc kilka proszków valium...

Christine uniosła do góry dłonie.

- Przestań! Nie musisz mi już nic więcej opowiadać. Wszystko rozumiem.

- Rozumiesz? - spytała ją Melissa. - Jesteś w stanie zrozumieć, jak ktoś, kto ma obsesję na punkcie samokontroli, czuje się w momencie, gdy przypomni sobie taki właśnie wieczór? Wiesz,

### 323

co się ze mną działo, gdy budziłam się rano i dowiadywałam się, że ja... Melissa Grant... wymiotowałam w miejscu publicznym albo leżałam gdzieś jak kłoda na podłodze, czy też radziłam jakimś Bogu ducha winnym ludziom, żeby się jak najszybciej powiesili, bo są beznadziejni? - Spojrzała w głąb holu. - Kompletne zeszmacenie. Fizyczne, seksualne. Jedno gorsze od drugiego. - Spojrzała na Christine. - Brud. Jeden wielki brud. Seks również. A potem przerażenie, wstręt do samej siebie, rozpacz, pragnienie, by jak najszybciej umrzeć. - Wzruszyła ramionami. - W związku z czym, jak łatwo zgadnąć, dość często zmuszona byłam zmieniać pracę.

To ostatnie zdanie powiedziała już zupełnie innym tonem i obie się w tym momencie roześmiały. Napięcie uległo rozładowaniu. Melissa zamówiła lody.

- Od czasu gdy zaczęłam żyć w trzeźwości, moje potrzeby emocjonalne nie wykraczają poza poziom sześciolatniego dziecka. Dlatego też, ilekroć czuję się przegrana, zamawiam sobie coś, co na pewno pocieszyłoby sześciolatka. - Uśmiechnęła się. I nagle, nie wiadomo skąd, poczuła, że po policzkach płyną jej łzy. Sięgnęła po serwetkę i wtuliła w nią na moment twarz. - No i widzisz... Po Cholerę to było? Czuję się jak idiotka. - Pociągnęła nosem i upuściła na stół serwetkę. - Właśnie dlatego nie znoszę o tym opowiadać. Zawsze jest tak samo... Nagle dociera do mnie, kim wówczas byłam, i wtedy natychmiast zaczynam mieć do siebie przetensję, że zawracam głowę komuś takiemu jak ty. I myślę sobie, że gdybym trzymała buzię na kłódkę, to może spotkałabym kogoś... i widzę, że tu jesteś, ale wiem, gdzieś w głębi duszy czuję, że nie mam szans, bo przecież... Tu naprawdę nie chodzi o kobietę, o mężczyznę, o łóżko. Tu chodzi o to, by mieć normalny kontakt z drugim człowiekiem. A ja w końcu samą już nie wiem, czy chcę cię do siebie zrazić, czy też...

Christine przechyliła się przez stół i ujęła ją za rękę.

- Kochana... Wiesz, co o tobie w tym momencie myślę? - zaczęła mówić wolno, starannie dobierając słowa. - Nawet nie myślę... Widzę po prostu przed sobą cudowną młodą kobietę, bez reszty uczciwą, która postanowiła żyć dalej i stać się taką,



jaką zawsze chciała być: szczerą, dobrą, mądrą i piękną. I taka dziś jesteś, Melisso. Taką cię właśnie widzę. Przestań grzebać się w przeszłości. Było, minęło. I jeśli śmiem cię o cokolwiek prosić, to tylko o to, abys nadal trzymała się z dala od alkoholu i narkotyków. I abys przyjęła wszelką pomoc, gdyby była ci ona potrzebna... - Zawiesiła na moment głos. - Bylebyś tylko mogła pozostać sobą.

- Nadal korzystam z pomocy AA - stwierdziła Melissa. - Chodzę na zebrania.

- To dobrze. - Christine zniżyła głos niemal do szeptu i mocniej uściśnęła jej rękę.

Pojawiły się lody.

- Przyniosłam paniom dwie łyżeczki - powiedziała kelnerka.

- Świetnie! - ucieszyła się Christine. Wzięła jedną z łyżeczek i gestem głowy wskazała Melissie, by zrobiła to samo. Powoli, sięgając na przemian do wspólnego naczynia, zaczęły jeść.

- Teraz kolej na mnie - oświadczyła w pewnym momencie Christine. Odłożyła łyżeczkę na talerzyk i spojrzała na Melissę, a ta w pierwszym momencie pomyślała, że chodzi o zamówienie

kolejnej porcji. - Ja również mam bolesne doświadczenia. Także związane z alkoholem. Tylko... jak by tu powiedzieć, doświadczenia z drugiej strony barykady. Mój mąż był... i nadal jest zdeklarowanym alkoholikiem.

- Naprawdę?

- Tak. Tyle że zawsze był w szczęśliwszej sytuacji niż ty. Miał bowiem kogoś, kto uprał po nim pościel albo tłumaczył otoczeniu, że właśnie ma grypę, gdy nie mógł gdzieś pójść, lub że bierze lekarstwa, które mają silne działanie uboczne, gdy wywołał burdę na jakimś przyjęciu.

Melissa uśmiechnęła się mimo woli.

- Tak, tak. Siedzi przed tobą poplecznik alkoholika. Po mistrzowsku potrafiłam go kryć. - Wyraz twarzy Christine nagle się zmienił. Spuściła wzrok i ściszone głosem dodała: - Ale to jeszcze nie wszystko. Muszę ci wyznać coś znacznie gorszego.

Melissa czekała w milczeniu.

- Nie chodzi mi o to, że przez lata tolerowałam jego picie. Znacznie gorzej. Było mi ono po prostu na rękę. Mogłam bowiem załatwiać dyskretnie swoje sprawy. - Zawiesiła na moment głos. - Nie będziesz pierwszą kobietą w moim życiu, Melisso. Wiesz chyba o tym. - Przełknęła ślinę. - Tyle że teraz, gdy postanowiłam się rozwieść, ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależy, to na kontynuowaniu tych małych, pokątnych miłostek.

Melissa skinęła głową. Obie siedziały przez chwilę w milczeniu. Każda z nich intensywnie nad czymś myślała.

Kelnerka przyniosła rachunek. Christine wzięła go do ręki i coś tam na nim naskrobała.

- Pani jest gościem hotelowym? - spytała kelnerka.

- Tak. Pokój 714.

- Dziękuję bardzo, madame.-Dziewczyna Zabrała rachunek z podpisem i oddaliła się.

Na twarzy Christine ponownie pojawił się cierpki grymas.

- Najgorsze, gdy młode dziewczyny zaczynają mówić do ciebie „madame” - poskarżyła się. Wszystko jedno. - Machnęła ręką, wstała i spojrzała Melissie w oczy. - Musimy jeszcze pogadać o wielu rzeczach. Odprowadzisz mnie na górę?

Melissa skinęła głową. Wiedziała, że musi sobie z tym jakoś poradzić, choć w tym momencie własne ciało znowu wydało jej się obce, nieposłuszne, jakby oddzielone od niej samej. Pewny znak, że była przerażona. Miała w końcu jakieś doświadczenia, ale tym razem wszystko było tak inne i nieznanne... Była przecież trzeźwa, absolutnie trzeźwa. I za chwilę miało się to stać. Już się właściwie stało.

Kiedy znalazły się na siódmym piętrze, Christine włożyła kartę magnetyczną w czujnik zamka, światelko nad gałką klamki zmieniło się na zielone, pchnęła drzwi i przytrzymała je, przepuszczając Melissę przodem. Gdy obie znalazły się w pokoju, zamknęła drzwi, wyjęła torebkę z rąk Melissy i postawiwszy ją na podłodze obok własnej, którą przed chwilą upuściła, obiema dłońmi objęła jej ręce i powiedziała:

- Nie będę cię namawiać, abyś została. Chciałabym, żebyś przemyślała spokojnie wszystko, o czym mówiłyśmy. Pochyliła się do przodu i delikatnie pocałowała Melisę w usta, po czym zawahała się przez moment i zrobiła to powtórnie. A potem przywarła ustami do jej policzka i szepnęła:

- Chciałabym bardzo, żeby wszystko między nami dojrzewało powoli. - Musnęła ustami jej skroń. - Musisz mieć czas, by się z tym oswoić. - Pocałowała ją w czoło. - Z myślą o tym, że będziemy się widywać, oglądać...

Zobaczmy, jak nam to będzie wychodzić - szepnęła, całując jej ucho. Ten ostatni pocałunek, ulotne, delikatne muśnięcie wargami, zelektryzował Melisę, wstrząsnął nią całą.

Christine musiała to wyczuć. Objęła ją ramionami i przytuliła się do niej. Jej usta, coraz bardziej namiętne i niespokojne, wpiły się w szyję Melissy i po chwili znowu odnalazły koniuszek jej ucha.

Potem odstąpiła o krok i oddychając gwałtownie, stała, nie odrywając dłoni od ramion Melissy, wpatrzona w nią i niespokojna. Oczy jej płonęły, a Melissa uświadomiła sobie w tym momencie, że nigdy w życiu nie widziała kogoś tak urzekająco pięknego, istoty, w której można byłoby się tak bez reszty zatracić. I teraz ona z kolei postąpiła krok do przodu i zaczęła całować Christine. Po chwili poczuła jednak, że Christine spięła się i wyslizgnęła z jej ramion.

- Co się stało? - spytała, odgarniając z twarzy kosmyk włosów, który zasłaniał jej oczy.

- Muszę ci wyznać ostatnią ważną rzecz. Powinnaś wiedzieć, że... że ja mam dzieci.

26.

W niedzielę rano ktoś zapukał do sypialni Willa. Pośpiesznie skończył zapinać guziki koszuli i otworzył drzwi. Stała za nimi uśmiechnięta Libby.

- Dzień dobry! - pozdrowiła go. - Jak ci się spało?

- Świetnie.

- Mogę z tobą chwileczkę porozmawiać?

- Oczywiście.

Weszła do środka i cichutko zamknęła drzwi.

- Zanim wydam cię na pastwę zachwyconego tobą audytorium, które oczekuje na ciebie na dole, chciałam ci powiedzieć pewną ważną rzecz. Mogę usiąść?

Wskazał jej łóżko. Przysiadła na krawędzi, podczas gdy Will, wyraźnie skrepowany, stał na środku pokoju.

- Wczorajszy wieczór... Cały ten weekend był naprawdę cudowny - zaczęła niepewnie. - Pomyślałam sobie jednak...

tylko nie zrozum mnie źle... - tłumaczyła nieskładnie - ale chodzi o to, że uczestniczymy oboje w tej sprawie i powinniśmy poczekać, do chwili gdy... No nie wiem... Chcę ci po prostu powiedzieć tyle: bardzo mi się podobasz,

Will, i zależy mi na tym, by móc cię bliżej poznać. I odnoszę wrażenie, że ta sympatia jest wzajemna.

- No jasne - zapewnił ją. Cała jego nieśmiałość i zakłopotanie nagle gdzieś się ulotniły.

Jill podeszła z tyłu do Rusty'ego i pocałowała go w kark.

- To był cudowny pomysł!

Wyglądali przez wielkie, panoramiczne okno motelowego pokoju i patrzyli na bawiące się na plaży dzieci.

Opatulone

w masę ciepłych rzeczy, okrągłe jak beczułki, uganiały się z Duncanem po plaży. Wiał porywisty wiatr; dzieciaki rozkładają szeroko ręce, jakby chciały, by uniósł je w górę i poniósł wzdłuż wybrzeża.

Tompkinsowie wyjechali z domu w piątek. Początkowo nie bardzo wiedzieli, dokąd mają się udać, ale po upływie pół godziny zdecydowali, że pojedą gdzieś nad wodę i ruszyli w stronę oceanu. Wkrótce dotarli na wybrzeże i jechali przed siebie, mijając po drodze szereg wymarłych miasteczek - nieczynne o tej porze roku letniskowe kurorty New Jersey. Znaleźli jakiś czynny motel położony przy samej plaży, wynajęli w nim dwa przylegające do siebie pokoje, nadpłacając nieco, by pozwolono przemyścić piątego lokatora - psa Duncana.

Zdążyli już obejrzeć dwa filmy, pograli w kręgle, pojeździli na łyżworolkach i teraz, w niedzielne popołudnie, odpoczywali po lunchu, przerzucając ilustrowane pisma i przyglądając się dzieciom, które bawiły się na plaży.

- Jak myślisz, chyba powinniśmy się przeprowadzić? - odezwał się nagle Rusty.

Jill drgnęła. Jakie to dziwne, pomyślała. Tak niedawno też jej to chodziło po głowie, ale teraz, gdy postanowiła, że nadal będą małżeństwem, przeprowadzka przestała być jej do czegokolwiek potrzebna.

- Dokąd?

Nadal trzymała dłonie na barkach Rusfy'ego i teraz poczuła, jak jego ramiona uniosły się nagle do góry i opadły.

- Gdzieś blisko oceanu - powiedział. - Na Florydę, do Kalifornii. Wszystko jedno gdzie.

- A co z pracą?

Ponownie wzruszył ramionami, ale tym razem się nie odezwał. Stał wpatrzony w bawiące się nad morzem dzieci.

Will nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w życiu był tak szczęśliwy. Pobyt u Winslowów udał się wspaniale, a Libby okazała się kobietą nie tylko uroczą i powabną, ale również niezwykle miłą i serdeczną w codziennych kontaktach.

Pan Winslow, odwożąc ich na lotnisko, powtarzał bez przerwy, że Will wyświadczył rodzinie bardzo cenną przysługę. Martwił się, że nigdy zapewne nie będą w stanie się za to zrewanżować, ale i tak kazał Willowi przysiąc, że natychmiast da znać, gdyby kiedykolwiek on sam lub pani Winslow mogli mu się okazać w czymś pomocni. Byliby szczęśliwi, mogąc choć częściowo spłacić zaciągnięty wobec niego dług wdzięczności.

Gdy Libby i Will usiedli na sąsiednich miejscach w samolocie, uśmiechali się do siebie bez przerwy, choć żadne z nich nie czuło się zbyt pewnie, jakby ta nagła bliskość onieśmiałała ich i żenowała. Poza tym nie sposób było zapomnieć, że od jutra zaczynało się normalne życie. Codzienna krzątanka. Will, pragnąc upewnić się, czy Betsy, zgodnie z obietnicą, wyprowadziła się, zadzwonił z pokładu samolotu do swojego mieszkania.

- Nikt nie podnosi słuchawki - zakomunikował Libby. - Nareszcie będę mógł wrócić do domu.

- A gdzie jest ten twój dom?

- Właściwie to tylko mieszkanie. Przy Gramercy Park.

- Własne czy wynajęte?

- Własne. Z dwoma sypialniami. Całkiem przyjemne. Właściwie to Betsy zadbała o to<sup>^</sup> żeby zrobiło się tam miło. To chyba jedyna rzecz, jaką jej zawdzięczam. Sam nigdy nie miałem czasu, by urządzić mieszkanie. Ale teraz znowu będzie paskudnie, gdyż oddałem jej większość mebli.

Libby wpatrywała się w Okienko, przez które widać było jedynie nocne niebo.

- Powiedziałem coś niewłaściwego?

- Co takiego? Nie, nie. Myślałam o Halu. O naszym wspólnym mieszkaniu. I o wyprowadzce. - Ponownie zwróciła głowę ku oknu.

Will przełknął ślinę.

- Tęsknisz za nim? Odwróciła się ku niemu.

- A ty tęsknisz za Betsy?

- Nie.

- Hm - westchnęła. Ja również za nim nie tęsknię, ale

przyznać muszę, że czegoś mi brak. Wygodniej jest mieszkać we dwoje. Chyba się do tego zanadto przyzwyczaiłam. Nie chodzi o to, że wspólnie opłaca się świadczenia; ale o rytm dnia, dzielenie się obowiązkami. W sumie człowiek ma mniej rzeczy na głowie. Poza tym życie towarzyskie, wspólni znajomi... Świadomość, że kiedy wyjeżdżasz, to masz do kogo wracać. A kiedy mieszkasz samotnie, wszystko jest na twojej głowie. Są niby pewne plusy, ale w sumie, dla mnie przynajmniej, bilans jest niekorzystny. Może dlatego, że nie lubię mieć zbyt dużo czasu na myślenie. Takie obsesyjne myślenie o sobie, wiesz, o co mi chodzi? A kiedy byłam z Halem, to miesiącami nie mogłam znaleźć chwili czasu, żeby zastanowić się nad tym, jak bardzo jestem nieszczęśliwa.

- To chyba naprawdę nie jest powód do radości!

- Owszem. Ale może być świetnym bodźcem do skończenia książki - odparła z uśmiechem. - Życie w złym, nieszczęśliwym związku z drugim człowiekiem miewa zbawienny wpływ na produktywność powieściopisarza. Wierz mi!

- Libby! Jakie ty okropne rzeczy wygadujesz! - roześmiał się. - Co za pokrętne rozumowanie. Sa chyba lepsze powody, by z kimś zamieszkać. Na przykład miłość.

- frty to mówisz? - udała zdumioną. - Po swych ostatnich doświadczeniach?

- Słuchaj - stropił się nieco - ja nie stawiam siebie za przykład. Chcę ci powiedzieć tylko tyle - dotknął jej ramienia - że ktoś taki jak ty nie powinien rezygnować z miłości. W żadnym wypadku. Tobie to zupełnie nie przystoi.

- Will, powiedz uczciwie... Widziałeś kiedy, żeby namiętność trwała dłużej niż trzy miesiące?

- Nie. Ale co z tego? Skoro ciągle mam nadzieję, że u mnie trwałaby ona dłużej. Musiałbym się tylko zakochać w odpowiedniej kobiecie.

Teraz Libby zaczęła się śmiać.

- Zdaje się, że nareszcie wiemy, dlaczego oboje nie zaznaliśmy dotąd uroków stanu małżeńskiego. I dlaczego nasze życie miłosne nie najlepiej nam się chyba układało.

### 331

- No cóż... Dotąd tak było, ale to się przecież może zmienić

- odparł.

Powiedział to jakoś tak, że się zarumieniła. Pozwoliła sobie jednak jedynie na przelotny uśmiech, klepnęła Willa w ramię i odwróciła się z powrotem ku oknu.

Po wyjściu z lotniska Will złapał taksówkę, podwiózł Libby do domu, po czym pojechał dalej w kierunku Gramer-cy Park. Już z daleka udało mu się dostrzec, że okna jego mieszkania są ciemne. Sprawilo mu to prawdziwą ulgę. Bez przerwy trapiła go obawa, że Betsy mogła jednak nie zrezygnować, poczekać na jego powrót i błagać go, by z nią nie zrywał. Taksówka podjechała pod sam dom, a w chwilę potem drzwi otworzył mu portier, który - nie wiedząc czemu

- gapił się na niego tak, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

- Pan Klein?

- Cześć, Ralph! Jak tam leci? Dobrze spędziłeś święta?

- Pan wrócił... - wybąkał portier.

Will nie miał do faceta pretensji. Ostatnio tyle się tu działo, że biedak mógł rzeczywiście stracić rozeznanie, kto z kim i u kogo tu mieszka.

- Jej już tu nie ma, prawda? - zaryzykował mimo wszystko pytanie.

- Nie, proszę pana. Przynajmniej w tej chwili.

Will zapłacił taksówkarzowi i pojechał windą na swoje piętro. Zatrzymał się tuż przed drzwiami, nasłuchiwał przez chwilę, po czym wsadził klucz w zamek.

No, niezupełnie. Raczej próbował go wsadzić. Bez skutku.

Pomyślał najpierw, że pomylił klucze, ale wnet dostrzegł nowy, trzeci zamek, wprawiony w górną część drzwi, powyżej dwóch starych, do których jego klucze również nie pasowały.

Co to, do cholery, znaczy?

Rzucił walizkę na wycieraczkę i pomknął schodami na parter.

- Ona prosiła, żeby to panu przekazać - powiedział z niewyraźną miną Ralph i wręczył mu kopertę.



**332**

Rozerwał ją i wyciągnął list. Niech to szlag!

Pozywa go do sądu. I dopóki nie otrzyma odpowiedzi na pozew, nie zamierza opuścić lokalu, z którego próbował ją podstępnie i bezprawnie wykwaterować.

27.

W poniedziałek rano, w holu na Centre Street 100 powitał Libby znajomy głos:

- Czy to nasza Cornelia?

Pani Smythe-Daniels, odziana w swoje wspaniałe futro, wmaszerowała majestatycznie do budynku, kompletnie ignorując strażnika, który ścigał ją od samego wejścia.

- Ach, moja droga! To twoje zdjęcie, prawda? - entuzjasmowała się dalej, podsuwając Libby pod nos okładkę jej ostatniej powieści. - Zobaczyłam tę książkę na stoliczku u mojego syna, spojrzałam na fotografię i mówię: „Przecież to nasza Cornelia! Zasiada z nami w ławie przysięgłych. Chyba że ma siostrę bliźniaczkę.” - Zachichotała piskliwie. Po chwili dopiero raczyła zauważyć strażnika.

- Czy pan czegoś ode mnie chce, młody człowieku? - spytała, nie ukrywając irytacji.

- Owszem. Czy ma pani przepustkę?

- Ach! O to chodzi...

Ludzie śpieszący do gmachu sądu przystawali na chwilę, by się na nich pogapić. Pani Smythe-Daniels pokazała strażnikowi przepustkę, wzięła Libby pod rękę i poszły w kierunku wind.

- Mój syn nie mógł się nadziwić, że znamy się osobiście. Bardzo mu zależy na twoim autografie. Napisz mu jakąś miłą dedykację, dobrze? Ma na imię Malcolm.

Zanim Libby dotarła do pokoju przysięgłych, jej asysta liczebnie się powiększyła, przyłączyli się bowiem do nich Basia i małolat Ronnie, oboje w nie mniejszym stopniu zafrapowani odkryciem, że ich koleżanka z ławy przysięgłych naprawdę jest kimś.

- Libby! - rozpromienił się na jej widok Alex. Poderwał się z miejsca i wyciągnął do niej rękę.

- Tak wilewnie to on wita wyłącznie ciebie - zauważyła Elena. Uśmiechnęła się głupawo i trąciła łokciem swą przyjaciółkę ; Adelaide.

Alex pomógł Libby zdjąć płaszcz i powiesił go na wieszaku. Wyglądało na to, że stojące obok niego wolne krzesło zarezerwował dla niej. Usiadła na nim w końcu, choć tym razem bynajmniej jej to nie ucieszyło.

- No i jak było? - spytał, nachylając się ku niej. - Jak spędziłaś święta?

- Nadspodziewanie dobrze - odparła zdawkowo. - A ty?

- Wszystko było niby jak trzeba. Ale i tak nie mogłem się ! doczekać, kiedy tu przyjdę.

- Słuchajcie, ludzie! - odezwał się Ronnie. - Wiecie, kim jest Cornelia? Pani Smythe-Daniels zaraz wam coś pokaże.

- Zaraz, zaraz. Żebyście tylko czegoś mi na to nie wylali - odrzekła posiadaczka książki, zdejmując futro. Libby starała się nie zwracać uwagi na krążący wokół stołu egzemplarz jej powieści. Na szczęście zjawiała się Melissa; sławna autorka mogła więc po prostu odejść od stołu, by się z nią przywitać.

- Jak ci się udała ta niedziela? - spytała.

Melissa westchnęła z rozkoszą. Powiesiła płaszcz i odwróciła się ku Libby.

- Aż tak dobrze?

Zapytana po raz drugi skinęła głową i niepewnie się uśmiechnęła.

- Tak. Chyba tak. Choć... sama już nie wiem... To znaczy, wiem, ale... - Zrezygnowała z tego, co chciała w tym momencie powiedzieć. - Słuchaj, Libby. Musimy ze sobą pogadać. Chciałabym ci wyjaśnić coś ważnego.

- Oczywiście. Może zjadłybyśmy razem lunch? - Libby poczuła nagle, że pałają jej policzki. - Właściwie to i ja chciałam ci się z czegoś zwierzyć - wyznała, zniżając głos. - Zdarzyło się coś ważnego w czasie tego weekendu.

### 335

Melissa przeniosła wzrok na kogoś, kto stanął za plecami Libby.

- Cześć, Will!

Libby z uśmiechem na ustach obróciła się na pięcie i natychmiast spochmurniała. Will wyglądał okropnie. Był skrajnie wyczerpany, jakby trzy noce nie spał.

- Cześć-powiedział ściszym, matowym głosem.

- Libby! - zawołał od stołu Alex. - Chodź tu, chcę ci coś pokazać.

- Chwileczkę - odpowiedziała zniecierpliwionym tonem, po czym zwróciła się do Willa. - Co się stało?

- Potem ci opowiem - bąknął. - Przecież ten Alex za chwilę da mi w łeb.

Libby odwróciła się w kierunku stołu. Will miał całkowitą rację. Z oczu Alexa wycierała złość. Wróciła na swoje miejsce i usiadła obok niego, obiecując sobie w duchu, że o niczym mu nie opowie. A już na pewno nie o odwiedzinach Willa w Greatfield, o tym, że pili razem „Czerwonego Zabójcę”, tańczyli w takt smętnej muzyczki country, a jej matka wtajemniczyła Willa w swoje finansowe sprawy.

- Witajcie - pozdrowił kolegów Will, zajmując miejsce po drugiej stronie stołu, dokładnie naprzeciwko Libby. - Jak udały się święta?

Kilka osób bąknęło coś zdawkowo i po chwili rozpoczęła się beładna gadanina: o indyku, o tym, że nie można było czytać gazet i oglądać wiadomości telewizyjnych, o krewnych i znajomych, którzy zadreęczali pytaniami o przebieg procesu.

- Jak było w Ohio? - spytał ją Will, sygnalizując w ten sposób, że on również skłonny jest milczeć jak grób.

- Świetnie - odparła.- A w Chicago?

- Pierwszorządnie! Najlepsza wycieczka w życiu. Dopiero powrót do domu podziałał jak kubeł zimnej wody.

- Słuchaj, Libby, może byśmy poszli wieczorem na kolację - przerwał Alex, ostentacyjnie ignorując obecność Willa.

- Nie ma mowy. Mam dziś sporo spraw do załatwienia.

**336**

- No to może jutro - nie ustępował. - A dziś chociaż wpadlibyśmy na drinka.

Ogarnęła ją zimna dość. Najwyższy czas, by z nim porozmawiać. I to dziś wieczorem. Czas z tym skończyć. Będzie chyba musiała wyłożyć kawę na łaWę. To nie jest facet, który zrozumiałby jakieś aluzje. Spojrzała na Willa. Położył przed sobą „Village Voice” i pilnie przeglądał ogłoszenia. Nie miała pojęcia, czego, do licha, może tam szukać.

Zjawił się Stephen. Tak samo zmalretowany i strapiony jak Will. Bąknął jakieś słowa powitania, usiadł obok Melissy i zaczął z nią o czymś szeptem rozmawiać.

Alex tymczasem uparcie wypytywał Libby, co robiła w czasie weekendu, a czynił to w sposób tak natrętny, że natychmiast poczuła się rozdrażniona.

Na szczęście pojawił się Chuck. Przed sprawdzeniem listy obecności spytał, jak udały się święta, a przysięgli markotnym głosem bąkali jakieś zdawkowe odpowiedzi. Znowu czuli się uwięzieni; ogarniała ich ta sama, znana im dobrze, sądowa chandra.

Okazało się, że nieobecna jest jedynie Bridget, a kiedy Chuck dla uspokojenia stwierdził, że zna powody jej nieobecności, Ronnie spytała natychmiast:

- Co się z nią stało? Chyba nie umarła ani nie zachorowała?

- Kto znowu umarł? - ocknęła się Adelaide.

- Nic się jej nie stało - zapewnił Chuck. - Natomiast jej mąż miał poważny wypadek samochodowy.

- Miał jechać po jej matkę do Bostonu - przypomniała sobie Libby.

- Tego nie wiedziałem - stwierdził Chuck. - Wiem natomiast, że stan jej męża jest ciężki. I dlatego została zwolniona od udziału w sprawie.

Melissa spojrzała na Stephena.

- Wynika z tego, że ty zostaniesz powołany w skład ławy.

- Tego mi jeszcze brakowało! - jęknął Stephen i ukrył twarz w dłoniach. - Bill na pewno umrze wtedy, kiedy będą nas trzymali w odosobnieniu.

- W odosobnieniu? - spytała pani Smythe-Daniels, wyraźnie przerażona.
- On się chyba nazywał Rupert - odezwała się Adelaide.
- Kto?-spytała ją Elena.
- Ten facet, który umarł - wyjaśniła pani przewodnicząca.

Nareszcie wprowadzono ich na salę. Pani sędzia Williams nie wyglądała na zadowoloną z tego, co się stało. Oznajmiła na wstępie, że Bridget Bell, przysięgła numer jedenaście, została zwolniona od udziału w sprawie z powodu tragedii rodzinnej, która wydarzyła się w czasie ubiegłego weekendu, w związku z czym do składu ławy dokooptowany zostaje Stephen Cadalone. Odczekała chwilę, by zdążyć przejść z tylnego rzędu na miejsce numer jedenaście, po czym wznowiła postępowanie dowodowe.

Zeznawać miał kolejny świadek powołany przez oskarżyciela - Jamal White. Wyczytanie jego nazwiska wywołało pewne ożywienie wśród publiczności. Był to czarny mężczyzna, odziany w bajecznie kolorowy strój i nakrycie głowy przypominające turban. Kiedy już usadowił się na miejscu dla świadków, strażnik sądowy szepnął coś do niego i wówczas zdjął on ten swój dziwny kapelusz; gdy zaś z kolei podano mu Biblię, pokręcił przecząco głową i został zaprzysiężony bez niej.

Był on - jak wynikało z jego słów - aktywnym członkiem muzułmańskiej wspólnoty wyznaniowej w New Jersey. Udzielał się tam społecznie, zajmując się intensywnie młodocianymi przestępcami, których usiłował sprowadzić na dobrą drogę. W młodości sam miał jakieś zatargi z prawem, ale było to dawno, kiedy mieszkał jeszcze w Newark, a teraz, od przeszło czterech lat, prowadził się nader przyzwoicie. Był mechanikiem samochodowym i miał stałą pracę w swoim zawodzie.

Po tych wstępnych ustaleniach MacDonald przeszedł do meritum sprawy, pytając go, skąd znał oskarżonego. Jamal odparł, że właściwie nie znał go osobiście, choć wielokrotnie go widywał. Oskarżony bowiem często pojawiał się w środowisku jego podopiecznych i niektórzy z nich dobrze go znali.

- Panie White - zwrócił się do niego MacDonald - czy zech-

ciałby pan wyjaśnić sędziom przysięgłym, jakiego rodzaju interesy załatwiał oskarżony w środowisku, o którym mowa?

- Kupował narkotyki u handlarzy.

- Jakiego rodzaju narkotyki?

- Głównie kokainę. Był stałym klientem handlarzy koką.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - zaprotestował Geiggen. Twarz podgoiła mu się już nieźle po tym, co spotkało go w ubiegłym tygodniu. - Świadek powtarza zasłyszane pogłoski. Chyba że sam sprzedawał kokainę mojemu klientowi.

- Proszę powstrzymać się od złośliwych komentarzy i pomówień, panie Geiggen - upomniała adwokata pani sędzia Williams. - Natomiast sprzeciw jest merytorycznie słuszny. Proszę, aby oskarżyciel pytał świadka o to jedynie, z czym zetknął się on osobiście.

- Tak jest, Wysoki Sądzie - powiedział MacDonald, skłaniając głowę, po czym zwrócił się do świadka: - Czy może pan wyjaśnić ławie przysięgłych, dlaczego oskarżony rzucał się panu w oczy?

- Jeśli w takiej społeczności, jak nasza, pojawia się biały facet z wozem wartym siedemdziesiąt tysięcy dolarów, to chyba trudno go nie zauważyć - odpowiedział z uśmiechem Jamal.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. O ile mi wiadomo, świadek nie jest ekspertem od wyceny samo... - Geiggen urwał w pół słowa. Zorientował się, że strzelił gafę. - Przepraszam, Wysoki Sądzie. Zapomniałem, że świadek jest mechanikiem. Wycofuję sprzeciw.

- A więc powiada pan, że biały mężczyzna, przyjeżdżający tego rodzaju ekskluzywnym wozem do pana dzielnicy, z łatwością rzucał się w oczy? - powtórzył za świadkiem MacDonald.

- Oczywiście. Tym bardziej, że wydawał on u nas duże pieniądze.

Oskarżyciel zadawał pytanie za pytaniem, Libby zaś zaczęła się w pewnym momencie zastanawiać, do czego to wszystko zmierza. Wiedzieli już przecież doskonale, że oskarżony był narkomanem i kupował środki, gdzie się tylko dało. Tylko jaki to miało związek z zabójstwem Sissy Cook? W końcu okazało się jednak, że związek taki istnieje.

**339**

- Kiedy po raz ostatni widział pan oskarżonego w waszej dzielnicy? - spytał MacDonald.
- W czwartek, dziesiątego lutego 1994 roku. Mniej więcej dziesięć po pierwszej w nocy.
- Jak to się stało, że zapamiętał pan dokładną datę i godzinę?
- Dziewiątego są moje urodziny. Wyszedłem z urodzinowego przyjęcia tuż po pierwszej.
- I gdzie widział pan oskarżonego?
- Na rogu Ósmej Ulicy i Byron Avenue.
- Co on tam robił?
- Stał przy swoim samochodzie i rozmawiał z jakimś mężczyzną.
- Czy wie pan, kim był ten człowiek?
- Nie. Nie widziałem go zbyt dokładnie.
- I co stało się potem?
- Oskarżony zauważył mnie i moich przyjaciół, a kiedy ruszyliśmy w jego stronę, wsiadł do jaguara. Ten drugi zrobił to samo.
- Czy może pan opisać wygląd tego drugiego mężczyzny?
- Ciemnoskóry... bardzo wysoki. Wydaje mi się, że miał na sobie skórzaną kurtkę. Ale nie jestem tego pewien.
- Czy byłby pan w stanie go rozpoznać?
- Nie. Nie widziałem jego twarzy.
- I co się później stało?
- Odjechali.
- I twierdzi pan, że miało to miejsce około pierwszej dziesięć po północy?
- Tak jest.
- Panie White, jak długo jedzie się z pana dzielnicy na Manhattan?
- O tej porze? Jakies dwadzieścia pięć... no, może trzydzieści minut.

MacDonald przypomniał następnie, że świadek rozpoznał oskarżonego na przedstawionych mu zdjęciach. Żółta plansza z sześcioma fotografiami została włączona do materiału dowo-



### **340**

dowego. Jamal wskazał go także bezbłędnie na konfrontacji \ przeprowadzonej przez policję.

MacDonald na tym właśnie zakończył, a następnie świadkiem zajęła się obrona. Geiggen zaczął bardzo ostro, domagając się wyjaśnienia, skąd świadek ma pewność, że widział oskarżonego, skoro nie był w stanie, jak twierdzi, przyjrzeć się dokładnie człowiekowi, z którym tamten rozmawiał. Jamal bronił się dzielnie, ale obrońcy udało się zasugerować ławie przysięgłych, iż w istocie widział on jedynie samochód marki Jaguar, w związku z czym mogło mu się wydawać, że stoi przy nim ten, którego często w owym wozie widywał.

- Czyż nie zeznał pan przed chwilą, że mój klient często bywał w waszej dzielnicy?

- Tak. Zeznałem.

- No cóż... - Geiggen zawiesił na moment głos, po czym zwrócił się ku ławie przysięgłych, przesadną gestykulacją podkreślając ważność tego, co ma do powiedzenia. - Jeśli tak, to wszystko jest w zasadzie jasne. Znając z widzenia oskarżonego, mógł go pan oczywiście rozpoznać na zdjęciach. Prawda? - Obrócił się na pięcie i spojrzał tryumfująco na świadka.

- OJaczego miałbym rozpoznać kogoś, kogo po prostu...

- Tak czy nie, panie White? - zagrział Geiggen. - Skoro wcześniej, przed dziesiątym lutego, wielokrotnie widywał pan oskarżonego, to mógł pan rozpoznać go na każdym zestawie okazanych panu zdjęć. Chyba jest to jasne?

- Tak? - świadek, kompletnie zdezorientowany, spojrzał bezradnie na sędzinę.

Geiggen spytał o coś swego asystenta, po czym dalej znęcał się nad świadkiem, wypytyując go o to, czy przed czterema laty zwolniony został z więzienia dlatego, że dostarczył prokuraturze stanowej dowodów, na podstawie których można było skazać pewnych handlarzy narkotyków. Jamal przyznał, że tak właśnie było. A jakie były jego powiązania z organami ścigania, czy obiecano mu coś w zamian za kooperację w tej właśnie sprawie? I jakim cudem ktoś, kto współpracował z policją, może sobie

**341**

spokojnie spacerować w opanowanej przez narkotykowe gangi dżungli Jersey City?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - zaprotestował MacDonald.

- Wycofuję ostatnie pytanie. - Geigen świadomie po raz któryś z rzędu formułował ostatnie pytania tak, by mogły podważyć wiarygodność świadka w oczach przysięgłych. - To już wszystko, Wysoki Sądzie - oświadczył zjadliwie. Nastąpiła krótka przerwa. Ledwie Libby znalazła się w pokoju przysięgłych, znowu poczuła się wydana na pastwę Alexa.

- Co ci jest? - naprzykrzał się. - Co się takiego stało? Masz do mnie jakieś pretensje?

Wstała w końcu i udała się do toalety, żeby się od niej wreszcie odczepił.

Po powrocie na salę sądową oskarżenie powołało kolejnego świadka - policjanta, który nazywał się Rod Espada. Był to młody człowiek o miłej powierzchowności, ubrany po cywilnemu. (Libby domyśliła się, że prawo nie zezwala policjantom występować przed sądem w mundurach.) Został zaprzysiężony i MacDonald zaczął zadawać mu pytania.

Jak się wkrótce okazało, krytycznej nocy świadek wraz z drugim funkcjonariuszem pełnił służbę w radiowozie zaparkowanym przy zjeździe z wiaduktu Polaski Skyway, opodal wylotu Holland Tuneli prowadzącego do Jersey City. Zgodnie z tym, co zeznał Espada, około dwudziestu minut po północy z wiaduktu zjechał srebrny jaguar z czarnym otwieranym dachem i nowojorskimi tablicami rejestracyjnymi z oznaczeniem zaczynającym się od 3 L 8. Wóz skręcił w lewo na światłach i kierując się na wschód, wpadł w Smith BSulevard - najkrótszą drogę prowadzącą do Jersey City.

Jak to się stało, iż udało mu się zapamiętać ten właśnie wóz? Otóż zjechał on z wiaduktu z taką prędkością, że załodze radiowozu zdawało się przez chwilę, iż kierowca nie zdąży zatrzymać się na czerwonych światłach; światła jednak zmieniły się i wówczas kierowca skręcił w lewo, pokonując wiraż z prędkością około sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Zgodnie ze służbowym zwyczajem, funkcjonariusz odnotował to zdarzenie

### 342

w notatniku. Czyni się tak zawsze, można bowiem podejrzewać, że ktoś, kto prowadzi wóz z nadmierną prędkością o tak późnej porze, zdążył już zrobić coś złego, bądź też zrobi to za chwilę.

Kiedy przyszła kolej na pytania obrony, Geiggen niespiesznie podniósł się z miejsca.

- Czy jako doświadczony policjant może pan wyjaśnić, dlaczego wszyscy świadkowie oskarżenia pamiętają jedynie trzy pierwsze oznaczenia tablicy rejestracyjnej?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - zaprotestował natychmiast MacDonald.

- Sprzeciw jest zasadny.

Geiggen ostentacyjnie okazał, jak bardzo dotknął go ten werdykt. Pokręcił głową, rozłożył bezradnie ręce, odczekał chwilę i spytał:

- Panie Espada, czy przed dzisiejszym wystąpieniem w sądzie, prokuratura okręgowa, przygotowując materiał procesowy, wzywała pana do siebie w celu wyjaśnienia... czy też uzgodnienia pewnych rzeczy?

- Owszem. Wzywany byłem tam kilkakrotnie.

- Składał pan tam również formalne zeznania? -Tak.

Geiggen zrobił kilka kroków i zatrzymał się.

- Czy jest pan żonaty?

- Tak.

- Ma pan dzieci?

- Tak. Mam troje dzieci.

- Sprzeciw! - krzyknął MacDonald. - Obrona zadręcza świadka jakimiś bezsensownymi pytaniami.

- Nic podobnego, Wysoki Sądzie. Usiłuję po prostu uzmysłwić ławie przysięgłych pewne okoliczności, mogące mieć wpływ na ocenę wiarygodności świadka - odparł obrońca.

Pani sędzia Williams przez chwilę ważyła werdykt.

- Oddałam sprzeciw-zdecydowała wreszcie.

- Czy pańska rodzina mieszka we własnym domu? - kontynuował obrońca.

- Tak.

343

- Czy dom obciążony jest kredytem hipotecznym?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Cóż to może mieć wspólnego z ustaleniem bezspornego faktu, iż samochód oskarżonego widziano krytycznej nocy przy wjeździe do Jersey City!

- Stanowczo protestuję! - krzyknął Geiggen. - Wysoki Sądzie, oskarżenie nadużywa form proceduralnych.

Podpowiada przysięgłym ocenę faktów, ubierając to w formę sprzeciwu.

Przedstawiciele stron zawezwani zostali do ławy sędziów- wskiej. Przysięgli siedzieli na swoich miejscach i czekali na rozstrzygnięcie sporu. Było już piętnaście po pierwszej. Libby potwornie chciało się jeść.

Wreszcie pani sędzia Williams odesłała prawników na miejsca.

- Oddałam sprzeciw oskarżyciela. Pan Geiggen może kontynuować obroną przez siebie linię obrony.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie - oświadczył adwokat, obrzucając pogardliwym spojrzeniem MacDonalda. Powoli zbliżył się do ławy przysięgłych. - Zaraz, zaraz... Na czym to stanęliśmy? Aha! Otóż powiedział pan, że wraz z żoną i trojgiem dzieci mieszka we własnym domu. A ja spytałem wówczas, czy spłaca pan kredyt hipoteczny?

- Owszem. Cóż w tym dziwnego? Większość właścicieli domów jest w podobnej sytuacji.

- Oczywiście. Ja również spłacam kredyty - odparł Geiggen. Popatrzył na przysięgłych i uśmiechnął się do nich.

Niespiesznie przespacerował się po sali. Świadek nie spuszczał z niego oczu. - Panie Espada! Czy może mi pan powiedzieć, ile czasu pochłonęła panu ta sprawa? Razem z dojazdami.

- Nie mam pojęcia.

- Rozumiem- W każdym razie zeznał pan, że wielokrotnie musiał pan jeździć z Jersey City do Nowego Jorku, wzywany przez tutejszą prokuraturę. Może zechce pan wyjaśnić sędziom przysięgłym, na czyj koszt to się odbywało?

- Nie rozumiem, o co panu chodzi?

- O bardzo prostą rzecz. Otóż czy prawdą jest, że pańska współpraca z tutejszą prokuraturą przyniosła panu wymierne korzyści finansowe?

344

- Sprzeciw! - zaprotestował MacDonald.
- Oddalam sprzeciw. Niechaj świadek odpowie na to pytanie - zawyrokowała pani sędzia Williams.
- Jakże znowu korzyści? - obruszył się policjant.
- No, cóż - Geiggen bezradnie rozłożył ręce. - Proszę więc wyjaśnić konkretnie, czy za udział w tego typu sprawie karnej otrzymał pan jakieś gratyfikacje?
- Tak, zgodnie z przepisami - odparł funkcjonariusz. - Gdy jestem wzywany do sądu albo biorę udział w postępowaniu przygotowawczym, to nikt mnie z tego powodu nie zwalnia z normalnych obowiązków służbowych; najwyżej przesuwają mi się godziny służby. A za to, że dłużej pracuję, płaci mi się nadgodziny.
- A ile dostaje pan za taką nadgodzinę?
- No... - policjant zająknął się, spojrzał na sufit i znieruchomiał na chwilę. - Chyba trzydzieści cztery... albo trzydzieści pięć dolarów. Tak! Trzydzieści pięć.
- Rozumiem... A ile dziś, na przykład, wypracuje pan nadgodzin, zeznając w sądzie?
- Zostanie to dokładnie obliczone przez moich zwierzchników.
- W jaki mianowicie sposób?
- Obliczą po prostu czas od mojego wyjazdu z New Jersey do chwili powrotu.
- No dobrze... Załóżmy więc, że zakończymy to przesłuchanie o trzeciej. Kiedy wróci pan wówczas do domu?
- Zależy, jaki będzie ruch. Pewnie za jakąś godzinę.
- A o której wyjechał pan z New Jersey?
- O ósmej.
- ~ No to policzmy: osiem nadgodzin po trzydzieści pięć dolarów. - Geiggen wykonał mnożenie na kartce. - Dwieście osiem\* dziesiąt dolarów - obwieścił i spojrzał triumfalnie na przysięgłych. - A więc jest to pana dodatkowy zarobek. Dokładnie tyle dorobił pan dziś do pensji. Czyż nie?
- Ależ skąd! To są tylko nadgodziny - zaprotestował policjant. - Przecież to trzeba dodać do pensji, odjąć podatki...

**345**

- No tak. To oczywiste. Podatki płacimy wszyscy. Proszę zatem powiedzieć sędziom przysięgłym, kiedy po raz ostatni był pan na Manhattanie w związku z tą sprawą?

- W zeszłym tygodniu. Dostałem wezwanie na środę i przez cały dzień oczekiwałem, że będę zeznawał jako świadek. Niestety, nadaremnie.

- Wyjechał pan wówczas z domu również o ósmej rano?

- Tak.

- A kiedy pan wrócił?

- No... wtedy był przedświąteczny szczyt. Korki. Dopiero około wpół do ósmej.

- Rozumiem. Jedenaście i pół godziny?

- Tak.

- Świetnie. Policzmy więc... - Geiggen zaczął znowu gry-zmolić na kartce przypiętej do twardej podkładki. Espada nie czerwienił się już; był wprost siny ze złości.

- A więc w zeszłą środę pański dodatkowy zarobek wyniósł czterysta dwa dolary i pięćdziesiąt centów - oznajmił adwokat. - Czyżbym się mylił?

- Tak samo pan to naciągnął, jak te poprzednie obliczenia.

- Chwileczkę. Czy pański dodatkowy zarobek wyniósł brutto dokładnie tyle? Proszę odpowiedzieć wyraźnie: tak czy nie?

- Tak.

Geiggen zrobił dramatyczną pauzę i zwrócił się w stronę ławy przysięgłych.

- Słowem, dwa dni pańskiej obecności w sądzie przyniosły panu w sumie sześćset osiemdziesiąt dwa dolary minus podatek. Prawda?

Świadek wydał z siebie jakieś gniewne prychnięcie.

- Czy mam to rozumieć jako odpowiedź twierdzącą?

- Tak.

- A czy wcześniej, przed procesem, przyjeżdżał pan na Manhattan w związku z tą sprawą? \*

- Owszem. Przyjeżdżałem.

- Jak często?

Świadek odpowiedział wzruszeniem ramion.

346

- Pizynajmniej dwa razy? - przyciskał go adwokat.

- Tak.

- Więcej niż pięć razy?

- Nie potrafię już tego odtworzyć-zeznał policjant.

- To nie szkodzi. Zrobimy to na podstawie pańskich oświadczeń podatkowych. Myślę, że z pewnością pamięta pan, ile tysięcy dolarów przyniosła panu współpraca z urzędem tutejszej prokuratury?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Obrona tym razem już naprawdę przesadza!

- Sprzeciw jest słuszny - zauważyła spokojnie pani sędzia Williams.

- No cóż... - Geiggen spojrział na przysięgłych i rozłożył bezradnie ręce. Ruszył w kierunku stołu obrony, po czym nagle zatrzymał się i odwrócił. - Mam jeszcze ostatnie pytanie. Wróćmy do sprawy numeru wozu. Udało się panu zapamiętać trzy pierwsze oznaczenia i zapisać je w pańskim notatniku. Tak?

- Tak jest.

- Otóż... czy zapis w notatniku jest oficjalnym dokumentem i może być traktowany jako dowód w sprawie karnej?

- Nie. Nie jest to żaden dokument. Na służbie odnotowuje się różne rzeczy, po to choćby, by sporządzić z nich potem...

- Notatkę służbową, prawda?

- Tak.

- A czy pan sporządził notatkę na temat tego samochodu lub kierowcy?

- Nie. Nie było po temu żadnych powodów. Nie stwierdziłem przecież, że popełnione zostało jakieś przestępstwo czy wykroczenie.

- A więc dostarczony przez pana materiał dowodowy sprowadza się do pańskiego zeznania i zapisku w pańskim notatniku, przy czym zapisek taki, jak pan przed chwilą wyjaśnił, nie jest żadnym dokumentem i nie może służyć jako dowód w sprawie.

Świadek spojrział bezradnie na sędzinę. Wyglądało na to, że oczekuje od niej jakiejś pomocy. Na próżno. Nie doczekał się. Geiggen uśmiechnął się tryumfalnie.

### 347

- To wszystko, panie posterunkowy. Dziękuję. MacDonald natychmiast poprosił sąd o udzielenie mu prawa do zadania świadkowi dalszych pytań. Tak naprawdę chodziło mu o zreasumowanie zeznań Espady.

- Proszę-powiedzieć raz jeszcze, czy krytycznej nocy, około godziny dwunastej dwadzieścia, widział pan srebrnego jaguara z czarnym podnoszonym dachem, na nowojorskich numerach zaczynających się od 3 L 8, który minął pański radiowóz i pojechał w kierunku Jersey City?

- Tak, widziałem.

- Dziękuję panu. Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

- A mnie się zdaje, że to ten gliniarz ją zabił - oświadczył Ronnie, gdy tylko znaleźli się w pokoju przysięgłych.

- Daj spokój, Ronnie - ofuknęła go Libby.

- Dokąd pójdziemy coś zjeść? - spytał ją Alex.

- Przepraszam cię, ale umówiłam się właśnie z...

- To jak? Gotowa jesteś? - w samą porę przyszła jej z pomocą Melissa.

Libby spojrzała niepewnie na Alexa.

- Wpadniemy później na drinka, dobrze?

Skinął głową. Wyglądał na rozdrażnionego. Libby czym prędzej wymknęła się na korytarz.

Gdy tylko znalazła się za drzwiami, spojrzała na Melisę.

- Zdaje się, że wpakowałam się w niezłą kabałę.

- Rzeczywiście. Facet zachowuje się ostatnio tak, jakby miał do ciebie jakieś prawa. Na twoim miejscu natychmiast bym go spławiła.

- Jak mam się go pozbyć? I tak jestem skazana na jego towarzystwo.

- Są na to sposoby - odparła poważnym tonem Melissa. - Naprawdę nie powinnaś z tym zwlekać.

- Dobrze! Załatwię to dziś wieczorem - obiecała Libby i natychmiast się rozchmurzyła. - A teraz opowiedz mi, jak było w niedzielę.

Zjeżdżając na dół windą i torując sobie drogę przez zatłoczony



hol, Melissa opowiedziała jej o tamtym wieczorze - o kolacji, nie kończących się rozmowach, o tym, że potrafili uczciwie opowiedzieć sobie o różnych złych zdarzeniach z przeszłości - ona o swoim alkoholizmie, a Chris o rozwodzie. A nawet o dzieciach.

- To on ma dzieci? - zdumiała się Libby, kiedy znalazły się na schodach prowadzących na ulicę.

- Tak. Dwoje.

- Az tobą będzie chciał mieć dzieci? Jak myślisz? - Rzuciła kątem oka na Melissę i zatrzymała się nagle. - Co się stało? Powiedziałam coś niewłaściwego?

- Och, Libby! - Melissa skuliła bezradnie ramiona. - Muszę ci wreszcie coś wyznać.

- Co takiego? - Libby dotknęła jej ramienia. - O co chodzi? Melissa rozejrzała się dokoła, westchnęła i spojrzała jej w oczy.

- Słuchaj... ten mój Chris naprawdę nazywa się Christine. To kobieta. Przepraszam cię, ale jakoś nie miałam odwagi powiedzieć ci o tym wcześniej.

Libby stała jak wryta. Kilka razy zamrugowała powiekami. I nagle się uśmiechnęła.

- Dobrze, że się wreszcie odważyłaś. Melissa spojrzała na nią niepewnie.

- Przeszkadza ci to?

- Co? To, że uważałaś mnie za bigotkę, która może sobie

o tobie źle pomyśleć? Owszem. Ale na pewno nie to, że Christine jest kobietą, która jest w tobie po uszy zakochana.

- Położyła rękę na ramieniu Melissy. - Wiesz, co mówi w takich sytuacjach moja znajoma, Kitty? „Pamiętaj, dziewczyno, że w całej tej robocie najważniejsza jest miłość.”

Roześmiały się obie i poszły na szybki lunch. Libby wysłuchiwała kolejnej porcji zwierzeń Melissy, po czym sama, nieśmiało

i z pewnymi oporami, opowiedziała jej o wieczorze, który spędziła z Willem w Greatfield.

- Z Willem? - Melissa zrobiła wielkie oczy ze zdumienia. - Will, nasz kolega przysięgły, był u ciebie w Ohio?

Po lunchu Libby rozstała się z Melissą, aby spotkać się za dziesięć druga z Willem, z którym umówiła się w kawiarni sądowej na króciutką randkę. Napili się kawy i Will opowiedział jej, że wczoraj po powrocie do domu zastał zmienione zamki w drzwiach i kartkę od Betsy, która zagroziła, że wytoczy mu sprawę cywilną. Bóg raczy wiedzieć, z jakiego powodu.

- No, nieźle - mruknął, przerywając opowieść. Wpatrywał się w coś, co działo się za plecami Libby.

- Co takiego? - spytała i odwróciła się, aby zorientować się,

o co chodzi. - Ojej! - syknęła.

W drzwiach kawiarni stał Alex i natarczywie im się przyglądał. Libby pomachała do niego ręką. Uśmiechnął się kwaśno

i odszedł bez słowa.

Po powrocie do pokoju przysięgłych Libby uznała, że najlepiej będzie udać niewinną, zająć miejsce obok Atexa i zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Tym razem zresztą szybko wezwano ich na salę rozpraw.

Popołudniowa sesja nie była specjalnie ciekawa. Oskarżenie powołało kilku następnych świadków, którzy potwierdzali pewne fakty o marginalnym znaczeniu. Handlarz odsiadujący wyrok w więzieniu stanowym w New Jersey zeznał, że oskarżony regularnie kupował u niego narkotyki. Był jego stałym klientem przez cały dziewięćdziesiąty trzeci rok i przez pierwsze dwa miesiące roku następnego.

Geiggen nie próbował podważać tych zeznań, zwracając jedynie uwagę na fakt, że melina, w której działał handlarz, znajdowała się w miejscu odległym o niemal czterdzieści kilometrów od Jersey City.

Strategia obu stron procesowych była w tym wypadku dla Libby czytelna. Oskarżeniu chodziło najwyraźniej o udokumentowanie powiązań Laytona z narkotykowym podziemiem Północnego Jersey. Dzięki kontaktom w tym środowisku wiedział bowiem, gdzie można szybko wynająć płatnego mordercę. Obrona natomiast podważała tę tezę, wskazując na fakt, że powołany przez oskarżenie handlarz działał z dala od Jersey City.

Kolejnym świadkiem był lekarz, który potwierdził fakt, iż w momencie aresztowania w próbce krwi Laytona wykryto ślady kokainy, alkoholu i librium. Geiggen nie próbował podważać tych ustaleń.

Ostatnim świadkiem powołanym tego dnia przez oskarżenie był stary, czarny mężczyzna, który drżał jak liść.

Nazywał się Bartley Daily. MacDonald ustalił na wstępie, że składający zeznania od dawna boryka się z uzależnieniem od narkotyków i alkoholu. Przez dłuższy czas był on również bezdomny. Po udzieleniu tych informacji świadek zaczął opowiadać o swoim spotkaniu z oskarżonym - i to zaczęło być wreszcie interesujące.

W dniu, w którym popełnione zostało morderstwo, Bartley Daily natknął się na oskarżonego w chwilę po tym, gdy Layton wyszedł z nocnego klubu przy Czternastej Ulicy. Działo się to około północy. Oskarżony gadał coś do siebie, miotał przekleństwa i odepchnął Daily'ego, który wszedł mu przypadkiem w drogę. Spytany, czy pamięta, co mówił wówczas Layton, świadek zeznał, że jedyne zapamiętane przez niego zdanie brzmiało: „Ta dziwka będzie trupem, zanim nastanie dzień.”

MacDonald zadbał, by te złowrogie słowa zapadły w pamięć przysięgłych - odczekał dłuższą chwilę, po czym podziękował świadkowi i usiadł. Geiggen podniósł się z miejsca i próbował - co mu się zresztą nieźle, zdaniem Libby, udawało - zdyskredytować świadka, wyliczając jego częste pobyty w aresztach i na leczeniach odwykowych, wyroki sądowe i inne sprawki.

Ujawnił następnie, że prokuratura załatwiła mu jakieś lokum, aby mógł zamieszkać na Manhattanie i złożyć zeznania w tej sprawie (jako bezdomny byłby praktycznie nieuchwytny).

Obrońca na tym właściwie zakończył, a wówczas wstał powtórnie MacDonald i zadał świadkowi ostatnie pytanie:

- Panie Daily, czy zechce pan wyjaśnić ławie przysięgłych, jak to się stało, że zapamiętał pan tak dokładnie słowa wypowiedziane tamtej nocy przez oskarżonego?

- Z miłą chęcią. Jak ten facet mnie potracił, to wypadła mi z ręki butelka wina. I zbiła się. A ten nagle mówi: „Ta dziwka

„Będzie trupem, zanim nastanie dzień”. A ja na to: „Spadaj stad, frajerze, bo za chwile sam bedziesz trupem.”

Na sali tu i owdzie rozlegly sie smiechy.

- Dziekuje. Nie mam wiecej pytan. Wysoki Sadzie, oskarzenie przedstawilo wszystkich swoich swiadkow.

Sad zawiesil rozprawe do jutra, informujac przysieglych, ze w najblizszych dniach zapoznaja sie z zeznaniami swiadkow obrony.

28.

Libby właściwie nie pamiętała, o czym rozmawiali ze sobą po drodze do „BJ”, ale gdy tylko usiedli i zamówili jakiś alkohol, Alex natychmiast przystąpił do rzeczy:

- Co się z tobą stało, Libby? Czy coś się wydarzyło w czasie świąt? Jesteś zupełnie inna, niż byłaś.

- No cóż... Może rzeczywiście... - zaczęła nieskładnie, starając się nie patrzeć mu w oczy.

- Mam nadzieję, że ten gnojek Klein nie ma z tym nic wspólnego - zaśmiał się, choć właściwie nie był to śmiech, a raczej groźba. - Słuchaj, Libby, powiedz mi wreszcie, o co chodzi - domagał się wyjaśnień i zanim zdążyła mu odpowiedzieć, zaczął jej pośpiesznie czynić wyznania. Przekonany był, że ich sympatia jest obopólna. Co więcej, dodał z uśmiechem - a naprawdę potrafił się czarująco uśmiechać - wydawało mu się, że nie tylko się lubią, ale także wydają się sobie atrakcyjni... pociągający. I nagle dziś rano Libby robi się jakaś chłodna, trzyma go na dystans.

Dlaczego? Skąd ta nagła zmiana?

Libby, jękając się trochę, zaczęła mu tłumaczyć, że ją również ucieszyło to, iż w gronie przysięgłych znalazła sobie kolegę, ale...

- Kolegę? - skrzywił się. Bardzo mu się to określenie nie spodobało.

Libby spokojnie skinęła głową.

- Nie - powiedział, wzruszając ramionami. - Tu chodzi o coś innego. Musiałaś kogoś spotkać.

- Owszem - przyznała. - Rzeczywiście spotkałam kogoś w czasie świąt.

- W Ohio?

### 353

- Tak.

- No i co z tego? Ohio jest daleko. A my jesteśmy tu, w Nowym Jorku.

- Niezupełnie. On teraz jest także w Nowym Jorku.

- Ach tak? - Alex dopił swą whisky i poprosił kelnerkę o następną. Gdy mu ją przyniosła, pociągnął łyk i powiedział:

-A więc znałaś tego faceta wcześniej, prawda? I zaprosiłaś go do Ohio. A przecież mówiłaś mi, że z nikim innym się nie spotykasz...

- I rzeczywiście tak było. To spotkanie nie było planowane. Nasze drogi przypadkiem się skrzyżowały i...

- Skrzyżowały się w Ohio? Wzruszyła ramionami.

- Tak.

- O rany boskie! - wybuchnął nagle. - Nie możesz mi powiedzieć wyraźnie: zakochałaś się czy po prostu się z nim pieprzyłaś?

Spojrzała na niego oszołomiona. Dopiero po dłuższej chwili zdobyła się na odpowiedź:

- Ani jedno, ani drugie. A poza tym, to nie twój interes. Przykro mi, Alex, ale tym razem naprawdę przesadziłeś.

- O rany! - mruknął ponownie. Rozejrzał się dokoła, po czym zaczął się w nią intensywnie wpatrywać. Jego twarz przybrała zły, zacięty wyraz. - Wiesz, kim ty jesteś? Wariatką, która podpuszcza facetów, a potem im nie daje. Z tobą jest coś nie w porządku. Po co mi wtedy wciskałaś kit o nieudanym związku z jakimś...

Libby właściwie już go nie słuchała. Pochylona nad otwartą torebką, szukała w niej gorączkowo pięciodolarowego banknotu, a nie znalazwszy go, wyjęła dziesięć dolarów i położyła je na stole.

- Słuchaj, Alex... Jeśli moje zachowanie mogło w jakimś sensie wprowadzić cię w błąd, to jest mi z tego powodu przykro. Mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi. - Podniosła się z miejsca. - A teraz już sobie pójdę.

- Tak, tak. Lepiej już idź. - warknął. - Za chwilę chlusnąłbym ci w twarz tą resztką wódki.

### 354

Próbowała sobie tłumaczyć, że poczuł się - słusznie lub nie - boleśnie urażony i że trudno mieć o to do niego pretensje.

Daj sobie z tym spokój, zachnęła się po chwili. Przecież to zwykły kretyn.

W biurze przesłuchał rozmowy nagrane na automatyczną sekretarkę. Adwokat Betsy zostawił mu swój numer telefonu. Will zadzwonił natychmiast i dowiedział się, że prawnik zdążył już wyjść i do końca dnia go nie będzie.

Sekretarka - tym razem prawdziwa - poinformowała go, że może się z nim kontaktować jutro w godzinach urzędowania, między dziesiątą a piątą.

- Siedzę całymi dniami w sądzie - poinformował ją. - Sprawa dotyczy zabójstwa. Nie ma mowy, aby mógł w ciągu dnia stamtąd dzwonić.

- Rozumiem, panie Klein. W jakiej kancelarii pan pracuje?

- Nie jestem adwokatem. Jestem przysięgłym.

- No właśnie! - powiedziała i zabrzmiało to tak, jakby upewniła się wreszcie, że jest on ludzkim śmieciem, za którego od początku go uważała.

Próbował zadzwonić do domu, ale nikt nie odpowiadał. Sytuacja była idiotyczna. Nie mógł zabrać z mieszkania swego ubrania, nie mógł skontaktować się z Betsy ani z jej adwokatem.

Adwokat... Zaraz, zaraz... Przecież on też powinien znaleźć sobie adwokata. Wpadł na ten pomysł i natychmiast się uśmiechnął. Znajomość z tym obleśnym Jerryem nareszcie przyniesie mu wymierną korzyść. Któż bowiem, jak nie Jerry, mógłby polecić mu jakiegoś okropnego prawnika od pyskówek i awantur rodzinnych?

Gdy Rusty wrócił do domu, dzieci już spały. Udał się prosto z garażu do kuchni, gdzie Jill kroїła dla Katie materiał na zajęcia z prac ręcznych. Musiał być niezle zmęczony, choć starał się tego po sobie nie pokazywać. Uśmiechnął się, postawił teczkę przy piecyku i podszedł do żony, by ją pocałować.

- Jak się masz, kochanie!

- Witaj! Wyglądasz na zmordowanego.

- Trochę się zmęczyłem. - Zdjął jesionkę, zarzucił ją na oparcie krzesła, ściągnął marynarkę i rozluźnił krawat. - Ale mam za to dobre wiadomości. - Podszedł do lodówki i wyjął z niej butelkę piwa.

Przyglądała mu się w milczeniu, ciekawa, co też ma jej do powiedzenia.

Otworzył kapsel, wrzucił otwieracz do szuflady, zamknął ją biodrem i w momencie gdy podnosił już butelkę do ust, napotkał spojrzenie żony. Uśmiechnął się, otworzył kredens, wyciągnął szklankę i nalał do niej piwa.

Jill, chcąc nie chcąc, również się uśmiechnęła. Takie były te starania Rusty'ego. Nadal jeszcze usilnie zabiegał o to, by wyrzucić na niej dobre wrażenie.

Pociągnął tęgi łyk, mruknął z lubością i przystawił sobie krzesło, by usiąść tuż obok niej.

- No i co? - Nie mogła się doczekać tej dobrej wiadomości.

- Braxton zastąpi mnie w sprawie Westinghouse'a... Niewiele jej to mówiło, nadal bowiem nie bardzo wiedziała, czym obecnie zajmuje się w pracy jej mąż. Jeszcze nie zdążyła się zorientować.

- Dzięki czemu będę mógł wziąć urlop aż do końca grudnia.

- Do końca roku!

- Tak - odparł, uśmiechając się i popijając piwo. - Będę mógł jeździć z tobą do sądu albo zostawać z dziećmi. A niezależnie od tego uważam, że powinienem pójść do szkoły i porozmawiać z nauczycielami. Trzeba się zorientować, co tam słychać.

Jill wpatrywała się w męża niemal z lękiem. Jak dotąd wszelkie próby namówienia go, by wziął choćby tygodniowy urlop, prawie zawsze spełzały na niczym. Teraz zaś sam, z własnej woli, załatwił sobie pięć tygodni wolnego, po to tylko, by siedzieć w domu lub jeździć z nią do sądu! A w dodatku wyglądał na niesłychanie szczęśliwego. Zupełnie nie wiedziała, co ma w tym momencie powiedzieć; spuściła oczy na trzymany w ręku kawałek materiału i zaczęła mechanicznie kontynuować przerwana pracę.



**356**

- Możemy sobie na to pozwolić - zapewnił ją. - Stać nas na to.

- Nie o tym myślałam.

- A o czym?

Pociągnęła nosem, zamrugła powiekami i odkaszlnęła.

- Sama nie wiem - wyjąkała przez zaciśnięte gardło. Ujął ją za brodę i obrócił tak, by móc widzieć jej twarz.

- Powiedz, proszę cię!

Jedna jedyna łza wolno, wolniutko zaczęła spływać po jej policzku.

- Pomyślałam sobie, że On naprawdę nas kocha.

- Bóg? - powiedział tak, jakby go nagle uderzyła. Nie wstając z krzesła, przysunął się bliżej i posadził ją sobie na kolanach. Siedzieli spleceni w ciasnym uścisku i kołysali się, aż materiał na wyszywanki Katie, wciśnięty między ich ciała, pomiał się jak szmatka.

- Jesteś dla mnie wszystkim, kochanie - szeptał. - Wszystkim na świecie.

Melissa siedziała w biurze od szóstej, a mimo to prawie nic nie zrobiła. Ta praca w nietypowych godzinach zaczęła jej się udawać we znaki. Jedynymi jej towarzyszami bywały ostatnio sprzątaczkę i pracujący na nocną zmianę ochroniarze. Agencja S.Wiley Kernan zatrudniała przeszło czterysta osób, a ona od tygodni widywała nie więcej niż troje z nich.

A w dodatku jej telefon od dawna milczał jak grób. I to ją najbardziej martwiło. W tym momencie siedziała tak chyba tylko po to, by wpatrywać się w niego i czekać, aż się odezwie.

Choć przecież... To ona z kolei powinna wykonać jakiś ruch.

Przeszła do służbowej kuchenki i naląła sobie do szklanki pomarańczowego soku. Wróciła, usiadła za biurkiem i zdecydowała się wreszcie zadzwonić. Na numer domowy.

- Halo? - usłyszała w słuchawce głos chłopca. Musiał mieć osiem lub dziewięć lat. O Boże!

- Jak się masz! Jest mama? Powiedz jej, że dzwoni Melissa Grant.

### 357

- Mamusiu!

- Halo! - Głos Christine był dźwięczny i melodyjny. Jak przystało na mamę.

- Christine? To ja, Melissa.

- Melissa! - Było to naprawdę radosne powitanie - Tak się cieszę, że wreszcie się odezwałaś. I że zdecydowałaś się tu zadzwonić.

Dlaczego ona sama nie potrafi odpowiedzieć głosem tak cudownie szczęśliwym, jak Christine?

- Ja także się cieszę. I właśnie pomyślałam sobie, czy... Tym razem ja chciałam cię zaprosić na kolację.

- Kiedy?

- No wiesz, ty masz różne... jak to się mówi... obowiązki domowe.

- W sobotę dzieci idą w odwiedziny do swoich kuzynów i zostaną tam na noc. Może byś właśnie wtedy tu wpadła?

- Nie - powiedziała trochę zbyt pośpiesznie Melissa. - To znaczy, mogłabym... ale...

Christine wybuchnęła śmiechem.

- Wiem dokładnie, o co ci chodzi. Dobrze, Melisso! Jeśli nie chcesz tu wpaść, to możemy spotkać się w mieście. -

Zamilkła na chwilę. - Chętnie bym obejrzała twój dom.

Dom? Na litość boską, cóż to za dom! Przecież nie ma tu nawet własnych mebli. Wszystko jest wynajęte. Trudno to nazwać domem.

- Dobrze, umiem w końcu gotować - usłyszała swój własny głos.

29.

We wtorek rano, dwudziestego ósmego listopada, Libby stwierdziła, że okropnie nie chce jej się iść do sądu. Podczas minionej nocy perspektywa spotkania się z Alexem napawała ją takim lękiem, jak groźba infekcji. Trudnej w dodatku do uniknięcia, skoro jest się skazanym na kontakty z chorym. W ciągu tych trzech tygodni sytuacja skomplikowała się tak bardzo, że przestawała nad nią panować.

Kiedy zjawiała się w pokoju przysięgłych, zastała Alexa siedzącego na jego stałym miejscu. Powiedziała ogólne „dzień dobry”, po czym okrążyła jakby nigdy nic stor i usiadła obok Melissy. Nie był to zresztą najlepszy pomysł: zbyt późno zorientowała się, że siedzi w ten sposób dokładnie naprzeciw Alexa.

Tego ranka przysięgli właściwie nie rozmawiali. W milczeniu wymieniali między sobą przejrane gazety, otwierali wieczka kartoników i powoli sączyli z nich kawę.

Czy ten proces trwać będzie w nieskończoność? Kiedy wreszcie będą mogli powrócić do normalnego życia?

Zjawił się Will i jego widok sprawił, że Libby zupełnie nieoczekiwanie poczuła przypływ radości. Uśmiechnęła się, pozdrowiła go, po czym natychmiast odwróciła od niego wzrok, świadoma tego, że Alex natarczywie się w nią wpatruje.

Rozprawa została wznowiona punktualnie o dziesiątej. Obrona natychmiast przedstawiła swego pierwszego świadka, inspektora policji Jose Martineza. Odpowiadając na pytania Geiggena, wyjaśnił na wstępie, że tej nocy, gdy zamordowana została Sissy Cook, pełnił służbę w lokalnym komisariacie, w związku z czym sprawa pierwotnie podlegała właśnie jemu.

359

- A więc inspektor Joseph Cleary, który wcześniej składał zeznania w tej sprawie, nie nadzorował śledztwa od początku?

- Nie. Prowadzenie tej sprawy zostało mu przekazane dopiero w dniu następnym - stwierdził Martinez.

Geiggen uniósł brwi, by zasygnalizować swe zdziwienie przysięgłym.

- Jakie były powody takiej decyzji?

- Trudno powiedzieć. Sam ich dokładnie nie znam.

- Rozumiem. Proszę więc po prostu opowiedzieć sędziom przysięgłym, co się działo od momentu, gdy dowiedział się pan o dokonaniu zabójstwa, aż do chwili, gdy inspektor Cleary został wyznaczony do prowadzenia śledztwa.

- Prowadzone były normalne, rutynowe czynności.

- Oczywiście. To rozumiałe. Chodzi o prostą informację: kiedy i od kogo dowiedział się pan, że inspektor Cleary przejmuje nadzorowane przez pana śledztwo?

- Od mojego bezpośredniego zwierzchnika. Następnego dnia, późnym popołudniem... Przepraszam, właściwie był to ten sam dzień, gdyż zabójstwo popełniono około godziny drugiej w nocy. A o przejęciu śledztwa przez inspektora Cleary'ego powiedział mi kapitan.

- A czy podał jakiś powód, dla którego wyłączył pana z prowadzenia tej sprawy?

\_ Owszem. Stwierdził, że inspektor Cleary współpracował uprzednio z panem MacDonaldem, który objął prokuratorski nadzór nad śledztwem.

- Czy zdarzyło się już kiedyś, by prowadzone przez pana śledztwo w sprawie o zabójstwo zostało przekazane komuś innemu tylko dlatego, że wcześniej współpracował on z jakimś pracownikiem prokuratury okręgowej?

- Nie. Po raz pierwszy się z tym spotkałem.

- Dziękuję panu, inspektorze. Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

- Panie MacDonald, może pan przystąpić do zadawania pytań świadkowi obrony.

Kathryn Schnagel, siedząca za stołem oskarżenia tuż obok

### **360**

swego zwierzchnika, podsunęła mu pod nos jakąś kartkę. MacDonald przeczytał ją, zacisnął usta i przecząco pokręcił głową. Zastanawiał się jeszcze przez chwilę, po czym, ponaglony przez sędzinę, odparł, że nie ma żadnych pytań pod adresem świadka.

Libby spojrzała na oskarżonego. Siedział nieporuszony, śledząc uważnie przebieg rozprawy. Na jego twarzy malował się absolutny spokój. Kathryn Schnagel była natomiast wyraźnie podenerwowana decyzją, którą przed chwilą podjął jej pryn-cypał.

Libby rozejrzała się jeszcze po sali. Jill, siostra ofiary, siedziała tam, gdzie zawsze— w ostatnim rzędzie. Tym razem towarzyszył jej jakiś mężczyzna. Libby zastanawiała się, kim on może być.

Zaczęła lustrować widownię, zatrzymując wzrok na twarzach kobiet. Żadna z nich nie wyglądała na żonę oskarżonego.

Następnym świadkiem obrony był doktor Kaliptus, psychiatra specjalizujący się w leczeniu ofiar rozmaitych uzależnień. Zaczął rozwodzić się nad tym, że oskarżony przez całe życie cierpiał z powodu niskiej samooceny, a z uwagi na swą strukturę osobowości łatwo popadał w nałogi. W pewnym momencie jego oracji Libby usłyszała z tyłu za sobą gniewne puchnięcie Melissy. . . Wystąpienie doktora Kaliptusa miało zapewne przekonać ławę przysięgłych, iż oskarżony wyłącznie z powodu nie zawinionych przez siebie uwarunkowań genetycznych popadł w całkowite uzależnienie od narkotyków i będąc zniewolony przez nałóg, brał je w dawkach, które częstokroć powodowały kompletną niezdolność do logicznego myślenia lub zgoła fizyczną zapaść. Opierając się na wynikach testów medycznych wykonanych po jego aresztowaniu, oraz na wywiadzie, który z nim wówczas przeprowadził, doktor Kaliptus jako ekspert uznał za rzecz absolutnie niemożliwą, by oskarżony mógł przeprowadzić skomplikowany plan zamachu na czyjeś życie. Nie mówiąc już o tym, by był wówczas zdolny do prowadzenia samochodu.

MacDonald przeciągnął przesłuchiwanie świadka aż do przerwy. Atakował doktora na wszelkie sposoby i choć udało mu się ustalić, iż za wydanie tej opinii pobrał on sowite honorarium i że

### **361**

nie pierwszy raz występuję w sądach w roli „płatnego eksperta”, zasadności jego ekspertyzy nie udało mu się podważyć. MacDonald stracił więc w sumie punkt, gdyż kiedy zakończył przesłuchiwanie świadka, Libby skłonna była raczej przypuszczać, że tej nocy, gdy popełnione zostało zabójstwo, oskarżony, z uwagi na stan, w jakim się znajdował, mógł co najwyżej wyjść z klubu i nie znalazłszy swego samochodu, odjechać taksówką do domu.

Zaraz po ogłoszeniu przerwy próbowała się nad tym ponownie zastanowić i doszła do wniosku, że po raz pierwszy ma istotne wątpliwości co do winy Laytona. Dotąd w zasadzie była

o niej przekonana. Udało jej się wreszcie wygonić te myśli z głowy. Na ostateczną decyzję było jeszcze za wcześnie.

Ważne, by nie upierać się przy jakimś dogmatycznym stanowisku i zachować otwarty umysł.

- Libby? - zwrócił się do niej nieśmiało Alex. - Chciałbym zawrzeć z tobą pokój. Pozwolisz, że zaproszę cię na lunch?

- Ja także jestem za pokojem. - Zdobyła się na słaby uśmiech. - Ale dzisiaj nie mogę przyjąć twojego zaproszenia. - Tak naprawdę pomyślała sobie w tym momencie, że nigdy w życiu się z nim nigdzie nie wybierze. Prędzej jej kaktus na dłoni wyrośnie. Nie miała jednak powodu, by być nieuprzejmą.

Wyglądał na stropionego.

- Wybaczysz mi? Naprawdę jest mi przykro. Nie powinie-niem wygadywać takich idiotyzmów. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

- Nie się nie stało. Nie przejmuj się.

- Zgoda? - spytał, wyciągając do niej rękę. Wymienili uścisk dłoni, po czym Alex natychmiast się oddalił.

A w chwilę potem podszedł do niej Will.

- O co chodziło?

- Nieważne, Will. Wszystko jest w porządku. Uniósł brwi i westchnął.

- Nie będzie ci się pewnie chciało pójść ze mną na lunch

1 poszukać w ogłoszeniach jakiejś kawalerki? Muszę sobie znaleźć jakiś kat. Nie mogę przecież spędzić reszty życia w hotelu „Vista”.

Wypatrzili jakąś ni to restaurację, ni to kawiarnię, weszli, zamówili coś do jedzenia i przysiedli we dwójkę przy małym stoliczku. Sprawa wyglądała poważnie - Will musiał stoczyć batalię o swoje warte trzysta tysięcy dolarów mieszkanie - ale było im ze sobą dobrze, czuli się szczęśliwi i potrafili się nawet śmiać, rozmawiając o tym. Przerwa na lunch skończyła się zdecydowanie za szybko.

- Obrona wzywa świadka Alfreda Martinsa - obwieścił Geiggen.

MacDonald skonsultował się szeptem ze swymi asystentami i po chwili dopiero wstał.

- Wysoki Sądzie! Pozwolę sobie zauważyć, że nazwisko świadka nie figuruje w wykazie zgłoszonym przez obronę.

- Osobę tę, Wysoki Sądzie, udało nam się odnaleźć dopiero w ostatnich dniach - wyjaśnił Geiggen. - Jej zeznania mają istotne znaczenie dla sprawy.

Prawnicy wezwani zostali do ławy sędziowskiej. Libby współczuła stenografce, która musiała taszczyć tam swą maszynę, coraz bardziej garbiąc się pod jej ciężarem.

Kontrowersja została rozstrzygnięta po myśli obrony: Alfred Martins został wprowadzony na salę. Odziany w niebieskie dżinsy i pasiastą koszulę, z włosami upiętymi w warkoczyk, wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat i był typem podstarzałego hipisa. Zajął miejsce dla świadków, został zaprzysiężony i Geiggen przystąpił do zadawania mu pytań.

Alfred Martins od trzech lat błąkał się po ulicach Nowego Jorku. Miał problemy z uzależnieniem od narkotyków i alkoholu. Poważne problemy, trwające od wielu lat. Był stałym klientem izb wytrzeźwień, schronisk dla bezdomnych i szpitala dla weteranów wojennych. Tak jest, odsłużył swoje w armii. Wyszedł do cywila z bardzo dobrą opinią. Teraz oczywiście jest trzeźwy. Nie brał do ust żadnego alkoholu. Ani żadnych środków. Od jak dawna? Od jakichś dwunastu, trzynastu dni.

- Panie Martins, zechce pan opowiedzieć sędziom przysięgłym, gdzie mieszkał pan w lutym 1994 roku?

### 363

Świadek skierował wzrok w kierunku ławy.

- Mieszkalem w kartonowym pudle przy wylocie wentylatora z ciepłym powietrzem, w małej uliczce zaraz za BurgerKitch przy Czternastej Ulicy. To był karton po lodówce.

- Proszę powiedzieć, gdzie spędził pan noc z dziewiątego na dziesiąty lutego?

- Dziewiątego lutego, wczesnym wieczorem, schroniłem się w swym pudle, gdyż było wówczas okropnie zimno, a na zdobycie jakiegoś ciepłego jedzenia mogłem liczyć dopiero później, kiedy zaczęły zamykać restauracje.

- O której więc godzinie wyszedł pan ze swego schronienia?

- Gdzieś minutę przed dwunastą. Mogę podać dokładny czas, bo z mojego pudła widać było zegar na budynku banku po drugiej stronie ulicy. Zawsze zaczynałem rundę w poszukiwaniu jakiegoś ciepłego jedzenia około północy.

- Rozumiem. Proszę więc powiedzieć przysięgłym, co pan wówczas zobaczył.

- Tak jest. - Powtórnie powiódł wzrokiem po twarzach zasiadających w ławie, nie znanych mu osób. -

Powędrowałem przed siebie Czternastą Ulicą i nagle zobaczyłem niesamowity wóz. Jaguara. Sam kiedyś takiego miałem. Dawno temu. W każdym razie stanąłem, żeby się trochę na niego pogapić. Przy takim wozie człowiek musi się zatrzymać.

- Czy mógłby pan opisać ten samochód?

- Tak. Szary kabriolet z czarnym dachem. Świetnie utrzymany. Zdziwiłem się, że ktoś go tak parkuje na ulicy. I to byle jak parkuje. Jedno koło na krawężniku. Pomyślałem sobie, że facet musiał być nieźle zaprawiony.

- Dlaczego pan tak pomyślał?

- Bo zostawił kluczyki w stacyjce. I nie zamknął drzwi.

- Sprawdził pan to?

- No pewnie! - Westchnął. - Ale co z tego... wiedziałem, że jak by mnie złapali w takim wozie, to by mnie od razu zamknęli.

- Miał pan ochotę go ukraść?

- Ukraść? Może nie, ale kusilo mnie, żeby się nim przejechać - przyznał, spoglądając na przysięgłych. - Kogo by nie kusilo?



- Ale w końcu pan z tego zrezygnował...

- Tak. Zacząłem kombinować, że to może być jakaś podpucha. No bo żeby zostawić taki wóz w środku miasta z kluczykami w stacyjce? Pomyślałem, że pewnie gliny przygotowały taką zasadzkę.

- I co w rezultacie pan zrobił?

- Co? Poszedłem stamtąd w cholere... Na sali rozległy się pojedyncze śmiechy.

- Czy tej nocy widział pan jeszcze raz ten wóz?

- Nie, proszę pana. Kiedy wracałem do swego pudła, to już go nie było.

- Widział pan, kto nim odjechał?

- Nie. Nie widziałem. Mógł to zrobić każdy.

Po obrońcy świadkiem zajął się oskarżyciel. Zaczął wypytywać świadka o to, co zdarzyło się od tamtej pory w jego życiu, i jak to się stało, że dopiero niecałe dwa tygodnie temu dowiedział się, iż pewna kancelaria adwokacka od miesięcy szuka jakichkolwiek osób, które owej krytycznej nocy znajdowały się w pobliżu miejsca, gdzie padły strzały. Owszem, obrona wynajęła mu czasowo jakiś kąt. Finansuje także jego utrzymanie. To znaczy, głównie jedzenie, choć otrzymuje on również pieniądze aądrobne wydatki.

MacDonald przetrzymał świadka przez resztę popołudnia, ale podobnie jak w przypadku doktora Kaliptusa, trudno mu było w zasadny sposób podważyć jego zeznania. Libby w pewnym momencie była na niego wprost oburzona, gdyż w sposób wysoce niedelikatny szydził z biedaka i próbował go ośmieszyć.

- Dowiedzieliśmy się tu, na tej sali, że jest pan, panie Martins, alkoholikiem, narkomanem i człowiekiem wielokrotnie karany. Czyż mamy więc wierzyć, że człowiek tego pokroju poczuł nagle palącą potrzebę zgłoszenia się do sądu po to jedynie, by zadość się stało sprawiedliwości?

- Tak. Czemu nie? - odrzekł świadek. - Jestem chyba pełnoprawnym obywatelem.

- Niezupełnie, panie Martins - zauważył MacDonald. - Jako

### 365

osoba karana nie może pan na przykład zasiadać w ławie przysięgłych. A to dlatego, że w oczach prawa nie jest pan tego godzien.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - oburzył się Geiggen. - Oskarżenie szykanuje świadka i wygłasza nam tu kazania, w dodatku wysoce tandetne w swej formie i treści. To, że pan Martins miał mniej szczęścia w życiu niż pan MacDonald, nie upoważnia tego ostatniego...

- Pozwoli pan, że przerwę teraz pańskie z kolei kazanie, panie Geiggen - oświadczyła pani sędzia Williams, wywołując śmiech na widowni. - Sprzeciw jest natomiast zasadny. Proszę, aby oskarżyciel mitygował swą niechęć do świadka i ograniczył się do pytań merytorycznych.

Pod koniec sesji MacDonald bliski był tego, by powiedzieć Martinsowi prosto w oczy, że uważa go za wynajętego kłamcę. Nie wykazał w tym przesłuchaniu specjalnego kunsztu ani błyskotliwości, ale Libby i tak skłonna była w tym wypadku przyznać mu punkt: obrona rzeczywiście mogła wytrzasnąć nie wiadomo skąd jakiegoś faceta i zapłacić mu za złożenie wygodnych dla niej zeznań.

Geiggen zerwał się z krzesła. Zależało mu widocznie, aby jego wypowiedź zamknęła popołudniową sesję.

- Panie Martins, proszę odpowiedzieć raz jeszcze na proste pytanie: czy w dniu dziewiątym lutego 1994 roku, około godziny dwunastej w nocy, widział pan szarego jaguara z czarnym otwieranym dachem, który stał zaparkowany na Czternastej Ulicy?

- Tak, proszę pana. Widziałem.

- Proszę jeszcze raz powtórzyć sędziom przysięgłym, czy było rzeczą możliwą, by jakaś osoba, nie będąca właścicielem tego samochodu, mogła nim stamtąd odjechać?

- Tak. Każdy mógł to uczynić. Wóz był nie zamknięty, a kluczyki tkwiły w stacyjce.

Kathryn Schnagel powtórnie podsunęła MacDonaldowi kartkę z jakąś sugestią. Tym razem chyba na nią przystał, skinął bowiem głową, podniósł się z miejsca i poprosił sąd o powtórne udzielenie mu głosu.

366

- Panie Martins, czy jaguar, którego pan tak dokładnie oglądał, miał automatyczną skrzynię biegów?

Świadek roześmiał mu się w nos.

- A skąd! Drażek.

- Dźwignię zmiany biegów?

- No pewnie!

- A więc trzeba powiedzieć, że nie każdy potrafiłby nim tak spokojnie odjechać. W amerykańskich samochodach ręczna zmiana biegów jest rzadkością i wielu kierowców nie umie jej obsługiwać.

Świadek wzruszył w tym momencie ramionami.

- Jedni umieją, inni nie. Racja.

- Proszę powiedzieć, ile biegów ma jaguar? Podobno miał pan taki samochód.

- Tak. Pięć.

- A inne samochody, w których zmienia się ręcznie biegi, ile ich zwykle posiadają?

- Jakie? Na przykład toyota i te małe „japończyki”?

- Tak.

- Cztery - odparł Martins, powtórnie wzruszając ramionami.

- Czyli trzeba powiedzieć, że nawet osoby, które nauczyły się koordynować nożne sprzęgło z obsługą czterobiegowej skrzyni, mogły mieć kłopoty z prowadzeniem tego akurat samochodu. Prawda?

- Nie wiem.

- Wie pan już natomiast, że pańskie poprzednie, kategorycznie sformułowane stwierdzenie, nie było prawdziwe.

Nieprawdą jest bowiem, że, jak to pan powiedział: „Każdy mógł tym wozem odjechać”. Mógł nim bowiem odjechać tylko ten, kto już kiedyś prowadził luksusowe wozy wyposażone w taką skrzynię, jaką ma jaguar.

- Nie wiem - bąknął Martins. - Nie jestem mechanikiem.

- Zaiste. Tego nie kwestionuję - skwitował MacDonald. - Nie mam już więcej pytań, Wysoki Sadzie.

Rozprawa została przerwana do następnego dnia

### **367**

Gdy Libby wracała wieczorem z sądu, ludzie strzegący budynku nie śmieli już jej zaczepiać. Poza zdawkowymi słowami powitania przestali się właściwie do niej odzywać. Musiała mieć w wyrazie twarzy coś takiego, co ich onieśmielało. A przecież docierało do nich tyle sensacyjnych doniesień na temat przebiegu procesu, że na pewno korciło ich, by próbować się od niej czegoś dowiedzieć.

Libby była tego wieczoru w bardzo dobrym nastroju. Chodziła sobie po mieszkaniu, nucąc coś pod nosem i podśpiewując. Załatwiła sprawę z Alexem. I coraz bardziej zachwycał ją ten Will. A poza tym przelała na swoje konto подарowany jej przez ojca czek i mogła wreszcie opłacić rachunki.

Will zadzwonił około ósmej, by powiadomić ją, że wujek Greg wywiązał się z danej mu obietnicy i przesłał do jego biura pełne rozliczenie zdeponowanych u niego pieniędzy Winslo-wów. Po dokładnym sprawdzeniu i naniesieniu swych uwag Will będzie mógł je z kolei odesłać jej rodzicom.

- I pomyśleć, że mama dała ci na to *carte blanche* - zdumiała się Libby. - Coś niewiarygodnego!

- To chyba dlatego, że zasiadam z tobą w ławie przysięgłych.

- Alex też zasiada ze mną w ławie przysięgłych, ale co z tego? Za grosz nie miałabym do niego zaufania. Nie, Will! Myślę, że przede wszystkim podziałała tu nazwa firmy, w której pracujesz. W dziedzinie inwestycji kapitałowych jest to jedna z najpoważniejszych spółek na świecie.

- Załatwiłaś sprawę z Alexem?

- Mam nadzieję, że tak. Ale wiesz, Will, on chyba wie, że to miało coś wspólnego z tobą. Takie mam przynajmniej wrażenie.

- No pewnie. Przecież to Widać gołym okiem - zauważył Will. - Wpadłem na pomysł, żeby przedstawić go Betsy. Co ty na to?

Oboje się roześmieli.

- Jest jakaś szansa na to, żebyś zechciała się ze mną spotkać w czasie weekendu? Moglibyśmy pójść do kina albo gdzieś indziej. Pamiętam, co ustaliliśmy w Greatfield, ale...

### **368**

- Ale rozumiesz, o co mi chodziło?

- Rozumiem, że mamy się wystrzegać „Czerwonego Zabójcy” i przytulanych tańców. Do końca procesu.

- No... może tylko „Czerwonego Zabójcy” - powiedziała, czując nagle gorącą falę pożądania. Omal nie upuściła słuchawki.

O rany, skąd u niej taka reakcja?

30.

Libby przestała się przejmować rozsądnym zachowaniem. Gdy następnego ranka Will zjawił się w pokoju przysięgłych, dała mu do zrozumienia, by usiadł obok niej. Tym razem usadowiła się po tej samej stronie długiego stołu, po której siedział Alex. Melissa, ze względów strategicznych, zajęła miejsce między nimi.

Tego ranka przysięgli znowu sprawiali wrażenie zamyślonych i milczących. Wszyscy byli chyba świadomi faktu, że postępowanie wyraźnie nabrało tempa, choć nikt nie miał odwagi powiedzieć tego głośno. Ilu jeszcze świadków może powołać obrona? Pewnie już niewielu. Szczególnie po tych wczorajszych, korzystnych dla oskarżonego zeznaniach.

Wprowadzono ich na salę dokładnie o czasie, a zajmowanie miejsc w ławie przysięgłych szło im już teraz bardzo sprawnie.

Sąd wznowił postępowanie, informując Geiggena, że może przedstawić kolejnych świadków. Adwokat wstał i oświadczył:

- Wysoki Sądzie! Obrona wzywa na świadka Johna Russella Tompkinsa.

Z głębi sali dobiegło czyjeś ciężkie westchnienie. MacDonald błyskawicznie wstał z miejsca i zaprotestował.

- Sprzeciw! Osoba o tym nazwisku nie figuruje w wykazie świadków i nie otrzymała formalnego nakazu stawienia się w sądzie.

- Owszem. Tak się jednak szczęśliwie składa, że pan Tompkins znajduje się dziś na sali, a ponieważ podczas postępowania dowodowego ujawnione zostały pewne nowe okoliczności, przesłuchanie tego świadka ma istotne znaczenie dla interesów mojego klienta.

**370**

- Wysoki Sądzie! W trakcie postępowania przygotowawczego ustalono, że zeznania tego świadka nie przyczynią się do naświetlenia meritum sprawy - oponował MacDonald. - Obrona miała dostatecznie dużo czasu, żeby się temu sprzeciwić. Nie zrobiła jednak tego.

- Powtarzam raz jeszcze: zeznający na tej sali ujawnili pewne nowe okoliczności, przedtem obronie nie znane. Wcześniej nie mieliśmy powodu, by wzywać tego świadka. Teraz je mamy.

- Oskarżenie wnosi o ogłoszenie przerwy. Spór ma charakter formalno-prawny i winien być rozstrzygnięty bez udziału sędziów przysięgłych.

Sąd ogłosił przerwę, która tym razem miała chyba trwać dłużej niż zwykle, gdyż przysięgłych odesłano do ich pokoju. Nie mieli zielonego pojęcia, o co chodzi. Dlaczego obrona wzywa na świadka kogoś, kto siedzi na sali w charakterze widza? Kim jest ten Tompkins? Nawisko kojarzyło im się z siostrą ofiary. Może to ktoś z jej rodziny?

- Twoje książki są bardziej sensowne niż ten cały proces

- westchnęła Basia, a gdy Libby zrobiła zdumioną minę, sięgnęła do torebki i wyciągnęła egzemplarz jej pierwszej powieści.

- Wypożyczyłam to wczoraj z czytelnicy. Nie skończyłam jeszcze, ale aa razie bardzo mi się podoba.

Przysięgłych przetrzymano w pokoju prawie przez godzinę, a kiedy wreszcie wrócili na salę, okazało się, że Geiggenowi udało się wygrać spór. MacDonald był nadęty ze złości i nawet pani sędzia Williams miała taką minę, jakby nie była zadowolona z obrotu sprawy.

- Sąd wyraża zgodę na powołanie zgłoszonego przed przerwą świadka.

- Wysoki Sądzie! Obrona wzywa Johna Russella Tompkinsa do złożenia zeznań.

Na sali zapanowała martwa cisza. Strażnik sądowy przemaszerował do ostatniego rzędu i przyprowadził świadka na środek sali. Libby natychmiast zorientowała się, że jest to mężczyzna, który siedział obok siostry ofiary. Musiał być jej mężem! Spojrzała na Jill Tompkins. Miała napięty wyraz twarzy.

371

- Panie Tompkins... - zaczął Geiggen. - Czy pańskie otoczenie nazywa pana Johnem, czy też ma pan jakieś zdrobniałe imię lub przydomek?

Świadek wymamrotał coś niezrozumiałego.

- Przepraszam, ale nic nie słyszymy - zwróciła się do niego pani sędzia Williams. - Proszę łaskawie mówić do mikrofonu.

Skinął głową. Wyglądał na skrajnie przybitego.

- Tak jest.

- A więc... Czy ma pan jakieś przydomek?

- Tak. Rusty.

Libby natychmiast pojęła, o co chodzi. Zmroziło ją to.

Rusty. Mężczyzna, który miał romans z ofiarą? Jeżeli tak, to Geiggena powinno się powiesić. Boże drogi, przecież tej kobiecie zamordowano siostrę. A on teraz zamierza ją publicznie upokorzyć. A może nawet rozbić jej rodzinę. O co mu "w końcu chodzi? Czy liczy na to, że uda mu się przerzucić winę na tego właśnie człowieka? Byłaby to sztuczka godna Perry Masona - sławnego adwokata z seriali z lat trzydziestych. Tylko że to nie jest serial.

Zorientowała się, że siedzący obok niej Clay także odgadł już, o co chodzi. Jego dłoń mimowolnie zacisnęła się na oparciu krzesła. Pochylił się lekko do przodu, w kierunku miejsca, z którego zeznawał świadek.

Geiggen nie śpieszył się. Podeszedł wolno do ławy przysięgłych, by zabrać z półki pozostawiony tam plik notatek. Rusty Tompkins siedział i czekał. Widać było, że zaczyna się pocić. Wydał się w tym momencie Libby załamany, przytłoczony brzemieniem winy człowiekiem. Jakby czytając w jej myślach, sięgnął nagle po szklanekę z wodą, upił z niej łyk, wyprostował się i cofnął ramiona do tyłu. Teraz prezentował się znacznie lepiej, a Libby zastanawiała się, czy oskarżenie udzieliło mu podczas przerwy jakichś instrukcji.

- Panie Tompkins - ciągnął Geiggen. - Koleżanka ofiary, pani Marybeth Shaeffer, zeznała tu, na tej sali, że Sissy Cook miała romans z mężczyzną, nazywającym się Rusty.



372

- Sprzeciw! - zaprotestował MacDonald. - Osoba, o której mowa, nic takiego nie zeznała.

- Wysoki Sądzie, to jakieś nieporozumienie. Marybeth Schaeffer powiedziała przecież wyraźnie, że Sissy Cook odbyła stosunek seksualny z mężczyzną o imieniu Rusty.

- Sprzeciw! Stanowczy sprzeciw! - grzmiał MacDonald. - Takie słowa na tej sali nie padły. Obrona wmawia to przysięgłym i próbuje nimi manipulować.

Geiggen rozłożył bezradnie ręce,

- Wysoki Sądzie! W jaki sposób mam zadawać pytania, skoro nie wolno przytoczyć mi słów świadka, które padły na tej sali? W moich notatkach znajduje się jasne stwierdzenie: koleżanka ofiary odniosła wrażenie, że Sissy Cook i Rusty byli kochankami. W związku z tym...

- Dostyc tego, panie Geiggen! - przerwała mu ostro pani sędzia Williams. - Zarządzam krótką przerwę. Przysięgli proszeni są o opuszczenie sali. - Zrobiła pauzę, odetchnęła głęboko i spojrzała na nich w momencie, gdy podnosili się z miejsc. - Przypominam, że macie się państwo powstrzymać od wszelkich dyskusji na temat przebiegu sprawy. Również we własnym gronie.

Kilka osób skwitowało to zdawkowym skinieniem głowy. W pokoju przysięgłych panowała cisza. Libby nie wytrzymała i przerwała ją pierwsza.

- Okropnie mi żal jego żony. Dlaczego ona musi przysłuchiwać się temu wszystkiemu? Coś niewiarygodnego! -

Czując na sobie wzrok zebranych, zreflektowała się. - Przepraszam. Nie powinnam tego mówić.

- Dostyc mam już tego cholernego procesu! - wybuchnął Clay. - Jeszcze chwila i zacznę bić głową o ścianę. - Zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo spacerować po pokoju. - Od wysłuchiwania tych świństw wszyscy dostaniemy świra. Po piętnastu minutach wezwano ich na salę. Rusty Tompkins nadal siedział na miejscu do składania zeznań, a pani sędzia Williams zezwoliła Geiggenowi kontynuować przesłuchanie.

- Panie Tompkins - zaczął obrońca, powoli cedząc słowa

### **373**

- przypominam, że nadal jest pan związany przysięgą. Ma pan mówić prawdę i tylko prawdę. Rusty skinął głową.
  - Czy odbył pan stosunek seksualny z...
  - Wysoki Sądzie! - wrzasnął MacDonald, nie pozwoliwszy mu skończyć. - Oskarżenie wnosi stanowczy protest! Pytania obrony nie mają związku z meritum sprawy! Jeśli te jawne próby manipulacji opiniami sędziów przysięgłych powtórzą się, będziemy zmuszeni wnieść o unieważnienie procesu.
  - Absurd, Wysoki Sądzie! Tłumaczyłem to wcześniej: wątek, który tu poruszamy, ma bezpośrednie znaczenie dla sprawy. Obrona stara się po prostu wykazać, że istniał jeszcze jeden zawiedziony kochanek Sissy Cook. Co najmniej jeszcze jeden.
  - Sprzeciw! - krzyknął MacDonald, bijąc pięścią w stół. - Jest to jawna manipulacja. Nie ma na to żadnych dowodów. Wysoki Sądzie! Ostrzegam raz jeszcze: jeśli tego rodzaju praktyki obrony będą nadal tolerowane, to złożymy wniosek o unieważnienie procesu.
  - Panie Geiggen! Sprzeciw jest zasadny - powiedziała ostrym tonem sędzina. - Proszę stosować się do tego, co zostało wyenegocjowane. Wie pan doskonale, jakie pytania wolno panu zadawać, a jakie uznaliśmy za niedopuszczalne. Bez żadnych kręctw. Czy dostatecznie jasno się wyraziłam?
  - Tak jest, Wysoki Sądzie - wycedził przez zaciśnięte zęby obrońca. Odwrócił się, zmrużył oczy i zaczął wpatrywać się w Rusty'ego. Trwało to dobrą minutę. - Nie mam więcej pytań pod adresem świadka - oświadczył niespodziewanie i jakby nigdy nic powrócił do stołu obrony. Zgromadzeni na sali przyjęli to z pewnym zdumieniem. Kathryn Schnagel podsunęła MacDonaldowi podkładkę z przypiętą do niej kartką. Czytał ją właśnie, gdy pani sędzia Williams spytała go, czy oskarżyciel pragnie zadać świadkowi jakieś dodatkowe pytania.
  - Tak jest, Wysoki Sądzie.
- Wolno uniósł się z krzesła, nie odrywając oczu od kartki. Wyglądało na to, że czyta ponownie początek figurującego na

niej tekstu. Zabrał ją w końcu ze sobą, predefilował przed ławą przysięgłych i stanął nieco z boku, zmuszając w ten sposób świadka do zwrócenia twarzy w stronę sędziów przysięgłych.

- Panie Tompkins... Zadam teraz panu trudne pytanie. - Odchrząknął, przez chwilę jeszcze studiował trzymaną w ręku kartkę, po czym podniósł wzrok i wyrecytował: - Czy miał pan okazję, by wdać się w romans z Sissy Cook? Świadek po chwili wahania skinął głową.

- Tak.

- Proszę więc powiedzieć sędziom przysięgłym, czy chciał pan nawiązać z nią romans.

- Nie, nie chciałem.

- Przypominam, że zeznaje pan pod przysięgą - powiedział MacDonald.

- Tak. Wiem o tym - odparł z przejęciem Tompkins. - Przysięgam Bogu, że nie chciałem nawiązać romansu z Sissy Cook. Zbyt mocno kochałem swą żonę... i kocham ją nadal. Najważniejsza jest dla mnie rodzina. Nie mogłem zniszczyć tego, na czym mi najbardziej zależało.

- Czy miał pan jakikolwiek powód, by nastawać na życie Sissy Cook?

Ależ skąd! Przecież ona też należała do rodziny.

- Dziękuję panu, panie Tompkins. To wszystko.

- Panie Geiggen - zwróciła się do obrońcy pani Williams - czy ma pan jeszcze jakieś pytania pod adresem świadka?

- Tak jest! - wykrzyknął adwokat, zrywając się z krzesła. Po chwili jednak zastygł w bezruchu i zwracając się ku ławie przysięgłych, wykonał gest człowieka, który odkrył nagle, iż ma związane ręce. - Niestety. Zmuszony jestem zamilknąć. Wysoki Sąd nie pozwoli mi zadać pytania, na którym mi najbardziej zależy. Z ubolewaniem stwierdzam, że bardzo utrudni nam to sprawiedliwe i słuszne osądzenie tej sprawy.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie!

- Panie Geiggen, znowu zaczyna pan swoje - powiedziała pani sędzia Williams. Westchnęła i pokręciła głową. - Świadek jest wolny. Dziękuję panu, panie Tompkins. Ogłaszam przerwę

na lunch. Dziękuję państwu. Pan Geiggen proszony jest natomiast o natychmiastowe stawienie się w moim gabinecie.

- Już po wszystkim, panie Tompkins! Już po wszystkim!

- Kathryn Schnagel, wisząc dosłownie na ramieniu Rusty'ego, próbowała go jakoś uspokoić.

- Nie narób pan jakichś głupstw - ostrzegł go MacDonald, podchodząc do niego z drugiej strony. - Jill, niech pani przemówi mu do rozsądku. Mamy to już za sobą. I wszystko świetnie się udało.

- Nic się nie udało! - warknął Rusty. - Schrzaniliście sprawę nakazem rewizji! Mieliście w ręku przygważdżające dowody, a teraz możecie się nimi podetrzeć. Banda partaczy! Kto mi przysięgał, że nie będę wzywany do sądu? Co pan na to, MacDonald? Przez takiego dupka jak pan, Layton wykręci się z tego sianem.

- Na pewno nie - zapewniła Kathryn Schnagel.

- Czyżby? Już mu się prawie udało. Wszyscy tak twierdzą

- wściekał się dalej Rusty. - Spytajcie mojej żony. Jak myślicie, po co ona tu codziennie przyjeżdża? Po to, by ułatwić wam robotę? Ona już od dawna nie wierzy, że uda wam się wsadzić Laytona. Chce po prostu przyjrzeć się tej kanalii, póki ma on jeszcze jakieś kłopoty. Bo wkrótce nie będzie już musiał się przed nikim tłumaczyć z tego, co zrobił.

- Zamknij się pan wreszcie! - uciał MacDonald. - Ani słowa więcej!

- Okropnie mi żal żony tego faceta - powiedziała Libby, gdy tylko wyszła z Melissą i Willem na ulicę.

- A mnie jest żal Stephena - odparła Melissa. - My sobie idziemy coś zjeść, a on pędzi teraz do szpitala. Ciągłe się boi, że jego kochanek umrze wtedy, gdy on będzie siedział w tym sądzie.

- Taak. Biedny człowiek - mruknął Will. - Wiecie co? Zjedzcie coś we dwie, a ja spróbuję złapać teraz tego adwokata.

- Powodzenia.

**376**

Will pożegnał kobiety skinieniem głowy, przeszedł przez ulicę i skierował się w stronę stacji metra.

Poszły obie do małej restauracyjki, w której dotąd jakoś nigdy nie próbowały się stołować. Jbby zamówiła kanapki, a Melissa sałatkę i zupę.

- No i co? - nie wytrzymała wreszcie Libby. - Dzwoniłaś w końcu do Christine?

Melissa skinęła głową.

- Wspaniale! Kiedy macie się spotkać?

- Naprawdę tak cię to intryguje?

- A dlaczego miałyby mnie nie intrygować? Przecież to takie romantyczne - oświadczyła Libby. - Prawdziwa, wielka miłość jest zawsze czymś cudownym. - Błysnęła zębami w uśmiechu. - A poza tym uwielbiam słuchać, jak nagle zaczynasz się jąkać i mrużyć coś pod nosem. Zawsze jesteś taka elokwentna i rzeczowa.

Melissa roześmiała się i poinformowała ją, że Christine ma przyjść do niej w sobotę na kolację. Przyniesiono im zamówione dania; zamilkły i zaczęły jeść.

W pewnym momencie Libby zastygła w bezruchu; ręka z bułką zawisała jej w powietrzu. '—..Co się stało? - zdumiała się Melissa.

- Cześć! - pozdrowił je Alex, podchodząc do ich stolika.

- Patrzcie! A to dopiero spotkanie! Pozwolicie, że się przysiadę?

- Kiedy indziej nie miałabym nic przeciwko temu - odparła Melissa. - Ale teraz właśnie muszę opowiedzieć Libby coś ważnego i chciałabym to zrobić bez świadków.

- Eee tam! Ty stale masz jej coś ważnego do powiedzenia

- mruknął i przysunął sobie krzesło. - Kelner! Mogę prosić kartę? - Rozsiadł się wygodnie i skrzyżował dłonie na blacie stołu.

- No więc, na czym wam przerwałem?

Po południu, zaraz po wznowieniu rozprawy, Geiggen natychmiast zawiadzał kolejnego świadka. Nazywał się on Alfonse Catanio i był olbrzymim mężczyzną, mierzącym około dwóch metrów i ważącym przynajmniej ze sto czterdzieści kilogramów.

377

Był zawodowym agentem ochrony, zatrudnionym poprzednio w firmie Baker Street Security. Z usług tej firmy ochroniarskiej korzystała między innymi agencja Danchione, w związku z czym Catanio częstokroć asystował Sissy Cook na planach zdjęciowych i innych imprezach.

- Czy pani Cook potrzebowała ochrony, panie Catanio?

- Owszem. Prawie wszystkie modelki potrzebują ochrony. Za dużo jest świrów na mieście.

Opisał następnie kilka incydentów, kiedy musiał interweniować w sytuacjach, gdy jacyś nieznani osobnicy próbowali za wszelką cenę zbliżyć się do Sissy Cook lub nawiązać z nią jakiś intymny kontakt. Modelkę bardzo to przerażało.

- A czy obawiała się ona również kogoś, kogo znała? - spytał Geiggen.

- Owszem. Pamiętam taki przypadek. - Świadek spojrzał z ukosa na ławę przysięgłych, próbując sobie to przypomnieć. - Jakiś jej były chłopak czy przyjaciel nachodził ją i niepokoił.

- Jak się nazywał?

- Nie pamiętam dokładnie. Chyba Claude. Nazwiska nie znam. Jakiś facet zaczął się dobijać do drzwi studia i wykrzykiwać coś na korytarzu i wtedy właśnie ona powiedziała mi to imię.

- Co dokładnie powiedziała?

- „Mam nadzieję, że to nie Gaudę”. Bała się, że facet może zrobić coś nieobliczalnego.

- Kiedy to było, panie Catanio?

- W styczniu... W styczniu dziewięćdziesiątego czwartego roku.

- Na początku czy w drugiej połowie stycznia?

- Raczej pod koniec stycznia. Zapamiętałem to, gdyż jakiś czas przed tym, około Nowego Roku, mieliśmy podobny problem z innym facetem

- Podobny? To znaczy jaki?

- Też chodziło o jakiegoś gościa, z którym nie chciała się już widywać.

- Również się go bała?

**378**

- No jasne. W końcu ... Sissy była wysoka, ale bardzo szczupła. I słaba. Jak to kobieta.

Następnie, tym razem bez żadnej przerwy, świadkowi zaczął zadawać pytania MacDonald. Szło mu jakoś opornie; nie był skupiony, nie bardzo było wiadomo, do czego zmierza, i gdy wreszcie dobiegł do końca, Libby odniosła wrażenie, że obrońca ponownie zdobył punkt. Udało mu się bowiem zaszcześcić w świadomości sędziów wątpliwości, których oskarżyciel nie był w stanie skutecznie rozproszyć. Zadawał wielokrotnie te same pytania, licząc widocznie na to, że przyłapie świadka na jakichś niekonsekwencjach, co mu się w efekcie nie udało, a w dodatku naraził się sędzinie, która zwróciła mu w pewnym momencie uwagę, aby się nie powtarzał.

A przecież przysięgli nie mogą orzec winy, jeśli istnieją po temu uzasadnione wątpliwości.

„Uzasadnione wątpliwości”. Co to właściwie znaczy? - zastanawiała się.

### 31.

W czwartek rano, trzydziestego listopada, książki Libby czytało już troje przysięgłych: Basia, Adelaide i - co było zupełnie zdumiewające - Stephen.

- Dostałem to od Melissy - wyjaśnił, pokazując egzemplarz „Uśmiechu losu”. - Powiedziała, że na pewno mi się spodoba.

Libby spojrzała na przyjaciółkę.

- Przeczytałam twoją książkę w czasie weekendu. Zapomniałam ci o tym powiedzieć. Uważam, że jest świetna.

- Ty nie jesteś zamężna, Libby, prawda? - spytała Adelaide.

- Nie sądzę, aby ktoś, kto pożył trochę w związku małżeńskim, mógł opisywać w ten sposób miłość - stwierdziła, wskazując na otwarte strony pierwszej powieści Libby.

- Co ti powiesz? W jaki nibi sposób? - spytała Elena, zerkając przez ramię swej przyjaciółki. Minę miała taką, jakby liczyła na to, że znajdzie na otwartych stronach jakiś wyjątkowo świński fragment.

- No... że jest się szczęśliwą... i tak dalej.

Will, który siedział tuż obok Libby, wybuchnął śmiechem.

- A jakie są twoje wyobrażenia na temat miłości? - spytała recenzentkę Debrilla.

- Jak najgorsze - odparła Adelaide. - Najpierw się człowiek zamartwia, że ten drugi go już nie kocha, a potem, że kocha go ktoś, z kim nie sposób dłużej wytrzymać.

- Albo że zadał się z kimś, kto nie jest zdolny do miłości

- zauważył Alex, przechylając się przez stół i patrząc prowokacyjnie na Libby.

- No tak - mruknął pod nosem małolat Ronnie. - To był cios



poniżej pasa. Zdaje się, że Romeo i Julia definitywnie się ze sobą rozstali.

- Hola, hola, Ronnie! - ofuknął go Clay.

Libby podziękowała mu spojrzeniem. Znowu zdołał ją zaskoczyć.

- Moim zdaniem - wtrąciła pani Smythe-Daniels - Cornelia wie bardzo wiele o miłości. A jej książki są po prostu cudowne. - Powiodła po zebranych takim wzrokiem, jakby wypatrywała kogoś, kto ośmielił się zaoponować.

Libby uśmiechnęła się do niej.

Po tej wymianie zdań w pokoju przysięgłych zaległa cisza, libby położyła przed sobą kartkę papieru i wdała się w pisemną konwersację z Willem.

„Jak się masz?” - napisała.

Sięgnął do kieszeni granatowej prążkowanej marynarki i wyciągnął z niej pióro.

„Nie najgorzej. Ale bez rewelacji. Dobijają mnie te kontakty z adwokatami.”

„Chcesz pójść ze mną na lunch?”

„Bardzo bym chciał, ale muszę wpaść po coś do hotelu.”

„Rozumiem.”

Chodź ze mną. Zjemy tam jakąś kanapkę. Zapomniałem zabrać pewien dokument i muszę zadzwonić do adwokata.”

„Dobrze. Chętnie pójdę.” „Naprawdę?”

„No pewnie. Będziemy sobie mogli pogadać. No i co w końcu z tą Betsy? O co jej właściwie chodzi?” „rsrrrrr.”

„Wszystko się w końcu ułoży, Will.” „Mam nadzieję.”

Libby nie była w tym momencie pewna, co sprawia jej większą satysfakcję: poczucie, że jest tak blisko Willa, czy też świadomość, że Alex im się natrętnie przygląda. Zaczynała tego człowieka nienawidzić. Wczorajszy lunch był istną makabrą. Alex starał się za wszelką cenę, by Melissa zostawiła ich samych, i dokuczał jej tak, że Libby obawiała się, iż jej przyjaciółka

rozbije mu na głowie talerz z sałatką i wyjdzie. Dzięki Bogu, jakoś tego nie zrobiła.

- Panie i panowie - obwieścił Chuck, stając w otwartych drzwiach - proszeni jesteście na salę.

Tego ranka na świadka obrony powołano czterdziestokilkuletnią blondynkę, Mary Lou Peterson. Jej wejście na salę rozpraw wywołało szmer na widowni. Okazało się, że jest ona starszą siostrą oskarżonego. Gdy podano ten fakt do wiadomości, Libby spostrzegła, że rzeczywiście są do siebie bardzo podobni.

Geiggen zaczął od pytań natury ogólnej. Mary Lou odpowiedziała, że skończyła Smith College, jest od czternastu lat zamężna, ma dwójkę dzieci i - podobnie jak brat i reszta rodziny - mieszka w Locust Valley na Long Island.

Przyznała, że pozostaje z bratem w bliskich i zażyłych stosunkach. Zawsze tak było. Brat darzył ją nieograniczonym zaufaniem i nie miał przed nią żadnych tajemnic. Była całkowicie świadoma, że niestety jest on uzależniony od narkotyków. Sama dwukrotnie próbowała interweniować i pomóc mu w rzuceniu nałogu. Skończyło się to niepowodzeniem. Dopiero później zdarzyło się coś takiego, co kazało mu zerwać z nim na zawsze.

- Co takiego? - spytał Geiggen.

- No... to, że Sissy została w tak okrutny sposób zamordowana. - Powiedziała to tak, jakby ofiara była jej serdeczną przyjaciółką.

- Czy znała pani Sissy Cook? - pytał dalej Geiggen.

- Tak.

Na widowni rozległy się szmery.

- Jak ją pani poznała?

- Pracowałyśmy razem, zbierając fundusze na ośrodek terapeutyczny dla dzieci, które padły ofiarą przestępstw o podłożu seksualnym.

- Czy lubiła ją pani?

- Początkowo tak.

- Dlaczego tylko początkowo?

- No cóż... Przedstawiłam ją memu bratu... - Zawiesiła głos i skrzywiła się z niesmakiem. - Nie przyszło mi do głowy, że

będzie go próbowała uwodzić. Był on wtedy w takim stanie,' że...

- W jakim mianowicie stanie?

- Widać było gołym okiem, że jest narkomanem. Przepraszam cię, Jim - zwróciła się do oskarżonego - ale naprawdę tak wówczas wyglądałeś. I nie był to przyjemny widok.

Layton siedział nieporuszony. Nie wykonał absolutnie żadnego gestu.

- Czy zechce pani zrelacjonować sędziom przysięgłym prze-; bieg zdarzeń, które doprowadziły do tego spotkania?

- Oczywiście. Było to we wrześniu. Chyba czternastego. Wydawaliśmy bankiet na cele dobroczynne i wówczas właśnie...

- Przepraszam, że przerywam. Czy oskarżony był na tym bankiecie?

- Tak, był. Mieliliśmy z Jimem wiele kłopotów, ale mimo to starałam się nie wykluczać go z udziału w normalnym życiu. Zapraszałam go, gdzie tylko mogłam. Między innymi na ten bankiet. Wydawało mi się, że im więcej czasu spędzi z rodziną, tym mniej będzie biegał za... za tym wszystkim innym.

- Za czym mianowicie?

- Za narkotykami. Za ludźmi, którzy je biorą i nimi handlują. Za tymi, którzy namawiają go, aby brał. Po to choćby, by wyciągnąć od niego pieniądze.

- Rozumiem. Proszę mówić dalej.

- No więc przedstawiłam go Sissy. Przede wszystkim dlatego, że mieli siedzieć obok siebie na honorowych miejscach. W trakcie obiadu bez przerwy ze sobą rozmawiali; wyglądało na to, że przypadli sobie do gustu... Ale mimo wszystko byłam bardzo zaskoczona, gdy zobaczyłam, że wyszli razem, nie doczekawszy do końca uroczystości.

- Wiedziała pani, dokąd się udali?

- Nie. Ale i tak mnie to zaniepokoiło. Sissy miała zostać dłużej i udzielić wywiadu jakimś dziennikarzom. Nie byłam w stanie pojąć, dlaczego nie wywiązała się z tych zobowiązań i wyszła sobie po prostu z mym bratem. Zaczęłam się obawiać...

383

- Czego mianowicie?

- Tego, czy ona również nie zażywa kokainy.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - zaprotestował MacDonald. - Świadek pozwala sobie na czyste, nie oparte na faktach spekulacje.

- Za pozwoleniem, Wysoki Sądzie! Myśli i obawy, jaki żywiła wówczas świadek, są faktami, które mogą mieć istotne znaczenie dla sprawy.

- Oddalam sprzeciw - zawyrokowała pani sędzia Williams.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. - Adwokat podszedł niespiesznie do ławy przysięgłych. - I co się potem stało? - spytał siostrę oskarżonego.

- Wróciłam do domu, do Locust Valley. Późnym wieczorem zadzwoniła do mnie żona mojego brata, Susie. Spytała, czy Jim wrócił razem ze mną. Odpowiedziałam, że nie, ale że na pewno niedługo się pojawi.

- I co dalej?

- Rozmawialiśmy przez dłuższą chwilę. Susie miała wówczas serdecznie dosyć Jima. Z powodu narkotyków. A nasza rodzina starała się pomóc jej przebrnąć jakoś przez ten trudny czas. Zależało nam, żeby się nie rozwiedli. Jim, w tych rzadkich chwilach, gdy nie był pod działaniem środków, sprawiał wrażenie bardzo przywiązanego do Susie i do dzieci. Obawialiśmy się, że jeśli ich straci, to życie przestanie mieć dla niego jakąkolwiek wartość i może wówczas zrobić coś strasznego.

- Na przykład co?

- Może się zabić.

- A czy nie obawiała się pani o to, że może zabić kogoś innego?

- Nie. Chyba żeby ponownie zasłabł za kierownicą.

- Powiedziała pani „ponownie”? Czy zdarzyło się to już kiedyś?

Skinęła głową.

- Tak. Bóg widocznie miał go w swojej opiece. No bo jak to inaczej wytłumaczyć, skoro policja kilkakrotnie znajdowała go kompletnie nieprzytomnego w wozie stojącym na poboczu. Zda-

### **384**

rzało się również, że nie mógł znaleźć swego samochodu i tracił przytomność na ulicy.

- Chce pani przez to powiedzieć, że narkotyki działały na pani brata w ten sposób, że częstokroć był on fizycznie niezdolny, aby się poruszać?

Ponownie skinęła głową.

- Niestety. To było bardzo smutne.

- Poszę mi teraz odpowiedzieć na następujące pytanie: czy znając swego brata, uważa pani, że mógł on przyjechać do klubu nocnego, sprowokować tam awanturę, po czym wyjść na ulicę i zapomniawszy, gdzie zaparkował samochód, wrócić taksówką do domu?

- Oczywiście. To było dla mego typowe. Znam przynajmniej dziesięć przypadków, gdy dokładnie tak samo się zachował.

- No dobrze. .. Proszę więc mówić dalej. Opowiedziała nam pani właśnie o rozmowie z bratową, która miała miejsce wieczorem po owym bankiecie na cele dobroczynne.

- Tak. Susie zadzwoniła jeszcze raz około dwunastej w nocy, bardzo zdenerwowana. Nadal nie wiedziała, co się stało z Jimem. Nie wrócił do domu, nie zadzwonił...

- Jak pani na to zareagowała?

- Udałam się do Susie, aby ją uspokoić. Nie chciałam zostawiać jej samej. Myślałam, że gdy będzie wiedziała, iż z nią jestem, to może uda jej się usnąć.

- Proszę kontynuować.

- Około wpół do trzeciej nad ranem zjawił się mój brat. Przyjechał do domu taksówką.

- Czy było po nim widać, że jest pod wpływem narkotyków?

- Tak.

- I co się wówczas stało?

- Próbowałam z nim rozmawiać na dole w salonie, ale wyprowadziłam go z równowagi i... - Zamilkła na chwilę i przełknęła ślinę. - Zaczął krzyczeć, że to moja wina, i pytać, po co poznałam go z Sissy Cook. Nie rozumiałam, o co mu chodzi, a gdy poprosiłam, aby mi to wyjaśnił, powiedział, że wiedziałam chyba, co to jest za osóbką.

385

- O co mu chodziło?

- Powiedział, że nastęrczyłam mu kobietę, która jest zdeklarowaną narkomanką. Zaczęło się od tego, że musiał natychmiast zdobyć dla niej kokainę. Potem udali się do mieszkania naszych rodziców i tam... ona chciała z nim odbyć stosunek. - Pani Peterson westchnęła. Wyglądała na bardzo zmieszaną. - Brat w końcu nie poszedł z nią do łóżka. Tak przynajmniej twierdził. Skończyło się na tym, że musiał znów naćpać się kokainy i wypić masę alkoholu.

- I co dalej?

- Jim poszedł na górę i położył się do łóżka. A ja wróciłam do domu. - Pani Peterson sięgnęła po szklanę z wodą i upiła z niej łyk.

Geiggen przechadzał się przed ławą przysięgłych, intensywnie się nad czymś zastanawiając. Wreszcie przystanął i zadał świadkowi kolejne pytanie:

- Czy po tym zdarzeniu zetknęła się pani jeszcze z Sissy Cook lub słyszała coś o niej?

- Osobiście się z nią już nie zetknęłam. Natomiast około Świąt Bożego Narodzenia dowiedziałam się od brata, że Sissy dzwoniła do niego, pragnąc dowiedzieć się, gdzie można zaopatrzyć się w kokainę.

- Po co brat mówił pani o takich rzeczach?

- Próbował wówczas wytrzymać choć parę dni bez narkotyków. Wydaje mi się, że wspominając o tym, iż osoba, którą mu przedstawiłam, bierze obecnie narkotyki, chciał przekonać mnie o tym, z jakim wielkim wysiłkiem powstrzymuje się od tego, by samemu nie brać.

- Naprawdę próbował wówczas rzucić nałóg?

- Tak. Przynajmniej na czas świąt. Ze względu na dzieci.

- A czy później słyszała pani jeszcze coś o Sissy Cook?

- Nie. Usłyszałam o niej dopiero wtedy, gdy została zastrzelona. To znaczy po jej śmierci.

- A co się stało wówczas z pani bratem?

- Rano pojechaliśmy z mężem do Nowego Jorku. Brat był w areszcie. Udało nam się uzyskać z nim widzenie.

- Co brat wtedy pani powiedział? Odetchnęła głęboko i przetarła czoło.

- Płakał. - Na chwilę zamarła w bezruchu. Następnie odkaszlęła i zaczęła mówić dalej: - Powiedział, że tego nie zrobił. Krzyczał, że to jakieś okropne nieporozumienie. Opowiadał, że ukradziono mu samochód, lub też może nie potrafił go odnaleźć, wziął więc taksówkę i pojechał do mieszkania rodziców. Po czym nagle dowiedział się, że jest aresztowany pod zarzutem ; morderstwa.

- Czy uwierzyła mu pani?

Mary Lou wydała z siebie nieartykułowany okrzyk i stłumiła go natychmiast, przysłaniając usta chusteczką. Dopiero po chwili przemówiła wysokim, załamującym się głosem:

- Oczywiście. Znajdował się w takim stanie, że nie byłby zdolny przejść o własnych siłach przez ulicę. A co dopiero napaść na kogoś... czy zorganizować taki napad. - Zaczęła w tym momencie płakać. - Ten człowiek nigdy nikogo nie skrzywdził. Muchy nawet nie zabił. Przysięgam!

Geiggen odczekał chwilę, po czym zwrócił się ku ławie sędziowskiej:

- Wysoki Sądzie. Nie mam już więcej pytań. Uprzejmie prosię o zarządzenie przerwy na lunch, aby pani Peterson mogła ; dość do siebie, zanim zostanie przesłuchana przez oskarżyciela.

- O rany! - westchnęła Libby. - Zaczynam być kompletnie skołowana. Zupełnie nie wiem, co mam o tym myśleć.

- Mamy podobne odczucia. - Will spojrział na zegarek. - Ale ponieważ darowano nam dwie godziny przerwy, proponuję, żebyśmy na chwilę zapomnieli o sprawie.

Uśmiechnęła się. Szli oboje w kierunku centrum. Po upływie kilku minut wydało się Libby, że sąd i proces zostały gdzieś daleko, niewiarygodnie daleko. Realne było jedynie to, że idzie oto przez miasto, tuż obok Willa, uśmiecha się i rozmawia z nim, przekrzykując uliczny zgiełk. Zdumiewające, jak wspaniale się z nim czuła. I jaka była szczęśliwa. Tylko dlatego, że był obok niej.

**387**

- Wiesz co? - zaczął Will. - Uwielbiam spędzać z tobą czas. No popatrz... jest mi tak wspaniale, a przecież obiektywnie biorąc, mam teraz same kłopoty. Wszystko mi się kompletnie zawaliło.

Roześmiała się, ujęła go pod ramię i płynęła z nim dalej pod prąd przez zatłoczony chodnik.

Zatrzymał się nagle i zaczął się w nią wpatrywać. Kilka osób ich potrąciło, ale wyraźnie nie zwracał na to uwagi.

- To nie jest tylko przyjaźń, Libby. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Wiesz o tym, prawda? - Spojrzał na nią tak, jakby obawiał się, że może go za to wyznanie skarcić. Albo uderzyć.

- Wiem-zapewniła go.

Szli dalej ramię przy ramieniu i nie odzywali się do siebie, aż dotarli do World Trade Center i weszli do hotelu „Vista”.

- Księgarnia jest na piętrze - powiedział Will, gdy znaleźli się w holu. - Za kilka minut będę z powrotem. Zabiorę tylko dokumenty i zadzwonię do tego faceta.

Libby powiedziała na to, że chętnie pójdzie z nim na górę, jeśli nie będzie kępował się rozmawiać przy niej z adwokatem. Ledwie to powiedziała, spostrzegła, że na jego twarzy pojawiły się rumieńce. Czyżby myślał, że...

Zastanawiała się nad tym jeszcze w windzie. I nagle, zamiast rozwiązywać abstrakcyjną łamigłówkę, poczuła silny i zupełnie jednoznaczny przypływ pożądania. Stropiona, nie śmiała spojrzeć na Willa. Po chwili znaleźli się w jego pokoju. Jednoosobowym. Małym i ciasnym. Stało tam jednak jakieś krzesło i Libby przysiadła na nim, podczas gdy Will rzucił płaszcz i marynarkę na biurko i usiadł na łóżku.

- Muszę zadzwonić do tego faceta - powiedział i zaczął przeglądać teczkę pełną papierów.

I wówczas Libby popełniła fatalny błąd. Zaczęła się mianowicie zastanawiać, po co on trzyma na kolanach tę teczkę. Czy nie po to przypadkiem, żeby.

Podążył za jej spojrzeniem ' sądząc, że przygląda się papierom, powiedział:

- To są rachunki, które za nią regulowałem.



Sięgnął po telefon, wybrał numer, odczekał chwilę i gdy ktoś się zgłosił, Will zaczął z nim rozmawiać. Wyraźnie zaabsorbowany rozmową, odłożył teczkę na łóżko i uniósłszy jedną nogę, wsparł notatnik na udzie i zaczął w nim coś zapisywać.

Podejrzenia Libby okazały się uzasadnione. Był pobudzony. Może nie w pełni, ale przynajmniej częściowo - i widok ten bez reszty ją zelektryzował. Will skończył rozmowę i odwiesił słuchawkę.

- Co się stało? - zapytał i uświadomiwszy sobie, o co chodzi, zrobił się czerwony jak burak. Wtedy właśnie Libby popełniła następny fatalny błąd: przyłapała go na tym, że patrzy na swoje krocze i nieudolnie próbuje ukryć przed jej wzrokiem to, co zdążyła już dawno zauważyć.

Nagle stało się coś niewiarygodnego. Libby poczuła, że pragnie go całym sercem, duszą i ciałem - tak mocno, jak nie zdarzyło jej się jeszcze pragnąć nikogo.

- Will! -Z trudem wymówiła jego imię i pośpiesznie zerwała się z miejsca. - Obejmij mnie, proszę!

Wpatrywał się w nią, zaszokowany i wytrącony z równowagi. Gdyby nagle wyciągnęła rewolwer i kazała mu podnieść rękę do góry, zapewne bardziej by się nie zdziwił. Zrobiła dwa kroki do przodu, zatrzymała się i wyciągnęła do niego ramiona. Po chwili Will objął ją. Poczowała, że w tym momencie zdrzął.

. Libby zrzuciła z nóg pantofle na podwyższonym obcasie, by nie wydać mu się za wysoka, przywarła do niego i przytuliła policzek do jego^zyi. Cudownie do siebie pasowali.

- Zróbmy to teraz - wyszeptała. - Nigdy jeszcze nikogo tak nie pragnęłam.

Znowu poczuła, że Will drży. Próbuje panować nad podnieceniem, pomyślała.

- Pewna jesteś, że tego chcesz? - spytał, nie wypuszczając jej z ramion.

Skinęła głową i pocałowała go. Mieli nie więcej niż dwadzieścia minut. Zdawała sobie z t«gś sprawę. On również.

Jeśli jednak ma się to stać, musi się to stać natychmiast. Bez chwili zwłoki. Jakby odgadując jej myśli, pocisnął ją na łóżko.

Zaczął ją całować. Mocno, zachłannie. Dotknął wargami szyi Libby, a jego palce rozpinają w tym czasie guziki jej bluzki. Delikatnie przewiesił bluzkę przez poręcz łóżka. Westchnął, wsuwając dłonie pod stanik Libby. Obnażył jej piersi. Pieścił jej sutki najpierw palcami, potem wziął je w usta. Całował coraz szybciej, czując narastające podniecenie. Błyskawicznie zdjął krawat i koszulę i odrzucił gdzieś na bok. Potem ściągnął z Libby spódnicę i halkę. Sam został w podkoszulku i bokierskich spodenkach, które nie były w stanie ukryć jego pożądania. Libby zdjęła mu ten podkoszulek; pozwoliła, aby ściągnął jej majteczki, a potem sama zrobiła to z jego szortami. Wreszcie byli nadzy. Znowu zaczęli się całować.

- Byłem tylko z Betsy - rzucił Will urywanym głosem. - Nie mam przy sobie prezerwatyw ani żadnych innych środków.

- Ja też nie mam. - Słowa z trudem przeszły jej przez gardło. Coraz bardziej go pragnęła. - To znaczy... biorę pigułki. A co do reszty, to nie musisz się obawiać. Zrobmy to wreszcie...

Poczuła, że w nią wchodzi i uświadomiła sobie, że oboje wstrzymali oddech. Cudowne, bezbolesne zbliżenie. Najlepszy możliwy moment. Nie był zbyt duży, chyba raczej masywny, gdyż wypełnił ją na tyle szczelnie, że wywołało to w niej dreszcz. Przede wszystkim zaś pragnął jej, mocno, rozpaczliwie, tak samo jak ona jego, i siła tego pragnienia pozwoliła jej całkowicie się zatracić, nie myśleć, nie analizować. Starła się jedynie nadażyć za jego niecierpliwym pożądaniem. Nim osiągnęli spełnienie, wiedziała, że tak jest dobrze, że o to właśnie chodziło, że tak miało być, gdyż zawsze, od pierwszego spotkania, skrywane i tłumione tliło się w nich pożądanie.

Przez jakiś czas leżeli przytuleni do siebie. Dopiero po długiej chwili Will uniósł głowę, by na nią spojrzeć.

- Wspaniale - szepnęła, przyglądając dłonią jego potargane, mokre od potu włosy. Roześmiała się. - Nigdy w życiu nie było mi tak dobrze.

A potem znowu zaczęli się całować, delikatnie i słodko, tulić do siebie, i znowu całować, i znowu tulić aż do momentu, gdy spojrzawszy na zegarek, wpadli w panikę, wyskoczyli z łóżka

**390**

i obmywszy się pośpiesznie pod prysznicem, włożyli szybko ubrania i pomknęli z powrotem do sądu.

- Bardzo przepraszamy - Will próbował wytłumaczyć się przed Chuckiem z piętaastominutowego spóźnienia. - Nie powinniśmy byli wsiadać do metra. Znowu była jakaś awaria.

Osobną sprawą było wejście do pokoju przysięgłych. Libby wyobrażała sobie, że ich ciała nadal pachną miłosnym zbliżeniem. Ze zdumieniem zdała sobie sprawę z tego, że znowu jest pobudzona, wystarczył jednak jeden rzut oka na Alexa, aby jej to natychmiast przeszło. Skąd on wie? pomyślała. A wiedział na pewno. Doskonale zdawał sobie sprawę, co się stało.

No i co z tego? Wzruszyła ramionami i spojrzała na Willa. Mój Boże, o to właśnie chodzi. Nareszcie znalazła sobie mężczyznę. Odwrócił się ku niej i kiedy zobaczyła jego uśmiech, serdeczny i ciepły, poczuła się tak, jakby jej serce wypełniło się tym, co świat miał najlepszego do zaoferowania. Miłością i światłem.

I może tak było naprawdę.

Pani sędzia Williams wygłosiła krótkie przemówienie na temat tego, jak bardzo utrudnia prowadzenie sprawy niepunktualność przysięgłych. Libby starała się skupić uwagę na jej słowach, ale dopiero kilka godzin później uświadomiła sobie, że była to w istocie reprimenda, adresowana bezpośrednio do niej samej i Willa.

Niewiele zapamiętała z tego, co działo się w sądzie po południu. Wysłuchiwała niby dalszej części zeznań siostry oskarżonego, przepytywanej tym razem przez oskarżyciela. I większość z tego, co wyszło na jaw, właściwie jakoś zarejestrowała, ale w sposób tak mechaniczny, że przypominało to raczej rejestracje danych numerycznych na karcie kredytowej. Emocjonalnie i duchowo bujała gdzieś bardzo, bardzo daleko, w jakichś słonecznych, spokojnych rejonach, nie mających nic wspólnego z napiętą atmosferą sali sądowej.

Jill zastanawiała się, czy Mary Lou Peterson nie wyląduje w końcu w więzieniu, jeśli nadal bezczelnie i z uporem powtarzać będzie te same kłamstwa. Ale cóż... Mogła liczyć jedynie na to, że MacDonald przyzwolicie przyłoży się do dzieła, weźmie ją w krzyżowy ogień pytań i niektóre przynajmniej z tych kłamstw zdemaskuje. Choć prawdę mówiąc, miała już do prokuratora cholernie mało zaufania. Znacznie mniej niż do Kathryn Schna-gel. Pewnie po części dlatego, że codziennie wysłuchiwała, jak Rusty wypomina punkt po punkcie wszystkie jego błędy i potknięcia.

Próbowała sobie tłumaczyć, że najłatwiej jest krytykować, ale własna intuicja również podpowiadała jej, że Geiggen zbiera

punkty na lewo i prawo. A skoro wystarczy, by udało mu się podważyć choć jedną z podstawowych tez oskarżenia, nawet jej nie obalając, a sprawiając jedynie, by przysięgli powzięli uzasadnioną wątpliwość co do winy oskarżonego, to rzeczywiście istnieje poważna szansa, że Layton się z tego wykręci.

Jill spojrzała na przysięgłą numer trzy - Cornelie Winslow. Kathryn pokazała jej swego czasu egzemplarz napisanej przez nią książki. Jako autorka używała imienia Elizabeth. Asystentka prokuratora czytała tę powieść, a spytana, po co to robi, stwierdziła, że daje to jakąś możliwość wglądu w umysłowość i preferencje choćby jednego z przysięgłych. A taka wiedza, szczególnie w wystąpieniu końcowym, może bardzo się przydać.

Jill diabelnie zależało, aby to końcowe wystąpienie przygotowane zostało przez Kathryn.

- Witam panią, pani Peterson - rozpoczął MacDonald, próbując przybrać ton możliwie ciepły. Jill była przekonana, że na co dzień ten człowiek posługuje się zupełnie innym tonem.

Mary Lou skwitowała słowa oskarżyciela zdawkowym skinieniem głowy.

- Dziś przed południem złożyła pani wyczerpujące zeznania na temat znajomości, jaką zawarł pani brat z Sissy Cook, oraz

wzajemnych relacji tych dwojga osób.

- Owszem.

- Chciałbym teraz prześledzić jeszcze raz przedstawioną przez panią kolejność wydarzeń. I ewentualnie zadać pani jakieś dodatkowe pytania.

Siostra oskarżonego powtórnie skinęła głową. Oskarżyciel zerknął do trzymanej w ręku kartki.

- Była pani nadzwyczaj szczerą, opowiadając nam o nałogu... to znaczy o tym, że pani brat był swego czasu narkomanem. I dobrze się stało, gdyż uzmysłowiło to sędziom przysięgłym, jak zawiła i skomplikowana jest sprawa, którą mają tu rozstrzygnąć.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - zaproponował Geiggen. - To nie są pytania pod adresem świadka, tylko kolejny popis kaznodziejstwa.

Na sali rozległy się pojedyncze śmiechy.

### **393**

- Uznaję zasadność sprzeciwu. Panie MacDonald, proszę zadawać świadkowi konkretne pytania.

Prokurator zaczął wypytywać drobiazgowo o to, w jakich okolicznościach świadek poznała Sissy Cook, po czym domagał się wyjaśnienia, dlaczego, jak uprzednio zeznała, „początkowo ją lubiła”.

Okazało się, że Sissy była szczodra, z zapałem angażowała się w rozmaite akcje charytatywne i miło się z nią pracowało. Mary Lou przyznała następnie, że nie zauważyła żadnych oznak, mogących świadczyć o tym, że jej znajoma się narkotyzuje. MacDonald doszedł wreszcie do momentu, gdy Sissy spotkała się z Laytonem na wspomnianym już obiedzie. Zmienił wówczas ton i zaczął naciskać świadka w sposób bardziej zdecydowany.

- Czy od czasu tego bankietu, to znaczy od momentu, gdy brat pani opuścił salę w towarzystwie ofiary, miała pani okazję rozmawiać z Sissy Cook?

- Nie.

- A więc wszystko, co pani później zeznała, włączając w to powody, dla których wyszli oni razem z tego bankietu, zna pani wyłącznie z relacji swego brata?

- Tak-odparła po chwili wahania.

- Czy brat powiedział pani, dlaczego wówczas wyszli razem i jakie mieli plany?

- Nie. Chyba nie. Opowiedział mi tylko o tej nocy. O tym, jak poszli do baru, a potem udali się do mieszkania rodziców.

- Rozumiem. Czyli nie wie pani, dlaczego Sissy Cook wyszła z bankietu o godzinę wcześniej, niż to było planowane. Prawda?

- Nie. Właściwie nie wiem.

- I nie jest pani nawet pewna, czy jej wyjście miało jakiś związek z pani bratem.

- Nie rozumiem.

- Wyobraźmy sobie na przykład, że Sissy Cook wyszła wcześniej po prostu dlatego, że źle się poczuła. Może tak było, a może nie. Ale pani nie może potwierdzić tego ani temu zaprze-

**394**

czyć. Z tego prostego powodu, że nie wie pani, dlaczego Sissy Cook opuściła przyjęcie przed czasem. Mary Lou wzruszyła ramionami.

- Tak czy nie?-naciskał ją oskarżyciel.

- Tak. Właściwie ma pan rację.

- A więc nie jest wykluczone, że w istocie nie wyszli razem. Mogli wcale tego ze sobą nie uzgodnić, a pani brat z własnej inicjatywy podążył za Sissy Cook.

- Nie wiem.

- Bardzo dobrze. - Ponownie zerknął do notatek. - Zajmijmy się teraz tym, co stało się wieczorem. Powróciła pani do Locust Valley i dowiedziała się od swej bratowej, Sussie Layton, że oskarżonego ciągle nie ma w domu.

- Tak.

- O której to było godzinie?

- Około szóstej.

- Proszę mi powiedzieć, czy pani bratu często zdarzało się nie wracać o wcześniej uzgodnionej porze?

- Nie wiem, czy często. Czasami mu się to zdarzało.

- No dobrze... A czy brat często okłamywał swoją żonę?

- Sprzeciw! - przerwał mu Geiggen. - Skąd świadek ma o tym wiedzieć? Pani Peterson nie jest żoną oskarżonego.

- Sprzeciw jest zasadny.

- No tak, rzeczywiście - zreflektował się MacDonald. -Sformułujmy to inaczej. Proszę mi powiedzieć, czy bratowa skarżyła się na to, że oskarżony ją okłamuje?

- W jakich sprawach?

- W jakichkolwiek.

- No... owszem.

- A czy zdarzyło mu się panią okłamywać?

- Tak. Ale tłumaczyłam przecież, że był on wtedy bardzo chory.

- Rozumiem. A więc jednym z objawów tej... jak to pani ujęła, choroby... były notoryczne kłamstwa?

- Nie wiem, co to znaczy „notoryczne”.

- Ile więc było takich kłamstw? Więcej niż pięć? Mary Lou skinęła głową.

**395**

- Tak?

- Tak.

- Więcej niż dziesięć?

- Chyba tak - odparła po chwili wahania.

- A czego one dotyczyły?

- Narkotyków.

- Kłamał, że ich nie bierze, a brał i tak dalej?

- Tak.

- Zaklinał się, że nie ma przy sobie narkotyków, a w istocie je posiadał?

- Owszem.

- A czy kłamstwa te dotyczyły również pieniędzy, które na nie wydawał?

- Tak.

- I tego, gdzie i z kim obecnie przebywa?"

- Tak.

- Bardzo dobrze. - Oskarżyciel zrobił pauzę i zastanawiał się, jak sformułować kolejne pytanie. - Jakie były pani relacje z bratową? Czy często dzwoniła do pani, by poskarżyć się lub opowiedzieć o problemach ze swym mężem?

- Owszem.

- Dlaczego tak się działo?

- No cóż... Mieli dzieci... Susie zależało na tym, aby rodzina się nie rozpadła. Nic więc dziwnego, że zwracała się do mnie, ilekroć działo się coś złego.

- Rozumiem. - Oskarżyciel znowu przez chwilę się zastanawiał. - Czy pani brat miał jakieś stałe zatrudnienie?

- Tak. Zatrudniony był w firmie ojca.

- W jakim charakterze?

- W dziale obsługi klientów.

- Czy otrzymywała pani stamtąd jakieś sygnały na temat tego, jak wywiązuje się ze swoich obowiązków?

- Owszem.

- I czego one dotyczyły?

- No cóż... Tego, co dzieje się z każdym, kto choruje, będąc uzależnionym od narkotyków.



396

- Proszę łaskawie opowiedzieć przysięgłym, o co zwykle chodziło.

- O to, że nie zjawiał się w pracy albo znikał nagle i nie mogli go znaleźć.

- I to wszystko?

- Tak.

- Czyżby? A czy nie zdarzało się również i tak, że ktośie- fonował do pani z firmy ojca w sprawie kradzieży pieniędzy, jakich dopuszczał się tam pani brat?

Mary Lou zaczerwieniła się i spuściła głowę.

- Pytam raz jeszcze: czy pani brata oskarżano o to, że kradł pieniądze z firmy ojca?

- Tak.

- I nie był to jeden, pojedynczy przypadek?

- Nie.

- A czy jest prawdą, że ilekroć brat został przyłapany na kradzieży, wykręcał się i kłamał, nigdy się do tego nie przyznając?

- Tak - przyznała Mary Lou, niszcząc głos niemal do szeptu.

- I także nie był to jeden, pojedynczy przypadek?

- Nie był.

- No więc właśnie... - MacDonald znowu zajrzał do notatek, po czym spojrzał na świadka. - Dzieci pani brata, Trudy i Michael Laytonowie, uczęszczały do prywatnej szkoły podstawowej. Czy personel szkoły kontaktował się z panią w sprawie jakichś problemów wychowawczych? Takich, które zwykle zgłasza się rodzicom?

Mary Lou spojrzała na sędzinę.

- Wysoki Sądzie - zaoponowała. - Przecież to są małe dzieci. Cóż one mają wspólnego z tą sprawą?

- Proszę udzielić odpowiedzi na pytanie.

- Tak - odparła zrezygnowanym tonem.

- Proszę wytłumaczyć przysięgłym, dlaczego szkoła zwracała się do pani, a nie do pani bratowej, Susie Layton.

- Dlatego, że nie mogli się do niej dodzwonić.

- A to z jakiego powodu?

### **397**

- Telefon w mieszkaniu mojego brata był uszkodzony.

- Tak? A co się z nim stało?

- Mój brat go rozbił.

- Rozbił? Czy też wyrwał go ze ściany i rzucił nim w pani bratową?

Geiggen natychmiast zgłosił protest. MacDonald zagrał oczywiście nie fair, ale zdobył w tym momencie punkt. Pani sędzia Williams uznała co prawda zasadność sprzeciwu i pouczyła przysięgłych, aby potraktowali ostatnią wypowiedź oskarżyciela jako niebyłą, Libby uważała jednak za mało prawdopodobne, by mogło to poskutkować. Przesłuchanie ciągnęło się przez całe popołudnie. Mary Lou kurczyła się coraz bardziej na krześle, świadoma, do czego zmierza MacDonald. Z odpowiedzi na zadawane pytania wyłaniał się bowiem psychologiczny portret starszej siostry, która gotowa była zrobić wszystko, by uratować rodzinę brata, podczas gdy ten ostatni bezustannie kradł, kłamał i dopuszczał się wszelkich możliwych oszustw, byle tylko zaspokoić swój nigdy nie nasycony głód narkotyczny.

Zeznania jego siostry wysoce uprawdopodobniały przypuszczenie, że gdyby Sissy Cook nie została zamordowana, to zarówno Layton, jak i cała jego rodzina mogliby już do tego czasu nie żyć - tak szybko staczał się on po równi pochyłej.

Pod koniec przesłuchania MacDonald przystąpił do frontalnego ataku.

- Pani Peterson! Zeznała pani dziś rano, że w trakcie widzenia się z panią w areszcie brat pani płakał i zaklinał się, że nie ma nic wspólnego z morderstwem.

- Tak.

- Czy nie pamięta pani - przypominam, że zeznaje pani pod przysięgą - że podobne słowa padały już poprzednio z ust pani brata?

- Przy jakiej okazji?

- Okazji było aż nadto dużo. Czy nie zaklinał się wcześniej, że nie bierze narkotyków, że nie ukradł pieniędzy, że był tu, a nie tam...

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - zaprotestował Geiggen. -Oskarżyciel znęca się w tym momencie nad świadkiem.
- Oddalam sprzeciw. Proszę jednocześnie, aby oskarżenie zechciało formułować pytania tak, aby świadkowi łatwiej było na nie odpowiadać.
- Pani Peterson, pytanie moje brzmi następująco: czy na podstawie doświadczeń z tego okresu, gdy brat pani notorycznie znajdował się w stanie odurzenia narkotycznego, miała pani podstawy, aby uwierzyć, że zaprzeczając, jakoby miał coś wspólnego z zabójstwem Sissy Cook, powiedział prawdę?
- Nie wiem - odparła Mary Lou, bezradnie kręcąc głową.
- Czy brat kiedyś okłamywał panią?
- Tak. Mówiłam już przecież o tym.
- Czy kłamał wielokrotnie, pytany o to, gdzie się obecnie znajduje?
- Tak.
- Czy kłamał wielokrotnie, pytany o to, w jakim towarzystwie właśnie przebywa?
- Tak.
- Czy kłamał wielokrotnie, pytany o to, co aktualnie robi? • " Tak.
- I cała pani wiedza na temat stosunków, jakie łączyły pani brata z Sissy Cook od momentu, gdy wyszli z bankietu, aż do chwili, gdy ta ostatnia została zamordowana, oparta jest na tym, co opowiedział świadkowi oskarżony?
- Tak.
- A więc opiera się pani wyłącznie na relacji zasłyszanej od oskarżonego? Nikt inny nie informował pani o tym, jak układały się wzajemne stosunki pani brata i zamordowanej?
- Nie. Od nikogo nic na ten temat nie słyszałam.
- Dziękuję pani. To już chyba wszystko. Geiggen błyskawicznie poderwał się z krzesła.
- Pani Peterson! Czy skłonna byłaby pani oświadczyć nam tu, na tej sali, że nikt inny nie znał pani brata tak dobrze, jak pani?

- Owszem. Na pewno jest to prawda.

- I czy uważa pani, że ten człowiek mógł kogokolwiek zamordować?

- Nie. Uważam to za wykluczone.

- Dziękuję. Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie. Na tym sesja została zamknięta.

Chuck otworzył zamknięty na klucz pokój i wpuścił przysięgłych do środka, by zabrali swoje rzeczy. Libby i Will uśmiechnęli się do siebie dyskretnie, co było znakiem do wyjścia. Wyszli razem, ale nie rozmawiali ze sobą aż do chwili, gdy znaleźli się na dole w holu.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć - odezwał się Will, przytrzymując drzwi i przepuszczając ją pierwszą.

Gdy znalazła się na zewnątrz, odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- A co chciałbyś powiedzieć?

- To, że pragnąłbym spędzić z tobą noc. Za nic w świecie nie chciałbym się teraz z tobą rozstawać.

- No cóż... - Otworzyła torebkę, wyjęła z niej kartkę i pióro, nagryzmoła swój adres i wręczyła go Willowi.

- Naprawdę? - zdumiał się.

- No pewnie. Cóż możemy wymyślić lepszego? Rozpromienił się.

- Wpadnę na chwilę do biura i zaraz do ciebie przyjadę.

- I zostaniesz, prawda?

Nie próbował ukryć, jak bardzo go uradowała i poruszyła propozycja Libby. Roześmiał się i uścisnął jej rękę.

- Gdzie się podziały nasze szlachetne postanowienia, by doczekać do końca procesu?

- Nie będziemy rozmawiać o procesie.

Odprowadził Libby do metra. Zeszli oboje na peron i gdy tłum zaczął szturmować drzwi wagonu, pocałował ją i pomógł jej wsiąść. Odczekał aż do odejścia pociągu i pomachał jej ręką.

Ktoś wpadł na niego z tyłu.

**400**

- Z drogi, mięczaku! - warknął Alex, odtrącając go na bok.

Po powrocie do mieszkania Libby poczuła, że jest nieprawdopodobnie pobudzona. Co się z nią stało? Przecież to czyste wariactwo!

Nie, nie. Wiedziała dobrze, że jest cudownie. Tak, jak powinno być.

- Słuchajcie, koty! - zwróciła się do swych podopiecznych. - Macie być wyjątkowo miłe. Wprost czarujące. Ten pan, który tu zaraz przyjdzie, bardzo mi się podoba.

Rozejrzała się po pokoju. Należałoby błyskawicznie posprzątać. Poukładać porozrzucane czasopisma. Podlać kwiaty. Nie. Nie ma już na to czasu. Weźmie tylko prysznic. Nagle odezwał się telefon.

- Już jadę-powiedział Will.

- Ojej...

- Co się stało? - spytał zmienionym głosem. Przestraszył się chyba, że się rozmyśliła. - Może się rozmyśliłaś? Wolisz, żebym nie przyjeżdżał?

- Przyjeżdż, Will. Chyba po prostu mam tremę. I jestem szczęśliwa.

• Nje minęło pół godziny, a był już na miejscu. Wręczył jej wielki bukiet kwiatów, obejrzał mieszkanie i bardzo szybko zaprzyjaźnił się z kotami. Libby nie wierzyła własnym oczom: Pusia, zamiast schować się jak zwykle pod łóżko, chodziła za Willem krok w krok aż do chwili, gdy usiadł na tapczanie w salonie.

Libby nalała mu do szklanki piwa.

- Taka jestem zdenerwowana - poskarżyła się. Wyciągnął przed siebie rękę.

- Popatrz - powiedział. Zobaczyła, że dłoń lekko drży.

Wręczyła mu szklankę, ale on nie wypił nawet łyka; odstawił piwo, wyciągnął do Libby ramiona i posadził ją sobie na kolanach. Siedziała przez chwilę nieruchomo i nagle poczuła się tak, jakby znali się całe lata.

**401**

Potem były już tylko pocałunki, szepty, dotyki.

Przed upływem godziny przenieśli się do sypialni. A po czterech następnych Pusia i Trampek wśliznęli się im do łóżka, licząc zapewne na to, że teraz będzie tam już cicho i spokojnie.

33.

Gdy Will obudził się w piątek rano, zupełnie nie wiedział, gdzie się znajduje: zniknął gdzieś jego budzik, nocna szafka, ręczny zegarek, a tuż obok, na poduszce, siedział wielki, pręgo-wany kot i intensywnie się w niego wpatrywał.

W porządku. Jestem w niebie, pomyślał.

- Jak się masz, Pusi!

Poczuł dotyk kobiecej dłoni, która ześlizgnęła się z jego biodra, musnęła pierś i spoczęła gdzieś wysoko, w okolicy obojczyka. Obrócił się na bok i wsparł na łokciu.

- Przed pójściem do sądu muszę na chwilę wpaść do biura - powiedział szeptem, całując Libby w czoło.

Nie otwierając oczu, wymamrotała coś niezrozumiałego. Po chwili dopiero ciężko uniosła powieki i spytała: - Zrobić ci coś do zjedzenia?

- Zamiast śniadania wolałbym raczej... - szepnął jej do ucha. Objął ją mocno i wciągnął pod siebie.

W trzy kwadranse później, odświeżony kąpielą i radosny, wyruszył w drogę do biura. To powolne, półsennie kochanie się z Libby było czymś cudownym. Nie mówiąc już o tym, co robili wczoraj. Wszystko razem było niesamowite.

Libby. Naprawdę stało się coś niewiarygodnego.

W biurze czekała go kolejna miła niespodzianka: ten okropny adwokat polecony przez Jerry'ego zostawił mu wreszcie wiadomość, nagraną na automatyczną sekretarkę. Niestety, następny nagrany komunikat natychmiast zepsuł mu humor. Betsy dzwoniła około drugiej w nocy, błagając go, aby zechciał się z nią spotkać. Stwierdziła, że ta sytuacja jest dla niej nie do zniesienia i że musi się z nim koniecznie rozmówić. Dzwoniła wielokrotnie

## **403**

do hotelu. Nie było go tam. Gdzie on się podziewa? Wróciła do mieszkania i czeka na jego telefon. Prosi, aby zadzwonił i umówił się z nią na spotkanie. Najlepiej dziś wieczorem.

Westchnął ciężko i zadzwonił od razu. Betsy natychmiast podniosła słuchawkę, a on - zanim zdążyła mu zrobić awanturę - powiedział, że oczywiście spotka się z nią wieczorem. Na przykład o ósmej. W domu? Tak, w domu, zgodziła się. Widocznie sam fakt, że się odezwał, sprawił jej wyraźną ulgę. Można to było wywnioskować z tonu jej głosu.

Gdy za dziesięć dziesiąta zjawił się w pokoju przysięgłych, Alex zaczął wpatrywać się w niego jak bazyliżek. Ale cóż go to w końcu obchodziło? Gawędził sobie z Melissą i doczekał w ten sposób do przyjścia Libby, która wpadła zaczerwieniona i zdyszana minutę przed dziesiątą. Powiedzieli sobie „dzień dobry”, a dopiero potem, w ciągu dnia, Will spostrzegł, że jej policzki nadal są lekko zaczerwienione.

I wówczas uświadomił sobie, że to sprawka jego zarostu. Nigdy w życiu nie czuł się tak bardzo szczęśliwy.

Po wznowieniu rozprawy Geiggen natychmiast przedstawił kolejnego świadka. Był nim posterunkowy Kirk Ballis. W rejonie jego komisariatu, w miejscu, gdzie Morton Street zbliża się do Hudson River, rankiem dziesiątego lutego 1994 roku odnaleziony został samochód Laytona. Wóz nie był uszkodzony. Kluczyki tkwiły w stacyjce.

- Czy posypał pan kierownicę proszkiem umożliwiającym zidentyfikowanie odcisków palców? - spytał Geiggen.

Policjant potwierdził, po czym specjalnie na użytek przysięgłych rozwodził się długo na temat swych kwalifikacji oraz samej techniki badań daktyloskopijnych. Powiedział, że laboratorium policyjne znalazło na kierownicy nie tylko odciski palców Laytona, ale również inne odciski, które z całą pewnością do niego nie należały. Były one zdecydowanie świeże. Ale niestety, nie udało się ich zidentyfikować. Posłużono się komputerem, lecz odciski na kierownicy nie odpowiadały wzorom odcisków znajdujących się w archiwum policyjnym.



- Czy jest pan absolutnie pewien, że nie należały one do Jamesa Bennetta Laytona? - spytał jeszcze raz obrońca.
- Tak. Nie ma co do tego wątpliwości.

Geiggen ustąpił miejsca MacDonaldowi, który, wyraźnie czymś zgnębiony i sfrustrowany, przystąpił do przesłuchiwania świadka. Na wstępie spytał, czy te nie zidentyfikowane odciski palców były najświeższymi odciskami pozostawionymi na kierownicy.

- Nie wiadomo. Z całą pewnością nie udało się tego ustalić
- odparł policjant.
- Ale przecież w końcu eksperci z laboratorium sformułowali jakąś..
- Sprzeciw! - przerwał Geiggen. - Wysoki Sądzie, obrona wnosi o wyjaśnienie kwestii proceduralnej bez udziału ławy przysięgłych.

Pani sędzia Williams zawezwała do siebie strony, a ponieważ spór zaczął się przedłużać, zarządziła przerwę w rozprawie i odesłała przysięgłych do ich pokoju.

Libby i Will usiedli w kącie i zaczęli cichutko ze sobą rozmawiać. Will opowiedział o porannej rozmowie telefonicznej, którą odbył z Betsy.

- "Uważaj - ostrzegła go Libby.

- Oczywiście - zapewnił ją.

Libby nie powiedziała wyraźnie tego, co ją trapiło. Myślała o tym, jak niebezpieczne bywają takie „rozstaniowe spotkania”. Partnerowi, który chce odejść, wydaje się niemożliwe, by dał się wciągnąć ponownie w ten sam układ, a w rzeczywistości bywa z tym różnie.

Czy Will aby pamięta, czym się skończyła jego ostatnia próba „dogadania się” z Betsy? I jakie miał następnego dnia wyrzuty sumienia?

- Nie chciałbym być natrętny - powiedział cichutko Will

- ale może spędzilibyśmy jutro trochę czasu razem? W ciągu dnia muszę zajrzeć do biura, ale...

Uświadomiła sobie nagle, że nie słucha go już dalej, tylko się do niego uśmiecha. Czują rozlewające się w całym ciele błogie

**405**

ciepło. Zupełnie jakby była dzieckiem, nie mogącym się doczekać gwiazdkowych prezentów.

Umówili się, że Will zadzwoni do niej w sobotę przed południem, między dziesiątą a dwunastą, i wówczas zdecydują, co będą mieli ochotę ze sobą zrobić. (Tak jakby już teraz o tym nie wiedzieli.)

Zjawił się Chuck i zaprowadził ich z powrotem na salę. Idąc korytarzem, Libby poczuła, że ktoś przechyla jej się przez ramię. Był to Alex.

- Dam ci dobrą radę - zasyczał jej do ucha. - Taki kurdu-pel będzie miał na pewno mamy wkład. Chyba że chodzi ci o forszę.

- Wręcz przeciwnie - powiedziała, nie podnosząc głosu. - Wyobraź sobie, że miałam okazję to sprawdzić. I jestem wyjątkowo zadowolona.

Zostawiła Alexa z tyłu i wkroczyła na salę, zła na siebie, że dała się sprowokować. Komu to było potrzebne? Żeby tylko nie wynikły z tego jakieś kłopoty...

Okazało się, że sędzia Williams wezwała ich jedynie po to, by przeprosić i wyjaśnić, że spór proceduralny potrwa tym razem dłużej, w związku z czym zostają zwolnieni do godziny trzeciej.

Perspektywa takiej długiej przerwy sprawiła, że Libby niespodziewanie poczuła się pobudzona. No... może nie w pełni, ale trochę. Dlatego też, gdy zabierali płaszcze, zapytała nieśmiało Willa, czy zamierza udać się teraz do biura.

- Sam nie wiem - odparł, ujmując ją pod ramię i wychodząc z nią na korytarz. - Jeśli chcesz, to mogę pójść z tobą na lunch. Chyba że wolisz pójść ze mną do biura.

- A gdybym przypadkiem wolała zamówić jakieś jedzenie do pokoju... - mruknęła pod nosem. - Hotel „Vista” jest niedaleko. - Nacisnęła przycisk windy i odwróciła się ku Willowi.

Promieniał.

- Nie myślałem, że umiesz czytać w myślach - wyznał jej i mrugnął do niej okiem.

Melissa wydostała się z centrum metrem, a następnie złapała taksówkę i pojechała prosto do swojego biura.

- Cześć! - pozdrowiła zdumioną sekretarkę. - Mam czas do wpół do trzeciej.

- Świetnie. Było do ciebie kilkaset telefonów - stwierdziła, Bonnie i podała jej teczkę z zanotowaną treścią rozmów.

-Sprawdź także korespondencję. A poza tym ktos' nagrał parę słów na taśmę zastrzeżoną dla rozmów prywatnych.

Melissa spojrzała na nią z niepokojem, ale sekretarka zaczęła mówić o czymś innym.

- Może chcesz pokazać się na zebraniu roboczym naszego wydziału? Odbywa się właśnie w sali numer jeden. Ludzie przypomnieliby sobie, jak wyglądasz.

- Poczekaj chwilę. Wypadałoby najpierw zdjąć płaszcz - zauważyła Melissa.

Przeszła do gabinetu, zdjęła wierzchnie odzienie i powiesiła je na wewnętrznej stronie drzwi. Podeszła do biurka, przejrzała pobieżnie korespondencję, po czym podniosła słuchawkę i wystukała numery kodu, pozwalającego odsłuchać taśmę z zapisem rozmów prywatnych. Pierwsza z nich nagrana została przez jej kolegę Rogera, który chciał poradzić się w sprawie oferty pracy, jaką otrzymał. Drugi komunikat pozostawiła Christine. Pozdrowiła **jedynie** Melissę, zapewniając, że nie może się doczekać sobotniego spotkania.

Christine. Uspokój się, Melisso! Zaczynaj normalnie oddychać, skarciła się w myślach.

Popędziła korytarzem na zebranie wydziału.

- Melissa! - zawołał na jej widok szef i zwrócił się do zebranych: - Powitajmy ją trzykrotnym „hip-hip-hurra”!

- Hip-hip-hurra! - krzyknęli posłusznie pracownicy.

- Proces się jeszcze nie skończył - wyjaśniła Melissa, osuwając się na krzesło. - Po prostu mamy dziś wyjątkowo długą przerwę. Aż do trzeciej.

- Proszę przestać wiwatować - oznajmił szef.

Przy stole od razu zapadła cisza. Po chwili dopiero rozległy się śmiechy.

## **407**

- Dobrze, że chociaż wpadłaś na chwilę - powiedział jej zwierzchnik. - Kociarze są w tobie bezgranicznie zakochani. Po prostu cię uwielbiają.

Gdyby wiedzieli, jak jest naprawdę...

Lunch okazał się niebiańską ucztą. Najtrudniej było doczekać do momentu, gdy przyniesiono im jedzenie i mogli się wreszcie rozebrać. Tym razem mieli znacznie więcej czasu, a gdy przestali się kochać, nie musieli zrywać się nagle z łóżka; leżeli, jedli, wymieniali pocałunki, uściski, gwarzyli, wybuchali śmiechem i rozkoszując się ciepłem, owinięci w miękkie hotelowe szlafroki, kontynuowali biesiadę.

Kiedy nadeszła pora, by wracać, wzięli razem prysznic, ubrali się i ruszyli do sądu.

A gdy zasiedli w ławie przysięgłych, Libby ciągle jeszcze czuła na wargach smak ust Willa.

Następnym świadkiem powołanym przez obronę był niejaki Pascale Sabri, facet około pięćdziesiątki, który pracował jako nocny portier w domu przy Park Avenue 912. Zeznał on, że w czwartek dziesiątego lutego 1994 roku, w trakcie pełnienia służby, widział oskarżonego, który wszedł do budynku około godziny drugiej w nocy.

- W jakim stanie znajdował się pan Layton?

- Był na haju, a w dodatku pijany jak bela - oświadczył portier, wywołując śmiech na widowni.

- Na jakiej zasadzie pan tak twierdzi?

- No bo... zamiast w drzwi windy, pakował się w ścianę. Sala znowu wybuchnęła śmiechem. Geiggen skwitował to dobrodusznym wzruszeniem ramion.

- I twierdzi pan, że miało to miejsce około godziny drugiej w nocy?

- Tak, szanowny panie.

- Skąd pan wie, że była to akurat druga?

- Spojrzałem na zegarek.

- No tak, ale dlaczego? Zawsze pan tak robi, gdy któryś z lokatorów wraca nocą do domu?

**408**

- Nie, nie zawsze. Ale pan Jim... tak zawsze go nazywałem... To znaczy, ojciec pana Jima dzwonił czasem i pytał, czy syn nocuje w którymś z mieszkań należących do państwa Laytonów. I dlatego, gdy się zjawiał, sprawdzałem, o której godzinie przychodzi.

- POCO?

- Starszy pan Layton chciał to zawsze wiedzieć. Płacił mi dodatkowe parę dolarów, żebym to zapisywał. - Zamilkł na chwilę. - Martwił się o pana Jima - dodał, spuszczać wzrok.

Gdy przyszła kolej na oskarżyciela, okazało się, że wdał się w jakiś spór ze swą asystentką. Kathryn Schnagel podsuwała mu kartkę, on odpychał ją z powrotem, marszcząc brwi i mrużąc coś gniewnie pod nosem.

- Panie MacDonald! - ponagliła pani sędzia Williams.

- Tak jest - odparł natychmiast i zerwał się z miejsca. Nadal jednak był wzburzony, poprosił bowiem sąd o chwilę zwłoki, przerzucił nerwowo swoje notatki, podsunął jakąś kartkę asystentce i jeszcze przez chwilę stłumionym głosem z nią się spierał. Po czym, nie wychodząc, jak to miał w zwyczaju, na środek sali, zaczął przesłuchiwać świadka.

- Panie Sabri! Zeznał pan przed chwilą, że oskarżony wrócił do domu około godziny drugiej w nocy?

- Tak jest.

- Twierdził pan również, że spojrzął pan wówczas na zegarek. Skoro tak, to dlaczego nie podaje pan dokładnej godziny?

- Kiedy podaję.

- A więc która to była godzina?

- Około drugiej.

- A więc nie pamięta pan dokładnej godziny?

- Pamiętam, że było to około drugiej.

- A mogło być na przykład pięć po drugiej?

- Nie wiem. Nie mogę powiedzieć co do minuty.

- A dziesięć po drugiej?

- Naprawdę nie wiem. MacDonald podrapał się za uchem.

- Panie Sabri! Skąd pan wie, kiedy oskarżony wrócił do

409

domu, skoro nie wie pan, która była wtedy godzina? A może była nie druga, lecz trzecia?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - wyrwał się, trochę przedwcześnie, Geiggen. - Oskarżyciel znęca się nad świadkiem, który wyraźnie określił czas tak, jak go zapamiętał.

- Nic podobnego, Wysoki Sądzie. Świadek nie pamięta dokładnej pory powrotu oskarżonego. Ja zaś próbuję po prostu odświeżyć mu pamięć.

- Oddalam sprzeciw - orzekła pani sędzia Williams. - Pana zaś, panie MacDonald, proszę o to, aby próbując odświeżyć pamięć świadka, nie zapędzał go pan w kozi róg.

Na widowni rozległy się pojedyncze śmiechy. Kathryn Schnagel, korzystając z chwili zamieszania, zaczęła ponownie podsuwać MacDonaldowi jakąś karteczkę.

- W porządku, panie Sabri. Spróbujmy to zreasumować. Widział pan, że oskarżony wrócił do domu we wczesnych godzinach rannych dziesiątego lutego 1994 roku.

- Tak jest.

- Sądzi pan, że miało to miejsce około drugiej, ale dokładnej pory jego powrotu pan nie pamięta.

- Tak.

- Sprzeciw! - zaproponował Geiggen. - Oskarżenie przekręca zeznania świadka, przypisując mu słowa, które nie padły na tej sali.

- Wysoki Sądzie, to jawne nieporozumienie! - MacDonald teatralnym gestem rozłożył ręce, pokazując, że jest w tym momencie bezradny.

- Oddalam sprzeciw.

- Pytam więc raz jeszcze: sądzi pan, że oskarżony wrócił około drugiej, ale dokładnej pory jego powrotu nie jest pan w stanie sobie przypomnieć. Tak?

Świadek, kompletnie zdezorientowany, spojrzał na Geiggena. -Nie.

- Nie? - zdumiał się MacDonald. - A więc pamięta pan dokładnie, kiedy to było?

- Nie, ale... - Świadek, wyraźnie zaniepokojony tym, co przed chwilą powiedział, zaplątał się i zamilkł.

## **410**

- No właśnie! A więc nie pamięta pan... - MacDonald nagle ściszył głos. Oskarżyciel patrzył na swoją asystentkę, która przechyliła się w jego stronę i pisała coś zapamiętałe na kartce. Sądowi wyraźnie się to nie spodobało.

- Co pani robi, pani Schnagel?

- Notatkę na użytek oskarżyciela, Wysoki Sądzie.

- Czy nie uważa pani, że nie powinno się mu w tym momencie przeszkadzać? Czy ma się to ciągnąć w nieskończoność?

- Wręcz przeciwnie, Wysoki Sądzie. Czy nie byłoby wskazane zarządzić w tym momencie krótką przerwę? - zasugerowała Kathryn.

MacDonald spojrzał na nią z taką furią, że wywołało to śmiech na widowni.

Pani Williams wpatrywała się uważnie w asystentkę oskarżyciela.

- Owszem. Może istotnie tak zrobimy - orzekła po chwili i odesłała przysięgłych na dziesięćminutową przerwę.

- Co wy, do diabła, wyprawiacie? - awanturował się Rusty, Napadł w przerwie na dwójkę przedstawicieli prokuratury. Jill stała tuż za nim i bezskutecznie próbowała go mitygować.

- Wynoś się pan! - warknął MacDonald. - 'Nie wiem, o co tym razem chodzi, ale znacznie bardziej ufam tej kobiecie niż panu, MacDonald. Tyle rzeczy spieprzył pan w czasie tego procesu! Jeśli nie zacznie pan słuchać kogoś mądrzejszego od siebie, to naprawdę umoczy pan tę sprawę.

- Wynoś się! - powtórzył MacDonald, wskazując mu drzwi. Rusty spojrzał błagalnie na Kathryn.

- Proszę coś zrobić, żeby ten facet zaczął pani słuchać! Tompkinsowie wycofali się z gabinetu, zamknęli za sobą drzwi i stanęli na korytarzu.

- O co tym razem chodziło? - spytała męża Jill.

- Chyba ciągle o to samo. Ona stale usiłuje mu zasygnalizować momenty, w których powinien przerwać maglowanie świadka. Na przykład teraz udało mu się zdobyć punkt. Wykazał, że portier nie pamięta dokładnej godziny powrotu Laytona. I w tym

## 411

momencie powinien przestać. Ale on zupełnie nie ma wycucia. Bebeszy sprawę dalej, pogmatwa wszystko, popłacze i w rezultacie przysięgli pamiętają wyłącznie to, co świadkowie mówią Geiggenowi, a nie jemu.

Kompletne beztalencie!

Rozprawa została wznowiona dopiero o czwartej trzydzieści. Libby przez półtorej godziny udawała, że coś czyta, choć w istocie stale wpatrywała się w ten sam akapit, przypominając sobie kilka minionych godzin spędzonych z Willem w hotelu. Czuła, jak uwalnia się od ciężaru, który dotąd ją przygniatał. Wydawało jej się, że w każdej chwili może się wznieść nad ziemię, spojrzeć wreszcie z góry na swój świat, na siebie samą... Rozkoszować się słońcem, wiatrem i poczuć, jak owiewa ją coś, co z całą pewnością jest tchnieniem Boga.

- Ślicznie dzisiaj wyglądasz, moja droga - zauważyła pani Smythe-Daniels.

- Dziękuję pani - odparła Libby, żałując przez chwilę, że ta kobieta nie jest jej matką.

Gdy wrócili wreszcie na salę sądową, pani Williams wezwała MacDonalda, by kontynuował przesłuchanie świadka obrony.

- Panie Sabri! Jak wynika z pańskich zeznań, widział pan oskarżonego, który zjawił się w domu przy Park Avenue 912 w nocy z dziewiątego na dziesiątego lutego 1994 roku. Proszę powiedzieć sędziom przysięgłym, czy pamięta pan dokładnie, która była wtedy godzina?

- Spojrzałem na zegarek...

- Proszę odpowiedzieć tak lub nie, panie Sabri! Czy potrafi pan podać dokładny czas?

Świadek westchnął.

- Nie.

- Dziękuję bardzo - powiedział uprzejmie MacDonald. - To wszystko, Wysoki Sądzie. Oskarżenie nie ma więcej pytań pod adresem świadka - zakończył i natychmiast usiadł.

Geiggen sprawiał wrażenie skonsternowanego. Szybko jed-



412

nak doszedł do siebie, powiedział coś swym asystentom i wstał, by skorzystać z prawa repliki.

- Panie Sabri - zwrócił się do świadka - Przy jakiej przecznicy znajduje się dom mieszkalny, w którym pracuje pan jako portier? Chodzi o dom, w którym znajdują się mieszkania służbowe firmy państwa Laytonów przy Park Avenue 912.

- Pomędzy Osiemdziesiątą a Osiemdziesiątą Pierwszą Ulicą.

- Zaraz... A więc jest to dość daleko od nocnego klubu, który znajduje się przy Czternastej Ulicy. Jadąc stamtąd, trzeba by było skierować się na północ, minąć jakieś sześćdziesiąt sześć przecznic, a potem skręcić w Ósmą Aleję i minąć jeszcze pięć przecznic. Prawda?

- Tak.

- Czy zważywszy na stan, w jakim znajdował się wówczas pan Layton, mógł on, pana zdaniem, przyjechać stamtąd, samodzielnie prowadząc wóz?

- Skąd! Z trudem utrzymywał się na nogach.

- A jak pan sądzi, jak szybko dałoby się stamtąd przyjechać taksówką? Oczywiście o takiej porze... to znaczy o drugiej nad ranem?

Świadek przez chwilę się zastanawiał.

- Szybki taryfiarz pewnie w dwadzieścia minut by się wyrobił.

- Policzmy teraz czas. Strzały przed nocnym klubem padły kilka minut po godzinie drugiej. Gdyby więc oskarżony natychmiast udał się stamtąd do domu, to i tak dotarłby tam nie wcześniej niż o wpół do trzeciej. Prawda?

- Tak jest.

- Pytam więc teraz pana: czy oskarżony pojawił się o wpół do trzeciej?

- Nie. Zjawił się około drugiej.

- Dziękuję, panie Sabri. Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Rozprawa została odłożona do poniedziałku. Pani Williams życzyła przysięgłym udanego weekendu, wygłaszając przy okazji sakramentalną formułę na temat wszystkiego, czego nie wolno im czytać, oglądać i słuchać.

### 413

Will, Libby, pani Smythe-Daniels, Melissa i Stephen wyszli razem z pokoju przysięgłych. W windzie Melissa spytała Stephena, jak się czuje jego przyjaciel. Stephen westchnął i powiedział, że sprawa wygląda bardzo źle. Właściwie jest to początek końca. Lekarze powiedzieli mu, że należałoby pomyśleć w tym momencie o umieszczeniu Billa w jakimś hospicjum. Z uwagi na postępującą demencję i pogorszenie wzroku opieka domowa nie wchodzi raczej w rachubę.

Wybąkali jakieś słowa współczucia, a gdy znaleźli się w holu na dole, pani Smythe-Daniels spytała szeptem Libby: - Czy ten człowiek, który umiera, jest jego kochankiem? Libby skinęła głową i wówczas starsza pani zwróciła się do Stephena:

- Znam grupę ludzi dobrej woli, którzy mogą okazać się bardzo pomocni dla twego przyjaciela i dla ciebie.

Zatrzymali się i spojrzeli na nią. Zaskoczyła ich. Pani Smythe-Daniels wyjęła z portfela wizytówkę i wręczyła ją Stephenowi.

- Mój siostrzeniec umarł na AIDS - powiedziała ciepłym, serdecznym tonem. - Nie była to łatwa śmierć. Ani dla niego, ani dla rodziny. Ci ludzie bardzo pomogli mnie i mojej siostrze. Należą do stowarzyszenia, które nosi nazwę „Manhattan Center for the Living”. Może o nim słyszałeś?

- Widzisz, jak ludzie potrafią nas zadziwić? - zauważył Will, gdy tylko odłączyli się od reszty towarzystwa.

- No właśnie - mruknęła Libby. - Ta kobieta przypomina mi moją matkę, ale w przeciwieństwie do niej, ma głęboko ukryte pokłady czegoś takiego, czego u matki nie znajduję. Sama nie wiem, jak to nazwać.

- Nie powinnaś być wobec matki taka surowa - stwierdził Will, ujmując ją za rękę.

- A to niby czemu?

- W jakimś sensie to ona nas do siebie zbliżyła.

Na dole, przy automacie do kasowania żetonów, pożegnali się krótkim pocałunkiem, a ponieważ zmierzali w przeciwnie strony, rozstali się i każde z nich powędrowało na swój peron. Martwiła

## **414**

ich perspektywa nawet jednodniowej rozłąki. Libby wypatrywała, czy nie zobaczy Willa po drugiej stronie torów, chciała pomachać mu ręką na pożegnanie, ale peron był tak zatłoczony, że jej się to nie udało.

Will musiał odsiedzieć swoje w biurze, a następnie udać się o ósmej na spotkanie z Betsy. Wiedział, że nie ma innego wyjścia. Pocieszające było to, że gdy tylko uda mu się przebrnąć przez kolejne (miał nadzieję, że już ostatnie) przedstawienie pod tytułem „Definitywne rozstanie z Betsy”, będzie całkiem wolny. Na tyle przynajmniej, by móc być z Libby.

Libby... Powtarzał w myślach jej imię.

Zdarzyło się coś niezwykłego. Przede wszystkim ona była niezwykłą kobietą, a już zupełnie zdumiewające wydawało się to, że chyba zakochała się w nim tak samo mocno, jak on w niej. A przecież oboje nie przypuszczali, że coś podobnego się zdarzy.

Zdecydował się pójść do biura trochę okrężną drogą, bocznymi uliczkami, pragnąc uniknąć tłoku na Wall Street. O tej porze każdy starał się stamtąd wydostać do domu. Na małych uliczkach było natomiast znacznie puściej i spokojniej. Nie przeszkadzała mu nawet panująca na nich ciemność i dziury w chodnikach. Przeciął ostatnią z nich i skręcił w szeroką aleję, która prowadziła do bocznego, służbowego wejścia do biura. Wiedział, że strażnicy go znają i zostanie tamtędy wpuszczony.

Wiedział również, że ktoś, kto specjalnie wybiera boczne wejścia, by nie spotkać się przy głównej windzie z ludźmi, z którymi pracuje, powinien zacząć myśleć o zmianie pracy. I postanowił, że ją zmieni.

Teraz już na pewno.

Zbliżenie z Libby dało mu poczucie spokojnej pewności, że mając taką kobietę, może robić dziesiątki innych rzeczy. Przestał być niewolnikiem przykutym do wioseł na pokładzie galery o dumnej nazwie Connors & Morganstern.

34.

Sobotnie przedpołudnie spędziła w oczekiwaniu na telefon od Willa i po dwunastej zaczęła się już bardzo niepokoić. Will się nie odzywał. W porządku, nie wpadaj w panikę, mówiła sobie. Poukładajmy spokojnie fakty:

1. Wczoraj wieczorem miał spotkać się z Betsy w swoim mieszkaniu.
2. Zamierzał raz na zawsze uporządkować swoje sprawy osobiste.
3. Obiecał, że zadzwoni do mnie dziś pomiędzy dziesiątą a dwunastą.
4. I nie zadzwonił.

Logiczny wniosek jest tylko jeden: wrócił do Betsy i nie wie teraz, jak ma się zachować.

Nie, nie! Daj sobie z tym spokój, pomyślała. Skąd wiesz, co się naprawdę stało? Najprościej będzie, jeśli zadzwonisz do niego do biura. Mógł po prostu zasiedzieć się nad robotą i zapomnieć, która jest godzina.

Zatelefonowała do biura i nagrała się na automatyczną sekretarkę Willa. Zostawiła mu wiadomość, że czeka i prosi, żeby jak najprędzej zadzwonił.

Czuła się okropnie. Przerażona i strasznie samotna.

Naprawdę istnieją realne powody, dla których ludzie nie powinni pochopnie angażować się w bliskie związki. Ale cóż z tego, skoro mimo wszystko czuła, że oboje wykorzystali w ten sposób jedyną szansę, by się odnaleźć. Gdyby nie zrobili tego teraz, sądowa epopeja wkrótce by się skończyła; ona poszłaby swoją drogą, on swoją. Świat oddzieliłby ich od siebie i zadbał o to, aby nigdy się już nie spotkali.

## **416**

Ale co się stało? Gdzie on teraz jest? O Boże, naprawdę nie mogła uwierzyć, by Will mógł w ten sposób postąpić. Szczególnie teraz. Po tym, co ze sobą robili w ciągu ostatnich dni. I po tym, co zdążyli już sobie powiedzieć.

- No tak, rozumiem - powiedziała Melissa. Była tak zawiedziona, że przez moment poczuła bolesny skurcz żołądka.

- W nocy gorączka wzrosła mu prawie do czterdziestu stopni i naprawdę nie mogę...

- Ależ Christine! - przerwała jej Melissa. - Doskonale cię rozumiem. Wiem, że nie możesz zostawić go samego, skoro jest chory.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Lubisz dzieci?

- Tak. Chociaż miałam taki okres w życiu, kiedy niezbyt je lubiałam. Dzieci mają w zwyczaju śmiać się, chichotać, wariować. .. a człowiek, który myśli akurat o samobójstwie, kiepsko to znosi. Bezsprzecznie nie stanowią one lekarstwa na depresję. Szczególnie taką, którą sobie ktoś sam zafundował.

Christine roześmiała się.

- Słuchaj, pomyślałam sobie nagle, że... Może byś wpadła do nas wieczorem? Zjedlibyśmy razem pizzę i obejrzelibyśmy gwiazdy ligi hokejowej...

Do diabła z ambicjami! pomyślała około piątej Libby. Lepiej znać prawdę, nawet najbardziej gorzką, niż gubić się w domysłach.

Zadzwoniła do informacji. Klein. William Seymour Klein. Gramercy Park North. Podano jej numer i natychmiast spróbowała połączyć się z jego mieszkaniem.

- Halo? - odezwał się w słuchawce kobiecy głos. O Boże! A więc jednak... Betsy.

Libby bez słowa odłożyła słuchawkę. A potem, poruszając się wolno, jak we śnie, usiadła obok telefonu i ukryła twarz w dłoniach.

Wynajęcie samochodu w Nowym Jorku to istne utrapienie. Nie dość, że agencjom płaci się najwyższe stawki w kraju, a i tak zwykle obrażają się, gdy ktoś próbuje wynająć wóz tylko na jeden dzień weekendu. Ale tym razem poszło łatwiej i szczęśliwym trafem Melissa znalazła jakiś wolny samochód w firmie, która miała swą siedzibę na tej samej ulicy, przy której mieszkała.

Starła się nie myśleć o tym, dokąd jedzie, a ponieważ nie było to do końca możliwe, próbowała wmówić sobie, że w istocie spełnia dobry uczynek, udając się w odwiedziny do kogoś, kto siedzi uziemiony w domu i potrzebuje towarzystwa. Miłosne spotkanie z kimś, kto pilnuje dziecka, i w ogóle sam pomysł, by wiązać się uczuciowo z kobietą, która jest matką, zupełnie nie przystawały do jej dotychczasowych wyobrażeń. Było to coś... po prostu coś niepojętego.

Daj spokój, strofowała się w myślach. To są wyobrażenia nastolatki.

No i co z tego? Czy w pełni zdaje sobie sprawę, w co się angażuje?

Tak. Teraz już tak. Z całą pewnością.

Przemknęła przez Holland Tunnel i pamiętając dokładnie drogę, którą Christine opisała, po upływie pół godziny była już w Montclair. Dotarła do Valley Road i widok, który się przed nią roztoczył, zdumiał ją nieco. Krajobraz New Jersey z jakichś nieznanych powodów kojarzył jej się raczej ze zbiornikami ropy i plażami, a nie ze stromymi stokami pokrytych lasem wzgórz i szerokimi pasmami dróg, po których hulał wiatr.

Zwolniła, aby nie przegapić punktów orientacyjnych, zapamiętanych z relacji Christine. Wszystko się zgadzało.

Opis jej domu również. Wyłożona kamiennymi płytami droga, będąca przedłużeniem podjazdu, latarnie, numer na drewnianej skrzynce pocztowej. Wysoko na wzgórzu jaśniała luna świateł, a górujący nad okolicą dom z daleka wydawał się wyjątkowo wielki i okazały. Wjechała wolno na podjazd i zasluchana w bicie własnego serca, zadała sobie jeszcze raz pytanie, po co to właściwie robi.

418

Po to, żeby żyć wreszcie własnym życiem, odpowiedziała sobie.

Dom z bliska nie wydawał się już taki ogromny, a przestronna, opasująca budynek weranda czyniła go bardziej przysadzistym. Melissa odniosła wrażenie, że musiał on zostać zbudowany na początku lat dwudziestych.

Garaż na trzy samochody stał oddzielnie. Przez uchylone drzwi Melissa dostrzegła lexusa. Za następnymi, które również były otwarte, stał Jeep Cherokee.

Parkując samochód, spostrzegła Christine, która machała do niej ręką z drzwi kuchni.

- Udało ci się trafić! - zawołała radośnie, otwierając je na oścież.

- Świetnie wytłumaczyłaś mi drogę - odparła Melissa, idąc w kierunku domu. Zatrzymała się przed drzwiami i wciągnęła w nozdrza powietrze. Ślicznie pachniało.

- Aleja sosnowa - powiedziała Christine. - Dziś to jest tylko zapach, ale gdy wieje wiatr, to poruszane nim gałęzie wydają niesamowite dźwięki. Kiedy dzieciaki były małe, bały się, że u nas straszy.

Melissa weszła do kuchni i natychmiast zdała sobie sprawę, że pierwsze wrażenie bardziej odpowiadało prawdzie: sądząc po rozmiarach kuchni, dom musiał być istotnie ogromny. Izba kuchenna utrzymana była w starym stylu.

Miała ściany z klinkierowej cegły, drewniane belki stropowe, olbrzymi sześciopalnikowy piec, a w głębi wejście do przylegającej do niej spiżarni.

Christine ubrana była w niebieskie dżinsy i jasnobłękitny bawełniany sweter. Melissa nie widziała jej nigdy w takim stroju i ze zdumieniem stwierdziła, że bardzo ładnie w nim wygląda.

- Pozwól, że pomogę ci zdjąć płaszcz - zwróciła się do niej Christine, a gdy już to zrobiła, przerzuciła go sobie przez ramię i wzięła Melissę za rękę. Trwało to tylko chwilę. - Tak się cieszę, że przyjechałaś - szepnęła.

- Ja fete- zapewniła ją Melissa. - Tyle że mam tremę.

- Nie denerwuj się - uspokoiła ją, po czym powiedziała zna-

cznie głośniej: - Chodź, pokażę ci dom. Mówiłam ci, że Erik jest chory, natomiast Steve pojechał do swoich kuzynów, więc niestety będę ci go mogła przedstawić dopiero następnym razem.

Christine zaprowadziła ją do olbrzymiego salonu, pełnego amerykańskich antycznych mebli, obrazów przedstawiających psy myśliwskie, konie wierzchowe i wiejskie krajobrazy. Zatrzymała się na chwilę przy pianinie, aby pokazać swemu gościowi fotografie. Erik, gdy miał dziewięć lat. Steve, sześć i pół roku. Ich dom letniskowy nad morzem. Jej eks-małżohek. Owszem, przystojny, a skoro już o nim mowa, to może Melissa mogłaby jej poradzić, jak skłonić go do tego, aby się leczył. W takim stanie, w jakim się obecnie znajduje, nie sposób zostawiać go samego z dziećmi. W każdej chwili może rozbić samochód albo podpalić dom.

Pokazała następnie Melissie mały, przytulny gabinet, jadalnię, wielką, oszkloną werandę na tyłach domu, a wreszcie bawialnię, w której przebywał Erik. Ubrany w grubą, flanelową pidżamę, szlafrok i kapcie, układał coś z klocków. W rogu pokoju stał telewizor.

Christine tuż od progu zwróciła się do syna:

- Eriku! Chciałabym, żebyś poznał moją bliską przyjaciółkę, Melissę Grant.

Chłopiec podniósł głowę i spojrzał na gościa. Był ładnym dzieckiem. Miał takie same blond włosy jak matka, ale oczy zupełnie inne - duże i piwne. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest zupełnie zdrowy: oddychał płytko i nierówno, jak często oddychają przeziębione dzieci.

- Dobry wieczór! - powiedział.

- Jak się masz - pozdrowiła go Melissa, podchodząc bliżej. - Co to ma być? Empire State Building? - spytała, wskazując na układankę.

- Taak. Ale trudne! Mama mi właśnie pomagała.

- Tę część świetnie sam ułożyłeś - pochwaliła go Christine, wskazując na ostatnie rzędy klocków.

Melissa uważnie się jej przyglądała. Nigdy jeszcze nie widziała jej w roli matki, ale Christine była tak naturalna, miała taki



## **420**

dobry kontakt z synem, że wydała jej się wcale nie mniej fascynująca i powabna niż przedtem.

- Zaraz zrobimy coś do jedzenia - zwróciła się do chłopca. - Może wypiłbyś teraz soczek? Dobrze ci to zrobi. -

Pogłaskała małego po głowie. - Zaraz przywiozą nam pizzę.

Erik, nie odrywając oczu od układanki, posłusznie sięgnął po szklanke i zaczął pić pomarańczowy sok przez słomkę.

Udały się jeszcze na zwiedzanie górnego piętra. Sypialnia Christine zrobiła na Melissie ogromne wrażenie. Wielkie okna wychodzące na front i boczną ścianę domu, szerokie, dwuosobowe łóżce, przytulny kąt z kozetką do wieczornego relaksu, miękkie krzesła, wszystko obite doskonałej jakości materiałem w pastelowych kolorach.

Gościenna sypialnia miała oczywiście osobną łazienkę, podwójne łóżce i dwa stojące obok siebie łóżka pojedyncze.

Następne pokoje należały do chłopców. Były one wypełnione zabawkami, a w każdym z nich znajdowały się piętrowe łóżeczka. Jeszcze wyżej, na drugiej kondygnacji, część strychu przerobiona została na pracownię czy też studio, przestronne i bardzo jasne, z oknami od strony południowej.

Tam właśnie, na samej górze, Christine odwróciła się i spojrzała na Melissę w oczy. Zatrzymały się obie i stały tak przez chwilę w milczeniu, twarzą w twarz, wpatrując się w siebie z bardzo bliska.

- No i jak z twoją tremą?

- Coraz lepiej - odparła Melissa. I naprawdę tak było.

- Chodź do mnie - szepnęła Christine, rozwierając ramiona. Melissa przytuliła się do niej, a Christine wolno, delikatnie zaczęła gładzić jej plecy. Stały tak do chwili, gdy na dole odezwał się dzwonek.

- Człowiek z pizzerii - powiedziała z uśmiechem Christine i delikatnie pocałowała Melissę w usta.

Reszta wieczoru upłynęła w miłej, spokojnej atmosferze. Przenieśli się we trójkę do gabinetu, rozstawili specjalne stoliczki, przy których wygodnie było się posilać, po czym zając pizzę i sałatkę, oglądali mistrzów hokeja na lodzie. Melissa na-

## 421

pomknęła w pewnym momencie, że Wayne Gretzky z Los Angeles Kings brał udział w jakiejś imprezie charytatywnej sponsorowanej przez firmę jej ojca. Na Eriku wywarło to piorunujące wrażenie. A gdy dowiedział się, że chodziła czasem na mecze Los Angeles Kings, i sprawdził, że rzeczywiście zna reguły gry, zaczął adresować swe komentarze na temat tego, co dzieje się na ekranie, do niej, a nie do matki.

Kiedy taśma wideo się skończyła, mały poszedł do łóżka. Christine pozwoliła mu jeszcze trochę poczytać, ale po chwili udała się do niego, aby sprawdzić, czy aby na pewno wziął wieczorną porcję leków. Melissa przeszła do salonu, stanęła przed pianinem i przyglądając się fotografiom, myślała

O tym, jak to się dzieje, że na rodzinnych zdjęciach ludzie wydają się zwykle tacy szczęśliwi, i jak trudno wyczytać z ich twarzy, ile w istocie prześladuje ich nieszczęść, zmartwień i trosk.

Nie usłyszała, kiedy Christine weszła do pokoju.

- Bardzo cię polubił - usłyszała nagle za sobą jej głos. Odwróciła się. Christine stała w progu, wsparta o framugę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Spytał mnie, czy jesteś moją koleżanką z pracy, czy prawdziwą przyjaciółką.

- Dlaczego się tym zainteresował?

- Chciał wiedzieć, czy lubię cię naprawdę, czy też... jak to określił, „muszę cię lubić” dlatego tylko, że wujek Mark i ciocia Emily uznali to za korzystne dla interesów rodzinnej firmy.

Melissa uśmiechnęła się, zrobiła kilka kroków w kierunku drzwi i stanęła.

- Prawdziwy realista - zauważyła. - Bardzo mi się chłopak spodobał.

- Dziś był wyjątkowo spokojny. Może dlatego, że jest trochę chory. Jak widzisz, nawet grypa miewa czasem swoje dobre strony.

Stały i patrzyły na siebie, uśmiechnięte i zadowolone z tego, że są razem. Melissa z trudem przełknęła ślinę;

- Spędziłam tu bardzo przyjemny wieczór - powiedziała

wreszcie. Znowu była pewna, że nikt nigdy nie podobał się jej tak bardzo, jak tak przedziwna kobieta.

- Wybierasz się już do domu?

- Myślę, że powinnam już sobie pójść... Ó co o tym sądzisz? Melissa spuściła oczy. Christine podeszła do niej, uścisnęła

jej dłoń, po czym westchnęła głęboko.

- Powtarzam sobie stale: niech to się dzieje wolno. Niech powoli dojrzewa.

- Ja też - szepnęła Melissa. Tak cicho, że sama ledwie usłyszała swój głos.

- Wiesz, jak bardzo mnie fascynujesz? - spytała stłumionym szeptem Christine.

- Ta fascynacja jest wzajemna. Zapewniam cię. Christine pocałowała ją delikatnie. Trudno im się było rozstać i w efekcie nie był to taki krótki, zdawkowy pocałunek. Wreszcie oderwały się od siebie.

- O Boże! Lepiej już idź. - Christine poprawiła sobie nerwowo włosy. Zmarszczyła czoło, po czym zupełnie niespodziewanie uśmiechnęła się i powiedziała: - Chciałam pokazać ci jeszcze jedną rzecz. - Wzięła Melissę za rękę, podprowadziła ją do biblioteczki i wyjęła z niej jakąś książkę. - Ta autorka jest twoją znajomą z ławy przysięgłych, prawda? - spytała.

Melissa ze zdumieniem ujrzała, że Christine trzyma w ręku egzemplarz „Uśmiechu losu”. Teraz jej z kolei zachciało się śmiać.

- Tak, to ostatnia książka napisana przez Libby.

- Podoba mi się ta kobieta - oświadczyła Christine. - Nie wiem dlaczego, ale mam takie wrażenie, jakby była moim aniołem-stróżem. To chyba ona mi ciebie zesłała.

Libby udało się wreszcie zasnąć. Nie na długo jednak, gdyż po chwili obudził ją brzęczyk domofonu. Trwało jakiś czas, nim dotarł do niej ten dźwięk, gdyż wkomponował się on w nerwową, postrzępioną fabułę snu i stanowił początkowo jego integralną część. Dopiero potem rozpoznała go jako dźwięk z zewnątrz.

Jej sny często stanowiły zbitkę fragmentów procesu, nielogi-

## 423

czną i dziwacznie przeinaczoną, i teraz właśnie wydawało jej się przez dłuższą chwilę, że w domu przy Park Avenue 912 oczekuje na telefon nocnego portiera, który ma zadzwonić do niej po to, żeby dowiedzieć się, o której oskarżony wrócił do domu. Uporczywy sygnał brzęczyka przywołał ją wreszcie do rzeczywistości. Wstała z łóżka i pobiegła do przedpokoju. W słuchawce odezwał się głos nocnego portiera:

- Pan William Klein chce się z panią widzieć. Poczula wielką ulgę. Nareszcie kamień spadł jej z serca.

- Pan Klein? To świetnie! Proszę go przysłać na górę.

Pomknęła po szlafrok, ochlapała sobie twarz zimną wodą (choć nie był to skuteczny zabieg na podpuchnięte od płaczu oczy), przyczesła włosy i na nic więcej nie starczyło jej czasu, gdyż właśnie rozległo się pukanie do drzwi. Natychmiast je otworzyła.

Alex?

Zanim zdążyła zareagować, przestąpił próg i stanął w przedpokoju. Poczula zapach alkoholu.

- Co cię tu sprowadza? - spytała oschle.

- Tak sobie wpadłem - bąknął pod nosem, przeszedł do salonu i usiadł na sofie. - Pomyślałem sobie, że jeśli podam portierom nazwisko naszego znajomego, to nie będziesz się bała mnie wpuścić. Rozumiesz, o co chodzi. Taki mięczak nie może zrobić kobiecie żadnej krzywdy.

Nie wiesz nawet, jak bardzo się mylisz, pomyślała.

- A ty, Alex... możesz mi zrobić krzywdę? Po to właśnie przyszedłeś? - spytała. Stała nadal jak wrośnięta w ziemię, z ręką na klamce otwartych drzwi. Dobrze, że mam tylu sąsiadów, pomyślała.

- Daj spokój, Libby! - odparł, gestykulując żywo. - Przyszedłem tu, żeby cię jeszcze raz przeprosić i zakopać wreszcie topór wojenny. Byłem akurat w barze parę kroków stąd... I pomyślałem sobie, że wpadnę.

- No dobrze. Zawarliśmy pokój. Nie gniewam się, ale proszę, żebyś sobie teraz poszedł. Spałam już.

Przez chwilę badawczo jej się przyglądał, po czym wzruszył ramionami i wstał.

- Przepraszam. Nie powinienem przychodzić tak bez uprzedzenia, ale wypilem parę piw... Sama wiesz, jak to jest.

- Rozumiem. Ale naprawdę już idź.

- Nie bądź na mnie zła, Lib. - Ruszył ku drzwiom, zatrzymał się i obrócił ku niej. - Chodzi mi tylko o to, żebyś się przestała na mnie gniewać.

- Nie gniewam się, ale chcę, żebyś sobie już poszedł.

- Dobra. Już idę - mruknął. I nagle, zupełnie niespodziewanie, szarpnął drzwi. Klamka wysunęła się Libby z ręki, drzwi zatrzasnęły się, a on objął ją błyskawicznie i przycisnął usta do jej warg.

Był zbyt silny, by mogła się wyrwać z jego objęć, stała więc jak skamieniała, zupełnie nie wiedząc, co ma robić. Myślała, że za chwilę ją puści, ale tak się nie stało. Przyparł ją do szafy ściiennej i mimo iż próbowała się bronić, krzyżując przed sobą ramiona, udało mu się rozchylić jej szlafrok. Poczowała jego dłonie na swych nagich piersiach i kiedy przekonała się, że absolutnie nie jest w stanie go od siebie odepchnąć, wpadła w prawdziwą panikę. Musiał to zauważyć, gdyż natychmiast się roześmiał; a ona wówczas mogła skorzystać z okazji i zacząć krzyczeć, ale tego nie zrobiła. I bardzo źle się stało, gdyż w chwilę później ją, zatkał jej usta dłonią, pchnął ją na ścianę i naparł na nią biodrami tak mocno, że sprawiło jej to ból.

I chyba właśnie ból, połączony ze strachem, wyzwolił w niej tyle siły, że nagle udało jej się odtrącić Alexa od siebie i to tak mocno, iż zatoczył się do tyłu i omal nie upadł. Szarpnęła klamkę, otworzyła drzwi i krzyknęła:

- Wynoś się stąd, bydlaku! Dzwonię po ochronę!

Skoczył w jej kierunku, ale tym razem była szybsza. Uderzyła go drzwiami i wypadła z krzykiem na klatkę.

Najdziwniejsze zaś było to, że nagle wydało jej się to jakimś kompletnym wariactwem. Jak może krzyczeć na klatce schodowej, że ją gwałcą... Przecież komuś, kto urodził się w Greatfield, w stanie Ohio, nic podobnego nie powinno się zdarzyć...

Krzyczała jednak dalej. I bardzo dobrze: zanim dobiegła do windy, spostrzegła, że jeden z sąsiadów uchylił drzwi.

Skręciła

## 425

więc w tamtą stronę, wpadła do mieszkania, odtrąciła na bok gospodarza, zatrzasnęła za sobą drzwi i zamknęła je na zasuwę. Następnie zaś bez słowa wyjaśnienia schwyciła słuchawkę domofonu i nacisnęła przycisk wzywający portiernię.

- Proszę przysłać ochronę na dwunaste piętro! Facet, którego wpuściliście, napadł na mnie. Podał fałszywe nazwisko.

- To wariatka! Kompletna wariatka! - wrzeszczał na klatce schodowej Alex. - Pieprzy się ze mną od tygodni, a dziś się na mnie wściekła i wrzeszczy, że ją gwałcę! Pomyłona kobieta!

Usłyszała sygnał windy, ale przez moment nie otwierała jeszcze drzwi. Nie wiadomo było, czy to Alex zamierza zjechać na dół, czy przyjechała na górę ochrona. Na klatce panowała cisza. Sąsiad, u którego się schroniła, uchylił odrobinę drzwi i wyrzwał na zewnątrz. Po chwili otworzył je na oścież. Przy wejściu do wind paliły się dwa światelka. Obie windy były w ruchu.

- Wydaje mi się, że zjechał na dół - powiedział.

Po upływie kilku sekund jadąca z dołu winda zatrzymała się na ich piętrze. Wypadł z niej Nick, ściskając w ręku radiotelefon.

- Co się stało, Libby?

- Facet, który jest przysięgłym w tej samej sprawie, co ja, podszył się pod kogoś innego i napadł na mnie.

W tym momencie z głośniczka radiotelefonu rozległ się skrzekliwy głos:

- Nick! Tu portiernia! Zjechał do garażu. Widziałem go na monitorze. Szuka wyjścia.

- Zjeżdżam za nim! - odpowiedział Nick i w chwilę potem zatrzasnął za sobą drzwi windy.

Alexa nie udało się jednak złapać. Libby siedziała przy stole w swojej kuchni, naprzeciwko niej siedział Nick, a ona musiała teraz podjąć decyzję, czy ma zadzwonić na policję i złożyć doniesienie o popełnieniu przestępstwa.

- Sama nie wiem... - wahała się. - Wiesz, facet był po prostu pijany/.. Myślę, że nic by mi w końcu nie zrobił. -

Przypomniała sobie ucisk dłoni Alexa na swych piersiach i poczuła, że palą ją policzki.

## **426**

- On naprawdę siedzi z tobą w tym sądzie? - spytał Nick.

- Tak, ale to nie znaczy, że się go boję - próbowała tłumaczyć portierowi. - Codziennie przecież nie jest pijany. Prawdę mówiąc, boję się raczej tego, że gdybym złożyła na niego skargę, to mógłby pójść na całość i... Sama nie wiem.

- Libby! To jest poważna sprawa. Nie wolno ci tego bagatelizować - stwierdził Nick. Po czym spytał ją o nazwisko Alexa,

o to, czy wie, gdzie on mieszka, czym się zajmuje, a uzyskawszy od niej te informacje, zasugerował, że nie musi w tym momencie podejmować ostatecznej decyzji. Niech się nad tym dobrze zastanowi, on zaś tymczasem spróbuje dotrzeć do tego gościa. Do poniedziałku na pewno mu się to uda. Pogada sobie z nim i Libby może być spokojna, że po tej „pogawędce” facet nie odważy się już nigdy jej zaczepić.

No tak, ale... Zupełnie nie potrafiła wyobrazić sobie tego poniedziałku. Jak się będzie czuła, siedząc w sądzie twarzą w twarz z... Nie tylko z Alexem. Także z Willem. Co się z nim stało? Gdzie on się podziewa? Przecież mogli tu być razem

i wówczas nic złego by się nie zdarzyło.

## 35

W poniedziałek Alex czekał na nią przed pokojem przysięgłych.

- Libby! Chciałem cię najmocniej przeprosić - powiedział zdyszczanym szeptem. - Wybacz mi... Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. .. Byłem pijany jak świnia i w ogóle nie miałem pojęcia, co robię.

- Alex, zostaw mnie raz na zawsze w spokoju! Dobrze? Muszę doczekać do końca tej cholernej sprawy, ale będę się zachowywała tak, jakby cię tu w ogóle nie było. Od dziś dla mnie nie istniejesz. - Bała się, że wybuchnie płaczem. Była kompletnie roztrzęsiona. Przez całą niedzielę Will nie dał znaku życia. A dziś musiała tu przyjść i konieczność spotkania się zarówno z jednym, jak i z drugim z tych mężczyzn, zakrawała naprawdę na kiepski żart. Ten, który układa scenariusze ludzkich losów, ma widocznie niewybredne poczucie humoru. Dzięki ci, Niebiański Scenarzysto!

- Ależ Libby... Chciałem ci bardzo podziękować. Serio. -Uspokoił się trochę, widząc, że nie czmychnęła przed nim od razu, ale nadal sprawiał wrażenie przybitego. - Wiem, że mogłaś złożyć doniesienie i narobić mi kłopotów. Ten gliniarz, Nick, uświadomił mi to.

Popatrzyła na niego groźnie.

- A więc uważaj, bo nadal mogę to zrobić.

- Rozumiem, że się gniewasz, ale naprawdę chciałem cię najmocniej przeprosić. I podziękować ci za to, że dałaś mi szansę. Nigdy tego nie pożałujesz. Przyrzekam!

Libby odwróciła się na pięcie i weszła do pokoju przysięgłych. Właściwie miała ochotę napluć Alexowi w twarz. Szmata!



I w dodatku pomyłony. A ona ma z nim wkrótce deliberować nad tym, czy jakiś inny pomyleniec jest winny zarzucanych mu czynów. Kompletny dom wariatów! Nic dziwnego, że wielu ludzi ma poważne zastrzeżenia odnośnie zasad, na jakich oparty jest amerykański wymiar sprawiedliwości.

W pokoju zastała już prawie wszystkich, ale Willa jeszcze nie było. Bogu dzięki i za to, pomyślała. Zupełnie nie wiedziała, jak miałyby się zachować, gdyby się z nim spotkała. Powiesiła swój płaszcz i usiadła obok Melissy, po przeciwnej stronie stołu niż Alex. Jej przyjaciółka promieniowała radością, ale nie zdążyły ze sobą porozmawiać, gdyż zjawił się Chuck i zaczął sprawdzać listę obecności.

Nadal nie było Willa. Czyżby zrobił kolejny numer i postanowił się tu więcej nie pokazać? Nie, to do niego niepodobne. Ogarnęła ją - nie po raz pierwszy zresztą - fala niepokoju, a gdy Chuck, wyczytawszy jego nazwisko, mruknął coś niezrozumiałego, wpadła w prawdziwą panikę.

- Może by tak zadzwonić do jego biura? - spytała. - Mógł się tam po prostu zasiedzieć.

- Wiemy, co się z nim dzieje. Nie martwcie się o niego - powiedział tajemniczo Chuck.

- Co to ma znaczyć? - domagała się wyjaśnień Libby. - Gdzie on jest?

- O rany - stęknęła Basia, odkładając lekturę. - Gdzie gazeta z nekrologami?

- To wcale nie jest zabawne - ofuknął ją Stephen.

- Powtarzam raz jeszcze: nie ma powodu do niepokoju. Nie mogę udzielić wam dokładniejszych informacji, gdyż sąd zobowiązał mnie do milczenia. Wkrótce się dowiecie.

Libby bynajmniej to nie uspokoiło. Te dwa koszmarnie dni całkiem ją wykończyły. Była roztrzęsiona, blada jak śmierć i czuła się tak, jakby ją przed chwilą ekshumowano. Właściwa osoba na właściwym miejscu, pocieszała się, przeklinając w duchu ten cholerny proces.

- Chuck, proszę mi powiedzieć - spytała błagalnie, zniżając głos niemal do szeptu - czy stało się coś złego?

429

- Wszystko już jest w porządku - odpowiedział także szeptem. - Przekona się pani sama. On się tu zaraz zjawi. Po upływie dziesięciu minut Chuck ponownie zajrzał do pokoju, tym razem jedynie po to, aby uprzedzić przysięgłych, że będą musieli jeszcze trochę poczekać. Melissa zaoferowała się zjechać na dół po kawę. Dostała tyle zamówień, że musiała je spisać na kartce i Libby postanowiła pójść wraz z nią i pomóc jej.

Czuła, że musi się czymś zająć. To bezczynne oczekiwanie doprowadzało ją do szaleństwa.

Gdy znalazły się same w windzie, Melissa pierwsza zaczęła rozmowę:

- Słuchaj, Libby... Nie chciałabym wtykać nosa w nie swoje sprawy, ale wyglądasz tak okropnie, że może mogłabym ci w coś pomóc?

- Owszem. Pomóż mi przeżyć życie od początku - skrzywiła się Libby.

- Masz jakieś problemy z Willem?

- Trudno nazwać to problemem. Zniknął po prostu jak kamfora. Zdematerializował się. - Chciała, aby zabrzmiało to sarkastycznie, ale w efekcie głos jej się załamał. Nawet słowa raniły. Tak krótko byli ze sobą, a tak głęboka była jej rozpacz. Coś niewiarygodnego!

W bufecie sądowym kupiły kilka kubeczków kawy i jedną herbatę i gdy szły z powrotem do windy, Libby bąknęła pod nosem:

- Miałam problemy nie tylko z Willem... - i wbrew postanowieniu, by nikomu nic nie mówić o sprawie, opowiedziała Me-lissie o sobotnim wyczynie Alexa.

Melissa była przerażona.

- I ten człowiek nadal ma być przysięgłym?

- Przecież sąd nic o tym nie wie. Jesteś pierwszą osobą, która poznała tę historię.

- Nie rozumiem cię, Libby. Przecież to była najzwyczajniej-sza w świecie napaść. Właściwie próba gwałtu. Musisz o tym powiedzieć sądowi.

**430**

- Po co? Proces ma się już ku końcowi. Nie chcę siedzieć tu ani chwili dłużej niż to konieczne.

W pokoju przysięgłych nadal trwała atmosfera nerwowego oczekiwania. Libby i Melissa roznosiły właśnie przywiezione z dołu napoje, gdy Dayton, który siedział na parapecie i palił papierosa, zawołał nagle:

- Patrzcie!

Wszyscy zwrócili głowy w jego stronę.

Za oknem padał śnieg. Coraz gęstszy.

Ronnie zaczął nucić słowa kolędy. Po chwili przyłączyła się do niego Elena.

Przysięgli nadal nie wiedzieli, na co właściwie czekają. Libby spróbowała jeszcze raz podpytać Chucka, co się dzieje z Willem. Zapewnił ją, że nie musi się o niego martwić. Jest już na terenie sądu, tylko w innym pomieszczeniu.

- Ale dlaczego? - spytała Melissa.

- Gdy tylko mi pozwolą, natychmiast wam o tym powiem - obiecał strażnik.

Wdali się w spekulacje na temat tego, o co naprawdę chodzi. Pani Smythe-Daniels wysunęła hipotezę, że Will mógł wpaść na jakiś kapitalny pomysł, by wykręcić się od udziału w procesie. Libby poczuła w tym momencie bolesny skurcz żołądka. Nie brała dotąd pod uwagę takiej ewentualności. A przecież istotnie mógł tak postąpić. Choćby po to, aby zniknąć na zawsze z jej oczu. Nie musiałby wówczas niczego wyjaśniać, z niczego się tłumaczyć...

Nie. To wykluczone. Przecież naprawdę mu na niej zależało. Z całą pewnością. Musiało się zdarzyć coś nieprzewidzianego. Aleco?

Piętnaście po jedenastej Chuck otworzył drzwi i nagle wszyscy zamarli z wrażenia - z zabandażowaną głową i twarzą spuchniętą tak, że trudno go było poznać, kulejąc, podtrzymywany pod rękę przez strażnika, do pokoju wszedł Will. Zamiast garnituru miał na sobie džinsy, pasiastą koszulę i niebieski blezer. Libby nigdy w życiu nie widziała kogoś, kto miałby tak podbite

oczy. Jedno z nich podbiegło krwią. Lewy rękaw blezera zwisał Willowi luźno; rękę miał na temblaku.

- Nie bardzo może mówić - wyjaśnił Chuck. - W związku z tym ja odpowiem na wasze pytania.

Libby zerwała się z krzesła i ruszyła w jego stronę. Will od początku patrzył wyłącznie na nią i chyba nawet próbował się uśmiechnąć. Ujęła go pod ramię, podprowadziła do stołu, posadziła na krześle, na którym sama przed chwilą siedziała, i ukucnęła obok niego. Adelaide natychmiast podsunęła jej swoje krzesło i przesiadła się gdzie indziej. Wszyscy patrzyli teraz na nich dwoje. Alex również. Do diabła z nim, pomyślała. Z trudem powstrzymując się od płaczu, powiedziała szeptem:

- O Boże, Will! Tak się bałam, że spotkało cię jakieś nieszczęście!

- Został napadnięty w piątek wieczorem - zaczął relacjonować Chuck. - Przywieźliśmy go prosto ze szpitala. Ma wstrząs mózgu, dwadzieścia jeden szwów na głowie i zdrutowaną szczękę. Dlatego nie może mówić. Napastnika nie udało się ująć. Podszedł swoją ofiarę od tyłu i uderzył parę razy w głowę jakimś tępym narzędziem, prawdopodobnie łomem. Zabrał również portfel. Nie stało się to w pobliżu sądu, lecz na tyłach Wall Street, nie opodal bocznego wejścia do biura pana Kleina. Z pewnością niedługo powróci do zdrowia, ale teraz jest bardzo obolały i zmęczony. Zgodził się nadal uczestniczyć w procesie. Zachował się w tym momencie jak bohater. Naprawdę. Nawet pani Williams nie mogła wyjść z podziwu dla jego dzielności. A jej niełatwo zaimponować. Dzięki temu, że dobrowolnie wypisał się ze szpitala, proces może się toczyć dalej i za chwilę zostaniecie poproszeni na salę.

Gdy tylko Chuck zostawił ich samych, Dayton zwrócił się do Willa:

- Chłopie! Czy naprawdę musiałeś się tak starać, by odgrywać tutaj bohatera?

Wszyscy się roześmieli.

- Dzięki Bogu, że żyje - zauważyła pani Smythe-Daniels. - Bardzo cię boli, biedaku?

## 432

- Nie martw się! - pocieszał go Ronnie. - Skubniesz swoją firmę ubezpieczeniową na grube pieniądze.
- Co za bandyckie miasto! - oburzyła się Elena. - Bidło! Bidło, nie ludzie!
- Cały czas leżałeś w szpitalu? - spytała szeptem Libby.
- Uhu - wydał z siebie nieartykułowany dźwięk. Zupełnie nie mógł poruszać zdrutowaną szczęką. Ani przez chwilę nie odrywał jednak wzroku od Libby i widać było, jak bardzo cieszy się z tego, że może na nią patrzeć. Bogu niech będą dzięki! Przede wszystkim za to, że żyje.
- Ostrożnie, krzywiąc się z bólu, wyciągnął z kieszeni notatnik i pióro. Wyrwał z niego kartkę, położył ją przed sobą i napisał: „Nie mogłem zadzwonić. Nie miałem dostępu do telefonu.”
- O Boże! Nie przejmuj się tym - szepnęła mu. - Tak mi przykro, że przez cały czas byłeś tam sam. Zawiadomili pewnie Betsy?
- Lekko pokręcił głową. Zobaczyła, że znowu go zabolalo. „Zawiadomili moich rodziców. Przyjechali oboje z Chicago” - napisał.
- Dzięki Bogu!
- „Mama jest tu na miejscu” - naskrobał na kartce.
- Gdzie? W sądzie?
- „Tak. Chce się z tobą spotkać”.
- Przyszedł Chuck i zaprowadził przysięgłych na salę. Pojawienie się Willa - a raczej stan, w jakim się znajdował - wywołało ogólne poruszenie. Oczywiście było, że rysownik sądowy (w amerykańskich sądach nie wolno fotografować) natychmiast zacznie go portretować. Media będą miały nową sensację.
- „Przysięgły w sprawie o zabójstwo, powracając z sesji sądowej, uległ ciężkiemu pobiciu i cudem uniknął śmierci.” I dalej: „Poszkodowany, świadomy ciężącej na nim odpowiedzialności, wypisał się na własną prośbę ze szpitala, by do końca spełnić swój obywatelski obowiązek.” Tak zapewne będą brzmiały nagłówki i komentarze.
- Pani sędzia Williams zachowała natomiast iście stoicki spo-

433

kój i powstrzymując się od jakichkolwiek wyjaśnień, poinstruowała obronę, by pozwała następnego świadka.

- Obrona wzywa Jamesa Bennetta Laytona juniora do złożenia zeznań.

Na widowni rozległy się szmery. Oskarżony mógł równie dobrze zrezygnować z tego wystąpienia i do końca biernie przyglądać się przebiegowi procesu. Prawo mu na to zezwalało. Geiggen widocznie uznał jednak, że zgodnie z przyjętą przez niego linią obrony, Layton powinien wystąpić jako świadek we własnej sprawie. Wszystko więc wskazywało na to, że dzisiejsza sesja w sposób istotny różnić się będzie od codziennej sądowej rutyny, do której zdążyli się już przyzwyczaić.

Libby zauważyła na wstępie, że James Layton jest znacznie niższy, niż przypuszczała. Dotąd oglądała go zawsze siedzącego za stołem i zapewne podwyższone, wywatowane ramiona jego marynarki mogły stwarzać złudzenie, iż jest potężny i dobrze zbudowany. W istocie zaś zarówno jego postura, jak i cały zewnętrzny wygląd zupełnie nie wskazywały na to, by był on zdolny do gwałtu i przemocy.

Prawdę mówiąc, w ogóle nie pasował do przypisywanej mu roli. Miał zdecydowanie miłą powierzchowność - bujne włosy, niebieskie oczy o łagodnym wyrazie, ładnie wykrojone usta. Jedyne uczucie, jakie malowało się teraz na jego twarzy, był przestach. A może również poczucie winy? No cóż, trudno było się temu dziwić. Jeśli nawet nie popełnił zarzucanego mu przestępstwa, to i tak miał na sumieniu masę krzywd, jakie wyrządził swym najbliższym. Libby, po raz któryś z rzędu, zaczęła przyglądać się twarzom siedzących na widowni kobiet, ale żadna z nich nie zrobiła jakiegokolwiek gestu, który mógłby wskazywać na to, że jest żoną oskarżonego.

- Witaj, Jim! - pozdrowił go Geiggen.

- Dzień dobry. - Głos Laytona był zaskakująco cichy. I znacznie cieńszy, niż Libby skłonna była przypuszczać.

Przypominał raczej głos sympatycznego chłopca niż dojrzałego mężczyzny.

- Chciałbym, żebyś odpowiedział teraz na moje pytania. Szczerze i uczciwie.

Layton skinął głową.

- Nie denerwuj się, Jim. Śmiało i uczciwie opowiedz sędziom przysięgłym, jak było naprawdę.

Oskarżony ponownie skinął głową i spojrzał na ludzi, którzy będą decydować o jego losie. Wpatrywał się najpierw w panią Smythe-Daniels, a potem przeniósł wzrok na Libby, która szybko odwróciła oczy i udała, że spogląda w innym kierunku.

Geiggen zaczął od samego początku. Od wczesnego dzieciństwa. Na wstępie usłyszeli więc to, co było już im znane z zeznań siostry oskarżonego.

Layton wychowywał się w domu rodziców w Locust Valley, na Long Island. W wieku czternastu lat oddany został do szkoły z internatem. Studiował na uniwersytecie w Boulder, w stanie Kolorado. Po uzyskaniu dyplomu podjął pracę w firmie ojca. W dziale obsługi klientów. Co to była za klientela? Towarzystwa ubezpieczeniowe. Firma ojca je reasekurowała.

Następnie Geiggen zaczął wypytywać Laytona o jego małżeństwo. Zdążyli dowiedzieć się tylko tyle, że Layton ożenił się bardzo młodo, z koleżanką ze szkoły średniej, i w tym momencie pani sędzia Williams zarządziła przerwę na lunch.

Grupa przysięgłych zmierzała ku drzwiom, gdy do Willa podeszła umundurowana strażniczka, zatrzymała go na chwilę i wyprowadziła bocznym wyjściem na jakiś inny korytarz. Libby umówiła się przedtem z Melissą, że pójdą razem coś zjeść. Wkładała już na siebie płaszcz, gdy do pokoju zajrzała jakaś inna strażniczka, wywołała ją po nazwisku i powiedziała:

- Pani Klein chciała się z panią widzieć. - Libby zauważyła, że oczy wszystkich zwrócone są na nią, ale wcale się tym nie przejęła. Skinęła głową i ruszyła ku wyjściu.

- Czy ona jest mamą pana Kleina? - spytała ją po drodze strażniczka. - Twierdzi, że panią zna.

Will leżał na kozetce w jakimś pokoju biurowym. Jego mama okazała się być uroczą, zadbaną starszą panią.

- Nareszcie jakaś bratnia dusza! - ucieszyła się na widok Libby i natychmiast serdecznie ją uściskała.

- Will dostał silny środek przeciwbólowy i musi teraz trochę

## 435

poleżeć - wyjaśniła. Prosił ją jednak bardzo, aby sprowadziła tu Libby i powtórzyła jej to wszystko, czego zdążyła się dowiedzieć.

Libby zdjęła płaszcz, przysiadła na krześle i cała zamieniła się w słuch. A więc Will rzeczywiście został napadnięty na zapleczu siedziby swego biura, tuż przed tylnym, służbowym wejściem. Otrzymał kilka ciosów w głowę i w bark jakimś tępym narzędziem. Policja przypuszcza, że był to łom. Zdarzyło się to tak szybko, że nikt nie zauważył, przez kogo został napadnięty. Znalazł go dopiero jakiś wychodzący z budynku pracownik. Leżał tuż przy drzwiach w kałuży krwi. Trudno powiedzieć, jak długo.

- Wyobraź sobie, co ja przeżyłam, kiedy około północy zadzwonił telefon z St. Vincent' s Hospital i ktoś poinformował nas, że William tylko na chwilę odzyskał przytomność, podał nasz numer telefonu i nadal jest... - Nie była w stanie dalej mówić. Oczy wypełniły jej się łzami. Minęła dłuższa chwila, zanim doszła do siebie. - Myślałam, że oszaleję. Ukradziono mu portfel, nie miał przy sobie żadnych dokumentów. A my nie wiedzieliśmy, do kogo można by tu zadzwonić. Szukaliśmy twojego telefonu, ale był zastrzeżony. Nie chcieliśmy się kontaktować z tą okropną Betsy... Wsiadliśmy więc w pierwszy samolot lecący do Nowego Jorku i przyjechaliśmy prosto do szpitala. — Pani Klein spojrzała na swojego syna, westchnęła i znowu zaczęła pociągać nosem. - Dopiero w niedzielę, gdzieś tak około południa, gdy lekarze powiedzieli nam wreszcie, że jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo, zainstalowaliśmy się w jakimś hotelu.

Will próbował coś powiedzieć.

- Nie - odparła matka. Musiała go widocznie zrozumieć. - Dziś wieczorem przeprowadzamy się do twojego mieszkania.

Znowu zaczął coś bełkotać.

- Nie przejmuj się. Wszystko już zdążyłam załatwić - zapewniła go matka. - Odbyłam rozmowę z Betsy, bardzo zresztą spokojną. Nie musisz się o nic martwić. Obiecała, że dziś definitywnie się wyprowadza. Pokazać ci dowód rzeczowy? - dodała



z uśmiechem, sięgając do torebki. - To jest komplet kluczy do tych nowych zamków.

Wydał jakiś dźwięk, mający zapewne wyrażać zdziwienie.

- Nie rozumiem tylko jednej rzeczy. Dlaczego w dniu Święta Dziękczynienia przysłałeś tam jakiegoś rzemieślnika, żeby pozmięniał zamki? Betsy tym właśnie była taka rozsiedzona. I prawdę mówiąc, miała trochę racji.

- Uhm? - stęknął Will.

- Opowiedziała mi, że wróciła wtedy wieczorem do domu wraz z rodzicami i zastała ślusarza, który usuwał stare zamki z drzwi. Wyjaśnił, że kazałeś mu je zmienić. Uznali to za zwykłe świństwo, tym bardziej że zgodnie z umową Betsy miała wyprowadzić się dopiero w sobotę.

- Uhm?! - Will otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- Spytałeś ślusarza, ile obiecałeś mu zapłacić, ten odparł, że trzysta, i wtedy ojciec Betsy zaproponował, że zapłaci mu drugie tyle, jeśli wstawi zamki i zamiast tobie, odda klucze jemu. Ślusarz się zgodził, przyszedł następnego dnia rano i zmienił zamki. A Betsy poczuła się tak dotknięta, że postanowiła pozwać cię do sądu.

Will zamachał rękami, skrzywił się z bólu, pokręcił głową i rozpaczliwie próbował coś wybełkotać. Tym razem Libby pierwsza zrozumiała, o co mu chodzi.

- On twierdzi, że nie przysyłał tam żadnego ślusarza.

Pani Klein stwierdziła stanowczo, że zostanie przy Willu, a ponieważ zapadł on właśnie w płytki sen, Libby pożegnała ją i wróciła do pokoju przysięgłych. Czekala tam na nią Melissa.

- Przyniosłam ci sałatę z szynką i żółtym serem. No i wodę mineralną.

Nie ma to jak dobra przyjaciółka! Libby była jej bardzo wdzięczna. Ścisła ją z głodu, gdyż nie miała nic w ustach od wczoraj.

Śnieg padał już na całego. Było ślicznie. Libby kroila plasterki szynki plastikowym nożem, gdy nagle poczuła, że ogarniają ją fale gorąca. Po chwili zakręciło jej się w głowie. Pobiegnęła do

### 437

toalety i ukucnęła przy sedesie, obawiając się, że zaraz zacznie wymiotować. Melissa pośpieszyła za nią, zamknęła za sobą drzwi, po czym spokojnie, bez odrobiny paniki zamoczyła w wodzie zwitek serwetek i przyłożyła go Libby do czoła.

- To ze zdenerwowania - powiedziała.

- Samo życie - wyjąkała Libby i nagle wybuchnęła płaczem. Nie ze smutku, tylko z emocjonalnego napięcia. Musiała je jakoś rozładować. Melissa ukucnęła obok niej i objęła ją ramieniem. Skutek był natychmiastowy: Libby opanowała się i po chwili przestała płakać.

- Słuchaj... - Melissa westchnęła ciężko i spojrzała na nią. - To jeszcze nie koniec. Wiesz, że musisz powiedzieć im o tej historii z Alexem?

- Komu?

- No... sądowi. I wszystkim dookoła.

- Na litość boską! Dlaczego?

- Dlatego, że Will został poturbowany. Nie przyszło ci do głowy, że Alex mógł mieć z tym coś wspólnego?

Libby zamarła ze zgrozy. Dotąd ani przez sekundę o tym nie pomyślała. Teraz dopiero zrobiło jej się naprawdę słabo. Ktoś zapukał do drzwi.

- Chwileczkę!-zawołałaMelissa.

- Wpuście mnie, dziewczyny! - dobiegł do ich uszu głos pani Smythe-Daniels.

Melissa spojrzała pytająco na swoją przyjaciółkę.

- Wpuść ją - szepnęła Libby.

Pani Smythe-Daniels natychmiast po sforsowaniu drzwi pośpieszyła prościutko do Libby i nachyliła się nad nią.

- Czułam, że dzieje się coś złego! Chora jesteś?

- Nie. Już mi przeszło.

- Niezupełnie jej przeszło - sprostowała Melissa. - Alex napadł na nią wczoraj. Dostał się do jej mieszkania, przedstawiając się portierom jako William Klein. Uważam, że mógł również maczać ręce w napadzie na Willa.

Pani Smythe-Daniels pokiwała ze zrozumieniem głową.

- No właśnie... - powiedziała, zniżając głos - Czegoś ta-

## **438**

kiego się obawiałam. To może być niezłe ziółko, ten nasz Alex. Od pewnego czasu źle mu z oczu patrzyło. I oczywiście było, że ma to jakiś związek z tobą, Libby. Powiedz mi, kochanie, czy ty miałaś z nim romans, a potem z nim zerwałaś?

- Nie. - krzyknęła prawie. Teraz dopiero była naprawdę przerażona. Jak mogła się wplątać w coś takiego?

Pani Smythe-Daniels opatulila Libby płaszczem i uparła się, że pójdzie z nią i przypilnuje, by coś zjadła. Jakąś drożdżówkę, kanapkę z serem, cokolwiek. Na protesty ze strony Libby zareagowała w sposób nadszpiewanie zdecydowany.

- Wychodzimy teraz z sądu, moja droga, a potem wracamy i udajemy, że nic się nie stało. A Melissa zostanie tu i załatwi tę sprawę. Zrozumiano?

Punktualnie o godzinie drugiej pani Smythe-Daniels przyprowadziła Libby z powrotem do pokoju przysięgłych. Jej podopieczna musiała nadal wyglądać nieszczęśliwie, gdyż Elena spytała natychmiast, co jej dolega.

- Nic. Jestem po prostu zmęczona - odparła, siadając ciężko na krześle. Alex badawczo jej się przyglądał.

- Zjadłaś coś? - spytała szeptem Melissa.

- Tak. Frytki u McDonalda, które popiłam colą.

- Świetnie! Przestań się denerwować. Wszystko jest już załatwione.

Czas włókł się niemiłosiernie. Było już dziesięć po drugiej, a Chuck nie przyszedł jeszcze, by zaprowadzić ich na salę. Zjawił się dopiero po upływie następnych piętnastu minut.

- Libby-zwrócił się bezpośrednio do niej. Podniosła wzrok, czując, że znowu ogarniają przerażenie.

- Nazywa się pani... - strażnik zerknął do notatnika - Cornelia Winslow, prawda?

- Tak - odpowiedziała.

- Libby, Cornelia... No dobrze, a w takim razie kto to jest Elizabeth Winslow?

Aha! Więc tak to zostało wymyślone. Chuck dobrze grał przypisaną mu rolę.

439

- To mój pseudonim literacki. Piszę książki pod własnym nazwiskiem. Tylko imię mam zmienione.

- I to bardzo dobre książki - stwierdziła Debrilla, pokazując egzemplarz „Uśmiechu losu”.

- A więc droga Cornelio, czy też Elizabeth... sam już nie wiem, jak mam się do pani zwracać. Muszę zaprowadzić panią na chwilę do kancelarii, gdyż te pani imiona pokiełbały im się w komputerze.

- Teraz?

- Owszem. Chyba że woli pani, żeby za miesiąc znowu zaproszono ją do jakiejś ławy przysięgłych. Tym razem pod innym imieniem.

- Nie, nie! Już idę.

Chwyła torebkę i wyszła za strażnikiem na korytarz. Zamiast jak zwykle w lewo, Chuck poprowadził ją w prawo, po paru zaś krokach zwolnił i szepnął do niej:

- Dowiedzieliśmy się, że są jakieś kłopoty z jednym z przysięgłych. Pani sędzia Williams chciała z panią porozmawiać.

- Rozumiem.

Zatrzymali się przed salą konferencyjną. Chuck uchylił drzwi i wpuścił Libby do środka. Natychmiast zorientowała się, że nie będzie to rozmowa w cztery oczy - oprócz sędziny byli tam także oskarżyciel, Kathryn Schnagel, Geiggen wraz ze swymi asystentami i stenografka z nieodłączną maszyną.

- Proszę łaskawie usiąść - zwróciła się do niej uprzejmie pani Williams. - Doszły nas słuchy, że są jakieś kłopoty z jednym z przysięgłych. Zebraliśmy się tu wszyscy po to, aby wysłuchać, co pani ma na ten temat do powiedzenia.

- Proszę zrozumieć, że zwracam się o interwencję nie z uwagi na to, co mnie z jego?strony spotkało - zaczęła Libby - ale dlatego... - zaczęła mówić zbyt szybko i trochę się poplątała. - Dlatego, że może mieć to jakiś związek z napadem na Williama Kleina.

Usiadła i opowiedziała im całą historię, niczego nie tając. Zaczęła od początku, od momentu, gdy poznali się z Alexem w centralnej poczekalni, zanim jeszcze zostali wylosowani do

udziału w tej sprawie. Zaprzyjaźnili się i oczywiście zdawała sobie sprawę z tego, że Alex interesuje się nią jako kobietą, ale nie pozwoliła na to, aby ich znajomość przekształciła się w związek... romantyczny. Nigdy nie zaprosiła Alexa do siebie, nie miał jej adresu ani numeru telefonu, który w dodatku był zastrzeżony.

W miarę jak mówiła, denerwowała się coraz bardziej.

Opowiadała jednak dalej o tym, jak Alex, poczynając od pierwszego dnia procesu, demonstracyjnie okazywał jej, że jest zazdrosny o Willa. Pozwalał sobie na rozmaite wyzwiska pod jego adresem, a gdy po-Święcie Dziękczynienia zorientował się, że Libby zdecydowanie woli towarzystwo Willa, zaczął wygadywać jakieś paskudne rzeczy. I wreszcie w sobotę zjawił się w jej mieszkaniu pijany.

Budynek jest chroniony, a więc, aby portierzy go wpuścili, przedstawił się im jako William Klein. Następnie, czując, że się czerwieni ze wstydu, Libby opowiedziała o „kowbojskich” zalotach Alexa, o tym, jak zmuszona była uciec z krzykiem na klatkę schodową, schronić się u sąsiada i zaalarmować ochronę. Alex nie został zatrzymany. Udało mu się umknąć, a ona zdecydowała w końcu, że nie będzie składała formalnego zawiadomienia o przestępstwie. ^ -

Jeden z naszych ochroniarzy, były pracownik wydziału śledczego nowojorskiej policji, obiecał mi, że odnajdzie Alexa i przemówi mu do rozsądku. I rzeczywiście, dotarł do niego w niedzielę. Sądzę, że musiał go nieźle przestraszyć, bowiem dziś rano Alex zaczął mnie gorąco przeproszać, tłumaczyć się tym, że był pijany. I w rezultacie pomyślałam sobie, że machnę ręką na cały incydent, tym bardziej że proces ma się już ku końcowi. Ale potem, gdy okazało się, że Will został tak okrutnie pobity... - głos jej się załamał. Zamilkła na chwilę i odkaszlnęła. - Will miał w portfelu moją wizytówkę z adresem i numerem telefonu. W piątek zrabowano mu portfel. A w sobotę Alex trafił jakimś sposobem do mojego domu.

Prawnicy reprezentujący obie strony procesowe wpatrywali się teraz bez słowa w sędzinę. Ona również wodziła po nich wzrokiem. Nie był to najwyraźniej rutynowy problem.

## 441

- No i co teraz będzie? - Libby skierowała to pytanie bezpośrednio do sędziny.
- Alexander McCalley natychmiast zostanie wyłączony ze składu ławy - orzekła pani sędzia Williams. - To jest oczywiste. Problem polega na czym innym. Jak pani sądzi - zwróciła się do Libby - czy będzie pani w stanie pełnić nadal obowiązki członka składu orzekającego?
- Po wykluczeniu Alexa z naszego gremium?
- Tak.
- Oczywiście. Zresztą... w tym momencie nie ma chyba innego wyjścia. Nie mamy już przecież zastępców. - Spostrzegła, że zebrani wokół stołu wymienili między sobą znaczące spojrzenia.
- Podstawowy problem sprowadza się w tej chwili do tego, czy nadal może pani być przysięgłą - powiedziała pani Williams.
- Tak. Z pewnością.
- Sądowni chodzi w istocie o to... - zaczął Geiggen.
- Sąd sam potrafi wyjaśnić pani Winslow, o co mu w istocie chodzi, mecenasie! - ofuknęła go sędzina.
- Przepraszam, Wysoki Sądzie.
- Proszę mi odpowiedzieć na następujące pytanie: czy ostatnie zdarzenia mogą wywrzeć wpływ na werdykt, jaki wyda pani w tym procesie? Na wstępie chcielibyśmy usłyszeć pani zdanie.
- Wpływ? Jaki wpływ? - zdumiała się. - Ach, rozumiem. - Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie oczywiste analogie. Groźba gwałtu, odtrącony adorator. - Do licha... naprawdę trudno mi powiedzieć. Choć... chyba nie. W końcu niewiele ma to wspólnego z naszą sprawą. Ale, jak rozumiem, ostateczna decyzja należy do państwa. Pani Williams udzieliła następnie głosu przedstawicielom stron procesowych, zezwalając, by każdy z nich zadał Libby kilka pytań.
- Czy sądzi pani, że motywem działania McCalleya była uraza i poczucie, że został odtrącony? - spytał ją Geiggen i Libby odpowiedziała uczciwie, że tak.

442

- Mówiła pani, że był on pijany. Czy zwalnia go to od odpowiedzialności za to, co zrobił? - spytał z kolei MacDonald.

- Nie - odparła. - Ale aby zrozumieć jego zachowanie, nie sposób tego faktu pominąć.

Pani sędzia Williams bardzo serdecznie jej podziękowała i poprosiła, aby zechciała wrócić do pokoju przysięgłych. Na korytarzu czekał na nią Chuck, który ją tam zaraz zaprowadził.

- Wszystko w porządku. McCalley został już zabrany. -Strażnik poklepał ją serdecznie po ramieniu. - Bardzo dobrze pani zrobiła. Proszę się już o nic nie martwić. My się tym zajmiemy.

Wróciła do pokoju i odetchnęła z ulgą. Po Aleksie nie było śladu. Komputer też miał jakieś problemy z jego nazwiskiem, poinformował Libby wesołym tonem Dayton, który jak zwykle siedział na parapecie.

Po upływie dwudziestu minut zjawił się Chuck i zaprowadził przysięgłych na salę. Przed wejściem czekał już na nich Will. Oskarżony, James Bennett Layton, znowu siedział na swoim stałym miejscu za stołem obrony.

Pani sędzia Williams odroczyła rozprawę do jutra, do godziny dziesiątej rano. Zwolniła przysięgłych, prosząc jednocześnie srr©|iy, aby pozostały na sali sądowej.

Jill od wielu godzin oczekiwała na telefon i zadręczała Rusty'ego, zadając mu ciągle te same pytania. Nie rozstawała się z bezprzewodową słuchawką i teraz, gdy tylko odezwał się brzęczyk, wystarczyło, by podniosła ją z kolan i nacisnęła przycisk włączający fonię. Rusty odruchowo sięgnął po pilota i wyciszył telewizor.

- Tak, tak. Rozumiem - odpowiadała zdawkowo. - Tak, dziękuję pani, Kathryn. Do zobaczenia. Do jutra. - Pacnęła dłonią w antenkę, wciskając ją do środka, i odrzuciła słuchawkę na drugi koniec tapczanu, jak najdalej od siebie.

- No i co powiedziała?

- Obrona wniosła o unieważnienie procesu i powołanie nowej ławy przysięgłych.

443

- Wiedziałem, że tak będzie!

- Ale wniosek nie przeszedł. Pozostają przy tej samej ławie. - Jill westchnęła i wzruszyła ramionami. - Kathryn twierdzi, że Geiggen zrobił to ze względów taktycznych, licząc się z tym, że będzie mógł się powołać na swój wniosek przy ewentualnej apelacji.

- A więc ciągle jeszcze mamy szansę.

- Zdaniem Kathryn, Geiggen jest przekonany, że wygra tę sprawę. - Milczała chwilę. - Layton się z tego wykręci. Przez cały czas tak uważam.

- O Jezzu, Jill... Przykro mi. Sam nie wiem, co mam ci powiedzieć.

- Powiedz mi, żebym liczyła na cud. - Zmarszczyła brwi, zerwała się nagle z tapczanu, podbiegła do drzwi i wyjrzała na korytarz. - Peter?

W progu ukazała się mała postać chłopca.

- Właśnie się obudziłem.

- Zaraz cię zaprowadzę do łóżeczka, kochanie. Posiedzę przy tobie chwilę i znowu zaśniesz.

- Mogę się napić mleczka?

- Oczywiście. Zaraz ci przyniosę.

Gdy tylko Jill wyszła z pokoju, Peter podszedł do fotela, na którym siedział jego ojciec.

- Tatusiu?

- Słucham?

- Czy jeśli nie wsadzą tego człowieka do więzienia, to ty go zabijesz?

W kuchni rozległ się dźwięk szklanki, która musiała widocznie wypaść z rąk Jill i rozbiła się na podłodze.

- Co się stało, kochanie?-zawołał Rusty.

- Nic, nic! - odkrzyknęła. - Zaraz przyjdę. -I rzeczywiście, po upływie kilku sekund była już z powrotem.

Rusty zdążył tymczasem posadzić sobie małego na kolanach.

- Widzisz, synku... - zaczął mu mozolnie tłumaczyć - sądy są po to, aby wymierzać sprawiedliwość. Czynią to jakby w naszym imieniu, a my mamy się temu jedynie przyglądać.



**444**

- Ale mama mówi, że ten człowiek wyjdzie.

- Nie, nie. Zleją zrozumiałeś. Ona mówiła tylko, że ktoś tak powiedział. Powtarzała czyjeś zdanie. Miejmy nadzieję, że tak nie będzie. - Westchnął ciężko i pogłaskał syna po głowie. - Policja i sądy stoją na straży prawa. Tylko sąd może kogoś skazać. A nam nie wolno na własną rękę wymierzać nikomu sprawiedliwości. Prawo nam tego zabrania. I Bóg tego zabrania. Znasz przecież przykazanie: „Nie zabijaj”.

Peter spojrzał spod oka na ojca i skrzywił się.

- To dlaczego dałeś w nos temu adwokatowi?

Nawet Jill nie potrafiła w tym momencie zachować powagi. Ale te dzieciaki są teraz zmyślne!

36.

We wtorek rano Will wyglądał już o niebo lepiej. Jego sińce, wczoraj jeszcze ciemnofioletowe, robiły się powoli zielonkawe, miejscami nawet żółte, a oko z krwawym wylewem otwierało się troszkę szerzej. Mógł już odrobinę poruszać ustami, choć nadal jeszcze nie był w stanie mówić. Libby, zupełnie nie zważając na to, że całe audytorium bacznie jej się przygląda, natychmiast skierowała się w jego stronę. Delikatnie poklepała go po ramieniu, uściśliła mu dłoń i usiadła obok niego. Niech sobie myślą, co chcą. Było jej wszystko jedno.

Krzesło Alexa stało puste; nikt na nim na razie nie siadał. Natomiast zgromadzeni wokół stołu zawzięcie wymieniali szeptem jakieś komentarze, w związku z czym Libby powiedziała Melissie, że wychodzi na chwilę z Willem na korytarz - po to oczywiście, by jej przyjaciółka mogła do końca wszystko wyjaśnić pozostałym kolegom. Gdy stali tak we dwójkę na pustym korytarzu, Libby pocałowała Willa w jego mniej zapuchnięty policzek. Po minucie wrócili do pokoju i tym razem panowała tam kompletna cisza, choć, tak jak poprzednio, nadal wszyscy się na nią gapili. Zjawił się Chuck i zaprowadził ich na salę. Oskarżony ponownie zajmował miejsce służące do składania zeznań. Ledwie zdążyli usiąść, gdy pani sędzia Williams zgłosiła do protokołu, że przysięgły numer pięć, Alexander McCalley, został zwolniony od udziału w sprawie z powodów osobistych, w związku z czym zastąpi go ostatni z zastępców, William Seymour Klein.

Will przeszedł do pierwszego rzędu i usadowił się pomiędzy panią Smythe-Daniels a Basią. Na widowni panowała cisza; nikt nie pozwolił sobie na jakiegokolwiek komentarze na temat jego opłakanego wyglądu.

Sprawa potoczyła się dalej, jakby nic nadzwyczajnego nie zaszło. Libby zaczęła sobie uświadamiać, że najgorsze już minęło. Była nawet wdzięczna losowi za taki właśnie obrót zdarzeń. Nareszcie czuła się tu bezpiecznie. Pozostali przysięgli byli naprawdę miłymi, życzliwymi ludźmi. Można było mieć do nich pełne zaufanie.

Spostrzegła, że w pewnym momencie Clay mrugnął do niej. A przecież tak niedawno uważała go za ponuraka.

Usiadła głębiej na swym niewygodnym krześle, rozluźniona nagle, bezpieczna i w pełni pogodzona z losem.

Oskarżony, prowadzony umiejętnie przez Geiggena, przedstawiał ściszone głosem swoją wersję zdarzeń.

Najpierw opowiedział o uzależnieniu od kokainy - i nie tylko - gdyż oprócz niej intensywnie nadużywał alkoholu oraz brał całą masę środków uspokajających, głównie valium.

Zaczął bardzo wcześnie, w wieku około piętnastu lat, gdy zamieszkał w internacie. Trwało to więc przez lata i w efekcie doprowadził się do takiego stanu, że w tym czasie, gdy poznał Sissy Cook na owej charytatywnej imprezie, zmuszony był brać dawki kokainy... przeliczywszy to na pieniądze... za jakieś czterysta dolarów dziennie. W nocy zaś, by zasnąć, zażywał od czterdziestu do siedemdziesięciu miligramów valium lub jakiegoś innego środka uspokajającego. Miał dwie operacje zatok, co zdarza się jedynie bardzo zaawansowanym kokainistom; dwukrotnie przebywał w szpitalu, lecząc obrażenia odniesione w wypadkach drogowych; dziesiątki razy lądował nieprzytomny w pogotowiu, odwożony tam przez przyjaciół lub bliskich, którzy przerażeni jego stanem obawiali się, że przedawkował.

Spytany, jakim sposobem przez tak długi czas udawało mu się wychodzić z tego obronną ręką, westchnął smutno i rzekł:

- Wyłącznie dzięki pieniądzom. Moja rodzina miała ich pod dostatkiem. To one pomagały wyciągnąć mnie z rozmaitych tarapatów.

**Sissy Cook**, zeznawał dalej, ujrzawszy go na **tym** obiedzie, niemal natychmiast rozpoznała, że jest kokainistą.

447

- Jakim sposobem? - spytał Geiggen.

- Powiedziała mi po prostu: „Swoj swego potrafi wyczuć na kilometr”.

Następnie zaś bez żadnych ceregieli spytała go, czy zna jakąś metę, gdzie można dostać dobry towar. Jej uroda zrobiła na nim ogromne wrażenie, a gdy Sissy dała mu do zrozumienia, że interesuje ją nie tylko zdobycie kokainy, opuścili dyskretnie towarzystwo i pojechali do knajpy, w której urzędował zwykle jego stały dostawca.

Handlarz rzeczywiście tam był, więc Layton przedstawił mu Sissy Cook jako nową klientkę. Co porabia teraz ten handlarz? Niestety, nie żyje. Mniej więcej od roku. Został zastrzelony w wyniku jakichś porachunków. Jak to się często w tym światku zdarza, ktoś miał do niego pretensję o jakieś oszustwo.

Nieważne. W każdym razie Sissy Cook kupiła wtedy od niego trochę towaru, pociągnęli sobie parę niuchów i poszli się gdzieś zabawić.

Nie bardzo wie, co się potem działo, pamięta dopiero moment, gdy doszedł do siebie i uświadomił sobie, że jest już późno i że powinien zadzwonić do żony. Sissy była jednak nadal odurzona narkotykami, seksualnie pobudzona - sędziowie przysięgli powinni wiedzieć, że kokaina działa w ten sposób na psychikę - udali się więc do jednego ze służbowych mieszkań, należących do korporacji rodziców, i... i odbyli tam stosunek.

Niestety, Sissy Cook dosłownie w chwilę po tym dostała świra. Wpadła w histerię, bełkotała coś o tym, że powinna zerwać z narkotykami, że nienawidzi takich jednonocnych przygód, że to wszystko przez niego... Po czym zaczęła szlochać, krzyczeć i rzuciła się na niego z pięściami, jak kompletna wariatka, co zresztą specjalnie go nie zaskoczyło, wielokrotnie bowiem był świadkiem podobnych zachowań po kokainie.

Poszedł więc po prostu do stołowego pokoju i przygotował sobie następną dawkę proszku. Po chwili zorientował się, że Sissy zdążyła zabrać swoje manatki i wyjść, wsiadł więc w samochód i pojechał do Locust Valley. Czekwały tam na niego żona i siostra, obie bardzo zaniepokojone, gdyż nie wiedziały, gdzie się podziewał, od kiedy wyszedł z przyjęcia.

Przez następne sześć tygodni nie miał żadnych kontaktów z Sissy Cook. Pewnego dnia zadzwoniła do niego nagle, pytając, czy nie zna jakiegoś innego dostawcy kokainy, gdyż ten, z którym ją poprzednio skontaktował, wyjechał z miasta. Okazało się, że nie mówiła prawdy: handlarz nigdzie nie wyjechał, twierdził natomiast, że Sissy Cook winna jest mu dziesięć tysięcy dolarów za towar i próbuje wystawić go do wiatru. Layton usiłował go przekonywać, że to musi być jakieś nieporozumienie, gdyż Sissy ma masę pieniędzy i na pewno ureguluje swój dług. Obiecał, że natychmiast wyjaśni całą sprawę. Okazało się to jednak niemożliwe. Sissy przestała przyjmować jego telefony, a gdy próbował skontaktować się z nią osobiście w agencji, w której pracowała, ochroniarze w ogóle go tam nie wpuszczali.

Nie miał pojęcia, co takiego Sissy tym ludziom powiedziała, ale jedno było pewne: jako persona non grata miał tam absolutny zakaz wstępu. Tymczasem handlarz naciskał go coraz bardziej, żądając w końcu, by pokrył dług Sissy. Layton mu ją przecież polecił, a w tym środowisku było to równoznaczne z poręczeniem. Groził, że w przeciwnym razie odetnie mu dostawę kokainy.

Późnym wieczorem, poprzedzającym noc z dziewiątego na dziesiąty lutego 1994 roku, kiedy to Sissy Cook została zastrzelona, był już całkiem zagoniony w kozi róg. Nacpał się koki i zaczął się szwendać po mieście, popijając tu i tam, aż w końcu wylądował w nocnym klubie „Belle”. Nie miał pojęcia, że spotka tam Sissy Cook i gdy nagle ujrzał ją na parkiecie, podbiegł natychmiast do niej, wściekły z powodu tej historii z handlarzem, który naprawdę nie dawał mu spokoju. Zanim jednak zdążył się odezwać, Sissy Cook zaczęła krzyczeć, wyzywać go od impotentów i wygadywać jakieś inne idiotyzmy... A w chwilę potem faceci, z którymi się bawiła, zawołali bramkarzy i wyrzucili go z klubu.

Tak, rzeczywiście wyglądał wtedy jak istny wrak. A gdy go wyrzucali, wściekły był jak diabli. Nie przeczy temu. Przypomina sobie nawet chyba, że rzeczywiście biegł przed siebie i odtrącił na bok jakiegoś typa, który wszedł mii w drogę. Jednak nie

pamięta, co takiego mógł mu powiedzieć. I czy w ogóle się do niego odzywał.

A co zrobił potem? Potem próbował odnaleźć swój samochód, ale zupełnie wyleciało mu z głowy, gdzie go zaparkował. Nie miał przy sobie kluczyków, musiał zostawić je w stacyjce, doszedł więc do wniosku, że samochód został widocznie skradziony. Pamięta, jak siedział na stopniu jakiegoś kościoła i zastanawiał się, co dalej robić.

Następna rzecz, którą sobie mgliście przypomina, to telefon na policję. Początkowo wydawało mu się, że zadzwonił zaraz po przybyciu do mieszkania na Park Avenue, ale najwyraźniej musiał dzwonić już wcześniej, z miasta. Skąd? Absolutnie nie jest sobie w stanie tego przypomnieć. Udało mu się w końcu dotrzeć do domu - pamięta, że nalewał sobie tam jeszcze jakiś alkohol - a potem urwał mu się film. Ma w umyśle białą plamę aż do momentu, gdy nagle wpadła policja, by go aresztować. Tak właśnie było.

Wkrótce po tym odbył długie leczenie odwykowe. Gdy tylko wypuszczono go za kaucją z aresztu, udał się na sześć tygodni do szpitala. Od tamtej pory przebywa w domu. Nie pracuje zawodowo; działa natomiast społecznie, zbierając fundusze na rozmaite cele charytatywne.

W tym momencie Layton wybuchnął płaczem.

Zrobił to tak nagle, że wszystkich - nie wyłączając Geiggena - zupełnie tym zaskoczył.

- Czy możesz mówić dalej, Jim? - zwrócił się do swego klienta obrońca.

- Jak mogłem wyrządzić taką krzywdę własnej rodzinie! - szlochał, skrywając twarz w dłoniach. - Złamałem serca tym, których najbardziej kochałem!

Geiggen odczekał chwilę, po czym zadał mu ostatnie pytanie.

- Jim, powiedz uczciwie: czy masz na sumieniu śmierć Sissy Cook?

Oskarżony uniósł głowę i odsłonił mokrą od łez twarz.

- Przysięgam, że nie miałem z tym nic wspólnego. - Spojrzał na ławę przysięgłych i powtórzył: - Przysięgam!

## **450**

Ponieważ było już wpół do drugiej, pani sędzia Williams ogłosiła godzinną przerwę na lunch. Przysięgli opuszczali ławę i zmierzając ku wyjściu, przechodzili tuż obok oskarżonego, który pozostał na tym samym miejscu i szlochał nadal, ukrywając twarz w dłoniach.

Wrócili do poczekalni po płaszcze i tym razem nikt się nie odzywał. Will przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie czekało na niego rozstawione łóżko polowe, a Libby zjechała na dół, aby kupić mu jogurt i jakąś zupę, którą dałoby się wypić przez słomkę. Sobie też wzięła coś do jedzenia, wróciła na górę, przekąsiła co nieco i pilnując drzemiącego Willa, zajęła sięlekturą gazet. Do pokoju przysięgłych wróciła dwadzieścia pięć po drugiej, a po upływie pięciu minut ponownie spotkała się z Willem, który oczekiwał już na kolegów przy wejściu do sali sądowej. Oskarżony wyglądał tak, jakby przed chwilą skończył obmywać twarz. Oczy miał nadal zaczerwienione i widać było, że jest przerażony perspektywą konfrontacji z MacDonaldem, który wstał właśnie, by zadać mu pierwsze pytanie.

- Przed przerwą zechciał pan opowiedzieć nam historię swoich wlotów i upadków. Tych ostatnich było niestety więcej. W tym momencie powstrzymam się od komentowania pańskiego życiorysu, Proszę mi jedynie odpowiedzieć na następujące pytanie: czy potrafi pan wskazać powód, dla którego, pamiętając o tym wszystkim, co usłyszeliśmy na tej sali, mielibyśmy uwierzyć w przedstawioną przez pana wersję zdarzeń?

- Sprzeciw! - zawołał gromko Geiggen, podrywając się z krzesła.

- Wysoki Sądzie! Nawet rodzona siostra oskarżonego zmuszona była przyznać, że kłamstwo przez całe życie było jego chlebem powszednim!

- Nieprawda, Wysoki Sądzie! Siostra oskarżonego mówiła

o przeszłości. Tamte kłamstwa były nieodłącznie związane z nałogiem. Mój klient od półtora roku nie jest już narkomanem. Jego zachowania z przeszłości nie mogą rzutować na chwilę obecną i dyskredytować w ten sposób jego zeznań.

## 451

Pani sędzia Williams przez chwilę zastanawiała się nad werdyktem.

- Oddalam sprzeciw - zawyrokowała wreszcie.

Geiggen skrzywił się z niesmakiem i ciężko opadł na krzesło.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie! - MacDonald odwrócił się znowu do oskarżonego. - Powtarzam więc pytanie: czy istnieje jakiś sensowny powód, dla którego mielibyśmy panu uwierzyć?

- Owszem, istnieje.

- A jakiż to mianowicie?

- Taki, że mówię teraz prawdę. Jak powiedział mecenas, już od dawna nie używam narkotyków. Udało mi się wyrwać z nałogu i zacząć nowe życie. I to jest, proszę pana, sukces. Dokonałem fizycznej i moralnej odnowy. A istotnym elementem tej odnowy była i jest nadal bezwzględna uczciwość.

- Rozumiem. Czy mamy więc z kolei uwierzyć, że gdyby poczuwał się pan do odpowiedzialności za śmierć Sissy Cook - MacDonald przybrał już jawnie szyderczy ton - to z radością by nas pan o tym poinformował? Po to oczywiście, aby łatwiej było nam wsadzić pana do więzienia.

- Sprzeciw! Wysoki Sądzie, oskarżenie pozwala sobie na jakieś bezsensowne spekulacje.

- Sprzeciw jest zasadny.

MacDonald kiwnął spokojnie głową. Najwyraźniej go to nie zaskoczyło.

- Dobrze - rzekł. - Przejdźmy teraz do przedstawionej przez pana wersji zdarzeń.

Przez bite dwie godziny zasypywał Laytona pytaniami, licząc na to, że uda mu się znaleźć jakieś nieścisłości w jego zeznaniach,

- Panie Layton - zwrócił się w pewnym momencie do oskarżonego - jakim cudem Sissy Cook mogła zalegać handlarzowi z zapłatą głupich dziesięciu tysięcy, skoro miała na koncie bankowym ponad siedemset tysięcy dolarów?

- Mówiłem przecież, że próbowała przerzucić ten dług na mnie - stwierdził oskarżony. - Wiedziała, że jeśli sama go nie zapłaci, to handlarz wyegzekwuje te pieniądze ode mnie.



452

MacDonald stał spokojnie i bez słowa przyglądał się oskarżonemu.

- Wielu narkomanów w ten sposób postępuje - dodał Layton.

- Innymi słowy, opiera pan swoje spekulacje na własnych doświadczeniach. Doświadczeniach długoletniego narkomana?

- No... tak.

- Nie ma jednak żadnego dowodu na to, że Sissy Cook dokonała tej lub jakiegokolwiek innej transakcji z wspomnianym przez pana handlarzem?

- Nie wiem. Nic mi o tym nie wiadomo.

- Co więcej, nie ma również dowodu na to, że w ogóle się z nim kiedykolwiek spotkała. Bowiem człowiek ten nie żyje, prawda?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie!

- Oddalam sprzeciw.

Geiggen ociągał się chwilę, ale usiadł w końcu, nie próbując argumentować.

Oskarżony odetchnął ciężko i spojrzał na MacDonalda.

- Tak. Nie żyje - odparł, nie czekając, aż prokurator powtórzy pytanie.

- A więc powołuje się pan stale, panie Layton, na takie okoliczności i zdarzenia, na których potwierdzenie nie ma absolutnie żadnych dowodów. Poza pańskimi gołosłownymi stwierdzeniami.

- Gdybyście lepiej prowadzili śledztwo, to i dowody by się znalazły - zripostował Layton.

MacDonald zachnął się i przystąpił do kontrataku. Jasne było jednak, że oskarżony zdobył w tym momencie punkt. Co więcej, jak się w końcu okazało, udało mu się z żelazną konsekwencją podtrzymać przedstawioną wcześniej przez siebie wersję zdarzeń. Nie odstąpił od niej nawet na krok.

Nie potrafił, co prawda, dostarczyć jakichkolwiek dowodów na potwierdzenie swych zeznań, ale i oskarżyciel nie był w stanie ich w zasadny sposób podważyć. Tak więc sytuację można by uznać za patową, gdyby nie to, że wszelkie wątpliwości należało tłumaczyć na korzyść oskarżonego. Ale czy były to „uzasadnione wątpliwości”? - zastanawiała się Libby.

453

MacDonald powrócił do stołu oskarżycieli i wziął do ręki podkładkę z przypiętą do niej kartką. Następnie tanecznym niemal krokiem powrócił w pobliże ławy przysięgłych, zatrzymał się i studiował przez chwilę swoje zapiski.

- A czy nie uważa pan - zwrócił się do oskarżonego - iż wysoce interesujące jest to, że jedyne osoby, które mogłyby potwierdzić podaną przez pana wersję zdarzeń, Sissy Cook i handlarz, o którym była mowa, zostały zastrzelone na ulicach Nowego Jorku z pistoletu o kalibrze dziewięć milimetrów?

Geiggen już od kilku chwil tkwił wychylony nad stołem, gestykułując, wykrzykując protesty i próbując zagłuszyć oskarżyciela. Pani sędzia Williams uznała zasadność sprzeciwu i udzieliła MacDonaldowi reprimendy.

Tym razem nie okazał ani cienia skruchy. Znieruchomiał na chwilę, po czym stwierdził z wyzywającą miną: <sup>vs</sup>

- Mam nadzieję, że sąd mi to wybaczy, Wysoki Sądzie. Libby zrozumiała tę subtelną grę słów. To oni byli sądem.

MacDonald odwoływał się już bezpośrednio do ławy przysięgłych.

Oskarżyciel spojrzał na swoją asystentkę, a ta z kolei wskazała mu oczami leżącą na stole kartkę z jakąś odręczną notatką. MacDonald zapoznał się z jej treścią, a po chwili skinął głową i odłożył kartkę z powrotem.

- Panie Layton! - zaczął, odwracając się ku oskarżonemu. - Pańska siostra zeznała, że od momentu wyjścia z aresztu prowadzi pan..., jeśli można tak powiedzieć... wzorowe życie.

- Staram się, proszę pana - odrzekł oskarżony, nie spuszczać wzroku ze swego prześladowcy.

MacDonald odwrócił głowę i powiódł wzrokiem po twarzach przysięgłych. Po chwili ponownie zwrócił się ku oskarżonemu. Obaj patrzyli sobie w oczy.

- A czy pańska małżonka jest całym sercem po pana stronie? Czy dodaje panu otuchy, sekunduje pańskiej walce o to, by uwolnić się od zarzutów?

- Tak. Jak najbardziej - odparł bez chwili wahania Layton.

## 454

- Rozumiem... - MacDonald przeszedł ponownie w pobliże ławy i stanął tak, aby oskarżony musiał patrzeć w stronę przysięgłych. - Choć nadal trudno mi pojąć, jak to możliwe, żeby żona, która bez reszty solidaryzuje się ze swoim mężem, nie pokazała się ani razu na jego procesie?

- Sprzeciw! - wrzasnął Geiggen. MacDonald podniósł ręce do góry.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie! Cofam ostatnie pytanie. -Zwrócił się ku ławie przysięgłych i z wyrazem bezbrzeżnej pogardy oświadczył: - Oskarżenie nie widzi potrzeby, aby przedłużać tę farsę. Niechaj ś w i a d e k wróci na swoje właściwe miejsce, które w innych krajach nazywa się „ławą oskarżonych”. - Patrzył jeszcze jakiś czas na Laytona, jakby chciał dać do zrozumienia, iż niepojęte jest dla niego, by ktoś, choć związany przysięgą, mógł kłamać w żywe oczy. Następnie usiadł za stołem oskarżycieli i pokręcił głową, starając się jakby zasugerować, że w całej tej sprawie jest coś absurdalnego, skoro on, jako prokurator, jest do tego stopnia krępowany względami proceduralnymi, że ma trudności z udowodnieniem tego, co od początku było oczywiste.

Geiggen oczywiście skorzystał z prawa repliki i natychmiast zadał oskarżonemu kilka krótkich, konkretnych pytań:

- Powiedz mi, Jim, czy twoja żona mieszka razem z tobą?

- Tak.

- A dzieci?

- Również.

- Czy twoja żona jest obecnie w domu i opiekuje się dziećmi?

- Tak. Przez cały czas to robiła.

- No właśnie... - obrońca zawiesił na chwilę głos, po czym zaczął mówić głośniejszym głosem, starannie akcentując

Słowa: -A teraz powiedz jeszcze raz, czy miałeś cokolwiek wspólnego z zabójstwem Sissy Cook?

- Nie - odpowiedział Layton. - Przysięgam Bogu, że nie. Geiggen podziękował mu w tym momencie i usiadł.

Pani sędzia Williams oświadczyła, że postępowanie dowodo-

we zostało definitywnie zamknięte. W dniu jutrzejszym o godzinie dziesiątej rano wysłuchane będą jeszcze końcowe wystąpienia stron, po których sędziowie przysięgli natychmiast rozpoczną obrady. Będą one przebiegały zgodnie z przyjętą procedurą. Szczegóły wyjaśni im za chwilę strażnik sądowy, który dotąd się nimi opiekował i będzie to czynił nadal.

- Jesteście państwo wolni do jutra - pożegnała przysięgłych sędzina.

Przysięgli zebrali się niezwłocznie w poczekalni. Chuck wyjaśnił im na wstępie, że zgodnie z prawem stanu Nowy Jork sędziowie przysięgli orzekający w sprawie o zabójstwo muszą być trzymani w odosobnieniu aż do momentu, gdy uzgodnią swoje stanowiska i wydadzą jednogłośnie wyrok. W związku z tym, udając się jutro do sądu, mają zabrać ze sobą rzeczy osobiste, nie jest bowiem wykluczone, że przyjdzie im spędzić... powiedzmy dwie noce poza domem.

W tym momencie wszyscy jęknęli.

Oczywiście, obrady mogą się równie dobrze skończyć wcześniej, mówił dalej strażnik, nie sposób tego przewidzieć. Jeśli ktoś stale przyjmuje jakieś lekarstwa, to koniecznie musi je ze sobą zabrać. Powiadomić mają również otoczenie, że nikt w tym czasie nie będzie mógł się z nimi bezpośrednio kontaktować. Wyjątkowo ważne sprawy przekazać im będzie można jedynie za pośrednictwem Chucka, dzwoniąc na taki to a taki numer. (Wszyscy go skrzętnie zapisali.) Sprawę opieki nad dziećmi, chorymi, lub rodzicami - jeśli zachodzi taka konieczność - muszą oczywiście załatwić we własnym zakresie. Warto pamiętać także, aby ktoś przestawiał ich samochód, jeśli mają abonament parkingowy na określone dni.

Gdy wreszcie ich zwolniono, na korytarzu natknęli się na matkę Willa, która czekała, by zabrać syna do domu.

Pocałowała Libby w policzek - zrobiła to tak naturalnie, jakby znały się od lat - po czym powiedziała, że zadzwoni do niej później i wytłumaczy jej dokładnie, jakiego rodzaju opieki będzie wymagał syn w przypadku, gdy nie uzgodnią jutro werdyktu i będą trzymam w odosobnieniu dłużej.

**456**

- Proszę, proszę... Wzorowa synowa - zadrwiła Melissa, gdy tylko pani Klein z Willem zniknęli w tłumie oczekujących na windę.

Libby skrzywiła się, choć w głębi duszy słowa przyjaciółki sprawiły jej wielką przyjemność.

37.

Nazajutrz rano Libby wyszła żwawym krokiem z domu i objuczona torbą pomaszerowała chodnikiem w kierunku stacji metra przy Lexington Avenue. Jej podróże do sądu trwały już miesiąc i jak dotąd udawało jej się prawie zawsze zdążyć na czas, a dziś miała tam pójść po raz ostatni i oczywiście się spóźniła. Wyglądało na to, że nie zdąży. Zbiegła po schodach na dół, pacnęła kartą magnetyczną czujnik bramki obrotowej, przepchnęła się na drugą stronę i popędziła dalej ku następnym schodom. I tam właśnie, na zakręcie korytarza, na jej ramieniu zacisnęła się czyjaś dłoń.

W sekundę później poczuła, że ktoś opasuje ją ramieniem i odciąga na bok.

- Hej, Libby! - powiedział Alex, odławiając ją z wlewającego się na peron strumienia ludzi.

Kompletnie zbaraniała. Choć nawet i to określenie byłoby zbyt łagodne. Usłyszała po prostu swój własny głos, mamroczący grzecznościową formułkę: "Jak się masz, Alex" - i w chwilę później poczuła się jak idiotka.

- "Jak się masz, Alex?" - zasyczał, przedrzeźniając jej ton. Przyciągnął ją bliżej, zmrużył oczy i warknął przez zaciśnięte zęby: - Kpisz sobie ze mnie? A jak mam się mieć, głupia ruro?

Zesztywniała.

- Muszę iść.

- To idź! Czemu stoisz? - warknął, ale nadal trzymał ją mocno i przyciskał do muru. Rozpaczliwie szukała w tłumie jakiegoś zabląkanego policjanta. Kogokolwiek, kto mógłby jej pomóc. - Ostrzegam cię, Libby, że nie ujdzie ci to na sucho. Chyba że

## **458**

powiesz wszystkim, żeby się ode mnie odczepili. Bo jak ja za to beknę, to ty bekniesz jeszcze bardziej.

- Mówiłam ci, Alex, że nie doniosłam o niczym policji. Potrząsnął ją za ramię.

- To skąd oni się dowiedzieli? Z księżycy?

- Nie wiem - skłamała. - Może Nick im doniósł?

Przez moment wydawało się, że stracił nagle pewność siebie. I chyba rzeczywiście tak było. Potrząsnął nią co prawda jeszcze raz, po czym puścił i popchnął w stronę schodów.

O Boże, ależ to kawał bydlaka! A w dodatku silny i wielki. Gdyby zechciał jej zrobić krzywdę, to naprawdę nie miałyby żadnych szans, by się przed nim obronić.

- Pamiętaj, mała: jak ty dasz sobie spokój, to i ja dam. A jak nie - pogroził jej palcem - to gorzko tego pożałujesz! - Odwrócił się, przemknął przez bramkę i popędził susami ku wyjściu.

- Alex??? - spytali chórem, gdy opowiedziała o tym w pokoju przysięgłych. - Zaczaił się na ciebie przed metrem?

- Will zerwał się na równe nogi i bezskutecznie próbował coś wyjąkać.

- Natychmiast idziemy zawiadomić o tym sędzinę - stwierdziła^Melissa, podnosząc się z miejsca. - Jeśli nie chcesz tego zrobić sama - zwróciła się do Libby - to mogę cię wyręczyć.

- Nie! Proszę cię, daj spokój! - opierała się Libby. - To nic nie da, a sami sobie narobimy kłopotów. Zadzwońłam do Nicka, tego naszego ochroniarza, i on zawiadomi policję o tym incydencie. Przysięgam, że nie chcę siedzieć w tym sądzie ani minuty dłużej, niż jest to konieczne. Niech to się wreszcie skończy!

Elena wycelowała wskazujący palec w Libby i zwróciła się do pani Smythe-Daniels:

- Ta dziewczyna powinna mieć rewolwer. To są jedine argumenti, jakie takie tipi rozumieją. Sama kiedyś musiałam strzelać do takiego faceta.

- Strzelałaś do człowieka? - zdumiała się pani Smythe-Daniels.

Clay natychmiast spojrzał w ich stronę.

## **459**

- Zastrzeliłaś kogoś? I mimo to włączyli cię w skład ławy przysięgłych? - spytał. - Nic z tego nie rozumiem!

- Nie trafiłam sukinsina. Ale okropnie go wistraszyłam - wyjaśniła z godnością Elena.

- Aha. No to co innego - uspokoił się Clay.

- To biło w moim starim kraju. W Rio de Janeiro.

- W porządku. To jest okoliczność łagodząca - zauważyła pani Smythe-Daniels, udając przerażoną minę.

Małolat Ronnie zaczął w tym momencie chichotać i ten jego chichot okazał się tak zaraźliwy, że po chwili śmiali się już wszyscy.

Z wyjątkiem Libby. Cała sytuacja była tak niewiarygodnie dziwaczna! Zupełnie jakby nie dotyczyła jej życia. Tego rodzaju przygody nie zdarzają się po prostu dziewczynom z Greatfield.

Przyszedł Chuck, aby zapytać ich, co sobie życzą na lunch. Wyjaśnił, że ostatnie przemówienia stron skończą się prawdopodobnie przed południem, sąd przekaże im sprawę do rozstrzygnięcia i od tego momentu będą już izolowani.

- Kto płaci? - spytał rzeczowo Dayton.

- Stan Nowy Jork - odparł Chuck, skłaniając nieznacznie głowę.

- Świetnie - stwierdził Dayton. - Poproszę stek i homara.

- A dla mnie kawior! - zawołał Ronnie.

- Kotleciki jagnięce w sosie miętowym - przyłączyła się do zabawy pani Smythe-Daniels.

- Kotleciki z jagniąt! - wykrzyknęła z przerażeniem Adelaide. - Coś okropnego!

- Ludzie, dajcie spokój - prosił ich Chuck. - Zamówcie coś, co będę mógł wam przynieść z sądowego bufetu.

- Słuchaj... - zagadnęła obrończynię jagniąt Elena. - Oni sobie chyba wikombinowali, że ktoś nas chce otruć.

- Wiesz co? - zwróciła się do niej pani Smythe-Daniels. - Ty jesteś naprawdę niebezpieczną osobą. Będę się chyba musiała zamienić na miejsca. Strach przy tobie siedzieć.

- Zupę jarzynową, dwa jajka z wody, grzankę pszenną z pełnego przemiału i lody czekoladowe. - Libby przetłumaczyła naj



## **460**

pierw zamówienie Willa. - A dla mnie sałatę z szynką i sosem winegret. I jakiś sok owocowy.

- Te jajka to nie będą za dobre. Na pewno zdążą ostygnąć - uprzedził Chuck.

- Nie szkodzi. Postawimy je na chwilę na grzejniku. - powiedział Dayton. - A ja proszę o cheesburgera, nie za nadto wypieczonego, frytki i koktajl mleczno-czekoladowy.

- Dla mnie tofu, ale z ziarna sezamowego, nie z soi, kielki z fasoli, chleb z siedmiu zbóż i kartonik mleczka sojowego

- zadysponowała Adelaide.

- Nie rozumiem takiego zamówienia - oświadczył Chuck.

- No to niech będzie tuńczyk duszony na parze, sałata i dietetyczna cola.

- Tuńczyk! - zawołała, udając przerażenie pani Smythe-Daniels. - Dobrze, że nie filet z delfina.

- Czego pani ode mnie chce? - burknęła Adelaide. - Czy mam tu umrzeć z głodu?

Na sali, wypełnionej jak zwykle po brzegi, było tego ranka wyjątkowo duszno. Choć mogło to być złudzenie - Libby zaczęła sobie bowiem wyobrażać, że wkrótce pożegna się z tym miejscem nateawsze i konieczność spędzenia w nim jeszcze kilku czy kilkunastu godzin nastrajała ją do niego wyjątkowo nieprzychylnie.

Pani sędzia Williams obwieściła na wstępie, że nadszedł czas, by strony procesowe wygłosiły przemówienia końcowe. Ława przysięgłych usłyszy zatem podsumowanie, a raczej dwa podsumowania, oceniające wagę i znaczenie zebranego w sprawie materiału dowodowego. Jako pierwszy, zgodnie z tradycją, wystąpi rzecznik oskarżenia.

MacDonald stanął przed ławą przysięgłych ponury i zasepiony. Taki był od pierwszego dnia procesu. Powiódł wzrokiem po twarzach sędziów przysięgłych, po czym zaczął wygłaszać mowę oskarżycielską, podsumowując powoli, punkt po punkcie dowody (czy może poszlaki?) uzasadniające tezy oskarżenia.

Oskarżony Jim Layton junior przez całe lata był zdeklarowa-

nym narkomanem. To jedyne, czego nie próbował się wypierać. Był także - a raczej jest - patologicznym kłamcą i rozpustnikiem, uganiającym się za kobietami. I wbrew twierdzeniu obrony, potrafił być również gwałtowny i agresywny, tyle że przed popełnieniem czynu, za który jest obecnie sądzony, wyładowywał agresję na przedmiotach. Listę jego wad można mnożyć w nieskończoność. Wyjątkowo próżny, mściwy, zdolny do oszustw i szalbierstw, zasłużył sobie na epitet szaleńca. I tak go rzeczywiście określano.

- Sędziowie przysięgli zdążyli się zapewne przekonać, jakim wyrafinowanym kłamcą jest ten człowiek - ciągnął MacDonald. - Dał on na tej sali prawdziwy popis swoich umiejętności w tym zakresie. Szczytem zaś wszystkiego była zupełnie nieprawdopodobna, wymyślona przez niego historyjka o tym, jakoby Sissy Cook brała kokainę. Miał on czelność uraczyć nas tą opowieścią, mimo iż wszyscy świadkowie, którzy ją znali, powiedzieli^ od lat trzymała się z dala od wszelkich narkotyków, a jej awersja do narkomanów graniczyła niemal z obsesją. Z tego kłamstwa wynikły następne. Choćby owa równie nieprawdopodobna historia o handlarzu, któremu Sissy Cook, dysponująca niemalże milionowym kontem bankowym, winna była dziesięć tysięcy za ileś tam porcji kokainy. Ale jak można obalić te kłamstwa, skoro jedyne dwie osoby, na których zeznaniach należałoby się oprzeć, nie żyją. Obie zastrze... Prokurator przerwał w pół słowa, uświadomiwszy sobie, że narazi się za chwilę na sprzeciw obrony. Odczekał chwilę, zerknął na Geiggena, odkaszlnął i kontynuował:

- Sędziowie przysięgli wysłuchali zeznań kilku osób, które opierając się na relacjach Sissy Cook, przedstawiły nam prawdziwą wersję tego, co rozegrało się pomiędzy oskarżonym a jego przyszłą ofiarą. Zacznijmy od owego wieczoru, gdy po raz pierwszy się spotkali. Brakuje oczywiście naocznych świadków, którzy mogliby potwierdzić, co naprawdę się wydarzyło, ale jak wiadomo, w pewnych sytuacjach trudno o takowych. Skoro jednak zeznania złożone przez kilka osób tak dokładnie pokrywają się ze sobą, to nie ma powodu, by wątpić w ich prawdziwość. Nie

wdając się w szczegóły, przypomnijmy, co się stało: Sissy Cook poszła wraz z oskarżonym do mieszkania należącego do korporacji jego rodziców. Należy domniemywać, że w celach dość jednoznacznych. Trudno powiedzieć, czy od początku zamierzała odbyć z Laytonem stosunek; pewne jest natomiast, że w pewnym momencie się rozmyśliła. I wówczas oskarżony, który znajdował się pod wpływem kokainy i alkoholu - lub może tylko jednego z tych środków - wpadł w szal. Zaczął zachowywać się agresywnie, do tego stopnia, że ofiara potraktowała to jako preludium do gwałtu. Zapewne na tym by się skończyło, gdyby nie kłopoty natury fizjologicznej; oskarżony, co często przytrafia się zarówno kokainistom, jak i alkoholikom, okazał się niezdolny do popełnienia gwałtu. Cóż się potem stało? Oskarżony wyszedł po prostu do drugiego pokoju i zaaplikował sobie kolejną dawkę kokainy. Sissy Cook wykorzystała ten moment i opuściła mieszkanie.

Jednak na tym się nie skończyło. Oskarżony nie mógł puścić swojej porażki w niepamięć. Jako sławny kobieciarz i playboy musiał udowodnić Sissy Cook, jakim wspaniałym jest mężczyzną. Za wszelką cenę postanowił ją zdobyć. Mniejsza o żonę, o dzieci... Cóż to, do licha, za zmartwienie? Zakładał, że jego siostra nadal będzie się nimi zajmować, a on tymczasem poszaleje sobie w mieście. Ale niestety! Okazało się, że Sissy Cook nie chce mieć z nim nic wspólnego. W dodatku opowiedziała znajomym o tym jednorazowym, ale jakże przykrym dla niej doświadczeniu. Zapewne pragnęła wskazać powody, dla których bała się Laytona.

Wszelkie jego próby skontaktowania się z Sissy Cook spełzły na niczym. Aż wreszcie owej feralnej nocy, tuż przed dwunastą, oskarżonemu udało się spotkać twarzą w twarz ze swą przyszłą ofiarą. Miało to miejsce w klubie nocnym „Belle”, do którego pomimo opłakanego stanu, w jakim się wówczas znajdował, został jednak wpuszczony. Stało się tak wyłącznie z uwagi na jego nazwisko. Niestety, nie działało ono magicznie na wszystkich. Sissy Cook, w odpowiedzi na zaczepki oskarżonego, straciła panowanie nad sobą i upokorzyła go, obwieszczając wszem

i wobec, że jest on impotentem. Wówczas wpadł w szal; zaczął grozić, sypać wyzwiskami, awanturować się i w efekcie został siłą usunięty z klubu. Wypadł na ulicę i potrafił człowieka, który przytoczył tu, na tej sali, złowieszcze słowa, jakie wykrzykiwał wówczas oskarżony. Przypomnę je ponownie: „Ta dziwka zginie jeszcze dziś w nocy.” Potem oskarżony wsiadł do samochodu i ruszył... Nie, nie przed siebie! Wybrał najkrótszą drogę, by zrealizować swój zbrodniczy zamysł. Przejechał przez Holland Tuneli i na zjeździe z wiaduktu Polaski Skyway, przy skrawie w kierunku centrum Jersey City, został zauważony przez załogę radiowozu, która spełniając rutynowy obowiązek, odnotowała nie do końca zapamiętane numery jadącego z niebezpieczną prędkością jaguara. Miało to miejsce o godzinie dwunastej dwadzieścia. Następnie, jak państwo zapewne pamiętają, jeden ze świadków widział oskarżonego na rogu Byron i Ósmej Ulicy. Przypominam, że świadek ten rozpoznał Laytona bezbłędnie na przedstawionych mu zdjęciach. Co więcej, zeznał on również, że do jaguara wsiadł wówczas jakiś nie zidentyfikowany czarny mężczyzna, bardzo wysoki, mierzący zapewne metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, po czym oskarżony usiadł za kierownicą i natychmiast dokądś odjechał wraz z pasażerem. Zdarzyło się to dziesięć po pierwszej.

Około drugiej w nocy Sissy Cook wyszła z nocnego klubu „Belle” w towarzystwie koleżanki, która razem z nią mieszkała, Marybeth Shaeffer. Nagle usłyszały pisk opon i spostrzegły pędzącego w ich kierunku jaguara. Obie rozpoznały w nim samochód należący do oskarżonego. Obie również rozpoznały człowieka siedzącego za kierownicą. Był nim Jim Layton. Samochód zahamował gwałtownie i zatrzymał się tuż obok nich przy krawężniku. Siedzący na miejscu dla pasażera czarny mężczyzna szybko otworzył drzwiczki i wysiadł; oskarżony wskazał mu, którą z dwóch kobiet ma zabić. „Tę w czerwonym” - tak brzmiał wydany przez niego wyrok śmierci. Wówczas wykonawca tego wyroku odtrącił na bok Marybeth Shaeffer, strzelił trzykrotnie do Sissy Cook, a gdy ofiara upadła na chodnik, oprawca dokończył

swego dzieła, stając nad nią i oddając ostatni strzał, który rozerwał na strzępy jej twarz. Następnie błyskawicznie wsiadł z powrotem do samochodu i jaguar odjechał spod klubu.

Oddaliwszy się z miejsca zbrodni, Layton wysiadł z wozu. Płatny rewolwerowiec odjechał nim i porzucił go w jakimś ustronnym miejscu w pobliżu nabrzeża, a oskarżony zadzwonił w tym czasie na komisariat i złożył doniesienie, że ukradziono mu jaguara. Było wówczas piętnaście po drugiej. Następnie złapał jakąś taksówkę lub wsiadł do metra i pojechał do domu, w którym znajdowały się mieszkania służbowe należące do korporacji jego rodziców. Tam zauważył go portier z nocnej zmiany, który niestety nie pamięta - lub nie chce pamiętać - dokładnej godziny powrotu „pana Jima”, mimo iż patrzył ponoć wtedy na zegarek. Layton wjechał na górę, wstąpił do jednego z mieszkań służbowych, wrzucił tam swoje rzeczy...

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - zagrzmiał Geiggen, piorunując wzrokiem MacDonalda. Libby nie miała pojęcia, co w tym momencie tak zdenerwowało adwokata.

- Sprzeciw jest zasadny. Panie MacDonald...

- Wysoki Sąd zechce mi wybaczyć. Po prostu... - Oskarżyciel pokręcił bezradnie głową. - Przepraszam raz jeszcze.

- Proszę mówić dalej.

MacDonald zwrócił się ponownie ku ławie przysięgłych.

- I co zrobił następnie pan Layton? - zaczął po chwili. - Udał się na górę, przyrządził sobie jakiś alkohol, zażył kilkanaście miligramów librium i poszedł do łóżeczka. Po upływie godziny zjawiła się policja, by go aresztować. Wówczas zadzwonił do swego adwokata.

Oskarżyciel przedefilował wolno przed frontem ławy, wpatrując się kolejno w twarze przysięgłych.

- Obrona zaprezentowała nam wersję całkowicie odmienną, która pozornie wydawałaby się spójna i wiarygodna, gdyby nie jeden podstawowy fakt. Został on udowodniony na tej sali dziesiątki razy i nie sposób go kwestionować. Otóż oskarżony kłamie. Kłamie bezustannie. Kłamie na każdy temat. Pamiętamy oczywiście, jak zapewniał nas, że po opuszczeniu aresztu wkro-

czył nagle na nową drogę życia, stał się zacnym ojcem i mężem oraz społecznikiem. Otóż panie i panowie! Nie zapominajmy o jednym: przez tę salę przewinął się imponujący korowód świadków, ale żaden z nich - oprócz Laytona - nie dostarczył nam dowodów na to, że zerwał on nie tylko z narkotykami, lecz również z nałogiem kłamstwa. - Oskarżyciel uniósł brwi i odczekał chwilę. - I trudno było tego od nich wymagać. Takich dowodów bowiem nie ma.

MacDonald ponownie przedefilował przed frontem ławy, tym razem w odwrotnym kierunku. Tak jak poprzednio, starał się kolejno spojrzeć w oczy każdemu z sędziów przysięgłych.

- My natomiast ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, jakie motywacje skłoniły oskarżonego do popełnienia tej zbrodni. Istniał więc powód. I zaistniała okazja. Oskarżony ją wykorzystał. Mamy na to dowody. Mamy naocznych świadków. Policji nie udało się co prawda, przynajmniej dotąd, zidentyfikować człowieka, "który pociągnął za spust pistoletu, ale z całą pewnością mamy przed sobą tego, kto wynajął zabójcę i zlecił mu zamordowanie Sissy Cook w tak odrażająco brutalny sposób. Oto człowiek, który' przywiózł wynajętego zabójcę na miejsce zbrodni. Oto ten, który wskazał mu ją palcem. A gdy Sissy Cook leżała już martwa, a strzepy jej porozrywanego kulami ciała barwiły krwawymi plamami chodnik, ten oto człowiek pomógł zabójcy bezpiecznie oddalić się z miejsca zbrodni. -

MacDonald zrobił w tym momencie kolejną pauzę. - Panie i panowie przysięgli! - zwrócił się na koniec w stronę ławy. - Apeluję do was, abyście wydając werdykt, oparli się wyłącznie na faktach. Odrzućcie kłamstwa i pozory. Nie pozwólcie, aby przesłoniły wam one prawdę. Wyłącznie od was zależy, czy sprawiedliwości stanie się zadość.

Dziękuję państwu!

MacDonald powrócił na swoje miejsce i usiadł.

Zza stołu obrony wysunął się teraz Geiggen. Tego dnia, we wspaniale skrojonym ciemnogramatowym garniturze i lśniących czarnych pantoflach, wydawał się niemal przystojny. Włosy miał starannie przystrzyżone, a z jego twarzy promieniowała spokojna pewność siebie, prawość i łagodność.

Zaczął od wyjaśniania przysięgłym zasad funkcjonowania prawa, tłumacząc im, iż w procesie karnym obowiązuje zasada domniemania niewinności. Oskarżony nie ma obowiązku udowadniać, że nie popełnił zarzucanego mu czynu. Musi to uczynić oskarżyciel i w sytuacji, gdy zaistnieje jakakolwiek uzasadniona wątpliwość, czy na podstawie materiału dowodowego można podtrzymać zarzuty sformułowane w akcie oskarżenia, ława przysięgłych nie ma innego wyjścia, jak tylko ogłosić werdykt uniewinniający.

Wykład trwał ponad dwie godziny i w końcu MacDonalld zdecydował się na zgłoszenie sprzeciwu.

- Protestuję, Wysoki Sądzie! Instruowanie ławy przysięgłych nie leży w gestii obrony. Przysięgli otrzymają przecież stosowną instrukcję od sądu.

- Oddalam sprzeciw. W podsumowaniu końcowym obronie wolno poruszać kwestie proceduralne.

Geiggen podziękował sędzinie i zaczął przytaczać dowody, które, jak to ujął, pozwolą ustalić prawdziwy przebieg wydarzeń. Przypomniął więc, że Sissy Cook jako kobieta niezwyklej urody miała dziesiątki, jeśli nie setki, nie chcianych adoratorów. Dlatego też, nawet w pracy, potrzebna jej była asysta agentów ochrony. Zeznający na tej sali świadkowie, w tym również świadkowie oskarżenia, zmuszeni byli przyznać, że żyła ona w wiecznej obawie nie tylko przed anonimowymi pomyślnicami, ale również przed mężczyznami, których odtrąciła jałko potencjalnych lub byłych kochanków czy adoratorów.

- Sędziowie przysięgli pamiętajają zapewne - mówił obrońca

- że oskarżony był w owym czasie - w istocie przez wiele lat

- uzależniony od narkotyków. Wyglądało to na beznadziejny przypadek. Ten okres udało mu się przetrwać jedynie dlatego, że jego nadzwyczaj zamożna rodzina dzięki pieniądзом wyciągała go z kolejnych tarapatów, modląc się oczywiście przez cały czas o to, by zerwał z nałogiem. Modlitwy zostały w końcu wysłuchane. Prawdziwą ironią losu jest natomiast fakt, że bodźcem stało się zdarzenie ze wszech miar tragiczne: Jim Layton junior został niesłusznie oskarżony o udział w zabójstwie i to wreszcie rzuciło go na kolana.

Miotając się w szponach nałogu popełniał rozmaite występki, ale nigdy nie były to akty gwałtu czy agresji skierowanej przeciwko innym ludziom. Narkotyki, alkohol, kobiety - oto lista jego grzechów. Przypadkowe spotkanie oskarżonego z Sissy Cook skończyłoby się zapewne zupełnie inaczej, gdyby nie to, że trafił na kobietę uzależnioną od tych samych środków, których używał. Udał się więc z nią do baru, gdzie sam zaopatrywał się w narkotyki, i umożliwił jej nabycie porcji kokainy od znajomego handlarza. Wypróbowali natychmiast jakość zakupionego towaru, wpadli gdzieś potańczyć, po czym udali się do mieszkania należącego do rodziców Jima Laytona, aby pójść razem do łóżka. Sissy Cook natychmiast po odbytym stosunku zaczęła zachowywać się histerycznie, wygłaszać jakieś tyrady, mieć pretensje do Laytona. Przyjął to z całkowitym spokojem, wiedząc z doświadczenia, że kobiety zażywające ten narkotyk nierzadko tak właśnie się zachowują. Sissy wyszła zresztą natychmiast z mieszkania, a on nie próbował jej zatrzymać.

Odezwała się do niego dopiero po upływie sześciu tygodni, pytając go, czy nie zna jakiegoś innego dostawcy kokainy, gdyż ten, którego jej poprzednio polecił, zniknął nagle z miasta. Okazało się to nieprawdą. Sissy Cook winna mu była dziesięć tysięcy dolarów. Handlarz bezskutecznie domagał się zwrotu tej sumy i zaczął naciskać Laytona, by ten pomógł mu wyegzekwować dług od osoby, którą mu przedstawił. Oskarżony próbował to zrobić, ale bezskutecznie. Sissy Cook przemyślnie zerwała z nim wszelkie kontakty, nie odbierała jego telefonów, a gdy wielokrotnie próbował skontaktować się z nią osobiście, napuściła na niego ochroniarzy i rozgłosiła w swym otoczeniu wersję, że jest on pomyłką, który śledzi ją, nachodzi i prześladowa.

Oskarżony zrezygnował już właściwie z prób wyegzekwowania od Sissy Cook należnych handlarzowi pieniędzy, gdy nagle dziewiątego lutego 1994 roku, w późnych godzinach nocnych, natknął się na nią przypadkiem w klubie „Belle”. Modelka tańczyła z kimś na parkiecie, on zaś znajdował się tego wieczoru w oplakanym stanie. O tym, do jakiego stopnia odurzony był alkoholem i narkotykami, niech świadczy fakt, że zostawił swój



## **468**

ekskluzywny wóz na Czternastej Ulicy nie zamknięty, z kluczykami tkwiącymi w stacyjce. Sędziowie przysięgli znają na tyle realia Nowego Jorku, by wiedzieć, że nikt przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłby sobie na taką bezmyślność.

Nic więc dziwnego, że jego próby dogadania się z Sissy Cook zostały zinterpretowane jako zaczepki i w efekcie wyrzucono go z klubu. Chwiejąc się i zataczając, niezdolny do logicznego myślenia i snucia jakichkolwiek planów, potrafił przypadkowego przechodnia, po czym ruszył dalej, tym samym chwiejnym krokiem, ledwie trzymając się na nogach.

Nie potrafił odnaleźć swojego samochodu. Być może został on już skradziony. Być może skradziono go nieco później. Tego nie wiemy. Pewne jest jedynie to, że oskarżony nie był w stanie go odnaleźć. Usiadł na schodach jakiegoś kościoła i nadal tkwiąc w tym samym stuporze, próbował zebrać myśli i przypomnieć sobie, gdzie zaparkował wóz.

Na nic się to nie zdało. Stwierdził jedynie, że na pewno nie ma przy sobie kluczyków. Złapał więc taksówkę i pojechał do domu. Około godziny drugiej widziano go w holu wejściowym. Nadal zataczał się i z trudnością poradził sobie z wejściem do windy. Pojechał na górę, do mieszkania rodziców, przyrządził sobie 'drjka i wziął kilka proszków nasennych. Wcześniej, zapewne gdzieś po drodze, zadzwonił na policję i złożył doniesienie, że skradziono mu samochód. Szczegółów nie jest w stanie sobie przypomnieć, co zważywszy na stan, w jakim się znajdował, nie powinno nikogo dziwić. Tego rodzaju zaniki pamięci były, trzeba to ze smutkiem wyznać, częstą konsekwencją jego nałogu.

Dokładnie wtedy, gdy oskarżony jechał taksówką do domu lub być może już do niego wchodził, na Czternastej Ulicy przed nocnym klubem „Belle” rozegrała się tragedia. Sissy Cook została zamordowana strzałami z pistoletu, które oddał do niej z bliskiej odległości nie zidentyfikowany czarny mężczyzna. Obrona nie neguje faktu, iż samochód, z którego wysiadł zabójca, należał do oskarżonego. Z całą stanowczością negujemy natomiast oparty na czczym domniemaniu zarzut, iż oskarżony sam prowadził swój wóz. Twierdzimy, że kierował nim jakiś inny osobnik.

Ktoś, kto skradł go z ulicy lub też wypatrzył stosowny moment, by go sobie „pożyczyć”.

Wkrótce po tym, gdy padły owe feralne strzały, policja odnalazła samochód oskarżonego, porzucony na Morton Street, w pobliżu rzeki Hudson. Dysponując zeznaniami świadka, który był obecny przy spotkaniu Laytona z Sissy Cook - jak pamiętamy, miało ono miejsce kilka godzin wcześniej i skończyło się awanturą, a następnie wyrzuceniem oskarżonego z klubu - a także zeznaniami naocznych świadków zajścia, na podstawie których można było zidentyfikować jego samochód, policja uzyskała nakaz aresztowania i natychmiast zatrzymała Laytona.

I w tym momencie zaczyna się jakaś dziwna gra. Obrona czuje się w obowiązku przypomnieć przysięgłym, co się na wstępie zdarzyło. Otóż w kilka godzin po aresztowaniu syna jednego z najbardziej prominentnych oby wateli tego miasta zastępca prokuratora okręgowego, sprawujący nadzór nad śledztwem prowadzonym przez wydział zabójstw, wydaje polecenie, by zmienić inspektora, który od początku zajmował się tą sprawą. Inspektor Jose Martinez zostaje natychmiast odsunięty od udziału w dochodzeniu, a jego prowadzenie zostaje przekazane Josephowi Cleary'emu. Dzieje się to wbrew utartym zwyczajom i bez wskazania jakiegoś sensownego powodu, dla którego podjęto taką decyzję. Nie jest nim bowiem argument, iż inspektor Cleary współpracował niegdyś z zastępcą prokuratora okręgowego i że ta współpraca zaowocowała skazaniem jakiegoś przestępcy oskarżonego o zabójstwo.

Czyż zamiana prowadzących śledztwo nie została przypadkiem dokonana dlatego, że ustalenia poczynione przez Jose Martineza już na wstępie budziły wątpliwości co do zasadności aresztowania Jima Laytona juniora? Może drugi, zaufany człowiek musiał jeszcze raz przepisać raporty, żeby...

- Sprzeciw! - krzyknął MacDonald. - Wysoki Sądzie, obrona wie aż nadto dobrze, dlaczego raport sporządzony przez inspektora Martineza nie został dopuszczony jako dowód w sprawie.

- Sprzeciw jest zasadny. Panie Geiggen, tym razem naprawdę pan przesadził.

Obrońca wydał z siebie długie, teatralne westchnienie. Podrapał się w głowę, zwiesił ramiona wzdłuż ciała i zwrócił się do ławy przysięgłych.

- Sprawa ta wywołała całą burzę komentarzy na temat rodziny oskarżonego. Mówiło się tyle o bogactwie, wpływach, powiązaniach. Ale cóż... Widać chyba wyraźnie, że żadne pieniądze ani żadne naciski nie okazały się na tyle skuteczne, by można było dzięki nim manipulować raportami policyjnymi, które w tej dziwnej sprawie pojawiały się i znikwały. Kto inny widocznie pociąga tu za...

- Sprzeciw! - zaprotestował ponownie MacDonald.

- Sprzeciw jest zasadny - stwierdziła stanowczym tonem pani sędzia Williams. - Panie Geiggen!

Geiggen uśmiechnął się do sędziny, bąknął sakramentalne „przepraszam” i zwrócił się ponownie do ławy przysięgłych.

- Słyszeliście państwo Zeznania inspektora, który prowadził pierwsze czynności śledcze aż do momentu, gdy decyzją prokuratury odsunięty został od udziału w tej sprawie. I słyszeliście państwo również zeznania powołanego na jego miejsce inspektora Clery'ego. Nie pokrywają się one dokładnie ze sobą. Proszę, abyście państwo wyciągnęli z tego stosowne wnioski. Należy bowiem pamiętać, że tylko jeden z tych ludzi zjawił się na miejscu bezpośrednio po dokonaniu morderstwa. Drugiego tam nie było. Co zresztą nie przeszkadzało, jak widać, prokuraturze, by oprzeć się wyłącznie na jego zeznaniach. Nieprzypadkowo inspektor Cleary wystąpił na tej sali jako świadek oskarżenia.

Wysłuchaliśmy tu również zeznań Marybeth Schaeffer, koleżanki, z którą ofiara wspólnie zamieszkiwała.

Przypominam, że jest to jedyna osoba, która rozpoznała rzekomego kierowcę jaguara, stwierdzając, jakoby był nim oskarżony. Kolejny natomiast świadek oskarżenia, Kareem Johnson, bramkarz zatrudniony w klubie „Belle”, który stał tuż obok pani Shaeffer, zeznał pod przysięgą, że wnętrze wozu, konkretnie zaś siedzenie kierowcy, było absolutnie niewidoczne z miejsca, w którym stał. I dlatego też nie mógł powiedzieć, kto siedział wówczas za kierownicą

jaguara. Próbując wyjaśnić tę rozbieżność, obrona czuje się w obowiązku raz jeszcze przypomnieć kilka faktów. Jak państwo zapewne pamiętacie, dowiedzieliśmy się, że Marybeth Schaeffer przebywała swego czasu w szpitalu na oddziale odwykowym dla kokainistów. Co prawda zapewniała nas ona na tej sali, że od tamtej pory nie bierze już narkotyków, ale jednocześnie przyznała się bez żenady, że nadal pije. Naocznym świadkiem zabójstwa Sissy Cook była więc osoba, która, jak zostało to ustalone, wypila tego wieczoru przynajmniej trzy szklanki wina. Co więcej, jako „naoczny” świadek miała również kłopoty z oczami, nosiła bowiem szkła kontaktowe, które - o czym sama była łaskawa nas poinformować - częstokroć drażniły jej spojówki i powodowały łzawienie, szczególnie wtedy, gdy długo ich nie zdejmowała. No i wreszcie, co również jest bardzo istotne, z jej zeznań wynika jasno, że zanim zdążyła przyjrzeć się kierowcy, Sissy Cook powiedziała jej, iż jest to samochód-Laytona. Tym stwierdzeniem mogła się w oczywisty sposób zasugerować.

Zajmijmy się z kolei dowodem rzeczowym w postaci linii papilarnych odcisniętych na kierownicy porzuconego jaguara. Jak pamiętamy, niektóre z nich zidentyfikowane zostały jako odciski palców oskarżonego, w czym nie ma nic dziwnego, jako że był to jego samochód. Znajdowały się tam jednak również inne odciski, które w niczym nie przypominały jego własnych. Nie wiemy, do kogo one należały. Nasi wspaniali eksperci kryminalni nie zdołali tego ustalić. Zdaniem obrony, wniosek z tego jest prosty: mogły one należeć do osoby, która ukradła samochód Laytona i ostatnio się nim posługiwała. To chyba logiczne.

Oskarżony został zatrzymany i osadzony w areszcie jako podejrzany o udział w zabójstwie drugiego stopnia. A gdy policji nie udało się zidentyfikować i schwytać człowieka, od którego kul zginęła Sissy Code, a więc gdy nie udało jej się schwytać mordercy, prokuratura okręgowa zaczęła mozolnie kleić sprawę przeciwko Laytonowi, opierając się na nader wątplym materiale dowodowym, właściwie zaś na założeniu, że najbardziej prawdopodobne jest, iż to właśnie on, a nie ktokolwiek inny, wynajął owego płatnego zabójcę. Innymi słowy, przedstawiono mu za-

rzut dlatego, że z powodów, które za chwilę wyjaśnię, należało znaleźć kozła ofiarnego, a oskarżony do tej roli świetnie się nadawał.

Panie i panowie przysięgli! Nie muszę was chyba przekonywać, że oportunistyczna taktyka wyszukiwania kozłów ofiarnych nie ma, a raczej nie powinna mieć nic wspólnego z ideą sprawiedliwości. Jest jej parodią i wypaczeniem. Niestety jednak niekorzystny klimat, jaki wytworzył się wokół problemów i konfliktów rasowych w tym mieście, doprowadził do sytuacji, w której prokuratura okręgowa znalazła się pod silną presją, by biały - a w dodatku bogaty obywatel - został wreszcie skazany za morderstwo. Obrona wie aż nadto dobrze, jakiego rodzaju były to naciski.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - zaoponował MacDonald. -Obrona wymyśla jakieś niestworzone historie. To jest po prostu śmieszne.

- Obrona odwołuje się do społecznych i politycznych realiów, z którymi styka się na co dzień każdy myślący mieszkaniec Nowego Jorku.

- Oddalam sprzeciw.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie - powiedział Geiggen, zniżając głos<sup>^</sup> po czym ponownie zwrócił się do ławy przysięgłych. -W ostatnich latach, jak zapewne państwo wiecie, opinia publiczna podzieliła się dość wyraźnie w swych reakcjach i ocenach pewnych głośnych spraw sądowych, w których oskarżonymi byli czarni obywatele tego kraju. Jak powszechnie wiadomo, większość zabójstw na terenie naszego miasta popełniają czarni mężczyźni. Jest to oczywisty, przez nikogo nie kwestionowany fakt. Zresztą... panie i panowie przysięgli! Przecież i w tej sprawie mamy do czynienia z tym samym. Wszyscy się zgadzają, że sprawca, który z zimną krwią strzelił czterokrotnie z bliska do Sissy Cook i zabił ją na miejscu, był Murzynem. A jednak nie on został aresztowany. Zamiast niego nasze organy ścigania zdołały jedynie aresztować i postawić w stan oskarżenia człowieka, który co prawda jest biały, ale - jak słyszeliśmy na tej sali wielokrotnie - znajdował się wówczas w stanie, który fizycznie uniemo-

**473**

zliwiał mu prowadzenie samochodu, nie mówiąc już o tymi by był on wówczas zdolny do obmyślenia nadzwyczaj skomplikowanego planu, mającego doprowadzić do zamordowania Sissy Cook, a następnie ten wymagający dużej precyzji i synchronizacji czasowej plan skutecznie przeprowadzić. Na dodatek w dwie godziny po tym, gdy się z nią publicznie pokłócił. Adwokat rozłożył bezradnie ręce i zamilkł na chwilę.

- Prokuraturze okręgowej nie tylko udało się powiązać ze sobą różne incydentalne zdarzenia, pozwalające postawić Layto-na w stan oskarżenia. Udało jej się także, przy walnej pomocy wydziału zabójstw, zrealizować w ten sposób swój główny cel: odwrócić uwagę opinii publicznej od oczywistego faktu, iż bezpośredni zabójca pozostał nie zidentyfikowany, nie ujęty i nigdy zapewne nie będzie osądzony. Dlatego uczyniono tak wielki szum propagandowy wokół tej sprawy. Stąd nagłówki, które apelują do serca i wyobraźni. „Zepsuty synalek z bogatej białej rodziny przeprowadza zamach na życie niewinnej supermodelki.” Jakże wspaniale się to czyta! Można natychmiast zapomnieć

O takim choćby fakcie, że ta supermodelka była w istocie tak niewinna, słodka i kochająca wszystkich dookoła, iż próbowała nawet uwieść męża własnej siostry. Pozwolę sobie w tym momencie przypomnieć państwu zeznania Rusty'ego Tompkinsa.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie!

- Nie widzę podstaw do sprzeciwu - orzekła znużonym głosem pani sędzia Williams.

- Można również pominąć cały szereg innych okoliczności - ciągnął dalej Geiggen. - Jak choćby to, że za naszą supermodelką ciągnął się długi sznur odtraconych kochanków, byłych

i potencjalnych, nie mówiąc już o całej rzeszy maniaków, pomyleńców i psychopatów, których ustawicznie się obawiała, rozumując słusznie, że któryś z nich może jej pewnego dnia wyrządzić krzywdę. No i oczywiście możemy wówczas równie dobrze zapomnieć o prawdziwym mordercy, który nie został i zapewne nigdy nie zostanie ujęty i osądzony. A skoro już o nim uda nam się zapomnieć, to po co zaprzętać sobie głowę dziesiątkami innych osobników, których równie dobrze można byłoby postawić

w stan oskarżenia? Wielu z nich bowiem miało zarówno powody, jak i realne możliwości, by zaplanować i przeprowadzić zamach na życie Sissy Cook.

Tak, proszę państwa! W prokuraturze okręgowej, a zapewne również i w Wydziale Zabójstw Nowojorskiego Departamentu Policji, podjęto świadomą decyzję: fakty niewygodne dla tego oskarżenia należy po prostu zignorować. Mamy przecież kozła ofiarnego, „białego, bogatego playboya”, a jeśli uda nam się doprowadzić do skazania Jamesa Bennetta Laytona, to będziemy mieli po swojej stronie media, które od początku komentują tę tragiczną sprawę posługując się idiotycznymi nagłówkami, których próbki pozwoiliem sobie zacytować. Udowodnimy w ten sposób, że nasz urząd chroni wszystkich obywateli Nowego Jorku, bez względu na kolor skóry, wyznanie i stan konta, a karząca ręka sprawiedliwości potrafi dosięgnąć każdego, nawet jeśli jest on biały, bogaty i pochodzi z prominentnej rodziny.

Panie i panowie przysięgli! Decyzje, które zapadły w prokuraturze okręgowej i wydziale zabójstw, przesądziły o tym, że nigdy zapewne nie dowiemy się, kto jest zabójcą Sissy Cook. Ci, którzy stoją na straży ładu i porządku, nie potrafiąc ująć zabójcy i nie chcąc narazić się opinii publicznej, rzucili jej na pożarcie mojego klienta. Życię za życie. Nieważne czyje. I dlatego z takim niepokojem oczekują teraz, by ława przysięgłych uznała Jamesa Bennetta Laytona juniora winnym. Wiedzą oni bowiem dobrze, że wyrok, jaki zapadnie w tej sprawie, przesądzi nie tylko o losie mego klienta, lecz również o ich własnych karierach. I mają powody do obaw. Na nich to bowiem - o czym pozwolę sobie jeszcze raz przypomnieć - spoczywa obowiązek, by udowodnić ponad wszelką uzasadnioną wątpliwość, iż oskarżony popełnił zarzucany mu czyn. Tego zaś, co z całą odpowiedzialnością stwierdzam, w tym procesie nie udało im się wykazać.

Panie i panowie przysięgli! Z całego serca dziękuję wam, że poświęciliście tej sprawie tyle czasu, uwagi i skupienia. Oczekuję na wasz werdykt z nadzieją. Tylko wy możecie przywrócić mi wiarę w to, że w ocenie ludzkich przewinień stosuje się w tym kraju tę samą miarę dla każdego.

**475**

Geiggen skłonił się, powrócił na swoje miejsce i usiadł.

Pani sędzia Williams poświęciła kolejne dwadzieścia minut na wyjaśnienie przysięgłym zasad prawnych, jakie będą ich obowiązywały przy wydawaniu werdyktu. Tłumaczyła, co jest, a co nie jest dowodem w sprawie, wedle jakich kryteriów należy oceniać, wiarygodność zeznań, jak mają prowadzić obrady, by w sporach między sobą trzymać się ustaleń faktycznych i nie popadać w spekulacje, na czym polega zasada domniemania niewinności, co to znaczy, że ciężar dowodu spoczywa na oskarżycielu, i tak dalej, i tak dalej. Wreszcie wytłumaczyła im również, iż to nie oni skazują oskarżonego. Orzeczenie co do kary wydaje sąd. Przysięgli mają jedynie ocenić materiał dowodowy, obradować tak długo, aż uda im się uzyskać jednomyślność, po czym powrócić na salę sądową i ogłosić swój werdykt, stwierdzając, czy oskarżony jest winny lub niewinny dokonania zarzucanego mu czynu. W tym przypadku jest to zabójstwo drugiego stopnia.

Sędzia Williams ogłosiła następnie, że od tego momentu przysięgli mają przebywać w odosobnieniu.



38.

Tym razem wyprawa do pokoju przysięgłych skończyła się dość osobliwie: gdy tylko wszyscy sędziowie znaleźli się w spodku, Chuck zamknął za nimi drzwi i przekręcił klucz od strony korytarza. Libby okropnie to zdenerwowało. Rozejrzała się dokoła. Migotliwe światło jarzeniówek, okropny kolor ścian, sfatygowane krzesła, ten cholerny zegar wskazujący wiecznie dziesiątą czterdzieści.

Naprawdę było prawie kwadrans po pierwszej. Kiedy wreszcie przyniosą im ten lunch?

No cóż, pomyślała. Dobrze chociaż, że mamy wodę.

Na stole leżały jakieś formularze list obecności i kilka ołówków. Adelaide, pani przewodnicząca, przypomniała sobie o swojej roli. Odkaszlnęła i spytała:

- No dobrze... Co o tym wszystkim myślicie?

Zewnętrzny świat z wszelkimi jego absurdami bardzo szybko przestał zaprzętać uwagę przysięgłych. Realna stała się jedynie ta sprawa, pogmatwana i upiorna, którą mieli teraz rozstrzygnąć.

Zamordowana została kobieta. Zginęła, rozerwana kulami na strzepy, na jednej z ulic tego miasta. Człowiek, który do niej strzelał, nie został schwytany. Ujęto innego człowieka. Podejrzanego o to, że wynajął płatnego mordercę, przywiózł go na miejsce, wskazał mu ofiarę, a gdy ten z zimną krwią ją zamordował, pomógł mu zbiec. I teraz oni, sędziowie przysięgli, zdecydować mają o jego losie.

Jeśli uznają go za niewinnego, będzie mógł kontynuować nowe życie, które chyba rzeczywiście rozpoczął. Nikt nie oderwie go wówczas od żony i dzieci. Jeśli uznają natomiast, że jest on winny, to werdykt taki oznaczać będzie posłanie go do więzie-

nia, całkowite zniszczenie rodziny i zaprzepaszczenie wszelkich szans na normalne, godziwe życie.

Była to naprawdę trudna, skomplikowana sprawa. Materiał dowodowy pełen był niejasności, zawierał luki i jakieś dziwne niedopowiedzenia, zaś zeznania^ świadków częstokroć sobie przeczyły. Pani przewodnicząca wydawała się akurat ostatnią osobą, która potrafiłaby się w tym wszystkim rozeznać. Na szczęście przyszedł jej z pomocą Clay.

Dyskretnie zaoferował pomoc jako swego rodzaju doradca.

- Proponuję, abyśmy zrobili teraz głosowanie wstępne. Pomoże nam ono zorientować się, na czym stoimy - oświadczyła Adelaide, gdy tylko Clay skończył jej szeptać do ucha tę kwestię. - Czy ktoś jest przeciwny, abyśmy ustalili to przez podniesienie rąk?

- Osobiście nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy nadal ukrywać przed sobą nawzajem swoje opinie - zaltwała pani Smythe-Daniels.

Clay znowu podpowiedział coś szeptem pani przewodniczącej.

- Chodzi wyłącznie o to, abyśmy zasygnalizowali, w którą stronę się skłaniamy. Na wydanie ostatecznej opinii mamy jeszcze czas - powtórzyła Adelaide. - Możecie się więc zrelaksować. Niech każdy spokojnie da znak, do jakiego werdyktu skłonny jest się przychylić.

Jednak Libby nie potrafiła się w tym momencie zrelaksować. Czowała, jak mocno bije jej serce. Na dworze znowu zaczął padać śnieg, niebo było ciemne, a światło jarzeniówek wydawało się coraz bardziej migotliwe.

Dziwne, że nie ma tu już Alexa, pomyślała, nie wiadomo dlaczego.

- Kto skłania się ku temu, że oskarżony jest winny? Libby, Clay, Dayton, Stephen i Melissa podnieśli do góry ręce.

- Kto skłania się ku temu, że nie jest on winny?

Pani Smythe-Daniels, Ronnie, Debrilla, Basia i Elena. Pięć osób, policzyła w myślach Libby.

## 478

- Kto jest niezdecydowany?

Tym razem tylko Will podniósł rękę.

Libby zmarszczyła brwi i zwróciła się do Adelaide:

- No dobrze, a ty?

- Ach, ja? - przypomniała sobie pani przewodnicząca. - Nie mam zielonego pojęcia.

- Wygląda na to, że nasze opinie są dokładnie podzielone

- stwierdził Clay, przechylając się na bok i zapisując coś w notatniku Adelaide. - Pięć osób skłania się ku temu, że oskarżony jest winny. Pięć, że niewinny. Dwoje jest niezdecydowanych. - Oderwał wzrok od kartki i popatrzył na zebranych. - No dobrze. Może zacznijmy po kolei, tak jak siedzimy. Niech każdy podzieli się swoją opinią, podając jednocześnie najistotniejsze argumenty na jej uzasadnienie.

- No dobrze. Może zacznijmy po kolei, tak jak siedzimy

- zaczęła recytować Adelaide. Pamięć miała zaiste fenomenalną.

- Niech każdy podzieli się...

- Daj spokój, Adelaide! - powiedział Clay. - Zrozumieli za pierwszym razem.

Will podniósł do góry dłoń, sygnalizując, że chce coś powiedzieć. Libby przychyliła się w jego stronę.

- ' Wjll sugeruje, aby każdy sporządził listę - przetłumaczyła na wstępie. Nie bardzo jednak mógł mówić, sięgnął więc po kartkę papieru i zaczął coś pisać, a ona odczekała chwilę, aż skończy. Wreszcie uniosła głowę. - Chodzi o to - zwróciła się do Adelaide - abyśmy przedyskutowali listę dowodów punkt po punkcie, abyś z kolei mogła je potem wpisać na główną listę w rubryce „winny” albo „niewinny”.

- Co takiego? - spytała pani przewodnicząca. Małe kolczyki w kształcie dinozaurów rodziny Flintstonów zwieszały się smętnie z jej uszu.

- Dobrze. Ja to zrobię - zaoferował pomoc Clay, wyjmując Adelaide z ręki podkładkę z przypiętą do niej czystą kartką. - Czy komuś potrzebny jest papier?

Rozległo się głośne stukanie do drzwi, w zamku zazgrzytał klucz, a z korytarza dobiegł tubalny głos Chucka:

479

- Przysięgli! Przerwijcie obrady! - Uchylił drzwi i zajrzał do środka. - Czas na lunch.

Posiłek zajął im około piętnastu minut. Następnie uprzątnęli stół i przystąpili do sporządzania list. Trwało to jeszcze kwadrans, po czym Clay zapytał, czy są już gotowi. Wszyscy odpowiedzieli, że tak:

- Proszę bardzo. Kto zgłasza się pierwszy?

- Ja - odezwał się spod okna Dayton. - Facet jest winny. Na bank.

Cisza.

- No tak... ale dlaczego? - spytał Clay.

- Przywiózł kolesia, który zastrzelił tę modelkę, a więc jest winny. I tyle. Nad czym tu się zastanawiać?

- Dobrze... Zapiszmy to... - Clay mówił powoli i wyraźnie.

- „Zidentyfikowany jako kierowca, który przywiózł zabójcę”

Kilka osób miało to już na swych listach. Zeznania naocznego świadka - kobiety, która rozpoznała oskarżonego i opowiedziała o roli, jaką pełnił w czasie „egzekucji ulicznej” pod klubem - zdawały się być głównym dowodem mającym świadczyć o jego winie.

- Dobra, dobra - zaproponował Ronnie. - Ten sam świadek... to znaczy ta kobieta, nie potrafiła potem w komisariacie rozpoznać Laytona. Wskazała mylnie na jakiegoś gliniarza.

- To nie zostało włączone do materiału dowodowego i nie wolno nam się na tym opierać - zaproponowała Melissa. - Ważne jest, że rozpoznała Laytona na zdjęciach i zeznała, że przywiózł swoim wozem zabójcę, wskazał ofiarę, a kiedy bandyta ją zastrzelił, wywiózł go w jakieś bezpieczne miejsce.

-- No tak, ale inny naoczny świadek stwierdził wyraźnie, że nie sposób było dostrzec, kto prowadził wóz - zauważyła Basia.

- Przecież nawet ofiara zdążyła zauważyć, że to Layton - sprzeciwiła się Melissa.

- Nie Lyton, tylko samochód Laytona. To istotna różnica

- zauważyła pani Smythe-Daniels.

Wszyscy naraz zaangażowali się w ten spór. Adelaide uderzyła dłonią w stół i zwróciła się do Claya.

- Powiedz coś - poleciła mu.

- Co? Mam przeczytać swoją listę?

- Tak.

- Dobrze. A więc, jakie okoliczności świadczą, moim zdaniem, o winie Laytona. Po pierwsze, z zeznań świadków wynika jasno, że istniał motyw... to znaczy, psychologiczny powód, dla którego mógł dopuścić się zarzucanego mu czynu. Po drugie, realizacja tego planu leżała w zakresie jego możliwości. Miał samochód, pieniądze, odpowiednie koneksje. Po trzecie zaś, twierdzenie obrony, że stan odurzenia narkotycznego czynił go fizycznie niezdolnym do zorganizowania zamachu, jest nieprawdziwe. Jeśli przedtem zaaplikował sobie odpowiednią dawkę koki, to nie tylko mógł myśleć poprawnie, ale również prowadzić samochód.

- Nie, nie... To jakaś bzdura - obruszyła się pani Smythe-Daniels.

- Niestety. Na tym się akurat znam.

- No pewnie! Ty znasz się na wszystkim - sarknął Ronnie.

- Byłem swego czasu narkomanem. I to głęboko uzależnionym. Brałem heroinę, kokainę... - powiedział cicho Clay.

- Od tego czasu minęło piętnaście lat, ale wierzcie mi, nadal wszystko pamiętam. I wiem z własnego doświadczenia, że przyjęcie odpowiedniej dawki stawia narkomana na nogi, a nie czyni go niezdolnym do działania i logicznego myślenia.

- A alkohol? - spytała Melissa.

- Z alkoholem jest rzeczywiście inaczej - przyznał Clay. - Ale o ile pamiętam, Layton przyznał jedynie, że po powrocie do domu, a więc kiedy było już po wszystkim, wypił jednego czy dwa drinki.

- Ale przecież brał również środki uspokajające - wtrąciła pani Smythe-Daniels.

- Tak, ale dopiero w mieszkaniu. Po to, by móc usnąć - stwierdziła Melissa. - Przedtem o nich nie wspominał. Być może

## **481**

nie miał ich nawet przy sobie. I jeśli rzeczywiście tak było... jeśli rzeczywiście brał przedtem wyłącznie kokę, to... Przerwali jej. Znowu zaczęli mówić wszyscy naraz; argumenty Claya wyraźnie ich nie przekonały. Ktoś stwierdził, że są zupełnie bezsensowne.

- Chwileczkę! Jeszcze nie skończyłem! - krzyknął Clay. Zapadła cisza.

- A oto dalsze dowody: po czwarte, Layton zeznał, że zgłosił kradzież samochodu, dzwoniąc ze swego mieszkania. Skłamał. Przedsiębiorstwo telefoniczne nie odnotowało takiego połączenia.

- Tak, ale... - zaczął Ronnie.

- Zaraz! Nie przerywaj mu - uciszyła go Basia.

- Po piąte, wiemy na pewno, że morderca przyjechał pod klub jego samochodem. Przywieziony jako pasażer. - Odezwały się jakieś pomruki. Co do tego nikt chyba nie miał wątpliwości. - Wiemy również, że Layton utrzymywał kontakty z handlarzami narkotyków z Jersey City. Dalej, wiemy na pewno, że załoga radiowozu widziała jego samochód jadący w tamtym kierunku, wkrótce po awanturze w nocnym klubie. Mamy też zeznania naocznego świadka, który widział oskarżonego w centrum Jersey City. Około pierwszej dziesiątej, a więc prawie godzinę przed tym, kiedy zamordowana została Sissy Cook. Co więcej, świadek ten stwierdził, że oskarżony wsiadł do samochodu w towarzystwie mężczyzny, którego rysopis pokrywa się z rysopisem zabójcy. .

- Tak. Tylko zapomniałeś dodać, że tego świadka gliniarze mogą mieć na swojej liście płac - wtrącił Ronnie.

- Daj mu skończyć! - ofuknęła go Libby.

- Pozostają jeszcze zeznania oskarżonego. Osobiście uważam, że podaną przez niego wersję można całkowicie zdyskredytować. Gdyż rzeczywiście jeśli cokolwiek w tej sprawie udowodniono, to właśnie to, że jest on patologicznym kłamcą. I zawsze nim był.

- Co to znaczy „patologiczny kłamca”? - spytała Adelaide.

- Ktoś, dla kogo kłamstwo stało się czymś tak naturalnym, że

kłamie odruchowo, nie zdając sobie nawet z tego sprawy - wyjaśniła Melissa.

Znowu wszyscy zaczęli się spierać. Adelaide zdołała ich w końcu uciszyć i pani Smythe-Daniels mogła teraz odczytać swoją listę.

- A więc, po pierwsze: zeznania naocznego świadka, to znaczy dziewczyny, która obserwowała moment zabójstwa, są wysoce niewiarygodne. Miała ona jakieś przejścia z narkotykami, nadal piła alkohol, przede wszystkim zaś źle widziała. - To ostatnie zdanie wywołało kilkunastominutową dyskusję na temat szkielek kontaktowych. Wyczerpali wreszcie ten temat, nie dochodząc zresztą do żadnych ustaleń, i pani Smythe-Daniels mogła wreszcie dokończyć. - Jesteśmy tu po to, by orzec zgodnie z własnym sumieniem, że mamy lub nie mamy uzasadnione wątpliwości co do tego, czy oskarżony popełnił zarzucany mu czyn. Otóż ja takie wątpliwości mam. Przedstawione przez oskarżenie dowody nie są dowodami, a najwyżej poszlakami.

- A dwoje naocznych świadków? - zaoponowała Libby. - Przecież Laytona widziano najpierw w Jersey City, a potem podczas strzelaniny. To też nie są dowody, tylko poszlaki?

-\*Znowu więc wszyscy zaczęli się spierać o to, na ile ci świadkowie są wiarygodni.

- Uspokójcie się na chwilę - interweniował Clay - Niech Libby przeczyta do końca swoje uwagi.

- Podobnie jak Clay, ja również doskonale rozumiem motywy, jakimi kierował się Layton. Gdy wejrzy się w jego psychikę, widać wyraźnie, że miał on wystarczające powody, by zgładzić Sissy Cook. Od małego miał zaburzone poczucie własnej wartości i nieustannie musiał się sprawdzać jako mężczyzna. Zdolny był do każdej niegodziwości, byle tylko zdobyć narkotyki. Kłamał, kradł, a gdy był naćpany, nie miał już żadnych hamulców. Mógł zrobić dowolną rzecz. I dlatego jest dla mnie absolutnie zrozumiałe, że gdy został publicznie upokorzony, mógł pod wpływem nagłego impulsu wsiąść do samochodu, wynająć jakiegoś kolesia z gangu narkotykowego i zlecić mu zamordowa-

nie Sissy Cook. W tych środowiskach życie ludzkie nie jest zbyt wiele warte.

- Ale to nie było pod wpływem nagłego impulsu - zaproponowała Elena - tylko w dwie godziny później.

- A jak inaczej mogło to wyglądać? Czy naprawdę myślicie, że ktoś wziął samochód oskarżonego, wynajął kogoś z jego znajomych, przywiózł go pod ten klub, wskazał kobietę, z którą oskarżony przed chwilą się pokłócił, i potem odjechał z zabójcą z miejsca zbrodni? - zwróciła się do swych oponentów Libby.

- Owszem. Mógł to zrobić ktoś, komu również zależało na tym, by zgładzić Sissy Cook - stwierdził Ronnie.

- Ktoś, kto jakimś cudem tam się nagle znalazł? I wiedział, gdzie Layton zostawił swój samochód? - spytała drwiącym tonem Libby. - I znał tych samych ludzi w Jersey City? A na dodatek był nadzwyczaj podobny do oskarżonego?

- Nie mamy obowiązku ustalić, kto popełnił tę zbrodnię - przypomniała pani Smythe-Daniels. - Wystarczy, jeśli stwierdzimy, że mamy uzasadnione wątpliwości, czy był to Layton.

- Niezupełnie, droga pani - odezwał się po raz pierwszy Stephen. - Jesteśmy tu po to, aby uzgodnić między sobą werdykt. I ma on być jednomyślny. To jest istotna różnica.

- Dajcie spokój, ludzie - próbował interweniować Clay. - Wróćmy do listy Libby.

Na wiele się to nie zdało, gdyż nadal wymieniali jakieś uwagi, w związku z czym Libby zaczęła mówić bardzo głośno i w końcu udało jej się przekrzyczeć salę.

- Podobnie jak Clay, odnotowałam na swej liście, że dysponujemy zeznaniami naocznych świadków, które wyraźnie wskazują na udział oskarżonego w...

- Ale oskarżony mówi, że... - przerwał jej Ronnie.

- Myślę, że wszystko, co mówił oskarżony, możemy spokojnie pominąć - odparła Libby.

- A dlaczego niby mamy wierzyć bez reszty zeznaniom naocznych świadków? - spierał się z nią Ronnie.

- A właśnie - podchwyciła Libby. - Odnotowałam następnie, że zeznania obojga świadków zajścia dokładnie się pokry-



wają w jednym punkcie. Zarówno modelka, jak i bramkarz twierdzą zgodnie, że zabójca poprosił kierowcę samochodu, by ten wskazał mu Sissy Cook.

- No i co z tego? - obruszył się Ronnie. - To ma być jakiś dowód?

- Owszem. Jest to dowód na to, że już wcześniej musieli ustalić, kto ma za chwilę zginąć. A więc z pewnością nie byli to pomyłenci, który wybrali się na rajd po mieście, by postrzelać sobie do przypadkowo spotkanych kobiet. A i takie przypadki się zdarzały.

- No dobrze... Ale co z tego! - upierał się Ronnie. - Przecież wiemy wszyscy, że wielu ludziom mogło zależeć na tym, by ujrzyć Sissy Cook martwą.

- Nie. Tego akurat nie wiemy - odezwała się po raz pierwszy Debrilla. - To były tylko sugestie obrony. Nikt nie usiłował jej zabić, nikt jej nie groził.

- Naprzykrzali jej się różni tacy; ale...-zaczęła Basia

- Ale nikt nie chciał jej zabić - dokończyła za nią Melissa. -Z wyjątkiem oskarżonego.

- Mam odnotowany jeszcze jeden punkt - oświadczyła na koniec Libby. - Layton skłamał, że dzwonił ze swojego mieszkania na policję.

- I co z tego? - odparował Ronnie. - Musiał zaraz wszystko pamiętać? Przecież był na takim odjeździe, że...

- Daj spokój! - krzyknęła Libby.

- No właśnie! I to każe nam wrócić do tego, o czym mówił Clay - wtrąciła się Melissa. - Jeśli przed całą tą historią Layton brał wyłącznie kokainę to możemy być pewni, że w niczym nie zakłóciło to jego sprawności umysłowej i motorycznej. Mógł nawet działać bardziej efektywnie niż zwykle. A obrona próbowała nam wmówić coś przeciwnego.

- Dlaczego zaraz wmówić? - uniósł się Ronnie. - A czemu, do cholery, mamy wierzyć tobie? Znasz się na tym?

- Tak się składa, że ja również przeszłam leczenie odwykowe. Co prawda od alkoholu, ale wtedy, gdy piłam, brałam także kokainę i prochy. Po to, żeby móc zasnąć albo pobudzić się do

485

jakiejś aktywności. Myślę, że oboje z Clayem nieźle się na tym znamy.

- Ronnie! Skoro masz tyle do powiedzenia, to może przeczytałbyś nam swoją listę? - zaproponował Clay.

- Dobra. A więc zacznijmy od tego, że inspektor prowadzący sprawę został nagle odwołany, a na jego miejsce prokurator wsadził jakiegoś swojego znajomka.

- No i co z tego? - spytała Melissa.

- Nie wiemy, dlaczego tak się stało. To nasuwa poważne wątpliwości. A poza tym były podobno jakieś raporty policyjne, które potem...

- Mów o dowodach, a nie o spekulacjach obrony! - krzyknęła Libby. - Geiggen nafaszerował ci głowę jakimiś historiami i ty je teraz powtarzasz. Nie pamiętasz, że sąd nie włączył tego do materiału dowodowego i pouczył nas, byśmy o tym zapomnieli?

- I to właśnie może budzić nasze wątpliwości - bronił się Ronnie. - Skoro z jakichś niezrozumiałych względów pewne rzeczy przed nami zatajono, to jest to wystarczający powód, by mieć uzasadnione wątpliwości, czy faceta w to wszystko nie wrabiają.

- Dobrze! Czytaj dalej swoją listę, Ronnie - powiedział Clay.

- A więc... punkt drugi: świadkowie zeznali, że oskarżony był tak naćpany, że absolutnie nie mógł prowadzić samochodu, a tym bardziej zaplanować i przeprowadzić takiej skomplikowanej akcji.

- Owszem. Ale to były zeznania opłaconego eksperta - zauważyła Melissa. - No i tego podejrzanego portierka, który najpierw na zlecenie tatusia szpiegował Laytona, a potem pewnie też dostał w łapę za swój występ w sadzie.

- Masz rację, Ronnie. To jest istotny punkt i natychmiast go tu odnotujemy - stwierdził Clay. - Choć wierz mi, bracie, że Melissa i ja też jesteśmy ekspertami. Ze sporym praktycznym doświadczeniem.

Libby roześmiała się.

- Po trzecie - ciągnął dalej Ronnie - facet nigdy nie był agresywny.
  - Akurat! A kto wyrwał ze ściany telefon, żeby żona nie mogła zadzwonić po pomoc? - spytała Libby.
  - Chwileczkę! To nie zostało włączone do materiału dowodowego - zauważyła Melissa.
  - Och, rzeczywiście! - zreflektowała się Libby.
  - Nieprawda. Były dowody na to, że wielokrotnie groził ludziom użyciem przemocy - stwierdziła Basia. •
  - Aż w końcu do reszty popieprzyło mu się we łbie i wyciął ten numer - rzekł Stephen.
  - Niekoniecznie - zaproponowała Basia. - Równie dobrze można przypuszczać, że skoro miał w zwyczaju grozić rozmaitym ludziom i w efekcie nic im złego nie robić, to również i groźby pod adresem Sissy Cook mogły być częścią gadaniną.
  - Głowa mnie boli - oświadczyła Adelaide, przyciskając dłonie do skroni.
  - Dobrze. Kto następny? - spytał Clay.
- Will podsunął Libby sporządzoną przez siebie listę. Kartka była starannie podzielona pionową kreską na dwie rubryki. Libby odczytała pierwszy punkt figurujący pod nagłówkiem „Winny”:
- "Nie przedstawił przekonywającego alibi."
  - Daj spokój, człowieku! - zachnął się Ronnie. - Jesteśmy chyba w Ameryce. Facet mógł równie dobrze ani słowem się nie odezwać.
  - "Istnieją dowody na to, że miał odpowiedni motyw, środki i możliwości" - czytała dalej Libby. - „Sugestie obrony, jakoby oskarżenie kierowało się względami rasowymi, odbieram jako rozpaczliwy ruch. Gdyby dysponowała mocniejszymi dowodami jego niewinności, to po co zawracałaby sobie tym głowę?"
  - Jak to, po co? - sprzeciwił się Ronnie. - Po to, żeby ujawnić powody, dla których prokuratura i policja uknuły spisek, aby zrobić Laytona.
  - Spisek? - zdumiała się Basia. - Czy ty naprawdę uważasz,

że policja i prokuratura są takie skore, by knuć spiski przeciwko synowi Jamesa Bennetta Laytona seniora?

- Dziękuję ci, Basiu. Świetnie to ujęłaś - stwierdziła Libby.

- Zobaczmy teraz, co Will napisał w rubryce „Niewinny”:

No właśnie. „Do kogo należą nie zidentyfikowane odciski palców zdjęte z kierownicy jaguara? Policja stwierdziła, że były one świeże.”

- To jest istotny punkt - przyznał Clay, odnotowując uwagę Willa na swojej liście. - Choć mogły to być równie dobrze odciski palców wynajętego zabójcy. Pamiętajcie, że prokurator mówił o tym w swym wystąpieniu końcowym.

- Może zostawił je ten pijaczek, który oglądał samochód?

- zasugerowała Debrilla.

- Chyba nie. Gdyby tak było, to Geiggen z pewnością by nam o tym powiedział - zauważyła Adelaide.

Wszyscy zamilkli i spojrzeli na nią, zdumieni tym nagłym przeblyskiem inteligencji. Niestety, zamiast trzymać język za zębami, natychmiast zespuła cały efekt uwagą:

- A ja napisałam na swej liście, że oskarżony nie wygląda mi na mordercę. I tyle.

Tym razem wszyscy jęknęli jak na komendę. Musiało to zdenerwować Adelaide, która natychmiast spojrzała z wyrzutem na panią Smythe-Daniels i wypaliła:

- Gdyby pani była bardziej szczerą, to napisałaby to samo. Dlaczego wstydzi się pani przyznać, że Layton jest podobny do pani synów? I że właśnie dlatego pani uważa, że nie mógł on popełnić tej zbrodni?

- No wiesz, moja droga! - obruszyła się pani Smythe-Daniels, zaciskając dłoń na naszyjniku z pereł.

- Mnie się widaje, że coś w tym jest - zauważyła Elena. - Czi jest na świecie matka, która potrafiłaby skazać kogoś, kto jest podobni do jej dziecka?

- Owszem. Ja jestem taką matką - oświadczyła Basia. -I muszę przyznać, że ta dyskusja skłoniła mnie do tego, by zmienić zdanie. Teraz myślę, że raczej jest on winny.

Zareagowali na to gwałtownie i znowu zaczęli się spierać.

## **488**

Przytaczali nieważne i ważne argumenty, to tracąc czas na roztrząsanie różnych nieistotnych szczegółów, to znów wracając do meritum sprawy. Ronnie posłużył się w pewnym momencie przedziwną argumentacją, stwierdzając, że gdyby Layton rzeczywiście był winny, to sąd nie zgodziłby się na uchylenie aresztu.

Wtedy nastąpił już kompletny chaos: wszyscy zaczęli mówić naraz, próbując się przekrzyczeć, i choć niewiele dało się z tego zrozumieć, można było odnieść wrażenie, że Ronnie nikogo w ten sposób nie przekonał. Przecież nie zdarzyło się dotąd, by ktoś, kto ma dostatecznie dużo pieniędzy, nie został wypuszczony po uiszczeniu kaucji i nie odpowiadał z wolnej stopy!

Libby była naprawdę złą myśli. Niełatwo przyjdzie wydać wspólny werdykt. Każdy tak uparcie bronił swego zdania, ludzie mieli tyle uprzedzeń, potrafili być tak nielogiczni...

Martwiła się również o Willa, który przestawił sobie krzesło bliżej okna i co pewien czas przytulał czoło do ściany i zamykał oczy.

Znowu zaczęli się przekrzykiwać. Tym razem sprowokował ich do tego Clay, który wypalił prosto z mostu, że Ronnie za nic nie chce uwierzyć w fakt, że bogaty biały facet, mieszkający w ekskluzywnej dzielnicy na Long Island, mógł zrobić coś podobnego. To jedyny powód, dla którego broni Laytona.

- Przykro mi, Clay - zauważyła pani Smythe-Daniels - ale uważam, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Robisz to samo co Geiggen. Najpierw on użył argumentów rasowych, a teraz ty odbijasz mu piłeczkę. Do mnie to nie trafia.

Zdumiewające, że Clay natychmiast potrafił się wycofać. Przeprosił panią Daniels i przyznał jej rację.

Znowu podniósł się gwar, a gdy Clay próbował przekonać dyskutantów, by zechcieli zabierać głos po kolei, Adelaide wyrwała się jak filip z konopii, stwierdzając, że po wysłuchaniu argumentów pani Smythe-Daniels definitywnie jest przekonana o tym, iż Laytona nie można uznać winnym.

- A to dlaczego?-zdumiała się Libby.

489

- Prawdopodobna wątpliwość - powiedziała z godnością Adelaide.
- Cóż to ma, do diabła, znaczyć? - zdenerwował się Stephen.
- Może chciałaś powiedzieć, że jest to problematyczna sprawa? - próbował się domyślić Clay.
- Albo że zachodzi uzasadniona wątpliwość co do... - zaczęła Melissa, ale Adelaide przerwała jej w pół słowa:
- Nie. Chodzi mi o prawdopodobną wątpliwość - upierała się przy swoim.

Ronnie jęknął i przycisnął czoło do blatu stołu.

- W takim towarzystwie daleko nie...
  - A czy nie można wykluczyć, że maczał w tym palce ojciec Laytona? - spytała ni z tego, ni z owego Elena. - Co mi właściwie o nim wiemy? Może jest w mafii? Może sam to wszystko wykonał?
- Spojrzeli na nią zdumieni. ...

- Co ci, do licha, strzeliło do głowy?-obruszyła się Melissa.
  - Jak to co? - zauważył Dayton. - Przecież każdy wie, że James Layton Bennett to sławny mafioso.
- Wybuchnęli śmiechem i znowu zaczęli wszyscy naraz coś mówić. Libby coraz bardziej męczyła ta dyskusja. Nalała sobie trochę wody, wypła ją, a drugi kubeczek zaniósła Willowi. Podziękował, próbując się do niej uśmiechnąć.
- A czy nie miślicie - odezwała się ponownie Elena - że gdłibi on faktycznie zabił tę modelkę, to bi dogadał się z prokuratorem, żebi wsadzili go do domu wariatów. Nie musiałbi wtedy gnić w jakimś cuchnącim kryminale.
  - Przecież on nie gnije w żadnym kryminale! - zawołał Clay.
  - Siedzi sobie we własnym domu i kombinuje, czyje by tu jeszcze zeznania kupić za pieniądze tatusia - dodał Dayton.
  - Coś w tym jest, co powiedziała Elena - zastanowiła się Melissa. - Rzeczywiście mógłby się przecież przyznać, licząc na to, że zostanie uznany za niepoczytalnego z powodu uzależnienia od...
  - A po co miałby się przyznawać, skoro istnieje szansa, że się z tego całkiem wykręci? - przerwała jej Libby.
- Właściwie nie

była do końca przekonana o winie Laytona. Wiedziała natomiast, że obronie udało się kompletnie zamieszać w głowie przysięgłym w rodzaju Ronnie'ego czy Eleny. I to ją strasznie denerwowało. Niesamowicie, jak łatwo można ludziom zamydlić oczy.

Z kolei Debrilla oświadczyła, że oskarżony nie jest winien, gdyż jej zdaniem chciał jedynie nastraszyć ofiarę, a ten jego kolega nie wiadomo dlaczego ją potem zabił.

- To są twoje spekulacje - stwierdził Clay. - Nie ma żadnych dowodów na to, że tak właśnie było.

- Cud, że cała ta sprawa trafiła w ogóle do sądu - zauważyła Basia. - Prawie każdy miał tam coś wspólnego z narkotykami...

- Niezupełnie tak było - zaproponowała Libby. - Tylko Layton twierdził, że Sissy Cook brała kokainę. Wszyscy, którzy ją znali, całkowicie temu zaprzeczali.

- Nie chcieli widocznie mówić o niej nic złego - odparła pani Smythe-Daniels. - Lubili ją po prostu.

- Do tego stopnia, by zeznać nieprawdę, nie licząc się z tym, że może to zaprowadzić na szubienicę niewinnego człowieka? - spytała Libby.

W pokoju zapadła cisza.

- Na jaką szubienicę? - odezwał się wreszcie Stephen. - Jeśli jest winny, to pójdzie po prostu siedzieć.

- Czy to znaczy, że możemy go spokojnie posłać do więzienia? - spytała pani Smythe-Daniels. - A jeśli jest niewinny?

- To złożę apelację, odbędzie się następna rozprawa, a potem znowu następna. Aż w końcu go wypuszczą - oświadczyła Melissa. - Tego akurat jestem pewna. Stawiam na to każde pieniądze.

- A od wyroku uniewinniającego prokuratura nie będzie się już mogła odwołać - dodała Libby. - Tak stanowi nasze prawo.

- No właśnie. I dlatego prokuraturze i policji tak bardzo zależy na tym, żeby obarczyć kogoś winą za to morderstwo. Tym bardziej, że tego, kto strzelał, nie udało im się ująć - powiedział Ronnie.

- Ja też jestem tego zdania - poparła go pani Smythe-Daniels. - Oni naprawdę wyglądali na zdesperowanych.

Zwłaszcza

ta mała, która siedziała za stołem oskarżenia. Widać było, że się po prostu zawzięła, żeby wsadzić Laytona za kratki.

- Kathryn Schnagel? - Głos Libby przeszedł niemal w pisk.

- A ja się mogę założyć, że ten Layton jest naprawdę podobny do jej syna - powiedziała Adelaide, wskazując palcem na panią Smythe-Daniels. Zwróciła się niby do Eleny, na tyle jednak głośno, by wszyscy to usłyszeli.

- Uważaj, bo ona może mieć ich zdjęcia i pokaże ci, jak bardzo się milisz - zauważyła przytomnie jej przyjaciółka.

Pani Smythe-Daniels zamiast zdjęć pokazała im w tym momencie język.

- Powiedziano nam, że orzekając w tej sprawie, wolno nam korzystać z własnych życiowych doświadczeń - przypomniała im Adelaide. - No i co? Czy ktoś ma jakieś związane z tym doświadczenia?

- Z czym? Z morderstwem?^ spytała ją Libby.

- Ty strzelałaś do jakiegoś człowieka w Brazylii - zwróciła się do Eleny pani Smythe-Daniels.

Clay od pewnego już czasu stukał ołówkiem w stół.

- Ludzie, usatkujcie się! Do niczego w ten sposób nie dojdziemy. Zabierajcie głos po kolei, bo inaczej nie sposób z tego cokolwiek zrozumieć. Wywołaj jakąś następną osobę - zwrócił się do Adelaide.

Pani przewodnicząca powiodła wzrokiem wokół stołu. Stephen, Melissa i Ronnie podnieśli ręce, chcąc zabrać głos, ale Adelaide wskazała nie wiadomo dlaczego na swą przyjaciółkę.

- Niech Elena coś teraz powie.

- Czi ja podnosiłam rękę? - spytała z wyrzutem. - Ale skoro mnie wiwołałaś, to powiem, że on chyba jednak tego nie zrobił. Taki facet nie miał powodu, żeby szaleć za jakąś modelką. Mógł sobie znaleźć lepszą dziewczynę.

- Ale tu w grę wchodziła jakaś obsesja - zaoponowała Libby. - Poza tym był ćpunem. Mógł pewnie prowadzić samochód, ale to nie znaczy, że był zdolny do racjonalnego myślenia.

- Cicho! Nie przerywaj! - ofuknęła ją Adelaide.



- Nad czym tu się zastanawiać"? - zdenerwował się Stephen. - Oskarżony wynajął jakiegoś rzezimieszka, przywiózł go na miejsce, wskazał, kogo ma zabić, i potem wywiózł go z miejsca popełnienia zbrodni. Facet jest winny i tyle.

- Cicho sza! - próbowała go spacyfikować Adelaide. Przyłożyła palec do ust i przycisnęła go tak mocno, że aż zbieleły jej wargi.

- A ja bym chciała z kolei wiedzieć - zaczęła mówić Melissa, widząc, że Adelaide nie zamierza udzielić jej głosu - co by się stało, gdybyśmy doszli do przekonania, że oskarżony jest winny, ale nie zgodzilibyśmy się z kwalifikacją prawną zawartą w akcie oskarżenia.

W pokoju zaległa cisza.

- Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi - odezwał się po chwili Clay.

- No... na przykład doszlibyśmy do przekonania, że nie ma wystarczających dowodów na to, by skazać go za zabójstwo drugiego stopnia. Uznalibyśmy jednak, że z całą pewnością zna on zabójcę i nie chce go ujawnić. A więc można skazać go za działanie na szkodę wymiaru sprawiedliwości. Co by się wówczas stało?

- Wówczas uniewinniono by go od zarzutu sformułowanego w akcie oskarżenia - odparł Clay.

- I po prostu by go wypuszczono?

- Jesteśmy bezwzględnie związani kwalifikacją prawną zawartą w akcie oskarżenia - stwierdziła kategorycznym tonem pani Smythe-Daniels. - Mamy orzekać o winie w sprawie o zabójstwo drugiego stopnia.

- Uważam, że skoro prokuratura i policja przez dziewiętnaście miesięcy przygotowywała sprawę przeciwko Laytonowi, to ludzie, którzy się w to angażowali, musieli być pewni, że jest on winny - oświadczyła Libby. - Wiedzieli dobrze, jakie kłody będzie im rzucała pod nogi obrona i dlatego poświęcili na to tyle czasu. Nie chcieli, żeby taki czyn uszedł komukolwiek na sucho, nawet jeśli ten ktoś jest synem jednego z najbardziej prominentnych obywateli tego miasta.

## **493**

- Libby! Widzę, że strasznie ci zależy na tym, żeby go skazano - powiedziała pani Smythe-Daniels.

- No jasne! - przytaknął Ronnie. - Przepraszam, że o tym mówię, ale czy ta historia z Alexem nie mogła mieć na to jakiegoś wpływu?

Te słowa dotknęły ją do żywego. Zamilkła i nikt nie kwapił się, by przerwać milczenie. Libby siedziała nieruchomo ze wzrokiem utkwionym we własne, splecione na stole dłonie. Dopiero po chwili podniosła głowę i powiedziała:

- Ten człowiek zaaranżował zabójstwo i pomógł w jego dokonaniu. Uważam, że przedstawiono nam wystarczające dowody, by uznać go winnym. Przysięgam Bogu, że mój sąd opieram wyłącznie na tym, czego dowiedziałam się na sali sądowej.

- I nie masz co do tego ani cienia wątpliwości? - spytała Basia. Wyglądało na to, że bardzo zależy jej na tym, żeby uzyskać konkretną odpowiedź.

- Kto powiedział, że nie wolno nam mieć „ani cienia wątpliwości”? - odparła Libby. - Nigdy niczego nie wiemy do końca. Nasze zadanie ma polegać jedynie na tym, aby przyjrzeć się dowodom i zdecydować, czy oskarżeniu udało się wykazać ponad wszelką uzasadnioną wątpliwość, iż zarzuty postawione podejrzanemu są prawdziwe. -

Odchrząknęła i przełknęła ślinę. - A więc nie chodzi tu o żaden „cień wątpliwości”, tylko o wątpliwości uzasadnione.

- Wątpliwości uzasadnione - powtórzyła jak echo Adelaide. Nachyliła się do ucha Eleny i szepnęła: - A to co znowu takiego?

Spierali się dalej, bez chwili przerwy, aż do godziny ósmej. Libby czuła się coraz bardziej wyczerpana. Wyglądało na to, że zwolennikom uniewinnienia Uda się w końcu przekonać pozostałych. Może mają rację, pomyślała. Ta sprawa z Alexem rzeczywiście mogła mieć wpływ na to, że z takim uporem optuję za tym, by uznać Laytona winnym.

Po ósmej rozległo się pukanie i zgrzyt klucza. Chuck zajrzał do środka i oznajmił zmęczonym głosem:

- Przysięgli! Przerwijcie obrady!

Okazało się, że przyszedł po to, by zaprowadzić ich na salę.

Ku zdumieniu Libby w sądzie było tłoczno jak zwykle. Wszyscy siedzieli na swoich miejscach. Pani sędzia Williams obwieściła, że obrady zostają zawieszane do dnia następnego, po czym poinstruowała przysięgłych, że nie wolno im dyskutować o sprawie aż do rana, kiedy to zostaną z powrotem przywiezieni do gmachu sądu. Zabrania się im również rozmawiać z jakimikolwiek osobami postronnymi, z wyjątkiem strażników sądowych, którzy zawiozą ich najpierw na kolację, a potem do hotelu.

Wyszli z sali i Libby poczuła się tak, jakby była mieszkanką innej planety. Kompletna pustka w głowie, emocjonalne otepienie. Właściwie chciało się jej jedynie pić. Nie tylko jej. Wszyscy byli odwodnieni. Wyobrażała sobie, jak okropnie musi się czuć Will. Przyglądała mu się niepokojem, ale dzięki Bogu trzymał się dzielnie i nie wyglądało na to, aby miał nagle zemdleć.

W pokoju przysięgłych czekała na nich strażniczka. Wręczyła im formularze do wpisaniu numerów telefonów i krótkich komunikatów, które chcieliby ewentualnie przekazać komuś za jej pośrednictwem. Libby wpisała numer portierni i prośbę, aby strażnicy zadzwonili do sąsiadów, którym zostawiła klucze, z prośbą o nakarmienie kotów. Will poprosił natomiast, by strażniczka przekazała jego matce wiadomość, że czuje się dobrze, w nocy wspaniale sobie odpocznie - słowem, że nie trzeba się o niego martwić.

Stali opodal drzwi z torbami i walizkami, czekając, by ktoś zabrał ich w końcu na kolację i do hotelu. Dochodziła dziewiąta, gdy wreszcie zjawili się „konwojenci” - Chuck oraz dwójka innych strażników - mężczyzna i kobieta. Zaprowadzili przysięgłych do mieszczącej się w pobliżu gmachu sądu restauracji o wdzięcznej nazwie „Forlini”. Na jej widok Melissa pozwoliła sobie na komentarz, że jeśli Elenie rzeczywiście zależy na tym, by znaleźć jakieś powiązania z mafią, to nareszcie trafiła we właściwe miejsce.

Weszli wszyscy do niewielkiej salki na zapleczu, gdzie każdy otrzymał napisaną na maszynie kartę z nagłówkiem: „Menu dla sędziów przysięgłych”. Mogli z niej wybrać sałatkę, jakąś przystawkę, deser i napoje chłodzące. Stan Nowy Jork nie fundował

## 495

im alkoholu; każdy z nich mógł natomiast nabyć dodatkowo dwa napoje o wyższej zawartości procentów, ale już za własne pieniądze.

Dziwna to była wieczerza: siedzieli wszyscy razem - dwanaście osób stłoczonych przy długim stole - i przypominało to jakieś spotkanie rodzinne z udziałem krewnych, którzy od dawna się ze sobą nie widzieli lub zgoła niezbyt dobrze się znają. Rozmawiali, śmieli się, opowiadali dowcipy, słowem - robili, co mogli, aby jakoś wypełnić czas.

Strażnicy, z pistoletami w kaburach, siedzieli w pobliżu, przy osobnym stoliku, i także jedli kolację. Okazało się, że cały czas dyskretnie ich pilnują; gdy Libby wstała, by skorzystać z toalety, odprowadziła ją tani strażniczka.

Poczekwała na nią tuż za drzwiami, po czym przyprowadziła z powrotem na salę.

Po kolacji wyprowadzono całą dwunastkę na zewnątrz, gdzie oczekiwał na nich biały autobusik z napisem „Przewóz przysięgłych”. Libby zastanawiała się, czy na co dzień pojazd ten nie służy przypadkiem do przewozu więźniów.

Nie wiadomo, czy tak było, ale powinno go się używać do tego celu, gdyż jazda nim była istną katorgą. Głowy uciekały im do tyłu, jako że niskie oparcia siedzeń nie miały żadnych zagłówek, a autobus, trzęsąc się, kolebiąc i podskakując na nierównościach jezdni, mknął z prędkością stu kilometrów na godzinę w kierunku Mostu Brooklyńskiego.

Znowu zaczął padać śnieg. Will, który siedział obok Libby, na miejscu przy oknie, zapadł natychmiast w głęboki sen. Wyjęła z torby flanelową koszulę nocną i szlafrok, zrobiła z nich coś w rodzaju poduszki i wsunęła ją między jego ramię a szybę, chroniąc go w ten sposób od następnego urazu czaszki, a kiedy był już bezpiecznie opatulony, rozejrzała się dokoła. Zerknęła na siedzącą w tyle autobusu Adelaide. Piórka w jej włosach tańczyły zabawnie, połyskując na tle podświetlonej migotliwymi światłami tylnej szyby. Uśmiechnęła się, gdy zobaczyła, że pani Smyt-he-Daniels siedzi obok Daytona i oboje szepczą coś między sobą.

Autobus nadal trzął się i podskakiwał na wybojach pomię-

dzy Brooklynem i Queens, aż wreszcie, jadąc już po ulicach

o lepszej nawierzchni, dowiózł ich do hotelu „Ramada Inn”, który znajdował się po drugiej stronie trasy szybkiego ruchu, łączącej lotnisko La Guardia z Long Island.

Z ulgą opuścili upiorny pojazd i na chwiejnych nogach, eskortowani przez strażników, wkroczyli do recepcji.

Kazano im poczekać, dopóki ich opiekunowie nie załatwią formalności związanych z rejestracją.

Libby i Stephen pomogli Willowi wyjść z autobusu, zaprowadzili go pod rękę do holu i posadzili na jednym z miękkich siedzeń, które nie miało niestety oparcia. Podczas jazdy po wybojach Willowi wyciekła spod opatrunku strużka jakiejś wydzieliny, która poplamiała nocną koszulę i szlafrok Libby. Przyniosła więc trochę wody, zmoczyła nią chusteczkę higieniczną i delikatnie, starając się nie obudzić Willa, starła mu resztki tego paskudztwa z twarzy.

Śpij, biedaku, pomyślała. Zdjęła mu okulary i przez chwilę zastanawiała się, co ma z nimi zrobić.

- Daj, ja je wezmę - zwrócił się do niej Stephen. - Powiem, żeby dali nam wspólny pokój, i zobaczę, co tam się dzieje pod' tymi bandażami.

- Niedawno zmieniono mu opatrunek.

- Nie martw się. W ostatnich miesiącach nieźle opanowałem rolę pielęgniarza - powiedział Stephen, a Libby, przypomniawszy sobie o chorobie jego kochanka, poczuła ulgę i jednocześnie zrobiło jej się bardzo żal kolegi. Minęło już z pół godziny i pijacy, urzędujący w barze hotelowym, zdążyli się widocznie dowiedzieć, kim są ci dziwni goście, oczekujący w holu recepcyjnym.

- Hej, przysięgli! - rozległ się chórek podpitych głosów. - Powieście skurwysyna! Wszystko jedno, co zrobił!

Powieście go

i już!

Byli zbyt zmęczeni, żeby zareagować na zaczepkę. Nawet pani Smythe-Daniels, która siedziała na miękkim taborecie, wsparta plecami o ścianę, otworzyła tylko na chwilę oczy, po czym natychmiast je zamknęła.

Wreszcie, tuż przed jedenastą, zabrano ich na szóste piętro i poproszono, by dobrali się parami. Dziewczynki osobno, chłopcy osobno, żadnych wyjątków! Stephen zdążył już zaprowadzić Willa i zanieść jego rzeczy do pokoju, w którym mieli razem nocować. Ustawili się więc grzecznie: Melissa z Libby, Adelaide z Eleną, Clay z Daytonem, Basia z Debrillą...

- Zaraz, zaraz - zafrasował się Chuck. - Wyszło na to, że pani Smythe-Daniels ma dzielić pokój z Ronaldem. Roześmieli się mimo zmęczenia. Rozdano im klucze, przy czym pani Smythe-Daniels i Ronnie otrzymali osobne pokoje. Libby zniosła swoje rzeczy, a następnie wróciła na korytarz i zapukała do pokoju, który zajął Will ze Stephenem.

Stephen otworzył jej drzwi. Podeszła do łóżka, na którym siedział Will, i delikatnie pocałowała go na dobranoc. A kiedy chciała już odejść, biedny rekonwalescent schwycił ją za rękę i przyciągnął z powrotem. Kto by pomyślał, że ma tyle siły, zdumiała się, a on tymczasem wstał, zajął jej głęboko w oczy i bez słowa pocałował ją w usta. Ale też delikatnie.

Wracała właśnie do siebie, gdy kilka głów wychyliło się na korytarz i przysięgli zaczęli krzyżeć jeden przez drugiego, że w ich pokojach nie działają telefony i odbiorniki telewizyjne. Chuck odkrzyknął natychmiast, że to chyba nic dziwnego, skoro mają być izolowani.

Libby czuła się tak zmęczona, że było jej już zupełnie wszystko jedno. Zmusiła się jeszcze, by oczyścić na mokro najbardziej widoczne plamy na szlafroku i nocnej koszuli, opłukała sobie twarz, umyła zęby, rozwiesiła mokre rzeczy na oparciach krzeseł, rozebrała się i wsunęła pod kołdrę.

Zmówiła po cichu pacierz, a potem usłyszała jeszcze jak z oddali, że Melissa wróciła z łazienki i położyła się na swoim łóżku, po czym zaczęła opowiadać o Christine. Libby wymamrotała coś w odpowiedzi i wówczas Melissa powiedziała jej dobranoc.

Sny miała niespokojne. Działy się w nich jakieś gwałtowne sceny, przewijały znane z procesu twarze. Około trzeciej w nocy obudziła się poruszona. Ostatnie z jej majaczeń sennych było na

**498**

tyle ciekawe, że powinno ją zainteresować jako autorkę, choć jako przysięgła nie miała powodów do radości. Otóż przyśniło jej się, że gdyby Geiggen był oskarżycielem, MacDonald zaś obrońcą, to wszystko skończyłoby się już wczoraj.

Wyrokiem skazującym.

I to niezależnie od tego, jak wyglądała prawda.

39.

W czwartek, siódmego grudnia, przypadała rocznica ataku na Pearl Harbour. Strażnicy nie pozwolili przysięgłym pospać z tego powodu dłużej; o szóstej piętnaście obudzili ich pukaniem do drzwi. Melissa szybko wstała z łóżka, umyła się, błyskawicznie nałożyła ubranie i wyszła na korytarz, by porozmawiać z Chuckiem. Libby, mając pokój do swej dyspozycji, wzięła długi, gorący natrysk, a potem krótki zimny, ale i tak niewiele jej to pomogło - nadal czuła siejaka, pp nie przespanej nocy. Nie była w stanie wyobrazić sobie, w jaki sposób Will potrafi to wszystko wytrzymać. Zaczęła suszyć włosy, po czym, po krótkiej chwili wahania, upewniwszy się, że nadal jest sama w pokoju, uklękła przy łóżku i złożyła ręce - dokładnie tak, jak ją uczono w dzieciństwie.

- Dobry Boże - zaczęła się modlić półgłosem - spraw, abym podjęła właściwą decyzję. Wycisz mój umysł, pomóż mi odegnąć myśli o Aleksie i o wszystkim, co zakłóca jasność widzenia i może mnie skłonić do wydania niesprawiedliwego wyroku. Dzięki Ci Boże, że raczyłeś wysłuchać mej modlitwy. Amen.

Podniosła się z klęczek. Teraz czuła się znacznie lepiej. Mogła spokojnie dosuszyć do końca włosy.

- Nie chciałam ci przedtem o tym mówić - powiedziała do Chucka ściszym głosem Melissa. Siedział na krześle na korytarzu, z pistoletem w kaburze, i jak przyznał przed chwilą, tkwił tu na straży od trzeciej rano.

- Ja również - odparł i uśmiechnął się do niej. - Bo wiesz, jak też cię wtedy zauważyłem. Tego pierwszego dnia, na Police



## 500

Plaża, pod jedyneką. Ale pomyślałem sobie, że jak będziesz chciała ze mną porozmawiać o AA, to sama mi o tym powiesz.

- Od jak dawna u nich bywasz?

- W przyszłym tygodniu ruinie dziewięć lat.

- Żartujesz!

- Nie, poważnie. Pierwszy raz przyszedłem do nich tuż przed Bożym Narodzeniem. Moja mama powiedziała, że to był największy cud od czasu, gdy Chrystus wstał z grobu.

Oboje się roześmiali.

- Aty?

- Zaczęłam w marcu. Dwa i pół roku temu. Słuchaj, Chuck, daj mi, póki się jeszcze widzimy, swój numer telefonu. Bardzo bym chciała pójść z tobą na jakieś spotkanie i posłuchać twojej historii. Chyba że nie chcesz... Bo w końcu poznaliśmy się w tak dziwnych okolicznościach...

- W porządku. Już dawno o sobie nie opowiadałem. A co do tych, jak to mówisz, okoliczności... to widzisz, dziewczyno, ten świat jest taki zwariowany... Nic dziwnego, że nam się coś podobnego przytrafiło.

Punktualnie o siódmej strażnicy sprowadzili ich na dół, do hotelowej restauracji. Śniadanie wydawano przy bufecie, pozostawili więc swoje bagaże w rogu sali, gdzie stał specjalnie przeznaczony dla nich stół.

Will wyglądał tego ranka zdumiewająco dobrze, a Stephen, który oglądał jego pozszywane rany, stwierdził, że goją się znakomicie. Libby zaczęła mu dziękować, a on odparł, że w nocy nie było żadnych problemów; wieczorem musiał tylko pomóc Willowi zmienić górę od pidżamy, którą ten zalał sobie, płuczac poranioną jamę ustną roztworem wody utlenionej.

Libby uśmiechnęła się pod nosem. Willa ubierał i rozbierał gej, ona spędziła noc z kobietą o odmiennym orientacji seksualnej. Bez nijakiego uszczerbku dla moralności. Szkoda, że nie było tu z nimi jakiegoś pury tańskiego świętoszka!

Zasiedli do śniadania, które okazało się bardzo smaczne. Poprawiło im ono trochę nastrój, natomiast powrót na Manhattan

dał im się nieźle we znaki. W autobusie było zimno i niewygodnie, a po wczorajszych opadach warunki drogowe zrobiły się niewiarygodnie trudne. Asfalt pokrywała mazista warstwa rozjeżdżonego śniegu, błota i soli, tak że drogę, której przejechanie zajęło im wczoraj pół godziny, pokonali tym razem w godzinę i czterdzieści pięć minut. Nic więc dziwnego, że gdy wjechali w końcu do centrum Manhattanu, w autobusie panowała ponura cisza. Było jeszcze dość wcześnie, a oni czuli się tak wyczerpani, jakby to był już wieczór. Libby na samą myśl o tym, że za chwilę znajdzie się w tym okropnym pokoju, robiło się słabo.

Strażnicy szybko przeprowadzili ich przez zatłoczony hol, wybierając trochę okrężną drogę, aby ominąć wystawę kiosku i uniemożliwić im zerknięcie na nagłówki wyłożonych tam gazet. Zapakowali ich do windy, nie wpuszczając innych osób, które również próbowały się ffó niej dostać.

Policzono ich starannie. Cała dwunastka była w komplecie. Winda ruszyła. Will ujął dłoń Libby i króciutko ją uściskał. Odwróciła się ku niemu i uśmiechnęła. Sińce pod oczami zrobiły mu się prawie żółte, a twarz miał już o połowę mniej spuchniętą niż poprzednio. Zapomniała już niemal, że jest tak przystojnym mężczyzną. Ostatnio naprawdę wyglądał jak potwór.

Strażnicy wysiedli z nimi na szesnastym piętrze, zaprowadzili do pokoju przysięgłych, przyjęli zamówienia na lunch, po czym oddalili się, zamknąwszy ich przedtem na klucz.

Nie na długo jednak, gdyż po chwili ktoś załomotał w drzwi i z korytarza dobiegł znajomy głos Chucka:

- Przysięgli! Przerwijcie obrady!

Okazało się, że przyniósł wiadomość dla Stephena. Stan zdrowia jego przyjaciela nie pogorszył się. Na razie wszystko jest w porządku.

- I dzięki Bogu! - zawołała radośnie Melissa. Pozostali również bardzo się ucieszyli.

Gdy zajęli już swoje miejsca, Clay zaproponował na wstępie, aby ponownie zacząć od głosowania. Tym razem na piśmie. W ten sposób zdołają się zorientować, co się od wczoraj zmieni-

## 502

ło. Wypełnili karteczki, złożyli je na pół, po czym Clay puścił wokół stołu pustą brązową kopertę, a gdy wróciła do niego, wręczył ją Adelaide i poprosił, aby odczytała wrzucone do niej głosy.

Pani przewodnicząca rozwijała kartkę po kartce i monotonnym głosem recytowała:

- Winny... niewinny... niewinny... nie wiem/raczej niewinny... niewinny... brak zdania/niewinny... niewinny... winny... nie umiem powiedzieć/raczej niewinny... niewinny... niewinny... winny... brak zdania/niewinny.

Popatrzyli na siebie ze zdumieniem. Byli znacznie bliżsi wydania jednogłośniego werdyktu, niż przypuszczali.

- W porządku - oświadczył Clay. - Trzy głosy za winą Lay-ona, pięć za uniewinnieniem i cztery osoby raczej za uniewinnieniem.

Pierwsza odezwała się Libby.

- Zapewne was to nie zdziwi, ale ja nie zmieniałam zdania. I doprawdy nie rozumiem, dlaczego niektóre osoby wycofały się z tego, co twierdziły wczoraj. Uważam, że nasza dotychczasowa dyskusja nie dostarczyła argumentów za...

- Chwileczkę! - przerwała jej Basia. - Pani Smythe-Daniels i Ronnie doszli wczoraj do zgodnego wniosku, że na twój stosunek do tej sprawy wpłynęła historia z Alexem. Dla niektórych z nas mógł być to wystarczający argument, by zmienić zdanie.

- Nie. Dla mnie nie - stwierdził Dayton. Przeciągnął się i ziewnął ostentacyjnie. - W tej sprawie za dużo jest niejasności. Trzeba powiedzieć wyraźnie: mamy wątpliwości i koniec. Czas wreszcie w domu pomieszkać.

Natychmiast go wszyscy zakrzyczeli.

- Przecież ja nie mówię, że dlatego zmieniłem zdanie - zaprotestował, sadowiąc się na parapecie.

- Ale jednak je zmieniłeś - napadła na niego Libby. - Dlaczego?

- Bo za dużo jest w tej sprawie luk.

Clay nachylił się w stronę Libby i powiedział:

- Uważam, że powinniśmy jeszcze raz zapoznać się z zezna-

## 503

niami naocznych świadków. Może to wreszcie skłoni tych ludzi, by przyjrżeli się faktom.

- Zbędny trud - mruknęła znużonym głosem Melissa. - Co ich obchodzą fakty? Oni po prostu nie chcą wziąć odpowiedzialności za to, że jakiś facet pójdzie przez nich do więzienia.

- Cóż to jesteście tacy nadęci od rana? - obruszyła się pani Smythe-Daniels. - Wygląda na to, że obie nie spałyście przez całą noc, planując egzekucję Laytona.

- Otóż chciałam pani oświadczyć - Libby natychmiast przypomniała sobie ton, jakim mówią stare nauczycielki - że w czasie ubiegłej nocy nie zamieniłyśmy z Melissą prawie ani jednego słowa.

- Zamieniły albo nie zamieniły - mruknął Ronnie - i tak się nie przyznają.

- Wiesz, Ronnie, jaka jest między nami różnica? - napadła na niego Libby. - Otóż ja nie potrafię abstrahować od konkretnych dowodów i tylko one mnie interesują. A tobie wystarczą aktorskie sztuczki adwokata. Bardzo zresztą dobrego. Takiego, który wiedział dokładnie, jakie lubisz filmy. Tylko tym razem to nie jest, niestety, film.

- Ti jesteś naprawdę taka pewna, co tu było faktem, a co me było? - spytała ją Elena.

Libby podniosła do góry rękę. Ale do końca się nie poddała.

- Przecież nie robiliśmy jeszcze formalnego głosowania! Cały czas się naradzamy. A mnie chodzi jedynie o to, żeby była to dyskusja o faktach, a nie o adwokackich sztuczkiach. Dyskusja, a nie jakieś przepychanki słowne jak na herbatkach w Sutton Place.

- Daj spokój, Libby! - próbowała ją mitygować Melissa, spoglądając z niepokojem na panią Smythe-Daniels, która jako mieszkanka tej ekskluzywnej dzielnicy miała prawo się w tym momencie obrazić.

- Przepraszam! Nie powinnam była tego mówić - zreflektowała się Libby. Głos jej drżał; gotowa była wybuchnąć płaczem. - To wszystko jest bardzo smutne. Teraz wiem już na pewno, że stajemy się marionetkami w sztuce wyreżyserowanej przez Gei-

## 504

ggena. - Wstała od stołu i pośpiesznie wyszła do toalety. Bała się, że za chwilę do reszty straci panowanie nad sobą. Adelaide, przy wydatnej pomocy Claya, pisała petycję do sądu. Wnosili o odczytanie im zeznań naocznych świadków -Marybeth Schaeffer i Kareema Johnsona. Pragnęli także zapoznać się z zeznaniami policjanta, który widział samochód oskarżonego, wjeżdżający do Jersey City, i Jamala White'a, który rozpoznał nie tylko samochód, lecz również jego właściciela.

- Napisz, że chcemy, aby przedstawiono nam to zgodnie z chronologią wydarzeń - poradził Clay. - A więc najpierw ten gliniarz, potem Jamal, a na końcu Marybeth Schaeffer i Kareem Johnson. - Począł, by dopisać to zdanie, wziął od niej gotowe pismo, podszedł do drzwi i zapukał.

W zamku natychmiast zazgrzytał klucz i rozległ się głos Chucka:

- Przysięgli! Przerwijcie obrady!

Chuck po przeczytaniu petycji uprzedził ich, że na pewno będą musieli trochę poczekać, zanim stenografka odnajdzie stosowne fragmenty protokołu. Zabierał się właśnie do wyjścia, gdy pani Smythe-Daniels nagle coś sobie, przypomniała:

- Poczekać chwilę - zawołała za nim. - Myślę, że rxjwinni-śmy jeszcze poprosić o...

- Szaa! - uciszyła ją Elena.

- Oddaj nam na chwilę to pismo, wyjdź i zostaw nas samych

- zreflektowała się pani Smythe-Daniels. Strażnik wykonał polecenie, a gdy zamknęły się już za nim drzwi, wnioskodawczym wyjaśniła, o co jej chodzi. - Uważam, że powinniśmy dostać także zdjęcia, plan tamtej ulicy i wszelkie raporty policyjne, które zostały włączone do materiału dowodowego.

- A także zdjęcie jaguara - dodał Clay. - Chciałbym sobie z bliska obejrzeć ten wóz.

- Może poprośmy jeszcze, żeby koniecznie dali nam do obejrzenia planszę z sześcioma fotografiami - zaproponował Ronnie.

- Tę, na której świadkowie rozpoznawali Laytona. Ciekawe, czy ci inni faceci są do niego podobni.

Wszyscy wyrazili zgodę, Adelaide dopisała te punkty, po

505

czym zawołali Chucka i wręczyli mu pismo w nowej, poprawionej wersji.

Po upływie dziesięciu minut zjawił się z powrotem i przyniósł im pełen komplet dokumentów, z którymi chcieli się bliżej zapoznać. Oglądali je teraz w skupieniu, nikt ich nie ponaglał, nie rozpraszał uwagi i być może dlatego materiały wywarły na nich obecnie większe wrażenie niż na sali sądowej. Dotyczyło to zwłaszcza makabrycznych zdjęć, dokumentujących ślady krwawej jatki na chodniku, które teraz, oglądane z bliska, kazały im zamilknąć na dobre kilka minut. Libby miała je zresztą w ręku tylko przez moment; nie mogła dłużej im się przyglądać.

- Rzeczywiście... - przerwał wreszcie milczenie Ronnie, wskazując na zdjęcie samochodu Laytona. - Ten wózek jest wart przynajmniej siedemdziesiąt tysięcy dolarów.

- Jak myślicie? Czy oni go sprzedadzą, żeby odzyskać część pieniędzy, które im skradł? - spytała Debrilla.

- To nie był jego własny wóz - stwierdził Dayton - tylko służbowy. Z firmy tatusia.

Pani Smythe-Daniels westchnęła ciężko.

- Wyłania się z tego bardzo smutny obraz rodziny, prawda? Ton, jakim to powiedziała, zaintrygował Libby, która zaczęła

jej się z uwagą przyglądać.

- Nie wyobrażam sobie, jak można było dopuścić, żeby dorosły człowiek zniszczył życie tylu innym osobom - ciągnęła dalej pani Smythe-Daniels. - Myślę szczególnie o wnukach. Gdyby to był mój syn, tobym go chyba zastrzeliła. - Powiodła wzrokiem po zdumionych twarzach słuchaczy. - Mówię serio. Z własnym życiem człowiek może zrobić, co mu się podoba, ale nie wolno mu krzywdzić niewinnych dzieci.

- Pytanie do pani... - Libby rzuciła okiem na kartkę, którą podsunął jej .Will. - „Skąd pani wie, że Layton krzywdził swoje dzieci?”

- Jak to skąd? Na litość boską... krzywdził je choćby przez to, że rzadko kiedy bywał w domu! Rodzinie groził finansowy krach, ich matka zamartwiała się całymi dniami, być może nawet była fizycznie maltretowana, a ten drań przynosił im ustawicznie

wstyd, zgryzoty i upokorzenia. Czy kontakt z takim ojcem nie pozostawia śladów w psychice? Jeśli potrafił wyrwać telefon ze ściany, żeby...

- Tego akurat nie wiemy - przerwał jej Clay. - Nie wiemy, dlaczego i po co to zrobił.

- Ale go wyrwał! - stwierdziła kategorycznym tonem pani Smythe-Daniels i powiodła wzrokiem wokół stołu. - W twoim domu zdarzyło się coś podobnego? - spytała Clay. - Czy to nie jest okropne, żeby ktoś, kto ma obowiązek pracować i utrzymywać rodzinę, zjawiał się w domu po to, żeby wyrwać ze ściany telefon?

- Ale teraz już wprostował swoje postępowanie - stwierdziła Elena. - Poprawił się, znaczy. I jest dobrim ojcem.

Pani Smythe-Daniels popatrzyła kątem oka na Elenę.

- Nie ma na to żadnej gwarancji, moja droga. Złego i kościół nie... - przerwała w pół słowa i wzruszyła ramionami. - Przecież ten człowiek przez całe lata kradł, kłamał i oszukiwał.

- Czym skorupka za młodu nasiąknie... - mruknął pod nosem Stephen.

- No dobra, ale to nie znaczy, że zabił Sissy Cook! - wrzasnął Ronnie.

- Nikt nie twierdzi, że ją zabił - sprostowała Melissa. - Pojechał do Jersey City i znalazł kogoś, kto zrobił to za niego. Zamilkli na chwilę i znowu w skupieniu przeglądali dostarczone im dokumenty, podając je sobie kolejno wokół stołu i czasem tylko wymieniając między sobą ściszone komentarze.

- Ta plansza ze zdjęciami jest naprawdę niesamowita - stwierdził Stephen. - Przecież każdy z tych facetów jest podobny do Laytona.

Libby wręczono po chwili żółtą planszę z naklejonymi na niej sześcioma fotografiami. Rzeczywiście, każdy z zaprezentowanych mężczyzn był blondynem, miał niebieskie oczy, jasną cerę i krótką, wymuskaną fryzurę, która nieodparcie kojarzyła się z wizerunkiem „chłopca z dobrej rodziny”. Odwróciła kartę i odczytała na jej odwrocie, na którym ze zdjęć naoczni świadkowie rozpoznali oskarżonego.

## **507**

Czas mijał. Dyskusja toczyła się nadal. Przyniesiono im lunch. Zjedli pośpiesznie i znowu zaczęli się ze sobą spierać, z coraz większą niecierpliwością oczekując momentu, gdy zostaną im wreszcie odczytane stenogramy zeznań. Lunch już dawno się skończył, ale nadal dokuczało im pragnienie. Co kwadrans ktoś wstawał, zabierał opróżniony dzbanek i szedł do toalety, by go napęlić wodą. Libby miała wrażenie, że wszyscy mają zamęt w głowie, a jednocześnie są zdeterminowani, by bronić własnych poglądów w sposób niemal obsesyjny.

Wreszcie wezwano ich na salę. Sąd, strony, publiczność -wszyscy siedzieli na swoich miejscach, oczekując na werdykt przysięgłych.

Odczytano im stenogramy zeznań, w porządku chronologicznym, tak jak sobie życzyli. Przedstawione w ten sposób, zabrzmiały naprawdę inaczej. Policjant z załogi radiowozu był pewien, że wkrótce po północy widział, jak samochód Laytona zjechał z niebezpieczną prędkością z wiaduktu Polaski Skyway i pomknął w kierunku centrum Jersey City. Jamal White nie miał wątpliwości, że wkrótce potem, o pierwszej dziesięć, widział oskarżonego w tym mieście, gdy stał przy samochodzie w towarzystwie czarnoskórego, bardzo wysokiego mężczyzny, którego zabrał następnie ze sobą i odjechał. Marybeth Schaeffer była pewna, że wóz, który w kilka minut po drugiej podjechał pod klub, prowadzony był przez Laytona. Nie miała również żadnych wątpliwości, że człowiek, który szybko wysiadł z wozu, spytał kierowcę, kto ma być ofiarą. Potem dopiero odtrącił ją na bok i zaczął strzelać do Sissy Cook, masakrując jej ciało.

Po powrocie do pokoju przysięgłych przez dłuższą chwilę nikt nie kwapił się, by zabrać głos. Odczytane fragmenty zeznań wywarły wielkie wrażenie. Na wszystkich. Widać to było choćby po ich wyglądzie; nawet Clay wydawał się pobrać, znużony i przygnieciony brzemieniem odpowiedzialności.

Może dopiero teraz w pełni uświadomili sobie brutalność popełnionej zbrodni. A w dodatku - jakby nie dość tego, że dźwięczały im jeszcze w uszach najbardziej drastyczne fragmen



ty zeznań Marybeth Schaeffer - w pokoju czekały na nich rozłożone na stole zdjęcia, przedstawiające splamiony krwią i strzępami ludzkiego ciała chodnik.

- Will chciałby się dowiedzieć... - Libby zawiesiła głos i czekała, aż skończy on pisać - czy ktoś pamięta, aby w sądzie mówiono cokolwiek o sprawdzeniu rejestru rozmów prowadzonych z telefonu, który znajdował się w samochodzie?

Podniósł się szmer; wszyscy zaczęli przyglądać się zdjęciu wnętrza wozu, na którym wyraźnie widoczny był telefon. Ustalili zgodnie, że nikt o tym nie wspomniał ani słowem. Will napisał więc na kartce kolejne pytanie, które Libby natychmiast przeczytała:

- „A czy przedstawiono jakiś protokół oględzin wnętrza wozu? Jeśli nie, to czy ma to oznaczać, że nie znaleziono tam plam krwi, resztek prochu, rewolweru? Słowem, niczego?”

Ponownie się zgodzili, że nic im o tym nie powiedziano. Z wyjątkiem tego, że na kierownicy odnaleziono świeże odciski palców, z których część nie należała do oskarżonego.

- Dobrze, że Will zwrócił nam na to uwagę - oświadczyła pani Smythe-Daniels. - Dlaczego na rozprawie nie wspomniano o tym wnętrzu samochodu? W tym jest naprawdę coś dziwnego.

A - Wspomniano o odciskach na kierownicy - zauważyła Adelaide.

- A dlaczego tylko na kierownicy? - spytał Dayton. - A klamki, siedzenia? Przecież gliny powinny posypać proszkiem cały samochód.

- Nie było o tym mowy - burknął Ronnie. Wyraźnie zbiło go to z tropu. - Ten gliniarz mówił tylko o odciskach na kierownicy.

- A kto go wezwał na świadka? - zainteresował się Stephen.

- Geiggen-przypomniała Melissa.

Milczeli przez chwilę i intensywnie się nad tym zastanawiali.

- O broni też nic nie powiedzieli - odezwał się Ronnie.

- Podali jej kaliber. Dziewięć milimetrów.

- No tak... i stwierdzili po prostu, że nie udało jej się odnaleźć. A czy nie powinni nam powiedzieć, gdzie jej szukali?

- Niekoniecznie.

- Poczekajcie, Will napisał tu... - Libby nachyliła się nad kartką. - „O czym ma świadczyć fakt, że o pewnych rzeczach nie mówiono ani słowem podczas rozprawy? Czy wolno nam się na tym oprzeć? Czy to jest jakiś dowód?”
- Spojrzała na niego pytająco. - Nie rozumiem, o co ci chodzi, Will. - Dopisał parę słów, a ona je po chwili przeczytała: - „No, na przykład, skąd mamy wiedzieć, czy tamtej nocy, gdy popełnione zostało morderstwo, były prowadzone jakieś rozmowy z telefonu znajdującego się w samochodzie?”
- Najwyraźniej z jakichś powodów nie mogli nam tego powiedzieć - stwierdził Clay.
- Chiba, że on wirwał i tamten telefon - podsunęła Elena.
- No ale przecież powinni to sprawdzić - zauważyła Melissa. - Powiedzieli nam, że oskarżony powiadomił policję o kradzieży samochodu, dzwoniąc ze swego mieszkania. Sprawdzili połączenia z tamtego numeru i okazało się to nieprawdą. Potem powiedzieli nam, że rzeczywiście policja taki telefon odebrała, ale skąd dzwonił oskarżony, tego nie wiadomo.
- Z samochodu? - spytał Dayton.
- Ważnie o to mi chodzi - podchwyciła Melissa. - Przecież powinni to sprawdzić. Dziwne, że nie wspomnieli ani słowem o tym telefonie. Przecież on się wprost rzuca w oczy. Nawet na zdjęciach.
- Nie powinniśmy pozwalać sobie na żadne spekulacje - odezwała się wreszcie Libby. - Wyraźnie nas przed tym przestrzegano. Ale rzeczywiście jest to problem. Dlaczego bowiem te zdjęcia zostały dopuszczone jako dowód, a żadna ze stron nie mogła powiedzieć ani słowa na temat rozmów, jakie były... albo nie były... prowadzone z tego aparatu?
- Ciekawe - powiedział z namysłem Clay - ile jeszcze innych rzeczy nie dopuszczono w tej sprawie do...
- Nie wolno nam spekulować - przerwała mu Libby. - Musimy ograniczyć się do tego, co zostało nam przedstawione. A to są zeznania...
- Tak. Kłamców, narkomanów, złodziei i psychopatów - burknęła pani Smythe-Daniels, prostując się na krześle.

- Mam nadzieję, że ma pani na myśli głównie Laytona -rzekł Clay.
- No i mamy jeszcze dowody rzeczowe - dokończyła przerwane zdanie Libby.
- Jakże tam dowody? - obruszył się Ronnie. - Nie ma tego, kto strzelał, nie ma pistoletu, nie ma odcisków stóp, odcisków palców... nie ma właściwie niczego.
- Ale są naoczni świadkowie - powiedziała Debrilla. Zerknęła na Libby i szybko odwróciła wzrok. - Muszę wyznać, że zmieniłam zdanie. Myślę, że on jednak jest winny.
- A to dlaczego? - zdumiał się Ronnie.
- Dlatego, że ten Geiggen rzeczywiście nafaszerował nam głowy takimi rzeczami, o których w ogóle nie wolno mu było wspominać. A myśmy je, mimo wszystko, zapamiętali.
- Uważam, że to, o czym powiedziała Debrilla, jest bardzo istotne - stwierdził Stephen. - Gdybyśmy rzeczywiście potrafili abstrahować od wszystkich tych sugestii i niedomówień, to do czego właściwie sprowadzała się jego linia obrony? W zasadzie do kwestionowania wiarygodności świadków oskarżenia. W końcu jest to jeden z najlepszych obrońców, który w dodatku dysponował nieograniczonymi funduszami na wyszukiwanie Świadków, którym można było po prostu zapłacić za zeznania potwierdzające wersję Laytona.
- No tak, ale nadal nie do końca wiemy, co i z jakich względów nie zostało dopuszczone jako dowód - zauważyła libby. - Musimy opierać się na takim materiale, jaki został nam przedstawiony.
- No dobrze, ale to przecież też o czymś świadczy - upierała się Melissa. - Skoro o jednych rzeczach można było dyskutować, a o innych nie, to wówczas... Pamiętacie, co się działo, gdy MacDonald wnosił o włączenie jakiegoś dowodu, choćby tylko tych zdjęć? De czasu to zajmowało? Dlaczego godzinami można było deliberować na temat zwłok i ani słowem nie wspomnieć o dowodach rzeczowych? Choćby o oględzinach wnętrza samochodu? Pani Smythe-Daniels uderzyła pięścią w stół.

- Jeżeli tak, to co oni sobie właściwie wyobrażają? Jak możemy wydać werdykt, skoro pewne okoliczności zostały przed nami zatajone?

- Chwileczkę - zaprotestowała Libby. - To jest normalna procedura. Strony zgłaszają wnioski, a sąd decyduje o tym, co może, a co nie może być włączone do materiału dowodowego. My zaś musimy opierać się wyłącznie na takim materiale, jaki został nam przedstawiony. - Zamilkła na chwilę i popatrzyła na zebranych przy stole. - I wierzcie mi, niezależnie od mojego przeświadczenia o winie Laytona, nie wolno nam skazać go, opierając się na domniemaniu, że jakieś obciążające go dowody nie zostały ujawnione na rozprawie. To byłby klasyczny przykład sytuacji, która nasuwa uzasadnione wątpliwości co do winy oskarżonego. I nawet ja głosowałabym wówczas za tym, żeby go wypuścić.

- Uznałabyś go za niewinnego? - spytał Clay, wyraźnie wstrząśnięty i zaskoczony jej wyznaniem.

- Gdybyśmy mieli go skazać na podstawie tego typu rozumowania, to oczywiście, że tak - stwierdziła Libby. - Ale kto nam każe tak rozumować? Dysponujemy materiałem... może niekompletnym, ale wystarczająco obszernym, by oddzielić fakty od fikcji, zważyć dowody i wydać werdykt. Przez cały czas chcę powiedzieć mniej więcej tyle... Może teraz uda mi się ująć to lepiej. Otóż zarówno pisarz, jak i adwokat ma za zadanie opowiedzieć pewną historię. Co prawda, jeden robi to na papierze, drugi na sali sądowej, ale ta różnica nie jest w sumie istotna. A ponieważ tak się złożyło, że zajmuję się zawodowo pisaniem książek, wiem doskonale, co należy robić, aby historia wydała się odbiorcy wiarygodna. Nie wystarczy, żeby była logiczna, musi również odwoływać się do emocji, pewnych stereotypów, przyzwyczajęń. Trzeba wiedzieć, kiedy posłużyć się aluzją, niedomówieniem... I dlatego dokładnie rozumiem to, co robi Geiggen. - Przerwała na chwilę i spojrzała na Ronnie'ego. - Wiesz, czemu dziś rano tak bardzo się zdenerwowałam? Otóż ten facet użył prostej sztuczki, która w twoim przypadku okazała się całkowicie skuteczna. Jesteś

młodym, rozgarniętym człowiekiem, ale w niczym nie zmienia to faktu, że twój światopogląd w dużej mierze ukształtowały media. Zostałeś w pewien sposób uwarunkowany i Geiggen postawił właśnie na to, że jako odbiorca kultury masowej zareagujesz zgodnie ze wskazówkami, jakich dostarczyły ci filmy i seriale.

Wszyscy sprawiali wrażenie zmieszanych. A może nie w pełni ją rozumieli.

- Jeśli nie mam racji, to zaprotestuj - zwróciła się powtórnie bezpośrednio do Ronnie'ego. - Otóż twierdzę, że media nauczyły cię mniej więcej tyle: Oskarżony jest prawie zawsze niewinny, a uczciwy i bystry uczestnik procesu powinien znaleźć jakieś luki w materiale dowodowym i nie dopuścić do tego, by skazano niewinnego człowieka.

- No... jeśli jest niewinny, to pewnie, że tak.

- A jeżeli jest winny? Wyobraź sobie taki nietypowy serial. Oskarżony popełnił zarzucany mu czyn; Prokurator nie jest ani bezdusznym nienawistnikiem, ani też prawnikiem najwyższego lotu. Jest to raczej urzędnik, przepracowany, zmęczony, nie mający dostatecznie liczego personelu do pomocy. A wynajęty przez milionera adwokat, dysponując nieograniczonym budżetem, wynajduje wszelkie możliwe dowody i wszelkich możliwych świadków, żeby przerobić fakty na taką historię, która -o czym wie on doskonale - będzie jak ulał pasowała do twoich wyobrażeń. Jak myślisz, Ronnie, dlaczego on cię zaakceptował jako przysięgłego?

- A ty skąd wiesz, dlaczego? - odezwała się piskliwym głosem Adelaide.

- Nie wiem - odparła zniecierpliwionym tonem Libby. - Wiem natomiast, że Ronnie połknął przynętę zastawioną na niego przez obrońcę. Razem z haczykiem, żyłką i szałwikiem. Stosując proste sztuczki, Geiggen potrafił go omotać do tego stopnia, że być może zaczął przyrównywać Ronnie'emu ojca albo jakąś inną ważną osobę z jego otoczenia.

- Daj spokój! - zaprotestowała Basia. - Nie możemy z tego robić grupowej psychoterapii.

- Bez przerwy mi się przypomina „Dwunastu gniewnych ludzi” z Henrym Fondą w roli głównej - dodała Adelaide. Roześmieli się. Momentami rzeczywiście było zabawnie, a śmiech pozwalał im rozładować napięcie. Atmosfera stawała się bowiem coraz cięższa. Dyskutowali niby bardziej rozsądnie i rzeczowo niż na początku, lecz jednocześnie byli już zmęczeni, zmarznięci, znowu chciało im się jeść. Na dworze zapadał zmierzch, a perspektywa spędzenia następnej nocy w „Ramada Inn” wisiała nad nimi jak miecz Damoklesa.

Dyskusja co chwila utykała w martwym punkcie. Ustalenie niektórych faktów częstokroć okazywało się niemożliwe, gdyż każdy z przysięgłych inaczej zapamiętał pewne rzeczy i skłonny był optować za wersją, którą przyjął za prawdziwą.

- Jeżeli dwoje świadków składa sprzeczne zeznania, to wszelkie niejasności należy tłumaczyć na korzyść oskarżonego

- stwierdził Ronnie.

- Ale to nie są sprzeczne zeznania - oponowała Adelaide.

- Po prostu jeden z naocznych świadków twierdzi, że rozpoznał kierowcę wozu, a drugi, że nie był w stanie tego zrobić.

- Ale skąd! - nie dawał za wygraną Ronnie. - Zgodni są tylko co do tego, że był to jego samochód.

- Owszem, tylko że pięćdziesiąt minut wcześniej, w Jersey City, widziano nie tylko ten samochód, ale również oskarżonego, kiedy odjeżdżał stamtąd w towarzystwie człowieka, którego rysopis odpowiada rysopisowi mordercy Sissy Cook - powiedział Clay i rozłożył bezradnie ręce. - Ronnie! Czy ty tego nie przyjmujesz do wiadomości? Co się z tobą dzieje, chłopie?

- Nie. Do końca w to nie wierzę, ponieważ świadek, który tak zeznał; też miał do czynienia z narkotykami.

- Tak! Tylko w przeciwieństwie do Laytona potrafił z nimi zerwać w odpowiednim czasie! - krzyknęła Melissa. - I to jest dla mnie lepsza rekomendacja niż płacz na sali sądowej.

- Jestem po stronie Libby i Claya - oświadczyła niespodziewanie Adelaide. - On jest winny.

- Warto jeszcze wspomnieć o jednej rzeczy - powiedziała Libby. Wszystkie twarze zwróciły się w jej stronę. - Czy zwróci-

liście uwagę na to, że siostra oskarżonego była jedyną osobą z rodziny, która wystąpiła w jego obronie? Zapadła cisza.

- No właśnie. Dlaczego na sali nie było żony?

- To pytanie zostało oddalone przez sąd - zauważył Ronnie.

- Przez cały czas uważnie przyglądałam się widowni i naprawdę ani razu nie widziałam tam kobiety, która wyglądałaby na żonę oskarżonego - zauważyła pani Smythe-Daniels.

Adelaide spojrzała pytająco na Claya.

- Dlaczego rodzina nie wystąpiła w jego obronie?

Odpowiedź sama się nasuwała. Nikt nie odezwał się ani słowem, ale kilka osób wymieniło między sobą znaczące spojrzenia.

- Głupio mi, że znowu zmieniam zdanie - odezwał się Dayton - Teraz głosowałbym za tym, że Layton jest winny. Poprzednio myślałem inaczej, ale...

- Ale co? - spytała Libby.

- Miałaś chyba rację, że to ten Geiggen wyprowadził mnie w pole. Gdy odłoży się na bok jego sztuczki, spojrzy na same fakty, to widać wyraźnie, że facet jest winny.

- Ale jak on mógł zaplanować i przeprowadzić taką akcję, *'skąio* był kompletnie naćpany! - krzyknął Ronnie.

- Słuchaj, masz tu pod ręką ekspertów - zwróciła się do niego Melissa. - Clay był uzależniony od kokainy i heroiny, ja od alkoholu. I oboje tłumaczymy ci to samo: człowiek uzależniony od kokainy ma prawdziwe problemy dopiero wtedy, gdy nie wzięł na czas narkotyku i zaczyna się u niego rozwijać zespół abstynencki. A w zeznaniach nie ma ani słowa o tym, że Layton upił się do nieprzytomności czy brał jakieś prochy, zanim wrócił do domu. Policjant, który go aresztował, stwierdził co prawda, że oskarżony sprawiał wrażenie mało przytomnego, ale jeśli nawet tak było, to mógł się doprowadzić do tego stanu wtedy, gdy załatwił wszystko, co miał do załatwienia.

- A zeznania portiera?-spytała Elena.

- Co to za sztuka udać pijanego albo naćpanego? - spytał ją Clay. - Szczególnie wtedy, gdy potrzebne ci jest jakieś alibi.

515

- No tak, ale mnie się i tak widaje, że tam musiał być jakiś spisek, żeby skazać Laytona - powiedziała, zmieniając temat, Elena.

Tym razem Will stęknął na tyle głośno, by wszyscy zwrócili na niego uwagę. Napisał na kartce kilka słów, które Libby natychmiast odczytała:

- "Eleno! Urodziłaś się w Brazylii i do końca życia będziesz widziała wokół siebie jakieś spiski."

Wszyscy zaczęli się śmiać. Elena również.

- Chiba on ma rację - przyznała pogodnie.

- Osobiście uważam, że gdyby zależało im na znalezieniu kozła ofiarnego, to nie musiałby on pochodzić z aż tak prominentnej rodziny - stwierdziła pani Smythe-Daniels. - Muszę jednak wyznać, że wystąpienie końcowe obrońcy zrobiło na mnie duże wrażenie. Szczególnie te cytaty z Lincolna. Oskarżyciel nawet w części nie był tak wykształcony i elokwentny, jak Geiggen. Przyznaję, że to mi również bardzo imponowało.

Wszyscy wpatrywali się w nią, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza.

- I wyznam także, że ta dyskusja pomogła mi uświadomić sobie, jak wielkie mam opory, aby przyjąć na siebie odpowiedzialność za posłanie do więzienia kogoś takiego jak Layton.

- Popatrzyła na zgromadzonych wokół stołu przysięgłych. - Nie jest on co prawda podobny do żadnego z moich synów, ale...

- uśmiechnęła się nieznacznie - rzeczywiście wygląda na kolegę, który mógł chodzić z nimi do tej samej szkoły z internatem.

Roześmieli się.

- Przykro mi bardzo... - pani Smythe-Daniels westchnęła w tym momencie i zrobiła głęboki wdech - ale muszę stwierdzić, że on jest winny.

Ronnie zerwał się z krzesła i poszedł do toalety. Reszta przysięgłych pozostała na miejscu. Siedzieli w milczeniu, z pospuszczanymi głowami, starając się nie patrzeć sobie w oczy. Libby pomyślała w tym momencie, że jeśli jeszcze raz spojrzy na zepsuty ścienny zegar, to za chwilę zacznie krzyczeć.

- Im dłużej się nad tym zastanawiam - zaczęła cicho mówić



Basia - tym mniej mam wątpliwości, czy on to rzeczywiście zrobił. Gdy odrzuci się całe te matactwa obrony, sprawa zaczyna być zupełnie oczywista.

- Jasne - westchnął Stephen. - i taka była od początku.

- Co przez to rozumiesz? - spytał Clay.

- Uważam, że kiedy wszczęto śledztwo, sprawa była całkiem oczywista. A potem przez dziewiętnaście miesięcy robili, co mogli, żeby ją dokładnie pogmatwać. - Spojrzał wymownie na słuchaczy. - Wiecie chyba, że w tym mieście wystarczy mieć forszę, żeby się ze wszystkiego wykręcić.

Ronnie zatrzymał się przy ścianie działowej, pomiędzy drzwiami do obu toalet.

- Uważasz, że gdyby natychmiast doszło do procesu, to sprawa przybrałaby inny obrót?

- Któż to może wiedzieć? - odparł Stephen, wzruszając ramionami. - Musimy się oprzeć na tym, czym dysponujemy.

-Przesunął na środek stołu jedno ze zdjęć przedstawiających zakrwawiony chodnik.

Dziwne, pomyślała Libby, uświadomiwszy sobie, że uodporniła się już na tyle, by móc na nie patrzeć bez uczucia młodości.

- Rozwydrzony, zepsuty chłopak z dobrego domu staje się narkomanem - zaczął mówić znużonym, przybitym głosem Stephen. - Przez całe lata kłamie, oszukuje, kradnie. Zostaje nagle publicznie upokorzony, więc wypada z klubu na ulicę, wrzeszcząc na lewo i prawo, że Sissy Cook zginie jeszcze tej samej nocy. Mamy świadka, który widział jego samochód zmierzający w stronę Jersey City. I następnego świadka, który widział tam nie tylko samochód, ale również oskarżonego. Na dodatek w towarzystwie mężczyzny, którego rysopis odpowiada rysopisowi zabójcy. Mamy świadka, który twierdzi, że oskarżony przywiózł zabójcę na miejsce zbrodni, pokazał mu ofiarę i potem zabrał go ze sobą i odjechał. W dziesięć minut później policja otrzymała telefoniczne doniesienie o kradzieży jaguara. Oskarżony twierdzi, że dzwonił do nich ze swego mieszkania. Okazało się, że nie dzwonił. Potem więc twierdzi, że nie wie, skąd telefonował...

- A ten włóczęga, który widział jaguara z pozostawionymi kluczykami? - spytał Ronnie. - Może naprawdę ktoś posłużył się jego wozem.

- Tak. A przedtem zrobił sobie charakterystykę, żeby wyglądać tak jak Layton, upewnił się, że wóz zostanie zauważony przez patrol policyjny, a on sam przez świadka, który znał tylko oskarżonego i tak dalej... Wspaniale to wszystko wymyślił! Prawda, Ronnie? - powiedziała szyderczym tonem Libby.

- To naprawdę jest argument - wtrąciła Basia. - Któż w końcu mógł wiedzieć, że Layton zna tych ludzi w Jersey City?

- Sobowtór albo bliźniak. Prawda, Ronnie? - parsknął Clay.

- Zostaw go w spokoju. Dostyc mu nadokuczałam - mruknęła Libby.

- No dobra, dobra - bąknął Ronnie, wracając na swoje miejsce. - Niektóre wasze argumenty są sensowne. Ale i ja powiedziałem wiele sensownych rzeczy.

- Oczywiście, że tak - przytaknęła Melissa i ostentacyjnie ziewnęła.

Znowu zapadła cisza.

- Słuchajcie - odezwał się wreszcie Clay. - Zróbmy kolejne głosowanie. Będziemy przynajmniej wiedzieć, na czym stoimy.

- To będzie prawdziwe głosowanie? - spytała Adelaide.

- Tak jest - stwierdził Clay, drąc kartkę na małe świstki, które rozdał następnie zebranym.

- I tak będziemy tu siedzieć do samej gwiazdki - westchnęła ciężko Debrilla. - A mój brat nie ma pojęcia, jak upiec przyzwoite ciasto ze śliwkami.

Nie wspominaj mi o jedzeniu - burknął Dayton, składając na pół swoją karteczkę, by włożyć ją do brązowej koperty.

- Słabo mi się robi z głodu.

- Szkoda, że nie przemyciliśmy tu czajnika - stwierdzała, ziewając, pani Smythe-Daniels. - Moglibyśmy zaparzyć sobie herbatkę albo kawę.

Brązowa koperta obiegnęła stół, po czym Adelaide wyciągnęła z niej pierwszy głos.

- Rozkładaj je na trzy kupki - powiedział Clay, wskazując

trzy miejsca na stole. - Tu „winny”, tu „niewinny”, a tu „brak zdania”.

- „Winny” - przeczytała Adelaide i położyła kartkę na pierwszym ze wskazanych miejsc.

- „Winny” - położyła na niej następną.

- „Winny”.

Libby drgnęła i podniosła nagle głowę znad stołu.

- „Winny”.

Clay wyprostował się na krześle i spojrzał na Adelaide.

- „Winny”.

- Coś podobnego! - mruknęła pod nosem pani Smythe-Daniels.

- „Winny” - odczytała kolejną kartkę Adelaide. Teraz wszyscy już na nią patrzyli.

- „Winny.”

Sięgnęła po trzy następne karteczki.

- „Winny”. „Winny”. „Winny”. Basia westchnęła głęboko.

- „Winny”-przeczytała kolejną kartkę Adelaide.

Z dna koperty wyjęła ostatnią, złożoną na czworo karteczkę. Powoli zaczęła ją rozwijać. Wszyscy zastygli w oczekiwaniu.

- Winny” - powiedziała niemal szeptem. Rozwarła palce i mały świstek papieru opadł na stos, na którym leżało już jedenaście poprzednio oddanych głosów.

W pokoju zapanowała martwa cisza. Siedzieli bez ruchu, wstrząśnięci i przerażeni tym, co się stało. Nikt z nich nie wyobrażał sobie, że pozostali będą głosować tak samo jak on. Każdy myślał: „no dobrze, w tej turze opowiem się za winą, a potem...”

Libby poczuła, że Melissa zacisnęła dłoń na jej nadgarstku, zwróciła się więc ku niej, ale przyjaciółka odwróciła w tym momencie głowę. Spojrzała na siedzącego obok Willa, jednak ten również starał się nie patrzeć jej w oczy.

Clay przeliczył karteczki i mruknął:

- Zgadza się. Uważam, że uzgodniliśmy ten werdykt w uczciwy i rzetelny sposób.

Basia zaczęła w tym momencie płakać, a pani Smythe-Da-

niels mamrotała coś, co brzmiało jak modlitwa o to, by Bóg zlitował się nad oskarżonym. Wszyscy byli smutni. A może raczej apatyczni i psychicznie zmaltretowani. Nie wywiązała się jednak żadna dyskusja; nikt nie próbował podważyć wyników głosowania. Werdykt był ostateczny - dwanaście osób zgodnie orzekło o winie oskarżonego.

Adelaide wstała i zapukała do drzwi, by przywołać Oiucka.

Teraz byli już po prostu przerażeni. Libby czuła, że wszyscy, podobnie jak ona, obawiają się tego, co ma za chwilę nastąpić. Wchodzili rzędem na salę, była już prawie ósma wieczorem, a na widowni nadal nie było ani jednego wolnego miejsca. Starła się uniknąć wzrokowego kontaktu z kimkolwiek, szczególnie zaś z siostrą oskarżonego, która przyglądała się każdemu z przysięgłych, usilnie próbując wywnioskować coś z wyrazu ich twarzy. Lepiej będzie, jeśli usłyszy werdykt razem z oskarżonym. Zajęli miejsca w ławie przysięgłych. Na sali panowała absolutna cisza. Pani sędzia Williams odczytała akt oskarżenia i spytała, czy sędziowie przysięgli uzgodnili werdykt. Adelaide, zaskakująco spokojna i opanowana, podniosła się z miejsca i odpowiedziała czystym, doniosłym głosem:

- Tak jest, Wysoki Sądzie.

- Proszę panią przewodniczącą ławy o ogłoszenie werdyktu.

- Winny, Wysoki Sądzie.

Na widowni wybuchła wrzawa; oskarżony wydał z siebie rozpaczliwy krzyk, schwycił Geiggena za poły marynarki i przywarł twarzą do jego piersi. Libby poczuła, że po policzku spływa jej łza. Ludzie rzucili się do wyjścia, rozmawiali, przekrzykując się nawzajem. Pani sędzia Williams stuknęła młotkiem w stół, apelując o ciszę.

O Boże, spraw, abyśmy nie musieli żałować tej decyzji, modliła się Libby.

Pani sędzia Williams spytała, czy werdykt jest jednogłośny. Adelaide odpowiedziała, że tak. Geiggen jeszcze raz spytał ich o to samo, żądając, by każdy odpowiedział za siebie. Wstawali

więc po kolei, by wyrzec sakramentalne słowo „winny”. Potem zaś pani Williams podziękowała im i oświadczyła, że są wolni.

Nagle było po wszystkim. Mogli już iść do domu.

Przez chwilę siedzieli jeszcze bez ruchu, nie opuszczając ławy, niepewni, co mają teraz robić, odrętwiali i wyczerpani. Oskarżony łkał nadal, na widowni panował rwetes i zamieszanie, a pani sędzia Williams zmuszona była znowu zrobić użytek ze swego młotka. Libby odważyła się w końcu poszukać wzrokiem siostry oskarżonego, ale nie była w stanie jej dostrzec.

Nagle, jakby na dany znak, wszyscy przysięgli poderwali się z miejsc i nie odzywając się do siebie ani słowem, ruszyli pośpiesznie ku wyjściu. Teraz chcieli już jak najprędzej stąd się wydostać, libby na samą myśl o tym, że będzie musiała rozmawiać z kimkolwiek na temat tego, co się wydarzyło na sali sądowej, wpadła w panikę.

Zabierali swoje rzeczy z pokoju przysięgłych, gdy nagle otwarły się drzwi i wszedł MacDonald.

- Dziękuję państwu! Bardzo państwu dziękuję - powiedział, starając się zachować powagę, choć widać było, że odniesione zwycięstwo napawa go radością.

- Zrobiliśmy, co do nas należało - warknął Clay - a teraz chcemy jak najszybciej wyjść z tego cholernego sądu.

- Pomyślałem sobie, że być może zechcecie mi zadać jakieś pytania - powiedział MacDonald. - Dlatego tu przyszedłem.

Zapadła cisza. Wszyscy zastygli w oczekiwaniu. Libby koniecznie chciała coś powiedzieć, ale nie potrafiła wymówić ani słowa. Była zbyt przerażona. Przytłaczało ją poczucie odpowiedzialności za to, co zrobiła... czy raczej wspólnie zrobili. Zdecydowali się - kto wie, czy słusznie - zniszczyć życie jakiegoś człowieka. Jak również jego rodziny.

- Y ystniay akieś owody, kkkrych nie ożna yło uawnić? - wybełkotał Will, przerywając ciszę.

- Czy istniały jakieś dowody, których nie można było ujawnić na rozprawie? - przetłumaczyła natychmiast Libby.

Prokurator rozpromienił się.

- No jasne, i to cholernie mocne! Na przykład marynarka

zabójcy znaleziona w jednym z mieszkań należących do Laytonów. Z rękawem nadpalonym przez ogień wylotowy. I wyniki analizy mikrocząstek prochu strzelniczego, wskazujące na ten sam rodzaj amunicji, jaką strzelano do ofiary. Co na to powiecie?

- Jak to? Czemu więc, u licha... - zaczęła pani Smythe-Daniels.

- Laytonowie posiadali w tym domu trzy mieszkania służbowe, a policja miała nakaz rewizji uwzględniający jedno z nich - wyjaśnił MacDonald. - To akurat, w którym aresztowano Laytona. I kiedy dowiedzieli się od personelu, że obok są jeszcze dwa inne mieszkania, do których oskarżony również miał klucze, weszli do tego, które znajdowało się drzwi w drzwi i stało puste. Tam właśnie znaleźli tę skórzaną marynarkę.

- Chce pan powiedzieć, że istniał konkretny dowód rzeczowy?! - krzyknęła Debrilla.

- Oczywiście - stwierdził MacDonald. - Od początku nie było cienia wątpliwości, że Layton brał bezpośredni udział w zabójstwie. I wiecie teraz państwo, dlaczego inspektor Martinez odsunięty został od udziału w sprawie. Ten człowiek kompletnie zawałił śledztwo. Powinien był zadzwonić, poczekać, aż przywiozą mu nowy nakaz rewizji i dopiero wtedy dokonać przeszukania pozostałych mieszkań. Nie miał prawa tam wchodzić. Dlatego właśnie sędzia, w czasie posiedzeń wstępnych, zmuszony był wyłączyć dowód, który uzyskano bez ważnego nakazu rewizji. To samo było z samochodem. A właściwie nawet gorzej, bo też nie wiadomo, po co się pospieszyli i przeszukali go, nie dysponując żadnym nakazem. I oczywiście obrona oprotestowała wszelkie dowody rzeczowe, z wyjątkiem śladów na kierownicy, bo to akurat było dla niej wygodne.

Przysięgli wymieniali między sobą spojrzenia. Nareszcie mogli to robić bez skrępowania. Zdjęto z nich ogromne brzemię. Ronnie westchnął ciężko i wsparł czoło o blat stołu.

- O, kurde! - odezwał się.

Basia podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie martw się. Wydaliśmy przecież sprawiedliwy werdykt. To najważniejsze.

- On naprawdę to zrobił - zapewnił ich raz jeszcze MacDonald.

- A co z telefonem, który znajdował się w samochodzie? - spytała Melissa. - Czy sprawdzono prowadzone z niego rozmowy?

MacDonald uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Widzę, że mieliśmy wielkie szczęście, gdyż rzadko trafiają się tak inteligentni przysięgli. Owszem. Layton skorzystał z tego telefonu tylko raz, dzwoniąc do jednego z trzech mieszkań, po to zapewne, żeby upewnić się, czy jest ono wolne. Nikogo w nim nie było, ale połączenie zarejestrowała automatyczna sekretarka. Miało to miejsce o dwunastej czterdzieści pięć.

- Czili wóczas, gdy rzekomo skradziono mu już samochód - dopowiedziała Elena. i

- Ale jak można było nam o tym nie powiedzieć! To oburzające! - wybuchnęła pani Smyjhe-Daniels. - Przecież gdybyśmy wiedzieli, że dzwonił wówczas z własnego samochodu, to...

- W pełni rozumiem powody pani zdenerwowania - rzekł MacDonald. - Należy jednak pamiętać o tym, że naczelną zasadą, na jakiej opiera się nasz wymiar sprawiedliwości, jest domniemanie niewinności oskarżonego, a wszelkie dowody przeciwko niemu muszą być zbierane z zachowaniem wymogów proceduralnych. W tym zaś wypadku obrona miała realne powody, by wytknąć proceduralne uchybienia, których dopuścił się wydział zabójstw. W rezultacie sprawa, która na początku była oczywista, bardzo szybko przestała nią być. Te zamknięte sesje, podczas których sąd orzekał o dopuszczeniu dowodów, były istną makabrą. Dowody dosłownie topniały nam w rękach i w efekcie sprawa stała się niemal poszlakowa. - Wydał z siebie głośne westchnienie ulgi. - Mieliśmy w końcu tylko dwoje naocznych świadków, a gdyby któreś z nich uległo jakiemuś wypadkowi albo wycofało złożone zeznania, to stracilibyśmy wszelkie szanse na skazanie Laytona.

- No jasne- przytaknął Clay.

- Bogu niech będą dzięki - westchnęła Libby, osuwając się na krzesło. Zaczęła płakać. Łzy przyszły dopiero teraz, gdy nagle

**523**

poczula ulgę. A jeśli miała jeszcze choćby cień wątpliwości **co** do tego, czy ich werdykt był naprawdę słuszny, to zniknął **on na** zawsze w momencie, gdy Kathryn Schnagel wprowadziła **do** pokoju Jill Tompkins i jej męża. Siostra Sissy Cook stała po prostu i nie będąc w stanie wymówić ani słowa, patrzyła na przysięgłych, płakała, uśmiechała się przez łzy, próbując okazać im w ten sposób swoją wdzięczność. I właśnie pani Smythe-Daniels jako pierwsza z sędziów rozplakała się i podbiegła, by ją uściskać.



40.

- O rany! - mruknęła Libby, wpatrując się w zdjęcie w gazecie. - Zadzwoiłam wczoraj wieczorem do rodziców, powiedziałam im, że nareszcie się to skończyło, a potem wyłączyłam telefon i poszłam spać. Wstałam rano i natychmiast tu przyjechałam. - Sięgnęła po następną gazetę i w niej również znalazła swoje zdjęcie.

- Wiadomości - poinformował ją Will. Siedzieli wraz z panią Klein przy stole w pokoju jadalnym. Była dziewiąta trzydzieści; przez okna wpadały poranne promienie słońca.

Libby uniosła brwi i zrobiła zdumioną minę.

- Telewizyjne wiadomości dnia też zamieściły wzmianki o tobie - wyjaśniła pani Klein. - Zresztą, jak zapewne zauważyłaś, prasa powołuje się na doniesienie agencji Associated Press.

Niewiarygodne! - Libby musiała się w tym momencie roześmiać. - Dlaczego oni robią taki szum wokół tego, że jakaś autorka orzekała w procesie jako przysięgła?

- Jesteś znana. To rzadka gratka - zauważył Will.

- Nie śmiałam opowiedzieć Willowi, że już na samym początku procesu jakaś gazeta zamieściła informację o tym, że w skład ławy przysięgłych weszła sławna autorka - powiedziała pani Klein. - Wiedziałam, że nie wolno mu było rozmawiać na ten temat. W każdym razie skończyło się na tym, że wasza sędzina musiała chyba bardzo nastraszyć dziennikarzy, gdyż w pewnym momencie wszelkie przecieki na temat przysięgłych przestały się ukazywać. Aż do wczorajszego wieczora, gdy natychmiast po zakończeniu procesu media mogły wreszcie odrobić te zaległości. Will zresztą nie był tak dyskretny i sam mi się pochwalił, że zasiadasz razem z nim w ławie, a ja, chociaż język

mnie swędział, nie powiedziałam mu wtedy, że to nie jest taka wielka niespodzianka, gdyż cały kraj zdążył się dowiedzieć o wyborze znanej powieściopisarki w skład ławy przysięgłych, która ma orzekać w sprawie Laytona. Ale była to dla mnie bardzo miła wiadomość, gdy dowiedziałam się, że jest to autorka książek, których lektura sprawiła mi tak wielką przyjemność.

- A portierzy w moim domu nie wspomnieli mi o tym ani słowem. Coś niewiarygodnego! - mruknęła Libby. - Oczywiście, zaraz bym na nich nakrzyczała, ale... - Wstała od stołu.

- Czy mogę skorzystać z telefonu?

- Tylko nie rozmawiaj zbyt długo, kochanie - poprosiła ją pani Klein. - Wkrótce będziecie musieli stąd wyjść.

Libby szybko załatwiła sprawę i zaraz wróciła do stołu. Kompletnie oszołomiona.

- Mój wydawca dostał zamówienia na dziesięć tysięcy egzemplarzy „Uśmiechu losu”. I są to wyłącznie dzisiejsze zamówienia. Spodziewają się, że któraś z moich książek trafi w tym tygodniu na listę bestsellerów.

Willa też nadzwyczaj uradowała ta wiadomość. Śmiał się radośnie przez dłuższą chwilę, po czym wstał, by uściskać Libby. Teraz mógł już to zrobić. I nie tylko to. Znacznie więcej, o czym ją wkrótce przekona.

- Haverhill chce, abym jeździła po kraju i wygłaszała odczyty o sprawie.

Will odstąpił o krok i odsunął ją na odległość wyciągniętych ramion.

- Powiedziałam im, żeby nie zawracali głowy. - Przyciągnął ją natychmiast i ponownie uściskał. - Z wyjątkiem pani Oprah

- dodała. - W jej programie mogę ostatecznie wystąpić.

Poczuła, jak plecy Willa trzęsą się od tłumionego śmiechu.

- No i co oni tam robią?

- Katie przebiera Kena w ubrania Barbie, a Peter zadreślał właśnie pasażerów tą swoją grą elektroniczną.

Wyłączyłem mu dźwięk. - Rusty zdał sprawozdanie żonie i usiadł obok niej na miejscu od strony przejścia.

Bilety załatwiali w ostatniej chwili, nie udało im się dostać czterech miejsc obok siebie, i musieli teraz co chwila sprawdzać, jak zachowują się dzieci, które siedziały w trzecim rzędzie za nimi. Z Katie nigdy nie było problemów w podróży, natomiast na chłopca należało stale mieć oko.

- No i co my z nią zrobimy? - spytała Jill

- Jak to co? Niech sobie dalej przebiera tego Kena.

- Nie, głuptasie. Chodzi mi o moją matkę.

- Ach, tak. Myślę, że spędzimy kilka dni w Disneylandzie, a potem zadzwonimy do niej, wypożyczymy samochód i wpadniemy ją odwiedzić. Zatrzymamy się w hotelu „Sheraton” w Fort Myers. Mają tam wspaniałe basen i kort tenisowy.

- Przecież to strasznie drogi hotel.

- Po tym, co przeszliśmy, należy nam się trochę przyjemności - oświadczył Rusty, ujmując ją za rękę.

- Może powinniśmy się zgodzić na udzielenie wywiadów? - spytała Jill. - Przydałyby się jakieś pieniądze.

- Nie ma sensu zawracać sobie teraz tym głowy, kochanie. Najważniejsze, żebyśmy odpoczęli, przypomnieli sobie, kim jesteśmy.

Skinęła głową i wyjrzała przez okienko samolotu. Po chwili jednak szybko odwróciła głowę w stronę męża.

- Słuchaj, Rusty... On złożył apelację i go wypuszczą, prawda?

- Kochanie... - mruknął. Ponownie uściskał jej dłoń. - Wiem tylko tyle: James Bennett Layton siedzi teraz za kratkami w kryminale na Rikers Island. Po raz pierwszy znalazł się tam, gdzie jest miejsce dla takich jak on.

Spuściła głowę. Bardzo zależało jej na tym, żeby uspokoić się i odegnać paniczne myśli, które bez przerwy ją nawiedzały. Zeszłej nocy prawie w ogóle nie spała. Ilekroć próbowała się zdrzemnąć, natychmiast śniła jakieś koszmarnie sny o Sissy i o tym, jak Layton ucieka z więzienia po to, by pozabijać ich dzieci.

- Obiecuję ci, kochanie, że będzie coraz lepiej - szepnął jej do ucha Rusty. - Najgorsze mamy za sobą. To tylko kwestia czasu. Wkrótce dojdiesz do siebie.

Skinęła głową i spojrzała na niego.

- Mówiłam ci, jacy mili okazali się ci przysięgli? - spytała. Mruknął coś pod nosem i popatrzył na nią badawczo.

- O Boże! - zaczęła się śmiać. - Jestem chyba niespełna rozumu. Przecież ty tam ze mną byłeś! - Tym razem ona odszukała jego dłoń i mocno ją uściśnęła. Rusty uniósł jej rękę, pocałował i po chwili ich splecione dłonie spoczęły na podpórce dzielącej oba siedzenia. - Tak, byłeś tam ze mną, najdroższy. I tylko to się liczy. Najważniejsze, że nadal się kochamy.

- Państwo wybaczą, że przeszkadzam - powiedziała stewardesa - ale pański synek - zwróciła się bezpośrednio do Rusty'ego - otworzył jakimś sposobem kasetkę z maską tlenową i wyrzucił ją na podłogę. Czy nie zechciałby pan...

- ... zamienić się na miejsce z naszą córką i mieć na niego baczenie? - dokończyła za nią Jill. Roześmiała się i pocałowała Rusty'ego w policzek. - Pa, kochanie. Podeśh mi hHego Kena transwestytę.

Melissa odebrała właśnie telefon od jakiegoś reportera, który zaproponował jej pięć tysięcy dolarów za relację o tym, co działo się w pokoju przysięgłych.

- Proponowano mi już trzykrotnie większą sumę - poinformowała go. - A w ogóle, to jak pan do mnie dotarł?

- Mamy swoje sposoby.

- Ja również mam sposób na takich natrętów - odparła ostrym tonem i z trzaskiem odłożyła słuchawkę biurowego telefonu. Ten pobyt w sądzie miał również swoje dobre strony. Można było się tam nauczyć, jak być twardą i nie dać sobie dmuchać w kaszę.-Bonnie!

- Słucham? - spytała zaleknionym głosem sekretarka.

- Jeżeli jacyś normalni ludzie zjawią się albo zadzwonią, to chętnie z nimi porozmawiam. Ale jeśli ktoś... z szefem włącznie, ośmieli się zawracać mi głowę tą sprawą, to mnie tu nie ma. Zrozumiano?

- Tak jest.

- Powiedz także Rogerowi i całej reszcie, że jeśli spróbują

528

teraz ze mną o tym rozmawiać, to ich skreślam i wynoszę się stad. W poniedziałek będą mogli maglować mnie do woli, ale dziś chcę mieć spokój. Zrozumiano?

- Tak jest.

- Obiecuję, że nie będę cię wypytywała o sprawę - usłyszała znajomy głos. Spoza pleców Bonnie wyłoniła się Christine.

Melissa poczuła nagle znajomy dreszcz. Każde spotkanie z tą kobietą nieodmiennie wyzwalało w niej te same emocje.

- Cześć! Wejdz, proszę.

- Podać kawę czy herbatę, pani Harrington? - spytała natychmiast Bonnie.

- Za wszystko dziękuję. Wpadłam tylko na chwilę... - Christine zamknęła drzwi od sekretariatu i stanęła przed biurkiem Melissy. - Proces się skończył i wobec tego... - sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej kopertę z nadrukiem „American Airlines”

- pomyślałam sobie, że może dasz się namówić na wspólny wyjazd. Musiałybyśmy wpaść teraz na chwilę do ciebie, wrzucić parę rzeczy do walizki i pojechać prosto na lotnisko.

Melissa wpatrywała się w nią z niemym zdziwieniem w oczach.

- Chłopcy spędzają weekend z moją siostrą A te bilety

- wskazała na kopertę - zostały wystawione piętnaście minut temu, gdyż dopiero dziś dotarła do mnie wiadomość o zakończeniu procesu. Za dwie godziny mamy lot na Bahamy. - Uśmiechnęła się, ale widać było, że nie jest pewna, jak jej propozycja zostanie przyjęta. - Czy to taki zły pomysł? - spytała po chwili.

Melissa zerwała się z krzesła.

- Pomysł jest po prostu wspaniały! Wynosimy się stąd!

Inspektor Gregory - wysoki, przystojny, ciemnoskóry mężczyzna - sprawiał wrażenie nieco przemęczonego, ale na widok Libby i Willa ożywił się i z zapalem przystąpił do wykonywania służbowych obowiązków.

Przedstawił się, uściśnął im dłonie, przyniósł dodatkowe krzesło, a gdy zasiedli przy jego biurku, wyjaśnił, że zostali tu

wezvani po to, by złożyć oficjalne zeznania na temat swoich kontaktów z Alexem McCalleyem. Dowody zebrane w tej sprawie mówią same za siebie i na ich podstawie Alexander McCalley został już aresztowany, a teraz chodzi tylko o to, by skompletować zeznania osób, które.

- Dlaczego został aresztowany? - przerwała mu Libby. - Przecież ja nie złożyłam jeszcze żadnego doniesienia. / Inspektor Gregory zajrzał do akt leżących na jego biurku.

- Interesują panią zarzuty, jakie mu postawiono? Jest ich sporo: włamania...

- Włamania? - Libby i Will spojrzeli na siebie zdumieni.

- Napad rabunkowy, ciężkie uszkodzenie ciała, napaść na funkcjonariusza... Na początek tyle. - Inspektor spojrział na nich z ukosa. - Jak rozumiem, nie bardzo wiecie państwo, co się zdarzyło w ciągu kilku ostatnich dni.

- Oczywiście, że nic nie wiemy! - zawołała Libby: - Występowaliśmy w charakterze przysięgłych w sprawie o zabójstwo. Od środy rano byliśmy izolowani.

- W takim razie mam dla państwa kilka niespodzianek - oznajmił, tłumiąc śmiech. - Nas to również zaskoczyło. - Usiadł głębiej na krześle i spojrział na Willa. - Panie Klein... Nie odzyskaliśmy jeszcze pańskiego portfela, znaleźliśmy natomiast pałkę, którą został pan pobity w zeszły piątek. Zabezpieczono na niej ślady krwi... grupa zgadza się idealnie. Pałka była własnością McCalleya. Znaleziono ją w skrzynce z narzędziami, w mieszkaniu jego dziewczyny.

- Dziewczyny? - zdumiała się Libby. Inspektor Gregory zwrócił się w jej stronę.

- Znaleźliśmy także tam kartkę z pani adresem i numerem telefonu.

- No tak... - pokiwała głową Libby - a przecież mój numer jest zastrzeżony. Nigdy mu go nie dawałam.

- A czy nie dała go pani przypadkiem panu Kleinowi?

- Oczywiście, że tak - stwierdził Will. - Miałem tę kartkę w portfelu.

- Zabezpieczyliśmy także wiele zdemontowanych zamków.

## 530

Mamy uzasadnione podejrzenia, że dwa z nich wycięte zostały z drzwi wejściowych do mieszkania pana Kleina.

- Wolniej, proszę, bo nic już z tego nie rozumiem - powiedziała bezradnie Libby.

Inspektor Gregory przyniósł im dwie filiżanki kawy i słomkę dla Willa. Kiedy już trochę ochłonęli, opowiedział po kolei wszystko to, co policji udało się dotąd ustalić.

Wstępne informacje na temat McCalleya przekazał im więc ich były kolega, Nick Albanese, który pracuje obecnie jako ochroniarz. A gdy potem napłynęło do nich doniesienie z sądu, on, inspektor Gregory, wraz z drugim funkcjonariuszem udali się pod wskazany adres, by zadać McCalleyowi kilka pytań.

Zadzwonili do drzwi domku jednorodzinnego, odpowiedziała im jakaś kobieta, przedstawili się, a ona poprosiła, aby zechcieli chwilę poczekać, gdyż McCalley właśnie wyszedł z łazienki. Gregory wysłał wówczas towarzyszącego mu sierżanta na zaplecze budynku, gdzie funkcjonariusz natychmiast natknął się na mężczyznę, który usiłował sforsować ceglany mur okalający małe podwórko.

Sierżant zawołał Gregory'ego, rzucił się w pościg i dogonił zbiega na sąsiednim podwórku. Ten jednak zaczął się z nim szamotać, pchnął go na betonowe poidelko dla ptaków tak silnie, że wywichnął mu rękę, ale w tym momencie Gregory trzymał go już pod lufą pistoletu. Mężczyzna poddał się więc i został natychmiast aresztowany. Okazało się, że jest to Alexander McCalley.

Uzyskanie nakazu rewizji zajęło im kilka godzin i w efekcie przeszukali ten dom dopiero około północy. Znaleźli wszelkie możliwe narzędzia, jakimi posługują się profesjonalni włamywacze, nawet takie, których legalne posiadanie wymaga specjalnego zezwolenia wydawanego jedynie licencjonowanym ślusarzom. No i tę pałkę.

- Ale on chyba nie był tym człowiekiem, na którego natknęła się moja była przyjaciółka i jej rodzice, gdy wycinał zamki w drzwiach mojego mieszkania? - spytał Will.

- Pańska znajoma Betsy zdążyła go już rozpoznać na zdjęciach. Z całą pewnością to był on - odparł inspektor.

Libby i Will wymienili między sobą przerażone spojrzenia.

- Wiedział przecież, że wyjeżdżasz z miasta na Święto Dziękczynienia - powiedziała Libby. - Pamiętasz, jak to było? Wszyscy mówiliśmy głośno, dokąd jedziemy.

- Mamy dowody na to, że facet brał udział przynajmniej w siedmiu włamaniach, o których wiemy - ciągnął dalej Gregory. - Z wyjątkiem pańskiego mieszkania... choć w tym przypadku było to raczej usiłowanie. Włamywał się do domów, w których przedtem prowadził remonty.

- No tak. Miał jakieś przedsiębiorstwo remontowe. Gregory pokręcił przecząco głową.

- Nie miał. To były jego pobożne życzenia. Nie był nawet członkiem związku zawodowego. Wykonywał na czarno jakieś drobne roboty.

- A ten jego dom jednorodzinny? - spytała Libby. - Mówił mi, że jest właścicielem połowy bliźniaka.

- Nie miał nawet własnego mieszkania. Jego dziewczyna wynajmowała piętro w jakimś domku, a on po prostu u niej mieszkał.

- A wiejska chata, którą podobno posiadał?

- Tak. To była prawda - przyznał Gregory. - W północnej części stanu miał wiejski, nieduży domek. Tam właśnie znaleźliśmy rozmaite srebra, zegarki i biżuterię. Takie drobiazgi. Bardzo zresztą wartościowe. Przechowywał je zapewne po to, żeby odczekać trochę po każdym włamaniu i dopiero potem bezpiecznie je spieniężyć.

- Coś niewiarygodnego! - jęknęła Libby, kręcąc bezradnie głową.

\_ i co? Zeznał coś? Próbował się jakoś bronić? Co mówił? - spytał Will.

- Przyznał się jedynie do napaści na pana w zeszły piątek. Stwierdził, że przeżył szok, był chwilowo niepoczytalny, zazdrość pozbawiła go wszelkiej kontroli nad postępowaniem. - Inspektor zamilkł na chwilę i spojrzał niepewnie na Libby. - Podał



## 532

nam taką wersję wydarzeń: był kochankiem pani Winslow, lecz ta nagle porzuciła go, gdyż pan Klein okazał się znacznie od niego bogatszy.

- Kochankiem! - krzyknęła Libby piskliwie i tak głośno, że wszyscy obecni w pokoju zwrócili ku nim głowy.

- Taka jest jego linia obrony, i jak znam życie, do końca będzie upierał się przy tym, że spał z panią - oświadczył szczerze Gregory.

Zupełnie jej to nie uspokoiło.

- To jest ohydne, oburzające kłamstwo! - wściekała się dalej. - Oskarżę go o takie rzeczy, że będzie siedział w Alcatraz do późnej starości!

- Spokojnie! Spokojnie! Niech pani się nie wścieka - próbował ją uciszyć Gregory.

Spojrzała na Willa. Śmiał się, próbując opanować śmiech. Krzywił się przy tym niemiłosiernie, gdyż obie te czynności sprawiały mu wyraźny ból.

- Ty też się uspokój - napadła na niego, ale po chwili sama zaczęła się uśmiechać. - Nie ma w tym nic zabawnego. Facet opowiada takie rzeczy, a ty...

- W tym może i nie ma - tłumaczył się Will. - Ale mnie rozśmieszyło co innego. Wiesz, że znowu będziemy mieli do czynienia z sądem?

- Z sądem? O Boże! Ani przez moment o tym nie pomyślałam - przeraziła się. - Panie inspektorze... naprawdę będziemy musieli przesiadywać z tego powodu w sądzie? Chyba nie będzie to jednak konieczne.

- No pewnie! - roześmiał się Will. - Przecież to jest sprawa karna. Znowu spotkamy się pod numerem setnym na Centre Street. Dawno nas tam nie było.

Libby spojrzała błagalnie na inspektora.

- Niemożliwe!

Gregory usilnie starał się przybrać minę człowieka, który jej serdecznie współczuje.

- Wie pani... - zaczął niepewnie - można znaleźć w tym także pozytywne strony. Zapewniam, że po tym, co się pani

533

zdarzyło, nikt już nie zechce powołać pani do ławy przysięgłych. Jest to praktycznie niemożliwe. No, przynajmniej jeśli chodzi

o sprawy o gwałt...

- Nie chciałam pana urazić, inspektorze - odparła Libby z krzywym uśmiechem - ale zeszłym razem też słyszałam, że szanse na to są minimalne.

41.

- Nie chciałabym cię urazić, kochanie, ale ta twoja matka to wyjątkowa jędza - powiedziała spoza pleców Libby pani Smythe-Daniels, nadal wykonując jakieś skomplikowane zabiegi przy jej welonie.

- Nie tałałam tego przed panią - bąknęła Libby. Od zakończenia procesu minęło już czternaście miesięcy, a ona, przeglądając się teraz w lustrze, ze zdumieniem stwierdziła, że jest znacznie mniej zdenerwowana, niż przypuszczała. Ale właściwie dlaczego miałyby się denerwować? Nigdy w życiu nie była tak całkowicie przekonana o słuszności dokonanego wyboru.

- „Kim ja, do diabła, dla ciebie jestem?” Tak powiedziała! - oburzała się dalej pani Smythe-Daniels. - A co miałam robić? Pozwolić, żeby zaaranżowała wszystko po swojemu? Pisząc listy z Orno?

- Proszę się już nie złościć, pani Eleonoro! - powiedziała Libby, ujmując ją za rękę. - Przecież wie pani, że jestem dozwownie wdzięczna za okazaną mi pomoc.

- Wiem, wiem, moja droga.

Libby wypuściła z dłoni jej rękę, by poprawić sobie welon, i natychmiast dostała po łapach. Pani Smythe-Daniels wyraźnie zależało na tym, aby nadany mu kształt był dziełem jednej autorki. Pozwoliła jej wreszcie wstać sprzed toaletki i podprowadziła ją do dużego lustra, by mogła się cała przejrzeć. Libby, nie ryzykując żadnego gwałtownego ruchu, uśmiechnęła się do niej w lustrze i bąknęła:

- Dobrze, że chociaż suknia się matce spodobała.

- Na litość boską! Tego by jeszcze brakowało! - oburzyła się pani Smythe-Daniels. - Suknia jest tradycyjna i bardzo piękna.

Rzeczywiście była piękna. Cała z białego jedwabiu, z haftowanym karczkiem, górą dopasowana, dołem luźna, z woalką, długim, niemal półtorametrowym welonem. Do tego dwa bukietki wiosennych kwiatów, duży - do trzymania w rękę, mały

- upięty poniżej lewego ramienia; no i jedwabne, cudownie pasujące do sukni pantofelki, nie tylko wygodne, ale również na tak niskim obcasie, by Will nadal wydawał się o centymetr czy dwa od niej wyższy.

- Ale w końcu stanęło na tym, czego sobie zażyczyła - burknęła pani Smythe-Daniels. - Prezbiteriański kościół i Union Club, jako najlepsze miejsce na ślubne przyjęcie.

Usłyszały nagle pukanie i zanim zdążyły odwrócić się od lustra, drzwi rozwarły się na oścież, a one spostrzegły przerażone, że korytarz prowadzący do sąsiadującej z kaplicą poczekalni wypełniony jest ludźmi.

- O Boże! - jęknęła pani Smythe-Daniels, zaciskając dłoń na naszyjniku z pereł.

- Przyszliśmy powinszować ci wszystkiego dobrego - zachichotała Elena, wkraczając pierwsza do środka.

- Nie wolno jeszcze składać życzeń - syknęła ze złością pani Smythe-Daniels, widząc, że cała grupa podążyła śladem Eleny.

- Chcecie wszystko zapeszyć?

- Prawo nie zabrania ławie przysięgłych uczestnictwa w ślubach - oświadczyła Debrilla, przeciskając się obok pani Smythe-Daniels, by przyjrzeć się Libby. - Kochana, jak ty ślicznie wyglądasz!

Panna młoda mogła się teraz już tylko śmiać, mając nadzieję, że nie zepsują jej makijażu.

- No, no! - Dayton, niezwykle elegancko ubrany i wytworny, cmoknął z zachwytu. - Wystrzałowa jesteś, dzidziu!

- Nie dotykaj jej! - fuknęła pani Smythe-Daniels, chwytając go za łokieć i odciągając na bok. - Potem będziesz sobie ją mógł pocałować.

- Witaj, Libby! - pozdrowiła ją Adelaide. Jak zwykle karna i posłuszna, nie próbowała się do niej dopchać. Stała pod ścianą, ubrana w długą, czarną suknię, do której poprzyczepiane były

różnokolorowe kredki. Ta sama dekoracja, w odpowiednio dobranych kolorach, zielonym i fioletowym, zwieszała się w charakterze kolczyków z jej uszu.

- Ciszej, bo was w kościele usłyszą! - strofowała ich pani Smythe-Daniels.

- A skąd! - mruknął Dayton. - Ktoś śpiewa „Ave Maria”, czy coś w tym rodzaju, i to tak głośno, że absolutnie w niczym nie przeszkadzamy.

Rzeczywiście. Muzyka była dość dyskretna, ale głos solisty wyjątkowo donośny.

- Libby! Naprawdę cudownie wyglądasz! - komplementowała ją Basia, przeciskając się obok pani Smythe-Daniels.

- Wglądasz bardzo nobliwie - orzekła Elena, skinąwszy z aprobatą głową.

- Rewelacja! - powiedział Clay, stając w progu. (Libby dostrzegła, że z tyłu za nim, w przedsionku zakrystii, stoi jej kuzyn Freddie, który przyjechał wraz z żoną z Shaker, Heights, i nie mogąc dopchać się do środka, przygląda się teraz tej scenie.) - Pozwól, to moja żona, Alice - dodał Clay, wysuwając przed siebie ładną, czarnoskórą kobietę, którą trzymał za rękę.

- Hej, Libby! - zawołał Ronnie, wychylając się spoza pleców Claya i machając ręką. Z trudnością go poznała. Zrezygnował z tej przylizanej fryzury; miał ładne, puszyste blond włosy.

Zza framugi wychyliła się czyjaś inna ręka. Libby stanęła na palcach, by zobaczyć, kto ją z takim zapalem pozdrawia.

- Stephen!

Wzruszyła się, że tu przyszedł. Ostatnim razem widziała się z nim na nabożeństwie, odprawionym w rocznicę śmierci jego kochanka. Poszła na nie z Melissą i Willem.

- Słuchajcie, to zakrawa na kpiny - oświadczyła wreszcie pani Smythe-Daniels. - Przecież możecie się z nią spotkać po ceremonii ślubnej.

- Akurat! Przepraszam cię, Ellie, ale Union Club to nie jest mój ulubiony lokal - stwierdził Dayton. - A poza tym, przecież tam będzie twój stary - dodał, nachy lając się do jej ucha. Powie-

dział to jednak na tyle głośno, by wszyscy usłyszeli. - No nie? Zepsułby nam całą zabawę.

- Uspokój się, Dayton - ofuknęła go pani Smythe-Daniels. I natychmiast rozpromieniła się, gdy objął ją w talii ramieniem i cmoknął w policzek.

Solista skończył swój popis, z kościoła dobiegała już zupełnie inna muzyka i Libby zorientowała się, że nadchodzi decydująca chwila.

Ktoś przepychał się przez tłum, wywołując po drodze jakieś pełne aprobaty komentarze zebranych. Okazało się, że to Melissa, jej honorowa drużna. Wzbudzała powszechny zachwyt, prezentując się wspaniale w długiej, jedwabnej sukni w kolorze kości słoniowej. Dayton, zwyczajem kierowców, pozwolił sobie gwizdnąć z podziwu.

- Słuchajcie, kochani - zwróciła się do nich szeptem nowo przybyła. - Wynoście się stąd! Nie mamy już ani chwili czasu. - Wymachując trzymanym w ręku bukietem, zaczęła wyganiać kolegów do zakrystii.

- Ellie! Musisz nam obiecać, że zrobisz specjalne przyjęcie, gdy tylko wrócą z podróży poślubnej - zdążył jeszcze powiedzieć Dayton, zatrzymując się w progu. - Wtedy naprawdę uczcimy to jak należy.

- No pewnie. Najlepiej w „Ramada Inn” albo w tej restauracji, do której nas prowadzano pod konwojem - zapalił się Ronnie.

- Tam? Za nic w świecie! - przeraziła się pani Smythe-Daniels.

- Wszystkiego dobrego! - zawołała Debrilla.

- Wiłącznie. I złam nogę, kochanie - szepnęła Elena, posyłając jej całusa.

Libby usłyszała nagle Znajomy głos.

- Lib? - W progu stanął jej ojciec. - Pośpiesz się, córeczko! Za chwilę kolej na nas.

- Witaj, tatusiu! To moi przyjaciele z ławy przysięgłych - zawołała, gdy przeciskali się obok niego, bąkając pod nosem jakieś grzecznościowe formułki.

538

W drzwiach ukazała się następna znajoma twarz. Christine Harrington.

- Już czas. Przykro mi, że muszę wam przerwać... - zaczęła.

- Oni już wychodzą - wyjaśniła Melissa, wyganiając Adelaide, która hipnotycznie zapatrzyła się we własne odbicie w lustrze.

Christine zwróciła się do pani Smythe-Daniels:

- Zadbamy o to, żeby wszyscy usiedli na właściwych miejscach. - Skinęła na Melissę i obie natychmiast się oddaliły.

- Wszystkiego najlepszego, kochanie! - Pani Smythe-Daniels podeszła do Libby i uścisnęła jej rękę. - Naprawdę ślicznie wyglądasz.

Libby odprowadziła ją do progu, mrużąc pod nosem, jak bardzo jest jej wdzięczna, a gdy za starszą panią zamknęły się drzwi, spojrzała na ojca i zobaczyła, że ma on łzy w oczach.

- Wiesz, córeczko, nie pamiętam już, kiedy byłem aż tak szczęśliwy. Chyba w dniu, w którym się urodziłaś.

- Tatusiu! Jeśli zaczniesz płakać... - urwała w pół zdania, mrugając coraz szybciej powiekami.

- Nie zacznę - wymamrotał ojciec. - Wystarczy, że twoja matka teraz płacze. Jest z ciebie bardzo dumna, wiesz o tym?

-Tak, tak. Oczywiście - roześmiała się Libby. - Chodźmy, tatusiu. - Ruszyła ku drzwiom, znieruchomiła na chwilę, zrobiła głęboki wdech i wolno, wolniutko wydychała z siebie powietrze, czując, jak coraz bardziej się uspokaja.

Skinęła głową. Ojciec otworzył drzwi.

Christine ustawiła już w zakrystii orszak weselny i teraz przeprowadzała jeszcze ostateczną inspekcję. Siostrzenice Libby trzymały w rączkach koszycki z płatkami kwiatów i wyglądały naprawdę cudownie. Druhny - siostra Willa i bratowa Libby -prezentowały się równie uroczo; drużbowie - obaj jej bracia, Ted i Jimbo, oraz kuzyn Willa, którego imienia nawet nie знаła - byli nadzwyczaj eleganccy. Melissa stała ostatnia, ale po chwili dołączyła do niej Christine, po czym obie przyjrzały się po raz ostatni Libby i zapewniły ją, że jej wygląd nie budzi żadnych zastrzeżeń.

Organy zaczęły grać pierwsze takty marsza weselnego. Wszyscy zebrani w kościele podnieśli się z miejsc. Christine stanęła tuż za drzwiami, bacząc na to, aby orszak weselny wkroczył do środka, zachowując odpowiedni porządek. Libby poczuła nagle, że ojciec delikatnie pociąga ją za rękę, dając znak, iż wszyscy czekają już tylko na nich. Weszli oboje do kościoła i ruszyli w kierunku ołtarza.

Każdego obdarzyła radosnym i szczerym uśmiechem, gdyż była naprawdę szczęśliwa. Wkrótce skończy się cała ceremonia i zostaną już ze sobą we dwoje. W wielkim spokoju, który, jak wszystko na tym świecie, nie będzie przecież trwał wiecznie. Na jesieni miała się odbyć sprawa rewizyjna Laytona. No i Bóg jeden wie, co ze sobą zrobią, gdy Alex McCalley wyjdzie w końcu z więzienia...

Ale to wszystko wydawało się takie odległe; teraz trzeba było przebrnąć do końca przez tę próbę, uczynić zadość oczekiwaniom rodzin i przyjaciół. A potem, dzięki Bogu, będą już mieli czas tylko dla siebie.

Jej uśmiech stał się nagle jeszcze bardziej promienny.

Will!

Czekał na nią przy ołtarzu.